

Najnowsza książka królowej kryminału!

# Samotna noc

Nawet śnieg nie zakryje  
wszystkich śladów...



Charlotte  
Link

# Charlotte LINK Samotna noc

Z języka niemieckiego przełożył  
Dariusz Guzik



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Einsame Nacht*

© 2022 by Blanvalet Verlag,  
a division of Penguin Random House Verlagsgruppe GmbH, München, Germany

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2023 for the Polish translation by Dariusz Guzik  
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk  
Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8230-655-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)  
[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](http://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)  
E-wydanie 2023

# Spis treści

## PROLOG

Poniedziałek, 26 lipca 2010 roku

## CZEŚĆ PIERWSZA

Poniedziałek, 16 grudnia 2019 roku

Wtorek, 17 grudnia

Środa, 18 grudnia

Czwartek, 19 grudnia

Niedziela, 22 grudnia

Poniedziałek, 23 grudnia

Wtorek, 24 grudnia

Środa, 25 grudnia

## CZEŚĆ DRUGA

Czwartek, 26 grudnia

Piątek, 27 grudnia

Poniedziałek, 26 lipca 2010 roku

Sobota, 28 grudnia

Niedziela, 29 grudnia

Wtorek, 31 grudnia

# PROLOG

## Poniedziałek, 26 lipca 2010 roku

Leżał na kanapie, gapił się na ogród i zastanawiał, kiedy ten dzień wreszcie się skończy.

Letnie dni były gorsze od innych, bo czuł się jeszcze bardziej wykluczony niż zwykle. Bezchmurne, błękitne niebo, zapach kwiatów i świeżo skoszonej trawy, przesycone ciepłym powietrze. Życie.

Mimo panującego na dworze upału było tu dość chłodno. I samotnie.

Alvin Malory rozejrzał się dokoła. Pokój był niewielki i ponury. Ciasny, nędzny, zagracony meblami. Nie sposób było poczuć się w nim komfortowo. Bardziej podobał mu się jego pokój na piętrze, ale żeby się w nim znaleźć, musiałyby wstać i wgramolić się po schodach. Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz. Bolące stawy. Świszczący oddech. A do tego wąskie schody ostro zakręcały. Nienawidził po nich wchodzić. Nienawidził po nich schodzić. Nienawidził leżeć w salonie.

Nienawidził swojego życia.

Wokół niego stały puste aluminiowe pojemniki i styropianowe pudełka, obok duże papierowe kubki, w większości również puste. Zamówił dzisiaj danie indyjskie. Kilka porcji ryżu i curry z baraniny, kurczak vindaloo, paszteciki z warzywnym nadzieniem, smażone pierogi, fladenbrot. I colę. Całe litry coli. Deser z miodu, kokosa i migdałów, bardzo słodki. Właściwie to kilka deserów. Wystarczyłoby dla dużej rodziny.

Musiał uprzątnąć opakowania, zanim do domu wrócą rodzice. Matka o wszystkim wiedziała, ojciec nie miał zielonego pojęcia. Matka gdzieś je później wyrzucała, bo w koszu tuż przy domu ojciec by je zauważył. Alvin zawsze upychał wszystko do worka i chował w spiżarni, z tyłu, za regałem. Matka później go stamtąd zabierała.

Wyprostował się, jęcząc. Zawsze, gdy jadł bez opamiętania, dręczyły go wyrzuty sumienia. Znowu zawiódł. Znowu nie zdołał nad sobą zapanować. Znowu stracił kontrolę. Skończy z tym – jutro. Jutro nic już nie zamówi. Na sto procent. Jutro mu się uda.

W głębi ducha wiedział jednak, że tak się nie stanie.

Alvin Malory miał szesnaście lat, mierzył metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważył sto sześćdziesiąt osiem kilogramów.

Poczłapał do kuchni, wyjął z szafki worek na śmieci, wrócił do salonu, uprzątnął ślady swojego obżarstwa i zaniósł wszystko do spiżarni. Każdemu innemu chłopcu zajęłoby to najwyżej pięć minut. Alvin potrzebował prawie dwudziestu. Schylał się

i zbierał pudła... chodził tam i z powrotem... salon, kuchnia, salon, kuchnia... Rozbolały go wszystkie kości, a do tego oblewał go pot.

Przede wszystkim ciężko mu było na sercu, znów miał wrażenie, jakby mimo upału przenikał go mroźny chłód. Jakby jego duszę przeszywały dreszcze. Nieznośny smutek mieszał się z rozpaczliwym gniewem. Krystalicznie czystym spojrzeniem widział samego siebie, jak wałęsa się spocony po domu, zamiast jak inni nastolatki siedzieć na plaży, grać w piłkę albo zajadać z przyjaciółmi lody. Było lato, miał wakacje. Widział swój ogromny brzuch w spodniach od dresu w rozmiarze XXL. Widział swoje napuchnięte stopy. Widział całą tę swoją samotność. Mógł ją złagodzić wyłącznie obżarstwem. Kiedy jadł, nie marzył. Kiedy jadł, nie czuł się osamotniony.

Rozejrzał się po kuchni. Wciąż stały tam przykryte talerze z ciastem, a w lodówce kanapki, piwo i lemoniada. Poprzedniego dnia świętowali urodziny jego matki. Przyszli goście. Alvin zastanawiał się właśnie, czy ojciec zauważy, jeśli zabierze kilka kawałków ciasta, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

Alvin był zaskoczony. Nikt nigdy nie dzwonił, gdy przebywał tu sam. Oczywiście poza kurierem z zamówionym jedzeniem. Ale tego dnia już je przecież dostarczył.

Z kuchennego okna nie mógł dojrzeć, kto stoi przed drzwiami. Przez chwilę rozważał, czy nie powinien po prostu udawać, że nikogo nie ma w domu. Może to sprzedawca odkurzaczy. Albo jakiś świadek Jehowy.

Zawahał się. Dzwonek ponownie zabrzączał.

Jeśli otworzy, może zapomni o cieście. Tym lepiej dla niego. Ojciec mógł zapamiętać, ile kawałków zostało.

Na obolałych nogach Alvin poczłapał do drzwi.

Otworzył.

Niecały kwadrans później zrozpaczony żałował, że to zrobił.

Od kiedy Isaac Fagan przeszedł na emeryturę, codziennie spędzał kilka godzin w swoim ogrodzie. Zasadzone przez niego róże pięły się po ścianie niewielkiego domu, a wzdłuż okalającego działkę płotu wystrzeliły w górę ostróżki i słoneczniki. Kwitnący raj, stwierdził Isaac. Będąc wdowcem, od lat mieszkał sam, ale dzięki ogrodowi nigdy nie czuł się nieszczęśliwy. Pielęgnowanie roślin sprawiało mu ogromną radość. Serce by mu pękło, gdyby wygnano go z jego raj.

Tego dnia kosił trawnik. W lipcu robił to dosyć rzadko, inaczej niż w kwietniu, kiedy trawa rosła w oczach i ledwo nadążał z jej przycinaniem. Isaac dbał o trawnik, bo uwielbiał zapach świeżo skoszonej trawy. Dziś znów się nim zajął, choć nie było to konieczne.

Szedł wzdłuż ogrodzenia i grabił resztki trawy, które nie wpadły do pojemnika kosiarki. Sąsiedni dom dzieliła od jego posesji niewielka odległość. Polubił

mieszkającą w nim rodzinę Malorych. Poprzedniego dnia był u nich na przyjęciu urodzinowym i wśród licznie zgromadzonych gości czuł się całkiem swobodnie. Niestety, nawet z tej okazji państwo Malory nie doprowadzili ogrodu choć trochę do porządku. Już dawno należało skosić trawnik i przyciąć krzewy. Na klombach rozpleniły się chwasty. Rodzice ciężko pracowali, kiedy więc mieliby się zająć ogrodem? Ale ich syn, Alvin, mógłby od czasu do czasu popracować na dworze. Wyszłoby mu to na zdrowie. Isaac uważał Alvina za sympatycznego i uprzejmego chłopca, choć był potwornie otyły i sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego. Zawsze przebywał sam, najwyraźniej nie miał przyjaciół. Dziwne w przypadku szesnastolatka. Isaac nie wątpił, że powodem był jego wygląd. Biedny dzieciak.

Isaac spojrział w bok. Alvin miał teraz wakacje, naprawdę mógłby... Ale wciąż tylko leżał na kanapie w salonie, wpatrzony w tego swojego... smartfona, czy jak tam zwie się to coś, co każdy trzyma dziś w dłoniach, gapiąc się nieustannie w ekran, jakby tam właśnie toczyło się prawdziwe życie. Isaac widział tę scenę za każdym razem, kiedy przez przeszklone drzwi zaglądał do salonu Malorych. I dziś zerknął w tym kierunku, spodziewając się zobaczyć wylegującego się na kanapie Alvina.

Zamiast tego aż się wzdrygnął.

A cóż to takiego?

Tuż za drzwiami coś przycupnęło... jakaś masywna, ciemna, skulona postać... Isaac zmrużył oczy. Co to? Człowiek? Czy może zwierzę? A może jakiś przedmiot? Nie potrafił rozróżnić. Zazwyczaj nic się tam nie kryło. Teraz jednak czaiło się tam coś.

Podszedł do płotu, wychylił się. Od drzwi dzieliło go zaledwie kilka metrów.

To coś się poruszyło.

Wyprostowało się i spojrzało na Isaaca.

– O Boże – sapnął Isaac. Rozpoznał Alvina, choć tylko dlatego, że istota za drzwiami przybrała jego postać. Poza tym oblicze Alvina w niczym nie przypominało twarzy, którą zwykło się u niego widywać. Oczy były nienaturalnie szeroko otwarte i zupełnie nieruchome, rysy wykrzywione w groteskowym grymasie, a usta pokrywała piana, w której nieustannie tworzyły się nowe bąbelki. Alvin podniósł rękę, opuścił ją w błagalnym geście. Bezsilna osunęła się po szybie. Głowę przechylił do przodu, zwymiotował, wyglądało na to, że pluje przy tym krwią.

– O Boże – powtórzył Isaac – o Boże!

Co tu, u licha, się dzieje? Piana... atak padaczki? Wybałuszone oczy... Isaac zaczął się wspinać na płot. Musiał się jakoś dostać do domu sąsiadów. Wiedział, że państwa Malorych tam nie ma, chłopak jest sam i przytrafiło mu się coś złego.

Płot zachwiał się pod jego ciężarem. Przez chwilę Isaac obawiał się, że zaraz wpadnie do zarośniętego chwastami kwietnika po drugiej stronie. Dla człowieka



w jego wieku taki płot stanowił nie lada przeszkodę. Mimo to zdołał ją pokonać, choć rozdarł przy tym spodnie. Stał wśród kwiatów, chwastów i wysokiej trawy, otarł pot z czoła. Przed nim prowadzące na taras drzwi, za nimi Alvin, duża, bezkształtna, nieruchoma masa. Skulona na podłodze.

Po kilku krokach Isaac znalazł się na wąskim tarasie, na którym stłoczono kilka krzeseł i niewielki stolik. Próbował pchnąć drzwi, ale były zamknięte. Przywarł twarzą do szyby, by zajrzeć do wnętrza, rozpoznał meble w salonie, ujrzał korytarz prowadzący do wejścia. Wydawało się, że nic niezwykłego się nie dzieje.

Z wyjątkiem faktu, że Alvin leżał bez ruchu na podłodze. Isaac obszedł budynek, spróbował otworzyć jaskrawozielone drzwi, ale i one były zamknięte. Jako sąsiad miał zapasowy klucz do domu Malorych, na wypadek gdyby ktoś się w nim zatrzasnął. Mógł od razu o tym pomyśleć, ale był kompletnie zdezorientowany. Wrócił chodnikiem do siebie. W korytarzu leżał telefon. Wybrał numer alarmowy.

– Karetka – powiedział. – Tylko szybko. Proszę!

Podyktował adres. Kobiety głos w słuchawce oznajmił, że karetka jest już w drodze. Dyżurna chciała poznać więcej szczegółów dotyczących rannego i jego obrażeń, ale Isaac nie potrafił nic na ten temat powiedzieć. W końcu odłożył telefon, wyjął z szuflady klucz Malorych i pognął z powrotem do domu sąsiadów. Dyszał i się pocił. Nie tylko z powodu upału. Także ze wzburzenia i strachu przed tym, co tam zastanie.

Gdy tylko wszedł do środka, od razu wyczuł zagrożenie. Z początku sądził, że Alvin jest chory, że doznał udaru, ataku, jakiegoś rodzaju załamania, teraz jednak, niczym zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo, zrozumiał, że to coś więcej. Dostrzegł zło, przemoc... Stało się tu coś okropnego, doszło do potworności przewyższającej wszelkie jego dotychczasowe obawy.

– Alvin – zawołał cichym głosem. – Pani Malory? Panie Malory?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, to oczywiste. Alvin nie był w stanie zareagować. A jego rodzice wyszli do pracy.

Uświadomił sobie, że cały dom wypełnia woń alkoholu i papierosów. Dziwne, nawet biorąc pod uwagę, że poprzedniego dnia odbyło się tu przyjęcie urodzinowe. Zajrzał do kuchni. Wszędzie stały butelki po piwie, większość z nich otwarta, ale niektóre opróżnione tylko do połowy. Na stole i podłodze leżały rozrzucone niedopałki papierosów. Gliniane kubki do herbaty, które mały Alvin własnoręcznie wykonał i pomalował w szkole, a które pani Malory z dumą pokazywała wszystkim gościom, rzucono z półki nad zmywarką i rozbito na tysiące drobnych kawałków.

– O Boże, o Boże – mruknął wstrząśnięty Isaac.

Przeraził się. Naprawdę się bał. Przez chwilę rozważał, czy nie wyjść na zewnątrz i nie zaczekać na przyjazd sanitariuszy, ale pewnie za długo by to trwało. Dla Alvina

liczyła się każda minuta albo nawet sekunda.

Salon wyglądał równie okropnie jak kuchnia, Isaac nie był jednak w stanie należycie tego ocenić, zaglądając z zewnątrz. Nieokreślone plamy na dywanie i tapicerce, niedopałki papierosów, wypalone dziury. Otwarte, przewracane butelki. Takiego bałaganu nigdy wcześniej nie widział, bez wątpienia nie był on pozostałością po wczorajszej imprezie. Catering wszystko uprzątnął, a pani Malory w żadnym razie nie zostawiłaby domu w takim stanie.

Alvin leżał tuż przy drzwiach prowadzących na taras, nic nie wskazywało na to, by w czasie, gdy Isaac wrócił po klucz i wezwał karetkę, w ogóle się poruszył. Isaac z trudem ukląkł obok niego. Dotknął jego ramienia.

– Alvin? Chłopcze! Co się stało?

Alvin nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Isaac nabrał straszego podejrzenia, że już nie oddycha, nie potrafił też stwierdzić, czy jego klatka piersiowa unosi się i opada, choć może wynikało to z otyłości nastolatka. Należało sprawdzić puls. Jedno ramię Alvin przygniótł własnym ciałem, drugiego, tego, którym próbował uchwycić się okna, niełatwo było dosięgnąć. Na domiar złego Isaac bał się go dotknąć. Chłopiec wydawał się poważnie ranny, istniała obawa, że może umrzeć, jeśli go choćby muśnie. O ile w ogóle jeszcze żył.

Kiedy, na Boga, przyjedzie wreszcie karetka?

Isaac poczuł tymczasem ostrą woń wymiocin, a także coś... nieokreślonego... jakby jakiś środek chemiczny... Zauważył leżącą obok głowy Alvina zieloną plastikową butelkę, sięgnął po nią. Butelka była pusta. Oszołomiony spojrział na etykietę, na której widniała czarna czaszka z piszczelami oraz ostrzeżenie, by produkt przechowywać w miejscu niedostępnym dla dzieci. Silnie żrący środek do czyszczenia kanalizacji. Isaac używał podobnego.

Dlaczego leżał obok głowy Alvina?

Wspomnienie piany na ustach oraz krwi nasunęło mu straszliwe podejrzenie. To niemożliwe. Nigdy w życiu. Alvin nigdy by nie wypił takiej substancji!

Ale co, jeśli nie zrobił tego dobrowolnie?

Isaac ponownie rozejrzał się po pokoju. Z jakiegoś powodu Alwinowi kompletnie odbiło, palił, pił, rozlewał po pokoju alkohol, wypalił dziury w pokryciu kanapy, po czym odebrał sobie życie, wypijając żrący płyn.

Albo... byli tu jacyś obcy. Włamywacze.

Alvina zaatakowano i poddano przerażającym torturom. Wątpliwe, czy przeżyje. Jeśli w ogóle jeszcze żył.

Przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Pewnie ratownicy medyczni. Isaac podniósł się, jęcząc, i pokuśtykał do drzwi. Butelkę z wizerunkiem czaszki wciąż

trzymał w dłoni.

– Szybko! – krzyknął. – Pospieszcie się! Stało się coś strasznego!

Zaczął płakać. Wzburzony, zestresowany, wstrząśnięty.

Nawet tego nie zauważył.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## Poniedziałek, 16 grudnia 2019 roku

Tego wieczoru Anna Carter niczego tak bardzo nie żałowała jak wyboru obuwia. Miała na sobie sukienkę z turkusowej dzianiny, która szczególnie podobała się Samowi. Zazwyczaj nie kierowała się jego gustem, ale w tym przypadku zgadzała się z jego opinią. W sobotę wypatrzyła w sklepie obuwniczym w centrum miasta parę eleganckich botków z miękkiej skóry, na dziesięciocentymetrowych ołówkowych obcasach, w tym samym kolorze co sukienka. Jak często można spotkać turkusowe buty do kostek? Wpadła do sklepu, okazało się jednak, że nie ma już jej rozmiaru, wzięła więc parę o numer mniejszą, co oczywiście okazało się błędem. Pod wieczór stopy tak bardzo ją bolały, że zastanawiała się, jak zdoła zejść po schodach i dotrzeć na parking po drugiej stronie ulicy.

Westchnęła.

Przy długim, odświetlonym stole siedziało oprócz niej jeszcze osiem innych osób, czterech mężczyzn i cztery kobiety. Wszyscy brali udział w kursie gotowania dla singli, który rozpoczął się w listopadzie i miał się zakończyć w tygodniu przedświątecznym nader uroczystą kolacją. Od siedmiu tygodni spotykali się w każdy poniedziałek w siedzibie Trouvemoi, agencji matrymonialnej, którą kilka lat wcześniej założyła przyjaciółka Anny Dalina, odnosząc oszałamiający sukces. Anna sceptycznie oceniała jej model biznesowy, ale Dalina rozwiała jej obawy.

– To model przyszłości. I teraźniejszości. Wśród zachodnich społeczeństw nigdy nie było tak wielu singli. Singli nie z własnego wyboru. Zobaczysz, pójdzie świetnie.

Miała rację. Trouvemoi oferowała wędrowki dla singli, weekendy dla singli, singlowe wycieczki po mieście, speed dating, kolacje przy świecach i tak dalej, i tak dalej. A także przeznaczone specjalnie dla singli kursy gotowania.

Opiekowała się nimi głównie Anna. Bo świetnie gotowała. Uznała to za ironię losu, że musiała zaczepić się akurat u Daliny, choć nigdy nie pochwałała jej pomysłu. Po wyjściu ze szpitala. Po utracie pracy. Właściwie po stracie samej siebie.

Ale nie miała wyboru. Musiała być wdzięczna.

– Hej, Anno, jesteś tu jeszcze? – zapytał ktoś. Zdała sobie sprawę, że pogrążona we własnych myślach w ogóle nie zważała na toczącą się przy stole rozmowę. Powinna zebrać się w sobie. Bądź co bądź płacono jej za obecność i prowadzenie konwersacji. Osoby, które wykupiły ten drogi kurs, powinny czuć się komfortowo. Odprężyć się. A w najlepszym razie nawet się zakochać.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

Mężczyzna, który do niej zagadnął, miał na imię Burt. Anna uznała go za wyjątkowo niesympatycznego. Był głośny i gruboskórny. Szczycił się tym, że nigdy nie zachowuje swoich opinii dla siebie, co było jedynie eufemistycznym określeniem faktu, że obrażał ludzi, niepytany mówił każdemu, co o nim sądzi, a przy tym nie wykazywał się taktem i nierzadko ranił innych aż do łez.

– Właśnie postanowiliśmy, że w następną sobotę ponownie się spotkamy. W pubie. Byłoby fajnie, prawda?

O Boże, pomyślała Anna, tylko nie kolejne spotkanie!

W zasadzie nikt nie mógł jej do tego zmusić, dodatkowe spotkania nie należały do jej obowiązków. Doskonale jednak wiedziała, co powie jej szefowa Dalina: Oczywiście, że pójdziesz. To świetnie, że dobrze się czują w swoim towarzystwie. Ale nie powinni się spotykać na własną rękę, tylko tutaj, na kolejnych zajęciach kulinarnych. I wtedy do akcji wkraczasz ty. Pójdziesz z nimi i postarasz się, by od razu zarezerwowali na styczeń kontynuację kursu.

Niepostrzeżenie wysunęła nieco prawą stopę z buta, dzięki czemu poczuła lekką ulgę. Gdyby tylko nie dokuczał jej tak ostry ból. Gdyby tylko czuła się lepiej. Psychicznie. Gdyby perspektywa nowego roku nie jawiła się tak ponura i nieprzenikniona. Wiedziała, że niektórzy ludzie z radością witają nadejście nowego roku, styczeń rozpoczynają z nadzieją, że wszystko obróci się ku lepszemu, że czekają ich same dobre rzeczy. Annie nigdy nie towarzyszyło podobne uczucie. W nienadeszłym jeszcze roku widziała jedynie ugór i pustkę wciąż nieobsadzonego pola. Inni mieli już przed oczami kłosa falujące w podmuchach letniego wiatru. Ona wyłącznie jałowość i osty. Nie zdołała tego zmienić nawet wieloletnia terapia.

Wykrzywiła twarz w uśmiechu, ufając, że nie był zbyt wymuszony.

– Dobry pomysł – powiedziała wesoło – tylko muszę sprawdzić... Mam nadzieję, że się uda. Święta tuż-tuż...

– Nie ma pani ani męża, ani dzieci, więc przedświąteczna gorączka jest pani obca – stwierdził Burt z typową dla siebie empatią. – Czemu więc nie pójdzie pani do pubu z przyjaciółmi? Lepsze to niż ślęczenie w domu.

– Mam chłopaka – odparła Anna – spędzam z nim święta.

– Ach, prawda, no tak, pani *chłopak* – zauważył Burt nieco uszczypliwie. Kursanci go znali, ponieważ Sam czasem odbierał Annę po wieczorach kulinarnych. – Dlaczego pani za niego nie wyjdzie?

– Burt, to prywatna sprawa Anny – wtrąciła się Diane, młoda, atrakcyjna blondynka. Anna nie mogła się nadziwić, po co w ogóle chodzi na imprezy dla singli. Być może problem tkwił w jej wyjątkowej nieśmiałości i powściągliwości.

Anna spojrzała na zegarek i udała zdziwienie, choć od godziny nieustannie zerkała na wskazówkę minutową, modląc się, by poruszała się w szybszym tempie.

– Już dziesiąta! – wykrzyknęła. – Mój Boże, jak ten czas szybko leci! – Wcisnęła stopę z powrotem do buta, tłumiąc jęk bólu. Podniosła się z miejsca. – Kto mi pomoże?

Reszta wstawiała ociężale; za dużo zjedli, niektórzy pili alkohol, wszyscy chcieliby posiedzieć jeszcze w ciepłe i miłej atmosferze wieczoru. Rezerwację mieli jednak tylko do dziesiątej, Anna zaś była znana z punktualności.

Burt pozostał na miejscu i z rozkoszą dopijał czerwone wino, podczas gdy pozostali pomagali uprzątnąć stół. Jak zawsze każdy przyniósł plastikowe pojemniki, aby spakować resztki posiłku. Szybko załadowano i włączono ogromną zmywarę, napełniono lodówkę, wytarto blaty, zdmuchnięto świece. Anna miała zjawić się tu następnego ranka, opróżnić zmywarę, zabrać obrusy do prania, ustawić należycie krzesła. Teraz jednak chciała po prostu wrócić do domu.

W końcu nawet Burt zorientował się, że wieczór dobiegł końca, wstał niechętnie. Szli korytarzem. Anna miała wrażenie, jakby grupa rozlała się w mroku nocy, w ciszy i chłodzie późnego grudniowego wieczoru, jakby przykryła go na chwilę echem głosów i śmiechu, odbierając mu magię, zakłócając spokój. Bo świat był ciemny, zamglony i milczący. W oddali szumiało morze.

Anna tak bardzo tęskniła za samotnością, że czuła nieomal ból. Pokuśtykała na drugą stronę ulicy. Musiała mieć na stopach ogromne pęcherze.

Na pijących alkohol czekało kilka taksówek. Pozostali wsiedli do własnych samochodów. Anna otworzyła drzwi swojego niebieskiego fiata.

Nareszcie, pomyślała. Nareszcie spokój.

Jechała przez późnowieczorne Scarborough. W unoszącej się od strony morza mgłę połyskiwało świąteczne oświetlenie domów, sklepów i ulic, choć wiele z owego blasku pochłonęły kłęby wilgoci. Wieczór wydawał się zimny i ponury, Anna wiedziała jednak, że wiele osób przebywa poza domem. W restauracjach, pubach, barach i klubach. Wszędzie tylko świąteczne przyjęcia, muzyka i śmiech, mnóstwo alkoholu i egzaltowanej wesołości. Ludzie nosili na głowach kapelusiki z papieru i z godziny na godzinę zachowywali się coraz swobodniej. Anna nie przepadała za takimi imprezami, nie potrafiła poddać się żywiołowej niefrasobliwości. Pomyślała o szkolnych uroczystościach z lat wczesnej młodości – tych, w których obowiązkowo należało wziąć udział. Rzadko kiedy odczuwała bardziej bolesne tortury.

– Uważaj! – zawołała nagle do siebie, gwałtownie wyrwana z ponurych wspomnień. Nacisnęła hamulec. Tuż przed nią z mgły wyłoniło się małe czerwone renault, od którego dzieliła ją niebezpiecznie mała odległość.

Dlaczego go nie zauważyła? Mgła wcale nie była aż taka gęsta. Pewnie się zamyśliła. Muszę się bardziej skupić, postanowiła.

Zwolniła, zachowując rozsądny dystans od czerwonego samochodu. Dostrzegła, że osoba za kierownicą miała długie blond włosy. Najprawdopodobniej była więc kobietą.

Minęła Lindhead School, wyjechała poza granice miasta i podążała wzdłuż Lindhead Road. Po prawej i lewej ciągnęły się łąki i pastwiska poprzecinane płotami i kamiennymi murkami, których w ciemności można się było jedynie domyślać. Od czasu do czasu pojawiały się jakiś dom, zagroda, hotelik. Poza tym wyłącznie bezkresna dal oraz cisza. Zbliżała się do granic Parku Narodowego North Yorkshire. Doliny, wzgórze, lasy i pola. Oraz mnóstwo lubianych i uczęszczanych szlaków turystycznych. Ludzie się tu gubili. Wcale nie tak rzadko.

Na skrzyżowaniu Lindhead Road i Harwood Dale Road czerwony samochód zatrzymał się tak gwałtownie, że Anna, znów nie zachowując należytego odstępu, jedynie dzięki ostremu hamowaniu zdołała uniknąć zderzenia. Jej pojazd praktycznie stanął w miejscu, silnik cicho zaterkotał, po czym zgasł.

– Co z tobą! – krzyknęła.

Dopiero wtedy zauważyła powód dziwnego zachowania kierowcy jadącego przed nią samochodu. Na środku skrzyżowania, na którym droga rozgałęziała się w kierunku Scalby, stał mężczyzna. Przynajmniej tak można było sądzić, wnosząc ze wzrostu i postury tej postaci, niezwykle wysokiej, barczystej. Buty, parka. Naciągnięty na twarz kaptur. Stał w taki sposób, że jadąca przed Anną kobieta musiała zahamować, by go nie potrącić. Podszedł do drzwi od strony pasażera i otworzył je szarpnięciem.

Anna z konsternacją obserwowała tę scenę. Dlaczego ten mężczyzna, dlaczego ktokolwiek stał o tej porze na tym zapomnianym przez Boga skrzyżowaniu? Na dobrą sprawę znajdowali się w sercu pustkowia. Scarborough zostawili dość daleko za sobą. Od Scalby dzielił ich jeszcze szmat drogi. Podobnie zresztą jak od leżącego po drugiej stronie Harwood Dale. Któż to stał na rozwidleniu dróg w mroźną, mglistą, grudniową noc?

Mężczyzna wszedł do samochodu.

Anna zaczęła łapać powietrze.

Ta kobieta nie mogła pozwolić, aby w tej okolicy jakiś obcy mężczyzna wszedł o tak późnej porze do jej samochodu! Nie wyglądało jednak na to, by wpuściła go do środka dobrowolnie. To stało się tak szybko. Gwałtownie zahamowała, a po chwili on znalazł się przy drzwiach jej pojazdu, sekundę później był już w środku. Nawet gdyby próbowała włączyć blokadę drzwi, prawdopodobnie nie zdołałaby zaskoczona zrobić tego w mgnieniu oka.



Anna zajrzała do wnętrza samochodu. Długie blond włosy kobiety za kierownicą... To faktycznie mogła być Diane. Diane z kursu gotowania dla singli. Podobnie jak Anna mieszkała w Harwood Dale. Logiczne, że przejeżdżała tędy o tej porze. Czy jeździła czerwonym autem? Anna nie miała pewności.

Błysnęła światłami, dając kobiecie znak, że nie jest sama.

– Wsiadaj i chodź tutaj – mruknęła. – No dalej!

Kobieta, być może Diane, musiała zauważyć sygnał świetlny, ale chyba nie próbowała wysiąść z samochodu. Bo nie mogła? Czy jej grożono? Czy ten facet był uzbrojony?

Anna bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, czy zauważyła w jego rękach jakiś przedmiot. To wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie, tak szybko.

A może mężczyzna czekał tu na nią, bo byli umówieni?

Ale tutaj...? Kto umawia się akurat w takim miejscu?

Gdy Anna wciąż się zastanawiała, co powinna zrobić, czerwony pojazd ruszył.

Muszę za nim jechać, pomyślała.

Czerwone renault zniknęło za zakrętem drogi prowadzącej do Harwood Dale. Anna przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik krótko zarzęził, po czym zgasł.

– Niech to szlag! – wrzasnęła.

Wilgoć. Przy wilgotnej aurze jej wiekowy samochód był po prostu nieobliczalny.

– No dalej – mruknęła – dawaj!

Wiedziała, że najlepiej odczekać kilka minut między każdą ponowną próbą, to zwiększało szanse, że w końcu się uda. W tym jednak czasie może się wydarzyć coś strasznego. Gorączkowo próbowała kilka razy z rzędu. Silnik tylko cicho zacharczał.

Czekała. Drżała. Co chwila zerkała w lusterko wsteczne, by w razie pojawienia się w oddali blasku reflektorów natychmiast włączyć światła awaryjne. Stała niefortunnie, na środku drogi. Tylko tego brakowało, żeby ktoś w nią uderzył. Wokół panowały jednak mrok i cisza nocy.

Po pięciu minutach spróbowała ponownie, tym razem silnik odpalił.

Nareszcie.

Ruszyła. Pędziła z nadmierną prędkością. Zdawała sobie sprawę, że pewnie nie zdoła już doścignąć samochodu z kobietą i nieznajomym. Nie zdążyła nawet zapisać numerów rejestracyjnych.

*Wszystko, co robię, robię źle.*

Minęła hotelik Woodpeckers Cottage, nie zauważyła jednak, by paliły się tam światła. Budynek wyglądał na opuszczony. Może właściciele wyjechali w okresie zimowym.

Nieco dalej, tuż przed pastwiskiem dla owiec, znajdowała się zatoka parkingowa. Kiedy Sam po raz pierwszy odwiózł Annę do domu, na samym początku ich znajomości, zatrzymali się tutaj i godzinami obściskiwali. To była jasna letnia noc, poświata na niebie utrzymywała się do wczesnych godzin poranka. Anna przypomniała sobie magię, którą wtedy poczuła. Jakby coś zmieniało się na lepsze. Ostatecznie.

Zobaczyła czerwony samochód zaparkowany w zatoce. Stał blisko ogrodzenia pastwiska, nieco z dala od drogi. Światła miał wyłączone. Anna zauważyła go tylko dlatego, że na ułamek sekundy pojawił się w snopie światła jej własnych reflektorów. Minęła to miejsce. Zwolniła. Dlaczego się tu zatrzymali?

A więc para kochanków? Obściskują się, tak jak ongiś Anna i Sam?

Powinam zawrócić, pomyślała. Upewnić się.

Jechała w żółwym tempie. Targały nią wątpliwości. Mam sprawdzić i zrobić z siebie idiotkę? Narazić się na niebezpieczeństwo?

Czy ci ludzie cokolwiek mnie obchodzą?

Zasygnalizowała kobiecie, że chce jej pomóc, ale nie otrzymała odpowiedzi. Ona nie musiała przecież odjeżdżać, prawda?

A jeśli przyłożono jej nóż do gardła?

Przecież wtedy można błyskawicznie wyskoczyć z samochodu.

Jeśli uda się odpiąć pas, zanim facet cię dźgnie.

– Dlaczego akurat mnie przytrafia się coś takiego? – zawołała.

Była zmęczona. Piekły ją stopy. Chciała położyć się do łóżka.

Zatrzymała się i ponownie spojrzała w lusterko wsteczne. W oddali zobaczyła światła reflektorów. Albo ktoś jeszcze jechał tą drogą, albo to czerwony samochód znów ruszył. W drugim przypadku przegapiła więc okazję, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Prawdopodobnie wszystko było w najlepszym porządku. To nie scena z *Crime Watch*.

Nie mogła stać przez resztę nocy na środku drogi.

Anna pojechała do domu.

# Wtorek, 17 grudnia

## 1

Kate Linville rzadko kiedy przykładała wagę do swojego wyglądu, po części dlatego, że po prostu nie miała wyczucia stylu. Chybiała przy wyborze stroju nawet wtedy, gdy całe godziny spędzała na rozmyślaniach i przymiarkach. A może właśnie wtedy. Wieści o aktualnych trendach mody do niej nie docierały, a jeśli już, był to zazwyczaj znak, że właśnie odchodzą do lamusa. Nawet gdyby jakimś cudem udało jej się modnie ubrać, wątpiła, by miało to jakikolwiek wpływ na jej zupełną niepozorność. Rzeczy, które na innych wyglądały świetnie, na niej po prostu się nie sprawdzały. Miała ładną figurę, choć niektórzy uznaliby pewnie, że jest zbyt szczupła. To wszystko. Wyróżniała się niepozornością. *Szara myszka* – tak określano podobne do niej kobiety. Ani brzydka. Ani ładna.

Zwyczajnie nijaka.

Z czasem Kate przywykła do tego, by nie podejmować ryzyka, i każdego dnia nosiła mniej więcej to samo. Czarne spodnie, czarne sznurowane buty lub botki, czysty biały T-shirt, czarna albo szara marynarka. Uznała, że tak będzie bezpieczniej. W takich butach mogła chodzić o każdej porze, jeśli zrobiło się ciepło, po prostu zdejmowała marynarkę. W zimie dodatkowo zarzucała płaszcz.

Ponieważ nie nosiła makijażu, a jedynie rozczesywała gładkie brązowe włosy, rankiem w krótkim czasie była gotowa do wyjścia.

Dziś jednak stała przed szafą w sypialni i długo się namyślała. Dzień był nieprzyjemny i zimny. Padał deszcz, który mógł się przemienić w śnieg.

Tydzień do Bożego Narodzenia. Kate nie chciała nawet o tym myśleć.

– Uważasz, że powinnam dziś włożyć coś specjalnego? – zapytała, zwrócona w stronę łóżka. Pomiędzy pogniecionymi poduszkami leżała jej czarna kotka Messy, uważnie ją obserwując. Niestety, nie potrafiła udzielić odpowiedzi. Zamiast tego zaczęła starannie czyścić sobie łapki.

Dziś miała poznać nową szefową wydziału śledczego w Scarborough. Kate bardzo się tego obawiała. Nic nie wiedziała o kobiecie, z którą miała odtąd ściśle współpracować. Inspektor śledcza Pamela Graybourne. Przeniosła się tu z Manchesteru w wyniku jakiejś umowy z nadkomisarzem. Sprawa okazała się chyba niełatwa do rozwikłania, bo w przeciwnym razie nie ciągnęłaby się tak długo i nie

rozstrzygnięto by jej tuż przed końcem roku. Fakt, że nadkomisarz sprowadził kogoś z zewnątrz, zamiast wybrać któregoś z własnych podwładnych, wszystkich oczywiście zaszokował, on jednak jak zwykle miał to w nosie. W szczególności Kate poczuła się urażona, choć domyślała się, że raczej nie ma szans na awans. Pracowała w North Yorkshire Police dopiero od lata, choć to i tak dłużej niż w przypadku tej nowej. Z drugiej strony spartaczyła swoją pierwszą sprawę, przynajmniej w ocenie nadkomisarza – i jeśli miała być szczerą, także w jej własnej. Mówiąc ściślej: wyszła z niej nieomal z traumą.

Jak zwykle zacisnęła zęby i nie przestawała pracować.

To było jej życiowe motto: nie ustawaj. Nie rozglądaj się na prawo i lewo, nie patrz za siebie, tylko idź naprzód i się nie zatrzymuj.

Przełożeni być może wiedzieli, że jest psychicznie zdołowana. Albo przynajmniej to podejrzewali.

Co więcej, złamała zasady. Z absolutnej konieczności, jak uznała. Ale jej szef nie podzielał tego zdania.

Poza tym posiadała jedynie stopień sierżanta śledczego. Jak na czterdziestoparolatkę to niewiele. Nikt nigdy nie rekomendował jej do awansu, co zazwyczaj robi bezpośredni przełożony. Od dziś będzie nim Pamela Graybourne.

W końcu Kate włożyła to co zawsze, straciła jednak tyle czasu, że nie zdążyła już zjeść śniadania. Nasypała tylko kociej karmy do miski, uzupełniła wodę, na stojąco wlała w siebie pół kubka kawy. Potem wyszła ze swojego niewielkiego domu na przedmieściach Scarborough, który prawie sześć lat wcześniej odziedziczyła po ojcu.

Jej ojciec – kolejna trauma.

Nie rozmyślaj, nakazała sobie.

Szła w deszczu, padające krople kłuły jej skórę jak szpilki. Łatwo się krystalizowały, Kate domyśliła się, że najpóźniej pod wieczór zacznie prószyć śnieg. Wieczór. Tęskniła za nim. Marzyła o tym, aby przetrwać nadchodzący dzień.

Inspektor Pamela Graybourne była już na miejscu, kiedy dotarła tam Kate. Wiedziała, że się nie spóźniła, a jednak zrobiłaby lepsze wrażenie, gdyby pojawiła się wcześniej niż jej nowa szefowa. Pamela najwyraźniej już się urządziła w gabinecie, który uprzednio zajmował Caleb Hale – dwa fotele, stojące do tej pory w kącie, ustawiła na środku, ich dotychczasowe miejsce zajęła dziwna okazała roślina. Na ścianie pojawił się też nowy obraz, druk artystyczny, zapewne niezbyt cenny, za to bardzo ładny. Pokój bez wątplenia lepiej się prezentował. Inspektor Graybourne miała dobry gust.

Wstała zza biurka, gdy Kate, zapukawszy, z wahaniem weszła do środka.

– Sierżant Linville, tak? – Podała jej dłoń. Jej uścisk był mocny. – Dużo o pani słyszałam.

Kate założyła, że pewnie nic dobrego. Nie wiedziała, jak zareagować.

– Och – powiedziała i od razu pomyślała: Jak bardzo można być głupim?

Na twarzy Pameli pojawił się cień uśmiechu.

– Wiem, że to było fatalne lato. Fatalna sprawa. Fatalne zakończenie.

– Było bardzo ciężko – przyznała Kate, choć słowo *ciężko* w najmniejszym stopniu nie przystawało do wydarzeń minionego sierpnia.

– Najciężej było niewątpliwie Sophii Lewis – zauważyła Pamela. Kate miała świadomość, że jej nowa szefowa nie musiała zasięgać żadnych specjalnych informacji, żeby o wszystkim wiedzieć, gdyż o sprawie pisano od tygodni na pierwszych stronach gazet. Cały kraj pomagał w poszukiwaniach uprowadzonej. Sparaliżowanej kobiety, którą porywacz jakoby zakopał żywcem w skrzyni. On sam zmarł, postrzelony przez Kate. Owej kobiety, Sophii Lewis, do dziś nie odnaleziono.

– Oczywiście – przyznała Kate w odpowiedzi na uwagę Pameli. Dyskretnie zmierzyła ją wzrokiem. Pamela przewyższała ją prawie o głowę, jej aparycję cechowała radykalna prostota. Miała na sobie szary spodnium oraz buty prawie tak samo praktyczne jak buty Kate, do tego nosiła bardzo krótko ścięte ciemnoblonde włosy, wśród których połyskiwało już sporo siwych pasemek. Żadnego makijażu. Mogłaby uchodzić za niepozorną, ale wcale taka nie była. Kobieta ze świetną prezencją. Robiła wrażenie. Przyciągała uwagę i wzbudzała zainteresowanie.

Całkiem inaczej niż ja, pomyślała Kate. Nic dziwnego, że dostała to stanowisko. Pewnie się do tego nadaje.

– Wiem, że przeniosła się tu pani ze Scotland Yardu, żeby pracować z komisarzem Calebem Hale'em – oznajmiła Pamela. – On jednak zrezygnował. Po wydarzeniach tego lata.

– Zgadza się.

– A jego następcą, inspektor Robert Stewart, został zastrzelony przez psychopatę – kontynuowała Pamela. – Po tym, jak razem z nim weszła pani bez żadnego wsparcia do domu, w którym morderca zabarykadował się z zakładnikami.

Kate przełknęła uwagę, że o wzięciu zakładników nic a nic nie wiedzieli. Ponadto mogła przypomnieć, że wysłała wyraźne ostrzeżenie – ale Robert Stewart, jej przełożony, wykazał się kompletną bezmyślnością. Zapłacił za to własnym życiem. Kate nie chciała jednak powiedzieć złego słowa o zmarłym, więc milczała.

Może kiedyś nadejdzie chwila, w której będzie mogła wyjawić całą prawdę.

Pamela obrzuciła ją chłodnym wzrokiem.

– Sierżantko, nie chcę przed panią ukrywać, że obejmuję to stanowisko, mając z góry wyrobioną opinię na pani temat, choć wiem, że właściwie należałoby tego

uniknąć. I oczywiście jestem gotowa ją zrewidować, ale czy tak się stanie, zależy głównie od pani.

Kate nadal milczała.

– Odnoszę wrażenie, że nie traktuje pani regulaminu zbyt poważnie i chętnie podejmuje pani samowolne decyzje – ciągnęła Pamela. – Z pewnością zdaje sobie pani jednak sprawę, że nie zawsze prowadzi to do dobrych rezultatów... Szczerze mówiąc, jestem trochę zaskoczona, że po wydarzeniach minionego lata nie została pani zawieszona w obowiązkach i nie wszczęto wobec pani dyscyplinarki. Można to wytłumaczyć wyłącznie ogólnym przeciążeniem policji. Oraz szczególną sytuacją tutejszego wydziału w Scarborough, którego szef został najpierw zawieszony, a następnie z własnej woli zrezygnował, a jego zastępcę zastrzelono. Trzymają tu panią, sierżantko, bo w przeciwnym razie wydział pewnie przestałby istnieć.

Jasne, pomyślała Kate, chociaż w zasadzie jestem jedną wielką katastrofą.

Wezbrała w niej złość zmieszana ze smutkiem, oba uczucia starała się ukryć za niewzruszonym wyrazem twarzy. Od pół roku przebywała w Scarborough, po długich wewnętrznych zmaganiach porzuciła Londyn, pracę w Scotland Yardzie, i wróciła do rodzinnego miasta, gnana poczuciem, że musi zacząć od nowa i że może jej się to udać. Już pierwsze śledztwo sprawiło jednak, że znalazła się dokładnie w tym samym położeniu co w Yardzie: podejrzliwie obserwowana przez przełożonych, bez słowa uznania dla jej osiągnięć, nie do końca akceptowana, ledwie tolerowana. Zamiast zacząć wszystko od nowa, zdołała w mgnieniu oka przywrócić wcześniejszy stan rzeczy. Nie cierpiała owego często przytaczanego truizmu, którym próbowano odebrać pewność siebie ludziom usiłującym coś w swoim życiu zmienić: Swoje problemy i tak zawsze zabierzesz z sobą!

Kryło się w tym ziarno prawdy.

– Będę panią obserwować, sierżantko – oświadczyła Pamela. – Chcę, żeby pani o tym wiedziała. Nie toleruję żadnej samowoli ani najdrobniejszego naruszenia przepisów czy też ich dowolnej interpretacji. Jeśli zechce się pani tego trzymać, będziemy żyć w zgodzie.

W powietrzu zawisło niedopowiedziane zdanie: A jeśli nie, czekają panią poważne kłopoty.

– Mam nadzieję, że się rozumiemy, sierżantko.

– Tak, pani inspektor.

Pamela skinęła głową.

– W porządku. Przejdźmy zatem do rzeczy. Oczywiście wcześniej dokładnie rozeznałam sytuację, ale chciałabym poznać pani opinię.

Przynajmniej nie jest niesprawiedliwa, pomyślała Kate. Włącza mnie do sprawy. Chyba rzeczywiście mamy poważne braki kadrowe. Trudno byłoby mnie wykluczyć.

Przez następne pół godziny omawiały bieżące dochodzenia. Pracy było sporo, ale żaden przypadek nie okazał się zagmatwany ani zagadkowy. Najbardziej spektakularny z nich dotyczył starszej pani, Patricii Walters, która zmarła po tym, jak jej opiekunka zniknęła bez uprzedzenia. Przygotowała staruszce zapas jedzenia i picia na kilka dni, ta jednak upadła na schodach we własnym domu i w wyniku doznanych obrażeń zmarła. Jej córka, zaniepokojona faktem, że nikt nie odbiera telefonu, przyjechała z południa Anglii i znalazła nieboszczkę. Oskarżyła opiekunkę o nieumyślne spowodowanie śmierci, policja zaś wszczęła poszukiwania, ponieważ młoda kobieta zniknęła bez śladu.

– Najlepiej będzie, jeśli jeszcze raz porozmawia pani z córką – oświadczyła Pamela. – Potrzebujemy więcej informacji o tej zaginionej opiekunce. Nazywa się Mila Henderson. Córka pani Walters, jeśli dobrze rozumiem, mieszka obecnie w domu swojej matki w Scarborough.

– W porządku. Zaraz ruszam w drogę – odparła Kate.

Ucieszyło ją, że będzie mogła na jakiś czas uwolnić się od energicznej Pameli. Choć oczywiście spotkanie z pogrążoną w traumie córką zmarłej kobiety nie należało do przyjemności.

## 2

Półtorej godziny później Kate opuściła dom zmarłej, stojący nad północną zatoką w Scarborough, z którego roztaczał się piękny widok na morze. Była trochę rozczarowana – córka, Eleonore Walters, nie sprawiała wrażenia osoby pogrążonej w traumie, lecz przede wszystkim spragnionej zemsty, choć Kate miała świadomość, że jedno może się wiązać z drugim. Mimo to nazbyt często podkreślała, że musiała specjalnie przyjechać z Southampton i wszystkim się zająć. Czy myśli się głównie o tym, gdy właśnie straciło się matkę? Opiekunkę nazywała *dzidirą*.

– Była dość młoda. Około trzydziestki. Dyplomowana pielęgniarka geriatryczna. Dobre referencje. Wydawała się godna zaufania. Pozory jednak mylą. Pewnie zabawia się teraz ze swoim chłopakiem i zapomniała o bożym świecie!

– Chłopakiem? Znała go pani?

– Nie.

– A zatem nie wie pani na pewno, czy Mila Henderson w ogóle ma chłopaka? Eleonore Walters przyznała niechętnie, że istotnie tego nie wie.

– Ale jak mogłoby być inaczej? Niby czemu te młódki zapominają o swoich obowiązkach, jeśli nie z powodu facetów, z którymi się wiążą?

– Cóż, jest kilka innych możliwości.

– Zakładam, że wyjechała gdzieś na weekend. Wróciła w niedzielę wieczorem i zobaczyła moją matkę leżącą przed schodami. Wiedziała, że czeka ją mnóstwo kłopotów. I wtedy związała. Nic po sobie nie zostawiła. Jej pokój jest pusty. Żadnych ubrań, bielizny, przyborów w łazience. Zwyczajnie się ulotniła.

– To tylko przypuszczenie.

– Zapłaciłam tej zdzirze sporo pieniędzy, wie pani. Moja matka nie wymagała całodobowej opieki, z ubezpieczenia nie dostalibyśmy refinansowania. Ale matka nie czuła się pewnie na nogach i czasem była nieco dezorientowana. Nie można jej było zostawić samej, groziło zbyt duże ryzyko wypadku. Co właśnie widzimy. Ta mała suka chętnie zgarnęła pieniądze. Pewnie nie zobaczę już ani pensa.

Bądź co bądź odziedziczyłaś bardzo ładny dom... Kate nie mogła się nadziwić, ile uwagi ta kobieta poświęcała kwestii pieniędzy. Być może w ten sposób skrywała swój ból.

Odprowadzając policjantkę do drzwi, Eleonore Walters oznajmiła:

– Ufam, że ją pani znajdzie. Ona nie może tak po prostu zniknąć.

– Myślę, że ją znajdziemy – zapewniła Kate. – Niezwykle trudno jest zniknąć na zawsze.

Gdy wracała do samochodu, prószył już śnieg. Biały puch pokrył łuki lamp i balustrady, a nieprzyjemny dotąd dzień nabrał świątecznego charakteru. Do świąt pozostał tydzień. Kate zapadła się w fotelu kierowcy i patrzyła na wirujące w powietrzu płatki. Boże Narodzenie to okropny czas. Nie dla każdego. Ale dla samotnej czterdziestoczterolatki dzielącej życie wyłącznie z kotem, owszem. Co roku powraca to samo pytanie: jak przetrwać te świąteczne dni? Jak zdzierżyć graną w radiu sentymentalną muzykę, blask światełek zdobiących centrum miasta, filmy telewizyjne opowiadające o miłości i wspólnocie?

– Czy ktoś w ogóle pomyślał, co te święta oznaczają dla zatwardziałych singli? – zapytała na głos, choć nikt jej nie słuchał. Albo dlatego, że nikt jej nie słuchał. Bo wolałaby raczej ugryźć się w język, niż wyjawic innym, jak kiepsko się czasem czuła.

Uruchomiła silnik i odjechała.

Dziesięć minut później zatrzymała się przed niepozornym budynkiem stojącym na South Cliff, choć w trzecim szeregu, a więc bez widoku na zatokę i morze. Spokojne uliczki, niewielki park, wzdłuż ścieżek tabliczki informujące o lokalnych gatunkach ptaków morskich. Wszędzie ustawiono ławki, teraz pokryte białym puchem. Sam budynek z początku nie zdradzał, że mieści się w nim agencja dla szukających



partnera singli, przypuszczalnie dlatego, że dyskrecja była częścią tego biznesu. Dopiero przy dzwonku do drzwi Kate odkryła wywieszkę z napisem: Trouvemoi.

Znalazła tę agencję w Internecie i wciąż się zastanawiała, czy powinna się do niej zgłosić. Najłatwiej byłoby oczywiście przez sieć, ale nie mogła się zdecydować, wahała się i zwlekała bez końca, odsuwając od siebie ostateczną decyzję. Aż wreszcie postanowiła tu przyjechać.

Teraz albo nigdy, pomyślała.

Cierpiała z powodu samotności i czasem miała wrażenie, że nic się nie zmieni, jeśli nie weźmie własnego losu w swoje ręce.

Weekendy były dla niej zabójcze, najbardziej niedziele. Znacznie gorsze od sobót. W sobotnie przedpołudnia wychodziła po sprawunki, kupowała najpotrzebniejsze artykuły spożywcze na cały nadchodzący tydzień, karmę dla kota oraz inne rzeczy niezbędne w domu i ogrodzie. W sobotę ludzie wciąż krążyli po mieście, a dzień wypełniała ożywiona krzątania, która przygasała dopiero pod wieczór. W sobotnie wieczory Kate zauważała, jak powoli ogarnia ją melancholia, i zastanawiała się, dlaczego ktoś nie może zwyczajnie usiąść obok niej na kanapie i obejrzeć razem z nią piątego sezonu jakiegoś ekscytującego serialu Netflixa, zając się przy tym pizzą z kartonowego pudełka. Ktoś, z kim o zmierzchu mogłaby pójść nad morze. Albo ugotować coś pysznego, zamieniając przy tym kuchnię w pole bitwy.

Za tymi właśnie rzeczami, które znała głównie z książek i filmów, z opowieści innych oraz z własnego skromnego doświadczenia bardzo krótkiego związku, Kate boleśnie tęskniła. Za zwyczajną obecnością kogoś, z kim można by zrobić coś mało spektakularnego. Kogoś, kto ochroniłby ją przed wymuszonymi spotkaniami z ludźmi, kiedy to po pięciu minutach uświadamiała sobie, że wspólny wieczór będzie równie jałowy jak przeżuta guma. Kate aż za dobrze wiedziała, co to znaczy chodzić na spotkania wyłącznie po to, żeby nie być samotnym oraz stosować się do zaleceń płynących z każdego poradnika: Zrób coś dla swojego szczęścia! Wyjdź i wykorzystaj dzień! Nie przesiaduj w domu! Wyjdź do ludzi! Przejmij inicjatywę!

Rzeczywistość okazywała się bardziej skomplikowana, niż przedstawiała to większość poradników. Wyjście między ludzi mogło tylko pogłębić problem. Czasem mniej deprymujące było samotne przesiadywanie przed telewizorem i topienie smutków w kieliszku wina niż spotkanie w restauracji z jakimś natrętnym wesołkiem, który przez cały wieczór chwali się swoim wspaniałym życiem. Człowiek nigdy by się z nim dobrowolnie nie umówił, gdyby nie znalazł się w desperackiej potrzebie. Własna samotność nigdy nie wydawała się Kate bardziej żałowana niż w takich właśnie chwilach.

Mimo to miała wątpliwości, czy powinna się zgłosić do Trouvemoi. W Londynie zapisała się do Parship i odbyła kilka randek, ale tam nigdy się nie bała, że spotka kogoś znajomego. Londyn to ogromna metropolia, istniała znikoma szansa, że któryś z jej kolegów po fachu odkryje, czym się zajmuje w wolnym czasie. W Scarborough sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. W tym niezbyt dużym mieście wciąż wpadało się na znajomych. Kate wiedziała, że aktywne poszukiwanie partnera to żaden wstyd, a jednak się obawiała, że jej życie prywatne stanie się tematem rozmów w miejscu pracy. Na samą myśl o tym, że Pamela Graybourne obrzuci ją szyderczym spojrzeniem, gdy się dowie, że chodzi na *speed dating*, Kate czuła się nieswojo.

A jednak... Jeśli nie będzie szukać dalej, przemieni się w okropną ponuraczkę, która przesiaduje w domu i wciąż czeka na coś, co nigdy nie nadejdzie. A skoro Parship okazał się porażką, tym razem spróbuje czegoś innego. Trouvemoi dawało ludziom sposobność poznania się w realnym świecie i realizowania wspólnych zainteresowań. Może dzięki temu zyska większe szanse.

Jeśli teraz nie wejdzie i się nie zapisze, nigdy tego nie zrobi. Nie łudziła się, że w ciągu najbliższego, przedświątecznego tygodnia znajdzie mężczyznę swojego życia. Niemniej jeśli zgłosi się na jakieś spotkanie, choćby dopiero w styczniu, zyska przynajmniej poczucie, że coś zapoczątkowała, zainicjowała jakiś postęp. I że być może w kolejne święta... Nacisnęła dzwonek.

Może nikogo nie zastanie. We wtorkowe przedpołudnie. Wtedy sprawa sama się rozwiąże.

Rozległ się brzęk zamka, Kate pchnęła drzwi. Ujrzała przed sobą korytarz, na którego końcu otwarły się kolejne drzwi. Ukazała się w nich młoda kobieta.

– Witaj – powiedziała.

– Dzień dobry – odparła Kate. – Czy pani pracuje w Trouvemoi?

– Dalina Jennings. Jestem właścicielką firmy. – Podała Kate rękę. – Zapraszam.

Kate weszła do mieszkania. Wąski przedpokój, trzy przestronne pomieszczenia, jeśli dobrze dostrzegła. Dość duża kuchnia. W przedpokoju stał kosz na pranie wypełniony poplamionymi ściereczkami. Dalina podążyła za jej wzrokiem.

– Wczoraj wieczorem mieliśmy zajęcia kulinarne. Ze wspólną kolacją na zakończenie. Prowadząca powinna zjawić się tu dziś z samego rana i posprzątać, ale zadzwoniła, że źle się czuje. Dziwne, bo wczoraj była w formie. – W głosie Daliny pobrzmiwała irytacja, choć bardzo starała się ją ukryć. – Koniecznie muszę zatrudnić dodatkowego pracownika. Po południu mamy tu spotkanie przy kawie dla starszych singli i teraz to *ja* muszę wszystko uprzątnąć, nakryć stoły, opróżnić zmywarkę i... – Przerwała. – Ale nie przyszła tu pani, by wysłuchiwać moich skarg na współpracowniczkę, pani...?

– Linville. Kate Linville.

– Proszę za mną. – Dalina weszła przodem do mniejszego pokoju mieszczącego się tuż obok kuchni. Znajdowały się tam regały pełne segregatorów, duże biurko z monitorem, dwa fotele, a na ścianie wisiał słynny plakat filmowy: Leonardo DiCaprio i Kate Winslet na dziobie Titanica, zanurzeni w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Wizerunek zakochanej pary, która ma przed sobą świetlaną przyszłość... Kate uznała obraz za dość niestosowny, skoro było wiadomo, że statek niedługo potem zatonie, a Leonardo zginie.

Z drugiej strony, pomyślała, może to zwyczajnie... realistyczne. Szczęście we dwoje, jeśli w ogóle możliwe, jest zazwyczaj krótkotrwałe.

– Proszę usiąść – zaproponowała Dalina. Sama zajęła miejsce za biurkiem i włączyła komputer. Kate miała wrażenie, że jej stąd nie wypuści, jeśli nie skorzysta przynajmniej z jednej oferty. Kobieta wydawała się nad wyraz rzeczowa.

– Bardzo przestronne pomieszczenia – zauważyła, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć.

– Tak, po prostu idealne – przyznała Dalina. – Wcześniej mieściła się tu restauracja. Stąd ta wspaniała kuchnia. Świetnie się nadaje do kursów gotowania. Wie pani, w dzisiejszych czasach mnóstwo osób próbuje na Tinderze... przesun w prawo, przesun w lewo... Jakby na podstawie jednego zdjęcia można było sprawnie ocenić, kto do kogo pasuje. Ja wybrałam stosunkowo staromodną metodę. Moi klienci spotykają się na wspólnych imprezach. I mogę powiedzieć, że wyjątkowo dobrze się to sprawdza.

Dlaczego ludzie nie odnajdują się już w codziennym życiu? – zastanawiała się Kate. Przynajmniej wiedziała, dlaczego jej się to nie udawało: niby gdzie miałyby kogoś poznać? Właściwie tylko praca i koledzy stwarzali jakąś okazję, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Była chyba po prostu zbyt nieśmiała. Zwyczajnie nie miała odwagi sama zagadnąć innych ludzi – w szczególności mężczyzn.

– A zatem... Kate Linville – odezwała się Dalina, wprowadzając nazwisko do systemu. – Czy poda mi pani swój adres oraz datę urodzenia?

Kate podyktowała obie informacje i uznała, że ta wciąż dość młoda kobieta naprawdę zna się na rzeczy. Przebywała w siedzibie agencji zaledwie dwie minuty, a już została wciągnięta do komputera i została klientką. Poszło szybciej, niż można było złapać oddech. Czuła się osaczona, ale usiłowała zachować spokój.

Ciesz się. Gdyby cię nie osaczyła, prawdopodobnie znowu byś się nie zdecydowała.

– Czym się pani zajmuje zawodowo? – zapytała Dalina.

Kate aż drgnęła. Nie chciała zdradzać swojej profesji. Wyjawiałaby zbyt wiele, za dużo by o niej wiedziano.

Dalina spojrzała na nią pytająco.

Dlaczego w porę o tym nie pomyślała? Nikt nie zastanawia się przez kilka minut nad odpowiedzią na pytanie, czym się zajmuje. Wróciła w myślach do sprawy opiekunki starszych osób, którą właśnie prowadziła.

– Opiekuję się starszymi ludźmi – odparła, po czym szybko dodała: – To znaczy, organizuję im opiekę.

Co za idiotyczny pomysł! Nie miała o tej profesji bladego pojęcia. Poza tym prawda bardzo łatwo mogła wyjść na jaw. To przecież niezbyt duże miasto. Dlaczego po prostu nie powiedziała, że nie chce ujawniać swojego zawodu? Co to w ogóle obchodzi tę Dalinę Jennings? Gdyby z tego powodu nie chcieli jej przyjąć, po prostu by wyszła. Przecież jej życie nie zależy od jakiegoś Trouvemoi.

Ktoś z nieco większą dozą pewności siebie po prostu instynktownie by wiedział, co należy zrobić, pomyślała.

– Och, to wspaniale – przyznała Dalina. – To ważne zadanie, prawda?

Kate domyślała się, że mówi tak o każdej profesji. Jej rolą było wprowadzanie klientów w optymistyczny nastrój oraz pozytywna ocena wszystkich ich cech.

– Ale z pewnością bardzo czasochłonne, czyż nie? Nic dziwnego, że poszukiwanie partnera schodzi na dalszy plan.

– Hm... tak...

– Cóż, w każdym razie dobrze pani trafiła. Jak pani myśli, ile osób znalazło już partnera w tych pomieszczeniach?

Kate chętnie poznałaby dokładną ich liczbę, ale Dalina, całkiem rozsądnie, nie rozwodziła się nad szczegółami.

– Czego chciałaby pani spróbować? Proponujemy dosłownie wszystko. I to dla każdej orientacji. Mogę zapytać, czy interesuje panią związek heteroseksualny?

– Tak. Heteroseksualny. Więc... mężczyzna. – Jąkam się jak jakaś uczennica, pomyślała.

– Oferujemy *speed dating*, kolacje przy świecach, spacerzy dla singli, weekendy dla singli, zwiedzanie miast dla singli, kursy gotowania dla singli... Czy o czymś już pani myślała?

Kate rozważała wiele opcji, ale na żadną nie mogła się zdecydować. W każdym razie na pewno nie od razu cały weekend czy wyjazd... Pomyślała o praniu wrzuconym do kosza i o czekającym Dalinę sprzątaniu kuchni po poprzednim wieczorze. Dlaczego nie? Wszystko jedno, a to pierwsza rzecz, na którą się tu natknęła.

– Zajęcia z gotowania – oznajmiła.

Dalina wyglądała na wniebowziętą. Kursy gotowania były zapewne szczególnie drogie.

– Dokładnie to samo chciałam pani polecić. Nasze zajęcia kulinarne trwają osiem tygodni, w każdy poniedziałek od siódmej wieczorem. Sześć do ośmiu osób, równa liczba kobiet i mężczyzn. Zaletą jest to, że widzi się uczestników nie tylko raz, ale wielokrotnie. Powstaje grupa, rodzi się poczucie wspólnoty. A to łatwo przeradza się w coś więcej.

– Tak, brzmi nieźle.

– Obecny kurs kończy się w najbliższy poniedziałek. Kolejny zaczyna się trzynastego stycznia.

Przynajmniej zyskam trochę czasu.

– Dobrze. Niech będzie gotowanie.

– Świetnie. Wpiszę panią na listę. Polubi pani prowadzącą, Annę Carter. Bardzo kompetentna, sympatyczna osoba – a do tego fantastycznie gotuje. Umie pani gotować?

– Nie. Praktycznie w ogóle nie potrafię.

– Tym lepiej, upiecze pani dwie pieczenie na jednym ogniu. Nauczy się pani przyrządzać kilka naprawdę smacznych dań i znajdzie przy tym swojego księcia.

Do słownictwa obowiązującego w tym środowisku trzeba pewnie przywyknąć, pomyślała Kate.

Dalina błyskawicznie wydrukowała umowę, a Kate podpisała ją mimo słonego honorarium, jakie musiała zapłacić za naukę gotowania i znalezienie księcia. Wszystko odbyło się tak szybko, że wręcz poczuła zawroty głowy.

Znów znalazła się na ulicy, w samym środku zawieruchy śnieżnych płatków. Dobrze. Przynajmniej się uaktywniła. Nikt nie mógł jej zarzucić, że siedzi tylko beczynnie i biadoli. Zajęła się sprawą. Zacznie w styczniu.

Tym samym zyskała coś więcej niż tylko dobre noworoczne postanowienie: niemal wcieliła je w życie.

### 3

Carmen Rodriguez pchała wózek przez wąskie korytarze Crown Spa Hotel. Gruby, pluszowy czerwony dywan jak zawsze pochłaniał wszelkie odgłosy. Niewiele pokoi było zajętych, zimą ludzie nie zjeżdżają tłumnie na wybrzeże. W kolejnym, świątecznym tygodniu będą za to niemal w pełni obłożeni. To oczywiście oznaczało więcej pracy. Ale także więcej napiwków.

Carmen skończyła na dziś. Pracowała od wczesnego rana, miała za to wolne popołudnie. Odkurzyła pokoje, zasłała łóżka, wysprzątała łazienki, wymieniła

ręczniki. Lubiła tę pracę. Z Hiszpanii przyjechała do Anglii ze względu na swojego chłopaka i znalazła zajęcie w hotelu, w którym i on był zatrudniony. Przedpołudnie spędził w recepcji, teraz miał kilka godzin wolnego i dopiero wieczorem wracał do pracy.

Tego dnia Carmen była niespokojna, ponieważ jej koleżanka i zarazem przyjaciółka Diane nie pojawiła się w hotelu. Diane niezbyt lubiła swoją pracę w Crown Spa, była jednak bardzo rzetelna. Gdyby się rozchorowała, dałaby znać. Zarówno bezpośrednio przełożonej, jak i Carmen, swojej przyjaciółce. Kiedy przełożona pokojówek podeszła do niej i zapytała, czy ma jakieś wieści od Diane, Carmen zyskała potwierdzenie, że Diane rzeczywiście nie zgłosiła się także u szefowej. Zadziwiające.

Przed południem Carmen wysłała jej kilka wiadomości przez WhatsApp, ale Diane ich nie odczytała. Po raz ostatni zajrzała do sieci o osiemnastej poprzedniego wieczoru.

To także było zadziwiające.

Carmen odstawiła do schowka wózek z przyborami do sprzątanania, przebrała się, starannie wyszczotkowała włosy, po czym podjęła kolejną próbę kontaktu z Diane na domowy telefon stacjonarny. Dzwoniła już kilka razy.

Nikt nie odpowiadał.

Krzyknęła cicho, gdy ktoś objął ją od tyłu i mocno do siebie przycisnął.

– Witaj, milutka! – mruknął jej do ucha Liam.

Zazwyczaj lubiła, gdy przy każdej okazji udowodniał, ile dla niego znaczy, ale tego dnia nie była w nastroju. Niechętnie uwolniła się z jego objęć.

– Przestraszyłeś mnie!

– Och, daj spokój. Zazwyczaj nie jesteś taka strachliwa.

– Diane zniknęła.

– Jak to... zniknęła?

– Nie przyszła dziś do pracy.

– Pewnie jest przeziębiona czy coś w tym rodzaju.

– Ale o tym by mi powiedziała. Nie odpisuje na moje wiadomości. Nie odbiera telefonu. To naprawdę dziwne.

Liam nie przepadał za Diane, choć musiał przyznać, że była bardzo atrakcyjna. Tylko ta jej małomówność, ten jej nieśmiały, piskliwy głos... Zawsze się zastanawiał, co Carmen w niej widzi.

– Tutaj, w hotelu, też się nie zameldowała?

– Nie.

– Może leży w łóżku... skacowana – powiedział Liam i sam się roześmiał. Diane się upiła... To rzeczywiście szalony pomysł.

– Chciałabym do niej pojechać – oznajmiła Carmen.

Liam jęknął.

– O nie... Myślałem, że zrobimy razem coś miłego...

– To moja przyjaciółka, Liam. Nie jestem teraz w stanie na niczym się skupić.

– Dobrze – odparł Liam – już dobrze! – Wiedział, jak to się skończy: to nie Carmen pojedzie do Diane, pojedą do niej oboje. Carmen nie miała ani samochodu, ani prawa jazdy.

Pół godziny później byli już w drodze do Harwood Dale. Z nieba padały coraz grubsze płatki, okolica tonęła w śniegu. Bezlistne drzewa coraz bardziej rozmywały się na horyzoncie, wszystko stawało się ciche, białe, zamglone. Stłumione.

– Już dawno nie mieliśmy tyle śniegu – zauważył Liam. Samochód kilkakrotnie wpadł w poślizg, koła straciły przyczepność, ale Liam sobie poradził. Był dobrym kierowcą. Tego dnia Carmen poczuła dla niego szczególną wdzięczność.

Harwood Dale to wioska, która raczej nie zasługiwała na swoje miano. Składała się z rozrzuconych po okolicy zagród i niewielkich domów położonych na skraju wąskich polnych bądź szutrowych dróg, odchodzących od głównej szosy. Wieś liczyła nieco ponad stu mieszkańców. Była częścią Parku Narodowego North Yorkshire, z jego wspaniałym, dzikim i bezludnym krajobrazem.

Diane mieszkała w prostym domu wzniesionym z brązowych kamieni, z oszklonym ogrodem zimowym, który pasował do tej okolicy w równie znikomym stopniu jak wszystkie tutejsze zabudowania. Parter zamieszkiwała starsza para, która po wyprowadzce dzieci przerobiła pierwsze piętro na osobne lokum do wynajęcia. Diane zajęła tam maleńkie pokoiki pod spadzistym dachem. Nie miała balkonu ani dostępu do ogrodu, za to piękny widok na rozległą okolicę, choć w niektóre chłodne, bezbarwne, zimowe dni mógł on wprawić w ponury nastrój. Dziś był do zniesienia. Śnieg zaczarował wszelką monotonię.

Carmen od razu zauważyła, że na podjeździe brakuje samochodu Diane.

– Zawsze tam stoi, kiedy Diane jest w domu! – krzyknęła.

– Może zaparkowała w garażu – odparł Liam.

– Jest zajęty przez samochód właścicieli. Diane chyba nie ma w domu.

Mimo to wysiedli i zadzwonili do drzwi. Żadnego odzewu. Carmen zadzwoniła do właścicieli i wkrótce potem drzwi otworzyła starsza pani.

– O, miss Rodriguez. Dzień dobry! – Znała Carmen z jej wizyt u Diane.

– Dzień dobry. Chciałam sprawdzić, co słyhać u Diane. Nie pojawiła się dziś w pracy.

Starsza pani spojrzała na nią zakłopotana.

– Och, to dziwne. Wczoraj w ogóle nie wróciła do domu. Zazwyczaj ją słyszeć, bo skrzypi podłoga, wiemy też, kiedy bierze prysznic, zamyka i otwiera okiennice. Poza tym nie ma jej samochodu. Pomyślałam, że może nocuje u pani. Ale najwyraźniej...

– Ostatni raz widziałam ją wczoraj w południe, kiedy pożegnałyśmy się w hotelu.

– Była tu wczoraj po południu. Ale wieczorem znów wyjechała.

– O... wie pani może dokąd?

– Wyjeżdża w każdy poniedziałek pod wieczór.

– Aha... – Carmen nic o tym nie wiedziała, ale pamiętała, że w ostatnich tygodniach Diane czasem przez kilka godzin nie odpowiadała na wiadomości. Nie zwróciła na to uwagi, ale działo się tak chyba w poniedziałki.

Ma przede mną tajemnice, pomyślała urażona.

– Wie pani, dokąd wciąż wyjeżdża? – zapytała.

– Cóż, nam nic nie mówi... Jest bardzo skryta, prawda?

Liam przytaknął mruknięciem.

– Myślałam, że ma to związek z jej chłopakiem.

Carmen była bardziej niż zaskoczona.

– Chłopakiem? Diane ma chłopaka?

– No więc... w każdym razie kilka razy był u niej jakiś mężczyzna. Zostawał też na noc. Ucieszyło mnie to, ze względu na nią...

– To niemożliwe. Powiedziałyby mi o tym!

Starsza pani wyglądała na zaniepokojoną.

– Mam nadzieję, że nie palnęłam nic niestosownego...

Carmen poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w głowę obuchem.

– To po prostu niewiarygodne – szepnęła.

Kiedy wracali szosą, ledwie zdołała zapanować nad nerwami. Były przecież przyjaciółkami. Ona i Diane.

Diane znalazła sobie chłopaka i nie zdradziła się ani słowem?

– Coś tu nie gra! – oznajmiła.

Liam nie uznał tego za rzecz godną uwagi.

– Poznała faceta. Co w tym złego? Chciała zobaczyć, czy coś z tego wyniknie, więc na razie zachowała to tylko dla siebie.

– I ukrywała przed najlepszą przyjaciółką?

– Taka już jest. Bardzo skryta.

Carmen spojrzała na śnieg.

– No tak, ale żeby nic mi nie powiedzieć? O co chodzi z tymi poniedziałkowymi wieczorami?

– Wtedy zapewne widywała się z tym chłopakiem.



- Dlaczego akurat w poniedziałki?
- Nie wiem.
- A gdzie jest teraz?
- Pewnie razem z nim w łóżku. Bzyka się z nim i jest szczęśliwa. Nie żałuj jej.
- Coś tu zwyczajnie nie pasuje. Nie przyszała do pracy.
- Pokazuje ludzki charakter. Więc myślę, że to w porządku.

Carmen ponownie wyjrzała przez okno. Potrząsnęła głową. Liam może sobie mówić, co chce, ale coś tu po prostu nie gra.

- Chwila! - krzyknęła nagle. - Zwolnij!
- Dlaczego?
- Zwolnij. Tam stoi samochód.
- Gdzie?
- Na polnej drodze. Tam z tyłu. Kawałek za parkingiem.

Liam zahamował, auto wpadło w poślizg na zaśnieżonej drodze. Na szczęście nikt przed nimi ani za nimi nie jechał.

- I co? - zapytał rozgniewany.

Carmen przywarła twarzą do przedniej szyby, po której tam i z powrotem ślizgały się wycieraczki.

- To czerwone renault, prawda? Trudno rozpoznać, bo leży na nim gruba warstwa śniegu, ale raczej tak.
- Nie wiem. A jeśli nawet? To pewnie jakiś rolnik. Sprawdza ogrodzenie pastwiska albo coś w tym stylu.

- Diane ma czerwone renault. Jedźmy tam!

Liam mruknął coś pod nosem, nie zabrzmiało to przyjaźnie, mimo to skręcił do zatoki parkingowej. Zatrzymał się jednak na samym jej skraju.

- Dalej nie jadę. A już na pewno nie po tej polnej drodze. Za dużo śniegu, a grunt cholernie grząski. Jeszcze się zakopujemy.

Carmen zdążyła już otworzyć drzwi i wysiąść. Miała na nogach nieodpowiednie na tę aurę buty, ale w ogóle na to nie zważała. Dostrzegła, że skryty pod pierzyną śniegu samochód jest czerwony. Dlaczego wcześniej go nie zauważyli? To przez te wirujące śniegowe płatki, poza tym za pierwszym razem nie rozglądali się po okolicy w takim napięciu jak teraz.

- Nagle ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie.

Zatoka parkingowa graniczyła bezpośrednio z ogrodzonym kamiennym murem pastwiskiem dla owiec, do którego prowadziła duża drewniana brama. Skrajem pastwiska wiodła wąska droga, do której przylegało kolejne pastwisko. Nieco dalej na tej drodze stał samochód.

Z jakiegoś powodu, mimo że po świecie jeździ niezliczona ilość czerwonych renault, Carmen była przekonana, że samochód ten należy do Diane. Nagle zrobiło jej się niedobrze.

Diane nie miała żadnego powodu, by tu zaparkować. Żadnego powodu, który nie oznaczałby czegoś potwornego.

Odwróciła się. Liam pozostał w samochodzie. Jakież to typowe. Nie chciał zamoczyć stóp, nie chciał zmarznąć, tak czy owak uznał, że to nonsens.

Podeszła do auta. Nigdzie nie było widać śladów opon, śnieg zasypał wszystko wokół.

– Diane! – zawołała cicho.

Oczywiście nikt nie odpowiedział.

Śnieg był ciężki, oblepił wszystkie szyby. Carmen podeszła bliżej. Dróżka była wąska, drzwi samochodu dało się otworzyć tylko nieznacznie.

Przetarła szybę od strony kierowcy i z zapartym tchem zajrzała do środka.

Zobaczyła Diane. Siedziała za kierownicą, w pierwszej chwili wydawało się, że odpoczywa – lecz dlaczego się tu zatrzymała? Dlaczego, wnosząc po grubej warstwie śniegu na dachu samochodu, siedziała tu od wielu godzin, bez ogrzewania, na polnej drodze, niknącej gdzieś w oddali na zaśnieżonym horyzoncie?

I wtedy dostrzegła plamy. Czerwone plamy i rozbryzgi. Wszędzie. Na przedniej szybie, na desce rozdzielczej, na siedzeniach, podsufitce... Szarpnęła za klamkę. Dobywająca się z wnętrza pojazdu woń krwi była przytłaczająca. Spojrzała w nieruchome, szeroko otwarte oczy Diane.

– O Boże – sapnęła. – O Boże!

Odwróciła się, krzyknęła w stronę Liama, wzywając pomocy, wrzasnęła tak głośno, że w pobliżu poderwało się do lotu stado ptaków. Liam zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i natychmiast przybiegł. Odepchnął Carmen na bok, zajrzał do wnętrza.

– Kurwa! – mruknął. – Kurwa!

– Liam – jęknęła Carmen.

Wiedziała. Po prostu wiedziała, że stało się coś strasznego. Ale kto mógł coś takiego zrobić? Kto to zrobił?

Liam wyciągnął telefon. Twarz mu pobiadła.

– Natychmiast dzwonię na policję – powiedział.

Anna wiedziała, że Dalina się wścieknie, jeśli sama będzie musiała posprzątać, ale zwyczajnie nie zdołała rano wstać, ubrać się i pojechać do Scarborough. Dzień był zimny i ponury, zaczął nawet prószyć śnieg. Czuła się przygnębiona – jak zawsze o tej porze roku – a do tego dręczyły ją wyrzuty sumienia. Ów widok nie pozwolił jej poprzedniej nocy zasnąć: stojąca na drodze postać, gwałtownie hamujący samochód. Anna miała pewność co do dwóch rzeczy: samochód zatrzymał mężczyzna. A za kierownicą pojazdu siedziała kobieta. Prawdopodobnie Diane Bristow z zajęć kulinarnych.

Dlaczego jednak pozwoliła całkiem obcemu mężczyźnie wsiąść do auta? W ciemności? Na zupełnym pustkowiu?

Dlaczego po chwili jej samochód stał zaparkowany na skraju pastwiska dla owiec?

Powinam była wsiąść i to sprawdzić, pomyślała Anna. Albo znała tego faceta, a wtedy wszystko byłoby w najlepszym porządku i nie miałabym powodu do zmartwień. Albo ta kobieta, kimkolwiek jest, była na tyle szalona, by pozwolić obcemu facetowi wsiąść do swojego auta, przez co znalazła się w poważnych tarapatkach – a wtedy mogłabym jej pomóc.

Chociaż... w obecności kogoś, kto prawdopodobnie był uzbrojony?

Po prostu się bała. Bała się na tej opustoszałej wiejskiej drodze opuścić bezpieczne schronienie swego samochodu i sprawdzić, czy innej kobiecie nie przytrafiło się coś złego. Naprędce nie przyszedł jej do głowy żaden mądry pomysł. Mogła zjechać na parking, zablokować drzwi centralnym zamkiem i uchylić okno. Mogła zawołać. Podjechać bliżej. To przynajmniej zdeorientowałoby ewentualnego sprawcę, pewnie by uciekł. Albo spłoszyłaby tylko parę zakochanych, wtedy pewnie by ją ofuknęli, żeby zostawiła ich w spokoju.

Tym lepiej.

Zamiast tego po prostu pojechała dalej, zabarykadowała się w swoim domu i zagrzebała w łóżku. Próbowała przekonać samą siebie, że wszystko jest w najlepszym porządku i że zamartwia się zupełnie bez powodu. Nie zdołała jednak uciszyć wewnętrznego głosu, który podszeptował jej bezlitośnie, że jest tchórzem.

Nad ranem wreszcie zasnęła, obudziła się dopiero o pół do ósmej. O tej porze już dawno powinna być w siedzibie agencji. Zadzwoiła do Daliny, starając się, by jej głos zabrzmiał jak głos chorej.

– Nie czuję się dobrze. Chyba coś złapałam. Wolałabym dziś zostać w łóżku.

– Wczoraj byłaś w doskonałej formie – odparła Dalina, która spotkała Annę na krótko przed zajęciami kulinarnymi. – Jak możesz być nagle konająca?

Oto i cała Dalina, cyniczna i zادیorna. Anna ani słowem nie wspomniała o tym, że jest konająca.

– Pewnie to jakiś wirus. Mam potworny ból głowy, bolą mnie też kości.

Dalina westchnęła głośno i teatralnie.

– W takim razie to ja będę musiała posprzątać. Mój Boże, a mam całą księgowość na głowie... Myślisz, że wydobrzejesz przed jutrzejszym *speed datingiem*?

– Na pewno. Jeśli teraz wypocznę.

Dalina rozłączyła się bez słowa pożegnania.

Głupia suka, pomyślała Anna, stać cię na zatrudnienie sprzątaczkę. Jak można być takim strasznym skąpiradłem?

Zadzwoniła do Sama, swojego chłopaka, ale ten nie odbierał. Pewnie zajmował się już pierwszym klientem.

Zostawiła mu wiadomość: Jestem w domu. Proszę, oddzwonić.

Zaparzyła kawę, kubek zabrała z sobą do łóżka. Wpatrywała się w wirujące za oknem płatki. Przed oczami wciąż miała samochód stojący na parkingu. I mężczyznę, który nagle pojawił się na drodze. W tej sytuacji każdy kierowca odruchowo by zahamował. Diane (założmy, że Diane) nie zdążyła, rzecz jasna, błyskawicznie zablokować drzwi, przez co mężczyzna mógł je otworzyć szarpnięciem i wepchać się do środka. Anna przypominała sobie, co wówczas pomyślała: dlaczego ona pozwala mu wsiąść do auta?

Jednak im częściej odgrywała w swoim umyśle tę scenę, tym mocniej była przekonana, że jadąca przed nią kobieta z całą pewnością nie wpuściłaby go dobrowolnie do samochodu. Wszystko potoczyło się po prostu zbyt szybko. Potem jednak ruszyła w dalszą drogę. Czy mogła mu się sprzeciwić?

Może miał przy sobie broń. Nóż albo pistolet. Anna nic takiego nie zauważyła, ale wokół panował mrok, a scena rozegrała się w mgnieniu oka.

Zmarzła, choć pod kołdrą było jej przyjemnie ciepło.

Około południa zadzwonił Sam.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Nie powinnaś być teraz w Trouvemoi?

– Powiedziałałam Dalinie, że jestem chora. Sam, naprawdę okropnie się czuję. Myślę, że zrobiłam coś strasznego.

– Niby co takiego? – zapytał Sam spokojnym głosem coacha. Potrafił normalnie rozmawiać, ale kiedy ktoś sugerował, że ma jakiś problem, wtedy inaczej dobierał tembr głosu. Sam prowadził praktykę coachingu w Scarborough. Odruchowo przemieniał się w terapeutę, jeśli ktoś w jego obecności wydawał się zaniepokojony albo roztrzęsiony.

– Właściwie to raczej czegoś nie zrobiłam – wyznała Anna i wybuchnęła płaczem.

W końcu opowiedziała mu o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Na szczęście Sam zachował spokój.

– Można to wyjaśnić na mnóstwo sposobów – zapewnił. – Najbardziej prawdopodobne jest to, że oboje się znali i byli w tym miejscu umówieni.

– Na kompletnym pustkowiu?!

– Z twojego opisu wynika, że działo się to niedaleko za Scarborough. On wyszedł jej naprzeciw, ona zgarnęła go po drodze. Coś w tym stylu.

– To chyba była Diane. Z moich zajęć kulinarnych dla singli.

– Jeśli nawet, to co z tego? Chyba może znać kogoś i zabrać go z sobą!

– Diane prawie nikogo nie zna.

– Ale *prawie* nikogo nie oznacza *zupełnie* nikogo.

– Mam po prostu cholerne przeczucie!

– Posłuchaj – poradził Sam – wsiadaj do auta i przejedź się obok miejsca, w którym wczoraj po raz ostatni widziałas ten samochód. Sprawdź, czy nadal tam stoi.

– A jeśli stoi?

– To skręć w tę zatokę i się rozejrzyj. Nie musisz wysiadać, wystarczy, że popatrzysz. Ale myślę, że już go tam nie będzie.

– Ale to wcale nie znaczy, że nic się nie stało. Facet mógł ją zamordować, a potem odjechać jej autem.

Jej przypuszczenia faktycznie były mocno naciągane. Rodem z jakiegoś filmu albo książki. Albo jak z *Crime Watch*, programu telewizyjnego, w którym poszukuje się przestępców. Tamte historie były jednak prawdziwe. Przystępstwa oczywiście się zdarzały, nieustannie i wszędzie.

– Podejrzewasz, że mogła to być uczestniczka twojego kursu. W takim razie po prostu do niej zadzwoń.

Dlaczego sama na to nie wpadła?

– Tak, zaraz to zrobię.

– Mam kolejnego klienta – oznajmił Sam. – Ale informuj mnie na bieżąco, dobrze?

Anna obiecała, że tak zrobi. Pożegnali się, po czym Anna wyszukała w smartfonie plik z adresami i numerami telefonów uczestników jej zajęć. Wiedziała, że wskazówki Sama do końca jej nie uspokoją. Chyba że zdoła się skontaktować z Diane, a ona ją zapewni, że wczoraj kogoś podwoziła i że nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Poza tym mogło się też okazać, że wcale nie chodziło o Diane, ale o inną kobietę, wówczas jednak nie miałaby żadnego punktu zaczepienia.

Diane podała tylko numer swojej komórki, Anna wystukała go na ekranie. Od razu zgłosiła się poczta głosowa. Anna nagrała wiadomość:

– Witaj, Diane, tu Anna. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku. Martwię się... Proszę, oddzwoń do mnie, dobrze?

Fakt, że Diane nie odebrała, o niczym jeszcze nie świadczył.

Może rzeczywiście powinna sprawdzić to miejsce. Po dłuższym namyśle doszła do wniosku, że niewiele by to przyniosło, ale przynajmniej miałyby poczucie, że nie przesiaduje beczynnym w domu, od czego można tylko zwariować.

Długo stała pod prysznicem, potem ubrała się i wyszła. Śnieg wciąż prószył, świat tonął pod białym kobiercem, horyzont rozmywał się wśród wirujących płatków. Anna miała nadzieję, że jej samochód odpali, i faktycznie – wyjątkowo nie zawiódł. Niełatwo było pokonać szutrową drogę prowadzącą do głównej szosy, koła kilkakrotnie zabuksowały, raz nawet wydawało się, że pojazd się zagrzebie i utknie na dobre. Anna klęła pod nosem, ale w końcu udało jej się wyjechać na jezdnię. Ją także pokrywała warstwa śniegu, niemniej w ciągu dnia przejechało po niej kilka innych samochodów, pozostawiając po sobie ślady.

Wyjście z domu rzeczywiście dobrze Annie zrobiło. Najlepiej, gdyby z samego rana pojechała do Scarborough i tam zajęła się sprzątaniem w siedzibie Trouvemoi. Nie zadręczałaby się całymi godzinami, wyobrażając sobie coraz gorsze sceny. Chyba rzeczywiście była nieco dziecinna. Nazbyt spięta. Rozhisteryzowana...

Zobaczyła to z daleka. Dokładnie w miejscu, w którym znajdowały się zatoka parkingowa, wierzby, droga. Wszędzie widać było policyjne radiowozy. Aż się roilo od ludzi. Właśnie przyjechała laweta. Drogę zamknięto.

Anna poczuła suchość w ustach. Jakby na języku miała kłębek waty.

Na litość boską, co się tam dzieje? Dlaczego akurat w tym miejscu? Policja, karetka, laweta. Czyżby jakaś kolizja? Przypadkiem w tym samym miejscu...

To nie może być przypadek...

Najchętniej by zawróciła i odjechała, ale nie miała możliwości skrętu w bok, a wąska droga oraz warunki atmosferyczne nie pozwalały na wykonanie skomplikowanego manewru. Pojechała więc dalej i zatrzymała się tuż przed taśmą odgradzającą miejsce zdarzenia. Atmosfera wydawała się niesamowita i dziwnie nierzeczywista. Ludzie w coraz gęstszym śniegu przypominali cienie, poruszali się niczym duchy, wydając stłumione odgłosy. Rozproszone światło zastępowały pierwsze oznaki wczesnego zmierzchu.

To jakiś koszmar, pomyślała. Tak to musi wyglądać, gdy człowiek znajdzie się w jego epicentrum.

Do jej samochodu zbliżył się policjant, dopiero po chwili zrozumiała, że polecił jej opuścić szybę. Uruchomiła mechanizm. Przesycony wilgocią chłód zalał wnętrze pojazdu. Policjant nachylił się w jej stronę.

– W tej chwili droga jest zamknięta – oznajmił. – Musi pani zawrócić.

Przełknęła.

– Co się stało? Wypadek?

– Nie mogę udzielić żadnych informacji – powiedział uprzejmie mężczyzna.

Spojrzała w bok. Niewyraźnie dostrzegła czerwony samochód. Nie stał on jednak w zatoce parkingowej, gdzie poprzedniego wieczoru widziała go po raz ostatni, lecz w znacznej od niej odległości, na polnej drodze.

Dlaczego *tam*? Kto go tam zaparkował? Kto późnym wieczorem wjechał samochodem w to miejsce?

To wszystko nie miało sensu.

– Tyłu policjantów... – usłyszała własny głos. – Stało się coś strasznego, prawda?

– Muszę panią prosić o zawrócenie – powiedział funkcjonariusz. – Do manewru może pani wykorzystać róg zatoki, powinno się udać.

Anna zrozumiała, że niczego się nie dowie. Chyba że napomknie, iż poprzedniego wieczoru coś zauważyła. Wtedy na pewno niezwłocznie wezwą śledczego, zostanie przesłuchana, powiedzą jej, co się stało. Przez ułamek sekundy poczuła potrzebę zwierzenia się temu miłemu młodemu policjantowi, ale zaraz potem pragnienie to się rozwiało.

A pani zwyczajnie pojechała dalej i położyła się spać? – zapytałby inspektor. Widząc, jak jakiś mężczyzna w środku nocy dosłownie porywa samochód kobiety, pani nie reaguje? Nawet nie powiadamia policji?

Musi odczekać i wszystko przemyśleć. I tak nic teraz nie wskóra.

Wykonała skomplikowany manewr skrętu na śliskiej szosie, po czym ruszyła z powrotem do domu. Sam sądził, że po tej wycieczce będzie spokojniejsza, ale stało się wręcz odwrotnie. Była roztrzęsiona i zrozpaczona.

Dwukrotnie się zatrzymała i próbowała dodzwonić się do Diane.

Młoda kobieta nie odpowiadała.

## 5

– Diane Bristow – powiedziała Pamela – lat dwadzieścia pięć. Mieszka w Harwood Dale.

Pamela i Kate stały w gabinecie szefowej, przemarznięte i w mokrym obuwiu, gdyż ponad godzinę brodziły po zaśnieżonej wiejskiej drodze między Scarborough a Harwood Dale. Kate marzyła o zmianie wilgotnych rajstop, ale musiała z tym poczekać aż do wieczora. Zajmowały się sprawą morderstwa i na razie nie miały żadnych tropów. Samochód zaparkowany na polnej drodze, w środku ciało kobiety. Zabita osiemnastoma pchnięciami nożem, w losowych miejscach na całym tułowiu. Jeden z ciosów trafił w szyję i przerwał tętnicę, co według wstępnych ustaleń koronera

było bezpośrednią przyczyną zgonu. Pozostałe obrażenia nie wydawały się zbyt głębokie, ale istniała możliwość, że uszkodzone zostały organy wewnętrzne. Wykaże to dopiero autopsja.

O znalezieniu ciała poinformowała młoda para, Carmen Rodriguez i jej chłopak Liam Elliott. Carmen pracowała z Diane jako pokojówka w hotelu Crown Spa, tego ranka zaniepokoiła ją nieobecność koleżanki, która nikogo nie powiadomiła.

– To do niej zupełnie niepodobne – wyznała. – Było to na tyle nietypowe, że od razu zapaliła mi się czerwona lampka.

Koroner wstępnie oszacował, że zgon nastąpił pomiędzy godziną ósmą a jedenastą poprzedniego wieczoru. Według słów Carmen Rodriguez Diane zakończyła swoją zmianę w hotelu zeszłego dnia w południe. Oznaczało to, że wieczorem ponownie musiała wyjść z domu. Carmen przekazała uzyskaną od jego właścicieli informację, że Diane wychodziła w każdy poniedziałek wieczorem. I że niedawno w jej życiu pojawił się mężczyzna.

– Ale ona nie miała chłopaka. Przecieżby mi o tym powiedziała.

– Brat? Kuzyn? Znajomy?

– Cóż, ona nie ma rodzeństwa – odparła Carmen. Młoda kobieta była blada jak płótno i pozostawała w szoku, toteż Pamela powstrzymała się od dalszego przesłuchania i odesłała ją na razie do domu. Wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć.

– Czegoś tak potwornego jeszcze nigdy nie widziałam – powtarzała w kółko. – Coś strasznego!

– Musimy porozmawiać z pracownikami Crown Spa – oznajmiła Pamela. – I z właścicielami domu. Ważne, by się dowiedzieć, gdzie Diane Bristow spędziła wczorajszy wieczór.

W samochodzie nie znaleźli niczego, co pozwoliłoby wyciągnąć jakieś wnioski. Żadnych toreb z zakupami, żadnych biletów do kina, nic.

– Utrzymywała regularne kontakty z jakimś mężczyzną – stwierdziła Kate. – Pewnie go odwiedzała. W każdy poniedziałek.

– A jej przyjaciółka nie miała o tym pojęcia?

Kate wzruszyła ramionami.

– Niektórych rzeczy nie mówi się nawet najlepszej przyjaciółce. Choćby uważała, że o wszystkim wie. Istnieją również jednostronne relacje zaufania.

– Hm – mruknęła Pamela. – Musimy znaleźć tego mężczyznę. Podejrzewam, że jest kluczem do rozwiązania tej sprawy.

– Zastanawia mnie miejsce, w którym stał zaparkowany samochód – powiedziała Kate. – Wczoraj wieczorem jeszcze nie prószyno, ale przez ostatnie dni napadało sporo



deszczu. Droga to jedna wielka kałuża błota. Nie wjeżdża się na nią dobrowolnie. Zwłaszcza że donikąd nie prowadzi.

– Uważa pani, że niełatwo też z niej zjechać?

– Te drogi są o tej porze roku zdradliwe, chyba że ma się jeepa albo terenówkę. Albo traktor. Diane Bristow mieszka tutaj. Zapewne o tym wie.

– Gdyby chciała się po prostu zatrzymać, na przykład by zatelefonować, zaparkowałyby w zatoce.

– No właśnie. Nie ma powodu, by wjeżdzać w błoto, ryzykując, że się utknie. A propos telefonowania: ani w samochodzie, ani w pobliżu nie znaleziono komórki. W dzisiejszych czasach nikt bez niej nie podróżuje. Morderca prawdopodobnie zabrał ją z sobą i gdzieś się jej pozbył. Bo można w niej było znaleźć jakieś wskazówki? Bo Diane go – albo ją – znała?

– Jest wieczór, od wielu godzin panuje mrok, a w okolicy niczego nie ma – rozważała Pamela. – Jak mogła spotkać tam mordercę?

– Siedział już w samochodzie?

– Może łączył ich jakiś związek?

– To właśnie miałam na myśli, mówiąc o brakującej komórce.

Pamela sięgnęła po płaszcz. Był mokry od śniegu, wełna pachniała wilgocią.

– Jadę do hotelu. Pani uda się do właścicieli domu. Potrzebujemy informacji o Diane Bristow i musimy się dowiedzieć, gdzie się podziewała ostatniej nocy.

Pół godziny później Kate siedziała w salonie małżeństwa Fowlerów, starając się wydobyć od dwójki zszokowanych staruszków jakiegokolwiek przydatne informacje. Pokój był niemiłosiernie przegrzany i zagracony meblami. Po krótkim czasie Kate miała wrażenie, że powoli, ale nieuchronnie się tam udusi. Fowlerowie, jak szybko się zorientowała, niewiele wiedzieli o kobiecie, z którą dzielili dom, opisywali ją jako powściągliwego i zamkniętego w sobie odludka.

– Czasem odwiedzała ją przyjaciółka – powiedziała pani Fowler. – Ta Hiszpanka.

– Carmen Rodriguez?

– Tak.

– Panna Rodriguez mówiła, że wspominała pani o mężczyźnie, który często odwiedzał Diane?

– Tak, był taki. Ale dopiero od niedawna.

– A w przybliżeniu? Od kiedy?

Pani Fowler się zamyśliła.

– Chyba od połowy listopada.

– Wie pani, jak on się nazywa?

– Nie. Niestety, nigdy nam go nie przedstawiła.

- Jej przyjaciółka Carmen nie miała o nim pojęcia.
- Wcale mnie to nie dziwi – odparła pani Fowler. – Diane taka już jest. – Poprawiła się: – Taka była Diane. Nic o sobie nie mówiła. Bardzo dziwna kobieta. Ale ją lubiłam. Taka cicha i skromna.
- Jak wyglądał ten mężczyzna? Wiek, wzrost, kolor włosów?
- Uderzająco wysoki – powiedział pan Fowler. Dopiero po raz drugi włączył się do rozmowy. – Co najmniej metr dziewięćdziesiąt. A nawet wyższy.
- Szczupły – dodała jego żona. – Ale silny. Gęste, ciemne włosy.
- Wiek? – indagowała Kate.
- Po trzydziestce? Chyba tak.
- A zatem jakieś dziesięć lat starszy od Diane?
- Tak. Mniej więcej.
- I miała pani wrażenie, że tworzyli parę? A może był to raczej jej daleki znajomy albo krewny?
- Nie, na pewno mieli romans. Tak sędzę. Kilka razy widziałam ich, gdy wychodzili z domu. Objął ją ramieniem, próbował pocałować...
- *Próbował?*
- Cóż... W każdym razie wyglądało to tak, jakby to on inicjował pieszczoty. I jakby... ona nie była tym zachwycona. Zawsze odwracała głowę...
- Sporo się napatrzyłaś – zauważył ze zdumieniem pan Fowler. Jego żona lekko się zarumieniła.
- Wcale ich nie szpiegowałam, naprawdę. Ale kiedy jestem w kuchni, patrzę na ścieżkę prowadzącą od drzwi na parking, i często ich tam widywałam.
- Czy odniosła pani wrażenie, że coś między nimi nie gra? – zapytała Kate. – Że Diane znalazła się pod presją?
- Nie wiem... Myślałam, że ona taka już jest. Nieśmiała. Sądziłam, że się wstydzi, gdy on całuje ją na ulicy, a inni na nich patrzą. Na przykład ja albo mój mąż.
- Rozumiem. Poza tym nie pamięta pani nic, co mogłoby wydawać się dziwne? Albo niepokojące? Może... głośna kłótnia?
- Nie. Nie zachowywali się głośno. Tylko...
- Tak?
- Pyta pani, czy zauważyłam coś niezwykłego: parę razy pomyślałam, że to dziwne, że ona wcale nie wygląda na... szczęśliwą. Rozpromienioną. Mniej introwertyczną. Wie pani, mieszka u nas od czterech lat, a w jej życiu nie było nikogo. I nagle znajduje sobie przystojnego chłopaka, który wydaje się w niej zakochany, a ona wcale się nie zmienia. Właściwie to wydawała się...
- Tak?

– Jeszcze mniej odprężona niż wcześniej. Jeszcze bardziej zamknięta w sobie. Zamyślona... Nie przypominała osoby, która właśnie się zakochała.

– Diane nie wyglądała na szczęśliwą?

– Sama nie wiem. Może w jej życiu było coś jeszcze, co ją trapiło.

– Ale ten jej stan... kiedy zdawała się jeszcze mniej pogodna niż wcześniej... zaczął się wraz z pojawieniem się tego mężczyzny?

– Tak. Można tak powiedzieć. O ile znamy moment, w którym on się zjawił w jej życiu.

– To ważna informacja – przyznała Kate. Rzeczywiście, fakt, iż Diane związała się z facetem, który mógł sprawić, że poczuła się nieswojo, a może nawet wzbudzić w niej lęk, mógł mieć jakiś związek z jej morderstwem, niemniej dopóki nie dysponowali żadnymi wskazówkami dotyczącymi jego tożsamości, wciąż dreptali w miejscu. Dlaczego Diane nigdy nie wspomniała o tym mężczyźnie nawet swojej przyjaciółce i koleżance z pracy?

Bo w ogóle o sobie nie mówiła?

Czy może dlatego, że z tym mężczyzną było coś nie tak?

– Wie pani może, gdzie Diane Bristow przebywała wczoraj wieczorem? – zapytała Kate. – Swój dyżur w hotelu zakończyła w południe.

– Tak, wróciła wtedy do domu – potwierdziła pani Fowler. – Widziałam, jak wchodziła do swojego mieszkania.

– Czy wie pani, kiedy je ponownie opuściła?

– Tak. Około pół do siódmej. Siedziałam w salonie, ale jej nie widziałam. Słyszałam tylko, jak schodzi po schodach, a potem uruchamia silnik samochodu. Ale tak się działo w każdy poniedziałek.

– Wspominała już pani o tym panie Rodriguez. Od kiedy Diane Bristow wychodziła w każdy poniedziałkowy wieczór?

– Od początku listopada. Tak sądzę.

– A od połowy listopada pojawił się ten chłopak. Przynajmniej o ile pani wiadomo.

– Tak.

– Ale nie ma pani pojęcia, dokąd wyjeżdżała?

– Obawiam się, że nie. Nic nam nie mówiła.

Kate wiedziała, że sama uchodzi za osobę nader skrytą i że to po części dlatego tak często czuje się odtrącona, ale przy tej Diane mogłaby uchodzić za istną gadułę.

– Zawsze wyjeżdżała sama? – chciała się upewnić.

– No cóż, wczoraj jej nie widziałam. Ale myślę, że popołudniami była sama. I sama też raczej wychodziła.

– Kiedy zazwyczaj wracała?

– Około pół do jedenastej, kwadrans przed jedenastą.  
– Czy zauważyła pani wczoraj, że nie wróciła?  
– Owszem. Słyszemy, kiedy wraca. Skrzypi podłoga, słysząc też szum wody. Wczoraj było cicho, a dziś rano zauważyłam, że nie ma jej samochodu.

– Martwiła się pani? Czy może Diane czasem nie wracała na noc?

Pani Fowler się zamyśliła.

– Bardzo rzadko przebywała poza domem. Trzy, może cztery razy przez te wszystkie lata. Kiedy ją o to pytałam, odpowiadała, że nocowała u swojej przyjaciółki Carmen. Dlatego też pomyślałam, że wczoraj było podobnie. Albo spała u swojego chłopaka.

– Dobrze. – Kate wstała. – Chciałabym jeszcze obejrzyć mieszkanie Diane. Ma pani klucz?

– Oczywiście! – Pani Fowler ochoczo zerwała się z miejsca. Cała ta sytuacja ją zelektryzowała. Fowlerowie byli wyraźnie zszokowani, zarazem jednak wydarzenie to wyrwało ich z kompletnej pustki ich codziennego życia. Kate domyśliła się, że treść ich rozmowy zostanie szczegółowo zrelacjonowana wszystkim znajomym pani Fowler.

Na piętro dotarli po wąskich, stromych schodach. W pierwszej chwili mieszkanie zdawało się zdradzać równie mało jak jego lokatorka. Pierwotnie musiały się tu mieścić dwa pokoje oraz łazienka, dość małe i ciasne ze względu na stromiznę dachu. W jednym z pokoi Fowlerowie urządzili maleńką kuchnię, która zdawała się pełnić również funkcję salonu i jadalni. W drugim stały łóżko Diane oraz biurko. Ubrania wisiały za zasłoną, którą odgrodziła przestrzeń pod pochyłością dachu, tworząc garderobę. Prawdziwej szafy nie sposób było wstawić.

Trzeba mieć tupet, żeby oferować to miejsce jako mieszkanie, pomyślała Kate.

A jednak chętna się znalazła.

– Czyż nie jest tu ładnie? – zapytała z dumą pani Fowler.

Można tu popaść w depresję, uznała Kate, ale nie powiedziała tego na głos. Włożyła rękawiczki, rozejrzała się dokoła, podniosła kilka czasopism, otworzyła szuflady. Nie znalazła żadnych przydatnych wskazówek. Lokum zostanie jeszcze dokładnie przeszukane, niemniej brakowało nowych tropów. Ani śladu telefonu komórkowego.

– Co teraz będzie z umową najmu? – zapytała pani Fowler.

– Tego nie potrafię powiedzieć – odparła Kate. – Możliwe, że zajmie się nią następca prawny, ale nie ma co do tego żadnej pewności.

Nikt, kto miałby jakąkolwiek inną możliwość, tutaj by się nie wprowadził, pomyślała.

– W każdym razie mieszkanie musi zostać zbadane przez specjalistów od kryminalistyki. Na razie nie wolno pani tu wchodzić ani niczego zmieniać.

Wyraz twarzy pani Fowler zdradzał, że uznała te słowa za bezczelność, ale nie śmiała zaoponować.

– Wie pani może, czy Diane ma jakichś żyjących krewnych? – zapytała Kate. – Rodziców albo rodzeństwo?

– Rodzeństwa nie ma – odparła pani Fowler. – Ale chyba wspominała o matce. Czasem ją odwiedzała. W Whitby.

Kate westchnęła bezgłośnie. Matka. Trzeba jej będzie przekazać wiadomość o śmierci córki. Nie tylko o jej śmierci: o okrutnym morderstwie. Zaszlachtowana we własnym samochodzie, nocą, na wiejskiej drodze. W przedświątecznym tygodniu.

Kate miała nadzieję, że zajmie się tym Pamela. I to szybko, zanim w prasie pojawią się pierwsze doniesienia. Kobieta, która właśnie straciła jedyne dziecko, nie powinna się o tym dowiedzieć z gazet.

Pożegnała się z Fowlerami i z samochodu zadzwoniła do biura z prośbą o szybkie wysłanie do mieszkania Diane ekipy od zabezpieczenia śladów. Nie ufała Fowlerom. Powodowana ciekawością pani Fowler na pewno chętnie pogrzebałaby w rzeczach Diane.

Należało też wykonać portret pamięciowy. Koniecznie potrzebowali wizerunku tajemniczego przyjaciela, który pojawił się w życiu Diane, choć zdawał się właśnie tym: jedynie tajemnicą.

Ledwie skończyła rozmawiać, zadzwoniła Pamela. W hotelu Crown Spa nie zdobyła żadnych istotnych informacji, choć od niektórych współpracowników usłyszała, że Diane była nader nieszczęśliwa. Nienawidziła swojej pracy pokojówki i często wspominała o tym, że chciałyby znaleźć sobie coś innego. Uznawano ją za osobę rzetelną i skromną.

– Jedziemy do jej matki, do Whitby – oznajmiła Pamela. – Jest ze mną sierżant Bennett.

Sierżant śledcza Helen Bennett odbyła dodatkowe szkolenie jako policyjny psycholog. Będzie musiała złagodzić początkowy szok oraz potworny ból pani Bristow.

– Jeśli będzie ją można przesłuchać – zaznaczyła Kate – to proszę ją zapytać o tajemniczego chłopaka, którego Diane poznała w połowie listopada. A także o poniedziałkowe wieczory.

Pamela westchnęła.

– Może matka coś wie. Komuś ta Diane musiała się zwierzyć. Odezwe się.

Kate uruchomiła silnik i przez zapadający z wolna wczesnozimowy mrok ruszyła w kierunku swojego domu. Rozmyślała o Diane Bristow. Jakaż samotność emanowała z tej martwej kobiety. W jej życiu pojawiali się ludzie, ale najwyraźniej nie potrafiła

się do nich zbliżyć. Jej mieszkanie, jej życie, wszystko, co mówili o niej inni, było przesiąknięte samotnością, niby ciężkim, nieprzyjemnym zapachem, który roznosił się wszędzie i wszystko przenikał.

Nie mogę pozwolić, żeby to mną zawładnęło, pomyślała Kate, miała jednak wrażenie, jakby już zaczynała się z nią identyfikować. Smutek, który emanował z minionego życia Diane, przypominał jej własny. To nie było dobre, ciągnęło ją w dół i mogło wpłynąć na obiektywizm, z jakim musiała analizować każdą sprawę.

Nie zmieniało to jednak faktu, że wracała do domu w to przedświąteczne popołudnie, że poza kotem nikt tam na nią nie czekał, a do drzwi już pukało to okropne święto oraz, co gorsza, przełom roku. Noworoczna depresja przewyższała tę bożonarodzeniową.

A potem nadejdzie styczeń.

Czas, pomyślała, najwyższy czas, żeby coś się w moim życiu zmieniło.

Śnieg nadal prószył beznamiętnie i z niesłabnącą siłą.

Dlaczego rodzice pozwolili mi tak utyć? Już w dzieciństwie. Byłem jedynakiem i na pewno chcieli jak najlepiej, ale niestety, zwłaszcza mama nie potrafiła mi niczego odmówić i zdecydowanie zbyt często ulegała moim nieustającym prośbom o słodkie i tłuste potrawy z fast foodów.

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, miałem już okrągłą mopsowatą twarz i wydatny podwójny podbródek, a moje grube nogi wyginały się w kolanach na zewnątrz, bo musiały dźwigać zbyt duży ciężar. Nie nosiłem džinsów, krótkich spodenek ani fajnych bluz z kapturem jak inni chłopcy z klasy, tylko rozciągliwe spodnie dresowe oraz swetry, które dziergała moja babcia. Miały okropne kolory i wzory – babci brakowało gustu – a ich jedyną zaletą był duży rozmiar i dlatego bez problemu się w nich mieściłem. Swetry wyglądały potwornie i tak strasznie drapały, że całą zimę się modliłem, żeby wreszcie nadeszło lato, bo wtedy nie musiałbym ich już wkładać. Latem nosiłem koszulki wielkości worków na śmieci, ale przynajmniej nie wyglądałem tak absurdalnie jak zimą. Błagałem mamę, żeby kupowała mi bluzy, choćby w rozmiarze XXL, bo lepsze to niż te dziergane monstra, ale zawsze słyszałem, że babcia się obrazi, że była smutna po śmierci dziadka, a do tego miała tę straszną astmę, więc nie możemy sprawiać jej dodatkowych przykrości. I powinienem się cieszyć, że mam tak niezwykle i wyjątkowe ubrania.

Wyjątkowe!

Dziecko, które przez swoją otyłość stale rzuca się w oczy, i jeszcze nosi swetry z anilany, do tego w krzykliwych kolorach... Wyglądałem groteskowo, po prostu groteskowo. Byłem zdesperowany.

Czy muszę wspominać, że mobbing zaczął się już w pierwszej klasie?

Dzieci potrafią być bezlitosne, wszyscy to wiemy. Jeśli ktoś jest inny, jeśli ktoś nie wpisuje się w powszechny wizerunek, a do tego jest słaby i bezradny – rozbudza każdy odruch okrucieństwa drzemiący w małych mózgach. Smarkacze chcą kogoś, na kim mogą się wyżyć, wobec kogo mogą poczuć się silni – i w niemal każdej klasie ktoś taki się znajdzie. Ktoś, kto ma biedniejszych rodziców i dlatego nosi mało odjazdowe ubrania. Kto się jąka, sepleni albo wciąż się rumieni. Kto żyje w zaniedbaniu, nie ma co jeść na śniadanie i brzydko pachnie, bo nikt w domu nie dba o higienę. Wszystko to nie wzbudza w dzieciach współczucia, a jedynie nienawiść, pogardę oraz prymitywną chęć dręczenia.

Nie ma lepszego kandydata niż gruby chłopak, który sapie i się poci, wystarczy, że musi przejść przez szkolne podwórko.

Oczywiście nazywali mnie Tłusciochem. Ochrzczono mnie tak w podstawówce – i tak już zostało. W szkole średniej od początku zwracano się do mnie w ten sposób. Wydaje się, że to uniwersalne imię dla takich dzieci jak ja. W którymś momencie zdałem sobie sprawę, że się go nie pozbędę. Ani imienia, ani złośliwości ze strony rówieśników.

Poszedłem do szkolnej psycholożki, ponieważ nie mogłem już zasnąć i płakałem nad ranem, gdy trzeba było iść do szkoły. Pani była miła, ale raczej bezradna. Próbowwała wzmocnić we mnie pewność siebie, lecz w rzeczywistości nie miałem nic, czym mógłbym zrównoważyć poczucie, że jestem kompletnym nieudacznikiem. Bądź co bądź nie miałem się czym wykazać prócz moich zbędnych kilogramów. W szkole dostawałem niezłe stopnie, ale to jakoś się nie liczyło.

W końcu psycholożka – nader sprytnie – stwierdziła, że jedynym sposobem, abym poczuł się szczęśliwszy, jest schudnięcie.

– Niby jak mam to zrobić? – spytałem zakłopotany.

Opracowała wraz ze mną plan żywieniowy, z całą pewnością rozsądny, bo zawierał dużo warzyw i owoców oraz niemal całkowicie eliminował węglowodany i słodycze. Nie wytrzymałem rzecz jasna nawet tygodnia. Nie potrafiłem przeżyć jednego dnia bez jedzenia, a właściwie bez nadmiernego obżarstwa, bez czekolady. Od mamy, choć była zdeterminowana skrupulatnie trzymać się tego planu, zawsze zdołałem wysepić coś słodkiego. Litowała się nade mną, nie mogła znieść moich łez.

Nie potrafiłem się bronić przed kolegami z klasy, narastająca we mnie złość przemieniała się w coraz większą i masywniejszą grudę, o której czasem myślałem, że to właśnie ona czyni mnie tak ociężałym i grubym.

Ciężka gruda gniewu. Bezsilność, z jaką musiałem znosić upokorzenia. Tkwiałem w tym grubym cielsku i w tych ohydnych syntetycznych sweterkach, a nienawiść pęczniała we mnie z każdym dniem.

Miałem jedenaście lat, gdy zabiłem swoją babcię.



# Środa, 18 grudnia

## 1

Następnego ranka „Yorkshire Post” poinformowała o morderstwie i podała nawet, a przynajmniej zasugerowała, tożsamość ofiary. Przerazającą zbrodnię popełniono na dwudziestopięcioletniej Diane B.

Liczbę ran kłutych powiększono z osiemnastu do trzydziestu ośmiu. Ponadto gazeta spekulowała na temat tajemniczego nieznanego, z którym Diane jakoby się spotykała w ostatnich tygodniach.

*Czy młoda kobieta sypiała ze swoim mordercą?* – zapytywano w jednym z nagłówków, by w następnym akapicie zarzucić Diane rzekome prowadzenie niebezpiecznego podwójnego życia.

Pamela ze złości cisnęła gazetę w kąt.

– Te idiotyczne spekulacje! I skąd, do cholery, wzięli te informacje? Imię? Okoliczności? Chłopaka, którego nikt nie zna?

Siedziały w gabinecie Pameli. Kate pojawiła się tego ranka piętnaście minut wcześniej niż zwykle, a i tak nie zdążyła przed swoją przełożoną.

Czy ona tu sypia? – zastanawiała się poirytowana.

Obecna była również sierżant Helen Bennett, policyjna psycholożka. Wyglądała tak, jakby niewiele albo kiepsko spała. Kate domyśliła się, że poinformowanie starszej pani Bristow o śmierci córki nie należało do przyjemności. Helen wciąż musiała to robić, choć tak naprawdę, jak kiedyś zwierzyła się Kate, nigdy nie zdołała do tego przywyknąć.

– Podejrzewam – wyznała teraz – że źródłem przecieku byli koledzy z hotelu. Carmen Rodriguez prawdopodobnie przez całe wczorajsze popołudnie nic tylko wydzwaniała do wszystkich znajomych i opowiadała im na gorąco o tym strasznym wydarzeniu. Ktoś poszedł z tym do prasy, bo kogoś pewnie zna. A że tam bezlitośnie koloryzują, wiemy nie od dziś.

– Że też nie potrafią sobie wyobrazić, jak się czuje rodzina – powiedziała Pamela. – I jeszcze ta nieprawdziwa liczba ciosów nożem. Niebezpieczne podwójne życie. Kompletnie nic ich nie obchodzi.

– Z wyjątkiem nakładu – odparła Kate. Ją także irytowała reakcja prasy, starała się jednak przywrócić rozmowie rzeczowy ton. – I co mamy? Co przyniosła rozmowa z matką?

– Niestety, niewiele – przyznała Pamela. – O chłopaku nic nie wiedziała, nie potrafiła też powiedzieć, dokąd córka wychodziła w poniedziałkowe wieczory. Diane często ją odwiedzała w niedzielne popołudnia, ale przy kawie mało o sobie mówiła. Jedynie o błahostkach z pracy.

– Ojciec już nie żyje?

– Zmarł wiele lat temu. Diane nie ma żadnych krewnych.

Kate uzmysłowiła sobie, że podobnie potoczyłaby się rozmowa, gdyby sama padła ofiarą przestępstwa i to jej zwłoki znaleziono by któregoś dnia w aucie na wiejskiej drodze. Rodzice nie żyją. Brak rodzeństwa. Bez męża, bez dzieci. Żadnych krewnych.

W jej przypadku prasa nie byłaby nawet w stanie skonstatować prowadzenia niebezpiecznego podwójnego życia. Byłaby jeszcze mniej zajmującą martwą kobietą niż Diane B.

Zabójczo nudną, można by powiedzieć.

– Nie pozostaje nam nic innego – kontynuowała Pamela – jak tylko ponownie przesłuchać wszystkich pracowników Crown Spa. Nie podejrzewam, by ów znajomy pochodził z tego kręgu, pewnie już byśmy o tym wiedzieli. Ale może ktoś coś wie. Może widział ją gdzieś z tym facetem... Scarborough nie jest aż takie duże, żeby pozostać kompletnie niezauważonym.

– Chyba że ktoś praktycznie w ogóle nie rusza się z domu – zauważyła Kate.

– Poniedziałkowe wieczory – odparła Helen. – Przynajmniej wtedy wychodziła do miasta.

– Wygląda na to, że właściciele mieszkania jako jedyni widzieli tego chłopaka – stwierdziła Pamela. – Czy dostaniemy portret pamięciowy?

– Już nad nim pracują – poinformowała Kate. – A mieszkanie zostało wczoraj zbadane pod kątem pozostawionych śladów. Jak na razie nic istotnego nie znaleziono. Mamy laptop, ale jeszcze nie został w pełni sprawdzony.

– Dziś po południu powinnam dostać wyniki autopsji – dodała Pamela. – Choć i po nich nie spodziewam się żadnej sensacji, trzeba zachować nadzieję.

Spojrzały po sobie.

– Jakieś wieści o zbiegłej opiekunce geriatrycznej? – zapytała Pamela.

Kate potrząsnęła głową.

– Córka zmarłej kobiety wariuje. Może się zrobić nieprzyjemnie, jeśli wkrótce nie dokonamy aresztowania.

– Mila Henderson może być wszędzie. Oczywiście ta kobieta musi zostać pociągnięta do odpowiedzialności, ale najprawdopodobniej rzeczywiście mamy do czynienia z zaniedbaniem. Natomiast sprawa Diane Bristow...

– Obstawiam zabójstwo z miłości – wtrąciła Helen. – Sierżant Linville już mówiła, że zdaniem właścicieli mieszkania Diane nie wydawała się zachwycona swoim chłopakiem. Może z nim zerwała. A on nie mógł się z tym pogodzić.

– A zatem – podsumowała Pamela – pozostaje nam znaleźć tego faceta. W każdym razie musimy poznać jego tożsamość. To on jest tu kluczem.

## 2

Annę obudził natrętny dźwięk telefonu komórkowego. Zaspana uniosła głowę. Za oknem zaczął się nowy dzień, śnieg przestał sypać.

Sięgnęła po leżący przy łóżku telefon. Było prawie pół do dziewiątej, dzwoniła jej szefowa Dalina. Anna miała po południu pokierować *speed datingiem* i o godzinie drugiej musiała stawić się w firmie, jak Dalina nazywała swoją agencję. Nie było powodu wydzwaniać o tej porze. Dalina zapewne chciała sprawdzić, czy wydobrzała.

– Halo – odebrała. Jej głos zabrzmiał chrapliwie i sennie.

Dalina natomiast była w pełni rozbudzona.

– Nadal leżysz w łóżku? Pewnie nie czytałaś jeszcze gazety?

– Nie. Co tam?

– Stało się coś niewiarygodnego. Diane Bristow z twojego kursu...

– Tak? – Anna usiadła, wyprostowała się. Zaczęła marznąć. – Co z nią?

– Nie żyje. Zamordowana.

– Co takiego?

– W gazecie nazywają ją Diane B., lat dwadzieścia pięć. Mieszka w Harwood Dale. To musi być ona.

– Tak... tak, to ona. – Annie zrobiło się niedobrze. – Kiedy to się stało? – zapytała, choć znała odpowiedź.

– Prawdopodobnie przedwczoraj późnym wieczorem. Na wiejskiej drodze przy szosie do Harwood Dale. Stał tam jej samochód, a ona siedziała w środku. Zabita trzydziestoma ośmioma pchnięciami nożem!

– Czy coś... czy coś wiadomo o sprawcy? – Anna uświadomiła sobie, że jej głos brzmi przedziwnie.

– Gazeta twierdzi, że policja szuka po omacku.

– Dlaczego zatrzymała się na polnej drodze? – Wydało jej się to nedorzeczne. Może istniało jakieś wyjaśnienie.

– To właśnie najdziwniejsze. Błotnista ścieżka. Dlaczego na nią wjechała? Może musiała siusiu? Ale w pięć minut dotarłaby do domu. I dlaczego ktoś włóczy się po

okolicy, napada na kobiety i je... zarzyna?

Anna miała na końcu języka, że ten facet siedział w samochodzie i pewnie zmusił ją, by się tam zatrzymała. Nic jednak nie powiedziała. Nie chciała się zwierzać Dalinie. Dalina była taka silna. Nie zrozumiałaby tchórzostwa Anny.

– Według gazety jest tam zatoka parkingowa – wyjaśniła Dalina. – Ale ona zatrzymała się na polnej drodze.

Próba ucieczki? Jakimś sposobem udało jej się wypchnąć faceta z samochodu, ale zdjęta paniką ruszyła w złym kierunku. Utknęła. Szybko ją dogonił. Wściekły i bezwzględny.

O Boże, pomyślała Anna, o Boże!

– Doszłam do wniosku – oznajmiła Dalina – że to musiało się stać po zajęciach z gotowania. Uczestniczyła w nich, prawda?

– Tak – potwierdziła Anna. Wyraźnie ujrzała przed sobą Diane. Była cicha, jak zawsze. I pomocna. Najbardziej pracowita ze wszystkich, pomogła nakryć stół i posprzątać. Niewiele mówiła. Skupiona na gotowaniu.

A teraz była martwa.

To zupełnie niewyobrażalne.

– Jeździecie do domu prawie tą samą drogą – ciągnęła Dalina – ale ty nic nie widziałaś?

– Nie. Nic.

Widziałam, jak mężczyzna zmusza ją, by się zatrzymała. Jak wsiada do jej auta. Potem zobaczyłam samochód zaparkowany w zatoce. Miałam złe przeczucia. Ale pojechałam dalej, a w domu poszłam do łóżka, niczym się nie przejmując.

– Wiesz – odezwała się Dalina – pomyślałam, czy nie powinniśmy zgłosić się na policję i powiedzieć, że Diane była tego wieczoru na naszym kursie, ale ostatecznie... co by to dało? Nie mamy nic, co pomogłoby w śledztwie, za to musiałybyśmy odpowiedzieć na mnóstwo pytań, a do tego trafiłybyśmy jeszcze do gazet. Dziennikarze czatowaliby na nas, a firma pojawiłaby się w mediach w niekorzystnym kontekście. Co o tym sądzisz?

Nic tak nie przerażało Anny, jak perspektywa pójścia na policję.

– Też tak uważam – przytaknęła.

– Wiem, co kręci dziennikarzy – kontynuowała Dalina. – Lubią koloryzować. Z pewnością jeden albo drugi zacząłby spekulować, czy Diane poznała swojego zabójcę podczas randki. Czytaj: w mojej firmie. Byłaby to bardzo niefortunna reklama.

– No więc... na pewno nie był to nikt z moich zajęć – stwierdziła Anna. Była o tym święcie przekonana: po pierwsze, żaden z kursantów nie wyglądał na mordercę – choć

oczywiście pozostawało pytanie, jak wygląda morderca, który trzydzieści osiem razy dźgnął w napadzie szału swoją ofiarę. Jak kogoś takiego w ogóle można rozpoznać?

Co więcej, na własne oczy widziała sprawcę. Zwróciła uwagę na jego niezwykły wzrost i barczystą sylwetkę. A taką fizjonomią nie wyróżniał się żaden z męskich uczestników jej kursu.

Z tego względu, uspokajała samą siebie, naprawdę nic by nie dało, gdybym moje spostrzeżenia zgłosiła policji.

– Czy czujesz się już lepiej? – zapytała Dalina. – Poprowadzisz dzisiejszy popołudniowy *speed dating*?

Anna wcale nie czuła się dobrze i najchętniej zostałaby w łóżku, ale wiedziała, że Dalina urwie jej głowę, jeśli nadal będzie udawać chorą.

Jęknęła cicho.

– Tak. Przyjdę. Ale to wszystko naprawdę mnie zdołowało.

– Nic nie poradzisz. No dalej, zbieraj się. Siedzeniem w domu tylko pogarszasz sprawę – powiedziała Dalina.

Zakończyły rozmowę. Po chwili ponownie zabrzączał telefon. Tym razem dzwonił Sam.

– Czytałaś dzisiejszą gazetę?

– Nie. Ale Dalina właśnie mi powiedziała...

– Od razu przypomniało mi się nazwisko, które wczoraj wymieniłaś. Diane jakaś tam.

– Bristow. Nazywała się Diane Bristow.

– Tak, w gazecie piszą o Diane B. Droga do Harwood Dale. To musi być miejsce, w którym ostatnio widziałaś samochód. – Sam zamilkł na chwilę. – Wczoraj nie brałem tego zbyt poważnie – dodał – ale teraz uważam, że powinnaś pójść na policję.

– I co by to dało? Ja...

– Widziałaś sprawcę. Domniemanego sprawcę.

– Było ciemno. Miał na głowie kaptur. Nie widziałam jego twarzy.

– A jednak. Policja musi się o tym dowiedzieć.

– Teraz to już nic nie da – powiedziała Anna i wybuchła płaczem.

– Posłuchaj – odparł Sam – może zjedlibyśmy dziś razem lunch? Po południu masz zajęcia, więc i tak musisz się wybrać do miasta. Wyjedziesz wcześniej i spotkamy się o pierwszej u Gianniego.

– Dobrze – przytaknęła Anna. Nie przełknie ani kęsa, ale w obecności Sama być może poczuje się lepiej. Potrafił koić nastroje. Zazwyczaj udawało mu się złagodzić jej wzburzenie.

U Gianniego, w tej eleganckiej włoskiej restauracji przy Victoria Road, trudno było o stolik nawet w porze lunchu, tym bardziej w przedświątecznym tygodniu, a to za sprawą licznych przyjęć organizowanych przez firmy oraz osoby prywatne. Sam zarezerwował niewielki stolik w rogu na parterze. Miał dobre kontakty z właścicielem, gdyż mieszkał przy tej samej ulicy i często wpadał na szybki lunch.

Był już na miejscu, gdy zjawiła się Anna, spóźniona, ponieważ nie mogła znaleźć miejsca do parkowania. Wstał i wyszedł jej naprzeciw, zabrał jej płaszcz, a gdy już usiedli, poczęstował ją kieliszkiem wina. Zazwyczaj w porze obiadowej Anna nie piła alkoholu, dziś jednak poczuła wdzięczność. Alkohol okrywał delikatnym woalem rzeczywistość, zbyt intensywną, rażącą i szargającą jej nerwy. Brzęk kieliszków był nazbyt głośny, gwar zbyt wrzaskliwy, świąteczne dekoracje zbyt kolorowe i zbyt kowne, śnieg za oknem tak biały, że aż oślepiał. A wszyscy wokół byli w cholernie dobrych nastrojach. Ten ciągły śmiech... Czy ci ludzie w ogóle z sobą rozmawiali? A może po prostu bez przerwy się śmiali? Właściwie z czego? Czyżby nie czytali porannej prasy? Nie wiedzieli, że w okrutny sposób zamordowano młodą kobietę?

Sam miał przy sobie egzemplarz „Yorkshire Post”.

– Nie należy wierzyć we wszystko, co wypisują w gazetach – stwierdził. – Ale jeśli to prawda, w życiu Diane był jakiś mężczyzna. Dziwne, bo przecież chodziła na twój kurs gotowania dla singli.

– Mężczyzna? – Anna sięgnęła po gazetę. – No tak. Ale piszą, że nikt z jej otoczenia go nie znał.

– Może to nie był jej chłopak. Tylko jakiś znajomy.

– Dziwne. Ani słowem nie wspominała o chłopaku czy znajomym. Wydawała się bardzo samotna.

– Facet, którego widziałas, jak wsiadał do jej samochodu... może to on był tym znajomym. I dlatego go z sobą zabrała. Znała tego człowieka.

– Też tak pomyślałam. Tylko sposób, w jaki ją zatrzymał... No cóż, trochę to było gwałtowne. Nie stał na poboczu ani nie machał ręką. Stał na środku drogi. Musiała zahamować. Szarpnął za klamkę od strony pasażera. Nawet nie wiem, czy go zachęciła, by wsiadł, czy zrobił to sam. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. To mógł być napad. Choć może wcale nie.

– Przecież odjechała – zauważył Sam. – Stałaś za nią. Mogła wyskoczyć i poprosić o pomoc.

– Racja.

Pochylił się ku niej.

– Naprawdę powinnaś iść na policję, Anno. Twoje spostrzeżenia mogą się okazać istotne.

– Nie dam rady. Sam, oni wezmą mnie za największego tchórza na świecie.

– Nonsens. Niby co miałabyś zrobić? Wsiąść, gdy zobaczyłaś samochód zaparkowany w tej zatoce? Późnym wieczorem na samotnej wiejskiej drodze? Nikt by tego od ciebie nie oczekiwał.

– Mogłam ją uratować.

– Albo zginąć.

Zadrzała. Kelner położył na stole menu. Anna odsunęła kartę na bok. Poczowała ucisk w żołądku.

– Nie mam policji nic istotnego do powiedzenia. Nie widziałam twarzy tego mężczyzny. Zauważyłam tylko...

– Tak?

– Był bardzo wysoki.

– Wyższy ode mnie? Jestem słusznego wzrostu.

Przytaknęła.

– O głowę.

– W takim razie był nieprzeciętnie wysoki – stwierdził Sam. – A za taką wskazówkę policja z pewnością byłaby ci wdzięczna.

– Nie mogę. Sam...

Położył dłoń na jej ręce.

– Okej. Zostawmy ten temat, dobrze?

– Dobrze. – Wiedziała jednak, że to nie wystarczy. Sprawa wciąż zajmowała ich myśli, nawet jeśli próbowali ją ignorować. Sam opowiadał o swoim ojcu, z którym rozmawiał przed południem przez telefon, choć ojciec, co przygnębiające, nie miał pojęcia, kto do niego dzwoni. Ojciec Sama przebywał w domu opieki w Londynie i nieustannie wzbudzał u swojego jedyne go syna wyrzuty sumienia, że nie dość się o niego troszczy. Sam starał się go odwiedzać przynajmniej raz w miesiącu i kilkakrotnie prosił Annę, by mu towarzyszyła, ona jednak zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Domy opieki napawały ją lękiem. Popadłaby tylko w jeszcze głębszą depresję.

– Czy nie miałabyś nic przeciwko, gdybym w drugi dzień świąt wybrał się do taty? – zapytał Sam. – Pewnie nie będziesz chciała ze mną jechać?

Anna słuchała go jednym uchem. Wciąż rozmyślała o Diane. Skoro do tej pory zaważyła na całej linii, mogłaby przynajmniej pomóc w schwytaniu mordercy. Dziwnie by to jednak wyglądało, bo przecież zapewniła Dalinę, że w drodze powrotnej do domu niczego nie zauważyła...

Wszystko schrzaniłam, pomyślała. Znow spowiła ją ogromna czarna chmura, jak zawsze, gdy intensywnie rozmyślała o sobie i własnym postępowaniu. A to zazwyczaj źle się dla niej kończyło.

– Hej – odezwał się Sam – czy ty mnie słuchasz?

Drgnęła.

– Przepraszam. Co mówiłeś?

– Nieważne. Święta spędzamy u mnie czy u ciebie? – Uśmiechnął się.

Wiedziała, że będzie miło. Coś razem ugotują. Rozpalą kominek. Sam kupi szampana. Cieszyła się, że nie musi spędzać świąt samotnie.

W jej życiu istniało dobro. Dlaczego zawsze skupiała się na tym, co złe?

– Gdzie chcesz – odparła.

Nachylił się i ujął jej dłonie.

– Nie ponosisz żadnej winy, Anno – powiedział cichym głosem. – Za to, co przydarzyło się Diane. To nie twoja wina. To wina tego, kto to zrobił. Nie twoja.

Znow się rozplakała. W obecności tych głośnych, radosnych, roześmianych ludzi. Wśród brzęku kieliszków, łoskotu sztućców, świątecznej muzyki, ożywionych rozmów. Siedziała, cicho łkając, podczas gdy Sam trzymał ją za ręce i pozwalał jej się wypłakać. Na szczęście nie był zakłopotany. Dzięki Bogu nie powiedział jej, żeby wzięła się w garść.

Nie jej wina...

Nie miał pojęcia, jak ogromne poczucie winy ją dręczyło.

### 3

Odbyli spotkanie z całym zespołem. Ośmiorgu funkcjonariuszom i funkcjonariuszkom przekazano wszelkie istotne informacje w sprawie morderstwa Diane Bristow. Kate musiała przyznać, że Pamela poprowadziła zebranie bardzo umiejętnie i sprawnie. Przedstawiła zwięzłe podsumowanie wydarzeń oraz wstępnych ustaleń, a na pytania odpowiadała jasno i precyzyjnie. W skrytości ducha Kate miała nadzieję, że Pamela być może okaże się nieco przytłoczona albo zdenerwowana. Nic z tych rzeczy. Jej poprzednik, nieszczęsny inspektor Robert Stewart, który latem został zastrzelony w trakcie prowadzonego śledztwa, w najmniejszym stopniu nie sprostął wymogom swojego stanowiska. Kate uznała to za irytujące, bez wątpienia jednak utwierdziła się w przekonaniu o własnej wartości. W obecności Roberta zawsze uważała się za lepszą – inaczej niż przy Pameli. Wiedziała, że ma to swoje zalety i przysłuży się ich współpracy, niemniej od razu poczuła się mizernie.



To po prostu żałosne, pomyślała.

Razem z sierżant Helen Bennett i Pamelą wracały do biura szefowej, gdy zadzwoniła komórka Kate. Nie rozpoznała numeru. Odeszła kilka kroków i odebrała stłumionym głosem.

– Tu Kate Linville.

– Witaj, Kate, tu Dalina – rozległ się wesoły głos po drugiej stronie.

Kate nie od razu skojarzyła imię.

– Dalina?

– Tak, z Trouvemoi!

Kate natychmiast odeszła jeszcze o krok. Nikt nie powinien o tym wiedzieć.

– Ach, tak, już wiem. Dalina. Co tam?

– Zapisła się pani na styczniowy kurs gotowania. Tymczasem zwolniło się miejsce na naszym aktualnym kursie i chciałam zaproponować, żeby wpadła pani do nas w najbliższy poniedziałek. Kurs jest opłacony, nic to pani nie będzie kosztować. Dzięki temu mielibyśmy znowu równowagę między kobietami a mężczyznami, a pani tuż przed świętami miałaby darmową lekcję próbną. Czyż to nie świetna oferta? – W głosie Daliny pobrzmiwała euforia, jakby proponowała co najmniej kolację z królową.

– W poniedziałek? – odpowiedziała pytaniem Kate. Tak szybko? – pomyślała.

– Od siódmej. – Dalina zniżyła głos, który nie brzmiał już tak wesoło. – Na pewno słyszała pani o tej strasznej zbrodni, prawda? O zabójstwie Diane Bristow!

Kate natychmiast wzmogła czujność. O sprawie morderstwa rozpisywały się wszystkie gazety w regionie, ale nie podano pełnego nazwiska ofiary. Skąd Dalina je знаła?

– Tak, czytałam – odparła. – Straszne.

– Była uczestniczką naszego kursu – oznajmiła Dalina. – To jej miejsce się zwolniło.

– Ach tak – zdumiała się Kate.

– Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza? Nie jest pani przesądna, prawda?

– Nie. Oczywiście, że nie – zapewniła Kate. Zamyśliła się. W tych okolicznościach stało się jasne, że musi wziąć udział w poniedziałkowych zajęciach, nadarzyła się bowiem doskonała okazja, by dowiedzieć się czegoś więcej o Diane. Niestety, nie pozostanie jej nic innego, jak przyznać się przed Pamelą i Helen, że zgłosiła się do Trouvemoi. Inaczej nie będzie w stanie wyjaśnić telefonu od Daliny.

– Przyjdę – obiecała i zakończyła rozmowę.

Pamela spojrzała na nią pytająco.

– Jakieś nowe wieści? – Bez wątplenia miała przenikliwy umysł.

Kate westchnęła.

– Istotnie. Wiem już, dokąd Diane wychodziła w każdy poniedziałkowy wieczór...

– I zapisała się pani na kurs gotowania dla singli? – zapytała Pamela, unosząc brwi, gdy Kate wyjaśniła okoliczności sprawy. W jej głosie nie pobrzmiewała co prawda pogarda, ale owszem, pewna nuta konsternacji, jakby Kate zdemaskowała się właśnie jako kobieta o wielce osobliwych upodobaniach i niezrozumiałych nawykach. Dziwne podejście, pomyślała Kate, zważywszy, że niemal połowa ludzkości odwiedza platformy randkowe.

– Tak – odparła.

– Świetny pomysł – przyznała Helen, zawsze miła i gotowa do łagodzenia nieprzyjemnych nastrojów.

Helen również mieszkała sama, ale wedle wiedzy Kate była ze swojego życia zadowolona. Tak naprawdę nigdy jednak o tym nie rozmawiały. Może udzielała się na Parshipie. Może czasem czuła się samotna. Kate miała świadomość, że ludzie niczego w swoim życiu nie skrywają za zasłoną milczenia tak starannie jak własnej samotności. Już prędzej przyznają się do grzybicy stóp niż do osamotnienia. Samotni są wyłącznie nieudacznicy. To idiotyczna opinia, ale chyba trudna do wykorzenia.

– W tym przypadku to oczywiście gra na naszą korzyść – stwierdziła Pamela. – Koniecznie musi tam pani pójść w najbliższy poniedziałek. Najlepiej incognito. A może znają pani zawód?

– Nie.

– Świetnie. I niech tak na razie zostanie. Będą wobec pani bardziej otwarci, ale proszę pamiętać, że istotne ustalenia zostaną później przedstawione w sądzie. To jak balansowanie na krawędzi.

– Oczywiście – przyznała Kate.

– Najpierw jednak porozmawiam z uczestnikami kursu – oznajmiła Pamela. – Ze zbadaniem tego tropu nie możemy czekać do poniedziałku. Diane bierze udział w kursie gotowania i zostaje zamordowana najprawdopodobniej wieczorem w drodze powrotnej do domu. Zabójca może się kryć wśród uczestników.

– A niby skąd wiemy o kursie? – zapytała Helen.

Pamela wykonała gest zniecierpliwienia.

– Powiedzmy, że znaleźliśmy coś w jej papierach. I tak się też pewnie stanie, kiedy przeszukamy jej mieszkanie, a zwłaszcza przeanalizujemy zawartość laptopa. Musiała przecież przelać pieniądze. Zapewne znajdzie się umowa.

Kate miała złe przeczucia, gdy pomyślała o swoim tajnym zadaniu. Pamela miała jednak rację, mogło ono przynieść nieoczekiwane ustalenia. W trakcie śledztwa wyjdzie zapewne na jaw, kim jest naprawdę, a wtedy będzie chyba mogła zapomnieć o uczestnictwie w styczniowym kursie.

Albo i nie: przynajmniej będzie mogła grać w otwarte karty.

Zadzwoił telefon Pameli. Podeszła do biurka, by odebrać.

– To niewiarygodne! – powiedziała po chwili, gdy wysłuchała swojego rozmówcy.

Kate i Helen spojrzały na nią pytająco.

– Dzwonił coroner – wyjaśniła Pamela po zakończeniu rozmowy. – Autopsja nie wykazała wiele nowego. Szacowany czas zgonu między dziesiątą a jedenastą wieczorem w poniedziałek. Zginęła od rany klutej szyi. Pozostałe obrażenia były po części jedynie powierzchowne, co miało zapewne związek z faktem, że napastnik przebywał w ciasnym samochodzie. Używał ogromnej siły, ale miał niewielkie pole manewru. Diane zaciekle się broniła, jej ciało nosi niezliczone ślady walki. Ostatecznie nie miała jednak szans z napastnikiem uzbrojonym w nóż.

Po tych słowach zapadła przygnębiająca cisza. Policjantki wyobrażały sobie grozę ostatnich chwil życia młodej kobiety.

– Jest coś jeszcze – dodała Pamela. – Oprócz odcisków palców ofiary w samochodzie znaleziono mnóstwo innych, prawdopodobnie należących do mężczyzny, być może do sprawcy. A te odciski, jak wykazało porównanie, widnieją już w naszym systemie.

– Mamy nazwisko? – zapytała Helen, otwierając szeroko oczy.

Pamela potrząsnęła głową.

– Niestety nie. To byłoby zbyt piękne. Ale mamy kolejne miejsce zbrodni. Sprawa Alvina Malory’ego. Czy któraś z was ją pamięta?

– Tak. O mój Boże – odparła Helen.

Kate grzebała w zakamarkach pamięci. Nazwisko Malory coś jej mówiło, ale z początku nie potrafiła go skojarzyć.

– Właśnie dołączyłam wtedy do wydziału w Scarborough – wyjaśniła Helen. – Ale jeszcze nie pracowałam z inspektorem Hale’em. To on prowadził sprawę.

Pamela gorączkowo googlowała w swoim smartfonie.

– Rok dwa tysiące dziesiąty – oznajmiła. – Było o tym głośno we wszystkich mediach.

– Niewiarygodna brutalność – przyznała Helen. – Ten szesnastolatek... uczeń... został prawie zakatowany na śmierć. W swoim domu. Dosłownie zdeptany. A na koniec wiano mu do gardła żrący środek do czyszczenia kanalizacji.

Kate sobie przypomniała.

– Tak. Wiem. Pamiętam, bo zbrodnia była potworna. Z tego, co wiem... sprawcy lub sprawców nigdy nie ujęto?

– Zgadza się – potwierdziła Pamela. – Powstał specjalny zespół, któremu przewodził Caleb Hale. Dochodzenie prowadzono na wszystkich frontach. Przez krótki

czas podejrzewano nawet ojca, ale to się nie potwierdziło. Niestety, nic się nie potwierdziło. – Przeglądała znalezione w sieci wpisy dotyczące sprawy. – Ofiara przeżyła mimo poważnych obrażeń, ale od tamtej pory jest w śpiączce.

– I był wtedy jeszcze uczniem? – zapytała Kate.

Helen przytaknęła.

– Pojawiły się doniesienia, że w szkole był zastraszany. Alvin Malory miał ogromną nadwagę, bardzo mu dokuczano. Wszyscy się z niego wyśmiewali. Niemniej nawet wśród jego kolegów z klasy nie znaleziono żadnego sensownego tropu. Pamiętam, jak bardzo wszyscy byli zdeprymowani. Szczególnie Caleb Hale. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie potrafił rozwiązać tej sprawy.

Caleb Hale i jego depresja. Caleb Hale i alkohol. Kate wiedziała, ile to wszystko miało wspólnego z jego pracą zawodową. Z cierpieniem, którego był świadkiem, oraz z bezradnością, którą nierzadko się ono kończyło. To dlatego zrezygnował z pracy w policji. Późnym latem niepostrzeżenie porzucił na dobre służbę. Widział w tym jedyną szansę na uratowanie samego siebie.

– Wiele rzeczy utrudniało wtedy śledztwo – powiedziała Pamela, która nadal studiowała internetowe wpisy. – Dzień przed dokonaniem zbrodni matka Alvina obchodziła czterdzieste piąte urodziny. Było sporo gości, do tego firma cateringowa. Dom i ogród pełne ludzi. A co za tym idzie – odcisków palców, fragmentów DNA, pozostawionych śladów. To dodatkowo komplikowało dochodzenie.

– Ale teraz... – podjęła Helen.

Pamela skinęła głową.

– Teraz mamy pasujące odciski palców z dwóch różnych miejsc zbrodni. Dzieli je prawie dziewięć i pół roku. I brak najmniejszych dowodów na związek obydwu ofiar. Jeśli takowy w ogóle istnieje.

– Czyli zakładamy, że sprawy te są z sobą powiązane? – zapytała Helen.

Pamela zmarszczyła brwi.

– Zawsze staram się niczego z góry nie zakładać. To może zaciemnić ogląd sprawy. Opcji jest wiele, na wszystkie powinniśmy pozostać otwarci. – Sięgnęła po torebkę. – Odwiedzę tę agencję dla singli. Chcę znać nazwiska uczestników kursu i muszę porozmawiać z każdym, kto w jakikolwiek sposób był z tym kursem związany. Sierżantko Linville, pani...

Kate wiedziała, co szefowa zamierza jej zlecić.

– Pojadę do rodziny Alvina Malory'ego. Myślę, że ponownie musimy się zająć tą sprawą.

Pamela przytaknęła.

– Nie należy jednak robić rodzicom zbyt wielkich nadziei. Przypuszczam, że myśl o schwytaniu sprawcy wciąż trzyma ich przy życiu. Tego jednak nie wiemy. Nie mamy żadnego tropu i jesteśmy lata świetlne od jakichkolwiek ustaleń.

Kate skinęła głową. Niezwłocznie przejrzy dokumentację sprawy Malory’ego, a potem odwiedzi jego rodzinę. Swoje myśli zachowała dla siebie: Jesteśmy na samym początku tropu. To niewiele, ale nie jest to nic.

Rozbłysła w niej pierwsza nikła iskierka.

## 4

Tragedię, która dotknęła rodzinę Malorych, Kate dostrzegła niezwłocznie, gdy tylko otworzono jej drzwi: na twarzy stojącej przed nią kobiety malowała się groza, która od dziesięciu lat znaczyła jej życie. Wyglądała na przedwcześnie postarzałą i strapioną. Wokół ust i nosa widniały głębokie bruzdy. Oczy miała napuchnięte, widać było, że kobieta dużo i często płakała. Ubierała się niechlujnie, jakby brakowało jej czasu i energii, by o siebie zadbać. Miała na sobie rozciągnięte spodnie dresowe, wyblakłą bluzę, niegdyś zapewne granatową, na stopach futrzane kapcie z tygrysim wzorem. Włosy związała gumką.

– Tak? – zapytała nerwowo.

Kate pokazała swoją legitymację.

– Sierżant śledcza Kate Linville. North Yorkshire Police.

Postawa oraz mina kobiety natychmiast się odmieniły.

– Och... macie go? Macie człowieka, który zrobił to mojemu chłopcu?

Niegasnąca nadzieja bliskich ofiary przestępstwa. Że sprawiedliwość w końcu zostanie wymierzona.

Kate z żalem potrząsnęła głową.

– Nie. Niestety nie. Pojawił się jednak nowy trop. Czy mogę wejść?

– Tak, oczywiście. – Louise Malory cofnęła się o krok.

Kate znalazła się w wąskim korytarzu niewielkiego domku. Pachniało rozgotowanym jedzeniem. Tapeta zwijała się w jednym miejscu, wydawało się, że ściany pokrywa wilgoć. Dom, o którego utrzymanie nikt już nie dbał.

– Proszę za mną – powiedziała Louise i ruszyła przodem. Korytarz prowadził prosto do salonu. Przynajmniej kiedyś to był salon. Teraz należał do młodego człowieka, który od dziesięciu lat leżał w śpiączce.

Największą część pomieszczenia zajmowało łóżko, ogromne, zaawansowane technologicznie łóżko rehabilitacyjne, wyposażone w nowoczesne urządzenia

sterujące. Musiało kosztować fortunę.

– Wzięłam kredyt pod zastaw domu – powiedziała Louise, jakby usłyszała myśli Kate. – Na łóżko. Ubezpieczenie też by je zapewniło, ale nie tak dobre. To jest najlepsze.

Tyle mogła jeszcze zrobić dla swojego dziecka: dać mu to, co najlepsze. Spośród wszystkich poświęceń, do których była wciąż zdolna.

W łóżku leżał Alvin Malory. Spoczywał na kocu, ubrany w bordowy dres. Wyglądał na grubego i nabrzmiałego, ale był bardzo zadbany. Włosy miał umyte i uczesane, ubranie bez żadnych plam. Jego blada skóra wydawała się czysta i miękka, z pewnością regularnie ją kremowano.

Jego oczy były nieruchome i szeroko otwarte, skupione w jednym punkcie za oknem. Sprawiał wrażenie, jakby był pozbawiony spojrzenia. Jakby niczego nie dostrzegał.

Kate przełknęła.

– Zawsze tak leży?

– Tak. Od prawie dziewięciu i pół roku. Od dnia... – Louise nie dokończyła. Od dnia, który wszystko zmienił.

– Co mówią lekarze? Czy jest jakaś nadzieja, że się obudzi?

Louise przytaknęła.

– Tak, jak to bywa u pacjentów w śpiączce. Ale to nic pewnego. I nikt nie wie, kiedy to nastąpi.

– Czy coś do niego dociera?

– Tego tak naprawdę do końca nie wiadomo. Ja wierzę, że się ze mną komunikuje.

– Po czym to pani poznaje?

– Po jego oczach. Nie zawsze są tak nieruchome jak teraz. Czasami... często... tli się w nich życie. Nie tak jak w naszych oczach. Ale widzę zmianę. Ruch. Przynajmniej tak mi się wydaje. – Wzruszyła ramionami. – Sądzę, że on snuje myśli. Opowiada historie. Że w jego głowie krąży mnóstwo myśli, uczuć i wspomnień. Ale... lekarze pewnie uznaliby to za dziwactwo.

– Zapewne się pani nie myli co do swoich wrażeń – powiedziała łagodnie Kate. Nie chodziło jej tylko o to, by uspokoić strapioną, smutną kobietę. Naprawdę tak myślała. Że Louise wyczuwa u swojego syna coś, czego nikt inny nie potrafił dostrzec. I to było rzeczywiste. Jest tyle rzeczy na ziemi i w niebie, których nie sposób wyjaśnić.

– Jest karmiony przez sondę – wyjaśniła Louise. – Codziennie przychodzi fizjoterapeuta. I pielęgniarz, który pomaga mi go myć i ubierać. Sama nie dałabym rady. Ale kiedy tylko mogę, masuję mu ręce i nogi. Nakładam krem. Rozmawiam z nim, czytam mu książki i gazety. Przez cały dzień jestem blisko niego.

Czerpała z tego pociechę. Nawet jeśli prawdopodobnie nie zostało jej nic, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało jej własne życie.

– Pani mąż...? – zapytała ostrożnie Kate.

Louise przewróciła oczami.

– Czy faceci potrafią znieść coś takiego? – Wykonała gest ogarniający wszystko wokół: mały pokój z ogromnym łóżkiem na środku, dawne meble z salonu upchnięte przy bocznych ścianach, widniejące wszędzie pudła pełne kremów i maści, jednorazowych rękawiczek, środków dezynfekujących, lekarstw.

Pośrodku młody człowiek, który nie mógł ani żyć, ani umrzeć.

– Mój mąż zostawił nas już pięć lat temu. Powiedział, że nie potrafi dłużej tego znieść.

Kate skinęła głową. Nie potępiła ojca Alvina. Nie każdy zdołałby znieść tyle, ile Louise Malory.

– Przelewa pieniądze – dodała Louise. Chciała być sprawiedliwa. – Ja już nie pracuję.

Oczywiście, że nie. Na to nie starczyło miejsca w jej życiu. Nawet na oddech.

Kate patrzyła na żyjącego zmarłego leżącego w ogromnym łóżku i pomyślała, że to najgorsza rzecz, jaką brutalni przestępcy mogą wyrządzić swoim ofiarom, gorsza nawet od morderstwa: uczynić je dożywotnimi więźniami ich własnych ciał. Podobnie jak w przypadku, który zajmował ją latem i niemal doprowadził do obłędu, a który do dziś nie dawał jej spokoju. Sophia Lewis, młoda nauczycielka... Rozciągnięty w poprzek ścieżki drut spowodował fatalny upadek z roweru, co w konsekwencji doprowadziło do paraliżu... Wysportowana, spragniona ruchu kobieta nie mogła gorzej skończyć. Później jednak spotkało ją coś zgoła gorszego, ale Kate nie chciała teraz o tym myśleć.

– Czy może pani jeszcze raz krótko opowiedzieć o dniu, w którym pani syn padł ofiarą przestępstwa? – zapytała.

Louise wskazała na sofę, usiadły obok siebie. W pokoju nie było miejsca, gdzie można by usiąść naprzeciw siebie.

– Dostaliśmy telefon. Od naszego sąsiada. Znalazł Alvina.

– Isaac Fagan? – Kate przestudiowała dokumenty na tyle, na ile zdołała w tak krótkim czasie.

– Tak. Mieszkał tuż obok. Niestety już zmarł. Zobaczył coś dziwnego za prowadzącymi na taras drzwiami salonu, podejrzewał, że to Alvin. Miał pianę w ustach. Leżał skulony za drzwiami. – Louise przełknęła. – Podniósł jeszcze rękę. On... błagał o pomoc. To był chyba jego ostatni gest przed zapadnięciem w śpiączkę.

Umilkła, Kate odczekała. Wiedziała, jak trudno było Louise powrócić do tamtego dnia.

– Isaac zdołał wejść do domu. Miał klucz. Znalazł leżącego bez ruchu Alvina i wezwał karetkę. Potem zadzwonił do nas do warsztatu.

– Do warsztatu?

– Tak. Należał do mojego męża i do mnie. Sami go zbudowaliśmy, zatrudnialiśmy trzech mechaników. Nie wzbogaciliśmy się na tym, ale mogliśmy sobie przynajmniej pozwolić na ten niewielki dom oraz czasem na wakacje.

– Czy pani mąż narobił sobie wrogów? Gdziekolwiek? Wśród klientów? Współpracowników?

Louise potrząsnęła głową.

– Nie. O to samo wciąż pytał wtedy śledczy, razem z mężem poważnie się nad tym zastanawialiśmy. Ale nie znamy nikogo, kto mógłby mieć coś przeciwko nam. Naprawdę nikogo.

– Tamtego dnia... To było w czasie wakacji. Pani syn przebywał wtedy w domu. Nie widziała go pani od samego rana?

– Nie. Czasami wracałam do domu w porze lunchu, żeby coś Alwinowi ugotować. W wakacje, kiedy nie stołował się w szkole. Mój mąż chciał, żeby Alvin nie odżywiał się... nieracjonalnie.

– Nieracjonalnie?

Louise się zawahała.

– Nasz syn miał... miał ogromną nadwagę. Nadal ma, ale nie jest już tak źle. Wtedy... – Sięgnęła po oprawione zdjęcie stojące obok na półce. – To on. Alvin. W wieku szesnastu lat. Latem, kiedy... to się stało.

Kate spojrzała na zdjęcie. Patrzący na nią chłopak rzeczywiście był zatrważająco otyły. Nalana twarz, wąskie oczy. Masywne ciało, nogi jak pnie drzew. Można było niemal poczuć ból, jaki dokuczał mu w kolanach. Miał na sobie za duże spodnie od dresu oraz koszulkę opinającą ogromny brzuch.

– Musiał mieć poważne problemy – stwierdziła Kate.

Louise przytaknęła.

– Tak. Od wczesnego dzieciństwa. Zawsze miał nadwagę. Jadł przy każdej okazji.

– Był na terapii?

– I to nie raz. Dwukrotnie przebywał przez dłuższy czas w klinice leczenia otyłości, gdzie tracił kilka kilogramów, które potem jednak odzyskiwał, i to dwa razy szybciej. To był po prostu obłąd, daremna walka.

– A pani mąż uznał, że lepiej, jeśli to pani będzie mu gotowała, niż żeby sam się byle czym opychał – domyśliła się Kate.



– Tak. Ale tamtego dnia... Dwóch naszych ludzi przebywało na urlopie. Mieliśmy mnóstwo pracy. W południe nie miałam czasu wrócić do domu. Ja... nie zobaczyłam już Alvina przytomnego.

– To był dzień po pani czterdziestych piątych urodzinach. Czy to prawda?

– Tak. Mieliśmy wielu gości. Był bufet i mnóstwo napojów. Przyszło wielu sąsiadów, do tego klienci warsztatu, znajomi. Zamówiliśmy catering. To był piękny dzień. Ostatni piękny dzień w moim życiu.

Kate potrafiła to sobie wyobrazić. Równie dobrze jak rozpacz prowadzącego wówczas śledztwo Caleba Hale'a: analiza pozostawionych śladów okazała się prawdziwym koszmarem.

– Pani Malory, według moich informacji w domu, zwłaszcza tu, na dole, zastała pani potworny bałagan. Zeznała pani wtedy, że nie był spowodowany przyjęciem z dnia poprzedniego.

– Tak, zdecydowanie nie była to wina naszych gości. Poza tym rano, gdy wychodziliśmy z mężem do pracy, wszystko było wysprzątane. A tu na podłodze leżały niedopałki papierosów, w obiciach krzeseł i kanapy wypalono dziury. W korytarzu rozlane piwo, potłuczone butelki, rozbite wazony z kwiatami. Wszędzie wokół leżały odłamki. Śmierdziało alkoholem. Najwyraźniej doszło do awantury.

Kate przypomniała sobie raport medyczny. „Alvin był mocno poturbowany. Połamane żebra, poważny wstrząs mózgu, pęknięta podstawa czaszki, strzaskana szczęka. Złamana kość nosowa. Pęknięta śledziona. Zwichnięty bark. Wszystko to świadczy o użyciu potężnej siły”.

– Tak. Mówiono, że został ciężko poturbowany. Głównie przez brutalne kopnięcia.

– A do tego jeszcze...

– ...środek do czyszczenia kanalizacji. Leżącą na podłodze butelkę znalazł Isaac Fagan. Z początku nawet nie zdawałam sobie sprawy... To znaczy, nie mogłam sobie tego wyobrazić... – Jej głos zamarł.

Bo i kto mógłby sobie coś takiego wyobrazić? Kate wiedziała, że Alwinowi wiano ten żrący środek na siłę. Następstwem były poważne poparzenia przełyku i żołądka. Nawet gdyby się wybudził i znowu mógł jeść samodzielnie, już zawsze miałyby problemy z przełykaniem i trawieniem.

Nienawiść. Tak wiele nienawiści.

A państwo Malory nie mieli żadnych wrogów.

Czy wrogów miał Alvin?

– Pytano panią rzecz jasna o ewentualnych wrogów Alvina?

– Nieustannie – przytaknęła Louise. – Ale nie potrafiliśmy skojarzyć żadnego nazwiska... to znaczy nikogo, po kim można by się czegoś takiego spodziewać.

Problem w tym, że Alvin był ofiarą mobbingu. Przez całe życie. W przedszkolu, szkole. Ze strony dzieci, z którymi chciał się bawić na ulicy. Moglibyśmy wymienić tu każdego kolegę z klasy, każdego ucznia, z wyższych albo niższych klas. Po prostu każdego. Ale... taki stopień przemocy...

– Jak wyglądał ten mobbing?

– Szydzono z niego i go wykluczano. O ile nam wiadomo, nikt go nigdy fizycznie nie zaatakował. Oczywiście możliwe, że się do tego nie przyznał, w każdym razie nigdy nie zauważyliśmy żadnych śladów. Nauczyciele ze szkoły także o niczym nas nie informowali.

– Chodził do Graham School?

– Tak. Po wakacjach chciał się przenieść do Sixth Form College i tam zdać egzamin końcowy. Tak się jednak nie stało.

– Wykluczenie, wyszydzanie. Czy jakieś osoby szczególnie się pod tym względem wyróżniały? Czy były bardziej agresywne werbalnie od pozostałych?

Louise uniosła bezradnie ramiona.

– Tak niewiele mówił. Zawsze chciał mi tego oszczędzić. I nie miał odwagi powiedzieć o tym ojcu, bo ten wtedy się wściekał. Na Alvina, nie na innych. Mówił, że Alvin powinien wreszcie skończyć z tym swoim obżarstwem, a wtedy wszystko wróci do normy. To tylko kwestia siły woli... Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Alvin nie umie sobie z tym poradzić. Mój mąż tylko pogarszał sprawę. Alvin robił się coraz bardziej cichy i przygnębiony. Nie miał żadnych przyjaciół. Nikt nas nie odwiedzał. Przez te wszystkie lata. Nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Śmiali się za jego plecami, bo chodził jak kaczka. Oczywiście u dziewczyn nie miał najmniejszych szans. Był smutny. Nieustannie... – Zalała się łzami.

Kate spojrzała na nią ze współczuciem. Cóż za ciężkie życie... dla całej rodziny.

– Czy pani mąż nadal mieszka w Scarborough?

Louise przetarła oczy.

– Nie. Sprzedał warsztat i przeniósł się do Walii. Buduje łodzie w Cardigan Bay. Nie widziałam go od lat. Ale jak wspomniałam, regularnie przelewa pieniądze.

– Czy mówi coś pani nazwisko Diane Bristow?

– Diane Bristow? Nie, chyba nigdy o niej nie słyszałam. Kto to?

– Młoda kobieta. W wieku Alvina. Została zamordowana przedwczoraj wieczorem. W swoim samochodzie, na drodze między Scarborough a Harwood Dale.

Louise spojrzała na nią z przerażeniem.

– Ach, to ta sprawa? Tak, czytałam o tym w gazecie. No tak, Diane B. Czy ma to coś wspólnego ze zbrodnią na Alvinie?

– Tego jeszcze nie wiemy. Jest jedna wskazówka, ale nie chcę jeszcze o niej mówić. Czy to możliwe, by Diane była szkolną koleżanką Alvina? Może znał ją ze szkoły? A może poznał, realizując jakieś swoje hobby?

Na twarzy Louise pojawił się wymuszony uśmiech.

– Hobby? Ma pani na myśli coś, dzięki czemu przebywałby wśród ludzi? Nie, Alvin unikał ludzi, nigdy nie spodziewał się po nich niczego dobrego. Jego hobby to były gry komputerowe.

– Zakładam, że jego komputer został wtedy sprawdzony?

– Tak. Nic to nie dało.

Kate podniosła się z miejsca.

– W sprawie Diane Bristow skontaktuję się z dyrektorami szkół, do których uczęszczał pani syn. Dziękuję, pani Malory. I proszę wybaczyć najście.

Louise również wstała.

– Nic nie szkodzi. Wie pani, nie tracę nadziei, że ten, kto zrobił to mojemu synowi, zostanie znaleziony i pociągnięty do odpowiedzialności. Choć to straszne, co spotkało tę młodą kobietę, może rzeczywiście dzięki temu pojawi się jakiś nowy trop?

– Mam taką nadzieję – zapewniła Kate.

– Musi pani porozmawiać ze śledczym, który kierował wówczas dochodzeniem – odparła Louise. – Był ogromnie zaangażowany. Sprawdzał każdy trop i zbierał potworne ilości informacji. Uważam, że był wspaniały, z pewnością lepiej niż ja odpowie na wszystkie pani pytania. Nazywał się... chwilka, nazywał się Caleb Hale. Inspektor Caleb Hale.

– Wiem – powiedziała Kate. – Znam go. Zamierzam go odwiedzić.

Jak już wspomniałem, miałem jedenaście lat, gdy zabiłem babcię. To nie było prawdziwe morderstwo, w tym wieku pewnie nie byłbym do tego zdolny. Raczej zabójstwo przez zaniechanie. Chociaż... trochę przyłożyłem do tego rękę. To było takie proste. Tak przerażająco proste.

Często odwiedzałem ją w weekendy. Nie robiłem tego z własnej woli. Rodzice sobie tego życzyli, gdyż od śmierci męża babcia była samotna. Mieszkała w małym domku w pobliżu portu w Grimsby. Lincolnshire. Stał w bardzo ładnym miejscu, ale był stary i podniszczony. Kuchnia z lat pięćdziesiątych, stół nakryty ceratą. Na swoje siedemdziesiąte urodziny babcia dostała w prezencie ogród zimowy, złożyli się nań moi rodzice oraz kilkoro krewnych i przyjaciół. Ohydne, zdobione, białe coś o wielkich szklanych ścianach i ze szklanym dachem, typ wiktoriański. Przykleiło się toto do salonu i jeszcze bardziej pomniejszyło i tak niewielki już ogród. Przy słonecznej pogodzie w środku robiło się nieznośnie gorąco. W zimie nieprzyjemnie zimno. Babcia wstawiła tam swoje meble ogrodowe oraz palmę w ceramicznej donicy. Codziennie przesiadywała tam godzinami, dysząc z powodu astmy. Czuła jednak złośliwą przekorę, ponieważ bardzo pragnęła takiego ogrodu, przez lata szargając wszystkim nerwy.

Była sobota na początku czerwca. Kiedy ojciec wysadził mnie przed domem babci, a ona podeszła do furtki, żeby mnie wpuścić, zauważyłem, że nie jest z nią dobrze. Ciepły wiatr unosił pyłki, a to zawsze zaostrzało jej stan. Dyszała, oczy miała napuchnięte. Jak zwykle mój widok wcale jej nie ucieszył. Zastanawiałem się nieraz, dlaczego muszę tu ciągle przychodzić. Moi rodzice twierdzili, że babcia była z tego powodu szczęśliwa, ale nie potrafiła tego okazać. Myślę, że wysyłając mnie do niej, próbowali uciszyć własne wyrzuty sumienia. Nie mieli ochoty siedzieć ze staruszką i znosić jej zrzędzenia, dręczyło ich jednak poczucie winy. I dlatego to mnie do niej posyłali.

– Jak ja tego nie lubię – powiedziałem do ojca, z trudem wysiadając z samochodu. Matka zawsze mi przy tym pomagała, ojciec tylko patrzył, jak usiłuję ruszyć swoje ważące wówczas już ponad sto kilo cielsko. W jego spojrzeniu dostrzegałem pogardę, niechęć. Chciał mieć syna, z którego mógłby być dumny, który uprawiałby sport, miał wielu przyjaciół, w szkole może i zawałił parę razy, ale ogólnie był fajnym gościem. Który czasem by przesadzał, bo był niepohamowany, młody, bo rozpierała go siła. Tak, chciał, żebym taki właśnie był. Nie pragnął syna, który mozolnie wytacza się z samochodu, sapiąc przy tym jak lokomotywa. Wiedziałem, że moja zarumieniona twarz aż lśni od potu.

– Do jutra do wieczora! – powiedział ojciec, po czym odjechał w pośpiechu. Nie zatrzymywał się długo nawet u własnej matki. Nikt tego nie robił, jeśli nie musiał.

Babcia taksowała mnie spod przymrużonych powiek.

– Znowu przytyłeś?

Dzień wcześniej z powodu problemów ze stawami byłem u lekarza, zważyli mnie. Rzeczywiście, od poprzedniej wizyty przytyłem pięć kilo, ale babci tego nie powiedziałem.

– Nawet trochę schudłem – stwierdziłem bezczelnie.

Babcia prychnęła z niedowierzaniem.

– W ogóle tego nie widać. Wejdz. Urządzimy dziś sobie dzień odchudzania.

Bóg mi świadkiem, że sama tego potrzebowała, co prawda nie była tak gruba jak ja, ale miała sporą nadwagę. Nienawidziłem jej diet i ona o tym wiedziała. Mimo młodego wieku i braku życiowego doświadczenia oraz wiedzy psychologicznej byłem święcie przekonany, że wcale jej nie zależało na moim zdrowiu ani na lepszym wyglądzie, dzięki czemu znalazłbym przyjaciół. Swoimi dietetycznymi posiłkami, na przykład paskudną zupą z pokrzyw, brzydkimi swetrami, złośliwymi, uszczypliwymi uwagami na temat mojej figury chciała mnie jedynie zadreczyć. Sprawiało jej to przyjemność, taka już była. Dwa lata wcześniej usłyszałem, jak mama powiedziała do ojca, że jego matka ma sadystyczne skłonności. Wówczas nie znałem jeszcze tego słowa, później zapytałem w szkole nauczyciela, który wyjaśnił mi je w stosowny dla dziecka sposób. Od razu wiedziałem, że mama miała rację. Babcia była złą osobą, która lubiła krzywdzić innych. Czerpała z tego satysfakcję.

Dlaczego taka była? Nie mam pojęcia.

Po latach, gdy coraz poważniej zacząłem rozmyślać o sobie, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie odziedziczyłem tej cechy właśnie po niej. Czy zło kryło się w genach? A może wcale nie byłem zły? Może byłem jedynie kimś, kogo zbyt mocno, zbyt często dręczono?

– Chętnie zaprosiłabym na weekend koleżankę – oznajmiła babcia – ale byłoby mi niezręcznie się z tobą pokazać. Dlaczego nie możesz być normalnym chłopcem? – Spojrzała na mnie ze złościwością w oczach, po czym poczłapała w kierunku swojego ogrodu zimowego. Sapała. Astma dawała jej się we znaki.

Zamrugalem, powstrzymując łzy. Wytrzymam te dwa dni, na szczęście miałem w plecaku coś na pocieszenie. Spore ilości batoników, trzy cheeseburgery i kilka opakowań mleka waniliowego. Schowane między szkolnymi podręcznikami. W weekendy zabierałem zawsze materiały do nauki. Naprawdę się uczyłem. Skoro już byłem gruby, to przynajmniej nie będą mnie nazywać głupkiem.

– Ta pora roku doprowadza mnie do szału – powiedziała babcia, odchodząc. – Tysiące rzeczy zakwita, pogarszając mój stan. Nie ma mowy, żebym dzisiaj wyszła na dwór. Zostanę w ogrodzie zimowym.

Przez resztę dnia pewnie nie ruszy się stamtąd ani na krok. Jej towarzystwo zawsze było śmiertelnie nudne. Dawniej, kiedy żył jeszcze dziadek, czasami pływaliśmy jego żaglówką Camelot zacumowaną w porcie w Grimsby. Ale babcia nie umiała żeglować. Ojciec czasem korzystał z łodzi, ale nigdy mnie z sobą nie zabierał. Uważał, że łódka ze mną na pokładzie zatonie...

Ukryłem się w ogrodzie w cieniu jabłoni, która nigdy nie rodziła więcej niż cztery owoce, ale dla babci była oczkiem w głowie. Usiadłem w trawie, wypakowałem książki i zapasy. Pszczoła brzęczała blisko mojego nosa. Było trochę za ciepło, poza tym jednak dzień był wspaniały.

Pomyślałem o babci. Jak łapała powietrze.

Trudno mi było wstać. Poradziłem sobie, opierając się o pień jabłoni. Brakowało mi tchu.

Poszedłem do domu, minąłem ogród zimowy. Babcia siedziała w jednym z ogrodowych foteli. Nie robiła na drutach, co oznaczało, że faktycznie nie najlepiej się czuje. Zazwyczaj niemal przez całą dobę przerabiała te swoje ogromne, paskudne kłębki wełny.

Nie czytała też żadnego z kobiecych magazynów. Po prostu siedziała i zdawała się zmagać z oddechem.

Miałem na nogach klapki kąpielowe, które łatwo mogłem zsunąć ze stóp. Tym sposobem bezgłośnie dostałem się do domu.

Swój inhalator babcia zawsze odkładała w różnych miejscach, co już wcześniej było powodem ostrych reprimend ze strony ojca. W nagłych wypadkach musiała go mieć pod ręką.

– Powinnaś go stale z sobą nosić – powtarzał ojciec. – Albo przynajmniej kłaść zawsze w tym samym miejscu.

Babcia jakoś nie potrafiła do tego przywyknąć, choć zazwyczaj trzymała go w kuchni. Zajrzałem tam. Nigdzie nie było go widać. Na kuchence dusiła się zupa pokrzywowa. Uznałem, że strasznie cuchnie. Otworzyłem kilka szafek, ale tam też go nie znalazłem.

Dom był jednopiętrowy. Tuż obok kuchni znajdowała się łazienka. Tutaj także nic. Następnie sypialnia. Szerokie łóżko babci. Na jednej z nocnych szafek stało oprawione zdjęcie mojego dziadka.

Na drugiej szafce leżał inhalator.

Zabrałem go i schowałem w głębokiej, naciągniętej kieszeni dresu. Nie miałem żadnego planu. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że w tamtej chwili liczyłem raczej na to, że babcia, szukając inhalatora, zapomni o zupie pokrzywowej i jakoś ominie mnie jej obiad.

Począpałem z powrotem do ogrodu i usiadłem na moim miejscu. Zjadłem najpierw cheeseburgera. Ta krótka wycieczka kosztowała mnie sporo sił. Także psychicznych.

W porze obiadowej spodziewałem się, że babcia mnie zawoła, żebyśmy zjedli w kuchni tę okropną zupę. Byłem bardzo zmęczony i senny z powodu zjedzonego posiłku i upału. Możliwe, że na chwilę zapadłem w drzemkę. Dochodziła już druga, a babcia nadal nie wołała na obiad. Chociaż do punktualności zawsze przykładała dużą wagę.

Ponownie się więc podniosłem i ruszyłem powoli w stronę ogrodu zimowego. Zajrzałem do środka. Był pusty.

Wszedłem do domu, tym razem w butach.

– Babciu?! – zawołałem.

– Tutaj... – Jej głos zabrzmiał słabo.

Stała w kuchni i rozglądała się dokoła, jakby czegoś szukała. Wyglądała kiepsko. Oczy miała napuchnięte, cerę zaczerwienioną i błyszczącą. Zmagała się z oddechem.

– Chłopcze – powiedziała. – Chłopcze, szukam mojego inhalatora...

– Gdzie go odłożyłaś? – zapytałem.

Jej usta przybrały niebieskawy kolor.

– Myślałam, że... tutaj... – Znów gorączkowo rozejrzała się wokół. W jej oczach dostrzegłem pierwsze oznaki paniki.

– Sprawdzę w łazience – zaproponowałem. Przemknąłem obok, udałem, że dokładnie się rozglądam, otwierałem szafki i szuflady. – Tu go nie ma! – krzyknąłem.

Usłyszałem jedynie sapanie.

Wszedłem do sypialni.

– Tu chyba też go nie ma! – zawołałem.

Powinna trochę pocierpieć. Za to, że tak mnie dręczyła.

Wróciłem do kuchni. Babcia tymczasem osunęła się na jedno z krzeseł. Jej twarz nie była już tak zarumieniona, ale coraz bledsza. Walczyła o oddech.

– Ja... atak... – wydusiła z siebie.

– Może inhalator jest w ogrodzie zimowym – powiedziałem. Zaprotestowała bezsilnie, ale udałem, że jej nie słyszę. W żółwym tempie – tak, babciu, jestem grubasem, jak to zawsze niez mordowanie powtarzałaś – pokuśtykałem do ogrodu zimowego, dokładnie i powoli go przeszukałem. Z kuchni dochodziły nieokreślone bliżej dźwięki.

Kiedy wróciłem, babcia wspierała się tułowiem o blat stołu. Walczyła o oddech, wydając głośne, jęśliwe dźwięki. Na jej skroniach pojawiły się żyły.

– Telefon – sapnęła. – Pogotowie...

W tym momencie wiedziałem już, że jej nie pomogę. Dotarłem za daleko, wewnątrz. Nie chciałem zawrócić. Nie mogłem.

– Zadzwoń po karetkę – powiedziałem i poczłapałem w stronę salonu. Widok moich powolnych ruchów musiał ją doprowadzać do szału.

W salonie nie było telefonu. Był w sypialni, wiedziałem o tym, ale na bezskuteczne poszukiwania traciłem więcej czasu.

– Gdzie telefon? – krzyknąłem.

Brak odpowiedzi.

Wróciłem do kuchni. Babcia leżała obok stołu na plecach. Spódnica podwinęła jej się nieco do góry, zobaczyłem jej grube białe nogi pełne żyłaków. Były nienaturalnie ułożone. Podeszedłem do niej ostrożnie.

– Babciu?

Miała otwarte, zupełnie nieruchome oczy. Usta przybrały kolor fioletowy. Wokół nich błyszczała ślina.

Nie oddychała.

Mimo wszystko postanowiłem sprawdzić, widziałem to w jakimś filmie. Z szafki wyjąłem srebrną miskę i przytrzymałem ją blisko ust babci. Srebro pozostało czyste, nie zaparowało. Brak oddechu.

Babcia nie żyła.

Koniecznym musiałem pozbyć się inhalatora. Podeszedłem do drzwi prowadzących do ogrodu, oceniłem, czy zdołam dotrzeć do portu. Idealne byłoby po prostu wyrzucić go do morza, ale odległość była dla mnie zbyt duża, nie dałbym rady. Poza tym istniało ryzyko, że spotkam kogoś, kto później to sobie przypomni. Nerwowo rozejrzałem się wokół i ostatecznie uznałem, że najlepiej, jeśli inhalator pozostanie w domu, w miejscu, w którym najmniej można się go było spodziewać.

Wróciłem ponownie do sypialni i włożyłem inhalator do szuflady z babciną bielizną. Ktoś go tam znajdzie. Mogłem zapewnić, że przeszukałem cały dom. Nikt nie mógł mnie o nic winić. A ojciec powie, że zawsze ostrzegał babcię: powinna pomyśleć o bezpiecznym dla niego miejscu, a nie zostawiać go to tu, to tam...

Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer alarmowy. Udało mi się odegrać rolę człowieka spanikowanego i zdesperowanego – chyba dlatego, że w istocie taki wtedy byłem. Przecież żaden ze mnie potwór. To, co właśnie zrobiłem, mnie również zszokowało.

A jednak poczułem także głęboką satysfakcję.



– Moja babcia... proszę... musicie szybko przyjechać... Astma... Nie oddycha. Ona chyba... nie żyje!

# Czwartek, 19 grudnia

## 1

Anna po raz kolejny oznajmiła, że jest chora, Dalina powoli traciła cierpliwość. Miała tylko Annę i dobrze jej płaciła – tak jej się przynajmniej wydawało. Ale nie za ciągle chorowanie czy kolejne załamanie nerwowe. Tego przedpołudnia, po otrzymaniu chaotycznej i panicznie brzmiącej wiadomości na WhatsAppie – *Czuję się naprawdę źle, gorączkuję, mam palpacje serca, nie wiem, dzisiaj nie dam rady przyjść* – postanowiła odwiedzić swoją współpracownicę. W tej dziwnej chacie w Harwood Dale. Jak można tak żyć? Mówiło to wiele o charakterze Anny. Normalna młoda kobieta nie zasyłałaby się na tym pustkowiu. A przecież Anna miała chłopaka, Samuela Harrisa. Dalina zastanawiała się, dlaczego nie zamieszkała u niego. Nie przeniosła się do miasta, między ludzi. Nie wróciła do życia. Być może Sam wolał mieszkać osobno. Bo nie potrafił znieść towarzystwa Anny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dalina aż za dobrze to rozumiała. Żaden człowiek nie zdołałby wytrzymać z Anną przez dłuższy czas. Z jej depresjami, atakami paniki, katastroficznymi scenariuszami. Dalina zastanawiała się, czemu właściwie zatrudniła Annę w swojej firmie. Przez wzgląd na dawną przyjaźń. Bo Anna straciła pracę. Bo nie wiedziała, co począć. Bo w takich przypadkach należy wyciągnąć pomocną dłoń. A jednak Anna równie kiepsko nadawała się do swatania jak pekińczyk, który przez nadmiar zmarszczek na pyszczku zawsze wygląda na zasmuconego i wszystkich do siebie zniechęca. Aby łączyć singli w pary, trzeba emanować pewnością siebie, tryskać dobrym humorem i zdrową ufnością we własny los. Anna była tego wszystkiego zaprzeczeniem. Co prawda nie miała jeszcze zmarszczek, niemniej zawsze wyglądała na przygnębioną. Przybitą i zamyśloną.

A teraz na domiar złego była jeszcze nieobecna.

Tak dalej być nie mogło.

Śnieg już nie prószył, ale gładki biały kobierzec pokrywał rozległy krajobraz. Nie utrzymał się na gałęziach drzew, dlatego znów wyglądały na tle zachmurzonego nieba jak szkielety, uschnięte, czarne i ponure. Ze wschodu nadciągała kolejna śnieżycą.

Dalina minęła miejsce, w którym doszło do zbrodni. Zerknęła na nie przelotnie: samochód został odholowany, resztki policyjnej taśmy zwisały żałośnie na słupku ogrodzenia pastwiska.

W ten pochmurny, śnieżny i bezwietrzny dzień dom, w którym mieszkała Anna, wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż zwykle. Dalina zostawiła samochód na początku nieutwardzonej drogi, gdyż nie była pewna, czy uda jej się nią przejechać. Brnęła przez śnieg, zakrywając twarz szalem. Było potwornie zimno. Nad jej głową rozległ się wrzask mewy.

Nawet on zabrzmiał rozpaczliwie.

Słyszając, jak Dalina nieustępliwie i coraz mocniej dobija się do drzwi, Anna w końcu jej otworzyła. Wyglądała żałośnie, Dalina musiała to przyznać. Nadal w piżamie, na przemian unosiła bose stopy, gdyż marzła na zimnej posadzce. Miała spierzchnięte wargi i zmierzwione włosy, ale chyba nie miała gorączki. Sprawiała wrażenie bardziej podupadłej na duchu niż chorej na ciele, choć u Anny jedno z drugim zawsze się wiązało.

– Mogę wejść? – zapytała Dalina, wpychając się do środka. Wewnątrz wcale nie było cieplej niż na dworze. – Na litość boską, Anno, powinnaś tu zagrzać!

– Tak. Ja... tylko... leżałam jeszcze w łóżku – jękała się Anna. Weszła przodem – przed przyjaciółką i zarazem szefową – do salonu, gdzie stał nieużywany, zimny piec. Obok leżało kilka szczap drewna, ale Anna widocznie nie znalazła w sobie dość energii, by rozpalić ogień.

Dalina opadła na sofę. Na wszelki wypadek nie zdjęła grubego pikowanego płaszcza.

– Anno, dłużej tak być nie może – powiedziała. – Nie może cię dziś zabraknąć. Wieczorem mamy spacer po mieście ze starszymi klientami. Miałaś się tym zająć.

Anna wyglądała tak, jakby na samą myśl o wieczornym spacerze z tuzinem sześćdziesięcio- i siedemdziesięcioletnich singli oraz popijaniu z nimi grzanego wina miała wybuchnąć płaczem.

– Jestem chora, Dalina. Naprawdę.

– Co z tobą? Wyglądasz zupełnie zdrowo! – Nie była to prawda. Anna rzeczywiście wyglądała mizernie. Choć w jej przypadku tak zazwyczaj bywało.

– Chyba mam gorączkę.

Dalina nachyliła się i przyłożyła dłoń do jej czoła.

– Nie. Nie masz.

Anna przykucnęła na podłodze. Oburącz obejmowała nogi.

– Jestem strzępkiem nerwów. Ta sprawa z Diane mnie wykańcza.

– Dotknęła nas wszystkich. Ale przecież nie możemy przez najbliższe dni leżeć w łóżku – powiedziała Dalina. – To znaczy... mnie także to wszystko denerwuje. I to bardzo. Policja już wie, widocznie z papierów Diane, że brała udział w naszym kursie. Jeśli to wypłynie do mediów... Nie możemy sobie pozwolić na fatalną reklamę. –

Westchnęła. – Wczoraj była u mnie śledcza – dodała. – Odwiedziła wszystkich kursantów.

– Mnie także – przyznała Anna.

– I co? Co jej powiedziałaś?

– Niby co mogłabym jej powiedzieć? Prawie nie znałam Diane. Zapisała mój adres. Powiedziałam, że czasem zatrzymuję się u Sama. Jego nazwisko i adres też zanotowała. – Anna wzruszyła ramionami. – Nie miałam nic więcej do powiedzenia.

– Czy pokazała ci portret pamięciowy tajemniczego chłopaka Diane? Sporządzono go zgodnie ze wskazówkami właścicieli domu, w którym mieszkała.

– Tak. Widziałam go.

– I nic nie zwróciło twojej uwagi?

Anna odwróciła głowę w bok. Dalina była pewna: coś jednak zauważyła.

– Wyglądał jak Logan – powiedziała.

– Nie. Wcale nie – odparowała niezwłocznie Anna. Widać było, że i jej podobna myśl przyszła do głowy.

– Ależ tak. Bez dwóch zdań. I podobno jest uderzająco wysoki. Logan, jak wiesz, ma prawie dwa metry wzrostu. I jeszcze... oczy. Gęste włosy.

– Ale Logan od lat mieszka daleko na południu Anglii. W Bath.

– Może wrócił.

– Śledziłam go na Facebooku – wyznała Anna. – Nic nie wspominał, że ma zamiar wrócić.

– Może chciał to zachować dla siebie.

– A potem zaprzyjaźnia się z Diane Bristow?

– Czemu nie?

– Jest w mojej grupie. Dziwny zbieg okoliczności.

Dalina wzruszyła ramionami.

– Przypadki się zdarzają.

– Jeśli jest w Scarborough... dlaczego nas nie odwiedzi?

– Nie ma ochoty?

– Nie sądzę, żeby to był on – oznajmiła Anna, ale bez przekonania.

– Policja uważa, że Diane zamordował jej chłopak. Możliwe więc, że to Logan.

– Czemu Logan miałby zamordować swoją dziewczynę?

– Z zazdrości? Może Diane chciała z nim zerwać. Bądź co bądź chodziła na zajęcia dla singli. Aktywnie szukała partnera, mimo że już go miała.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała rozpaczliwie Anna.

– Tak czy siak – podjęła Dalina – chłopak Diane najwyraźniej zapadł się pod ziemię. W przeciwnym razie już dawno zgłosiłby się na policję. Przecież wie, że jego

dziewczynę zasztyletowano. Powinien pomóc w śledztwie, złożyć zeznania, postarać się doprowadzić do wyjaśnienia sprawy. Chyba że...

– ...sam jest zabójcą – dokończyła Anna.

Spojrzały na siebie.

– To Logan – powiedziała Dalina. – Zamordował kobietę.

Wargi Anny zadrżały.

– Tylko dlaczego? – szepnęła. – Dlaczego?

## 2

Kate właśnie zmierzała do domu Caleba Hale'a, kiedy zadzwonił jej telefon. Odebrała, korzystając z trybu głośnomówiącego.

– Colin? – zapytała.

– Cześć, Kate. Jak się masz? – Głos Colina jak zwykle brzmiał bez troski i swobodnie. Kate od dawna jednak wiedziała, że to tylko pozory, fasada, za którą ukrywał się człowiek dręczony wątpliwościami, bo nie potrafił sprostać wizerunkowi, do którego aspirował. Poznali się wiele lat temu na Parshipie, ale nie połączył ich romans. Raczej nieco dziwaczna przyjaźń dwojga ludzi, którzy czuli się nieco zagubieni.

– Całkiem dobrze, dziękuję. Mamy trudny przypadek. I do tego tuż przed świętami. Kompletny miszmasz.

– Czytałem o tym – powiedział Colin. Nadal mieszkał w Londynie, ale z niesłabnącym zainteresowaniem śledził doniesienia kryminalne z North Yorkshire. Jeśli czegokolwiek zazdrościł Kate, to właśnie jej zawodu. Sam pracował jako konsultant IT w pewnej firmie i z każdym dniem był tym coraz bardziej znudzony. – Kobieta zasztyletowana w samochodzie...

– Tak. Potworna historia.

– Dzwonię w sprawie świąt – oznajmił Colin. Przez ostatnie dwa lata spędzał je u Kate. On nie miał nikogo, ona nie miała nikogo. Kate uważała go czasem za irytującego, niemniej kilka razy pomógł jej przetrwać najtrudniejszy okres w roku. Lubiła go.

– Chodzi o Ksenię – oznajmił Colin. Poznał tę młodą Rosjankę w trakcie prowadzonego przez Kate śledztwa, związali się z sobą. Ksenię wciąż czekało postępowanie w sprawie popełnionego przed laty czynu karalnego. Pomogła zatuszować zabójstwo dziecka, ale pozostawała w zależności i dlatego mogła liczyć na

łagodny wyrok. Zamieszkała u Colina w Londynie, była tam zameldowana i nie wolno jej było opuszczać miasta bez pozwolenia.

Kate domyśliła się, o co chodzi.

– Nie przyjdiesz w te święta?

– To takie skomplikowane. Ksenia nie może się stąd ruszać. Ale ty mogłabyś do nas przyjechać. Serio.

Kate wiedziała, że naprawdę tak myślał, uznała jednak, że w towarzystwie zakochanej pary obchodzącej pierwsze wspólne święta będzie się czuła jak piąte koło u wozu.

– Nie, świętujcie we dwoje. Dam sobie radę.

– Nie chcę, żebyś była sama – powiedział smutno Colin.

– Znajdę sobie kogoś – zapewniła Kate.

– A co z Calebem Hale’em?

– Właśnie do niego jadę.

– Jeśli się nie uda, przyjedziesz?

– Zobaczymy – odparła Kate.

Dom Caleba stał przy Wheatcroft Avenue, wysoko na South Cliff; z okien na piętrze roztaczał się widok na morze. Zamożna okolica, właściwie poza zasięgiem możliwości finansowych nawet tak wysoko postawionego inspektora jak Caleb Hale. Po zakończeniu służby w policji jego sytuacja materialna wcale się nie poprawiła. Kate wiedziała, że dom należał do jego byłej żony, która pochodziła z majątnej rodziny. Od dnia rozvodu Caleb opłacał czynsz, ale z pewnością nie było mu łatwo. Kate nie widziała go od wielu tygodni, nie dostawała odpowiedzi na SMS-y i pogodziła się z tym, że najwyraźniej potrzebował trochę czasu tylko dla siebie. Nie miała pojęcia, jak Caleb zarabia na życie. Tak dużego domu pewnie nie będzie w stanie utrzymać.

Skryta pod kobiercem śniegu ulica przypominała bajkowy krajobraz. Kiedy Kate zatrzymała się przed domem Caleba, zobaczyła dym unoszący się z komina. Niekoniecznie oznaczało to, że go zastanie, ale raczej nie wyjechał na dłużej z miasta. Kate wcale tego nie wykluczała. Po niepowodzeniach minionego lata był w kiepskim stanie psychicznym. Stres łagodził jednak nie tyle ucieczką, ile swoim wypróbowanym panaceum: alkoholem. Niestety, alkohol był po części odpowiedzialny za spiralę upadku Caleba Hale’a. Za pomocą alkoholu próbował uczynić swoje życie znośnym, ale tym samym je, rzecz jasna, niszczył. Czuł się uwięziony w beznadziei własnego uzależnienia. Kate była przerażona, widząc, jak zaczyna się poddawać. Wraz z utratą pracy jego codzienne życie straciło swoją strukturę – a ona właśnie stanowiła jedyną szansę na ocalenie.

Chodnik prowadzący do drzwi wejściowych pokrywała nienaruszona warstwa śniegu, Caleb widocznie od poprzedniego dnia nie wychodził z domu. Kate nacisnęła dzwonek do drzwi. Była gotowa na wszystko – liczyła się nawet z tym, że gospodarz powita ją pijany w sztok.

Wyglądał jednak całkiem zwyczajnie. Widywała go w znacznie gorszym stanie. Nie sprawiał wrażenia zaniedbanego. Miał na sobie dżinsy i starą bluzę, a we włosach drobiny kurzu, jakby pracował w jakimś niezbyt czystym kącie domu, w piwnicy albo na strychu.

– Och, Kate – powiedział. Zabrzmiało to neutralnie. Ani radośnie, ani drażliwie.

– Witaj, Caleb. Dawno się nie widzieliśmy.

– Racja. Zapraszam. – Zrobił krok do tyłu, Kate weszła do środka. Od razu zauważyła liczne pudła piętrzące się wzdłuż ścian.

– Przeprowadza się pan?

– Tak. Nie stać mnie już na czynsz. Dom i tak jest dla mnie zdecydowanie za duży. – Jego głos brzmiał cierpko, Kate wyczuła, że to pożegnanie sporo go kosztuje. Bardzo lubił ten dom.

Weszła za nim do salonu. Panował tam niebywały rozgardiasz: wszędzie piętrzyły się pudła, na ścianach widniały smutne żółtawe przebarwienia po zdjętych obrazach, na podłodze leżał zwinięty dywan.

– Kawy? – zapytał.

Przytaknęła. Przyglądała się, jak stojąc przy blacie w otwartej kuchni, włącza ekspres do kawy. Bez pytania zajęła miejsce przy pięknym, dużym stole jadalnym.

– Znalazł pan już nowe mieszkanie?

Skinął głową.

– Przy Zatoce Północnej. W jednym z tych wysokich domów przy Queen's Parade. Przynajmniej z widokiem na morze.

Kate знаła tę ulicę. Mimo szlachetnej nazwy był to dość zapuszczony zakątek. Kilka nowszych budynków, ale w większości stare, zawilgocone domy. Widok na morze był jednak wspaniały.

– Dlaczego nie jakiś niewielki domek z ogródkiem?

– Żaden ze mnie ogrodnik. – Przyniósł dwie filiżanki espresso i usiadł przy stole. – Co panią do mnie sprowadza, Kate?

Widać było, że nie pił. A przynajmniej nie tyle, by ktoś to zauważył. Miał jasny, trzeźwy wzrok.

– Najnowsza sprawa...

– Morderstwo młodej kobiety przed Harwood Dale?

– Zgadza się.

– Śledzę je w prasie. Pomyślałem o pani. Jakież tropy?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Sytuacja dziwnie się rozwija... – Opowiedziała o pozostawionych w samochodzie odciskach palców, które znaleziono również na miejscu zbrodni na Alvinie Malorym. Caleb słuchał uważnie i z rosnącym zainteresowaniem.

– To przecież... – Wstał, przeczesał ręką włosy, na powrót usiadł. Ta sprawa wyraźnie go uwierała. – To było straszne – powiedział. – Potworne.

– Raport medyczny rzeczywiście brzmi okropnie.

– Ten chłopak... Był strasznie poturbowany. Naprawdę się na nim wyżywali. W najbardziej brutalny sposób. Wie pani, że w naszym zawodzie wiele można zobaczyć, ale to było... przerażające.

– Czy w którymkolwiek momencie śledztwa istniały jakieś konkretne podejrzenia?

– Nie. Sprawdzaliśmy wszystkie tropy. Problem w tym, że dzień wcześniej odbyła się w domu impreza urodzinowa z udziałem licznych gości. Badanie pozostawionych śladów to był istny koszmar.

– Matka Alvina powiedziała mi, że jej syn przez całe życie był ofiarą mobbingu.

Caleb przytaknął.

– Z powodu otyłości. Musiał mieć ciężko, ale nie natrafiliśmy na żadne dowody napaści fizycznej. Rozmawialiśmy ze wszystkimi nauczycielami w jego szkole podstawowej i średniej. W Graham School pracuje szkolny pedagog, przeszkolony w zakresie rozpoznawania przypadków mobbingu i reagowania na nie. Zeznał, że Alvin był ofiarą wykluczenia, wyśmiewano go, czasem też przedrzeźniano. Kiedy na plaży odbywały się spotkania klasowe, nie zapraszano go. Zajęcia taneczne były dla niego prawdziwą torturą, bo nie mógł, rzecz jasna, znaleźć partnerki. Były też prostackie wygłupy, dziewczyny, które się z nim umawiały, zjawiały się na miejscu z paczką koleżanek, żeby z niego szydzić. Takie rzeczy były na porządku dziennym, z pewnością bardzo cierpiał. Nie znaleźliśmy jednak żadnych dowodów przemocy. Zwłaszcza takich rozmiarów. Płyn do czyszczenia kanalizacji...

– To zupełnie niewiarygodne.

– Dawno nie widziałem jego rodziny.

Kate zrelacjonowała mu wizytę u Malorych. Caleb potrząsnął smutno głową.

– Jedna wielka tragedia. Już wtedy podejrzewałem, że ojciec długo nie wytrzyma. Nigdy nie miał dobrych relacji z synem, który był dla niego ogromnym rozczarowaniem. I nie mógł sobie poradzić z faktem, że pani Malory uczyniła z opieki nad chłopcem sens swojego życia.

– To zrozumiałe – przyznała Kate. – Co to za życie.

Wyjęła z torebki wydruk komputerowy i podsunęła go Calebowi.



– To portret pamięciowy sporządzony według zeznań ludzi wynajmujących Diane Bristow mieszkanie. Najwyraźniej przyjaźniła się z tym człowiekiem. Zakładamy, że to jego odciski palców znaleziono w jej samochodzie, a także zabezpieczono na miejscu zbrodni na Alvinie Malorym.

– Uważa pani, że to on jest sprawcą?

– Jest co najmniej dziwne, że od dnia przestępstwa się ukrywa. Jego dziewczyna zostaje zamordowana, a on, choć mógłby nam pomóc w znalezieniu jakiegoś tropu, jakby zapadł się pod ziemię.

– Rzeczywiście, nie przemawia to na jego korzyść. – Caleb spojrział w zamyśleniu na portret. – Niestety, ten wizerunek nikogo mi nie przypomina. Chyba nigdy nie widziałem tego człowieka.

– Mówi się, że jest bardzo wysoki. Ponad metr dziewięćdziesiąt.

– Nie. – Caleb oddał jej wydruk. – Myślę, że zapamiętałbym tak wysokiego mężczyznę z bujną czupryną, gdybym natknął się na niego w trakcie mojego dochodzenia.

– Tak, zapewne – przyznała zawiedziona Kate. – Przejrzałam dokumentację tamtego śledztwa. Prześwietlił pan całe środowisko tego chłopca.

– Wszystko. Jak już wspomniałem, przede wszystkim szkołę. Wszystkie klasy wyższe i niższe. Środowisko rodziców, klientów warsztatu samochodowego, przyjaciół biznesowych. Sąsiadów. Sprawdziliśmy wszystkie czaty w komputerze Alvina. Rozmawialiśmy ze wszystkimi obecnymi na urodzinach matki. Niczego ani nikogo nie pominęliśmy. Ale nic się nie potwierdziło. Kompletnie nic. Aż rozpacz bierze.

– Najdziwniejsze, że kiedy przeglądałam dokumenty tamtej sprawy, miałam wrażenie, że coś mi nie pasuje. Że coś zostało przeoczone.

– Przeoczone?

– Czegoś mi brakowało. Ale to był tylko cień myśli, której teraz nie potrafię już pochwycić. – Kate potrząsnęła głową. – Na pewno powróci.

Przytaknął. Wiedział, że nie ma sensu dalej drążyć.

– Jakie wysnuł pan przypuszczenia w tej sprawie? – zapytała rzeczowo Kate.

Caleb uniósł bezradnie ramiona.

– Zemsta. To była moja pierwsza myśl. Kto zrobiłby coś takiego drugiemu człowiekowi, jeśli nie z nienawiści?

– Czy myślał pan o jednym sprawcy? A może o kilku?

– Trudno powiedzieć. Alvin Malory nie był łatwym przeciwnikiem, choćby ze względu na swoją tuszę. Powalenie na ziemię prawie stu siedemdziesięciu kilogramów nie jest takie proste. Z drugiej strony, zważywszy na jego charakter, mógł się w ogóle

nie bronić. A zatem możliwe są w tym przypadku oba scenariusze: jeden sprawca albo kilku.

– I nigdzie nie pojawiło się nazwisko Diane Bristow?

– Nie. Jednak ze względu na jej wiek nie można wykluczyć, że w tym samym czasie chodziła do tej samej szkoły co Alvin. Mogła figurować na jednej z tych niekończących się list z nazwiskami, które wtedy studiowałem, ale pamiętałbym, gdyby to w jakikolwiek sposób okazało się przydatne.

– Rozumiem. Inspektor Graybourne ustali dziś, do jakiej szkoły chodziła Diane i czy ma to jakiś związek z Alvinem.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Tak, słyszałem o inspektor Graybourne. O tym, że przejęła wydział.

– Zna ją pan?

– Przed laty byliśmy razem na tygodniowym szkoleniu. W Brighton. Graybourne się wyróżniała, była bardzo dobra. Z pewnością nie jest to zła decyzja. Ale wolałbym na tym stanowisku zobaczyć panią, Kate.

Kate dopiła swoje espresso i wstała.

– Tego nie należało się spodziewać – oznajmiła. – Po wydarzeniach ostatniego lata. Caleb także podniósł się z miejsca.

– Zapewne – przytaknął, po czym oboje umilkli na chwilę, myśląc o minionym lecie, o własnym przerażeniu, o sukcesach i niepowodzeniach, a także o tym, że pewnie nigdy się nie dowiedzą, czy postąpili słusznie. W ich profesji złe decyzje mogą mieć katastrofalne skutki. Fakt ten był jednym z powodów, które skłoniły Caleba do porzucenia zawodu.

Kate pierwsza przerwała milczenie.

– Przeprowadza się pan przed świętami?

– W poniedziałek – odparł Caleb.

Najchętniej zapytałaby, jak zamierza spędzić święta, ale się nie odważyła, gdyż odmowa sprawiłaby jej ból. Będzie rzecz jasna zajęty rozpakowywaniem pudeł, przestawianiem mebli. Czeka go mnóstwo pracy.

Zadała jednak inne pytanie. Kołatało jej się po głowie już od dłuższego czasu.

– Czy... czy znalazł pan nową pracę? – Musiał przecież z czegoś żyć. Złożył wypowiedzenie, nie otrzymał więc żadnej odprawy.

– Pracuję w Sailor's Inn – oznajmił Caleb. Słysząc było, że bardzo się stara, by zabrzmiało to lapidarnie.

Kate zmarszczyła brwi.

– W Sailor's Inn? To przecież pub.

– Wiem.

– Czy to... rozsądne? – Ugryzła się w język. Czuła, że przekroczyła pewną granicę. Caleb się zaśmiał, ale nie wyglądał na wesołego.

– Przynajmniej trochę się na tym znam.

Kate zrozumiała, dlaczego tak długo się nie odzywał: nie był skory do opowiadania o tym etapie swojego życia.

Caleb Hale jako barman.

Gdyby nie kryjąca się za tym tragedia, byłoby to nawet zabawne.

### 3

W drodze powrotnej do biura Kate odebrała telefon od Pameli.

– Czy może pani przyjechać do Runswick Bay? Do Runswick Bay Cottages. Coś tu mamy. – Po tych słowach szefowa się rozłączyła, wszelkie dalsze pytania zamarły Kate na ustach.

Muszę do tego przywyknąć, pomyślała i zawróciła samochód.

Zbliżając się do Bay Cottages, od razu wiedziała, o który dom chodzi, ponieważ stały tam dwa wozy patrolowe oraz jeszcze jeden samochód, a w pobliżu krążyło kilku policjantów. Kate od dawna nie była w Runswick Bay, pamiętała jednak, że jako dziecko spędziła tam wraz z rodzicami niejedno letnie niedzielne popołudnie. Plaża była tam nader urocza, z miękkim, bardzo białym piaskiem. Teraz wszystko pokrywał biały puch, który jednak zaczynał topnieć na ulicach, odsłaniając lśniący, czarny, mokry asfalt. Na poboczach dróg śnieg przybrał barwę brudnej szarości.

Pamela wyszła jej naprzeciw. Miała na sobie zimowe buty i szeroki, rozwiany płaszcz. Na dłoniach jednorazowe rękawiczki.

– Jest pani wreszcie! – Zabrzmiało to tak, jakby Kate zawsze i wszędzie się spóźniała. – W jednym z domków dokonano włamania. Właściciel zadzwonił godzinę temu na policję.

To chyba nie było wszystko, w przeciwnym razie nie wezwano by na miejsce ekipy kryminalistycznej.

– Byłam u komisarza Hale’a – poinformowała Kate, mimowolnie używając przed jego nazwiskiem ostatniego stopnia, którego już nie posiadał. – Wypytałam go o śledztwo w sprawie Alvina Malory’ego.

Zdała sobie sprawę, że jej słowa brzmią jak usprawiedliwienie. Tylko dlatego, że odniosła wrażenie, iż w głosie Pameli słyszy nutkę krytycyzmu. Musi się uodpornić. Może Pamela wcale nie zamierzała niczego jej wypominać.

– Koledzy z patrolu nas powiadomili – oznajmiła Pamela, nie zważając na wyjaśnienia Kate. – Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to zwyczajne włamanie. Właściciel zjawił się dzisiaj, bo potrzebował kilku przyborów kuchennych i sądził, że je tutaj znajdzie. Kiedy otworzył drzwi i wszedł do środka, zaskoczył mężczyznę, który najwyraźniej rozgościł się samowolnie w domku. Człowiek ten natychmiast rzucił się do ucieczki, wydostał się przez jedno z okien, które jak ustalili funkcjonariusze, zostało wcześniej otwarte. Prawdopodobnie w ten sposób intruz dostał się do środka. Uciekając, zostawił jednak plecak.

Mówiąc to, Pamela ruszyła z powrotem do domku, a Kate podążyła w ślad za nią. Weszły do niskiego budynku o pobielonych ścianach i pomalowanych na czerwono drzwiach. Wnętrze wyglądało czysto, funkcjonalnie i przytulnie. Klasyczny domek, w którym latem zatrzymywały się pary lub małe rodziny.

Na miejscu zdarzenia byli już specjaliści od zabezpieczenia śladów. Pośrodku pomieszczenia stał jakiś człowiek, chyba właściciel, gdyż ciągle powtarzał „Uwaga!” oraz „Czy musicie wszystko przestawiać?”. Wyglądał na poirytowanego i zestresowanego.

– Pan Balton – szepnęła do Kate Pamela – właściciel domku.

Podniosła leżący na krześle plecak.

– Koledzy znaleźli go tutaj, przyjrzeni mu się i oto co w nim odkryli. – Wyciągnęła zdjęcie, prawdziwą fotografię, rzadkość w dobie smartfonów. Kate od razu rozpoznała uwiecznioną na nim kobietę: Diane Bristow.

– Ach – powiedziała zaskoczona.

Pamela odwróciła zdjęcie. Widniał tam napis *Dla Logana*, a dalej trzy małe całuski.

– Zbiegły chłopak? – zapytała Kate.

– Być może. Torbę z dokumentami oraz telefon komórkowy najwyraźniej zdołał z sobą zabrać. Znaleźliśmy jednak pismo z wypowiedzeniem pracy na stacji benzynowej, adresowane do pana Logana Awbreya zamieszkałego w Bath.

– W Bath?

– Tak. Trochę daleko stąd. Poprosimy tamtejszych kolegów o wsparcie.

– Słusznie.

– Jestem bardzo ciekawa wyników badań kryminalistycznych. Jeśli znajdziemy te same odciski palców co w samochodzie Diane i w jej mieszkaniu, będzie to oznaczało, że oto mamy jej tajemniczego chłopaka.

– Który najwyraźniej przed kimś ucieka.

– Tak, w przeciwnym razie pewnie nie ukrywałyby się w domkach letniskowych. I już dawno gdzieś by się zameldował.

– Być może jest niewinny – zauważyła Kate – ale sądzi, że zostanie uznany za podejrzanego.

– Możliwe. Ale mało prawdopodobne.

Wyszły z domku.

– Czy właściciel potrafił opisać Awbrea? – zapytała Kate.

– Niezbyt dokładnie – odparła Pamela. – Panował mrok i wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zauważył tylko tyle, że mężczyzna był niezwykle wysoki. Na pewno ponad metr dziewięćdziesiąt. Dwóch naszych ludzi rozpytuje w okolicy. Niektóre domki są zamieszkałe przez cały rok. Może ktoś coś widział.

– Niezwykle wysoki – powtórzyła Kate. – Pokrywa się to z informacjami podanymi przez właścicieli mieszkania Diane Bristow.

– Chodźmy – zaproponowała Pamela. – Usiądźmy na chwilę w moim samochodzie.

Pojazd był bardzo zadbane. Na tylnym siedzeniu leżała para czerwonych czółenek na wysokim obcasie.

Oho, pomyślała Kate.

Pamela rozparła się w fotelu kierowcy.

– Coś tu nie gra. Sprawdziłam, czy Diane Bristow i Alvin Malory mogli się znać ze szkoły, ale ona uczyła się w Whitby i dopiero później przeniosła się do Scarborough. Rozmawiałam też ze wszystkimi uczestnikami kursu gotowania. A także z prowadzącą, Anną Carter, oraz z właścicielką Trouvemoi Daliną Jennings. Anna Carter, podobnie jak Diane Bristow, mieszka w Harwood Dale, w pierwszym domu przy Harwood Dale Road, patrząc od strony Scalby. Tamtego wieczoru wracała mniej więcej w tym samym czasie co Diane, ale twierdzi, że nic niezwykłego nie zauważyła. Rozmawiałam również z właścicielami mieszkania Diane Bristow. I ponownie z matką Diane. Z personelem hotelu Crown Spa, zwłaszcza z jej przyjaciółką Carmen.

Kate musiała przyznać, że Pamela była bardzo sumienna. Tyle rozmów w tak krótkim czasie... Ani chwili wytchnienia. Pewnie dlatego wyglądała na tak wyczerpaną.

– I nic – powiedziała – żadnej pożytecznej wskazówki. Ta Diane rzeczywiście musiała być wyjątkowo introwertyczna. Nie zwierzała się nawet swojej przyjaciółce Carmen – jedynej przyjaciółce, jak zapewniła jej matka. I nikt, absolutnie nikt poza gospodarzami domu nie wiedział, że ma chłopaka.

– Może nie był jej chłopakiem, w sensie: ukochanym. Tylko zwyczajnym kumplem?

– Często u niej nocował, jak twierdzą właściciele domu.

– To jeszcze niczego nie przesądza.

– A zdjęcie? Dla Logana. I te całuski. Czyżby dla kolegi?

– To także możliwe – uznała Kate. – Wiele jednak wskazuje na to, że był dla niej kimś więcej. I z jakiegoś powodu również jej najpilniej strzeżonym sekretem.

Pamela raptownie zmieniła temat.

– Była pani u Caleba Hale’a?

– Tak.

– Czy był trzeźwy?

Kate aż się wzdrygnęła. Wiedziała, że wszyscy o tym wiedzą, ale bezceremonialność Pameli ją przeraziła.

– Tak – odparła chłodno.

– Ma pani szczęście. – Pamela się uśmiechnęła. – I co? Pokazała mu pani portret? Czy coś sobie przypomniał?

– Nie. W trakcie dochodzenia w sprawie Alvina Malory’ego nie natknął się na nikogo o takim wyglądzie. Podsunę mu jeszcze nazwisko Logana Awbrey’a. Może on gdzieś się w śledztwie pojawił. Problem w tym, że nie znaleziono wówczas żadnego śladu. Nic.

Pamela bębniła palcami po kierownicy.

– Tak. Można zwątpić.

– Na razie wiemy tylko tyle, że w domu Malorych znaleziono odciski palców domniemanego zabójcy Diane Bristow – stwierdziła Kate. – To jednak wcale nie musi oznaczać, że w obu przypadkach chodzi o tego samego sprawcę. Morderca Diane mógł być wtedy gościem na imprezie urodzinowej, ale nie miał nic wspólnego ze zbrodnią na Alvinie Malorym.

Pamela wydawała się nieco poirytowana.

– Tak, rzeczywiście. Wszystko jest możliwe. Skoro nie jesteśmy zalewani wskazówkami, musimy oprzeć się na tym, co mamy. W tej chwili zakładam, że poznamy zabójcę Diane, jeśli znajdziemy sprawcę przestępstwa na Alvinie – i odwrotnie. Muszę się na czymś oprzeć, a wobec braku dalszych dowodów skupiam się teraz na tej właśnie kwestii.

W swoim życiu zawodowym Kate niejednokrotnie się przekonała, że zbytne skupianie się na jednej teorii może przesłonić inne możliwości, szybko jednak przełknęła uwagę na ten temat. Jej szefowa miała rację co do jednego: błądzili jak we mgle i musieli trzymać się tych kilku pozyskanych okruchów, w przeciwnym razie nie posuną się naprzód ani o krok.

– W poniedziałkowy wieczór idzie pani na kurs gotowania? – zapytała Pamela. – Nie spodziewam się zbyt wiele, bo już rozmawiałam z jego uczestnikami, ale może czegoś się jeszcze pani dowie. Ludzie są czasem bardziej otwarci, kiedy nie mają do czynienia z policją, a pani na razie działa pod przykrywką.

– Co niespecjalnie mi się podoba – odparła Kate, choć musiała przyznać, że zapisując się na kurs, sama podała zmyślony zawód. Co akurat okazało się korzystne.

– Zupełnie nie rozumiem, po co pani zawraca sobie tym głowę – powiedziała Pamela. – Randki online, zajęcia kulinarne dla singli... i co tam jeszcze oferują. Myślę, że to strata czasu.

Kate nie znosiła rozmów z szefową o tym aspekcie swojego życia. To jej prywatna sprawa i nikogo nie powinna obchodzić.

– Robię to po raz pierwszy – wyjaśniła. Skłamała, istniały jednak granice zwierzeń wobec Pameli, którą dopiero co poznała. – Chodzi mi jedynie o towarzyskie spotkania. Można się z kimś zaprzyjaźnić. To nie musi być od razu wielka miłość.

– Wielka miłość nie zawsze człowieka uszczęśliwia – odparła Pamela. – Niekiedy jest wręcz odwrotnie. Czasem lepiej w ogóle jej nie spotkać.

Zabrzmiało to tak, jakby doznała w swoim życiu sporo rozczarowań, ale Kate poniechała dalszych pytań. Być może silnej Pameli przytrafiło się coś, co spotkało też Kate dwa lata wcześniej, gdy poznała mężczyznę, w którym zakochała się całym sercem, bezgranicznie. Widziała przed sobą szczęśliwą przyszłość, wspólne życie, poczuła się tak, jakby po długiej, samotnej wędrówce wreszcie dotarła do celu. Po niedługim czasie okazało się, że ją wykorzystał, markując jedynie swoje uczucia do niej. Późniejsze miesiące stały się dla Kate jednym z najmroczniejszych okresów w jej życiu.

Przez chwilę obie milczały, czując, że zbliżyły się do siebie o krok, choć niezupełnie przekonane, czy w ogóle pragną tej bliskości.

Zabrzęczał telefon komórkowy Pameli, rozpraszając nieprzyjemne uczucie, które nimi owładnęło.

Słuchała uważnie, odpowiadając tylko z rzadka „tak” oraz „rozumiem”. Z przymocowanego do deski rozdzielczej pliku oderwała karteluszek i coś na nim nagryzmoła. Gdy skończyła rozmawiać, wręczyła Kate notatkę.

– Dzwonili koledzy z Bath. Sprawne chłopaki. Udali się do mieszkania Logana Awbrey. Jak można się było spodziewać, nikogo nie zastali, ale udało im się porozmawiać z sąsiadką. Opowiedziała, że Awbrey miał spore kłopoty z właścicielem, ponieważ zalegał z czynszem. Pod koniec października nagle, z dnia na dzień zniknął. Zostawił meble, a nawet większość swoich rzeczy. Zapisałam numer telefonu właściciela. Drugi numer należy do stacji benzynowej, gdzie Logan Awbrey pracował jako kasjer. Stamtąd pochodzi znalezione przez nas wypowiedzenie. Najlepiej będzie, jeśli obdzwoni pani oba numery, może pojawią się jakieś nowe informacje. W obu przypadkach policja z Bath zapowiedziała kontakt z naszej strony. – Skinęła Kate, która z ulgą opuściła samochód. Usiadła w swoim pojeździe, wyciągnęła telefon

komórkowy. Zadanie mogła wykonać od razu. Czekając na zgłoszenie się gospodarza, patrzyła na stojących przed domkiem policjantów, pokrytą śniegiem plażę, ciemne fale morza. Zaczął się przypływ, później w ciągu dnia plaża się powiększyła i wypełniła ją wodorosty oraz wyrzucone na brzeg kawałki drewna. Dawno tędy nie spacerowała. Postanowiła, że wróci tu w któryś z kolejnych weekendów.

Kiedy właściciel mieszkania, pan Howell, wreszcie odebrał, zaczął pomstować, gdyż od kilku miesięcy nie otrzymywał czynszu, co tylko częściowo zdołała zrekompensować kwota kaucji. Ponadto musiał ponieść koszty sprzątnięcia, bo najemca zostawił po sobie, jak to określił, „całe to swoje barachło” i dlatego do tej pory nie mógł ponownie wynająć mieszkania.

– W maju stracił pracę. Z początku słowem o tym nie wspomniał. Potem przestał płacić czynsz. Zadzwoń do niego. Twierdził, że znalazł już nowe zajęcie. Ale to nie była prawda. Nie otrzymałem żadnych pieniędzy. Byłem zbyt dobroduszny, za długo dawałem się zwodzić. Potem wymówiłem mu najem, ale on w ogóle nie zareagował. Zagroziłem mu pozwem. Wtedy zwiął. Pod osłoną nocy. Zniknął bez śladu.

Zrobił pauzę dla złapania oddechu.

– To naprawdę godne pożałowania – czym prędzej wtrąciła się Kate. – Ale już go szukamy, a pan może nam pomóc, podając jakieś wskazówki.

Pan Howell znów zaczął się irytować.

– Najwyższy czas. To naprawdę najwyższa pora, żeby policja zajęła się takimi ludźmi!

– Czy wie pan coś o jego powiązaniach, panie Howell? Przyjaciele? Znajomi? Czy miał dziewczynę? Czy domyśla się pan, dokąd mógł się udać? Do kogo?

Pan Howell aż prychnął.

– Nic nie wiem. I nie chcę nic wiedzieć o moich lokatorach. To mnie nie interesuje. Pokazał poświadczenie stałego zatrudnienia i to wystarczy.

– Wie pan, dlaczego stracił pracę?

– Nie mam pojęcia. Chcę tylko moich pieniędzy. Jak pani sądzi, kiedy go złapiecie? Kate też chciałaby to wiedzieć.

– Tego nie potrafię panu powiedzieć, panie Howell. Bardzo proszę o kontakt, jeśli przypomni pan sobie coś istotnego. Zanotuje pan mój numer?

Pan Howell niechętnie zapisał numer, po czym powiedział:

– Niech pani weźmie się do roboty. Czy myśli pani, że mnie ktoś pomaga?

Po czym się rozłączył.

Miły gość, nie ma co, pomyślała Kate. Zadzwoń na stację benzynową, gdzie pracował Logan Awbrey. Odebrała kobieta o młodym, pogodnym głosie; była znacznie



bardziej uprzejma od sfrustrowanego i rozgniewanego pana Howella. Koledzy z policji w Somerset odwiedzili ją zaledwie trzy kwadranse wcześniej.

– Tak, pracował tutaj – wyjaśniła. – Na stacji benzynowej prowadzimy bar z przekąskami. Logan pracował przy kasie, ale także w obsłudze. Pracujemy na zmiany.

– Słyszałam, że został zwolniony?

– Tak... – przyznała kobieta z wahaniem.

– Dlaczego?

Westchnęła.

– Nie wspomniałam o tym pani kolegom, ale w końcu i tak się pani dowie. Podbierał z kasy pieniądze. Zawsze mieliśmy rozbieżności w rachunkach, w końcu przyłapaliśmy go na gorącym uczynku. Został natychmiast zwolniony.

– Ale nikt na niego nie doniósł?

– Nie. Szef lubił Logana, nie chciał przysparzać mu kłopotów. Ale oczywiście nie zamierzał tego dłużej tolerować.

– Czy Logan Awbrey był ogólnie lubiany?

– Tak, zawsze był uprzejmy. Nie grymasił, nie był drażliwy. Chociaż...

– Tak?

– Zawsze zachowywał lekki dystans. Albo raczej: miłą powierzchowność. Tak, otóż to. Sympatyczny i powierzchowny. Fajnie było z nim poartować, ale niewiele się o nim wiedziało.

Podobnie, choć w inny sposób, zachowywała się Diane, pomyślała Kate. Ona także nic o sobie nie mówiła. Co łączyło tych dwoje młodych ludzi? Czy byli kochankami? Czy raczej współnikami?

Dlaczego Diane leżała zasztyletowana w swoim samochodzie?

Czy Logan Awbrey był jej zabójcą?

– Czy Logan kiedykolwiek wspomniał o Diane Bristow? – zapytała Kate.

Młoda kobieta na chwilę się zamyśliła.

– Nie – odparła. – Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

– Czy poza tym opowiadał o ludziach, sprawach, wydarzeniach ze swojej przeszłości?

– Właściwie to nie. Gdy teraz o tym myślę, uświadamiam sobie, że tak naprawdę nic o nim nie wiem. I pewnie nikt z nas, bo to ja spędzałam z nim większość czasu. Często pracowaliśmy na tej samej zmianie.

– Ale o czymś się jednak w pracy rozmawia?

– No tak. Ale zawsze były to sprawy w danej chwili aktualne. Opowiadał o gotowaniu. Że odkrył nowe, wspaniałe i bardzo drogie wino. Czasami obgadywał

rodzinę królewską. Albo rząd. Takie tam rzeczy. Jak już mówiłam, nie sposób go było bliżej poznać.

– Jak długo pracował na stacji benzynowej? Wie pani, czym się wcześniej zajmował?

– Był tu od początku dwa tysiące osiemnastego. Kiedyś zapytałam go, gdzie poprzednio pracował, ale odpowiedział: to tu, to tam. Myślę, że utrzymywał się dzięki dorywczym zajęciom, przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

– To znaczy, że nic pani nie wie o jego przeszłości?

– Nie. Nic. Kiedyś wspomniał, że nie ma rodzeństwa. To wszystko.

– Czy mówił o Yorkshire? Scarborough? Że zna ludzi z tamtych okolic?

– Nie. Nigdy. Sprawiał wrażenie, jakby pojawił się znikąd.

A ciebie to nie zaciekało, pomyślała Kate. Ta młoda kobieta była jak jej głos: miła, wesoła, powierzchowna, naiwna.

– Mówiła pani, że Logan Awbrey prawdopodobnie kilkakrotnie podbierał z kasy pieniądze. Tymczasem sporo zalegał z czynszem. Najwyraźniej miał problemy finansowe. Czy wie coś pani na ten temat?

– O tym też nic nie mówił. Ale myślę, że po prostu żył rozrzutnie. Wspominałam już o drogich winach, które kupował. Czasem chodził też do restauracji, o których ja mogę tylko pomarzyć. Latem dwa tysiące osiemnastego wybrał się w podróż na Kubę. Mnie na to nie stać. A zarabialiśmy tyle samo.

Może to tylko życie na zbyt wysokiej stopie. A może kryje się w tym coś groźniejszego. Czy Logan Awbrey był szantażowany? Czy wplątał się w działalność przestępczą? Czy ma to związek ze śmiercią Diane Bristow?

Poprosiła młodą kobietę, by zadzwoniła do niej, jeśli coś sobie przypomni, po czym zakończyła rozmowę. Zatopiona w myślach, jeszcze przez chwilę przyglądała się krzątającym się wokół policjantom i specjalistom od kryminalistyki. Pamela już dawno odjechała.

Kate mozolnie manewrowała samochodem, usiłując wyjechać z parkingu. Ponownie skontaktuje się zarówno z Calebem Hale'em, jak i z Louise Malory, matką Alvina, i skonfrontuje ich z najnowszą wskazówką: nazwiskiem Logana Awbreya. Może któreś z nich je skojarzy.

Z jakiegoś powodu Kate nie miała jednak złudzeń.

Jak można się było spodziewać, nikt nie winił mnie za bolesną śmierć babci. Moja mama znalazła w końcu inhalator w szufladzie z bielizną i strasznie się zdenerwowała.

– Po sto razy jej powtarzaliśmy! Że powinna go stale z sobą nosić. Przez cały czas. Zawsze gdzieś go kładła, a potem musiała szukać! Kto by podejrzewał, że jest w tej szufladzie?

Zaklinałem się ze łzami w oczach, że szukałem wszędzie i że były to najgorsze chwile w moim życiu.

– Niepotrzebnie tak długo szukałem inhalatora – łkałem. – Należało od razu wezwać karetkę.

Moje poczucie winy matka starała się zdusić w zarodku.

– Nie, na litość boską, nie obwiniaj się! Nie zrobiłeś nic złego. Wystarczy, że musiałeś być świadkiem czegoś tak okropnego. Niestety, to babcia zbyt lekkomyślnie traktowała swój stan.

Nawet ojciec mnie pocieszał.

– Synu, nie jesteś niczemu winny. Wielokrotnie ostrzegaliśmy babcię. Ta kobieta po prostu nie potrafiła utrzymać porządku. I to się na niej zemściło.

Spodobała mi się rola faktycznej ofiary tej tragedii. Miałem jedenaście lat, byłem naocznym świadkiem śmierci mojej babci i wszyscy strasznie mi współczuli. Opychałem się słodyczami, czym tylko się dało, robiłem to bez żadnych skrpułów, bo matka nie miała odwagi zaprotestować. To był mój sposób radzenia sobie z traumą. Kiedy ojciec skrytykował mnie kiedyś za coraz większe spożycie czekolady i żelków, mama natychmiast ostro mu przerwała:

– Zostaw go w spokoju. On teraz tego potrzebuje. To jego pancerz!

– No, pancerz ma grubszy niż potrzeba – odparował ojciec, taksując moje ciało z nieskrywanym obrzydzeniem.

– Nie chcę, żebyś tak się do niego odnosił! – ofuknęła go matka.

Ojciec nic więcej nie powiedział, ale od tej pory coraz mniej czasu spędzał z nami, ze swoją rodziną. Odziedziczył po babci żaglówkę, a także przyczepę kempingową, która stała na polu namiotowym gdzieś w lasach Lincolnshire. Zabrał nas tam kilka razy, ale umieraliśmy z nudów. Ojciec interesował się okoliczną florą i fauną, zbierał rośliny, fotografował zwierzęta, ja jednak nie wiedziałem, co z sobą począć i przez większość czasu tylko marudziłem. Aż ojciec zaczął jeździć sam.

Bardzo mnie to ucieszyło.

Równocześnie jednak czułem się coraz bardziej samotny i opuszczony. Wewnątrz aż dygotałem z zimna. Choć na dworze było ciepło, w środku czułem nieustanne dreszcze. Wcześniej zrozumiałem, że samotność jest dojmującym uczuciem chłodu.

Tak bardzo tęskniłem za tym, by gdzieś przynależeć. Do mojej klasy. Do klubu. Być uznanym i cenionym członkiem społeczności. A nie tylko wyśmiewanym i wykluczonym. Ignorowanym.

Przede wszystkim tęskniłem za przyjacielem. Albo przyjaciółką. Za osobą, przed którą mógłbym się otworzyć, której mógłbym się zwierzyć. Miałem mamę, która stała po mojej stronie, ale to co innego. Należała do innego pokolenia, bywało, że każde z nas mówiło własnym językiem. A poza tym: co za niefart, mieć za przyjaciółkę jedynie własną matkę! Nie znosiłem chodzić z nią na zakupy ani dokądkolwiek, choć czasem to robiłem, żeby nie gapić się nieustannie na ściany własnego pokoju. Zostawałem jednak w samochodzie, podczas gdy ona szła po sprawunki. Za bardzo się bałem, że zobaczy mnie któryś kolega ze szkoły.

Miałem czternaście lat, gdy do naszej klasy dołączyła Mila.

Kilka tygodni przed Wielkanocą razem z matką przeprowadziła się do naszego miasta z Sheffield. Jej ojciec zmarł po ciężkiej chorobie, matka znalazła pracę w administracji miejskiej. Mila była raczej niepozorna. Drobną, nieśmiałą. Miała duże oczy osadzone w długiej, wąskiej twarzy, przez co przypominała zalęknioną mysz. Chłopcy uznali ją za niewartą uwagi, dziewczyny za zbyt nieśmiałą, choć z jedną z nich, dość naiwną Sue Haggan, nawiązała nić przyjaźni. Zwykle jednak trzymała się na uboczu.

Zwietrzyłem szansę, by wreszcie z kimś się zaprzyjaźnić.

Ze szkoły do domu zawsze wracałem sam, nie w dużej grupie jak pozostali. Mila też zazwyczaj była sama. Nie mieszkała w pobliżu, ale przynajmniej kawałek drogi mogliśmy iść razem. Zebrałem się więc na odwagę i zagadnąłem do niej:

– Będziemy chodzić razem?

Ktoś inny z pewnością zrobiłby to zręcznie i śmieiej. Podszedłby, nawiązał rozmowę o którymś z nauczycieli albo o durnym trenerze drużyny piłki ręcznej, a potem zwyczajnie szedłby obok. Ja natomiast znów okazałem się niezdarny, nieporadny i totalnie spięty. Będziemy chodzić razem? Zabrzmiało to tak, jak w pierwszej klasie: Czy chcesz być moją dziewczyną?

Na to drugie pytanie w przeszłości zawsze słyszałem głośne „nie”, więc i tym razem się tego spodziewałem. Mila jednak – miałem taką nadzieję – była zbyt nieśmiała i zbyt dobrze wychowana, by mnie zwyczajnie zbyć. Nie była zachwycona, łatwo dało się to wyczuć, ale przez uprzejmość nie chciała nikogo urazić. Dlatego przytaknęła.

Od tej pory chodziłem z nią codziennie.

Reszta klasy obserwowała nas z drwiącym zdumieniem. Choćby z tego powodu Mila chętnie by się mnie pozbyła, ale nie wiedziała, jak to zrobić, nie sprawiając mi przykrości. Wracałem razem z nią do domu, a nawet czatowałem na nią rano na rogu ulicy, by móc jej towarzyszyć w drodze do szkoły. Ponieważ poruszałem się dość wolno, była zmuszona dopasować się do mojego tempa. Przynajmniej w ogóle spacerowałem. Zwykle to matka mnie podwoziła. Teraz więcej się ruszałem. W efekcie trochę schudłem, choć nie na tyle, by dało się to zauważyć.

Moja matka opowiadała wszystkim wokół, że mam dziewczynę, co większość przyjmowała ze zdumieniem i niedowierzaniem. Mila z pewnością nigdy nie nazwałaby się moją dziewczyną. Już prędzej moją ofiarą. Jej rosnąca niechęć była wręcz namacalna. Kilka razy zdołała mnie ominąć i pójść sama. Rankiem wybierała inną trasę, podczas gdy ja na próżno czekałem na rogu ulicy. Czułem narastającą złość. Uznałem, że aż tak beznadziejny nie jestem. Ona zaś poza tą głupią Sue nie miała przyjaciół. Powinna się cieszyć, że chcę spędzać z nią czas.

Sporo jej o sobie opowiedziałem. Na przykład o potwornej śmierci mojej babci i o tym, że zrobiłem wszystko, by ją uratować. Na próżno.

– To straszne – powiedziała Mila ze współczuciem.

Opowiedziałem jej także o swojej samotności. O tym, jak to jest trzymać się wciąż na uboczu. Być wyśmiewanym. Jak się czułem, gdy nazywano mnie *Tłuściochem*.

– Ale coś mógłbyś z tym zrobić – odpowiedziała ostrożnie Mila. – To znaczy, z tym *Tłuściochem*.

Nie znoszę, gdy ludzie tak mówią. Uważają, że to moja wina i wystarczy schudnąć, a wszystko będzie w najlepszym porządku. Poza tym odchudzanie jest przecież dziecinnie łatwe. Takie chuchro jak Mila zapewne nie rozumie, jak można się tak opychać.

Ona nie wie, co to uczucie głodu. Ani pustki.

– Nic z tym nie można zrobić – odpowiedziałem ostrym tonem.

Coś w moim spojrzeniu musiało ją przerazić, bo natychmiast się poddała.

– Skoro tak mówisz – odparła po prostu, ale w jej głosie, w jej oczach kryła się prawdziwa odpowiedź: Rób, co chcesz. To twoja sprawa. Twoje życie.

Niespodziewanie mocno mnie to ubodło. Jak mogła być taka obojętna? Oczywiście, mówiąc, że mogłem coś z tym zrobić, miała rację. Ale nie wykazała się przy tym wrażliwością, o nie.

Byłem poirytowany. Myślałem, że Mila jest osobą empatyczną, ale może była dużo bardziej przeciętna, niż sądziłem?

Następnego ranka nie czekałem na nią na rogu ulicy. Kiedy spotkałem ją później w szkole, miałem wrażenie, że poczuła ulgę. Kiedy w drodze powrotnej do domu

ponownie do niej dołączyłem, wyglądała na zaskoczoną. Miała pewnie nadzieję, że naprawdę się zezłościłem i że tym samym nasza kiełkująca przyjaźń dobiegła końca.

Skrywałem gniew, który pochwycił mnie swoimi ostrymi pazurami.

Aż mnie korciło, by jej powiedzieć, że jest niepozorna i mało atrakcyjna, ale przełknąłem tę uwagę. Mila była jedyną mizerną szansą, jaką miałem, żebym wciąż nie był sam. Nie chciałem jej urazić.

Nadal jej towarzyszyłem, stałem też przy niej na szkolnym podwórku, ignorując jej uniki i próby pozbycia się mnie. Kiedyś zrozumie, że do siebie pasujemy, widocznie potrzebuje trochę czasu.

Nastało lato, zrobiło się ciepło i codzienne chodzenie coraz bardziej mi doskwierało. Na domiar złego, mimo swojej wytrwałości, byłem rzecz jasna sfrustrowany zachowaniem Mili. Próbowałem to zrekompensować w sposób, w jaki zawsze radziłem sobie ze smutkiem, bólem i odrzuceniem: jadłem więcej niż kiedykolwiek.

W czerwcu Mila miała urodziny. Niestety, nie urządziła przyjęcia, choć i tak nie byłem pewien, czy zostałem zaproszony. Powiedziała, że razem z matką mają zamiar odwiedzić ciotecznego dziadka Jamesa w Sheffield i zjeść z nim ciasto. O dziadku kilkakrotnie wspominała. Była do niego bardzo przywiązana.

Zastanawiałem się, co mógłbym dać jej w prezencie. Na Wielkanoc dostałem pieniądze i udało mi się nie wydać wszystkiego na słodycze, ale trochę zaoszczędzić. Wybrałem się do jubilera i kupiłem cienki złoty łańcuszek ze złotym serduszkim. Był bardzo delikatny, tak jak Mila. Zawinałem pudełko w czerwony papier. W dniu jej urodzin złożyłem jej rano życzenia, które przyjęła z wymuszonym uśmiechem. Po szkole odprowadziłem ją aż pod jej dom, czego zwykle nie robiłem, bo odległość była dla mnie zbyt duża. Dzień był bardzo ciepły, na szczęście niebo zasnuły chmury. W palącym słońcu nie dałbym rady.

– A więc... do widzenia – powiedziała dość oficjalnie, gdy dotarliśmy przed brzydką kamienicę, w której mieszkała.

Uśmiechnąłem się.

– Mam coś dla ciebie. – Wyciągnąłem paczuszkę i jej podałem. – Dla ciebie. Na urodziny.

Wzięła ją do rąk, rozpakowała, ale wyglądała na zestresowaną i wcale nie była mile zaskoczona.

– Och – powiedziała, gdy zobaczyła złote serce. Zabrzmiało to neutralnie.

Zebrałem się na odwagę. Uśmiechnąłem się do niej, zrobiłem krok w jej stronę, objąłem ją. I pocałowałem w usta.

Zamarła na chwilę, po czym wyrwała się i cofnęła. Po raz pierwszy zobaczyłem w jej oczach gniew.

– Zwariowałaś?! – krzyknęła. – Chyba ci odbiło!

– Dzisiaj są twoje urodziny i my...

– Nie ma żadnych *nas* i nigdy nie będzie – powiedziała. Mówiła ciszej, ale nadal dało się wyczuć jej złość. Oraz determinację. – Nie chcę tej... tej przyjaźni. Nie chcę chodzić z tobą codziennie do szkoły. Ani wracać do domu. Nie chcę, żebyś stał obok mnie na szkolnym podwórku. Po prostu chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju.

Gapiłem się na nią skonsternowany.

– Ale... ty nie masz nikogo innego. Masz tylko mnie.

– To nieprawda, spędzałabym więcej czasu z Sue, gdybyś ty przez cały czas nie stał przy mnie. A poza tym... już wolę nie mieć żadnych przyjaciół niż ciebie! – prychnęła.

Nigdy bym nie uwierzył, że Mila potrafi być taka harda. Mój nieporadny pocałunek wyzwolił w niej falę wściekłości. Później będzie tego żałować, nie miałem co do tego wątpliwości, ale w tym momencie coś w niej pękło.

– Dobrze wiesz, że czuję się przy tobie przytłoczona. Ale ty nic sobie z tego nie robisz. Ignorujesz każdy mój sygnał. To jest chore. To po prostu nie jest normalne!

Z przerażenia poczułem zawroty głowy i na chwilę zamknąłem oczy. Chętnie bym gdzieś usiadł, ale w pobliżu nie było żadnej ławki. Przytrzymałem się ogrodzenia, przy którym staliśmy, uczepiłem się jednego z żelaznych słupków.

– Przestań – szepnąłem.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego – powiedziała stanowczo Mila. Wręczyła mi pudełko ze złotym łańcuszkiem. – Masz. To było miłe, ale nie chcę tego.

– Ale to jest dla ciebie. Tylko dla ciebie. Nie mam nikogo, komu mógłbym go dać.

– Nie chcę go – upierała się Mila.

Wziąłem pudełko. Pomyślałem o tym, ile uczucia włożyłem w wybór złotego serduszka. Łzy płonęły mi w oczach.

– Czy to... czy to przez... – Z trudem przeszło mi to przez gardło. – Czy to... dlatego, że mam taką figurę?

– Nie – odparła Mila, ale nie byłem pewien, czy mówiła szczerze.

– To dlaczego? – zapytałem.

Zawahała się.

– Przy tobie nie czuję się komfortowo. Może dlatego, że ciągle przekraczasz granice.

– Niby kiedy przekraczam granice?

– Widzisz, że ktoś nie ma ochoty być z tobą, a mimo to zmuszasz go do tego. Od miesięcy. To nie jest przyjemne. To mnie przeraża.

– Przeraża?

– Tak – odparła ostrym tonem. – Boję się ciebie.

– To przecież śmieszne – powiedziałem.

– Mów, co chcesz. Możesz sobie myśleć, że jestem śmieszna. Ale proszę, zostaw mnie w spokoju. – Odetchnęła głęboko. – Proszę – powtórzyła z naciskiem.

Byłem tak zdruzgotany, że nie mogłem wydusić z siebie słowa. Zrozumiałem, że ona mówi zupełnie poważnie i że to koniec naszej przyjaźni. Czułem, że z rozpaczyny tracę oddech.

– Proszę... – powiedziałem i ja, słysząc we własnym głosie błagalny ton.

Odwróciła się i nie oglądając się na mnie, ruszyła ku drzwiom. Otworzyła je, odczekała, aż się za nią zatrzasną. Łoskot był dosyć głośny. Był jak stanowcze potwierdzenie wszystkiego, co powiedziała.

Schowałem pudełko ze złotym łańcuszkiem do szkolnej torby, po czym ociężale zawróciłem w kierunku domu. Pociłem się i wciąż zmagalem ze łzami. Ale kiedy tak człapałem przez ten okropny, upalny, pochmurny, czerwcowy dzień, czułem, jak mój ból powoli, z każdym krokiem się przeobraża. Paląca rozpacz, udręka, wstyd, bezsilność, wszystkie owe uczucia znane mi, od kiedy pojawiłem się na świecie, a teraz uwolnione przez Milę w istnej kaskadzie okropności, przybrały inną postać.

To była postać nienawiści. Wściekłości. Pragnienia zemsty.

To była postać morderczego gniewu.



# Niedziela, 22 grudnia

## 1

W niedzielę wieczorem Sam odwiózł Annę do domu. Kiedy dotarli na miejsce, nadeszła, jak zawsze, nieszczęśliwa, pełna napięcia chwila pożegnania. W piątkowy wieczór Sam przyjechał po Annę, by zabrać ją do siebie na weekend. Było cudownie. Na mieście kupili kilka drobnych prezentów – Anna głównie dla uczestników swoich zajęć kulinarnych oraz dla Daliny – poszli na plażę i wybrali się na wędrowkę ścieżką biegnącą po klifach wysoko nad brzegiem morza. Razem gotowali, pili francuskie czerwone wino, siedzieli przed kominkiem i rozmawiali. Oglądali telewizję. Było uroczo. Ciepło, znajomo. Zwyczajnie. O ile cokolwiek było dla Anny zwyczajne.

Zatrzymali się przed domem. W oknach nie paliło się żadne światło, no jasne. Nikt tam przecież nie czekał. Będzie zimno, upłyną godziny, zanim piec w salonie choć trochę ogrzeje wnętrze. Po ciemnym niebie gnały obłoki, od czasu do czasu przeszerała przez nie tarcza księżycy, a wtedy w jego blasku skrzył się śnieg. Wzgórze owiewał lodowaty wiatr.

Zimowe noce. Zdaniem Anny kumulowała się w nich cała nieznośna beznadzieja życia.

Sam wyłączył silnik.

– Czy mam wejść na chwilę? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Dam sobie radę.

Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie musiałybyś sama zajmować się wszystkim, Anno. Przecież widzę, że samotne wieczory cię dobijają. Dlaczego...?

– Sam...

– Doskonale rozumiem, że nie chcesz się wprowadzić do mojego mieszkania. Z praktyką w środku. – Sam zajmował dość duże mieszkanie, dlatego wydzielił jego część i przekształcił w swój gabinet. Mieściły się tam biuro, pokój do sesji coachingowych oraz niewielka poczekalnia. Klienci korzystali z frontowych drzwi i do dalszych pomieszczeń docierali korytarzem obok kuchni i salonu. Ponieważ mieszkał sam, nie stanowiło to dla niego problemu, jednakże Anna po ewentualnej przeprowadzce stale napotykałaby obcych ludzi. Nie mogłaby zwyczajnie przejść

korytarzem owinięta jedynie w ręcznik kąpielowy albo kręcić się tam w stroju do joggingu.

– Mógłbym wynająć sobie coś innego. Już dawno powinienem przenieść praktykę. Zostawiłem to tak wyłącznie dlatego, że, szczerze mówiąc, byłem za leniwy, by cokolwiek zmieniać. Ale w zasadzie tak być nie powinno.

Anna westchnęła. Sam czasem o tym mówił. O wspólnym mieszkaniu. Wcale jej nie nagabywał. O dziwo, Anna czuła się jednak pod presją i doszła ostatecznie do wniosku, że to w niej samej kryje się źródło stresu. Bo w gruncie rzeczy nienawidziła mieszkać sama. Tak często bywała smutna, przygnębiona i melancholijna, ponieważ nie czuła się dobrze w tym niewielkim domu na krańcu świata. Kiedy się doń wprowadzała, wydawało jej się, że stanie się jej schronieniem, odcięty od świata refugium. Tylko ona oraz ogrom i cisza wspaniałego nadmorskiego krajobrazu. Wierzyła, że jej dusza znajdzie tu spokój i ukojenie. Tak się jednak nie stało. Nie poczuła się wyciszona ani bezpieczna, ale opuszczona i wzburzona. Gdyby nie praca u Daliny, której w rzeczywistości nie cierpiała, pewnie już dawno popadłaby w głęboką depresję. Choć i tak czuła się czasem przybita. Pusta. Wyzuta z wszelkiej nadziei.

Przeprowadzka do Sama rozwiązałaby ten problem.

– Nie wiem, czego ty jeszcze chcesz – powiedziała jej kiedyś Dalina. – Dlaczego się nie pobierzecie, nie postaracie się o dzieci i nie zaczniecie żyć jak szczęśliwa rodzina?

Bo szczęście nie jest wcale takie proste – chciała odpowiedzieć, ale przełknęła tę uwagę, ponieważ wiedziała, że Dalina przewróciłaby tylko oczami i mruknęła coś w stylu: Problemy można też stwarzać sobie samemu. Dalina sądziła, że będzie musiała przekonać Annę do Sama, ale nie w tym tkwił szkopuł. Należało raczej przekonać Annę, że potrafi znieść czyjąś bliskość. To Anna stanowiła problem, nie Sam. A to była znacznie gorsza sprawa. Anna mogła zmienić faceta. Ale nie siebie.

– Potrzebuję czasu – powiedziała. Zdanie to powtarzała, odkąd byli z Samem parą.

– Czy myślisz, że z czasem coś się w tobie zmieni? – zapytał Sam.

Dobre pytanie. Gdyby tylko wiedziała, skąd się bierze ta jej wewnętrzna blokada. Jak można mieszkać samemu i nie czuć się komfortowo, a jednocześnie unikać przeprowadzki do wspólnego mieszkania z ukochanym? To przecież nedorzeczne.

– Nie wiem – odpowiedziała. Popatrzyła przez okno w wietrzną noc. Może po prostu była wewnętrznie pogruchotana. A na to Sam nic nie mógł poradzić. To, co ją zniszczyło, wydarzyło się na długo przed tym, zanim się poznali.

– Czasem myślę sobie – wyznał Sam – że w twoim życiu są pewne sprawy, z którymi nie potrafisz się uporać. Prawie nigdy nie mówisz o swojej przeszłości, Anno. Niewiele o niej wiem. Wiem, gdzie mieszkałaś w dzieciństwie, do jakiej szkoły

chodziłaś. Że twoi rodzice już nie żyją. Że przerwałaś studia, gdy umarli. Że wyleciałaś z poprzedniej pracy i cieszysz się, że zaczepiłaś się u Daliny, nawet jeśli ta praca niezupełnie ci odpowiada. Ale musi być coś więcej. Więcej wydarzeń, więcej emocji, więcej przyjaciół, więcej mężczyzn, więcej szczęścia, więcej smutku... O tym wszystkim w ogóle nie mówisz.

Odwróciła się, próbując powstrzymać łzy.

– Wiem. Nie mogę.

– Dobrze. Już dobrze.

Otworzyła drzwi samochodu, zabrała z tylnego siedzenia torbę i wysiadła.

– Zostań – nakazała, gdy Sam zaczął się zbierać. To nie był jedynie taktowny frazes. Nie chciała, żeby odprowadził ją do drzwi. To by wszystko tylko utrudniło.

– Zobaczymy się jutro? – zapytał. – Przed czy po kursie?

– Odezwę się. – Pomachała mu i ruszyła przez stwardniały śnieg ku drzwiom. Chrząścił pod jej stopami. Wiatr zawiewał tak ostro, że aż paliły ją policzki. Na progu odwróciła się i znów pomachała. Sam odczekał, aż znajdzie się wewnątrz domu. Przekręciła klucz, weszła do środka, zapaliła światło. Przez niewielkie okienko w drzwiach wejściowych obserwowała, jak Sam zawraca samochód i odjeżdża. Tylne światła były jeszcze przez chwilę widoczne, potem pochłonął je mrok.

W domu panował potworny ziąb, spodziewała się tego. Chłód wnikał do wnętrza. Poirytowana odwróciła się, spojrzała w głąb korytarza. Kamienne płyty. Ciężki żółty chodnik. Kilka par butów ustawionych wzdłuż ściany. Wieszak, a na nim płaszcz i szaliki. Lakierowane na biało drewniane schody prowadzące na górę, tak wąskie, że nie minęłyby się na nich dwie osoby. Drzwi, za którymi kryły się schody do piwnicy. Na końcu korytarza drzwi do pokoju dziennego. Jak zawsze stały otworem. Za nimi ciemność. To stamtąd ciągnął chłód. Nie zatęchły chłód nieogrzewanego od prawie trzech dni domu. Ale świeży chłodny powiew. Przeciąg.

Anna zmarszczyła brwi. Czyżby zostawiła w salonie otwarte okno?

Dziwne, bo przed wyjazdem na weekend skrupulatnie sprawdzała każde okno oraz drzwi wejściowe. Czasami, jak sądziła, niemal obsesyjnie. Doskonale zdawała sobie sprawę z całkowitego odosobnienia domu, a także z faktu, że w okolicy wszyscy już wiedzieli, że mieszka tu samotna młoda kobieta. Z początku, kiedy się tu wprowadziła, gdy po zwolnieniu z pracy czuła się jak postrzelone zwierzę, które musi poszukać sobie bezpiecznego schronienia, to właśnie tutejsze odosobnienie ją pociągało. W sposób wręcz magiczny i nieodparty. Ostoja, kryjówka, miejsce, które uwolni ją od świata i ludzi. Nie wzięła jednak pod uwagę, że jej myśli spowije niepokój, że odcięte od świata miejsce może okazać się groźne. Nigdy nie będzie bezpieczna. Nigdzie.

Ostrożnie ruszyła w stronę drzwi do salonu, włączyła światło. Od razu zauważyła, że jedno z dwóch okien jest otwarte. Skrzydło poruszało się pod naporem wiatru. W pokoju było przeraźliwie zimno.

Podbiegła do okna i chciała je zamknąć, a wtedy odkryła w szybie otwór. Zrozumiała, co się stało, choć nie chciała w to uwierzyć: ktoś wybił w oknie szybę, sięgnął do wewnątrz i je otworzył.

Ktoś przebywał w domu.

Zatrzasnęła okno, co jednak niewiele dało, gdyż przenikliwy chłód wciąż wnikał do środka. I wcale nie poczuła się bezpieczna: nadal każdy mógł tu wejść.

Czego szukał tu intruz? Patrząc na dom z zewnątrz, można się było domyślić, że wewnątrz nie skrywa żadnych kosztowności. Żaden bogacz nie zamieszkałby w tak lichej chacie. Z drugiej jednak strony ludzie byli okradani albo nawet mordowani dla dziesięciu funtów. Jakiś potrzebujący pieniędzy ćpun obrabowałby i podupadającą rudere, choćby dlatego, że było to znacznie łatwiejsze niż włamanie do wyposażonej w monitoring willi.

Usłyszała nad głową skrzypienie i zamarła. W pierwszej chwili pomyślała, że do włamania doszło w piątek wieczorem albo w sobotę, i oto nagle uświadomiła sobie, że niekoniecznie tak być musiało: to mogło się zdarzyć w ciągu ostatniej godziny.

A sprawca wciąż mógł się kręcić po domu.

Telefon komórkowy trzymała w torebce, którą zostawiła przy drzwiach wejściowych. Musi natychmiast zadzwonić do Sama. Nie mógł odjechać daleko, będzie musiał niezwłocznie zawrócić. A może powinna od razu wezwać policję?

Minęło kilka chwil, zanim odważyła się ruszyć z miejsca, które przynajmniej dawało jej pewien ogląd sytuacji, i przejść do korytarza, w którym mogło się czaić niebezpieczeństwo. Pobiegła. Chwyciła torebkę, gorączkowo zaczęła w niej grzebać. Gdzie ta komórka? Powinna zmienić tę ogromną torbę, nigdy nic nie mogła w niej znaleźć, ani portfela, ani kluczy. Ani telefonu.

Za jej plecami dało się słyszeć kolejne skrzypnięcie. A potem rozległ się głos.

– Anna?

Drgnęła i gwałtownie się odwróciła, wciąż bez telefonu w dłoni.

Na schodach stał mężczyzna. A więc był na piętrze. Jak długo? Jak długo tkwił tam skulony w ciemności, czekając na nią?

Odruchowo szarpnęła za kłamkę, chciała wybiec na dwór, znaleźć w mroku nocy jakieś bezpieczne schronienie.

– Czekaj – powiedział mężczyzna. – Proszę. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Nie wiedziałem, dokąd pójść. Nie chciałem cię przestraszyć.

Teraz rozpoznała jego głos. I rozpoznała także mężczyznę. Mimo półmroku na schodach i wszystkich tych lat, które minęły.

– Logan? – zapytała oszołomiona.

## 2

Siedzieli w salonie, skuleni tuż obok żeliwnego pieca, w którym Logan rozpałił ogień. Wychłodzone pomieszczenie nagrzewało się bardzo powoli. Do otworu w okiennej szybie włożyli zmiętą gazetę i zasłonili go grubym wełnianym szalikiem. Mimo to dało się wytrzymać jedynie tuż przy samym piecu. Anna zaparzyła herbatę i dołała do niej sporą ilość rumu. Oboje ściskali w dłoniach duże kubki i rozkoszowali się ciepłem rozgrzewającym gardło.

– Policja cię szuka – powiedziała Anna. Strach ją opuścił, ale pozostała spięta i czujna. To był Logan, stary, dobry Logan, którego znała już jako nastolatka. Ale Logana poszukiwano jako domniemanego zabójcę.

Przebywała w odosobnionym domu razem z mężczyzną podejrzanym o morderstwo. Nie była to dla niej komfortowa sytuacja.

– Potrzebuję pomocy, Anno – powiedział Logan. Kiepsko wyglądał, był wychudzony, miał brudne ubranie. Wziął jednak prysznic w jej łazience, jak przyznał. Przebywał tu od sobotniego poranka. Kompletnie wyczerpany przespał dwanaście godzin, potem podgrzał sobie w kuchni zawartość kilku puszek i zjadł wszystko. Wziął prysznic. Znow zaczął się czuć niemal jak człowiek. A potem czekał w sypialni na piętrze na jej powrót.

– Przepraszam za rozbitą szybę – rzekł. – Oczywiście zapłacę. Jeśli jeszcze kiedykolwiek będę miał pieniądze.

Więc pewnie nigdy, bo najpierw trafisz na długo za kratki – chciała odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Źle by to zabrzmiało. A Logan wydawał się zupełnie wycieńczony.

– Nierozsądnie było tu na mnie czekać – oznajmiła zamiast tego. – Mój przyjaciel mógł ze mną wejść.

– Nie miałem wyboru. Anno, jestem na skraju wyczerpania. Uciekam, nie mam ani pieniędzy, ani dachu nad głową. Schroniłem się w domku w Runswick Bay, ale właściciel mnie nakrył, w ostatniej chwili zdołałem uciec. Zostawiłem tam mój plecak. Niedługo potem musiałem porzucić samochód, bak był pusty. Nie miałem czym zapłacić za paliwo, poza tym pojawienie się na stacji benzynowej byłoby zbyt ryzykowne. Wszędzie rozwieszono moje zdjęcie. Po sprawdzeniu zawartości plecaka

policja już wie, kim jestem, ma prawdziwe zdjęcie, a nie tylko portret pamięciowy. Nie miałem nic do jedzenia, na dworze groziło mi zamarznięcie. Byłaś... Jesteś moją ostatnią deską ratunku.

– Skąd wiedziałeś, że tu mieszkam?

– Przebywam w tej okolicy już od jakiegoś czasu. Wynająłem pokój w Scarborough. Namierzyłem ciebie i Dalinę, dowiedziałem się, gdzie mieszkacie. Dalina wszędzie reklamuje tę swoją agencję. Byłem tam, widziałem, że u niej pracujesz. Poszedłem za tobą, stąd wiedziałem, gdzie mieszkasz.

– Dlaczego po prostu nie porozmawiałeś z Daliną ani ze mną?

Unikał jej spojrzenia.

– Zabrakło mi odwagi. Żeby o tym z wami porozmawiać.

– O czym to chciałeś rozmawiać?

Machnął ręką.

– Nie teraz. Oboje... nie jesteśmy w nastroju.

– Widziałam cię – powiedziała Anna. – Tamtej nocy. Kiedy zatrzymałeś samochód Diane i wsiadłeś do środka.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– To byłaś ty? W samochodzie jadącym za nami?

– Tak. Ale cię nie poznałam. Tylko to zajście wydało mi się dziwne – i groźne.

– Policji nic jednak nie powiedziałaś, prawda? W każdym razie w mediach nie było o tym mowy.

Potrząsnęła głową.

– Nic a nic. Później zauważyłam, że samochód nadal stoi w zatoce parkingowej, ale pojechałam dalej. Miałam okropne wyrzuty sumienia, bo mimo złych przeczuć nic nie zrobiłam. A potem usłyszałam o zamordowaniu Diane. Poczułam się jak ostatni tchórz. Ja... nie miałam odwagi iść na policję.

– I tak nic by to nie zmieniło. To mnie uznali za sprawcę.

– Logan, dlaczego...?

Spojrzał na nią. Miał zaczerwienione oczy, zdawały się płonąć.

– To nie byłem ja, Anno. Przysięgam. Nie zabiłem Diane!

– Ale o co chodziło... tamtego wieczoru?

Podniósł bezradnie ręce.

– Chciałem z nią porozmawiać. Przestała odpisywać na moje wiadomości. Nie odbierała telefonów. Chciała ze mną zerwać.

– Byliście parą?

– Tak. Przez kilka tygodni.

– Skąd ją znałeś?

– Poznałem ją przed siedzibą agencji Daliny, kiedy się tam kręciłem... Właściwie to chciałem zagadać do Daliny, ale nie miałem dość odwagi. W każdym razie któregoś wieczoru spotkałem tam Diane. To było po zajęciach z gotowania. Wszyscy już się rozeszli, ale ona nadal tam stała, bo jej samochód nie chciał zapalić. Było ciemno i zimno, a ona wyglądała na zrozpaczoną. Pomogłem jej z rozrusznikiem, podpinając kable. Była bardzo wdzięczna i dwa dni później zaprosiła mnie na kolację. No cóż... Ona była sama. Ja byłem sam. Uznałem ją za sympatyczną i atrakcyjną... Zostaliśmy parą.

I potrzebowałeś też kogoś, kto by ci trochę pomógł, pomyślała Anna. Prawie bez pieniędzy, w Scarborough, jak zwykle bez żadnego planu. A tu taka miła, niezawodna dziewczyna jak Diane. Kto wie, czy to nie była wielka miłość.

Sama raczej nie była na tyle obiektywna, by to ocenić. Była w Loganie zakochana, okropnie zakochana. W dawnych czasach, kiedy oboje byli młodzi. Poznała go dzięki Dalinie, uwielbiała go i tęskniła za nim, snując marzenia o wspaniałej wspólnej przyszłości. W końcu uświadomiła sobie, że Logan nawet nie zauważył jej uczuć. Nie mówiąc o tym, by sam coś do niej poczuł. Zapłonął namiętnością do Daliny. Anna mogłaby rzucić mu się naga do stóp, a on nawet by nie drgnął.

Potem wszyscy wyjechali ze Scarborough na wiele lat, kontakt z Loganem się urwał. Aż do teraz.

– Czemu w ogóle wróciłeś? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie układało się w Bath. Straciłem pracę. Wypowiedziano mi mieszkanie. Chciałem spróbować tutaj. W rodzinnych stronach.

Ot i cały Logan. Nic się nie układało. Był przystojnym facetem o ujmującym sposobie bycia, toteż większość ludzi przyjmowała go życzliwie i obdarzała zaufaniem. Dopóki nie wyszło na jaw, że, delikatnie mówiąc, rzadko miał ochotę wziąć się do jakiegokolwiek pracy. Za to nie krył swojego zamiłowania do luksusu. Chciał żyć na wysokiej stopie, ale bez żadnego wysiłku ze swej strony. Prędzej czy później zawsze popadał w tarapaty.

– Chciałem poszukać tutaj pracy. Do tego czasu żyłem z resztek oszczędności. Ale się skończyły. Nic mi nie zostało. Zupełnie nic. Z wyjątkiem ubrań, które mam na sobie.

I dlatego kiedy Diane chciała z tobą zerwać, czekała cię prawdziwa katastrofa, pomyślała Anna.

– Tamtego wieczoru...?

– Koniecznie chciałem z nią porozmawiać. Kilka dni wcześniej oznajmiła, że z nami koniec. Od tej pory się ze mną nie kontaktowała. W zeszły poniedziałek czekałem na

nią wieczorem przed agencją Daliny. Wiedziałem, że bierze udział w kursie gotowania. Ale wyszła razem z innymi, więc nie miałem okazji do niej zagadnąć. Ruszyłem więc w drogę, szczerze mówiąc, dość pospiesznie. Wiedziałem, którzy będą wracać. Pojechałem przez Scalby, byłem pewien, że do skrzyżowania dotrę jako pierwszy. W ciemnościach zawsze jeździła wyjątkowo powoli, obawiając się, że przed maskę wyskoczy jej jakieś zwierzę. Zaczekałem tam na nią.

– Praktycznie zastąpiłeś jej drogę – zauważyła Anna. – Nie miała wyjścia, musiała zahamować.

– Co miałem zrobić? Dwa razy byłem u niej w domu, ale mi nie otworzyła.

– Mogłeś to po prostu uszanować.

– Ja... ech – odparł niewyraźnie.

Dokładnie tak, jak podejrzewała. Kompletnie spłukany i bez żadnego planu. Potrzebował Diane.

– Wkrótce potem zatrzymała się w tej zatoce parkingowej i zażądała, żebym wysiadł

– kontynuował. – Próbowałem ją przekonać. By dała nam jeszcze jedną szansę. Zaklinałem ją, ale ona tylko kiwała głową. Kazała mi wysiadać. W końcu tak zrobiłem. Wysiadłem.

– A potem?

– Wróciłem do swojego auta. Stało niedaleko tamtego rozwidlenia dróg. Szedłem jakiś kwadrans. Potem pojechałem do domu i położyłem się do łóżka.

– A kiedy wysiadłeś... czy Diane jeszcze żyła?

– Ależ tak. Nie tknąłem jej. Anno, naprawdę musisz mi uwierzyć. Nic jej nie zrobiłem. Chciałem z nią tylko pogadać. Chciałem, żeby tak łatwo nie rezygnowała z naszych uczuć. Ale kiedy zrozumiałem, że to bezcelowe, dałem za wygraną.

– Następnego dnia znaleziono ją z licznymi ranami zadanyimi nożem.

– Wiem. Kiedy się o tym dowiedziałem, nie miałem złudzeń, że będę głównym podejrzanym. Jej gospodarze o nas wiedzieli, ale nie mogłem wykluczyć, że powiedziała o nas swojej matce albo komuś innemu. Siedziałem przecież w jej samochodzie. Zauważyłem też, że ktoś za nami jedzie – nie wiedziałem jednak, że to ty. Musiałem założyć, że mnie widziano. Moje odciski palców były oczywiście na klamce, a także we wnętrzu pojazdu. Bez zwłoki zabrałem swoje rzeczy i zaszłyłem się w Runswick Bay.

– Dlaczego, skoro jesteś niewinny?

– To zbyt ryzykowne. W tej sytuacji.

– Jedno mnie zastanawia – powiedziała Anna. – Mówisz, że zatrzymaliście się w zatoce parkingowej. To tam was widziałam. Ale samochód Diane znaleziono nieco



dalej na polnej drodze. Ugrzązł w błocie. Po co miałyby tam wjeżdżać? W to bagno? Co tam robiła?

– To dla mnie zupełna zagadka – odparł Logan. – Też o tym czytałem. Wiem na pewno, że kiedy wysiadłem, stała w zatoce parkingowej. Zamiast skrócić w prawo i wyjechać z powrotem na główną szosę, musiała skrócić w lewo, w tę polną drogę. To bez sensu.

– Zagmatwana historia – przyznała Anna. Spojrzała na niego zamyślona. – Właściwie dlaczego Diane chciała z tobą zerwać? Przecież szuka partnera, w przeciwnym razie nie zapisałaby się do Daliny.

– Tego nie wiem – przyznał Logan. – Powiedziała, że jej uczucia to za mało. Nie patrzył na Annę. Od razu się domyśliła, że nie mówi jej całej prawdy. Zataił kluczowy jej fragment.

# Poniedziałek, 23 grudnia

## 1

Kate właśnie zamierzała wyjść z domu i udać się na zajęcia kulinarne, gdy zadzwoniła jej komórka. Aż zakłęła, nie dlatego, że się spieszyła, ale z powodu zszarganych nerwów. Niczego nie żałowała tak bardzo jak zapisania się do Trouvemoi. Jutro będzie zmuszona zdać kolegom relację, a wtedy stanie się pośmiewiskiem całego komisariatu. Równie dobrze mogła nosić plaketkę z informacją, że szuka partnera.

– Tak? – odebrała poirytowana.

– Sierżant Linville? Tu Eleonore Walters. Córka Patricii Walters.

Jeszcze i to.

– Tak, pani Walters. Co słyhać?

– Co słyhać? To ja chciałam panią o to zapytać! Czy w sprawie mojej zamordowanej matki coś w ogóle się dzieje?

– Pani Walters, sprawa nie dotyczy morderstwa, ale prawdopodobnie nieumyślnego spowodowania śmierci i jak już pani mówiłam, trwa pościg za Milą Henderson. Dokładamy wszelkich starań...

– Jakich starań? – weszła jej w słowo Eleonore. – Gdyby się pani postarała, ta mała suka już dawno zostałaby złapana. Nie może się tak długo ukrywać, nie ma ani pieniędzy, ani przyjaciół. Niby dokąd miałyby pójść?

– Skąd pani wie, że nie ma przyjaciół?

Eleonore przez chwilę sprawiała wrażenie wytrąconej z równowagi.

– Przynajmniej wiem, że nie ma rodziny. A moja mama wspomniała kiedyś, że nigdy nie chodziła na randki.

– Mimo wszystko może mieć przyjaciół albo znajomych, u których się zatrzymała. Nie będzie się jednak wечно ukrywać. Złapiemy ją. Może być pani pewna.

– Myślę, że sprawa mojej matki stała się dla was drugorzędna, odkąd zasztylowano tę młodą kobietę. Interesuje was wyłącznie odnalezienie tamtego sprawcy. Bo ofiarą jest właśnie młoda kobieta. W przypadku mojej matki pewnie myślicie, że i tak wkrótce by umarła, więc co za problem.

– Pani Walters, byłabym wdzięczna, gdyby w swoich insynuacjach dotyczących mojego sposobu myślenia oraz oceny sytuacji zachowała pani nieco większą powściągliwość – odparła ostrym tonem Kate. – W śledztwo w sprawie śmierci pani

matki jesteśmy tak samo zaangażowani jak w każde inne podlegające naszej jurysdykcji. Nie jesteśmy jednak cudotwórcami.

Eleonore wyraźnie westchnęła, po czym bez słowa odłożyła słuchawkę.

Głupia krowa, pomyślała Kate.

Pogłaskała Messy, kotkę, która skuliła się na kanapie w oczekiwaniu na miły wieczór przed telewizorem i zerknęła oburzona, widząc, że Kate włożyła już buty i płaszcz. Messy nie przywykła do tego, żeby Kate spędzała wieczór poza domem.

– Wiem – powiedziała Kate – przepraszam.

Messy miauknęła.

Przemierzając miasto, Kate rozmyślała o wydarzeniach ostatnich dni. Niektóre kwestie zostały potwierdzone, nic jednak nie wskazywało na to, by miało dojść do przełomu.

Nie udało się ustalić żadnego związku między Alvinem Malorym a Diane Bristow. Wyniki badań kryminalistycznych potwierdziły, że odciski palców znalezione w samochodzie i mieszkaniu Diane Bristow oraz dziewięć lat wcześniej w domu Malorych należą do człowieka, który mieszkał nielegalnie w domku w Runswick Bay. W piątkowy wieczór zgłosił się mężczyzna, który rozpoznał poszukiwanego Logana Awbrey'a i zeznał, że wynajmował mu pokój w swoim mieszkaniu w strefie dla pieszych w Scarborough. Jednak Awbrey przed kilkoma dniami zniknął bez śladu, nie zapłaciwszy czynszu. Funkcjonariusze byli w sobotę na miejscu, lecz nie znaleźli żadnych wskazówek dotyczących obecnego miejsca pobytu Logana Awbrey'a. Odciski palców okazały się identyczne. Stało się zatem jasne, że poszukiwany człowiek to Logan Awbrey i że jest on podejrzany o zabójstwo swojej dziewczyny Diane Bristow.

Kate ponownie odwiedziła Louise Malory, by wypytać ją o Logana Awbrey'a. Louise myślała w takim napięciu, że aż widać było po niej rozpaczliwe pragnienie skojarzenia jego nazwiska, po chwili jednak zrezygnowana potrząsnęła głową.

– Nigdy o nim nie słyszałam. Tak mi przykro. Chciałabym... – Przygryzła wargę, było aż nazbyt jasne, czego tak naprawdę pragnęła. Za jej plecami Kate dostrzegła Alvina leżącego bez ruchu w łóżku. W pokoju było ciepło i duszno. Oto zrujnowane życie całej rodziny. – Zapytam też mojego byłego męża – oznajmiła Louise, ale ton jej głosu świadczył o tym, że nie robi sobie wielkich nadziei. Logan Awbrey nie był znany rodzinie Malorych.

A jednak przebywał w ich domu, pomyślała Kate, bez wątplenia tu był.

Zadzwoiła również do Caleba i podała mu nazwisko Awbrey'a, lecz i on nie potrafił go skojarzyć. W trakcie ówczesnego dochodzenia na nikogo takiego się nie natknęli, Caleb był tego pewien.

– Wie pani – powiedział – w pewnym momencie pogodziłem się z myślą, że sprawca lub sprawcy nie pochodzą z kręgu rodziny Malorych. Że była to przypadkowa zbrodnia. Przypadkowi sprawcy, przypadkowe ofiary. I dobrze pani wie...

Wiedziała. W takich sprawach nie było nic gorszego niż przypadek. Szukano po omacku. Sprawców i ofiary nic nie łączyło. Nie było żadnych wskazówek.

Zazwyczaj, jeśli w ogóle, pomagał wtedy... przypadek. Jak teraz. Po upływie wielu lat w trakcie innego śledztwa znajdowano odciski palców z miejsca przeszłej zbrodni.

Wątpliwe, czy doprowadzi to do jakiegoś rozwiązania. Ale był to przynajmniej punkt zaczepienia. Nazwisko. Twarz.

Sprawcy?

Rozmyślała o Loganie Awbreyu. Chłopaku Diane Bristow, o którego istnieniu mało kto wiedział. Gdyby nie zeznania właścicieli domu, w którym mieszkała Diane, w ogóle by o nim nie usłyszano. Nie miała o nim pojęcia nawet matka Diane. Nawet jej najlepsza przyjaciółka Carmen.

– Dlaczego go ukrywałaś, Diane? – zapytała na głos Kate. – Nie byłaś pewna? Nie chciałaś pokazać się przed całym światem z nowym mężczyzną u boku, bo podejrzewałaś, że to się nie uda? Twoje uczucia do niego nie były takie, jak być powinny? A jednak się zaangażowałaś. Dlaczego?

W gruncie rzeczy ją rozumiała. Angażujesz się, bo wystarczająco długo jesteś sama. Angażujesz się, bo sobie wmówiłaś, że kiedyś, do cholery, musisz się wreszcie przemóc. Bo krąg życzliwych znajomych wystarczająco długo potęgował w tobie poczucie kompletnej niepewności. Albo byłaś nazbyt wybredna, albo chciałaś wychować sobie faceta, albo byłaś zbyt nieśmiała, albo... może tak naprawdę niczego nie chciałaś? Trzeba się wreszcie zdecydować. Najlepiej więc wziąć byka za rogi, związać się z atrakcyjnym i miłym mężczyzną, który ci się spodobał. Uczucia jednak zawodzą. I zastanawiasz się rozpaczliwie, co u licha jest nie w porządku. W rzeczywistości ty i ten mężczyzna po prostu do siebie nie pasowaliście, ale jak dotąd tak bardzo nawykłaś szukać winy u siebie, że nie potrafiłaś zaakceptować faktów.

Czy tak właśnie było w przypadku Diane? Czy to niepokój uczynił ją powściągliwą? Jeszcze bardziej niż zwykle?

A może kryło się tu coś więcej? Czy Logan był zamieszany w nader ohydną zbrodnię? Przed wielu laty? Czy Diane się o tym dowiedziała? Czy zapłaciła za to życiem?

Kate dotarła przed budynek, w którym mieściła się agencja. Wszystkie okna na parterze rozjaśniał blask świateł. Z powodu niespodziewanego telefonu – oraz

powolnej jazdy – Kate spóźniła się kilka minut. Z pewnością wszyscy już się zgromadzili.

Zerknęła w lusterko. Na jej twarzy malowało się napięcie. Dlaczego zawsze miała zwężone usta, gdy czuła się zestresowana? Spróbowała się uśmiechnąć, ale wyglądało to jeszcze gorzej. Całkiem fałszywie.

Jestem tu służbowo, powiedziała sobie, po prostu wykonuję swoją pracę.

Wysiadła i zrobiła głęboki wdech.

## 2

Zbliżała się pora kolacji, gdy Mila wróciła do mieszkania swojego ciotecznego dziadka. Sporo czasu spędziła na mieście, pośród ludzi czuła się nieco bezpieczniej. W prezencie pod choinkę kupiła Jamesowi sweter, z wdzięczności, że ją u siebie ugościł. Mimo to wydawanie pieniędzy sprawiało jej niemal fizyczny ból. Na koncie nie miała prawie żadnych środków, coraz częściej się zastanawiała, jak długo jeszcze będzie w stanie przetrwać. Dopóki mieszkała u Jamesa, nie cierpiała niedostatku, nie mogło to jednak trwać wiecznie. Musiała się usamodzielnic, musiała podjąć pracę. Zarabiać pieniądze. Życ.

Pójść na policję? Nie miała pojęcia, co ją wtedy czeka, skoro z jej winy zginęła Patricia Walters. O śmierci staruszki przeczytała w gazecie, wiedziała też, że jest poszukiwana. Z pewnością zostaną jej postawione zarzuty. Nieumyślne spowodowanie śmierci? Być może lepsze to niż beznadziejna ucieczka, która prawdopodobnie nigdy się nie skończy.

James dał jej pieniądze, by kupiła coś na kolację.

– Przynies też butelkę dobrego wina – powiedział. Bez wątpienia lubił towarzystwo. Opieka społeczna codziennie zapewniała mu ciepły posiłek, ale poza tym jego lodówka świeciła pustkami. Kilka napoczętych słoików z dżemem, jeden z nich obrastał już pleśnią. Odkąd Mila z nim mieszkała, wrócił mu apetyt na smakołyki. Dostawał niewielką emeryturę, żył jednak na tyle skromnie, że odłożył nieco pieniędzy. Wręczył Mili swoją kartę bankomatową, by wypłaciła tyle, ile jej potrzeba. Mila sprawdziła, że miał na koncie trzy tysiące funtów. W jej oczach to była prawdziwa fortuna. Kiedy wypłacała pieniądze na zakupy spożywcze, przez chwilę kusiło ją, żeby przy okazji wziąć pięćset funtów dla siebie, ale nie zdołała się przemóc. James darzył ją zaufaniem. Nie mogła go nadużywać.

Kupiła wino, do tego kilka gotowych sałatek, bagietkę, różne gatunki sera, winogrona i oliwki. Sama nie miała apetytu, ale James będzie uszczęśliwiony. Ucieszy

się też ze swetra. Przede wszystkim zaś z faktu, że w te święta nie zostanie sam.

Mila wracała autobusem, wysiadła przy ponurym osiedlu wieżowców, gdzie mieszkał James. Sheffield nigdy jej się nie podobało, a tutaj było po prostu okropnie. W przeszłości odwiedzała czasem Jamesa z rodzicami, później już tylko z matką, która za każdym razem drwiła sobie z tej okolicy i jej potwornej zabudowy.

– Straszne. Te ogromne bloki. Małeńkie balkoniki. Jak można tu mieszkać?

Mila wcale nie uważała, że w ich ówczesnym domu było o wiele ładniej. Kamienica pełna podniszczonych mieszkań, których nie remontowano od dziesięcioleci. Kapiące krany, szpary w podłodze, nieszczelne okna. Wilgoć na ścianach. Ale ich dom był przynajmniej otoczony zdziczałym ogrodem. Wczesnym latem unosił się w nim odurzający zapach bzu.

By dotrzeć do bloku, w którym mieszkał James, musiała przejść przez niewielki zieleńiec, przez kilka ostatnich dni czuła się wtedy nader nieswojo. W pogodne letnie wieczory z pewnością teren ten tętnił życiem, bawiły się tu dzieci, włóczyły nastolatki, paląc papierosy i kąpiąc na trawie puszki po piwie. Jednak w zimowe wieczory, gdy brzegi ścieżek pokrywało błoto pośniegowe, a wszędzie panowała wilgoć, na dworze nikogo nie było. Z trzech latarni, które miały oświetlać ścieżkę, dwie były popsute. W rezultacie panował tam mrok, pokrywając cieniem wszystko dokoła. W blasku jedynej sprawnej lampy Mila dostrzegła, że właśnie zaczęła padać drobna mżawka. Śnieg już nie prószył, ale deszcz był lodowaty. Smagał ją po twarzy. Nic dziwnego, że w taką pogodę nikt, jeśli nie musiał, nie wyścibiał nosa z mieszkania.

Przynajmniej liczne okna w budynku były oświetlone, większość zdobiły też świece, łąki świetlne i choinkowe łańcuchy. Pod jednym z balkonów wisiał nadmuchiwany święty mikołaj, jakby wspinał się po elewacji. Inny balkon był ozdobiony kolorowymi światełkami, które na przemian zapalały się i gasły w coraz to innych barwach. Mila zatrzymała na nim wzrok.

Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie, wszystko się ułoży.

Nikogo tam nie ma. Żadnego prześladowcy. Ani przed nią, ani za jej plecami. W zaroślach z boku także nikt się nie czai. Przez chwilę pomyślała, że nikt by nie zauważył, gdyby ktoś ją teraz zaatakował... Szybko jednak otrząsnęła się z tej myśli.

To było bez sensu. Tylko doprowadzało ją do obłędu.

Dotarła do drzwi wejściowych, otworzyła je, weszła do środka, oparła się o skrzydło i odetchnęła z ulgą. Wszystko poszło dobrze. Ale czy tak będzie wyglądać reszta jej życia? Udręczona strachem, wciąż uciekająca, przerażona każdym szelestem...

Tak dłużej być nie może, pomyślała, tak nie da się żyć.

Gdyby tylko znalazła jakieś rozwiązanie.

Wjechała windą. James mieszkał na piątym piętrze, ale sam prawie nie opuszczał swojego lokum.

– Niby dokąd miałbym z tym pójść? – powiedział poprzedniego wieczoru, wskazując na chodzik, którego używał do poruszania się po niewielkim mieszkaniu. – Żadna to frajda w pojedynkę. – Potem się uśmiechnął. – Może na wiosnę wybierzemy się razem na wycieczkę? Byłoby miło.

Mila z trudem ukryła przerażenie. Czy dziadek myślał, że na wiosnę ona nadal tu będzie? Do tego czasu musi znaleźć inne rozwiązanie, do tego czasu musi uporządkować wszystkie swoje sprawy. Teraz jednak, stojąc w windzie, pomyślała: Niby co się do tego czasu zmieni? Utknęłam tu na dobre. Mam szczęście, że James przyjął mnie na dłużej i że zrobił to chętnie. Bez niego byłabym zgubiona.

Otarła łzy, które nagle popłynęły jej z oczu. James nie powinien widzieć, że płacze. Pamiętała, że kiedy pierwszego wieczoru zaczęła szlochać, był wstrząśnięty i bezradny. Należał do mężczyzn, którzy na widok płaczących kobiet czują się całkowicie przytłoczeni.

Gdy weszła do mieszkania, zauważyła, że już na nią czekał. Nakrył stół w salonie i zapalił świece.

– Czy pamiętałaś o winie? – zapytał.

Przytaknęła skinieniem głowy, nawet zdobyła się na uśmiech.

– Pewnie. Francuskie czerwone wino. Sprzedawca mi je polecił.

Sałatki i sery ułożyła na małych talerzykach i półmiskach, oliwki i winogrona umieściła w dwóch miseczkach, pokroiła bagietkę. Od śniadania nic nie jadła. Poczowała lekki głód. Po raz pierwszy od wielu dni. Odrobinę się odprężyła.

Jeśli wytrzymam tu jakiś czas, pomyślała, może wszystko pójdzie w zapomnienie.

– Nikt nigdy do mnie nie dzwoni – powiedział James, krojąc z rozkoszą spory kawałek sera. – A dziś już dwa razy.

– Serio? – zapytała Mila nieco znudzona. Poczowała błogie działanie wina. Była trochę odurzona. Świat wyglądał przyjaźniej. – Kto to był?

– Zadzwoił do mnie ksiądz – oznajmił James. – Na moje osiemdziesiąte urodziny.

– Ale nie masz dziś przecież urodzin – odparła Mila. – Dopiero w marcu.

James się uśmiechnął.

– Tak. Na wiosnę.

– Ale w takim razie kto jeszcze dzisiaj dzwonił?

– To jest właśnie dziwne. Nikt się nie zgłosił.

Opuściła widelec, który właśnie chciała podnieść do ust.

– Jak to?

– Ano, ten drugi nic nie powiedział. Słyszałem jego oddech, ale nic nie mówił. Zapytałem, kim jest, ale się nie odezwał.

Mila miała wrażenie, jakby zakółsało się krzesło, na którym siedziała.

– Ktoś dzwonił i nic nie powiedział?

– Właśnie. Dziwne, prawda?

– Jak odebrałeś? Przedstawiłeś się nazwiskiem? – Mila uznała, że jej własny głos zabrzmiał obco, ale James chyba tego nie zauważył.

– Za pierwszym razem po prostu się przywitałem. Ale za drugim, gdy on nadal się nie odzywał, powiedziałem:

– Tu James Henderson. Kto tam i czego pan chce? – James poczuł dumę. Zachował się dziarsko wobec kogoś, kto pozwolił sobie na głupi żart przez telefon.

Mila poczuła mdłości.

– Podałeś swoje nazwisko? – powtórzyła, choć było to oczywiste.

– Tak. Czemu nie?

Dwa telefony. Ktoś wyszukał numer Jamesa Hendersona. Upewnił się, nawiązując połączenie.

Czy ten ktoś zna również adres? Bardzo prawdopodobne.

– Kiedy to było? – zapytała ledwo słyszalnym głosem.

– Niedługo przed twoim powrotem. – James zauważył, że coś jest nie tak. – Pobladaś. Czy coś się stało?

Wstała. Nogi się pod nią ugięły.

– Nie powinnam tu zostawać, James.

– Co takiego?

– Nie mogę tu zostać. To zbyt niebezpieczne.

– Bo jacyś uczniowie zrobili mi kawał? – James wyglądał na oszołomionego.

– To nie byli uczniowie.

– Skąd wiesz?

Z paniką w oczach rozejrzała się po pokoju, jakby się spodziewała, że z któregoś kąta zaraz ktoś się wyłoni.

– Nie wiem. Ale to zbyt ryzykowne.

James również się podniósł, oparł się o blat stołu.

– Mila! Przed kim lub przed czym uciekasz?

– Lepiej, żebyś nie wiedział, James. To... to straszna sytuacja, a ja jeszcze ją pogorszyłam. Ja... naprawdę muszę odejść. Jeszcze dziś wieczorem.

– Dziś wieczorem? Dokąd chcesz pójść?

– Nie wiem. Mógłbyś mi pożyczyć trochę pieniędzy? Oddam ci.



– Możesz wziąć pieniądze, Mila, ale ja tego nie pojmuję. To znaczy... – Potrząsnął zakłopotany głową. – Mieliśmy spędzić razem święta – powiedział w końcu. Wyglądał na śmiertelnie zasmuconego.

Obeszła stół i go uściskała.

– Wróć. A kiedy to wszystko się skończy, zobaczymy, może zamieszkać gdzieś w pobliżu.

Kiedy to wszystko się skończy? A więc nigdy, prawda?

– Nic nie rozumiem – powiedział James. – Któż to dzisiaj dzwonił? – Widać było, że najbardziej żałuje tego, że w ogóle wspomniał o tych dwóch dziwnych telefonach.

– Lepiej, żebyś nic nie wiedział – powtórzyła Mila. Uwolniła go z objęć. – Spakuję swoje rzeczy. – Szybko pójdzie. Prawie nic z sobą nie miała. – Mogę dostać trochę pieniędzy?

– Mam w mieszkaniu około stu funtów w gotówce. Możesz wziąć.

– To cudownie. Dziękuję. – Nie starczy na długo, ale wiedziała, że dla dziadka to spora suma. Do oczu napłynęły jej łzy, tym razem nawet nie próbowała ich powstrzymać. – Dziękuję, James. Za wszystko.

– Dziękuję, że tu byłaś. Proszę, informuj mnie na bieżąco, dobrze? Proszę, odezwij się! – Wyglądał tak żałośnie, że mało nie pękło jej serce. Nie miała jednak czasu, żeby go pocieszyć, żeby się nim zaopiekować. Żeby go przekonać. Musiała się zbierać. Wszystkie jej zmysły ostrzegały przed niebezpieczeństwem.

Wystarczyły trzy lub cztery ruchy i jej mała torba podróżna była spakowana. Pieniądze Jamesa włożyła do portmonetki. Na jego łóżku położyła sweter, który chciała mu dać w świątecznym prezencie.

James podjął ostatnią próbę.

– Ale dlaczego teraz? Jest ciemno i zimno. Gdzie przenocujesz?

– Coś sobie znajdę. Jakiś motel. Albo B&B. – Byleby stąd uciec.

Wychodząc z mieszkania, jeszcze raz odwróciła się do staruszka, który zmieszany i przerażony odprowadzał ją wzrokiem.

– Jeszcze jedno: nikomu nie otwieraj.

– A opieka społeczna? Ludzie z jedzeniem?

– Znasz godziny. Ale poza tym... proszę cię, nie otwieraj. Proszę. Obiecuj mi.

– Tak, dobrze – mruknął James.

Miała nadzieję, że zrozumiał powagę sytuacji.

Wtedy zamknęła za sobą drzwi.

# Wtorek, 24 grudnia

## 1

Zazwyczaj to ludzie spacerujący z psem dokonują tego strasznego odkrycia: znajdują zwłoki albo przynajmniej ich pozostałości. Strzęp ubrania, rower, torbę – rzeczy należące do kogoś, kto zaginął. Na tej podstawie jego okrutny los staje się bardziej prawdopodobny i zwykle wkrótce potem zostaje potwierdzony.

Rankiem dwudziestego czwartego grudnia Lucy Regan ze Sleaford w Lincolnshire dokonała takiego potwornego odkrycia – choć akurat wędrowała bez psa. Chciała namówić na spacer Herę, którą przed laty przywiozła z Aten i nadała tej bezpańskiej chudzinie pompatyczne imię królowej bogów, ale staruszka o lodowatoszarym pysku i mętnych oczach nie miała na to ochoty. Nie lubiła wychodzić z domu w chłodne dni, robiła najwyżej rundkę w ogrodzie, po czym wracała do swojego koszyka przy kominku.

Fred, mąż Lucy, także nie chciał jej towarzyszyć, wyruszyła więc sama. Dwudziesty czwarty grudnia. Rozkoszowała się ciszą zimowego poranka. Leżący na poboczu drogi śnieg zmienił się w brudne grudy, jednak gdy Lucy skręciła w polną ścieżkę, która z osiedla prowadziła na odludzie, okolica wyładniała. Śnieg wciąż skrzył się tu bielą, a szron srebrzył łąki i bujne zarośla ciągnące się wzdłuż rzeki Slea. Mimo wszystko nie wystarczyłoby go, by pojeździć na sankach, urządzić bitwę na śnieżki czy ulepić bałwana. Późnym popołudniem miała przyjechać do Lucy i Freda czwórka ich dzieci ze swoimi partnerami i własnym potomstwem, a wtedy wielki stary dom, który Lucy świątecznie udekorowała, ożyje, wypełniony przez radosne głosy i śmiechy. Zapewne pojawią się także łyzy oraz sprzeczki, ale Lucy nie traktowała ich zbyt poważnie. Należały do tradycji. Podobnie jak choinka, rozdawanie prezentów o poranku, wystawny obiad oraz świąteczne orędzie królowej dwudziestego piątego grudnia po południu.

Przewidując, że nadchodzące dni będą dość burzliwe, Lucy cieszyła się ze spokojnego porannego spaceru. Na niebie kłębiły się chmury, zmrożona trawa chrzęściła pod jej stopami. Dało się słyszeć nawoływanie pardew. Poza tym było cicho. Panował niezmacony spokój.

Przystanąła, zastanawiając się, czy nie pójść dróżką wijącą się tuż nad brzegiem rzeki. Wyżej biegła szersza droga, którą zwykle wybierała większość spacerowiczów.

Ścieżka tuż przy brzegu była bardzo wąska, miejscami niebezpiecznie stroma i porośnięta wierzbiną. Szło się nią nader trudno. Zarazem jednak wyglądała niezwykle idyllicznie ze względu na bliskość wody, w której nurzały się długie witki wierzb. Zachwycający widok, pomyślała Lucy.

Ruszyła ścieżką.

Po krótkim czasie zrozumiała, że popełniła błąd. Szczególnie o tej porze roku. Nurt rzeki podmył miejscami drożynę, ziemia się zapadła, było ślisko, a na domiar złego pleniące się cierniste pnącza blokowały i tak wąskie przejście. Ponieważ prawie nikt tędy nie chodził, las zagarnął z powrotem swoje terytorium. Lucy brnęła przez gąszcz, co rusz przytrzymując się gałęzi i konarów, gdyż kilkakrotnie omal nie zsunęła się do wody. Jak mogła być tak lekkomyślna? Jeśli coś jej się tu przytrafi, upłynie sporo czasu, zanim ją odnajdą. A jeśli coś sobie złamie, kostkę albo nadgarstek, to święta ma z głowy.

Idiotka, powiedziała do siebie Lucy.

Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Rozważała, czy nie zawrócić, ale odcinek ścieżki za jej plecami wyglądał równie kiepsko jak ten, który ciągnął się przed nią. Wiedziała, że w odległości zaledwie kilku metrów biegnie przesieka prowadząca w górę z boku do regularnej drogi. Jeśli do niej dotrze, będzie uratowana. Niełatwo będzie się wdrapać po zboczu, ale może lepsze to niż powrotna wędrówka po zdradliwej ścieżce.

Jak można być tak durnym?

Spokojny spacer stracił tymczasem cały swój urok. Lucy poczuła przyspieszone bicie serca, była spocona, drżały jej kolana. Najchętniej zaklęłaby głośno i dosadnie, ale stłumiła w sobie ten zamiar. Nie w święta. Musi zachować spokój, trzymać nerwy na wodzy i poszukać wyjścia z sytuacji, w której się znalazła.

Pomijając fakt, że wciąż groziło jej niebezpieczeństwo osunięcia się do wody, było tu naprawdę sielsko. Nurt wydawał się tego dnia głęboki i mroczny. Rzeka niknęła na horyzoncie wśród śniegowych obłoków. Liczne wierzby rosnące wzdłuż brzegu zdawały się pokryte matowym srebrem. Uroczy zimowy dzień. Lucy po raz kolejny przepełniło uczucie wdzięczności za swoje rodzinne strony. Jak cudownie było mieszkać w Sleaford, tym niewielkim miasteczku pośrodku Lincolnshire, gdzie czas jakby się zatrzymał. Lucy miała niekiedy wrażenie, że żadne zło świata nie miało tu wstępu. Razem z Fredem znaleźli przed laty prawdziwy raj. Uchował się nienaruszony.

Ostrożnie torowała sobie drogę, odsuwając na bok gałęzie, balansując nad korzeniami, omijając dziury w ziemi. Szło jej nieco lepiej, ale uważała, by przez lekkomyślność nie popełnić jakiegoś błędu. W pewnym momencie glina usunęła jej się spod stóp, lecz w porę przytrzymała się pnia. Zmówi modlitwę dziękczynną, jeśli wyjdzie z tej przygody bez szwanku.

Dostrzegła miejsce, gdzie leśna przesieka łączyła się ze ścieżką. Jej dzieci przed laty zbiegały tędy nad rzekę. Tymczasem na szczycie ustawiono znak ostrzegawczy. Brzeg Slea był nieutwardzony i niebezpieczny, nie należało zbaczać z drogi. Pewnie większość się tego trzymała.

Albo i nie?

Lucy zauważyła zrytą ziemię tuż przy przesiece. Z daleka odniosła wrażenie, jakby wystające ponad powierzchnię ziemi korzenie artystycznie się z sobą splotły, gdy jednak podeszła bliżej, spostrzegła, że to nie były korzenie, tylko kopiec spulchnionej ziemi. W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś, schodząc ze zbocza, spowodował osunięcie się ziemi, w rzeczywistości było jednak inaczej. Ktoś w ziemi kopał. Prawdopodobnie jakieś zwierzę albo całe stado. Czyżby dziki? Lisy?

Aby dotrzeć do drogi na górze, Lucy musiała obejść to miejsce, a to wcale nie było łatwe. Ponownie oblała się potem.

Jak można się było wpakować w tak idiotyczne kłopoty?

Zobaczyła nogę i pomyślała: Co za absurd!

Noga wystawała z ziemi. To prawdopodobnie korzeń, który nogę przypominał jedynie z wyglądu.

Lucy się zaśmiała. Jej śmiech rozproszył ciszę poranka.

A więc do tego już doszło. Korzenie brała za kończyny.

Dlaczego lisy, dziki czy inne zwierzęta kopały tu tak zażarcie?

Kątem oka dostrzegła przedmiot wiszący w dole tuż nad wodą, zahaczony o kilka ciernistych gałęzi. To był but.

Bez wątpienia.

Lucy uchwyciła się kurczowo gałęzi wierzby i starała się nie wpadać w histerię. But wiszący niedaleko czegoś, co uznała za nogę, nie oznaczał nic dobrego. Przemawiał za tym, że noga była faktycznie nogą, a nie korzeniem. Nadto skoro wisiał tam but, to noga nie należała do zwierzęcia, na przykład do sarny. Sarny nie noszą butów. Ani żadne inne leśne zwierzęta.

Na dobrą sprawę buty noszą tylko ludzie.

Lucy powoli podeszła bliżej. Najchętniej po prostu by się odwróciła i uciekła, ale ucieczka nie wchodziła w grę. A nawet zwykłe zawrócenie. Musiała dotrzeć do utwardzonej drogi. A to oznaczało, że powinna podejść jeszcze bliżej do... tego miejsca.

Usiłowała nie patrzeć na wystającą z ziemi nogę. Nie chciała tego widzieć. Na litość boską, nie chciała na to patrzeć.

A jednak ją widziała. Kiedy przystanęła tuż przed tym miejscem, bo nie mogła po prostu przejść dalej, bo musiała się zastanowić, jak ominąć ten usypany kopiec ziemi,

zobaczyła nogę. To była noga człowieka. Ujrzała ramię, przegniła dłoń odpadła albo została odgryziona. Zobaczyła tkaninę. Czyżby sukienki?

Leśne zwierzęta wykopały tu zwłoki człowieka.

Lucy wrzasnęła. Jej krzyk zwielokrotniło wystraszone ptactwo wodne, unosząc jego echo wysoko ku chmurom.

Wydawało się, że wszyscy krzyczą z przerażenia. Bo tu, w raju Lucy, stało się coś strasznego.

## 2

Kate zadzwoniła rankiem do Eleonore Walters i zapytała, czy mogłaby ponownie wstąpić do niej na chwilę. Eleonore odpowiedziała w jakże typowy dla siebie nieuprzejmy sposób:

– No cóż. Chyba powinnam się cieszyć, że policja w ogóle coś robi, prawda?

Kate uznała to za zgodę i bez słowa się rozłączyła.

Poprzedni wieczór spędzony na zajęciach kulinarnych nie przyniósł żadnych nowych informacji, niemniej upłynął w zaskakująco miłej atmosferze. Kate ze zdumieniem odkryła, że wspólne gotowanie z innymi ludźmi jest całkiem przyjemne.

Prowadząca kurs Anna Carter wyglądała na bardzo zmęczoną, ale była uprzejma i cierpliwie tłumaczyła wszystkie etapy przygotowania świątecznego menu, które zaplanowano na ten wieczór. Dość głośny, bardzo pewny siebie mężczyzna, który przedstawił się jako Burt Gilligan, kroił razem z Kate marchewki, obgadując przy okazji Annę.

– Osoba totalnie neurotyczna. Zawsze przygnębiona. Cały czas masz wrażenie, że zaraz się rozpłacze. Zastanawiam się, jak znosi to jej chłopak. To przystojny facet. Mógłby mieć każdą inną.

Kate starała się skierować rozmowę na Diane Bristow, Burt chętnie udzielał informacji. Diane, podobnie jak Anna, sprawiała wrażenie przygnębionej i zamkniętej w sobie.

– Poznałem ją dopiero z początkiem listopada. Więc oczywiście nie wiem, czy zawsze taka była... Typ melancholiczki. Moim zdaniem jej powściągliwość wiązała się z jakimś ciężarem, który dźwigała na swoich barkach.

– Czy są na to jakieś konkretne dowody?

Burt potrząsnął głową.

– To tylko moje odczucia.

– Czy może to mieć związek z tym facetem? Tym trzymanym w tajemnicy przyjacielem, którego teraz szukają?

– Nie wiem. Nic o nim nie wiedziałem. Patrząc z perspektywy czasu... oczywiście, że może tak być. Ale nie tylko. Powiedziałbym, że coś leżało jej na sercu. Ale co to było... nie mam pojęcia.

Wszystko wskazuje na to – pomyślała tego ranka Kate – że dochodzenie utknie w martwym punkcie, podobnie jak utknął w błocie samochód, którym Diane Bristow z niezrozumiałych powodów wjechała na grząską ścieżkę.

Uznała za mało prawdopodobne, by w okresie świątecznym pojawiły się jakieś nowe ustalenia, postanowiła więc znów poszperać w sprawie Mili Henderson, a potem poddać się atmosferze świąt, o których po tylu latach wiedziała przynajmniej jedno: mimo wszystko upłyną dość szybko.

Eleonore Walters zaprosiła ją do salonu, ale nie zaproponowała ani kawy, ani nawet szklanki wody. Przed oknem stała przystrojona choinka. Eleonore wyjaśniła, że mimo strasznej śmierci matki chciałyby świętować Boże Narodzenie.

– Oczywiście w zupełnie innych okolicznościach niż sądziłam. Nigdy bym nie uwierzyła, że jednocześnie będę musiała szykować pogrzeb!

W słowach Eleonore oraz w jej głosie jak zwykle pobrzmiwała raczej złość z powodu zaistniałej sytuacji niż autentyczny żal po stracie matki, Kate wiedziała jednak, że to może być mylne wrażenie. Kiedy ludzie próbują ukryć swoje uczucia, czasem nawet przed samym sobą, uciekają się do najdziwniejszych zachowań.

– Kiedy odbędzie się pogrzeb pani matki?

– Jeszcze nie wiem. Chciała zostać skremowana. Wciąż czekam na wiadomość z zakładu pogrzebowego. – Eleonore przewróciła oczami. – Święta nie poprawiają sytuacji. Wszystko się opóźnia.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało pani matkę.

Eleonore prychnęła.

– Niech więc pani znajdzie tę Milę. Będzie z tego więcej pożytku niż z tych pani kondolencji.

– Pani Walters, nie szukamy zbiegłej morderczyni. Mila Henderson może i jest lekkomyślna i uchyla się od obowiązków, ale daleko jej do działania z premedytacją. Będzie musiała odpowiedzieć za swoje czyny, ale w jej poszukiwania nie zaangażujemy setek policjantów.

– Och – oburzyła się Eleonore.

– Pani Walters – podjęła Kate, zanim jej rozmówczyni zdążyła rozpocząć dłuższą tyradę – podczas naszego ostatniego spotkania powiedziała pani, że Mila Henderson nie miała przyjaciół, nikogo, z kim utrzymywałyby kontakt. Tak twierdziła pani

matka. Oznacza to, że nie mamy żadnych przesłanek, by sądzić, że z kimś się spotykała.

– Zgadza się.

– Zatem w gruncie rzeczy w ogóle nie wiemy, dlaczego zniknęła. Jedynie tyle, że oto trzydziestoletnia kobieta z dnia na dzień przepadła bez śladu.

Zmarłej pani Walters nie sposób już było zapytać, co się wydarzyło przed zniknięciem Mili. Czy doszło do kłótni? Może Mila powiedziała, dokąd zamierza się udać.

– Gdyby Mila należycie wypowiedziała pracę – stwierdziła Kate – czego nie możemy całkowicie wykluczyć, czy pani matka skontaktowałaby się z panią? Czy może nie powiedziała o tym nikomu, sądząc, że przez kilka dni poradzi sobie sama?

– Nie pozwoliłaby jej tak po prostu odejść. Moja matka naprawdę potrzebowała opieki. Nie powiedziała o tym tak, że może sobie zniknąć na cały weekend. Gdyby Mila musiała pilnie wyjechać, mama zadzwoniłaby do mnie i poprosiła, żebym do niej przyjechała.

– Mila Henderson wiedziała, że pani matka w zasadzie nie może zostać sama nawet przez jeden dzień?

– Oczywiście, że o tym wiedziała. Moja matka z trudem poruszała się samodzielnie po domu. Nie była w stanie o siebie zadbać, było jasne, że każda taka próba może się okazać dramatyczna w skutkach.

– Czy kiedykolwiek pomyślała pani – zapytała Kate – że Mili coś mogło się przytrafić?

Eleonore zmarszczyła brwi.

– Ma pani na myśli... jak tej kobiecie, którą znaleziono w samochodzie?

– Chcę tylko powiedzieć, że istnieje również taka ewentualność. Mogła lekkomyślnie uciec. Ale równie dobrze mogło jej się coś stać. W poszukiwaniach musimy uwzględnić również tę okoliczność.

– No nie wiem... – mruknęła Eleonore, ale wyglądała na nieco zdezorientowaną. Widocznie niełatwo jej było poniechać wrogości, którą aż kipiała od wielu dni.

– Proszę się nie fatygować – powiedziała Kate i odwróciła się, by odejść. – Wesołych świąt.

Znalazszy się na ulicy, zrobiła głęboki wdech. Instynkt podpowiadał jej, że Mila Henderson prawdopodobnie nie uciekła bez powodu – za jej decyzją kryło się coś poważniejszego, i koniecznie trzeba ją odnaleźć. Postara się przeświecić otoczenie młodej kobiety. Przez ostatnie dni – Eleonore miała tu rację – poświęcała tej historii zbyt mało czasu, ponieważ całą jej uwagę przykuło ohydne morderstwo Diane Bristow.

Dwie kobiety. Jedna dwudziestopięcioletnia, druga trzydziestoletnia.

Zarzuciła jednak myśl, że te dwie sprawy są z sobą powiązane. Istniała taka możliwość, choć nieoczywista. Przynajmniej do tej pory nic na to nie wskazywało.

Kate, dygocąc z zimna, ściągnęła ramiona. Marzła od wiatru, ale także drżała wewnątrz.

Musiała zrobić coś tylko dla siebie.

Postanowiła kupić choinkę.

### 3

Poprzedniego wieczoru Anna pojechała do Sama zaraz po kursie gotowania, a on z radością przyjął jej zapewnienie, że od poniedziałku zostanie u niego na całe święta. Dwudziestego szóstego grudnia miał zamiar odwiedzić ojca w Londynie, ale resztę czasu mogli spędzić razem. Anna wiedziała, że miał nadzieję, iż w końcu zdecyduje się towarzyszyć mu w tej podróży, wciąż jednak czuła się do tego niezdolna, nawet bardziej niż kiedykolwiek. Była potwornie spięta. Logan nadal przebywał w jej domu i nie miał pojęcia, dokąd miałby się udać. Anna przeprowadziła się do Sama głównie po to, by uniknąć sytuacji, gdy Sam niespodziewanie zjawi się u niej i przy tej okazji natknie się na Logana. Jak miałyby to wyjaśnić? Sam natychmiast rozpoznałby w nim człowieka pilnie poszukiwanego przez policję w sprawie morderstwa Diane Bristow, jego zdjęcie oraz nazwisko opublikowano we wszystkich gazetach. Fakt, że Anna dała schronienie domniemanemu przestępcy, poważnie zirytowałby Sama.

Czy powinna mu o wszystkim powiedzieć? W nadziei, że ją zrozumie?

Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Byłam w nim niegdyś beznadziejnie zakochana. Niestety, on kochał tylko Dalinę. Wiele razem przeszliśmy, bardzo wiele. Przysięga, że nie zamordował Diane. I jakoś... mu wierzę.

Zdawała sobie sprawę, jak kiepsko to brzmiało. Nie zdoła w ten sposób przekonać Sama. Zapewne poczułby się wstrząśnięty. Bardziej niż wątpliwe, czy cokolwiek by go powstrzymało przed niezwłocznym wezwaniem policji.

Sam nie mógł się dowiedzieć o obecności Logana, a Logan musiał zniknąć.

Nie jestem za niego odpowiedzialna, pomyślała tego ranka po wspólnym śniadaniu, po którym Sam wyszedł zrobić ostatnie zakupy. Nalegał, by z nim poszła, ale poczuła dotkliwy ból głowy – to była jej typowa reakcja na silne napięcie.

– Posprzątam w kuchni – powiedziała. – Idź beze mnie.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

– Nie wyglądasz najlepiej.



Zmusiła się do uśmiechu.

– Wczorajsze zajęcia były wyczerpujące. Święta są wyczerpujące. Niedługo mi przejdzie.

– O święta nie musisz się martwić. Zajmę się wszystkim. Idę teraz po choinkę. Połóż się na kanapie i spróbuj się zdrzemnąć.

Obiecała, że tak zrobi. Kiedy jednak została sama, zdała sobie sprawę, że o śnie nie ma mowy, choć czuła się zupełnie wyczerpana. Aż kipiało w niej od emocji i nie potrafiła odzyskać spokoju. Owo znużenie, uczucie kompletnej niemocy dało jej do myślenia: Nie jestem odpowiedzialna. Nie jestem, do cholery, odpowiedzialna za Logana.

Myśl ta okazała się na tyle wyzwalająca, że nawet ból głowy na chwilę ustąpił.

Była w nim tak strasznie zakochana. Zawsze gotowa zrobić dla niego wszystko – byleby tylko zasłużyć na jego uśmiech, chwilę niepodzielnej uwagi, pełne uznania spojrzenie. Cokolwiek. Wciąż jednak spotykała ją wyłącznie obojętna życzliwość. Owszem, uważał, że jest miła, była Anną, kumpelką. Anną, która spełniała każdą jego prośbę. Anną, która była przy nim, kiedy kogoś potrzebował. By porozmawiać albo ponarzekać. Bo pragnął Daliny, którą z kolei łechtało to jego bezgraniczne uwielbienie i wciąż nie pozwalała mu dać za wygraną. Nic ponadto. Trzymała go na dystans, by jednym pstryknięciem palców przywołać go z powrotem, gdy po niekończących się rozmowach z Anną wreszcie był gotów uwolnić się z więzów tej nieodwzajemnionej miłości. Uległ jej urokowi. Ona zaś czerpała z tego przyjemność, choć w rzeczywistości wcale go nie pragnęła.

Natomiast Anna czuła się w tej grze prawdziwą przegraną.

W zasadzie sytuacja się powtarzała. Logan był w potwornych tarapatkach. I do kogo się zwrócił? Do Anny. Naraził ją na niebezpieczeństwo. Wykorzystał ją. Zachowywał się bezwzględnie, domyślając się, że ona na to przystanie.

Jak zawsze.

Jednak nie była już tamtą Anną, małą myszką. Była dorosłą kobietą. Miała pracę i przystojnego chłopaka. Przed laty wyrzuciła Logana ze swojego serca.

Nie mógł już na nią liczyć.

Niech sobie idzie do Daliny. Ona rzecz jasna ani przez chwilę nie będzie na tyle głupia, by cokolwiek dla niego zaryzykować.

Poprzedniego wieczoru, zaraz po kursie, dwukrotnie próbowała dodzwonić się do Logana. Choć wciąż uciekał, miał przynajmniej komórkę, a ona zapisała sobie jego numer. Właściwie chciała tylko wiedzieć, czy wszystko w porządku. Współczuła mu, ale broniła się przed tym uczuciem. Logan wyłącznie z własnej winy wciąż popadał w tarapaty.

Nie odebrał wieczorem, nie odbierał nawet o późnej porze, kiedy Sam zasnął, a Anna zakradła się z telefonem do łazienki i ponownie spróbowała. Czekwała do ostatniego sygnału, ale nikt nie odpowiadał. Czy to możliwe, że już spał? Tak głęboko?

A może był tak zmęczony, tak zdeprymowany, tak apatyczny, że gapił się w ekran dzwoniącego telefonu i zwyczajnie nie potrafił się zmusić do rozmowy?

Tego ranka spróbowała ponownie. Tym razem nie zamierzała po prostu zapytać, czy wszystko u niego w porządku. Tym razem zamierzała mu powiedzieć, że musi zniknąć, zanim ona wróci po świętach do siebie. Daruje mu tych kilka świątecznych dni, ale przez ten czas musi opracować plan, a ona nie chce znowu się na niego natknąć.

Wybrała numer. Po raz kolejny nie odebrał.

Zaczynał ją irytować. Może i był zrozpaczony i zdeprymowany, ale normalny człowiek tak się nie zachowuje. Włamał się do jej domu, a mimo to udzieliła mu schronienia. Pozwoliła mu opróżnić swoją lodówkę i ogrzać się przy piecu w salonie. Wprowadziła się do mieszkania swojego chłopaka dzień wcześniej, niż planowała, żeby Sam na niego nie wpadł, a Logan nadal mógł się ukrywać. Wiele dla niego zrobiła i mogła zostać za to pociągnięta do odpowiedzialności karnej. Przynajmniej mógłby więc odebrać telefon, nawet jeśli nie miał ochoty z nią rozmawiać. Zapisali w aparatach swoje numery, musiał wiedzieć, że to ona dzwoni.

Próbowała jeszcze kilkakrotnie, wybrała nawet swój numer stacjonarny, mimo że wyraźnie mu zabroniła dotykać tego aparatu. Zgodnie z przewidywaniem nie odebrał.

Anna zaczęła nabierać podejrzeń. Fakt, że poprzedniego wieczoru był nieosiągalny, dał się jeszcze jakoś wyjaśnić, być może rzeczywiście położył się wcześniej spać, a nawet wyłączył komórkę. Ale teraz, nad ranem, w biały dzień... Coś było nie tak.

Wysłała mu wiadomość na WhatsAppie: *Logan, proszę, odezwij się. W przeciwnym razie przyjadę sprawdzić, co się dzieje!*

Wiadomość nie została odczytana.

Nie namyślając się długo, Anna włożyła buty i płaszcz. Zabrała z torebki klucze do samochodu i do drzwi wejściowych. Pojedzie to sprawdzić. I jeśli Logan nie będzie miał dobrego wytłumaczenia swojego zachowania, niech natychmiast znikna.

W bladym świetle zimowego dnia jej dom jawił się spokojny i cichy. Z komina nie wydobywał się dym, co oznaczało, że w żeliwnym piecyku w salonie nie rozpalono ognia. Dziwne. Jak Logan znosił taki chłód?

A może nadal leżał w łóżku? Było już po jedenastej.

Na polnej drodze prowadzącej do domu oraz na nieutwardzonym placu przed nim nie było już śniegu. Utworzyły się duże, okropne brązowe kałuże o zamarzniętych

brzegach. Okoliczne pola wciąż pokrywała cienka warstwa śniegu. Wiatr wiejący znad wzgórz smagał bezlitośnie. Anna wysiadła i od razu wdepnęła w kałużę, poczuła, jak lodowata woda wsiąka w jej zamszowe buty. Nieodpowiednie obuwie, ale też niewykończony plac. Gdyby miała pieniądze, kazałaby to miejsce ładnie wybrukować. Postawić płot, założyć ogród. Jednak przy żalosnej pensji, jaką dostawała od Daliny, nie mogła sobie pozwolić na dalekosiężne plany. Wystarczała jej tylko na czynsz i utrzymanie.

Nie zważając na nieprzyjemnie wilgotną stopę, pobiegła do drzwi i już miała je odtworzyć, gdy się zorientowała, że wcale nie były zamknięte. Były uchylone.

Anna zmarszczyła brwi. Więcej niż dziwne. Logan uciekał i był przerażony. Nie zatrzymałby się w domu, nie zamknąłby się starannie. A może już dawno wyjechał? Ruszył w dalszą drogę, bo dłużej nie chciał być dla niej ciężarem, i dlatego nie odpowiadał na jej telefony? Czyżby zapomniał zamknąć za sobą drzwi?

Poczuła ból, wydawał się znajomy. Dobrze znane rozczarowanie. Chciała, żeby odszedł, ale na samą myśl, że rzeczywiście wyjechał, poczuła nagły, niespodziewanie dojmujący smutek. Logan, jej Logan.

Nie wolno ci tak myśleć, napominała samą siebie, nie wolno ci się tak czuć.

Nie tylko ze względu na Sama. Przede wszystkim dlatego, że z Loganem nie miała przed sobą przyszłości. Nigdy nie miała i nigdy mieć nie będzie.

Ostrożnie otworzyła drzwi. Uderzyło ją zimne, zatęchłe powietrze. I jeszcze coś... jakaś inna woń...

Zobaczyła Logana leżącego na podłodze. Jego wysoka postać wypełniała niemal cały przedpokój, zakryła żółty chodnik, a także część kamiennej posadzki. Leżał jak długi na brzuchu. Jego nogi zdawały się powykęcane, podwinął mu się sweter, ukazując fragment skóry na plecach. Jedną rękę wyciągnął przed siebie – jakby usiłował czegoś dosięgnąć albo przeczołgać się do przodu.

Leżał zeszywniały i nieruchomy.

Anna przykucnęła obok niego.

– Logan! – Poruszyła jego głowę, dotknęła pleców. – Logan!

Żadnej reakcji.

Ostrożnie spróbowała go odwrócić. Jego ciało było w dotyku lodowate, jakby mocno zmrożone i zupełnie zdrętwiałe. Umysł Anny przez chwilę wzbraniał się przed zrozumieniem czegoś, co właściwie było oczywiste: leżący przed nią mężczyzna nie żył. Od kiedy? Jego ciało było w stanie stężenia pośmiertnego. Anna pamiętała, że następowało ono około dwóch godzin po zgonie i utrzymywało się przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny, czasem nawet dłużej. A to oznaczało, że Logan mógł nie

żyć od poprzedniego wieczoru. Odkąd bezskutecznie próbowała się z nim skontaktować.

Nie zdołała przewrócić ciężkiego tułowia, kiedy jednak wyciągnęła rękę spod jego klatki piersiowej, jej dłoń była czerwona i lepka. Domyśliła się, że to krew Logana. Ktoś go... zastrzelił? Dźgnął go nożem?

A może po prostu upadł?

Ułożenie ciała świadczyło o tym, że nie spadł ze schodów, co najwyżej potknął się o własne stopy. Czyżby człowiek tak mocno wtedy krwawił? Czy nie bardziej prawdopodobne było skręcenie karku? Nic na to jednak nie wskazywało.

Zerwała się na równe nogi. Z kieszeni dzinsów wyciągnęła komórkę, spojrzała na swoje bezwiednie drżące palce, którymi próbowała wywołać spis numerów. Były umazane krwią.

Nie udało się. Krew pokryła klawiaturę, ekran dotykowy nie reagował. Anna pokuśtykała do kuchni. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, na stole stała pusta puszka po zupie pomidorowej. Przetwarzała w głowie widziane obrazy i doszła do wniosku, że przyrządził sobie coś do jedzenia. Zeszłego wieczoru, po jej wyjściu. Zjadł. Włożył naczynia do zlewu. Zanim zdążył je umyć... stało się coś strasznego.

Opłukała dłonie wodą. Spływająca czerwona strużka mieszała się w zlewie z czerwienią zupy pomidorowej. Przyglądała się temu niemal obojętnie. Krew Logana.

Osuszyła dłonie. Drżenie minęło, ręce nie trzęsły się już tak gwałtownie. Anna odzyskała spokój, czuła jednak, że nie jest on prawdziwy. Jakby ktoś przykrył ją kloszem, odcinając od świata, od martwego człowieka w przedpokoju, od jej własnego przerażenia.

Ręcznikiem kuchennym przetarła zakrwawiony ekran telefonu, po czym wybrała numer Sama. Palce miała teraz czyste i suche.

Sam odebrał po czwartym sygnale. W tle słyszała warkot samochodów i głosy, musiał przebywać w centrum miasta. Jaskrawy kontrast z kompletną ciszą wypełniającą jej dom, z nieporządkiem w kuchni, przez której drzwi widziała w przedpokoju nogi martwego Logana.

– Sam? – Własny głos wydał jej się dziwny. Wysoki i krzykliwy. Rezonował w nim doznany szok.

– Anna? Właśnie kupiłem choinkę. Jest ogromna. Boję się, że się nie zmieści do pokoju, ale jest śliczna. Musisz mi pomóc wnieść ją do mieszkania...

– Sam, musisz tu natychmiast przyjechać. Proszę. Natychmiast.

– Ale dokąd? Do domu?

– Do mnie. Do Harwood Dale. Proszę, tylko się pośpiesz!

– Dobrze. Co ty tam robisz? Anno, załaduję tylko drzewko do samochodu, a potem...

Ujrzała go przed sobą. Stojącego wśród wszystkich tych choinek i ludzi. Jedną ręką trzymał ogromne drzewko, a drugą telefon. Przytłoczony okolicznościami.

– Zostaw je! Przyjeżdżaj natychmiast!

– Anno, nie mogę go tu po prostu porzucić. Słuchaj, będę się spieszył, dobrze? Co się stało?

– Po prostu przyjeźdź – powiedziała i się rozłączyła.

Czas do przyjazdu Sama Anna spędziła w kuchni, bo nie mogła się przemóc, by ponownie podejść do leżącego w przedpokoju martwego Logana. Choć nie miało to teraz pierwszorzędnego znaczenia, skrupulatnie posprzątała kuchnię, umyła naczynia, wyszorowała wszystkie blaty, szklanki i sztucce schowała do szafek, zamiotła kamienną posadzkę. Uświadomiła sobie przy tym, że robi dokładnie to, czego w żadnym razie nie powinno się robić na miejscu zbrodni, nie miała jednak zamiaru wzywać policji. Do takiego wniosku doszła, myjąc dłonie w gorącej wodzie z dodatkiem sporej ilości płynu do naczyń, jakby krew Logana wciąż mogła się kleić w najdrobniejszych zakamarkach jej skóry. Policja nie może się dowiedzieć. Udzieliła schronienia mężczyźnie poszukiwanemu za morderstwo. Mogłaby się powołać na fakt, że byli starymi przyjaciółmi. Ale gdyby to zrobiła... jedno doprowadziłoby do drugiego... Wykluczone.

Żadnej policji.

Ale co z trupem?

Iście surrealistyczna sytuacja, pomyślała.

Minęła cała wieczność, zanim w końcu zobaczyła samochód Sama skręcający z szosy w polną drogę prowadzącą do jej domu. Z bagażnika wystawała choinka, do jej czubka przyczepił ostrzegawczą czerwoną chorągiewkę. Jakimś sposobem udało mu się upchnąć w aucie drzewko, dlatego tak długo to trwało. Przez chwilę Anna poczuła potworną złość – czy tak trudno było zrozumieć zdanie: Proszę, przyjeźdź natychmiast? Uświadomiła sobie jednak, że przecież nie mógł tak po prostu porzucić dopiero co kupionej choinki w samym środku miasta. Nie mógł też wiedzieć, jak pilnie go potrzebowała. Może pomyślał o pękniętej rurze lub czymś podobnym.

Samochód się zatrzymał, Sam wysiadł. Anna nie chciała go trzymać w nieświadomości i otworzyła okno w kuchni.

– Sam?

– Anna! Co się dzieje?

– Sam, jestem w kuchni – wyjaśniła niepotrzebnie. Przecież dobrze znał ten dom. – Proszę, nie przestrasz się. W przedpokoju leży martwy człowiek.

– Co takiego?

– Tak. Myślę, że został zamordowany.

Sam gapił się na nią, jakby zwątpił, czy jest przy zdrowych zmysłach.

– W twoim przedpokoju leży zamordowany mężczyzna?

– Tak.

– Ale... dlaczego?

– Nie wiem. Ktoś musiał go zamordować.

Przez chwilę Sam chyba nie mógł się zdecydować, czy w ogóle powinien wchodzić do środka.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Wydawał się rozdrażniony i zmieszany, Anna nie mogła wziąć mu tego za złe.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał.

Podczas mycia i sprzątanania Anna obmyśliła dalszą strategię działania. Z początku planowała udawać przed Samem nieświadomą. Wróciła do domu po drugą parę butów, bardziej odpowiednich na tę pogodę, drzwi wejściowe zastała uchylone, ostrożnie weszła do środka i znalazła martwego człowieka. Nie miała pojęcia, kim jest ani jakim sposobem dostał się do domu. Nie mówiąc już o tym, kto go zabił.

Potem jednak uzmysłowiła sobie, że Sam w takim wypadku natychmiast wezwie policję, ona zaś nie znajdzie argumentów, by go od tego odwieść. I tak trudno go będzie powstrzymać. Musiała wyznać mu prawdę, przynajmniej jej część.

– To Logan – powiedziała. Nadal wychylała się przez kuchenne okno, a Sam stał przed domem. Dzielił ich, w pewnym sensie, leżący w przedpokoju Logan.

– Kim jest Logan?

– Logan Awbrey.

– Kim jest...? – powtórzył Sam, ale wtedy zaświtało mu w głowie. – Logan Awbrey? Widziałem to nazwisko w gazecie. To człowiek, który... który zabił tę kobietę z twojego kursu?

– Diane. Tak.

– I teraz leży martwy w twoim przedpokoju?

Anna wybuchła płaczem. Sytuacja była na wskroś groteskowa i przerażająca, ona zaś czuła, że coś się w jej życiu zmieni – i że nie będzie to zmiana na lepsze.

– Wchodzę – powiedział stanowczo Sam.

Na szczycie St. Nicholas Cliff nie było już zbyt wielu drzewek do kupienia. Większość ludzi od tygodni dekorowała swoje domy, migoczące i skrzące się choinki już od dawna zdobiły ich salony. Pozostało jednak trochę drzewek, a dwudziestego czwartego grudnia zebrało się całkiem sporo osób, które w ostatniej chwili zapragnęły stworzyć w swoich domach świąteczny nastrój.

Kate zdecydowała się na dość małą choinkę, którą będzie musiała ustawić na stoliku, żeby w ogóle była w pokoju widoczna, uznała jednak, że nie potrzebuje dla siebie ogromnego okazu, który po kilku dniach i tak trzeba wyrzucić. Stwierdziła, że mimo wszystko nie tak łatwo będzie przewieźć drzewko w bagażniku samochodu. Gdy wciąż się z nim zmagala, usłyszała za plecami głos.

– Kate? Czy to pani?

Odwróciła się. Ręce miała zaczerwienione od niezliczonych ukłuć igieł.

Za nią stał mężczyzna, którego w pierwszej chwili nie rozpoznała. Wreszcie się domyśliła: to Burt Gilligan. Z zajęć poprzedniego wieczoru.

Zauważył jej chwilowe zmieszanie.

– Marchewki – powiedział. – Wspólnie kroiliśmy marchewki.

– Tak. Oczywiście. Przepraszam. Jestem zbyt zajęta drzewkiem. Niby mikrus, ale jakoś nie mogę go włożyć do bagażnika.

Burt wskazał na samochód za swoimi plecami, o który opierało się znacznie większe drzewko.

– Mam ten sam problem. Może razem spróbujemy najpierw załadować pani, a potem moje?

– We dwoje pójdzie zdecydowanie łatwiej – stwierdziła Kate, uznając, że to świetny slogan dla uczestników randkowych zajęć kulinarnych. Cała sytuacja była banalna. Dalina na pewno by się ucieszyła i z miejsca kazałaby wydrukować plakat z tym motywem.

We dwojkę faktycznie poszło im gładko z choinką Kate. Wierzchołek nieco wystawał, ale nie na tyle, by trzeba go było oznaczyć chorągiewką. Następnie podeszli do samochodu Burta. Jego okaz był znacznie większy i jeszcze trudniejszy do przewiezienia.

– Sam nie wiem, po co kupiłem tak dużą choinkę – przyznał Burt. – Świąta i tak spędzam sam. Dlaczego uznałem, że potrzebuję w salonie czegoś tak gigantycznego?

Wspólnymi siłami załadowali drzewko. Dolny koniec leżał na siedzeniu pasażera, pień opierał się na złożonej tylnej kanapie, a szpic sięgał daleko w głąb bagażnika. Burt zabrał z sobą czerwoną szmatkę, którą teraz zawiązał na wierzchołku choinki.

– Jakoś dojadę do domu – powiedział.

Trochę niezdecydowani stali naprzeciw siebie.

– W takim razie... – odezwał się Burt. – Wesołych świąt.

– Wesołych świąt – odparła Kate.

– Spędzi pani święta z rodziną? – zapytał Burt.

Kate potrząsnęła głową.

– Właściwie nie mam już nikogo. Umilę sobie ten czas sama. Z moim kotem. – Uśmiechnęła się. – Samotne kobiety zawsze mają koty.

– Koty są wspaniałe – odparł Burt. – Mimo wszystko wolałbym mieć psa. Ale zbyt dużo czasu musiałby spędzać sam.

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem agentem nieruchomości.

Informacja ta z jakiegoś powodu zaskoczyła Kate.

– Agent nieruchomości? Na kursie dla singli?

– Czemu nie?

– Cóż... Myślę, że z racji zawodu poznaje pan mnóstwo ludzi. Także kobiet.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie, i szczerze mówiąc, wiele z nich się mną interesuje.

Zabrzmiało to nieco chełpliwie. Burt Gilligan z pewnością nie cierpiał na brak pewności siebie.

– Ale od czasu mojego rozwodu przed ośmiu laty nie pojawił się nikt, kto zainteresowałby także mnie – dodał.

– To trudne – zauważyła Kate.

Ależ inteligentny wkład w rozmowę, uznała z rezygnacją.

Burt się uśmiechnął.

– Prawda. Ale trzeba łapać każdą okazję, tak myślę. Czy chciałaby pani zjeść dziś ze mną kolację? U Gianniego?

Kate poczuła zakłopotanie. Mężczyzna chciał ją zabrać na kolację? Czyżby to była randka? Nagle, w przededniu Bożego Narodzenia?

– Och... bardzo chętnie. Nie mam żadnych planów. – Miała wrażenie, że się jąka. Typowe. Zazwyczaj jej się to przytrafiało, gdy mężczyzna zagadywał do niej o coś innego niż sprawy zawodowe.

Burt z zadowoleniem skinął głową.

– O ósmej? Zarezerwuję stolik.

Przytaknęła.

– Okej. Chętnie. Przyjdę.

Nareszcie. Wsiadając do samochodu, poczuła lekką ekscytację. Cofała ostrożnie, bo przez drzewko w bagażniku niewiele widziała. A więc święta nie będą aż takie ponure. Co prawda nadal nie miała z kim rozpakować z rana prezentów, zjeść obiadu



i wpatrywać się w migoczące na choince lampki, ale miała z kim spędzić dzisiejszy wieczór, a to znacznie więcej, niż mogła oczekiwać jeszcze przed godziną. Burt nie był mężczyzną, w którym mogłaby się w okamgnieniu zakochać, ale był całkiem miły, a poza tym kto powiedział, że musi z tego wyniknąć coś więcej? Chodziło o dzień dzisiejszy. Czasem nie ma sensu myśleć zbyt wiele o tym, co przyniesie jutro.

Prawie dotarła do domu, gdy zabrzączał jej telefon. Pod wpływem pierwszego impulsu zamierzała go zignorować. Nie chciała teraz z nikim rozmawiać, chciała wrócić do domu, szybko wyładować choinkę, ustawić ją w salonie, a potem pojechać do biura i sprawdzić, co ją jeszcze czeka... Jednak rzut oka na ekran przekonał ją, że powinna odebrać. Dzwoniła jej szefowa.

– Tak? Tu sierżant Linville – powiedziała przez zestaw głośnomówiący.

– Sierżantko? – Głos Pameli brzmiał inaczej niż zazwyczaj. Nie tak chłodno. Była wyraźnie podekscytowana. Bardziej emocjonalna. – Sierżantko, czy może pani natychmiast przyjechać do komisariatu?

Kate poczuła przyspieszone bicie serca. Czyżby przełom? Czy złapano Logana Awbreyę? A może dokonano innego przełomowego odkrycia?

– Co się stało?

– Znaleziono Sophię Lewis – oznajmiła Pamela.

Ruszyła pędem do biura z nie do końca zamkniętym bagażnikiem i wystającym z niego czubkiem choinki. Wcale się tym jednak nie przejęła. Serce waliło jej jak oszałałe.

Odnaleziono Sophię Lewis.

Sprawa z zeszłego lata. Młoda kobieta, która padła ofiarą psychopaty i jego szaleńczych fantazji o zemście. Dokonał zamachu na jej życie, ciężko ją raniąc i skazując na wózek inwalidzki. Jakby tego było mało, porwał ją i uprowadził ze szpitala. Kate i Caleb podjęli śmiałą próbę, by ratować jej życie, po tym jak porywacz zagroził, że zakopie ją żywcem. Akcja się nie powiodła, sprawca zmarł od rany postrzałowej, zanim zdążył wyjawić miejsce ukrycia ofiary. Kate do dziś była święcie przekonana, że tak czy owak, nigdy by go nie ujawnił, pozostawało jednak pytanie, czy może dałoby się go nakłonić do współpracy, gdyby Kate i Caleb nie działali na własną rękę, doprowadzając przez to do sytuacji, w której Kate musiała strzelać w obronie własnej. Dla Caleba historia ta stała się ostatecznym powodem porzucenia pracy w policji. Kate z trudem przebrnęła przez kolejne tygodnie, świadoma spojrzeń rzucanych przez kolegów na korytarzach komisariatu oraz faktu, że może zapomnieć o dalszej karierze. Dał jej to odczuć sam nadinspektor. A raczej: bardzo wyraźnie dał jej to do zrozumienia.

Przez wiele tygodni setki policjantów szukały Sophii Lewis, miejsca, w którym zakopano ją w ziemi. W rozpaczliwym wyścigu z czasem, gdyż było wiadomo, jak nikłe są szanse Sophii na przeżycie. Minęło lato, nastąpiła jesień, a podziemnej kryjówki nie znaleziono. Poszukiwania przerwano, wszyscy bowiem wiedzieli, że nie ma już żadnej nadziei.

A teraz ją odnaleziono. Z całą pewnością nieżywą. Ale w końcu można będzie zamknąć dochodzenie. Kate aż za dobrze wiedziała, że czasem pozostawało jedynie to: ostateczne wyzbycie się nadziei. Zarzucenie poszukiwań. Kres wyczekiwania. Oraz świadomość, że wreszcie nadszedł koniec, jakkolwiek byłby straszny.

W komisariacie panował znacznie mniejszy ruch niż zwykle. Niektórzy wyjechali już na święta, odwiedzali krewnych albo buszowali po sklepach w poszukiwaniu ostatnich prezentów. Z któregoś pomieszczenia dobiegało świąteczne rzępolenie. Przy wejściu migotały na choince kolorowe lampki.

Pamela siedziała w swoim gabinecie, gdy Kate wtargnęła bez pukania. Uniosła oburzona wzrok.

– Miło, że pani przyszła. Spodziewałam się tu pani z samego rana.

– Byłam u Eleonore Walters – wyjaśniła Kate. – Sprawa Mili Henderson wydaje się bardziej skomplikowana, niż sądziłam... – Przemilczała zakup choinki. Nie powinna była tego robić w godzinach pracy.

– Ach tak. – Sprawa Waltersów najwyraźniej ani trochę nie zainteresowała Pameli.

– Proszę siadać, sierżantko. Chodzi o Sophię Lewis.

Kate usiadła. Nie zdjęła płaszcza ani szalika.

– Odnaleziono ją?

– Tak. Oczywiście martwą.

No jasne. Wiedziała o tym. Ale i tak ją to ukłuło. Zawsze tliły się jakieś resztki nadziei. Maleńkie, nierealne.

– Gdzie? – zapytała.

Pamela zerknęła w papiery.

– Miejsce nazywa się Sleaford. Wioska w Lincolnshire.

– Blisko...

– Nottingham. Tak. Niecała godzina jazdy samochodem.

To właśnie z Nottingham Ian Slade wyruszył wówczas ze swoją ofiarą. Na podstawie całej sekwencji zdarzeń można było oszacować, jak daleko mógł wywieźć Sophię. Sleaford oczywiście znajdowało się w jego zasięgu.

– Znalazła ją dziś rano starsza kobieta – kontynuowała Pamela. – Spacerowała nad samym brzegiem rzeki Slea. Po nieutwardzonej ścieżce, od dawna ostrzegano, by

z niej nie korzystać. W pewnym miejscu dzikie zwierzęta ewidentnie coś wykopały. Przyjrzała się bliżej i odkryła, że to ludzkie zwłoki.

Kate poczuła, że w uszach zaczyna jej szumieć. A więc zagrzebał ją w ziemi. Zrobił to, co zapowiadał.

– I... czy to na pewno...? – zapytała. Jej głos dobiegał jakby z oddali.

– To Sophia Lewis – przytaknęła Pamela. – Znaleziono but oraz fragmenty jej ubrań. Na podstawie zdjęć zebranych w trakcie dochodzenia ustalono, że bez wątplenia to jej odzież z tamtego okresu. Nie mamy jeszcze wyników analizy DNA, ale spodziewam się, że badanie ostatecznie to potwierdzi.

Kate poczuła, jakby trauma, którą zawsze starannie trzymała w ryzach, właśnie pękła, dając jej przez kilka sekund wrażenie, że świat zachwiał się w posadach.

Sophia Lewis odnaleziona. A jednak Ian Slade spełnił swoją groźbę. Pogrzebał ją żywcem.

Kate usłyszała swój własny głos dobiegający jakby z oddali.

– Drewniana skrzynia... Zamierzał zakopać ją żywcem w drewnianej skrzyni.

Pamela potrząsnęła głową.

– Nie było żadnej skrzyni.

– Nie?

– Nie. I to panią zapewne uspokoi, sierżantko: strzelił do niej. Bez wątplenia. Nie zakopał jej żywcem. Prawdopodobnie zastrzelił ją nad brzegiem rzeki, a potem zakopał ciało.

Przez chwilę w gabinecie panowała cisza tak potworna, jakby obie kobiety wręcz przestały oddychać. Świąteczna muzyka płynąca z sąsiedniego pomieszczenia brzmiała krzykliwie i natrętnie. Kątem oka Kate zauważyła, że za oknem zaczęło padać, nie śnieg, lecz marznąca mżawka. Na drogach pojawi się gołoledź.

Kiedy znów mogła swobodnie oddychać, odezwała się:

– To znaczy... to znaczy...

Nie miała odwagi wypowiedzieć tych słów. Nie ufała własnym myślom, chciała się uchronić przed rozczarowaniem.

Pamela domyśliła się, co chciała powiedzieć.

– Owszem. To pewnie ulga dla pani sumienia, nawet jeśli nie zmienia to faktu, że postąpiła pani wbrew wszelkim zasadom. Kiedy razem z komisarzem Hale'em próbowaliście przechytrzyć Iana Slade'a i podążyć za nim do miejsca, gdzie ukrył Sopię Lewis, ona już nie żyła. W tym sensie nie miało to żadnego znaczenia – cokolwiek by pani zrobiła, nie mogła jej pani uratować.

*Cokolwiek by pani zrobiła, nie mogła jej pani uratować.*

Kate nie miała problemów z krążeniem, ale teraz nagle poczuła zawroty głowy.

- O Boże – powiedziała. – O Boże.
- Powinna pani chyba wrócić do domu – stwierdziła Pamela. – To wszystko bardzo trudno w sobie przetrwać. Dziś i tak nic więcej się tu nie wydarzy. Poinformuję panią o wynikach badań DNA.
- Tak. Bardzo pani dziękuję. Dziękuję. – Kate wstała i sięgnęła po torbę, którą postawiła obok siebie na podłodze.
- Wesołych świąt – powiedziała Pamela i się uśmiechnęła.
- Po chwili zaskoczenia Kate nieśmiało odwzajemniła uśmiech.
- Wesołych świąt.

## 5

Zaczął padać marznący deszcz, wzmógł się wiatr, a oni nadal siedzieli w małym domku na pustkowiu, w wyziębionym salonie z wybitą szybą w oknie. Sam wyglądał na zszokowanego, zwłaszcza że Anna błagała go, by pod żadnym pozorem nie wzywał policji. W pierwszej chwili tak właśnie zamierzał zrobić, ale Anna znów o mało co nie wybuchła płaczem.

- Nie rób tego. Sam, proszę. Żadnej policji!
- Patrzył na nią oszołomiony.
- W twoim domu leży martwy człowiek poszukiwany pod zarzutem zabójstwa, a ty nie chcesz wezwać policji?
- Chodź. Wejdz do środka. Wszystko ci wyjaśnię!
- Sam sporo się nagimnastykował, zanim zdołał przejść obok nieboszczyka, gdyż ciało Logana zagradzało przedpokój niemal na całej jego długości i szerokości.
- Jesteś pewna, że nie żyje?
- Całkiem zeszywniał. A pod nim sporo krwi.
- Krwi?
- Myślę, że został zaszyty.
- Tutaj, w twoim domu?
- Tak. Najwyraźniej.
- W salonie Sam odkrył wybitą szybę w oknie, które zostało prowizorycznie zakryte.
- Aha – stwierdził – musiał się włamać. Chyba chciał się tu ukryć. Ale kto go zabił?
- Jest tu od soboty – wyznała cicho Anna. – Gdy przyjechałam w niedzielę wieczorem, już tu był.
- Kiedy cię tu podrzuciłem? Był w domu?
- Tak.

Sam pobladł z przerażenia.

– Wiedziałem, że powinienem być wejść. Następnym razem nie dam się tak łatwo spławić, Anno. Ten dom stoi na pustkowiu. To niebezpieczne.

– Logan nie stanowił dla mnie zagrożenia. Znamy się od dawna. Przyszedł tu tylko dlatego, że liczył na moją pomoc.

Sam z minuty na minutę wydawał się coraz bardziej wstrząśnięty.

– Jesteście starymi przyjaciółmi? Ty i ten... morderca?

– Przysięgał, że nie zabił Diane.

Sam usiadł na kanapie i spojrzął na Annę, jakby straciła rozum.

– Przysięgał? Zrobiłbym to samo, gdybym uciekał przed policją i szukał u ciebie schronienia... – Zamyślił się na chwilę, a potem dodał: – A więc znasz oboje uczestników tego dramatu. Sprawcę i ofiarę.

– Tak. Ale Diane znałam dopiero od początku listopada. I to niezbyt dobrze. Za to Logana od czasu, gdy byliśmy nastolatkami.

– A kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– Jakieś... osiem, dziewięć lat temu, chyba.

Wstał, zbyt zdenerwowany, by usiedzieć na miejscu.

– Od tej pory mógł zejść na złą drogę. Skąd niby wiesz, jak wyglądało jego życie?

– Może jednak jest niewinny.

– Ustali to policja. Tak czy inaczej, nie żyje. I wygląda na to, że nie umarł śmiercią naturalną. Anno, musimy zadzwonić na policję. Co jeszcze zamierzasz zrobić?

– Nie wiem.

– Nie rozumiem – wyznał Sam. – Naprawdę nie rozumiem, dlaczego mi nic nie powiedziałaś. Musiałaś od kilku dni wiedzieć, że domniemany sprawca to twój stary przyjaciel. Jego zdjęcie widniało wszędzie, potem podano także jego nazwisko. Spotykasz go w swoim domu, człowieka podejrzanego o morderstwo, za którym wydano list gończy. Udzielasz mu schronienia. A mnie nie wspominasz o tym ani słowem?

– Bo od razu poszedłbyś na policję – odparła Anna i znów zalała się łzami. To był jeden wielki koszmar. Przez drzwi widać było wyciągnięte ręce Logana i fragment głowy. Jego włosy odcinały się czernią na tle jasnego dywanu.

– Pewnie, że od razu zgłosiłbym się na policję – przyznał Sam. – I teraz też tak zrobię. Anno, proszę. Bądź rozsądna.

– Postawią mi zarzut, że go tu ukryłam.

– To twój stary przyjaciel. Nie byłaś w stanie postąpić inaczej.

– A co, jeśli powiedzą, że to ja go zabiłam?

– Proszę cię... niby dlaczego miałybyś to zrobić? Poza tym to olbrzym. Nie dałabyś mu rady.

– Żadnej policji, Sam. Proszę!

Podszedł do niej, otoczył ją ramionami.

– Co się stało, Anno? Dlaczego tak bardzo się boisz?

Potrząsnęła głową.

– Proszę, Sam. Żadnej policji.

Puścił ją i cofnął się o krok. Wyglądał na wyczerpanego i – Anna uświadomiła to sobie z przerażeniem – rozgniewanego. Powoli ogarniała go złość. Cała ta groteskowa sytuacja przytłaczała również jego, w zasadzie już dawno chętnie przekazałby ją w ręce profesjonalistów. Anna podejrzewała, że jej nie rozumie i że czuje się urażony. Nie wtajemniczyła go. I nawet teraz coś przed nim ukrywała.

– O co chodzi, Anno? Jest coś jeszcze, prawda? Co z tym Loganem – i z tobą?

Odwróciła się, płacząc. Czuła, że najchętniej by nią potrząsnął.

– Cholera, Anno, dlaczego w takim razie do mnie zadzwoniłaś? Tylko po to, żeby trzymać mnie w niepewności, a jednocześnie wciągnąć w te potworne tarapaty?

Próbowała coś powiedzieć. Udało jej się to dopiero przy trzeciej próbie.

– Musimy... go stąd zabrać.

– Co masz na myśli?

– Gdzieś go ukryć.

Sam powoli popadał w desperację.

– Mamy go wrzucić do samochodu i gdzieś zakopać? O to ci chodzi? Boże, Anno, czego ty ode mnie żądasz?

Spojrzała na niego.

– Proszę. Proszę, pomóż mi.

– Czego ty się boisz?

– Proszę.

Gwałtownym ruchem przecesał dłonią czuprynę. Wyglądał, jakby znalazł się w oku cyklonu. Anna domyśliła się, że tak też się czuł.

– Nie – odparł. – Ja w to nie wchodzę. Po prostu tego nie rozumiem. Posłuchaj, Anno, to, co masz zamiar zrobić, będziesz musiała zrobić sama. Na mnie nie licz.

Chciał wybiec z salonu, ale tkwił w miejscu, bo niełatwo było minąć w przedpokoju ciało martwego Logana. Anna chwyciła go za ramiona.

– Proszę. Nie odchodź. Sama nie dam rady. Nie dam rady!

– Tak nie można. To po prostu szaleństwo. – Chciał odejść, ale ona uwiesiła się na nim jak ciężar.

– Proszę. Proszę, Sam.

– Powiedz mi dlaczego. Do cholery, powiedz mi, Anno. Dlaczego nie chcesz wezwać policji?

– Wyjaśnię ci to. Obiecuję. Naprawdę. Ale proszę... pomóż mi teraz. Nie mamy wiele czasu. Jeśli ktoś się tu zjawi... Proszę, Sam.

Odwrócił się do niej.

– To kompletne szaleństwo – powiedział, ale poczuła, że jego opór słabnie.

On jej pomoże.

Ale kiedy już będzie po wszystkim, zaczniesz się domagać wyjaśnień.

Sam był przeciwny wrzuceniu zwłok do morza, ponieważ prędzej czy później zostaną wyrzucone na brzeg i nie wiadomo, czy pozostawione ślady ostatecznie nie doprowadzą śledczych do domu Anny i do niej samej. Podejrzewał wprawdzie, że woda wszystko pochłonie, ale nie miał pewności.

– Podobno mają teraz sposoby... Lepiej, żeby go nie znaleźli.

– Tak, racja – bąknęła Anna. Siedziała jakby nieobecna w kącie, całą odpowiedzialność za dalsze kroki zrzuciła na Sama i zupełnie się wycofała. Sam wyglądał na przytłoczonego sytuacją, ale chyba sobie uświadamiał, że jedno z nich musi zachować przytomność umysłu, bo nie mogą zawierzyć przypadkowi.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co robimy? – upewnił się. – Jeśli faktycznie nie wezwiemy teraz policji, a zamiast tego... pozbędziemy się ciała, trudno nam będzie później udowodnić, że nie mieliśmy z jego śmiercią nic wspólnego. Może zostać odnaleziony, nieważne, jak dobrze go ukryjemy. Będą ślady włókien i inne rzeczy. Mogą go z tobą powiązać. Co wtedy powiesz, dlaczego tego nie zgłosiłaś?

– Już teraz by mnie podejrzewali.

– Nie. Byłaś ze mną. Mogę to potwierdzić.

– Mogłam go zabić w poniedziałek. Zanim pojechałam na kurs, a potem do ciebie.

– Przypuszczam, że zdołają określić czas zgonu, a wtedy byliśmy razem.

– A jeśli nie można go będzie dokładnie ustalić? Byłam tu z nim sama od niedzielnego wieczoru.

Jeszcze przez jakiś czas rozważali wszelkie za i przeciw, aż w końcu Sam ustąpił, choć Anna nadal się obawiała, że może się wycofać. Przecież wciągała go w coś potwornego... Co jednak miała zrobić? Była kompletnie zagubiona i po prostu przerażona.

Sam wyszedł na zewnątrz, niedługo potem wrócił.

– Obejrzałem ponownie twój samochód, Anno. Nie zmieści się w nim, jest za długi. Musimy wziąć moje auto. Ale najpierw trzeba wyciągnąć choinkę. Pomożesz mi?

Skinęła głową i wyszła za nim na dwór. Wciąż padał deszcz, z nieba sypały twarde małe kryształki. Wyciągnęli choinkę z samochodu Sama. Rzeczywiście była ogromna.

Anna zastanawiała się, jak dadzą radę wnieść ją później po schodach do jego mieszkania. I czy zmieści się pod sufitem? Choć może i tak nie będą obchodzić żadnych świąt. Z przystrojoną choinką i tak dalej. Sama myśl o tym wydawała jej się na wskroś absurdalna.

Sam nalegał, żeby przenieść drzewko za dom, na wypadek gdyby ktoś przyszedł życzyć Annie wesołych świąt i natknął się na leżącą w poprzek podwórka choinkę.

– Nie możemy wywoływać zamieszania. Wszystko ma wyglądać niepozornie.

Byli kompletnie przemoczeni od deszczu, a zarazem zlni potem, gdy wreszcie postawili za domem gigantyczną jodłę. Wrócili do środka, Sam rozejrzał się za jakimś kocem. Musieli zawinąć ciało Logana, bo w przeciwnym razie zostawiliby ciągnący się do samochodu krwawy ślad i poplamiliby tapicerkę. Chodnik na podłodze w przedpokoju, na którym leżał Logan, był za wąski i zbyt sztywny. Anna przyniosła w końcu stary wełniany koc. Usiłowali wsunąć go pod zwłoki, co okazało się niełatwe, gdyż były bardzo ciężkie i z trudem dawały się przesunąć. Sięgając pod brzuch, oboje zakrwawili sobie dłonie.

Kiedy Sam zdołał w końcu odwrócić Logana, zobaczyli, że cały jego tors jest umazany krwią.

Sam aż się wzdrygnął.

– Chryste.

Mimo zaschniętej krwi widać było, że Logan zginął od licznych ran zadanych nożem. Ktoś go dźgał raz za razem jak jakiś szaleniec.

– Jak Diane – stwierdziła Anna. – Diane też tak musiała wyglądać.

– Mamy ostatnią szansę wezwać policję – powiedział Sam. – Nie sądzę, żeby jakikolwiek funkcjonariusz posądził cię o taki czyn, Anno. Logan z pewnością się bronił. Jak mogłabyś go zabić?

Z miejsca znów przybrała obronną pozę.

– Nie, to po prostu niemożliwe. Nie!

– Dobrze. Zawiniemy go teraz w koc, a potem stąd wywlecziemy. Obawiam się, że jest za ciężki, by go podnieść. Spróbujmy jeszcze raz go odwrócić.

Jakimś sposobem udało im się zawinąć Logana w koc na tyle, by mogli go wyciągnąć na zewnątrz. Oboje byli już na skraju wyczerpania. Annie pot spływał strużkami po twarzy. Choć przez drzwi wejściowe wdzierał się do wnętrza lodowaty chłód, było jej tak gorąco, że najchętniej zdjęłaby z siebie wszystko. I tak będzie musiała to zrobić: cała była we krwi.

Podobnie jak Sam.

On też kiepsko wyglądał i dyszał z wysiłku. Złapał Logana za wystające z koca ramiona i ruszył tyłem, stawiając małe kroki. Co chwila się odwracał i rzucał spieszne



spojrzenie w kierunku szosy. Gdyby ktoś skręcił w polną drogę, musieliby czym prędzej zawrócić do domu, gdyż sytuację tę trudno byłoby wyjaśnić. Byli też dobrze widoczni z szosy, każdy, kto by tamtędy przejeżdżał i zerknął w bok, mógłby ich zauważyć. Sam miał nadzieję, że z oddali wyglądają jak dwoje ludzi dźwigających jakiś duży przedmiot. A nie zwłoki zamordowanego człowieka.

Zapadł już zmrok, gdy wreszcie umieścili ciało Logana w samochodzie. Deszcz śąpił nieustannie, Anna jeszcze nigdy w życiu tak się nie namęczyła. Logan zajął we wnętrzu auta tyle samo miejsca, ile wcześniej choinka, ale przynajmniej nie wystawał poza krawędź bagażnika. Jego głowa leżała na siedzeniu pasażera, ręce miał wyciągnięte do przodu. Reszta tułowia oraz nogi sięgały aż do tylnej klapy, oparte na złożonej tylnej kanapie. Był owinięty kocem, ale widać mu było ręce i stopy.

– Mam tylko nadzieję, że nie natrafimy przypadkiem na policyjną kontrolę – powiedział Sam. – Normalnemu człowiekowi nie zdołalibyśmy wytłumaczyć naszego postępowania.

– Musimy się przebrać – oznajmiła Anna. – Cali jesteśmy we krwi. Jeśli kogoś spotkamy, będzie kłopot.

– Kłopot mamy tak czy inaczej – mruknął Sam, ale zamknął samochód i wszedł za Anną do domu. Wczesnym rankiem wyruszył podekscytowany na zakupy, po choinkę, coś dobrego do jedzenia i ostatnie prezenty. Anna pomyślała, że teraz musi się czuć jak w jakimś kiepskim filmie.

Należało posprzątać przedpokój, w którym pełno było krwi. Zwinęli chodnik, niezbyt duży, ale dość ciężki, i upchnęli go za drzwiami, za którymi kamienne schody prowadziły w dół do piwnicy. Zajmą się nim później, w tej chwili obojgu brakowało już sił. A potrzebowali ich, by pozbyć się ciała.

Anna przyniosła wiadro i szczotkę, zmyła z kamiennych płytek ostatnie ślady krwi. Przedpokój znów wyglądał całkiem zwyczajnie. Poszli na górę, zdjęli zakrwawione ubrania i upchnęli je w koszu na pranie w łazience. Oboje chętnie wzięliby prysznic, ale na to zabrakło czasu. W samochodzie na podwórku przed domem leżał martwy człowiek. Musieli się spieszyć.

Sam spędzał u Anny weekendy, na szczęście trzymał w jej szafie parę dzinsów i sweter. Przebrawszy się, znów wyglądali całkiem normalnie, mimo to każde z nich dostrzegало w twarzy drugiego przerażenie oraz wysiłek ostatnich kilku godzin. Oboje byli roztrzęsieni, zmordowani i kompletnie wycieńczeni.

Na chwilę przysiedli na łóżku Anny i objęli się ramionami.

– Gdzie jego telefon? – zapytała cicho Anna.

– Miał komórkę?

– Tak. Wymieniliśmy się numerami. Kilkakrotnie próbowałam się z nim skontaktować.

– W takim razie trzeba jej poszukać – stwierdził Sam. – Zanim wpadnie w czyjeś ręce, w najgorszym razie policji.

Przeszukali cały dom, ale telefonu nigdzie nie znaleźli. Sam zaklął cicho.

– Być może nadal ma ją gdzieś przy sobie. Potem trzeba to będzie jeszcze sprawdzić.

– Dobrze – szepnęła Anna. Wrócili do sypialni, rozejrzeli się po raz ostatni. Nic.

– Musimy iść – powiedział niespokojnie Sam.

W tej samej chwili po suficie przemknął blask dwóch reflektorów i usłyszeli warkot samochodu.

Anna wstrzymała oddech.

– Ktoś przyjechał – powiedziała.

## 6

Kate wracała do domu po coraz bardziej śliskiej drodze. Dwukrotnie próbowała dodzwonić się do Caleba Hale'a, ale nie odbierał telefonu. Zatrzymała się i wysłała mu wiadomość na WhatsAppie: *Proszę do mnie oddzwonić. Mam ważną wiadomość!*

Gdy dotarła do domu, wiadomość wciąż nie została odczytana. Ponownie spróbowała się połączyć. Bez powodzenia.

Co on, do cholery, porabia? – zastanawiała się poirytowana.

Nie bez wysiłku wniosła choinkę do salonu i umocowała ją na stojaku. Wyjęła z szafy w dawnej sypialni rodziców pudełko z ozdobami, zawiesiła bombki oraz małe figurki, robiła to jednak czysto mechanicznie, błądząc myślami gdzie indziej. Nie potrafiła przestać roztrząsać sprawy Sophii Lewis, uznała, że Caleb musi się o tym dowiedzieć. Możliwie jak najszybciej.

W końcu zabręczała jej komórka. Już się ucieszyła, że to Caleb, dzwoniła jednak Pamela.

– Ostatnia rzecz przed świętami – powiedziała. – Znaleziono samochód Logana Awbrey. Nie tak daleko od pani domu. Na obrzeżach Scalby.

– Co może oznaczać, że nadal przebywa w okolicy – odparła Kate. – Jak go znaleziono?

– Jakiś mieszkaniec zadzwonił na posterunek. Samochód zablokował mu wjazd na posesję. Co prawda tylko częściowo, ale manewrowanie było dość uciążliwe. Kiedy pojazd długo nie odjeżdżał, zadzwonił do nas.

– Od kiedy samochód tam stoi? – zapytała Kate.

– Zauważył to w sobotę przed południem, gdy wybrał się na zakupy. W piątkowy wieczór jeszcze go tam nie było, wraz z żoną wracali późno ze świątecznej imprezy i nie mieli problemu przy wjeździe.

– W takim razie przebywał w okolicy przynajmniej w nocy z piątku na sobotę oraz w sobotni poranek. Od tej pory musi korzystać z komunikacji miejskiej, co jest ryzykowne, bo jego podobizna widnieje we wszystkich gazetach. Podejrzewam, że gdzieś się ukrywa.

– Tak, o tej porze roku nie brak pustych domków letniskowych – przyznała Pamela.

– Już raz do jednego się włamał. Mógł też oczywiście ukraść samochód, ale jak dotąd nie mamy żadnego zgłoszenia. Swoją drogą, bak jego auta był pusty, wtoczył się na to miejsce na oparach. Albo nie ma już ani grosza, albo odwagi pokazać się na stacji benzynowej.

– Jego sytuacja coraz bardziej się pogarsza – mruknęła Kate.

– Długo tak nie wytrzyma – zgodziła się Pamela. – Bez żadnej pomocy. Pochodzi jednak z tych stron. Może ma jeszcze jakieś kontakty.

– Jest poszukiwany pod zarzutem morderstwa. Dla większości znajomych oznacza to koniec przyjaźni – stwierdziła Kate.

– Miejmy nadzieję – odparła Pamela. – Będę panią informować na bieżąco. A teraz jeszcze raz wesołych świąt, sierżantko. Widzimy się w piątek rano w komisariacie. Od piątkowego południa mam wolne. Wyjeżdżam na weekend.

Dziwne, że nie wyjeżdża na święta, tylko zaraz po nich. Pytanie o to byłoby jednak nie na miejscu.

– Wesołych świąt – powiedziała zatem Kate. – Do piątku. – Rozłączyła się, po czym ponownie spróbowała skontaktować się z Calebem. I znowu bez skutku.

Pewnie dziś pracuje, pomyślała, a w pubie po prostu nie słyszy dzwonka.

Za oknem zapadł już zmrok. Pół do piątej. Do spotkania z Burtem Gilliganem u Gianniego zostało jeszcze trochę czasu.

– Znowu muszę wyjść – powiedziała do Messy. – Do zobaczenia!

Kotka leżała w błogim śnie na kanapie, na krótko mrugnęła tylko jednym okiem. Kate zostawiła dla niej zapalone światło i wyszła z domu.

Nim dotarła do samochodu, dwa razy omal się nie przewróciła. Zrobiło się naprawdę ślisko i właściwie powinna zostać w domu. Droga do restauracji będzie wymagająca. Musi jechać bardzo ostrożnie.

Piaskarki już pracowały, Kate pokonała drogę do portu sprawniej, niż myślała. Przed Sailor's Inn zaparkowało sporo samochodów, ale po jakimś czasie znalazła wolne miejsce. Już z zewnątrz słychać było, że pub tętni życiem. Dwudziestego

czwartego grudnia mnóstwo osób radośnie świętowało, dwudziestego piątego nastanie czas zadumy. Kate oba dni spędzała zazwyczaj w domu.

W pubie było bardzo ciepło, bardzo tłoczno i bardzo gwarno. Z głośnika dudniła świąteczna muzyka. Większość ludzi nosiła kapelusiki z papieru i wydawała się mocno podchmielona. Panowała wesoła i swawolna atmosfera. Kate przeciskała się przez tłum w kierunku baru. Ktoś przytrzymał ją za ramię i zapytał, czy nie chce przyłączyć się do zabawy, ale się wyrwała. Chciała tylko znaleźć Caleba. Usiąść razem z nim w cichym kącie i opowiedzieć mu o Sophii Lewis. Koniecznie chciała ujrzeć jego twarz.

Nie było go przy barze, ale po chwili Kate udało się zagadnąć do barmana, który ledwo nadążał z zamówieniami.

– Caleb Hale! – Musiała krzyczeć, by przebić się przez gwar rozmów i muzyki. – Czy gdzieś tu jest?

Twarz młodego człowieka za ladą natychmiast spochmurniała.

– Hale? Jesteś jego znajomą?

– Tak.

– To powiedz mu, że będzie miał szczęście, jeśli uratuje swoją posadę! Jestem na niego wściekły jak cholera. To też możesz mu powiedzieć!

– Dlaczego? Co się stało?

Barman nachylił się ku niej. Poczwała na twarzy jego oddech. Wanilia. Dość nietypowe w takim miejscu.

– Dziś wieczorem haruję za niego, oto co się stało. Nie pojawił się w pracy, więc szef w końcu zadzwonił do mnie. Widzisz, co tu się dzieje. Miałem dziś wolne, byłbym teraz w domu z żoną i dziećmi. Moja żona jest wściekła, mam w święta przechlapane. Bo Hale... Nie wiem. Albo śpi, albo jest pijany, albo rzucił się do morza. Wolałbym to ostatnie!

Młody człowiek był niewątpliwie poirytowany.

Kate zaczęła się martwić. Nigdy nie widziała, by Caleb Hale zaniedbywał swoje obowiązki, mimo problemów, z którymi się borykał.

– Zna pan może jego nowy adres? – zapytała.

Barman spojrzał na nią podejrzliwie.

– Na pewno to twój znajomy?

– Tak, ale właśnie się przeprowadził. Queen's Parade. Nie znam numeru domu.

– Ja też nie – odparł barman i po prostu odszedł.

W końcu odnalazła dom przy Queen's Parade, rozpoznała stojący przed nim samochód. Samochód Caleba. Zaparkowany niedbale, jedno z tylnych kół utknęło między krawężnikiem a jezdnią, było w kiepskim stanie. Kate zatrzymała się tuż za nim i spojrzała na fasadę budynku. W oknie na drugim piętrze paliło się światło,

wszystkie pozostałe tonęły w mroku. Miała nadzieję, że to nowe mieszkanie Caleba. Zastałaby go w domu.

Reszta lokali wydawała się po części niezamieszкана, w świetle ulicznych lamp Kate dostrzegła, że w pokojach brakuje mebli. W jednym z okien widniało na szybie paskudne pęknięcie. Dom wyglądał na podniszczony. Pracując w barze, Caleb niewiele zarabiał. Na nic lepszego pewnie nie mógł sobie pozwolić.

Drzwi wejściowe wystarczyło lekko pchnąć, Kate weszła na klatkę schodową. Nacisnęła kontakt, spodziewając się, że oświetlenie nie będzie działać, a tu miłe zaskoczenie: wszędzie rozbłysły niewielkie lampki, oświetlając drewniane schody z rzeźbioną balustradą i sztukaterię na suficie. Kate przypomniała sobie, że domy wzdłuż Queen's Parade były niegdyś nader okazałe i wystawne, pięknie położone miały też wspaniałe widoki na morze. Jednak recesja oraz rosnące bezrobocie mocno dotknęły północną Anglię, nie oszczędzając samego Scarborough. Lokatorzy stali się niewypłacalni, a właściciele domów nie byli w stanie inwestować w ich utrzymanie. Piękne ongiś budynki niszczały. Co prawda wciąż było widać przepych minionych czasów, niemniej oznaki rozpadu napawały smutkiem jak coś, co definitywnie dobiegło końca.

Kate weszła po schodach na drugie piętro. W korytarzu wyłożonym pięknym parkietem widniało czworo drzwi, Kate doszła do wniosku, że do mieszkania Caleba prowadzą pierwsze po lewej. Jeśli to u niego paliło się w oknie światło.

Dostrzegła dzwonek, choć nie było przy nim tabliczki z nazwiskiem, nacisnęła, zdając się na łut szczęścia. Po kilku zaledwie sekundach drzwi się otworzyły. Przed nią stał Caleb.

Kate poczuła tak ogromną ulgę, że jej oczy omal nie wypełniły się łzami.

– Och, dzięki Bogu. Znalazłam pana. Nie sprawdza pan poczty głosowej?

Miał na sobie dzinsy i brudny, niegdyś biały T-shirt, był boso. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wprowadza się do nowego mieszkania, lawirując między pudłami i nieustawionymi jeszcze meblami.

Wyglądał na trzeźwego.

Kate podziękowała niebiosom. Nie poszedł do pracy nie dlatego, że leżał w kącie pokoju pijany w sztok – przy porządkowaniu mieszkania zwyczajnie stracił poczucie czasu.

– Poczta głosowa? – zapytał takim tonem, jakby w pierw musiał sobie przypomnieć, co to za czort. – Ach tak, przez cały dzień nie słyszałem dzwonka komórki. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, gdzie się podziała. Panuje tu kompletny chaos. Czy mimo wszystko chciałaby pani wejść?

– Chętnie. Mam nowiny. – Kate wkroczyła do wąskiego przedpokoju, w którym pudła piętrzyły się pod sam sufit. Dobrze, że jest taka szczupła, inaczej ledwo by się precisnęła. – Ojej. Sporo tu jeszcze do zrobienia, prawda?

– To istna katastrofa. Zaraz pani zobaczy. Pójdę przodem. – Caleb torował drogę między pudłami, Kate podążała za nim. – To było niegdyś jedno ogromne mieszkanie. Potem, w latach osiemdziesiątych, jakiś lichwiarz wpadł na pomysł, żeby wydzielić z niego cztery małe mieszkanie, w których teraz ledwo się można pomieścić. Na nic większego mnie nie stać.

Weszli do salonu. Tak się Kate przynajmniej wydawało. Wypełniał go całkowicie piękny, duży stół jadalny, który był ozdobą otwartej kuchni w domu Caleba wysoko na klifie. W obecnym mieszkaniu był co najmniej o trzy numery za duży. Ze wszystkich czterech stron sięgał tak blisko ścian, że nie starczyło miejsca na krzesła. Tragarze postawili je więc na blacie. Tylko jeden stół w całym pomieszczeniu.

– Och – powiedziała Kate.

Caleb przytaknął.

– Nieźle, prawda? Jeśli człowiek przecisnie się z lewej, dotrze do drzwi kuchennych, ale wcale nie jest to takie proste. A po drugiej stronie wychodzi się na balkon. Stamtąd roztacza się wspaniały widok, to dla niego zdecydowałem się na to mieszkanie. Ale teraz jest zbyt ciemno, morze da się raczej wyczuć, niż je zobaczyć. Poza tym drzwi balkonowe są trudno dostępne.

– Nie zmierzył pan wszystkiego przed przeprowadzką? – domyśliła się Kate.

Caleb pokiwał głową.

– Niewiarygodnie głupie, prawda? Nawet na to nie wpadłem. W moim starym domu stół nie wydawał się tak duży, nie przypuszczałem, że... – Potrząsnął głową. – Będę się musiał go pozbyć, a potem kupić coś mniejszego w Ikea. Nie potrzebuje pani przypadkiem stołu?

– Niestety jest za duży do mojej niewielkiej jadalni. Proszę spróbować go sprzedać. Jest naprawdę piękny.

– Zobaczymy – odparł Caleb. Spojrzał na stół, ów element przeszłości, który do nowego życia zwyczajnie nie pasował. Jak przypuszczała Kate, właśnie sobie uświadomił, że decyzja, by odejść ze służby, okazała się bardziej dalekosiężna, niż mu się z początku wydawało. I bardziej brzemienna w skutki, niż to sobie wyobrażał.

– Byłam w Sailor's Inn – powiedziała. – Miał tam pan teraz pracować.

Westchnął.

– O cholera. Zupełnie o tym zapomniałem.

– Facet, który pana zastępuje, jest nieźle wkurzony.

– To zrozumiałe. Ale wcale się tym nie martwię. Właściciel jest mi dozgonnie wdzięczny, że mu pomogłem, gdy był zastraszany i szantażowany przez gang motocyklowy. Działo się to, zanim jeszcze dołączyłem do wydziału zabójstw. Jest mi coś winien.

– Szczęściarz – przyznała Kate. A potem wyrzuciła z siebie: – Znaleźli Sophię Lewis. To dlatego tu jestem.

Siedzieli na pudłach w zastawionym przedpokoju, w ostrym, bezlitosnym świetle zawieszanej na suficie żarówki, która doskonale by się nadawała do pokoju przesłuchań w dawnym bloku wschodnim.

Kate opowiedziała Calebowi całą historię, a on słuchał z niedowierzaniem, w końcu precyzyjnie się do kuchni i wrócił z dwiema szklankami i butelką whisky. Na próżno szukali sobie miejsca, wreszcie zdjęli ze stosu dwa pudła z książkami i usiedli obok siebie pod tą okropną lampą. Caleb napełnił obie szklanki po brzegi i jedną z nich wcisnął w dłoń Kate. Pomyślała, że przecież musi jeszcze prowadzić, w końcu jednak opróżniła szklankę jednym haustem. Ona także miała wrażenie, że trzeba jakoś ukoić nerwy.

Poczuła się nieco dziwnie.

Nieważne.

Wiedziała, że Caleb w trakcie śledztwa w sprawie Sophii Lewis zupełnie się załamał. Choć przecież nie był za nie odpowiedzialny. Nieznany los Sophii oraz pytanie, czy Kate i Caleb dopuścili się fatalnego w skutkach błędu, nie były jedynymi powodami jego rezygnacji ze służby w policji, przelały jednak czarę goryczy. Caleb stracił wtedy całą swoją odwagę, na domiar złego także wiarę we własne zdolności. Nie czuł się już na siłach, by sprostać odpowiedzialności nierozdzielnie związanej z jego zawodem. Błędy, które popełnił, mogły okazać się dla innych ludzi katastrofalne w skutkach. Powrót do nałogu złożył na karb wywieranej na niego presji.

– Nie mogliśmy jej uratować – zapewniła Kate. – Bez względu na to, co byśmy zrobili, jaką decyzję podjęli. Ona już nie żyła. Nie sposób ją było ocalić.

– Zastanawiam się, dlaczego to zrobił – odparł Caleb. Spojrzał w swoją szklankę do whisky, jakby to w niej mógł znaleźć odpowiedź. – Ian Slade. Dlaczego ją zastrzelił? Akt miłosierdzia? Było to mniej brutalne niż zakopanie jej żywcem.

Kate powróciła myślami do postaci Iana Slade'a. W trakcie swojej wieloletniej służby w policji nigdy nie spotkała tak złego człowieka. Na widok Slade'a przeszywał ją dreszcz. W jego oczach nie kryło się nic poza absolutnym chłodem.

– Myślę, że chciał doświadczyć jej śmierci – wyznała Kate. – Potrzebował tego. Chciał do niej doprowadzić, sam określić jej moment. W jego perwersyjnym umyśle zakopanie Sophii gdzieś na pustkowiu i pozostawienie jej na pastwę losu oznaczałoby

rezygnację z wszechwładzy. On chciał być jej losem, aż do ostatniej sekundy. Skłoniło go to nawet do aktu miłosierdzia.

– Niewiarygodne – mruknął Caleb. – Niewiarygodne.

Nie wyglądał, jakby poczuł kojącą ulgę. Kate wcale się tego nie spodziewała. Rany sięgały zbyt głęboko, nie zbliznią się w ciągu kilku minut.

Oboje milczeli, ponownie napełnili szklanki, opróżnili je. Kate tego dnia prawie nic nie jadła. Nie była zdolna do prowadzenia pojazdu.

Cholera, pomyślała jak przez mgłę.

W zasadzie nie było nic więcej do powiedzenia. W ciągu następnych dni i tygodni oboje będą musieli pogodzić się z tym, że choć został z nich zdjęty ciężar winy, to jednak biegu wydarzeń nie da się odwrócić. Kate pogrzebała wszelkie nadzieje na rychły awans. A Caleb nie wróci do pracy w zawodzie. Jego decyzja była nieodwołalna. Oboje będą musieli ponieść konsekwencje wydarzeń minionego lata.

– Powinam już iść – powiedziała w końcu Kate. – Właściwie to chciałam tylko przekazać panu tę wiadomość.

Wzdrygnął się.

– Nie. Proszę, niech pani nie odchodzi. Ja tu chyba... – rozejrzał się po otaczającym go bałaganie – chyba tu zwariuję.

– Powinien pan coś zjeść – poradziła Kate. – Czy w kuchni można coś ugotować?

– Nie bardzo. Wszędzie stoją pudła. Mam zdecydowanie za dużo rzeczy do tego mieszkania.

– Tylko zerknę – odparła Kate i wstała. Od razu poczuła zawroty głowy. Na chwiejnych nogach przemknęła obok stołu jadalnego do kuchni. Na kuchence, lodówce, blacie rzeczywiście piętrzyły się stosy kartonów. Przynajmniej jednak dało się otworzyć drzwi lodówki, a raczej lekko je uchylić, ale w środku ziało pustką, stał tylko kubek jogurtu. Kate wyjęła go i stwierdziła, że okres przydatności do spożycia upłynął prawie sześć tygodni temu. Chciała go wyrzucić, ale kosz także był zastawiony. Ponieważ całą przestrzeń w salonie zajmował stół, a szafek ani półek wciąż nie zawieszono, Caleb na razie nie mógł się rozpakować.

Wróciła do przedpokoju, gdzie Caleb gapił się ponuro na butelkę whisky.

– Musi pan czym prędzej pozbyć się stołu. W przeciwnym razie nie poradzi pan sobie z tym wszystkim.

– Tak się głupio składa, że właśnie mamy święta – mruknął. – Trochę to potrwa, zanim ktoś go stąd zabierze.

– Czy jest tu jeszcze jeden pokój? Trzeba przenieść pudła z kuchni, żeby można tam było gotować. Albo przynajmniej zaparzyć kawę.

– Sypialnia. Ale... – Wstał. – Niech pani sama zobaczy.



Do sypialni wchodziło się przez drugie drzwi prowadzące z przedpokoju. Kate aż się wzdrygnęła – pokój wcale nie wyglądał lepiej niż sąsiedni. Zamiast stołu bez reszty wypełniało go łóżko. Nie było miejsca na nic innego. O ścianę oparto kilka długich, wąskich, pomalowanych na biało desek.

– Pańska szafa?

– Tak. Nie mogę jej złożyć, bo brakuje miejsca. – Wzruszył zrezygnowany ramionami. – Jest jeszcze łazienka. Ale tam też jest pełno pudeł.

– Rzeczywiście ciężka sprawa – stwierdziła Kate. Miała problemy z koncentracją. Nie pijała alkoholu, nie była doń przyzwyczajona. – Nie chciałby pan spędzić świąt u mnie?

Potrząsnął głową.

– Nie. Muszę się z tym uporać.

Stali obok siebie w drzwiach i patrzyli na przesadnie duże łóżko, które w starym domu zapewne wydawało się równie zwyczajne i niepozorne jak stół, teraz jednak wystawiało lokatorowi dziwaczne świadectwo. Kate wiedziała, że ta sfera życia Caleba zawsze przedstawiała się problematycznie. Szybkie, krótkie, gorączkowe romanse ze zbyt młodymi kobietami. Nic trwałego. Nic, co by go uwolniło od samotności. Do tego służył mu alkohol.

– M... może powinien pan pójść do Sailor's Inn – zaproponowała. – Tam będzie pan wśród ludzi.

– Tego właśnie akurat nie chcę – odparł. – Chcę tu zostać, ale nie sam.

– Caleb...

Odłożył szklankę i odwrócił się do niej. Coś w jego spojrzeniu się zmieniło.

– Czy zostaniesz na noc? – szepnął.

## 7

Dalina zaparkowała przed domem obok auta Sama. Anna i Sam ujrzeli z okna na piętrze, jak wysiada z pojazdu.

– Cholera – szepnął Sam – co ona tu robi?

Anna wiedziała, że Sam nie przepada za Daliną. Spotkał ją kilkakrotnie, kiedy odbierał Annę po zajęciach, raz nawet Dalina zaprosiła ich oboje do siebie na kolację. Dominującym tematem owego wieczoru była... Dalina. Tak obszernie rozwodziła się o sobie i swoich sukcesach, że nawet nie zauważyła, iż ani Anna, ani Sam nie odezwali się słowem i w milczeniu zajmowali się wyłącznie jedzeniem. Sam nieustannie zerkał dyskretnie na zegarek, aby niezwłocznie wyjść, kiedy tylko grzeczność na to pozwoli.

Później wyznał, że był to jeden z najgorszych wieczorów w jego życiu i że już rozumie, dlaczego Anna tak niechętnie wychodzi do agencji.

– I przyjaźnisz się z tą kobietą od czasów szkolnych? – zapytał z niedowierzaniem.

Anna przytaknęła ze smutkiem.

– Tak. Była taka... silna. Czułam się przy niej bezpiecznie. Przeżyliśmy fajne chwile. Nikomu nie pozwalała sobą rządzić. Była po prostu... taka, jaką ja zawsze chciałam być.

– To nieznośna egocentryczka – odparł Sam. – Narcystyczna do szpiku kości. To, co uważasz za jej siłę, w rzeczywistości jest wyrazem jakiegoś zaburzenia. I z całą pewnością będzie się to z wiekiem nasilać.

Chciałaby wierzyć, że przesadza, ale, niestety, jego słowa tylko potwierdzały jej przemyślenia. To zaś czyniło ją w jej własnych oczach jeszcze większą nieudacznicą. Tylko słabeusz przyjaźnił się z kimś takim jak Dalina. I tylko ktoś bez żadnych perspektyw gotów był u niej pracować.

– Ja też nie wiem, czego chce – odparła. – Ale obawiam się, że musimy jej otworzyć. Widzi nasze samochody zaparkowane przed domem.

– Pod żadnym pozorem nie wolno jej zaglądać do mojego auta – mruknął Sam. Wyglądał na jeszcze bardziej zestresowanego niż do tej pory. Z pewnością żałował niemal każdej chwili kończącego się dnia.

Dalina energicznie zapukała do drzwi, Anna pospieszyła po schodach, by jej otworzyć. Obrzuciła szybkim spojrzeniem przedpokój: w porządku. Starannie wszystko wyszorowała.

Gdy tylko Anna otworzyła drzwi, Dalina od razu wtargnęła do środka.

– Boże, jak zimno. Mokro i ohydnie. Ulice są strasznie śliskie! – Wzdrygnęła się, po czym stwierdziła: – Ale tutaj wcale nie jest lepiej. Nie napaliłaś w piecu? Czemu siedzisz tu w zimnie? Gdzie Sam? Jego samochód stoi przed domem.

Ot i cała Dalina. Zarzucała pytaniami, nie pozwalając nikomu dojść do słowa.

– Okno w salonie jest rozbite – wyjaśniła Anna, wykorzystując chwilę przerwy. – Nie ma sensu grzać. A Sam jest na górze.

Sam właśnie schodził po schodach.

– Witaj, Dalino – powiedział.

– Och, cześć, Sam. Byłam właśnie u ciebie w mieszkaniu, bo myślałam, że tam będziecie. Nikogo nie zastałam, więc przyjechałam tutaj. Czy zamierzacie spędzić święta w takim zimnie?

– Wracamy do mnie – wyjaśnił Sam. – Anna czegoś tu zapomniała.

– Aha, rozumiem. Chciałam dać Annie prezent i życzyć wam obojgu wesołych świąt.

– Dalina pogrzebała w przewieszanej przez ramię torbie i wyciągnęła nieco

pogniecioną paczuszkę, którą wręczyła Annie. – Drobiazg. Dla ciebie.

Anna przyjęła prezent i zmusiła się do uśmiechu.

– Och, dziękuję. Jaka szkoda, mój prezent dla ciebie został u Sama w mieszkaniu.

– Dasz mi go później. Albo może pojedziemy do Sama i wypijemy razem lampkę wina? – Był to dość bezczelny, nawet jak na standardy Daliny, sposób wpraszenia się do cudzego domu wieczorem dwudziestego czwartego grudnia. Anna podejrzewała, że Dalina od samego początku miała taki zamiar. Stąd ten prezent. Była sama. I najwyraźniej tylko Anna i Sam przyszedli jej do głowy.

Niestety, nie pojedą teraz prosto do domu. Najpierw muszą pozbyć się trupa.

– Dalina, nie gniewaj się, proszę, ale nie dam rady napić się z tobą wina – oznajmiła Anna. – Boli mnie głowa i coś czuję, że się przeziębiłam. Chciałabym położyć się do łóżka.

Dalina spojrzała na nią podejrzliwie.

– Wcale nie wyglądasz na chorą!

– Ale tak się czuję.

– W porządku, to tylko propozycja. – Dalina wydawała się poirytowana, ale uświadomiła sobie, że nic nie wskóra. – Cóż, zatem miłych świąt dla was obojga!

– Wesołych świąt – odpowiedział Sam. Otworzył drzwi wejściowe. – Odprowadzę cię.

Anna patrzyła, jak towarzyszył Dalinie aż do jej samochodu, idąc przez cały czas pomiędzy nią a własnym autem. Rzeczywiście udało mu się utrzymać Dalinę na dystans.

Gdy wsiadła i odjechała, pognał z powrotem do domu. Wciąż padał deszcz, jego twarz była mokra.

– Musimy się spieszyć. Zanim ktoś jeszcze się tu zjawi. Nie chcę dłużej trzymać tego Logana w moim samochodzie.

Późnowieczorną porą podążali przez wrzosowiska, wybierając najwęższe i najmniej uczęszczane wiejskie drogi. Kiedy przez ponad godzinę nie wyminął ich żaden samochód, odważyli się zatrzymać. Kilka razy wpadli w poślizg, wstrzymując oddech – akurat wypadek to najmniej pożądana rzecz, która mogłaby ich teraz spotkać. Anna, skulona na tylnym siedzeniu, ustawicznie zerknęła na telefon i stwierdziła, że co chwila tracą zasięg. Gdyby coś im się przytrafiło, nie dość, że mieliby kłopot z nieboszczykiem w samochodzie, to jeszcze nie zdołaliby wezwać dla siebie pomocy. Noc spędzona w pojeździe wśród wrzosowisk, na mrozie, w towarzystwie martwego Logana – trudno było wyobrazić sobie coś potworniejszego.

– Z drugiej strony daje nam to pewne poczucie bezpieczeństwa – uznał Sam. – Nikt oprócz nas nie jest na tyle szalony, by się zapuszczać w te okolice.

Miejsce, w którym się zatrzymali, wydawało się odpowiednie. Droga nieco się tu rozszerzała, by nadjeżdżające pojazdy mogły się wyminąć. Wokoło ciągnęły się łąki, jednak w miejscu, gdzie zaparkowali, zaczynało się strome urwisko.

– A gdybyśmy go tu zrzucili? – zaproponował Sam.

– No nie wiem – odpowiedziała bojaźliwie Anna.

Sam wysiadł, obszedł samochód i poświecił latarką w dół zbocza.

– Zarośla – stwierdził. – W dole jest sporo zarośli. Nie sądzę, by ktoś go tam znalazł.

Anna również wysiadła. Dygotała z zimna i wilgoci. Z powodu ciemności i ciszy. I zgrozy, która zawładnęła jej życiem.

Zerknęła w dół zbocza, podążając wzrokiem za snopem światła latarki. Dostrzegła niskie, targane wiatrem krzaki porastające niewielkie zagłębienie.

– Dość płytko – powiedziała. – Raczej go całkiem nie zakryją, prawda?

– Myślę, że tak. Zresztą kto by go tam szukał? O tej porze roku nikt się tu nie zapuszcza. Zbocze jest zbyt strome, by po nim zejść. A zanim nastanie lato... – Umilkł. Anna domyśliła się, co zamierzał powiedzieć: Do lata z Logana niewiele już zostanie.

– To szaleństwo – powiedziała.

Sam odwrócił się do niej twarzą. Mogła zajrzeć mu w oczy. Widziała, że jest wściekły.

– Tak – powiedział zadziornie – oczywiście, że to czyste szaleństwo. Jediną rozsądną rzeczą byłoby wezwanie policji. Ale słysząc o tym, prawie zbzikowałam.

– Wiem. Ja...

– A teraz – stwierdził Sam – musimy tę sprawę zakończyć. Każde inne rozwiązanie zrodziłoby pytania, na które trudno by nam było odpowiedzieć. Zabrnęliśmy za daleko, Anno. Nie możemy zawrócić.

Przytaknęła. Miał rację. Gdyby od razu wszystko wyjawili, już byłoby kiepsko. Teraz zaś mogło być tylko gorzej.

– Pomóż mi – powiedział Sam, odwracając się w stronę samochodu.

Ostatkiem sił wyciągnęli zawiniętego w koc nieboszczyka. Albo to Logan był coraz cięższy, albo oni coraz słabsi. Jakby wręcz się opierał przed wywleczeniem go z pojazdu i porzuceniem w zaroślach gdzieś pośród wrzosowisk Yorkshire.

Nie zasłużyłeś sobie na to, pomyślała Anna. Coś takiego nie powinno się było wydarzyć.

Kiedy wreszcie wytargali go z samochodu, przepchnęli ciało na skraj skarpy. Odwinęli je z koca, gdyż Sam obawiał się, że koc może przyciągnąć uwagę.

– Jest duży i jasnego koloru – oznajmił. – Ktoś mógłby go zauważyć.

Logan był ubrany w granatowe dżinsy i czarny sweter. Sam uznał, że raczej wtopi się w otoczenie.

Spiesznie go jeszcze przeszukali, telefonu jednak nie znaleźli.

Czy to sprawca zabrał go z sobą? – zastanawiała się zaniepokojona Anna. Zapisały się w nim próby kontaktu z jej strony. Pechowo, bo w każdej chwili można będzie ustalić, że coś ją z Loganem łączyło.

Pchnęli ciało za krawędź urwiska. Stoczyło się w dół zbocza, znikając im z oczu. Sam poświecił latarką.

– Zatrzymał się na krzakach. Leży na samym wierzchu.

Pozostawało zagadką, dlaczego zwłoki tego wysokiego, masywnego mężczyzny nie przedarły się przez zarośla i nie zostały przykryte przez gałęzie, tylko leżały dobrze widoczne na wierzchu.

– Niech to szlag! – Sam wcisnął Annie latarkę do ręki. – Poświeć. Schodzę na dół.

– Ale to zbyt niebezpieczne, ty...

– Masz lepszy pomysł? – prychnął.

Nie miała odwagi nic więcej powiedzieć. Był wściekły. A ona go rozumiała.

Zejście to trochę za dużo powiedziane, Sam raczej się ślizgał, niż schodził. Wśród resztek śniegu, na mokrej trawie i rozmiękłej ziemi jego stopy ledwo znajdowały podparcie. Dość szybko zsunąwszy się w dół, zaczął ciągnąć i szarpać ciało Logana. Gałęzie niskich zarośli okazały się nader sprężyste, podtrzymywały zwłoki niemal tak pewnie jak ciasno tkany hamak. Anna przez cały czas trzymała w dłoniach latarkę, choć palce zupełnie jej zeszywniały. Zapomniała o rękawiczkach. I szaliku. Czapce. Lodowaty deszcz smagał ją bezlitośnie po twarzy.

– Wytrzymaj – szeptała do siebie – musisz wytrzymać.

W końcu Sam zdołał ukryć ciało Logana wśród zarośli, z góry było ledwo widoczne. A przynajmniej nie dało się łatwo stwierdzić, że leży tam człowiek. Czy będzie tak również w świetle dnia, tego Anna nie wiedziała. Pozostawało mieć nadzieję, że Logan nie zostanie odnaleziony. A jeśli nawet – że nikt nie zdoła ustalić, kim jest.

Sam zaczął się wspinać po zboczu, co okazało się niezwykle trudne. Raz za razem tracił na błotnistym podłożu podparcie nóg i zsuwał się z powrotem. Próbował chwytać za kępki trawy, przytrzymywać się pnączy i skalnych występów, by się podciągnąć, ale często uginały się pod jego ciężarem albo po prostu wyslizgiwały mu się z rąk. Anna słyszała, jak dyszy. Musiał być u kresu sił. Prócz strachu, zimna, własnego przerażenia czuła gwałtowne wyrzuty sumienia: nigdy nie powinna była wciągać go w tę historię.

Gdy wreszcie dotarł na szczyt, padł jak długi i przez kilka sekund leżał na zimnym gruncie. Oddychał nierówno. Dwukrotnie próbował się podnieść, ale ponownie osuwał

się na ziemię. Kiedy w końcu stanął, powiedział tylko:

– Zmiatajmy stąd.

Anna usiadła za kierownicą, gdyż Sam był zbyt wyczerpany. Poczowała niewielką ulgę, ponieważ pozbyli się z samochodu zwłok. Wiedziała jednak, że to jeszcze nie koniec tej historii. Sam będzie chciał wiedzieć, dlaczego tak bardzo bała się policji. Zażąda wyjaśnień. I co mu wtedy powie?

Pozbywszy się po drodze za jakimś żywopłotem zakrwawionego koca, w który zawinięte było ciało Logana, pojechali prosto do mieszkania Sama. W milczącym porozumieniu uznali, że choinkę zostawią za domem Anny, bo żadne z nich nie miało dość siły, by przewieźć ogromne drzewko. Gdy dotarli na miejsce, Sam natychmiast zniknął w łazience i wziął gorący prysznic. Kiedy stamtąd wyszedł, Anna zauważyła zadrapania na jego policzkach oraz głębokie krwawe ślady na dłoniach i ramionach, efekt zmagania z kłującymi gałęziami zarośli. Wyglądał na śmiertelnie znużonego.

– Dwoje zamordowanych ludzi – powiedział. – Diane i ten Logan. Coś ich z sobą łączy, wiesz o tym, i to cię przeraża. Anno, teraz nie mam już sił, ale jutro z samego rana chcę się wszystkiego dowiedzieć. Rozumiesz? Taka była umowa, i ty mi o wszystkim opowiesz.

Skinęła głową.

# Środa, 25 grudnia

## 1

Obudziwszy się, nie wiedziała, gdzie się znajduje ani co się wydarzyło. Błogie oszołomienie trwało jednak tylko parę sekund, a wtedy wydarzenia poprzedniego wieczoru stanęły jej wyraźnie przed oczami. Gwałtownie usiadła, łapiąc powietrze.

Leżała w łóżku Caleba.

Za oknem panował gęsty mrok. Kate pomyślała, że to jeszcze wieczór, lecz wtedy odszukała swój telefon leżący na podłodze, na poły schowany pod łóżkiem. Wyświetlacz pokazał jej, że nowy dzień już dawno się zaczął: było pół do siódmej. Świąteczny poranek.

Usłyszała tuż obok siebie miarowy oddech. Jej oczy przywykły do ciemności na tyle, że rozpoznała Caleba. Leżał na plecach z rękami pod głową, w geście poddania i całkowitej ufności. Spał głębokim snem.

Kate poczuła lekki ból głowy, przypomniała sobie, że piła whisky zbyt szybko i prawie na pusty żołądek. Nie żeby kompletnie nie pamiętała wydarzeń poprzedniego wieczoru, ale widziała je jak przez mgłę. Tylko tak mogło do tego dojść...

Spali razem. Ona i Caleb.

Jeśli cokolwiek w swoim życiu uznała za *daremne*, to właśnie nadzieję, że Caleb pewnego dnia dostrzeże w niej kogoś innego niż tylko zdolną koleżankę, że ujrzy w niej osobę, na której będzie mu zależało, do której poczuje przywiązanie.

Nadzieję, że może stać się kobietą, której on zapragnie.

A teraz tak się w istocie stało. Gdyby zapytać Kate, jak się z tym czuje, odpowiedziałyby: To były najlepsze godziny w moim życiu. Zarazem jednak była zwyczajnie przerażona. Sobą i Calebem. Dlatego że oboje poddali się nastrojowi chwili, gdyż wcześniej za dużo wypili. I ponieważ nazbyt dobrze wiedziała, że Caleb będzie tego żałował, a żal i tak się okaże najsłabszym z jego uczuć. Przynajmniej będzie się bał. Że Kate mogła go źle zrozumieć, że liczyła na więcej, że podejrzewała go o szczerze uczucia, gdy tymczasem jego nurtowały jedynie samotność, lęk przed przyszłością, zwątpienie w siebie. Wczorajszego wieczoru potrzebował towarzystwa. Kate nie miała złudzeń: spróbowałyby zaciągnąć do łóżka każdą kobietę, która z jakiegoś powodu znalazłaby się w tym jego okropnym nowym mieszkaniu. I pewnie w niemal każdym przypadku odniósłby sukces.

Musiała zniknąć. Możliwie jak najszybciej, a przede wszystkim zanim on się obudzi. Nie chciała ujrzeć w jego oczach kiełkującego strachu, nie chciała słuchać, jak będzie się jąkał, próbując dać jej do zrozumienia, że tej nocy nie położyli fundamentów pod poważny związek. Wiedziała o tym, ale nie chciała tego usłyszeć z jego ust. Nie w sposób, w jaki by to powiedział. Bo ją lubił. Bo na pewno nie chciałby jej zranić.

Sytuacja stałaby się nie do zniesienia.

Możliwie bezgłośnie pomacała dłonią po podłodze, w miejscu obok łóżka, gdzie znalazła telefon. Dotknęła jakichś przedmiotów, miała nadzieję, że okażą się jej ubraniem. Pognęła z nimi do łazienki. Zrezygnowała z prysznicza po pierwsze dlatego, że narobiłaby hałasu, a po drugie, musiałaby najpierw uprzątnąć z kabiny kilka pudeł. Przynajmniej znalazła wszystkie części swojej garderoby i błyskawicznie się ubrała. Przejrzała się w lustrze: wyglądała na roztrzęsioną, ale nie tak zmęczoną i nabrzmiałą jak zazwyczaj z samego rana. Jakoś tak... świeżo i przytomnie.

– O mój Boże – mruknęła i mimowolnie na krótko się uśmiechnęła. Poczula się tak, jakby jej ciało się rozpułnęło, podobnie jak serce – i właśnie w tym kryło się niebezpieczeństwo.

Skończ z tym głupim uśmieszkiem, nakazała sobie.

Nie znalazła ani grzebienia, ani szczotki, dlatego niezdarnie rozczesła włosy palcami. Potem wypęzła z łazienki. Latarką w telefonie oświetliła sobie drogę do drzwi przez labirynt piętrzących się wszędzie pudeł. Gdy znalazła się na zewnątrz, odetchnęła głęboko.

Caleb najwyraźniej niczego nie zauważył.

Przednia szyba jej samochodu była pokryta szronem, straciła cenne dziesięć minut na jego zeskrobanie. Ranek był zupełnie cichy. Dało się słyszeć jedynie krzyki mew krążących po niebie, które powoli zaczynało wyłaniać się z mroku. Oraz delikatne westchnienia, z jakimi morskie fale obmywały plażę. W żadnym z okolicznych domów nie paliło się światło. Ot, świąteczny poranek, który jeszcze nie nastał.

Jechała przez wymarłe ulice i analizowała swoje uczucia. Mieszanina niedowierzania i zdumienia. A do tego odrobina szczęścia. Nieszczęśliwa z całą pewnością nie była.

– Po prostu nie wiem – powiedziała do swojego odbicia w lusterku wstecznym.

W chwili, gdy skręciła na podjazd przed swoim domem, przypomniała sobie nagle o Burcie Gilliganie.

A niech to, zupełnie o nim zapomniała. Poprzedniego wieczoru był u Gianniego o ósmej i pewnie czekał na nią bez końca. Pod obstrzałem litościwych spojrzeń kelnerów. Kate, która sama już kilkakrotnie została wystawiona do wiatru, wiedziała, jakie to okropne uczucie. Uważała, że nie wypada nie pojawić się na randce bez jej



uprzedniego odwołania, i była przekonana, że sama nigdy nikomu tego nie zrobi. Właśnie jej się to przytrafiło. Tak po prostu.

– Już nie jesteś całkiem normalna – powiedziała do siebie.

Nie wymienili się numerami telefonów, co nie ułatwiało sprawy. Nie wiedziała też, gdzie Burt mieszka. Podobnie jak Diane uczęszczał jednak na kurs, więc jego dane były zapewne przechowywane w komisariacie.

Później, pomyślała, później się tym zajmę.

Otworzyła drzwi. Messy podbiegła do niej, głośno miaucząc. Kate przyklękła i ją pogłaskała.

– Wesołych świąt, Messy, i przepraszam. Moje życie właśnie się pogmatwało.

W salonie zapaliła lampki na choince i podkręciła ogrzewanie. Weszła do kuchni, napełniła miski Messy, a dla siebie zaparzyła kawę. Z kubkiem poszła na górę do łazienki, rozebrała się, spojrzała na swoje ciało w lustrze i znów się uśmiechnęła.

– Nie zakochuj się, na litość boską – powiedziała do siebie.

Wzięła długi, gorący prysznic, po czym włożyła świeże ubranie. Z mokrymi włosami wróciła na dół. Dom emanował ciepłem i bezpieczeństwem. Zazwyczaj było to miejsce jej samotności; tego ranka uczucie to całkowicie się rozwiało.

Co więcej, nie pojawiła się nawet zwykła świąteczna frustracja.

Zapaliły się za to wszystkie lampki alarmowe.

Powinna zrobić coś pożytecznego, najlepiej nie myśląc przy tym o ostatniej nocy ani o Calebie. Koniecznie musiała skontaktować się z Burtem i go przeprosić. Oczywiście, że nie mogła powiedzieć mu prawdy. Samochód nie zapalił? Miała pecha na oblodzonej nawierzchni? W takim razie mogłaby przynajmniej zadzwonić do restauracji i dać mu znać.

To zwyczajnie żenujące i okropne, ale miała nadzieję, że w kluczowym momencie coś przyjdzie jej do głowy. O przyjaźni z Burtem mogła jednak raczej zapomnieć. Na ponowną randkę pewnie nie da się namówić.

Pomyślała, żeby pojechać do komisariatu i poszperać w aktach, ale po chwili dała za wygraną. Dyżurny personel wciągnąłby ją w rozmowę, bała się też pytania, dlaczego nie spędza świątecznego poranka w domu z rodziną (jaką rodziną?), tylko najwyraźniej pracuje... Nie miała ochoty się tłumaczyć. A zwłaszcza wyjawić prawdy.

W końcu pomyślała, że mogłaby pojechać do Anny. Przypomniała sobie słowa Pameli, że Anna mieszka w Harwood Dale, w tej samej miejscowości co Diane Bristow. *Zaraz w pierwszym domu przy Harwood Dale Road od strony Scalby*, wyjaśniła Pamela. Bez trudu powinna go znaleźć. Anna znała ją do tej pory wyłącznie jako kursantkę, a nie jako policjantkę – i bardzo dobrze. Mogłaby jej się zwierzyć z pechowej wpadki

z Burtem – nie wspominając o historii z Calebem – a wtedy Anna być może zaprosi ją na herbatę i coś jej jeszcze opowie. O Diane i jej nikomu nieznanym chłopaku.

Świąteczny poranek nie był rzecz jasna najlepszą porą na niespodziewaną wizytę. Gdyby nic z tego nie wyszło, Anna po prostu wręczy jej w progu adres Burta.

Włożyła buty i płaszcz, poszła do samochodu. Poranek nieco się przejaśnił. W wielu domach paliło się już światło. W całym mieście dzieci niecierpliwie czekały na prezenty. Później pojawi się mnóstwo jedzenia, do wieczora nikt nie będzie w stanie się ruszyć. Kate nie miała pojęcia, co dziś zje, ale nie czuła głodu i wcale nie było jej smutno.

Płynęła przez dzień. Tak właśnie się czuła. Jakby unosila się w powietrzu.

Samochód Anny stał przed domem, więc pewnie ją zastanie. Gdy Kate wysiadła i stanęła tuż przed koślawą chatą – trudno ją było nazwać domem – pomyślała, że wszystko tutaj świadczy o rozkładzie, prowizorce, niemal obojętności. Zamarznięte błoto na podwórku, kilka płaskich iglaków dokoła. Nigdzie choćby paru doniczek z zasadzonymi latem kwiatami, żadnego tarasu z ogrodowymi meblami. Na dachu brakowało kilku dachówek, na drzwiach wejściowych łuszczyła się farba. Przez szczeliny w oknach pewnie wdzierał się wiatr. Zewsząd dobiegały ptasie wrzaski, mroczna, zimowa, jałowa przestrzeń ciągnęła się pozornie bez końca. Może latem wyglądało to lepiej. Ale nawet wtedy z pewnością nie sposób się było pozbyć wrażenia, że to raczej schronienie niż prawdziwy dom.

Anna chyba nie angażowała się zbyt w jego sprawy.

Ale może za dużo rozmyślam, uznała Kate.

Zapukała do drzwi, lecz nic się nie poruszyło. Zapukała ponownie, tym razem mocniej. Drzwi się uchylily.

Nikt ich jednak nie otworzył. Nie były zamknięte, zamek trzymał tak słabo, że pod wpływem pukania po prostu ustąpił.

Kate zajrzała do środka. We wnętrzu było przeraźliwie zimno, ciemno i zupełnie cicho.

– Anna?

Brak odpowiedzi. Wyglądało na to, że w domu nie ma żywego ducha. Ściany aż dudniły przesywającą pustką.

Gdzie jest Anna? Burt Gilligan wspomniał o jej przyjacielu. Całkiem możliwe, że spędza z nim święta.

Ale dlaczego nie zamknięto drzwi wejściowych?

Kate zmarszczyła brwi. Wiedziała, że niektórzy mieszkańcy wsi nigdy nie zamykają drzwi na klucz, nawet gdy opuszczają dom, ale są to zazwyczaj ludzie starsi, którzy

w sposób całkowicie irracjonalny ufają w boską opatrzność – i zaskakująco dobrze na tym wychodzą.

Ale Anna? Tego by się po niej nie spodziewała.

Kate cofnęła się, zamknęła drzwi. Obeszła dom dookoła. Leżała tam duża choinka.

Kate uznała to za nader dziwne, gdyż nie było to stare, uschnięte, ogołocone z igieł drzewko, o którym można by sądzić, że wyrzucono je po zeszłorocznych świętach, a potem o nim zapomniano. Była to świeża, piękna jodła. Zakupiona na tegoroczne święta. Dlaczego więc leżała za domem? Jakby pospiesznie porzucona niby coś już nieprzydatnego. Dlaczego ktoś kupił tak okazałą, z pewnością drogą choinkę, a potem beztrąsko zostawił ją w ogrodzie?

Kate rozejrzała się wokół, jej wzrok zatrzymał się na oknach parteru. W jednym z nich brakowało między szprosami małej kwadratowej szybki. W jej miejsce wetknięto zmiętą szmatkę czy też koc, co miało chronić przed dotkliwym zimnem.

Kate poczuła mrowienie na całym ciele, reagowała tak wtedy, gdy wyczuwała, że coś jest nie w porządku.

Próbowała odzyskać spokój, z pewnością da się to jakoś wyjaśnić. Może okno zostało przypadkowo uszkodzone – nic dziwnego, zważywszy na ogólny stan tej rudery – a wtedy Anna i jej chłopak postanowili spędzić święta u niego. Nie mieli ochoty ponownie taszczyć ogromnego drzewka... A może jej chłopak miał już własną choinkę... Śpiesząc się, Anna zapomniała zamknąć za sobą drzwi.

Mimo wszystko Kate postanowiła wejść do domu. Jako policjantka nie była do tego uprawniona, ale będąc uczestniczką kursu Anny, mogłaby zajrzeć z czystej przyjaźni.

Ponownie okrążyła dom, po czym pchnęła drzwi.

– Anna?

Cisza. Zajrzała do wąskiego przedpokoju, w którym ustawiono pod ścianą kilka par butów. Po prawej stronie mieściła się kuchnia. Było w niej czysto i schludnie, choć nikt nie wyniósł śmieci. Z otwartego pojemnika wystawały puste puszki, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach.

Kate dotarła do końca przedpokoju i weszła do salonu, niskiego, niewielkiego pomieszczenia, w którym stały kanapa, stół jadalny z dwoma krzesłami oraz regał z książkami. Na półce widniała oprawiona fotografia przystojnego mężczyzny, patrzącego z sympatycznym uśmiechem w obiektyw aparatu. To zapewne ów atrakcyjny chłopak. Burt Gilligan zastanawiał się, jak on wytrzymuje z tą neurotyczką Anną.

Kate otworzyła drzwiczki stojącego w kącie żeliwnego piecyka: popiół był zimny. Pokoju nie ogrzewano już od dłuższego czasu.

Następnie dokonała oględzin wybitej szyby, ale nie potrafiła ustalić przyczyny jej uszkodzenia. Poszarpane krawędzie świadczyłyby o tym, że coś w nią uderzyło – kamień albo piłka. Dziwne, bo w tej okolicy brakowało bawiących się dzieci, niezrozumiałe wydawało się również i to, dlaczego po niegościnnych polach za domem miałyby włóczyć się jakiś miotacz kamieni.

Kate znów poczuła mrowienie, wędrowało w górę jej pleców, po ramionach i karku. Ktoś mógł przecież rozmyślnie wybić szybę, żeby otworzyć okno. Dom raczej nie przyciągał złodziei, Kate wiedziała jednak, że ludzie włamują się dla marnych dziesięciu funtów. A niektórzy są nawet gotowi dla nich zabić. Anna zaś mieszkała na kompletnym odludziu.

Kate wbiegła po schodach. Na górze mieściły się sypialnia i łazienka, obie malutkie, wciśnięte pod ostrymi skosami dachu. Sypialnia wyglądała w miarę schludnie, podobnie łazienka. Kosz na pranie był przepełniony, tak jak kosz na śmieci na parterze.

Fakt, że Anna nie była aż tak pedantyczna w kwestii śmieci i prania, jeszcze nie świadczył o tym, że coś jest nie w porządku.

A wybita szyba w oknie? Niezamknięte drzwi? Choinka?

Kate wróciła na dół i otworzyła pokryte tapetą drzwi pod schodami. Prowadziły do piwnicy, ale nie sposób było do niej zejść, ponieważ drogę zagraadzał upchnięty za drzwiami dywan. Kate nacisnęła włącznik. W jaskrawym świetle ujrzała, że schody kończą się w kwadratowym murowanym pomieszczeniu, które najwyraźniej służyło za piwnicę; nie odkryła żadnych dodatkowych drzwi. Zobaczyła drewniany regał, na którym stało kilka konserw. Poza tym nie zauważyła nic szczególnego. Czuć było stęchlizną, jak to w pozbawionym okien pomieszczeniu piwnicznym.

Kate zamknęła drzwi i zaczęła się zastanawiać, co dalej, gdy zadzwoniła jej komórka. Spodziewała się, że to Caleb, jej serce zaczęło bić nieco szybciej, na wyświetlaczu zobaczyła jednak, że to Pamela. Bardzo dziwne, rankiem dwudziestego piątego grudnia.

Odebrała.

– Sierżant Linville. Inspektor Graybourne, co się dzieje?

Pamela sprawiała wrażenie zestresowanej.

– Przepraszam, sierżantko, że dzwonię w Boże Narodzenie. Mam nadzieję, że nie wyciągam pani z łóżka?

Byłoby to w istocie łóżko Caleba Hale'a, co Kate uznałaby za całkiem urocze. Przebywała jednak w domu Anny Carter i raz za razem dostawała gęsiej skórki.

– Nie, ależ nie. Już od dawna jestem na nogach. – Była to zresztą prawda.

– Sierżantko, otrzymałam informację od kolegów z South Yorkshire. W Sheffield doszło do morderstwa. Starszy człowiek, we własnym mieszkaniu. W normalnych okolicznościach nie miałyby to z nami nic wspólnego, ale człowiek ten nazywa się Henderson. Tak samo jak zaginiona młoda kobieta, Mili Henderson. Być może to tylko zbieg okoliczności, ale sąsiedzi zauważyli, że przez ostatnie dni przebywała u niego młoda kobieta. Opis pasuje do Mili Henderson.

– Och... – odparła powoli Kate. Jej niepokojące przeczucia związane ze sprawą Mili Henderson zdawały się właśnie potwierdzać.

– Koledzy z Sheffield próbują obecnie ustalić, czy zmarły James Henderson jest krewnym Mili Henderson – kontynuowała Pamela. – Jeśli to się potwierdzi, wówczas z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, że przez ostatnie dni mieszkała u niego. Fakt, że został zamordowany, czyni sprawę bardzo kontrowersyjną. Jest więcej niż wątpliwe, czy rzeczywiście mamy do czynienia z kobietą, która zwyczajnie zaniedbała swoje obowiązki i teraz nie ma odwagi wrócić do domu.

– Też się tego obawiam – przyznała Kate. Od jakiegoś czasu mam przeczucie, że kryje się w tym coś więcej, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

– Chciałabym sama obejrzeć miejsce zbrodni – oznajmiła Pamela. – Czy miałyby pani czas pojechać ze mną do Sheffield?

Ponieważ Caleb najwyraźniej nie miał zamiaru bombardować jej telefonami z prośbą, by spędziła z nim Boże Narodzenie, równie dobrze mogła pracować. Może to nawet lepiej.

– Tak, oczywiście.

## 2

James Henderson został utopiony w plastikowej waniencie, straszna to śmierć, stary, zniedołężniały mężczyzna nie był w stanie się bronić. Wanienska, wciąż do połowy wypełniona wodą, znajdowała się w kuchni, obok niej leżały zwłoki. Funkcjonariusze South Yorkshire Police niczego nie ruszali, jednak gdy Pamela i Kate przybyły na miejsce, koroner badał już ciało. Kate zabrała Pamelę swoim samochodem. Stała zmarznięta na ulicy w Scarborough przed starym budynkiem wielorodzinnym. Jeśli była niezadowolona z powodu zepsutych świąt, wcale tego nie okazywała.

Przed dużymi blokami mieszkalnymi na obrzeżach Sheffield od razu dostrzegły liczne radiowozy oraz taśmy odgradzające, dzięki czemu bez trudu dotarły na miejsce zbrodni. Mimo świąt przed budynkiem, a także na klatce schodowej, zebrał się spory tłum. To, co się tu wydarzyło, okazało się bardziej zajmujące niż rozpakowywanie

prezentów czy przyrządzanie indyka. Popełniono morderstwo. Ludzie poczuli się tak, jakby nagle znaleźli się na planie telewizyjnego kryminału.

Pamela i Kate torowały sobie drogę na górę. Winda była zamknięta, musiały więc skorzystać ze schodów. Kiedy dotarły na piąte piętro, przywitał je oficer, który przedstawił się jako inspektor Brian Burden z policji South Yorkshire.

– Proszę za mną – powiedział – nieboszczyk leży w kuchni. Nie jest to ładny widok. Ale to niestety część naszego zawodu.

Całe mieszkanie wyglądało na zapuszczone i liche, a kuchnia prezentowała się tak, jakby czas stanął tu w miejscu. Staroświecka kuchenka, przedpotopowy pojemnik na chleb, plastikowy stolik z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, dwa krzesła z gąbką wypelzającą z obitych plastikiem siedzisk. Grzałka, na widok której mimowolnie myślało się o pożarach domów. Emaliowany dzbanek do kawy.

Na jasnej podłodze z PCW wśród dużych kałuż wody leżał James Henderson, chudy staruszek w o wiele za luźnych sztruksowych spodniach i ładnym nowym swetrze, skulony jak embrion. Na prawej stopie miał wysłużony filcowy pantofel, drugi leżał pod stolikiem. Rzadkie zmierzwione włosy sterczały mu na głowie. Wyglądał raczej na kogoś, kto upadł i leży teraz bezradnie na podłodze, nie jak ktoś, kto już nie żyje. Obok niego stała plastikowa wanienska z wodą. W kącie chodzik.

Kate serce się ścisnęło, musiała przełknąć. Przez chwilę poczuła zawroty głowy, przytrzymała się ściany. Prawie sześć lat wcześniej zamordowano jej ojca, w nocy, w kuchni jego domu. Domu, w którym teraz sama mieszkała. Znalazła go sąsiadka. Kate nigdy nie widziała na własne oczy miejsca zbrodni, nawet na fotografii. Nie dopuścił do tego Caleb Hale, który prowadził wówczas śledztwo. Do dziś była mu za to wdzięczna. Jej ojciec także był stary i bezbronny.

Przełknęła spazmatycznie kwas żołądkowy, który wzbierał w jej przełyku. Całe szczęście, że nic jeszcze tego dnia nie jadła, mogłaby teraz wszystko zwrócić. Pamela obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Wszystko w porządku, sierżantko?

Zebrała się w sobie, siłą woli przegnała z myśli obraz ojca, który wciąż cisnął jej się przed oczy, przesłaniając rzeczywistą scenerię. Przyjechała tu, by pracować. W tej chwili, w tym pomieszczeniu jej własna historia nie miała czego szukać.

– Wszystko w porządku – odparła. Domyśliła się, że bardzo pobladła, na szczęście Pamela dłużej nie indagowała.

– Nasz lekarz jednoznacznie stwierdził śmierć wskutek utonięcia – powiedział Burden. – Przypuszczalnie głowę Hendersona trzymano przez dłuższy czas pod wodą. Wszystko wskazuje na to, że podtapiano go kilka razy i dopiero na końcu sprawca przytrzymał go pod wodą tak długo, aż skonał.

– Do tego potrzeba sporo siły – zauważyła Pamela.

Burden skinął głową.

– Rzeczywiście. Nawet jeśli Henderson był stary i wątpliwy, z pewnością zaciekle się bronił. Podłoga, jak widać, jest cała zachlapana. To była straszna walka.

– Czy uważa pan, że sprawców było kilku? – zapytała Pamela.

Burden zamyślony pokiwał głową.

– Albo kilku sprawców, albo ktoś bardzo silny.

– Kto go znalazł? – spytała Kate.

– Firma dostarczająca posiłki pojawiła się z samego rana – wyjaśnił Burden. – Zazwyczaj przychodzą późnym przedpołudniem, ale ze względu na święta... Henderson nie otwierał. W pierwszej chwili pracownik pomyślał, że wyjechał, ale starszy pan nigdy nie ruszał się z domu, a poza tym nie odwołał zamówienia. Pracownik zadzwonił do sąsiedniego mieszkania. Młode małżeństwo powiadomiło dozorcę. Ten otworzył mieszkanie. I... cóż.

– Od kiedy zdaniem lekarza leży martwy? – zapytała Kate.

– Na pewno od wczoraj – stwierdził Burden. – Od południa. W każdym razie o pół do jedenastej jeszcze żył. Wtedy właśnie dostarczono mu jedzenie i wszystko było w najlepszym porządku. Stało się to zapewne niedługo potem.

– A myśli pan, że poszukiwana Mila Henderson mogła się tu zatrzymać? – Nazwisko Henderson było niezwykle popularne. Kate wiedziała, że równie dobrze może to być zupełnie przypadkowa zbieżność nazwisk. Mimo to miała nieodparte przeczucie, że istnieje jakiś związek.

Burden skinął głową.

– Dwie osoby z tego bloku zeznały, że przez ostatnie dni u Hendersona przebywała młoda kobieta. Kilka razy natknęły się na nią na klatce schodowej. Opis pasuje do poszukiwanej przez was kobiety.

– Chciałabym pokazać tym ludziom zdjęcie Mili Henderson – powiedziała Pamela.

Burden przywołał umundurowanego młodego funkcjonariusza opierającego się o drzwi mieszkania.

– Costing, zaprowadzisz inspektor Graybourne do tych dwojga świadków. Chodzi o identyfikację osoby na zdjęciu.

Pamela i młody człowiek opuścili mieszkanie.

Kate nadal przyglądała się scenerii. Martwej naturze, która opowiadała o okrutnej śmierci.

– A co z odciskami palców? – zapytała.

– Jeszcze nie zdążyliśmy się ze wszystkim uporać – przyznał Burden. – W mieszkaniu znajdują się odciski palców nienależące do Hendersona. W grę wchodzi

przede wszystkim opieka społeczna, będziemy musieli to sprawdzić. Oraz młody gość Hendersona – kimkolwiek jest. Na waniencie są wyłącznie ślady staruszka. Zacisnął palce na uchwytach, zapewne w desperackiej próbie uwolnienia się. Poza tym nic nie znaleźliśmy. Podejrzewam, że sprawca założył rękawiczki.

– Jeśli Henderson nie został od razu uśmiercony, ale wcześniej był wielokrotnie podtapiany, czy możemy mówić o torturach? – zapytała Kate.

– To całkiem możliwe.

– Albo chciano go zadręczyć, albo uzyskać jakieś informacje.

Burden wzruszył ramionami.

– Nie wiemy praktycznie nic.

– Czy sąsiedzi mówili, jak długo mieszkała tu ta młoda kobieta?

– Oboje są pewni, że widzieli ją już na początku ubiegłego tygodnia. Oczywiście to nie wyklucza, że zjawiała się wcześniej. Moi ludzie nadal przesłuchują mieszkańców.

Kate przytaknęła zamyślona.

– Wyjeżdża ze Scarborough. Bez uprzedzenia. Nie wraca. Jeśli James Henderson rzeczywiście był jej krewnym, to istotnie mogła szukać u niego schronienia. Dlaczego?

– Z tego, co czytałem – odparł Burden – staruszka, którą się opiekowała, nieszczęśliwie upadła i zmarła, ponieważ Mili Henderson nie było wtedy w domu. Zakłada pani, że to dlatego zniknęła? Bo czeka ją proces?

– Być może. Pozostaje jednak pytanie, dlaczego w ogóle wyjechała? Czy coś lub ktoś ją wypłoszył?

– Ma pani na myśli ucieczkę?

– Prawdopodobnie zatrzymała się tutaj. Ponownie zniknęła. Jej gospodarz leży zamordowany w kuchni. Moim zdaniem nie wygląda to tak, jakbyśmy szukali młodej kobiety, która po prostu zaniedbała swoje obowiązki i nie chce ponieść konsekwencji – wyjaśniła Kate.

Pamela wróciła w towarzystwie młodej kobiety w legginsach i swetrze, z farbowanymi na fioletowo włosami i kolczykiem w nosie. Jej oczy były tak intensywnie obrysowane kredką, że wydawało się, iż ledwo cokolwiek widzi. Na rękach trzymała małe dziecko, które patrzyło zupełnie obojętnie.

– Sierżantko, to jest Bonnie Wallister – powiedziała Pamela. – Na podstawie zdjęcia jednoznacznie zidentyfikowała Milę Henderson jako kobietę, która mieszkała tu co najmniej od tygodnia.

Bonnie skwapliwie przytaknęła. Można powiedzieć, że ten świąteczny poranek bardzo jej się spodobał.

– To ta kobieta na zdjęciu. Spotkałam ją kilka razy na klatce.

– Czy rozmawiała z nią pani?



Bonnie z żalem potrząsnęła głową.

– Tylko się przywitałyśmy. Nic więcej. Według mnie była dziwna.

– W jakim sensie? – podchwyciła natychmiast Kate.

Bonnie wydała z siebie lekceważący dźwięk.

– Była taka spięta. W ogóle nie patrzyła ci w oczy. Zawsze tylko pochylała głowę i przemykała obok, bąknęła coś na powitanie i czym prędzej zniknęła... Jakieś to dziwne. Żadnego kontaktu z kimkolwiek.

– Jakie wywarła na pani wrażenie?

Bonnie spojrzała na Kate.

– Że co?

– No cóż, co sobie pani pomyślała? Że jest po prostu nieśmiała? Albo koniecznie chce zachować anonimowość? Że ma coś do ukrycia... Człowiek jakoś klasyfikuje takie zachowania, prawda?

Bonnie sprawiała wrażenie, jakby intensywnie nad czymś rozmyślała. Bez wątpienia chciała udzielić właściwej odpowiedzi.

– Szczerze mówiąc, zawsze mi się wydawało, że jest głupia – powiedziała w końcu.

– Ale z perspektywy czasu...

Wszyscy spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

– Ona się bała – stwierdziła Bonnie. – Chybaby wołała, żeby nikt jej nie zauważył. Najchętniej zaszyłaby się na jakimś odludziu. Tak – przytaknęła, święcie przekonana o tym, co mówi. – Była cholernie przerażona!

Kate i Pamela siedziały w samochodzie na parkingu przed wieżowcami. Nie chciały dłużej przeszkadzać zespołowi kryminalistycznemu, wciąż pracującemu na miejscu zbrodni. Uzgodniły z Burdenem, że pozostaną w stałym kontakcie.

– Dziwna prawidłowość – odezwała się Pamela. – Ilekroć ta Mila Henderson gdzieś znika, znajdujemy martwego staruszka.

– Mimo wszystko nie ma tu reguły – zaproponowała Kate. – Patricia Walters upadła. Bo krzątała się sama po domu. Nawet jej córka nic innego nie podejrzewa. Z kolei James Henderson został zamęczony na śmierć.

– Przypadek Patricii Walters od początku wydawał się jasny – stwierdziła zamyślona Pamela. – Ale skąd wiadomo, że ktoś nie zepchnął jej ze schodów?

– Tego nie wiemy – zgodziła się Kate. – Ale lekarz, który wystawił akt zgonu...

– Wiem – przerwała jej Pamela. – Wyraźnie założył, że to był wypadek. Bo to by wszystko wyjaśniało. Patricia Walters miała poważne trudności z poruszaniem się. Właściwie nie powinna była schodzić sama po schodach. Opiekunka się ulotniła, a ona została głodna i spragniona. Postanowiła więc zejść i oczywiście doszło do

wypadku. Z tragicznym skutkiem. Nikt nie zakwestionował takiego przebiegu wydarzeń, nawet my.

– W ogóle nie zostalibyśmy o tym poinformowani – zauważyła Kate – gdyby córka desperacko nie dążyła do tego, by opiekunkę aresztować i postawić przed sądem.

– W jej domu nie pojawił się zespół kryminalistyczny – przyznała Pamela.

– Teraz nie ma to już większego sensu. Obecnie mieszka tam córka, przenosi rzeczy z miejsca na miejsce, sprząta. Nie znajdziemy już żadnych jednoznacznych wskazówek.

– Jeśli przyjmiemy, że śmierć Patricii Walters nie nastąpiła wskutek wypadku – odparła Pamela – to istnieją dwie możliwości: to mógł być jakiś nieznajomy, a wtedy pojawia się pytanie, jak się dostał do domu. Powinniśmy ponownie wysłać ludzi, aby poszukali śladów włamania. Córka mogła coś takiego przeoczyć. À propos, jak nieznajomy dostał się do mieszkania Hendersona?

– Zadzwoił do drzwi – oznajmiła Kate. – Henderson mógł je po prostu otworzyć. Zwłaszcza jeśli, jak podejrzewa Burden, sprawca przybył tuż po dostarczeniu posiłku. Może pomyślał, że o czymś zapomnieli.

– Dobrze. A teraz przyjmijmy wersję, w której to Milla jest sprawczynią.

– Najpierw zepchnęła ze schodów Patricję Walters, a potem brutalnie utopiła swojego krewnego, chociaż przez tydzień spokojnie u niego mieszkała? – zapytała Kate z powątpiewaniem. – Dlaczego? I czy miała dość siły?

– Mogła mieć współników.

– Jak to się ma do jej strachu? O którym bardzo przekonująco mówiła mieszkanka bloku.

– W każdym razie to dziwne, prawda? Martwa staruszka. Martwy staruszek. Milla zawsze wcześniej tam była. I zawsze potem zniknęła bez śladu. Bo raczej nie ma mowy, żeby wróciła do tego mieszkania. Nic z jej rzeczy nie znaleziono... Przepadła bez wieści. Tak jak w Scarborough.

– Bo ucieka? – poddała Kate. – A prześladowca depta jej po piętach?

– Albo dlatego, że sama jest sprawczynią – odparła Pamela.

Obie kobiety spojrzały po sobie.

– Szukamy groźnej morderczynie – powiedziała Pamela – albo...

– ...albo kobiety, której życie jest zagrożone – dokończyła Kate. – Musimy prześwietlić otoczenie Mili Henderson. Krewnych, przyjaciół. Gdzie jeszcze może szukać schronienia? Tej osobie może grozić poważne niebezpieczeństwo.

Pamela przytaknęła.

– Wracajmy. W tej chwili nic więcej tu nie wskóramy.

Kate uruchomiła silnik.

– Przy okazji: potrzebuję jeszcze numeru telefonu – powiedziała zdawkowo. – Uczestnika zajęć kulinarnych. Burta Gilligana.

– Dlaczego?

– Chcę sprawdzić pewien trop. Prawdopodobnie prowadzi donikąd.

Pamela wyciągnęła z torby swój laptop.

– Mam tu wszystkie adresy i numery telefonów. Wyślę pani numer na maila.

– Dziękuję. Ma pani też numer telefonu Anny Carter?

– Tak.

– Też będzie mi potrzebny. I adres jej chłopaka.

Pamela obrzuciła ją baczny spojrzeniem.

– Będzie mnie pani informować na bieżąco, sierżantko?

– Oczywiście – zapewniła Kate.

Dzień był spokojny. W prawie wszystkich domach paliły się lampki choinkowe, jednak widok, który w ciemności prezentowałyby się odświętnie i pięknie, w stłumionym świetle dnia, ni to jasnym, ni to mrocznym, sprawiał raczej posępne wrażenie. Kate zastanowiła się nad czekającym ją wieczorem. Pomyślała o wieczorze minionym, a wtedy poczuła delikatne ukłucie tęsknoty. Nie chciała cierpieć, ale być może nie zdoła już nad tym zapanować.

Gdy Pamela wysiadła, Kate powstała jeszcze przez chwilę na poboczu i szybko sprawdziła swój telefon. Znalazła mail od Pameli z numerami telefonów Burta i Anny oraz adresem Samuela Harrisa ze Scarborough. Plus dwa inne, raczej mało ważne maile służbowe. Wiadomość na WhatsAppie od Colina, który życzył jej wesołych świąt i przesyłał selfie z narzeczoną Ksenią przed pompatycznie przystrojoną choinką.

Nic więcej.

Tak jak podejrzewała: Caleb Hale się nie odezwał.

Po incydencie ze złotym łańcuszkiem Mila unikała mnie, jak tylko mogła. Nie chodziliśmy już razem do szkoły, bo Mila dostała na urodziny rower i zwyczajnie mnie mijala, kiedy tradycyjnie czekałem na nią na rogu ulicy. Także po szkole nie miałem szans jej dogonić. Sam potrzebowalbym roweru, ale biorąc pod uwagę moją wagę, sport ten nie wchodził w rachubę, nie chciałem sobie nawet wyobrażać, jak wyglądałbym na takiej maszynie. Byłem tak sfrustrowany, że jadłem więcej niż kiedykolwiek i przytyłem kolejne dziesięć kilogramów. Nasz lekarz rodzinny dał mi ostrą reprymendę, ale poza tym, że wzbudził we mnie gwałtowną złość, nic to nie dało. Co on sobie myślał? Że swoimi pouczeniami cokolwiek wskóra? Że bez nich nie wiedziałbym, jak bardzo otyłość jest groźna dla organizmu? Dla narządów, stawów, krążenia? Czy może sądził, że po takim wykładzie wrócę do domu i powiem sobie: O, jakie to dziwne, w ogóle o tym nie pomyślałem, to rzeczywiście dość niezdrowy tryb życia. Boże, że też nikt wcześniej mi tego nie uświadomił! Cóż, zamierzam to zmienić. Żadnych słodyczy, żadnych. Od dziś będę szczupły!

Cholera, gdybym tylko mógł, gdybym tylko jakimś cudem mógł, zrobiłbym wszystko, żeby zmienić się w przystojnego księcia, za którym dziewczyny by się uganiały i z którym wszyscy chcieliby się przyjaźnić.

Ale to nie działało. Bez przekonania podejmowałem próby przestrzegania diety, jadłem zupy z kapusty, smakujące okropnie koktajle z apteki, proteiny, unikałem węglowodanów i tłuszczu... I zawsze po krótkim czasie kończyło się to niepowodzeniem, choć mama wspierała mnie ze wszystkich sił. Kupowała te szalone specyfiki, które obiecywały wieczną szczupłość, i nie ustawała w gotowaniu mdłych potraw, które wolno mi było jeść. Nie traciła we mnie wiary, a ją wciąż ją zawodziłem. Ojciec przyglądał się temu w milczeniu. Ani przez chwilę nie wierzył, że mi się uda. Niestety, miał rację.

Kilka razy zdołałem złapać Milę w jakimś zakamarku szkolnego podwórka i tak przed nią stanąć, żeby nie mogła uciec.

– Nie powinienem być cię tak po prostu całować – powiedziałem. – Przestraszyłem cię. Byłem zbyt porywczy.

– Nie przestraszyłeś mnie – odparła. – Ale ja po prostu nie chcę tego. Nie z tobą. Nie chcę się z tobą przyjaźnić, a już na pewno nie chcę z tobą chodzić.

Każde jej słowo było jak wymierzony policzek.

– Powiedziałem, że jest mi przykro.

– Tak. Okej. Ale mimo to nie chcę. Nigdy tego nie chciałam.

– Ach, nigdy tego nie chciałaś? – Trochę mnie to rozsierdziło. – Przecież chodziłaś ze mną do szkoły. I wracałaś do domu. Spotykałaś się ze mną każdego ranka. Dawałaś mi odczuć, że jesteś mną zainteresowana.

– Wszystko przekręcasz – odparła. – Byłam tylko uprzejma. Niestety, tak zostałam wychowana. Najwyraźniej nie zawsze to popłaca.

Chciała mnie minąć, ale w desperacji przytrzymałam ją za ramię.

– A jeśli schudnę? – zapytałam. – Naprawdę, dla ciebie bym to zrobił. Dla ciebie dałbym radę.

Próbowała się wyrwać, ale nie zdołała. Mój uścisk był zbyt mocny.

– Nie obchodzi mnie, czy schudniesz, czy nie – odparowała. – Po prostu cię nie chcę. Proszę, uszanuj to. I puść moją rękę!

Kilka osób spojrzało w naszą stronę. Niechętnie ją puściłam.

– Zostaniesz sama – przepowiedziałam jej. – Przez całe życie. Dajesz ludziom nadzieję, a potem ich odrzucasz. To zniechęca. Nikt takich osób nie lubi.

– Nigdy nie dawałam ci nadziei! – prychnęła.

Fakt, że tak zaciekle się broniła, w moich oczach zaświadczał o jej winie.

– To wszystko źle się dla ciebie skończy! – zawołałam.

Uciekła. Dojrzałam litościwe i kpiarskie spojrzenia stojących opodal uczniów.

– Tłuszcioch poważnie myśli, że jakaś dziewczyna będzie nim zainteresowana – rzucił jeden z nich. – Tak kiepskiego gustu nie ma żadna kobieta.

Szyderczy śmiech. Udałam, że nie słyszę, ale czułam, że twarz zaczyna mi płonąć. Nie wiedziałam już, kogo najbardziej nienawidzę: Mili, moich bezlitosnych kolegów z klasy, życia, samego siebie. Prawdopodobnie wszystkiego po równo. Gotował się we mnie kocioł rozpacz, bólu i nienawiści. Przytłaczająca, wybuchowa mieszanka. Zrozumiałam, że najmocniej wezbrała we mnie nienawiść, to ona była katalizatorem wszystkich pozostałych emocji.

Zacząłam ją w sobie hołubić, by stłumić ból.

Po długim, gorącym lecie, w trakcie którego skończyłam piętnaście lat – ów dzień jak zwykle świętowałam wyłącznie z rodzicami i z wielkim kremowym tortem, o którym ojciec robił uszczypliwe uwagi – wróciłam po wakacjach do szkoły. Grubszy niż kiedykolwiek, bardziej niż kiedykolwiek nienawidzący.

Mili już tam nie zastałam.

Z początku myślałam, że jest chora, ale kiedy czwartego dnia nadal się nie pojawiła, zwróciłam się do naszej wychowawczynie:

– Co się dzieje z Milą? Czy ona jest chora?

Madame du Lavandou – uczyła nas również francuskiego, uważałam ją za okropną, inni też nieszczególnie ją lubili – spojrzała na mnie chłodno. Zawsze z trudem

ukrywała swoją niechęć wobec mnie.

– Nie, Mila nie jest chora. Razem z matką wyprowadziły się stąd.

– Co? – Byłem przerażony. Mila wyjechała? Tak po prostu, nic mi nie mówiąc? To nie mogła być prawda. – Nie wierzę – odparłem.

Madame du Lavandou nie obdarzyła mnie choćby cieniem uśmiechu.

– Możesz w to wierzyć lub nie. Faktem jest, że Mila już nie wróci.

– Powiedziałyby mi o tym – upierałem się.

– Nie powiedziała nikomu z klasy.

– Dlaczego?

– Pewnie sam się tego domyślasz.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

– Ale pani wie, dokąd wyjechała?

– Poproszono mnie, żeby o tym nie mówić.

– Ale dlaczego... Nie rozumiem... Dlaczego w ogóle się wyprowadziła?

– Matka otrzymała korzystną propozycję zawodową – powiedziała madame du Lavandou, po czym, chcąc dać mi do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca, zaczęła przeglądać zeszyty na biurku.

– Ale... proszę pani... czy nie mogłaby pani...?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Nie mogę. Pani Henderson, matka Mili, długo ze mną rozmawiała. Mila, odkąd tu przyjechała, czuła się przez ciebie prześladowana i nękana. Dała ci jasno do zrozumienia, że nie chce twojej przyjaźni, a już na pewno nie chce nawiązać z tobą głębszych relacji. Wciąż to ignorowałeś, nieustannie ją zdręczałeś. Ucieszyła się, że nadarzyła się okazja, by stąd wyjechać, nikt nie powinien wiedzieć, gdzie obecnie przebywa.

Krew zaszumiała mi w uszach.

– Wcale jej nie nękałem.

Madame du Lavandou spojrzała na mnie bezlitośnie i bez krzty zrozumienia.

– Ależ tak. W tej kwestii mam pełne zaufanie do Mili i jej matki. Bardzo trudno ci znaleźć przyjaciół, ściślej mówiąc, to wprost nierealne. Mila jest miłą, nieśmiałą i bardzo grzeczną dziewczynką. Zauważyłeś te cechy i wykorzystałeś je dla własnych celów. Mila jest zbyt dobrze wychowana, by od razu z całą stanowczością cię odrzucić, a ty nie jesteś wyczulony na niuanse. Zapewne sam sobie w końcu wmówiłeś, że ona coś w tobie widzi, ale uwierz mi: wcale tak nie było.

– Tego... nie może pani wiedzieć...

– Znam cię. I znam takich jak ty. Ludzi, którzy nie radzą sobie z odrzuceniem. Niestety, akurat ciebie wszyscy wciąż odrzucają. Przez jakiś czas oszukiwałeś się, że

tym razem będzie inaczej, a to dlatego, że nieustannie ignorowałeś wysyłane przez nią ostrożne sygnały. Teraz nie możesz sobie z tym poradzić, bo stało się jasne, że Milla naprawdę cię nie chce. Bądź pewien: nie wyjawię miejsca jej pobytu. Nie wykluczam... – Zawahała się.

– Tak? – zapytałem. Ogłuszony. Dotknięty. Oszołomiony.

– Nie wykluczałabym, że stanowisz dla niej zagrożenie – dokończyła madame du Lavandou.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem. O czym ona mówi?

W rzeczywistości trafiła jednak w sedno, wkrótce to sobie uświadomiłem: byłem dla Mili zagrożeniem.

Postanowiłem ruszyć za nią w pogoń.

# CZĘŚĆ DRUGA



# Czwartek, 26 grudnia

## 1

Sue Raymond była wściekła, ale próbowała zachować spokój, by zaledwie nie unieść się gniewem. Wiedziała, że ma po temu skłonności, nawet gdy chodziło o Wayne'a, którego naprawdę kochała.

Zwłaszcza gdy chodziło o Wayne'a.

Dwudziestego czwartego grudnia poszli z jego rodzicami na kolację, a dwudziesty piąty spędzili w rodzinnym gronie: ona, Wayne i mała Ruby, która akurat w Boże Narodzenie kończyła sześć miesięcy. Usiedli wokół choinki i rozpakowali prezenty. Sue i Wayne już rankiem wypili po kieliszku szampana i zjedli kanapki z łososiem. Na obiad były pieczone ziemniaki i indyk oraz ponownie szampan. Po południu zaś obejrzeni w telewizji świąteczne orędzie królowej, zajadając się przy tym puddingiem śliwkowym, choć od tego obżarstwa było im już niedobrze. Elektryczne światełka na choince paliły się przez cały dzień, Ruby wesoło gaworzyła, lecz po świątecznym orędziu Wayne z trudem ukrywał kiepski nastrój drzemający w nim od rana. Nie przepadał za świętami, a gdy życie rodzinne stawało się dlań zbyt intensywne, zaczynał się irytować. Boże Narodzenie jeszcze jakoś zdołał przetrwać, dziś jednak oświadczył z samego rana, że wybiera się z chłopakami do chaty – co jak podejrzewała Sue, nie było wcale spontaniczną decyzją, lecz zostało zaplanowane z dużym wyprzedzeniem.

– Kilka dni tylko w męskim gronie – oznajmił z miną człowieka, który najchętniej od razu by wyjechał.

Owe chłopaki to było trzech kolegów Wayne'a z lat szkolnych, z którymi dzielił dołę i niedolę, a którzy byli solą w oku Sue, ponieważ w ich towarzystwie Wayne za dużo pił, jeździł za szybko i przesiadywał w nocnych klubach, obracając się w podejrzanym środowisku. Sue nie znosiła, kiedy tam chodził. Tym razem jednak mówił o chacie. Domku z bali w Yorkshire Dales, należącym do ojca jednego z kolegów. Sue nie miała złudzeń: również tam Wayne i jego kumple upijali się do nieprzytomności, choć w pobliżu przynajmniej nie było żadnych pubów ani klubów. Grali w karty, popijali, spali. I czuli się jak dzikusy odważnie stawiające czoła niebezpieczeństwu natury, mimo że wygodny, przestronny domek z dobrze zaopatrzoną piwniczką na wino,

z wielkim kominkiem i miękkimi łózkami trudno było porównać z surwiwalowym treningiem w dziczy. Choć tak to właśnie przedstawiali.

Jak można wmawiać sobie takie brednie, pomyślała ze złością, a do tego jeszcze w nie wierzyć!

Próbowała nakłonić Wayne'a, by odłożył tę swoją „przygodę” przynajmniej o jeden dzień.

– To jeszcze święta – oznajmiła i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że w jej oczach płoną łzy. – Powinno się je spędzać z rodziną!

– Dziś mamy już drugi dzień świąt – odparł Wayne.

– Ale to też jeszcze święta!

– Chryste, Sue, nie doprowadzaj mnie do szału. Od dwóch dni obchodzę święta, więcej nie zniosę. Choinka, muzyka, całe to zamieszanie... To musi się kiedyś skończyć!

Potem spakował swoje rzeczy, pohnął w powietrzu piszczącą z zachwytu Ruby i dał Sue przelotnego buziaka.

– Ciao, słodziaki. Wrócę w niedzielę! – I już go nie było. Sue usłyszała warkot silnika jego SUV-a. Wayne sprezentował sobie ten luksusowy samochód na urodziny we wrześniu. Kredyt będzie spłacał przez najbliższe lata.

Sue wzięła Ruby na ręce i zaczęła ją kołysać, próbując stłumić łzy i zdusić w zarodku swój gniew. Kiedy Wayne był nieosiągalny – w Dales nie działały telefony – oddając się swego rodzaju kawalerskiemu życiu, ona kipiała złością, a to zawsze źle się kończyło, dla niej, nie dla niego. On nie był tego świadom, ją zaś zupełnie to wyczerpywało. Ostatecznie i tak niczego nie udało jej się zmienić. Rzucić całe to małżeństwo, zwyczajnie zniknąć razem z Ruby – to byłoby coś! Ale gdzie miałyby się podziać? I czy naprawdę chciała z tym skończyć? Wayne był jej młodzieńczą miłością, spędzili razem piękne chwile. Podobał jej się także status mężatki z dzieckiem oraz własnym niewielkim domem. No dobrze, dom nadal będą musieli spłacać, dłużej nawet niż samochód, właściwie niemal do samej śmierci, ale był to ich dom, ich ogród. Ich życie.

Nie chciała być rozczarowaną, rozwiedzioną samotną matką mieszkającą w wielopiętrowym bloku.

Położyła Ruby do łóżka, gdzie dziecko na szczęście natychmiast zasnęło, po czym zabrała się do sprzątnięcia salonu i kuchni. Złożyła papier ozdobny, rozdarła kartony, zebrała oddzielnie plastik, posegregowała wszystko do stojących obok garażu pojemników. Włożyła naczynia do zmywarki, wytarła blaty, wrzuciła do pralki poplamione obrusy i serwetki. Rozpaliła ogień w kominku. Dzień był chłodny

i ponury, ale nieco go sobie umili. Zrobi to dla siebie i dla Ruby, a Wayne niech idzie do diabła.

Z poprzedniego dnia zostały jeszcze warzywa, lecz nie wyglądały apetycznie, więc zebrała je do kosza, by wyrzucić do pojemnika na odpady organiczne. W drodze do garażu przeszedł ją dreszcz. Poranna mgła spowiła osiedle, czuło się wilgoć i chłód. Sue już miała pędem wrócić do domu, gdy zauważyła przed ogrodową furtką jakąś postać. Stała i patrzyła na dom. Sue wyteńczyła wzrok. Kobieta.

– Tak?! – zawołała. W drugi dzień świąt tradycyjnie rozdawano drobne pieniężne datki, być może kobieta zbierała na jakiś szczytny cel.

– Sue? – odpowiedziała pytaniem kobieta. Jej głos brzmiał ochryple i cicho.

Sue ruszyła w jej stronę, obejmując się oburącz dla ochrony przed przenikliwym zimnem. Kobieta wyglądała dziwnie znajomo, ale Sue nie potrafiła jej skojarzyć.

– Czy my się znamy? – zapytała.

– To ja – powiedziała kobieta.

Sue zauważyła, że ma głębokie cienie pod oczami. Wyglądała tak, jakby od wielu dni nie zmrużyła oka. Mimo grubego płaszcza można się było domyślić, jak bardzo wychudła.

– Mila Henderson. Znamy się ze szkoły.

– Mila? – spytała z niedowierzaniem Sue. Minęło piętnaście lat, odkąd widziały się po raz ostatni. Były wówczas nastolatkami i przez krótki czas chodziły do tej samej szkoły i klasy. Aż pewnego dnia Mila niespodziewanie wyjechała i słuch po niej zaginął.

Mila dygotała. Sue zauważyła, że mimo płaszcza trzęsie się z zimna.

– Wejdiesz do środka? – zapytała.

Mila wypita duży kubek gorącej herbaty i opowiedziała, jak się tu znalazła. Sue pościeliła dla niej łóżko w pokoju gościnnym. Mila położyła się i po chwili zasnęła.

Sue wróciła do salonu, zamyślona wyjrzała przez okno. Czy słusznie postąpiła, przyjmując pod swój dach kobietę, która stała się jej zupełnie obca, a teraz spała na górze w pokoju gościnnym? Była jednak w godnym pożałowania stanie, omal nie zamarzała. Nie mogła odesłać jej z kwitkiem. Zwłaszcza w czasie świąt.

Sue przyjaźniła się z Milą, choć nie były z sobą bardzo zżyte. Mila miała naturę samotniczki, poza tym chodziły razem do klasy tylko przez pół roku, zanim Mila z matką wyprowadziły się z miasta. Spędziły jednak kilka wspólnych popołudni, jadły razem lody i wybrały się na zakupy. Dobrze się dogadywały. Potem Mila wyjechała nagle zaraz po wakacjach i już nigdy się nie odezwała. Szczerze mówiąc, Sue prawie o niej zapomniała.

A teraz, po upływie tylu lat, Mila stanęła nagle w progu jej domu, głodna i przemarznięta, i opowiedziała niezwykłą historię: zatrudniła się jako opiekunka pewnej staruszki w Scarborough, ale potwornie pokłóciła się z jej córką i z dnia na dzień została wyrzucona na bruk. Nie miała praktycznie żadnych oszczędności na koncie, a w torbie podróźnej jedynie najpotrzebniejsze rzeczy.

– Czy mogę zostać u ciebie na kilka dni? – zapytała z szeroko otwartymi oczami. – Nie wiem, gdzie miałabym się podziać. Przez tydzień mieszkałam u dziadka, ale nie mógł udzielić mi gościny na dłużej.

Dlaczego nie?! – omal nie odpowiedziała Sue, ale przełknęła tę uwagę. Zabrzmiałoby to mało uprzejmię.

– Oczywiście, że możesz zostać – powiedziała z łatwością, o jaką by się nie posądzała. Historia Mili wydała jej się nader dziwna: czy można kogoś tak po prostu wyrzucić? Zwolnić z pracy z dnia na dzień, bez zapłaty co najmniej za kolejny miesiąc?

Coś tu nie gra, myślała Sue, stojąc przy oknie i patrząc na zewnątrz. Wszystko to wydaje się bardzo dziwne.

Z drugiej jednak strony Mila naprawdę kiepsko wyglądała. Była wyczerpana i zaniedbana.

– Trzy noce spędziłam pod gołym niebem – wyznała. – Na ławkach na dworcach autobusowych. Było zimno i strasznie, a ja się bałam.

Sue ją rozumiała. Okropna historia.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytała.

– Przez Facebooka. Stąd wiedziałam, że mieszkasz w Richmond. Dość często zamieszczałaś zdjęcia swojego domu, na kilku można zobaczyć nazwę ulicy. Nie było to trudne.

Sue pomyślała, że Wayne, ten wieczny zrzęda, faktycznie czasem ma rację. Wciąż powtarzał, że za dużo pisze i wyjawia w Internecie, zamieszcza zdjęcia własne, Wayne'a, dziecka, domu, samochodu, ulicy, ogrodu. Patrzcie, oto moje wspaniałe życie! Zobaczcie, ile osiągnęłam! Rozgłoszenie tego całemu światu było dla niej na tyle ważne, że chyba rzeczywiście postępowała nieroztropnie. Oto stara znajoma sprzed lat odnalazła ją bez żadnego problemu.

Dobrze się złożyło, że Wayne właśnie wyjechał. Urządziłby scenę, jak zawsze w obecności gości, jeśli nie byli jego przyjaciółmi. Marudziłby, stroił fochy i nieustannie się dopytywał, kiedy Mila wreszcie sobie pójdzie, traktując tę biedną kobietę szorstko i niegrzecznie. Przynajmniej stało się jasne, że Mila może zostać najwyżej do niedzieli. Będzie musiała zniknąć, zanim Wayne wróci do domu.

Sue przypomniała sobie, że Mila już w latach szkolnych straciła ojca, miała za to matkę.

– Dlaczego do niej nie pójdziesz? – zapytała, ale koleżanka potrząsnęła głową.

– Mieszka w Stanach. W Kalifornii. Ponownie wyszła za mąż. – Po czym dodała: – Za totalnego oblecha.

– Ale co zamierzasz zrobić? To znaczy, oczywiście możesz zostać u mnie kilka dni, ale... to nie jest rozwiązanie...

– Coś wymyślę – stwierdziła Mila.

Sue nie miała pojęcia, co jej chodziło po głowie, ale ostatecznie nie był to jej problem.

Jakoś nie mogła się otrząsnąć ze złych przeczuc. Znow pomyślała o Wayne, który zawsze powtarzał, że jeśli tylko dobrze pogooglujesz, niemal o każdym możesz się czegoś dowiedzieć. Nawet jeśli będzie to tylko odnośnik do wpisów na Facebooku, Instagramie czy LinkedInie. Jego zdaniem mało kto nie pojawia się gdzieś w sieci.

Nadarzyła się okazja. Mila spała, Ruby także odpoczywała. Sue podeszła do kanapy, w rogu której leżał jej laptop, otworzyła go i włączyła. Wpisała nazwisko Mili Henderson i po chwili aż się wzdrygnęła: Mila pojawiła się w licznych wpisach i na wielu fotografiach. Ściśle rzecz biorąc, było to zawsze to samo zdjęcie. Bez wątplenia wizerunek Mili.

Sue kliknęła pierwszy wpis.

Przełknęła. Podejrzewała, że coś jest nie tak.

Mila była poszukiwana przez policję.

## 2

Odkąd pozbyli się zwłok Logana, atmosfera między nimi uległa zmianie. Były to tylko niuanse, jednakże Anna wyczuwała, że Sam coraz bardziej się od niej oddalał. Był jak zawsze przystępny, ale w inny niż dotąd sposób. Wieczór, kiedy wywieźli ciało Logana na wrzosowiska, zupełnie go przytłoczył, całkowicie wyczerpał, fizycznie i psychicznie. Podczas gdy Anna przez całą noc przewracała się bezsennie z boku na bok, nawiedzana przez straszliwe obrazy, on położył się do łóżka i zasnął w ułamku sekundy.

Kto to zrobił Loganowi?

I czy rzeczywiście postąpiła słusznie, nie wzywając policji?

Najgorsze jednak było to, że nie wyjaśniła Samowi, czego tak bardzo się boi. Chociaż mu to obiecała, zanim pomógł jej pozbyć się zwłok. W świąteczny poranek

usiadł naprzeciw niej przy śniadaniu, z filiżanką kawy w dłoni, i spojrzał na nią z powagą w oczach.

– I?

Wybuchnęła płaczem.

– Nie mogę, Sam. Po prostu nie mogę o tym mówić.

– Obiecałaś mi, Anno!

– Wiem – szlochała.

– Anno, tak być nie może. Wplątujesz mnie w tę niewiarygodną historię, a potem odmawiasz jakichkolwiek wyjaśnień. Czy zdajesz sobie sprawę, że nie można się tak zachowywać? Wobec nikogo?

– Wiem. – Unikała jego spojrzenia.

Sam spędził cały świąteczny dzień w swoim gabinecie, sprawdzając rachunki, jak wyjaśnił. Było jasne, że jest wściekły. Jak zwykle nie okazywał tego bezpośrednio – Sam nigdy nie krzyczał ani nie robił awantur – ale wycofał się i poniekąd zatrzaskał dzielące ich drzwi. Anna przemykała po mieszkaniu w podłym nastroju, zawinięta w koc, gdyż przez cały dzień nie potrafiła zebrać się w sobie i się ubrać. W końcu usiadła w salonie, skakała po kanałach telewizyjnych, ale nie znalazła niczego, co choćby trochę ją zaciekawiło. Pokój wyglądał ponuro, bez prezentów, bez choinki. Drzewko, gigantyczne monstrum, które Sam tak starannie wyszukał, leżało za jej domem w Harwood Dale i w końcu pewnie spróchnieje. Za sto lat... właściwie jak długo próchnieją drzewa?

Anna znowu się rozpłakała, myśląc o pięknej choince, która została zwyczajnie wyrzucona.

Jak Logan. Uroczy Logan. Który leżał martwy w zagajniku na wrzosowiskach. Tak niegodnie. Wyrzucony jak worek śmieci.

Wieczorem Sam przynajmniej coś ugotował i otworzył butelkę wina, Anna zapaliła kilka świec. Oboje grzebali niemrawo w talerzach, potem Sam zaszył się z powrotem w swoim pokoju, Anna zaś położyła się do łóżka, wzięła tabletkę i w końcu zasnęła.

Rankiem następnego dnia Sam wyjechał do ojca do Londynu. Przy pożegnaniu po raz pierwszy powstrzymał się od pytania, czy Anna nie chciałaby mu towarzyszyć. Z trudem skrywał ulgę, z jaką zostawiał na dwa dni wypełniającą mieszkanie napiętą atmosferę oraz zrozpaczoną Annę.

– Rozgość się – powiedział. – Mimo wszystko. Myślę, że lepiej będzie, jeśli tu zostaniesz. Twój dom raczej nie nadaje się do zamieszkania, póki nie wymienimy szyby.

– Kiedy wracasz?

– Za dzień, dwa – odparł niejasno.

Płakała po jego wyjeździe. Nagle poczuła się bardzo samotna. Mimo ponurej atmosfery świąt przynajmniej byli we dwoje. Nawet w tym, co razem uczynili. Teraz poczuła się tak, jakby Sam odszedł. Pomógł jej w trudnej sytuacji, ale tak naprawdę sprawa Logana go nie obchodziła. Niespodziewane wydarzenia z jej życia – zamordowana kobieta, zwłoki poszukiwanego przez policję przyjaciela, które należało ukryć – to wszystko nie dotyczyło go osobiście. Nie chciał też w tym uczestniczyć. Nie powiedział tego wprost, ale Anna to wyczuwała. Cokolwiek się teraz stanie, przynajmniej w ciągu kilku najbliższych dni, będzie musiała radzić sobie sama.

Jakimś cudem zdołała wziąć prysznic i się ubrać. W łazienkowym lustrze ujrzała pobladłą twarz. Wyglądała okropnie. I tak też się czuła.

Prawie nic nie jadła, odkąd w przedpokoju swojego domu znalazła martwego Logana; zdała sobie sprawę, że nie może się tak dalej osłabiać. W kuchni zaparzyła herbatę, apatycznie przeżuła kilka świątecznych ciasteczek, które znalazła w jednej z szafek. Żaden to posiłek, ale lepsze to niż nic. Kiedy rozmyślała o tym, jak u licha zdoła przebrnąć przez nadchodzący dzień, nagle rozległ się dzwonek u drzwi.

Z przerażenia omal nie wypuściła z rąk kubka z herbatą. W pierwszej chwili pomyślała, że to z pewnością policjanci. Znaleźli Logana. Odkryli trop, który doprowadził ich do niej. Uznali ją za główną podejrzaną. A teraz przyjechali ją zabrać.

A może ktoś ich obserwował? A teraz ich wydał?

Nieco się rozluźniła. Gdyby ktoś ich obserwował, policja zjawiałaby się znacznie wcześniej.

A nawet gdyby znaleziono zwłoki Logana, kto tak szybko odnalazłby trop prowadzący do niej i do mieszkania Sama?

Zastanawiała się, czy powinna otworzyć, doszła jednak do wniosku, że nie może się tu ukrywać aż do powrotu Sama. Podeszła do drzwi, nacisnęła przycisk domofonu i usłyszała, że na dole ktoś pchnął drzwi wejściowe. Rozpoznała kobietę wchodzącą po schodach: miała na imię Kate. Nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Chodziła na kurs gotowania, w poniedziałek zastąpiła Diane.

Kate uśmiechnęła się trochę nieśmiało.

– Przepraszam, Anno. Wiem, że jest drugi dzień świąt. Musiałam przyjść, bo zaczęłam się martwić.

– Martwić? – spytała zaskoczona Anna. Jej serce znów przyspieszyło, choć wmawiała sobie, że to całkiem niedorzeczne. Skąd ta kobieta miałaby wiedzieć cokolwiek o Loganie?

– Tak. – Kate dotarła na piętro i przystanęła. Z zimna miała zaróżowione policzki. – Wczoraj... byłam u pani w domu.

Anna zrobiła krok w tył.

– Proszę wejść. – Nie wszyscy muszą słyszeć, czego Kate szukała – i być może znalazła u niej w domu.

Na pewno nie martwego człowieka, próbowała się uspokoić. Wczoraj już go tam nie było.

Zaprowadziła Kate do kuchni i zaproponowała jej herbatę, choć najchętniej od razu by się jej pozbyła. Musiała się jednak dowiedzieć, o co chodzi.

– Dlaczego pani nie zadzwoniła? I skąd pani wiedziała, gdzie mieszkam? Skąd wiedziała pani o moim chłopaku i jak poznała jego adres?

Kate, wyraźnie wdzięczna za sposobność ogrzania dłoni ciepłym kubkiem, wzruszyła ramionami.

– O pani chłopaku i o tym, że tu mieszka, wspomniał ktoś z kursu. Podał też pani adres. To chyba był Burt Gilligan. Mogłam zadzwonić... Ale chciałam się osobiście upewnić, że wszystko u pani w porządku.

– Dlaczego miałyby być inaczej?

– Jak już mówiłam, byłam wczoraj u pani. Potrzebowałam numeru telefonu jednego z uczestników kursu, ale nikogo nie zastałam.

– Spędzam święta z moim chłopakiem.

– Tak, to oczywiste. Byłam zaniepokojona... Za pani domem leży nowa choinka. I ktoś rozbił szybę w oknie.

Anna gapiła się na Kate. *Czemu u mnie wężysz? Czego szukałaś za domem?*

Nie mogła sobie pozwolić na zadawanie bezczelnych pytań. Kto wie, co ta Kate znalazła i co się kryło za jej miłym wyrazem twarzy?

Anna zmusiła się do uśmiechu.

– A, tak. Pierwotnie chcieliśmy spędzić święta u mnie. Dlatego postaraliśmy się o choinkę. Ale wtedy pękła szyba w oknie. Te okna są strasznie stare, wie pani. Wystarczył silny podmuch wiatru i pojawiła się rysa. Pewnie już wcześniej było tam jakieś mikropęknięcie.

Mówisz za dużo i nazbyt emocjonalnie, napominała się.

– I oczywiście nie mogliśmy wezwać szklarza – dokończyła. – Więc przenieśliśmy się tutaj. Byliśmy zbyt wykończeni, żeby przewieźć drzewko. – Roześmiała się nienaturalnie i piskliwie. – Mój chłopak kupił zdecydowanie za dużą choinkę. Oboje nas to przerosło.

– To dobrze, że wszystko w porządku – odparła Kate. – Przy okazji: drzwi wejściowe pani domu nie są zamknięte. Otworzyły się, gdy zapukałam.

– Co takiego?

– Tak. To pewnie przez nieuwagę.



– No jasne. Niedopatrzenie. – Włożyli zwłoki Logana do samochodu. Przebrali się. Szukali telefonu Logana i go nie znaleźli. Spławili Dalinę. Odjechali, oboje wyczerpani, spięci i spanikowani. Rzeczywiście, nie pamiętała, czy zamknęła drzwi wejściowe. Cholera, czyżby Kate weszła do środka?

Zmierzyła ją wzrokiem, ale ujrzała całkiem neutralny wyraz twarzy. Pomyślała o zakrwawionym dywanie, zwiniętym na schodach prowadzących do piwnicy, i o poplamionych ubraniach, które po prostu upchnęli do kosza w łazience.

Czy ta kobieta patrzyłaby tak prostodusznie, gdyby to wszystko znalazła?

– Weszła pani do domu? – zapytała możliwie jak najswobodniej.

Kate potrząsnęła głową.

– Pomyślałam, że powinna pani wiedzieć. Trochę się martwiłam.

Nie powinnaś wtykać nosa w nie swoje sprawy, pomyślała ze złością Anna. Tak naprawdę była jednak wdzięczna. Każdy mógł swobodnie wejść do jej domu i znaleźć obciążające ją materiały wszelkiego rodzaju. Musiała natychmiast tam jechać.

– Mogłaby pani podwieźć mnie do Harwood Dale? – zapytała. – Nie mam tu swojego samochodu, a mój chłopak wyjechał dziś do Londynu odwiedzić ojca w domu starców.

– Żaden problem – odparła ochotczo Kate i odstawiła kubek.

Obie kobiety wyszły z mieszkania. Podczas jazdy niewiele rozmawiały, Anna odniosła jednak wrażenie, że Kate intensywnie nad czymś rozmyślała. I że ta kobieta wcale nie jest taka prostoduszna, na jaką wygląda. Zawsze miała beztroską minę, ale w jej spojrzeniu kryła się przenikliwość, którą Anna uznała za niepokojącą. Nie ufała jej, choć nie znalazła żadnego logicznego wytłumaczenia. To było tylko przeczucie... Być może zupełnie mylne.

Kiedy dotarły na miejsce, Kate zaproponowała Annie, że będzie jej towarzyszyć, jeśli boi się wejść sama, skoro dom stał od prawie dwóch dni otwarty. Anna natychmiast jednak odmówiła.

– Nie, nie, w żadnym wypadku. Poświęciła mi pani już dość czasu. Dziękuję za podwiezienie. Dam sobie radę.

– Jest pani pewna?

– Jasne. – Anna pozostała nieugięta. Jeszcze tego brakowało, żeby ta kobieta weszła za nią do środka.

Patrzyła za Kate, dopóki jej samochód nie wjechał na wiejską szosę, dopiero wtedy pchnęła drzwi. Niech to szlag, rzeczywiście zapomniała zamknąć je na klucz.

Jak można się było spodziewać, wewnątrz domu było lodowato zimne i wyjątkowo nieprzytulne. Anna zastanawiała się przez chwilę, czy kiedykolwiek uda jej się

stworzyć tu prawdziwie domową atmosferę. Już zawsze będzie miała przed oczami widok leżącego w przedpokoju martwego Logana.

W końcu zebrała się w sobie i pobiegła na górę, weszła do łazienki. Wyjęła z kosza zakrwawioną odzież i zaniósła ją do kuchni, gdzie stała pralka. Do pojemnika wsypała mnóstwo proszku do prania. To także był błąd, podobnie jak pozostawienie otwartych drzwi wejściowych. Powinna była niezwłocznie je wyprać. Krew trudno usunąć, a co dopiero po dwóch dniach... Przez chwilę patrzyła przez drzwiczki pralki na wirujące ubrania, aż w końcu całkowicie zniknęły w gęstwinie białej piany. Jeśli nie zdoła ich doprać, trzeba będzie je wyrzucić. Przechowywanie ich w domu mogło okazać się zbyt ryzykowne.

Następnie musiała pozbyć się dywanu. Nie zdoła go wyprać, podejrzewała też, że nawet mimo zastosowania specjalnego środka do czyszczenia dywanów pozostaną na nim rdzawobrazowe ślady. Z tego, co wyczytała w powieściach detektywistycznych, wynikało, że policja dysponowała obecnie metodami pozwalającymi wykryć nawet najdrobniejsze pozostałości krwawej zbrodni. Nie miała innego wyjścia, jak tylko zapakować dywan do samochodu. Pozbędzie się go gdzieś na wrzosowiskach. Tak jak Logana.

Z nieodpartym poczuciem, że oto jej życie coraz bardziej przemienia się w dziwny koszmar, wciągnęła dywan ze schodów prowadzących do piwnicy z powrotem do przedpokoju. To była mozolna praca. Już we dwójkę ledwo dawali radę, a teraz Anna sama musiała się tym zająć. Dywan był po części zwinięty, lecz gdy tylko przeniosła go do przedpokoju, rozłożył się. Cały pokryty był krwią. Jeśli Anna miała jeszcze jakieś wątpliwości, teraz się rozwiały: musiała się go pozbyć.

Zwinęła dywan, dysząc przy tym i wyężdżając wszystkie siły, bo tylko w ten sposób mogła umieścić go w samochodzie. Dwukrotnie próbowała związać rulon sznurkiem do pakowania – bez powodzenia. Dopiero za trzecim razem udało jej się zaciągnąć węzeł, zanim dywan ponownie się rozwinął. Przez kilka minut siedziała na podłodze zlaną potem.

W końcu się podniosła. Przeciągnie teraz dywan krok po kroku do drzwi, potem przez podwórko aż do samochodu, jakimś cudem wykrzesze z siebie resztki sił. A wtedy pozbędzie się dywanu, ubrania będą czyste, Logan zaś i tak już zniknął... I o wszystkim zapomni, minie dość czasu, w końcu zatrze się także wspomnienie. Zawsze tak się działo. Ostatecznie wszystko przybierze rozmyte kontury nierealności.

Dysząc, ciągnęła dywan po przedpokoju, otworzyła drzwi wejściowe, wywlokła go na błotniste podwórko, nie martwiąc się o to, że jeszcze bardziej się pobrudzi. Nie miało większego znaczenia, że upaprze jej wnętrze samochodu.

Przystanąła na chwilę i otarła pot z czoła, gdy nagle jakiś głos przyprawił ją o dreszcz.

– Anno! Nie przestrasz się. Wróciłam.

Obejrzała się. Stała przed nią Kate Linville. Samochód zaparkowała kawałek dalej na ścieżce. Zawróciła, a Anna była tak zaabsorbowana, że jej nie usłyszała.

Z przerażenia wypuściła z rąk dywan. Sznurek się zerwał, rulon rozwinął się na podwórku. Pełen wyraźnie widocznych plam krwi.

Kate i Anna wpatrywały się w niego.

– Dlaczego pani wróciła? Dlaczego mnie pani szpieguje? – krzyknęła nagle Anna.

– Przeczuwałam, że ma pani kłopoty – powiedziała Kate. – I zaczęłam się martwić. Rozbite okno. Mieszka tu pani sama...

– Potrafię o siebie zadbać – prychnęła Anna.

Kate wskazała na dywan.

– To jest krew. Znaczna ilość. Skąd się wzięła? I dokąd zamierzała pani zawieźć ten dywan?

– Do prania.

– W drugi dzień świąt?

Obie kobiety spojrzały po sobie. W końcu Anna zaczęła płakać. Stała nieruchomo, zwiesiła ramiona, łzy spływały jej po twarzy. Wydawało się, że nie czuje ani przeszywającego zimna, ani błotnistej ziemi, rozmarzającej pod jej stopami i wnিকającej do butów. Stała i płakała, strapiona i przygarbiona wskutek potwornego wyczerpania.

– Co się dzieje, Anno? – zapytała Kate – Nie powie mi pani?

Anna nie przestawała szlochać.

Kate delikatnie pogłaskała ją po ramieniu. Następnie wyciągnęła legitymację i ją uniosła.

– Jestem policjantką, Anno. Sierżant Linville, policja North Yorkshire. Powinna mi pani powiedzieć, o co chodzi z tym dywanem. Czyja to krew. Anno, co się tu dzieje?

Anna spojrzała na legitymację. Nie wydawała się wstrząśnięta odkryciem, że opiekunka starszych osób Kate Linville w rzeczywistości jest detektywem. Nic już nie było jej w stanie poruszyć. Jakby zabrakło jej sił, by się czemukolwiek dziwić albo czymkolwiek irytować, oburzyć albo przerazić. Wyczerpała resztki swojej energii. Nie tylko w zmaganiach z dywanem. Już od dłuższego czasu była u kresu wytrzymałości. A teraz nadeszła chwila, w której się poddała.

– Będzie łatwiej, jeśli się pani przede mną otworzy – powiedziała Kate. – Proszę mi zaufać. Pomogę pani znaleźć jakieś wyjście.

Anna przytaknęła.

Drugi dzień świąt nie powstrzymał Pameli Graybourne od zajęcia się pracą. Koledzy z policji South Yorkshire mimo skąpej świątecznej obsady poczynili kilka ustaleń. Inspektor Burden chętnie podzielił się z Pamelą nowinami. Sprawę utopionego Jamesa Hendersona oraz zaginionej młodej kobiety, która wcześniej u niego mieszkała, uznał za nader zagmatwaną i był wdzięczny za zainteresowanie oraz zaangażowanie kolegów z północnego Yorkshire.

Przed południem zadzwonił do Pameli, która siedziała w swoim gabinecie. W komisariacie krzątało się niewielu funkcjonariuszy, tylko kilku miało pecha, że akurat tego dnia wyznaczono im służbę.

Burden od razu przeszedł do sedna.

– Poprosiłem jedną z koleżanek o rozeznanie sprawy, poczyniła kilka ustaleń, choć nie było to łatwe, bo w czasie świąt trudno znaleźć kogoś, kto mógłby udzielić jakichś informacji. Co wiemy na pewno? Mila Henderson jest wnuczką brata Jamesa Hendersona. To stryj jej zmarłego ojca.

Pamela nagryzmoliła kilka uwag na leżącej przed nią kartce papieru.

– A więc – kontynuował Burden – jak już wspomniałem, ojciec Mili Henderson od dawna nie żyje. Matka wyjechała z Anglii przed czterema laty i osiadła w Stanach ze swoim nowym mężem, Amerykaninem. Obecnie mieszka w Kalifornii. Mila zrobiła dyplom pielęgniarki geriatrycznej...

– Gdzie? – przerwała mu Pamela.

– W Londynie. Wcześniej mieszkała z matką w Liverpoolu, gdzie ukończyła szkołę. Przebywały też w Leeds, ale tylko niecałe pół roku. Jeszcze wcześniej w Sheffield.

Współpracownica Burdena rzeczywiście jest fenomenalna, pomyślała Pamela, zdobyć te wszystkie informacje w ciągu dwóch dni, kiedy cały kraj jest pogrążony w świątecznym letargu, a w urzędach, jeśli w ogóle, pracuje minimalna obsada.

– To są kluczowe dane – stwierdził Burden. – Niestety nie wiemy, gdzie pracowała po ukończeniu szkoły. W końcu zapewne trafiła do starszej pani w Scarborough, która niestety straciła życie.

– Tak... – powiedziała powoli Pamela – straciła życie... – Po czym dodała: – Jak pańska współpracownica prześledziła jej ścieżkę edukacyjną?

Burden zawahał się przez chwilę.

– Proszę zachować to wyłącznie dla siebie – odparł w końcu. – Ta policjantka ma fantastyczne znajomości, to ludzie z wszelkiego rodzaju koneksjami, w biurach meldunkowych i tym podobnych. I może do nich dzwonić nawet w święta. To nie zawsze w pełni legalne, ale czasem cel uświęca środki, prawda? Następnie przeczeszała

Internet w poszukiwaniu artykułów na temat absolwentów różnych szkół i tak natrafiła na Milę. Takie tam sposoby.

Pamela pomyślała, że kobieta spędziła pewnie całą noc przy komputerze. Świetnie. Burdenowi można było tylko pozazdrościć.

– Przed podjęciem nauki w Liverpoolu Mila Henderson, jak już mówiłem, mieszkała przez krótki czas w Leeds – kontynuował Burden. – Udało nam się nawet ustalić nazwę jej szkoły. Tu jednak kluczowe informacje się kończą.

– To bardzo dużo. Naprawdę.

– Jeszcze jedno – dodał z wahaniem Burden – choć nie jest do końca jasne, czy ma to jakikolwiek związek z naszą sprawą.

– Tak?

– Przypomniałem sobie o tym, gdy usłyszałem nazwę szkoły, do której chodziła w Leeds Mila Henderson. Dwa i pół roku temu doszło tam do paskudnej zbrodni na nauczycielce.

– Sprawa musiała podlegać jurysdykcji tamtejszego wydziału. Jednak wtedy jeszcze mnie tam nie było.

– Francuzka. Isabelle du Lavandou. Uczyła w Grammar School w Leeds, choć nie mam pojęcia, czy była nauczycielką Mili Henderson. W wiosenne święto bankowe dwa tysiące siedemnastego wybrała się na wycieczkę po wrzosowiskach. Sama. Często to chyba robiła, od wielu lat. Zazwyczaj w trakcie długich weekendów. Nocowała w chatach. Tym razem jednak nie wróciła ostatniego wieczoru do domu. Jej mąż w końcu powiadomił policję. Całymi tygodniami przeczesywano teren, po którym wędrowała.

Pamela zaczęła sobie niejasno przypominać. O sprawie donosiła prasa.

– W końcu ją znaleziono – oznajmił Burden. – W chacie dla wędrowców, stojącej zupełnie poza szlakiem, którym podążała. Została zamordowana, wielokrotnie dźgnięto ją nożem. Jej ciało nosiło ślady ciężkich tortur. Sprawca musiał ją przetrzymywać i znęcać się nad nią przez co najmniej dwa dni i dwie noce.

– Przepięstwo seksualne?

– Żadnych śladów gwałtu. Co wcale nie wyklucza, że tortury miały podtekst seksualny.

– To nie musi mieć cokolwiek wspólnego z Milą Henderson – uznała Pamela.

– To prawda – odparł Burden. – Chodzi jednak o zdarzenie jakoś związane ze szkołą, do której uczęszczała Mila Henderson. Chciałem, żeby pani o tym wiedziała. Pewnie nie warto w tym drążyć. Moim zdaniem jest to o tyle ciekawe, że znamy nazwisko nauczycielki, która prawdopodobnie uczyła w tej szkole już za czasów Mili.

I której mąż prawdopodobnie nadal żyje. Biorąc pod uwagę fakt, że dzisiaj niczego więcej już się nie dowiemy...

– Dziękuję, inspektorze – powiedziała Pamela. – Wiem, co ma pan na myśli. Zastanowię się, co zrobić z tą informacją.

W południe postanowiła pojechać do Leeds, by zobaczyć się z mężem Isabelle du Lavandou. W tym samym czasie w komisariacie pojawiła się Kate, której towarzyszyła upiornie blada Anna Carter. Pamela, spotkawszy je na korytarzu, uniosła pytająco brwi, lecz Kate zasygnalizowała jej spojrzeniem, że to nie jest odpowiednia chwila na wyjaśnienia. Pamela się domyśliła: później się dowie, o co chodzi.

Adres państwa Lavandou znalazła w internetowej książce telefonicznej. Widniało tam tylko jedno takie nazwisko. Jean-Michel du Lavandou. To musiał być on.

Zawahała się na chwilę. Nie wykazałaby się taktem, składając niezapowiedzianą wizytę u pogrążonego w żałobie wdowca akurat w Boże Narodzenie. Mieli jednak niewiele tropów, świąteczne dni dodatkowo paraliżowały dochodzenie, a przecież należało działać. Lavandou mógł zatrzęsnąć jej drzwi przed nosem, gdyby poczuł się urażony.

Wyłączyła telefon. Właściwie miała dziś wolne. To był prywatny wyjazd.

W Leeds panował świąteczny spokój, ruch na drogach był niewielki. Dzięki nawigacji Pamela szybko dotarła do celu. Mały parterowy dom na obrzeżach miasta. Gdy wysiadła z samochodu, znów zaczęło padać. Naciągnęła na głowę kaptur parki i przeszła na drugą stronę ulicy.

Monsieur du Lavandou nie zawiesił świątecznych lampek, przynajmniej nie było ich widać z zewnątrz. Być może nie miał już na to ochoty po tragedii, która niespodziewanie wstrząsnęła jego życiem dwa i pół roku wcześniej. Dom wydawał się opuszczony i pogrążony w mroku, Pamela zaczęła już godzić się z myślą, że nikogo w nim nie zastanie. Gdy nacisnęła dzwonek, usłyszała jednak kroki, drzwi się otwały, a wtedy ujrzała przed sobą wysokiego, ciemnowłosego, bardzo przystojnego mężczyznę.

– Tak? – zapytał. Jego głos nie brzmiał nieprzyjaźnie. Mówił z wyraźnym francuskim akcentem.

Pamela wyciągnęła legitymację.

– Inspektor śledcza Pamela Graybourne, Policja North Yorkshire. Czy pan Jean-Michel du Lavandou?

– Tak, to ja. Chodzi o moją żonę?

Pamela wiedziała, że u osób, w których otoczeniu doszło do niewyjaśnionej zbrodni, pojawienie się policji zawsze zwiastuje nadzieję. W tym przypadku właściwie błędziła po omacku i prawdopodobnie nie zdoła niczego ustalić ani w sprawie Mili

Henderson, ani w sprawie Isabelle du Lavandou. Z tego powodu bardzo współczuła temu człowiekowi. Mimo to musiała wykorzystać choćby znikomą szansę.

– Chodzi o młodą kobietę, której szukamy, a która mogła być uczennicą pańskiej żony.

Jean-Michel wydawał się nieco przybity.

– Zatem nie posunęła się pani naprzód w śledztwie dotyczącym morderstwa mojej żony?

– Nie znam wyników dochodzenia prowadzonego przez moich kolegów z Leeds – oznajmiła Pamela. – Jestem z wydziału śledczego w Scarborough.

– Nie wiem, czy będę mógł pani pomóc – odparł Jean-Michel.

– Czy mogłabym wejść? Wiem, że drugi dzień świąt to raczej niestosowny moment, ale...

Lavandou zrobił krok do tyłu.

– Nie szkodzi. Przepraszam. Proszę wejść. To nie jest dla mnie jakiś szczególny dzień. – I dodał: – Już nie.

Salon był równie skąpo przystrojony jak ogród i okna. Przytulny pokój, skromnie urządzony, z dwiema kanapami i stolikiem herbacianym oraz regałami na książki. Państwo Lavandou musieli być bardzo odcytani. Książki wydawały się istotną częścią ich życia.

– Proszę usiąść – powiedział Jean-Michel. – Mogę zaproponować pani kawę?

– Bardzo chętnie.

Gdy zniknął w kuchni, Pamela dokładniej się rozejrzała i dostrzegła na półce oprawione zdjęcie kobiety. Prawdopodobnie Isabelle du Lavandou. Wstała i podeszła bliżej. Isabelle wyglądała na osobę inteligentną, przenikliwą, chłodną. Kobietę, która mówi, co myśli, nie owijając w bawełnę. Czy narobiła sobie tym wrogów? A może stała się przypadkową ofiarą jakiegoś obłąkanego typu, który grasował po Dales, napadając na samotnych wędrowców?

– To Isabelle – rozległ się głos za jej plecami. Jean-Michel stał w drzwiach, trzymając niewielką tacę z filiżankami z kawą. – Zdjęcie zostało wykonane kilka tygodni przed jej śmiercią.

– Czy była lubiana przez uczniów? – zapytała Pamela.

– Pani koledzy pytali mnie o to samo. Cóż mogę powiedzieć? Raczej nie była najpopularniejszą nauczycielką w szkole, na pewno nie. Isabelle potrafiła być bardzo bezpośrednia, każdemu mówiła wprost, co o nim sądzi, nawet jeśli nie było to nic przyjemnego. Z pewnością uczniowie obawiali się jej ostrych uwag. Podobnie jak niektórzy jej koledzy. Ale to, co jej zrobiono... to przekracza wszelką miarę. Tego się

nie robi tylko dlatego, że ktoś wyraził swoje zdanie w nazbyt szorstkich słowach. Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Co podejrzewali śledczy?

– Przeszukali okolicę, ale właściwie chyba uwierzyli, że było to przypadkowe spotkanie. Jakiś psychopata, który prawdopodobnie dokonał już kilku napadów. Znalazła się w złym miejscu w złym czasie... Często jej powtarzałem, że to zbyt niebezpieczne włóczyć się samotnie po pustkowiu, ale... – Wzruszył ramionami. – Isabelle nie była kobietą, która dałaby sobie cokolwiek wyperswadować.

– Czy w okolicy zdarzały się napady o podobnym charakterze?

– Nie. Ale inspektor uznał, że mimo wszystko może tu chodzić o recydywistę. Mógł działać w innych częściach kraju.

– Pańską żonę torturowano. Ale jej nie zgwałcono.

– Owszem. A jednak mogło to być przestępstwo seksualne. Tak przynajmniej stwierdził inspektor.

Pamela domyśliła się, jakie założenia przyjęli jej koledzy: jakiś wariat napadał na kobiety napotkane w odosobnionych miejscach. Nie zawsze działał według tego samego schematu, co tym bardziej utrudniało jego schwytanie. Sprawa Isabelle du Lavandou nie została zamknięta, ale dochodzenie na razie wstrzymano. Liczono na pojawienie się nowego istotnego tropu. W przeciwnym razie zbrodnia zapewne nigdy nie zostałaby wyjaśniona – jak wiele tego typu przypadków.

– Czy pańska żona wspominała kiedykolwiek nazwisko Mili Henderson? – zapytała.

Jean-Michel postawił filiżanki na stole, ale widać było, że jednocześnie intensywnie nad czymś rozmyśla.

– Nie, nie sędzę. Przynajmniej ja go nie pamiętam.

– Mogę zapytać, czym się pan zajmuje?

– Jestem profesorem na Uniwersytecie w Yorku. Wykładam francuski i historię.

– Rozumiem. Zatem nie miał pan z żoną wspólnych znajomych.

– Nie. I moja żona niewiele o swoich opowiadała. Ze względu na mnie. Nieszczególnie interesowały mnie szkolne historie. – Spojrzał na nią uważnie. – Czy ta Milla Henderson ma coś wspólnego z morderstwem mojej żony? Uczennica?

– Prawdopodobnie nie – odpowiedziała Pamela.

– Na górze w pokoju żony – rzekł Jean-Michel – są roczniki. Wszystkich klas, w których uczyła. Może je pani przejrzeć, jeśli pani chce.

– Bardzo chętnie – odparła z wdzięcznością Pamela.

Jean-Michel zniósł na dół stos roczników, Pamela spędziła następną godzinę, skrupulatnie je przeglądając. Mnóstwo twarzy, fiszek, list ulubionych przedmiotów, lubianych nauczycieli, planów na przyszłość, przyjaźni, szkolnych doświadczeń...



W pewnym momencie aż zakręciło jej się w głowie. Jean-Michel zaszył się gdzieś, pozostawiając jej duży dzbanek kawy oraz talerz pełen świątecznych ciasteczek. Pamela stwierdziła, że Isabelle rzeczywiście nie należała do grona najbardziej lubianych nauczycieli. Tylko dwa razy została wymieniona jako ulubiona nauczycielka, i to przez dwie dziewczyny, które sądząc po nazwisku, chyba również były Francuzkami. To zapewne stworzyło między nimi bliską więź.

Po trzech kwadransach Pamela znalazła to, czego szukała: zdjęcie Mili Henderson.

To bez wątpienia była ta Mila. Wyglądała znacznie młodziej niż na aktualnym zdjęciu, ale to była ona, bezsprzecznie. Nieśmiała, dość niepozorna, sympatyczna dziewczyna. Delikatna twarz. Absolutnie nie była typem morderczyni, ale Pamela wiedziała, że to może być mylne wrażenie. Właśnie ci delikatni, skryci, bezwolni – akurat oni czasem zupełnie bzikowali. Chociaż w przypadku Mili trudno było to sobie wyobrazić. Może i brakowało jej wiary w siebie, mimo to zdawała się niezłomna i ufna we własne siły. Nie wyglądała na osobę z poważnymi zaburzeniami psychicznymi.

Isabelle du Lavandou była wychowawczynią klasy Mili.

Mila nie wymieniła jej w gronie swoich ulubionych nauczycieli. W kategorii „ulubiona muzyka” podała nazwę grupy popowej, o której Pamela nigdy nie słyszała, nic jej też nie mówił tytuł ulubionej książki. Chciała zostać pielęgniarką i zamieszkać w Londynie. Zawód opiekunki geriatrycznej nie był co prawda spełnieniem jej marzeń, należał jednak do tej samej kategorii. Scarborough zamiast Londynu? Cóż, życie rządzi się własnymi prawami.

Niewiele tego wszystkiego.

Wiedzieli tylko tyle, że wychowawczynię czternastoletniej Mili Henderson, uczennicy Grammar School w Leeds, kilka lat później zamordowano w bezludnych okolicach Yorkshire Dales. Mila wciąż uciekała, a w miejscu jej pobytu znajdowano potem martwego człowieka. W sumie już dwie osoby. Kobiecie mógł się przydarzyć nieszczęśliwy wypadek, natomiast mężczyzna z całą pewnością był ofiarą morderstwa.

Czy można z tego wyciągnąć jakieś wnioski?

Pamela westchnęła. Niezbyt to wszystko satysfakcjonujące. Trochę dużo zgonów wokół Mili Henderson. Ale brak jakiegokolwiek dostrzegalnego związku.

Mila wymieniła Sue Haggan jako swoją najlepszą przyjaciółkę. Pamela znalazła ją nieco niżej na tej samej stronie. Okrągła, ładna twarz, blond włosy. Raczej prosta dziewczyna. Sympatyczna. Z pewnością żadna tam intelektualna prymuska.

To jedyne nazwisko z kręgu znajomych Mili Henderson, jakie w tej chwili miała. Bardzo prawdopodobne, że istniały znacznie świeższe przyjaźnie – z czasów szkolnych Mili w Liverpoolu oraz z lat jej edukacji zawodowej. Jak dotąd w ogóle ich nie zgłębiła, musiała więc zająć się tym, co miała.

Sue Haggan.

Mila bez wątpienia uciekała i potrzebowała schronienia. U rodziny, przyjaciół. Pominąwszy starego dziadka w Sheffield, wydawało się, że na terenie Anglii nie miała innych krewnych, osiadła w Kalifornii matka mieszkała zdecydowanie za daleko. Mila była poszukiwana przez policję, nie mogła więc ot tak wsiąść do samolotu i opuścić granice kraju. Musiała sobie jakoś radzić na Wyspach.

– Krąg przyjaciół – powiedziała na głos Pamela. – Sue Haggan.

Zadzwoń do inspektora Burdena i poprosi go, żeby do poszukiwań Sue Haggan skierował swoją genialną współpracownicę. Możliwe, że Sue wyszła za mąż i nosi teraz inne nazwisko. Ale chyba da się ustalić, gdzie mieszka.

Drobna nitka w grubym, splątanym kłębkku, pomyślała Pamela.

Podniosła się i wyszła z salonu, z rocznikiem pod pachą. Lavandou usłyszał ją i wyłonił się z kuchni.

– Znalazła coś pani? – zapytał.

Przytaknęła.

– Tak. Prawdopodobnie. Mogę zabrać z sobą ten rocznik? Na pewno później go zwrócę.

Machnął ręką.

– Oczywiście, proszę go zatrzymać. – Zawahał się, a potem dodał: – Pani inspektor, czy istnieje szansa, że sprawa morderstwa mojej żony zostanie rozwikłana? Że sprawca zostanie pociągnięty do odpowiedzialności?

Spojrzała na niego. Smutek Lavandou był niemal namacalny, czuła, że jego życie odarte jest z wszelkiej radości.

– Dopilnuję tego – odparła. – Obiecuję.

## 4

Anna nie potrafiła jednoznacznie opisać miejsca, w którym porzucili ciało martwego Logana, niemniej wczesnym wieczorem wysłana przez Kate ekipa poszukiwawcza mimo ciemności znalazła jego zwłoki. Uwagę funkcjonariuszy przykuł niewielki parking na skraju szlaku, znajdujący się w obrębie nakreślonego przez Annę obszaru, a zwłaszcza pozostawione tam ślady opon. Oświetlili teren potężnymi lampami i w końcu jeden z nich zawołał:

– Tam w dole chyba coś leży!

Kate, która przebywała z Anną w swoim biurze, dowiedziała się o tym przez telefon.

– W porządku – powiedziała, odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Anny: – Znaleźli go. Teraz zostanie przeprowadzone szczegółowe śledztwo. Nie muszę chyba dodawać, że będzie ono znacznie trudniejsze z powodu wywiezienia zwłok oraz dokładnego uprzątnięcia miejsca zbrodni w pani domu.

Anna przytaknęła. Wyglądała jak siedem nieszczęść, siedziała na krześle naprzeciw biurka Kate zupełnie wycofana. Nie chciała zdjąć płaszcza i wtuliła się w wełnianą tkaninę, jakby tylko to trzymało ją przy życiu. Sprawiała wrażenie kompletnie wykończonej.

Opowiedziała o wszystkim. O późnym wieczorze, kiedy ujrzała, jak obcy mężczyzna wpycha się do samochodu jadącej przed nią kobiety. O tym, jak później się dowiedziała, że ową kobietą była Diane, a mężczyzną Logan, jej przyjaciel z lat młodości. O morderstwie Diane. Swoim potwornym wstydem, że zwyczajnie pojechała dalej, chociaż owładnęły ją złe przeczucia. Jak zastała Logana w swoim domu. Zrozpaczonego, zdesperowanego Logana, który który przysięgał, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Diane. O tym, że zaoferowała mu schronienie. I że znalazła go martwego w przedpokoju, kiedy dzień przed Bożym Narodzeniem pojechała do Harwood Dale, zaniepokojona faktem, że nie mogła się z nim skontaktować telefonicznie.

– Leżał tam. Martwy. Zasztyletowany. To było takie szokujące. A ja byłam przerażona. Natychmiast zadzwoniłam do Sama, był akurat w mieście i kupował choinkę. Przyjechał. To dlatego choinka leży za domem...

– A pani przyjacielowi Samuelowi Harrisowi także nie przyszło na myśl, że najlepiej byłoby natychmiast wezwać policję? – zapytała Kate.

– Ależ tak, oczywiście – przytaknęła Anna. – Ale go powstrzymałam.

– Dlaczego, Anno? Dlaczego?

Anna spuściła wzrok.

– Bałam się. Że zostanę uznana za podejrzaną.

– O zamordowanie tego dwumetrowego olbrzyma? Proszę!

Anna milczała.

– Nie rozumiem tego wszystkiego – powiedziała Kate. – Całe pani zachowanie jest dla mnie zagadką. Oto w samochodzie zaparkowanym na poboczu wiejskiej drogi znaleziono zasztyletowaną kobietę. Poprzedniego wieczoru zauważyła pani coś nader interesującego, wydawało się pani, że widziała sprawcę, o którym wtedy jeszcze pani nie wiedziała, że to Logan Awbrey. I nie zgłasza się pani na policję? I nic pani nie mówi, gdy w pani otoczeniu, wśród uczestników pani zajęć z gotowania, prowadzone jest śledztwo, i także pani jest przesłuchiwana? Dlaczego?

– Było mi okropnie wstyd. Bo tamtego wieczoru po prostu pojechałam dalej.

– Rozumiem, nie zachowała się pani bohatersko. Ale to nie jest jeszcze żadne wykroczenie. Nikt by pani nie winił. Pani strach byłby zrozumiały.

– Mogłam zadzwonić do Sama i poprosić go, by tam ze mną pojechał.

– Tak, mogłaby pani. Mogła też pani zadzwonić bezpośrednio na policję i wyjaśnić, że zaobserwowała pani coś dziwnego. Ale czasem w decydującej chwili człowiek nie reaguje właściwie. Jest niepewny, nie chce się paniki, nie chce wyjść na histeryka. Boi się. To bardzo ludzkie. To nic niezwykłego. Nie ma w tym nic złego.

Anna nie odpowiedziała.

– Lecz od pewnego momentu musiała pani wiedzieć, że milczenia nic już nie usprawiedliwia. Ustalono nazwisko mężczyzny, z którym związana była Diane Bristow. Logan Awbrey. Zna go pani. To pani przyjaciel z lat młodości. I nadal nie mówi pani ani słowa?

Anna milczała. Co miałyby odpowiedzieć?

– Wpakowała się pani w poważne tarapaty. Zdaje sobie pani z tego sprawę, prawda?  
– zapytała Kate.

Anna przytaknęła.

– Dlatego w pewnym momencie nie mogłam już zawrócić – mruknęła, nie unosząc wzroku. – Jak miałabym wyjaśnić, dlaczego Logan przebywał w moim domu? Dlaczego pozwoliłam mu tam zostać? Był poszukiwany przez policję, jego nazwisko widniało w gazecie. A ja się nie przyznałam, że go znam.

– Wolała pani raczej wywieźć jego zwłoki w środku nocy na wrzosowiska i ukryć je w zaroślach. A przy okazji, czy Samuel Harris wiedział, że znała pani Logana?

– Nie, z początku nie. Nic mu nie mówiłam. Nie wyjawiałam mu też, że Logan przyszedł do mnie, a ja pozwoliłam, by się u mnie zatrzymał. Sam dowiedział się o tym wszystkim dopiero wtedy, gdy zadzwoniłam do niego w chwili, kiedy Logan już nie żył.

– Opowiedziała mu pani o swoich spostrzeżeniach tamtego pierwszego wieczoru?

– Tak. Już wtedy radził mi, żebym poszła na policję. Ale ja tego nie chciałam.

– Jestem zaskoczona, że Harris pomógł pani pozbyć się zwłok zamordowanego człowieka – przyznała Kate.

Anna wzruszyła ramionami.

– Powiedziałam mu, że się boję, że to na mnie padnie podejrzenie. Ponieważ tak wiele przemilczałam. Zalałam się łzami i chyba wpadłam w histerię. Po prostu mi pomógł. On mnie kocha. – Przez chwilę milczała, po czym dodała z niepokojem: – Czy będzie miał kłopoty?

– Tak – przyznała Kate.

Anna popadła w przygnębienie.

Kate była poirytowana. Ta kobieta wciąż tylko kłamała i usiłowała wszystko zatuszować, zataiła istotne informacje, ukrywała w swoim domu zbiegłego podejrzanego, pozwoliła, by kontynuowano poszukiwania człowieka, o którym od dawna wiedziała, że leży martwy w zaroślach na wrzosowiskach. Mężczyzna został zamordowany w jej własnym domu, co również ją naraziło na niebezpieczeństwo.

Kate starała się zachować w miarę przyjazną postawę. Zachęcała Annę, by się przed nią otworzyła, nie chciała dać jej odczuć, że gorzko pożałuje swojego postępowania. Trudno jej było jednak ukryć narastającą irytację. O wiele szybciej by się ze wszystkim uporali, gdyby Anna grała w otwarte karty. Co więcej, pojawiły się nowe okoliczności, o których mogliby się wcześniej dowiedzieć: oto domniemany sprawca sam stał się ofiarą. Mogło to, choć niekoniecznie, świadczyć o tym, że faktycznie nie on był mordercą, a cała historia nabierała zupełnie innego wymiaru. Logan i Diane, dwoje kochanków zamordowanych w ten sam sposób.

Zaczynamy wszystko od początku, pomyślała z rezygnacją Kate.

– Anno, mówiła pani, że Logan Awbrey był pani przyjacielem z lat młodszych. Od dawna przyjaźni się pani również z Daliną Jennings, swoją obecną szefową. Mogę założyć, że pani Jennings także znała Logana Awbreyę?

Anna przytaknęła strapiona. Denuncjowała właśnie swoją pracodawczynię.

– Tak – szepnęła. Odchrząknęła i powtórzyła: – Tak. Wszyscy znamy się od czasów młodości.

– Ale również pani Jennings nie uznała za konieczne poinformować nas o tym fakcie, gdy w końcu nazwisko Logana Awbreyę wypłynęło do publicznej wiadomości?

– Nie mogła podać żadnych konkretnych informacji – broniła Anna szefowej. – Mogła tylko powiedzieć, że go zna. Ale nie widziała go od wielu lat i nie miała pojęcia, że wrócił do Scarborough. Po prostu nie chciała, żeby wmieszano w to jej agencję. Jej zeznania nic a nic by pani nie dały.

– Ocenę proszę pozostawić mnie – odparła Kate. Zamyśliła się. – Pani także od lat nie widziała Awbreyę? – zapytała. – I nie miała z nim żadnego kontaktu?

Anna potrząsnęła głową.

– Wiedziałam z Facebooka, że mieszka w Bath. Ale się z nim nie kontaktowałam. Nie wiedziałam, że wrócił.

– Kiedy więc tamtej nocy wsiadł do samochodu Diane Bristow, nie rozpoznała go pani?

– Nie. Było ciemno, a on nosił kaptur naciągnięty na twarz. Zastanawiający był jego wzrost, ale i tak go nie skojarzyłam. Jak już mówiłam, nie wiedziałam, że przebywa w okolicy.

– Czy powiedział pani, dlaczego wrócił?

Anna wzruszyła ramionami.

– Bez szczególnego powodu. W Bath mu nie szło. Dlatego przyjechał.

– I nie skontaktował się ani z panią, ani z Daliną Jennings? Z dwiema dawnymi przyjaciółkami?

– Właściwie to nie byliśmy już przyjaciółmi. Nic o sobie nie wiedzieliśmy. Nie kontaktowaliśmy się nawet w święta. Ani w dniu urodzin.

– Dlaczego?

– Jak to: dlaczego?

– Cóż, to trochę dziwne. Byliście przyjaciółmi. Od lat. Potem jedno wyjeżdża do Bath i kontakt całkowicie się urywa? W dzisiejszych czasach nie ma nic łatwiejszego niż podtrzymywanie kontaktów. E-mail, WhatsApp, cokolwiek. Skąd to całkowite zerwanie?

– Tak się po prostu stało – wyznała Anna.

Kate miała nieodparte wrażenie, że ta kobieta nie mówi prawdy. Coś się wydarzyło. Ale nie chciała o tym rozmawiać.

– Powiedziała pani, że Logan poznał Diane Bristow, czekając przed siedzibą agencji na Dalinę. A więc jednak zamierzał nawiązać kontakt?

– Tak. Prawdopodobnie.

Kate wsparła się ramionami o blat i pochyliła do przodu. Spojrzała na Annę poważnym wzrokiem.

– Anno, coś tu nie gra. Logan Awbrey wraca po latach. Nie zgłasza się jednak bezpośrednio do swoich dawnych przyjaciółek, zamiast tego kręci się w miejscu, gdzie obie pracują. Chce się z nimi spotkać, ale jest niezdecydowany. Targają nim ambiwalentne uczucia. Nie za bardzo ma odwagę. Coś się musiało wydarzyć. Między waszą trójką.

– Po prostu dawno się nie widzieliśmy – mruknęła Anna.

– To wyjaśnienie mnie nie przekonuje.

Anna milczała. Kate odniosła wrażenie, że tego dnia niewiele zdoła już wskórać. Zadzwoi teraz do Pameli i przedstawi jej aktualne informacje. Nazajutrz odbędzie się dalszy ciąg przesłuchania.

– Dobrze, w takim razie jutro do tego wrócimy – oznajmiła. – Dalina Jennings również będzie musiała złożyć zeznania. Zawiozę teraz panią do mieszkania pani przyjaciela. Pani dom jest zamknięty przez wydział kryminalistyczny.

– Dobrze – odpowiedziała Anna.

– Czy skontaktowała się pani tymczasem ze swoim przyjacielem? Kiedy wraca z Londynu?

– Wysłałam mu SMS-a, ale jeszcze nie odpisał. Wróci jutro albo pojutrze.

– Dobrze. Będzie musiał złożyć wyjaśnienia.

Anna ciężko oddychała. Kate domyślała się, jak się czuje: wciągnęła swojego chłopaka w poważne tarapaty, które on przewidział i przed którymi się wzbraniał. Sprawa z pewnością nie przysłuży się ich relacji. O ile ten związek w ogóle przetrwa.

Kate energicznie wstała. Była zmęczona i jednocześnie rozbudzona, wyczerpana i zarazem pełna zapału. Przygębiona i gotowa do działania.

Niełatwo będzie zasnąć tej nocy.

– Chodźmy – powiedziała.

## 5

Ujrzała przed domem zaparkowany samochód Caleba. Chociaż przez cały czas myślała z obawą, że on już nigdy się do niej nie odezwie, w tej chwili wcale nie była szczęśliwa z jego przyjazdu. Wiedziała, że wygląda na zmęczoną, była głodna, przeszywał ją chłód i nie czuła gotowości, by zmierzyć się z kolejnym problemem. Pamela poinformowała ją telefonicznie o najświeższych ustaleniach. Teraz koniecznie chciała coś zjeść, a potem położyć się spać.

Wjechała na podjazd, zatrzymała się i wysiadła. Caleb stał przed drzwiami wejściowymi.

– Nareszcie. Czekam całe wieki!

– Dlaczego nie zaczekałeś w samochodzie?

– Tam też zrobiło się za zimno. I zbyt nudno. Dlatego znów bez celu czekałem przed drzwiami. – Gdy podeszła bliżej, zauważyła, że on także wyglądał mizernie. I był przemarznięty. – Gdzie byłaś?

– Pracowałam.

– Dziś jest Boże Narodzenie!

– Wiem. – Minęła go i otworzyła drzwi. Messy wybiegła im naprzeciw i wskoczyła na ramiona Caleba. Ubóstwiała go, co zawsze budziło w Kate lekką zazdrość. Bądź co bądź kot należał do niej.

W domu było ciepło, z salonu emanował blask choinkowych lampek. Można się było poczuć błogo i przyjemnie – oto dwoje ludzi wraca do domu, by spędzić razem przyjemny wieczór. Jednak atmosfera była napięta. Nie był to miły wieczór, nie był to dobry moment.

Kate zatrzymała się w korytarzu.

– Czego chcesz? – zapytała.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Czego chcę?

– Tak. Dlaczego tu jesteś?

– Myślałem... – Nie dokończył zdania, zamiast tego zapytał bez ogródek: – Czemu tak po prostu zniknęłaś?

– Kiedy? – zapytała Kate, choć oczywiście wiedziała, o co mu chodzi.

– Wczoraj. Wczoraj nad ranem. Zniknęłaś.

Zdjęła płaszcz i buty.

– Czy muszę ci się tłumaczyć?

– Po wszystkim, co zaszło... chyba tak.

– Co niby zaszło?

Jej przekora go irytowała.

– I ty o to pytasz?

– Tak. O to właśnie pytam. Co zaszło? Miałaś kolejną przygodę na jedną noc. Z tego, co powszechnie wiadomo, wynika, że to twoje ulubione hobby. Tym razem to ja byłam obiektem. Przez przypadek. Akurat znalazłam się w pobliżu. To wszystko. Nic więcej nie będzie.

– Kate...

– To wszystko, co mam do powiedzenia – odparła.

Jej ochronny pancerz wrogości i opryskliwości uczynił go bezradnym.

– Czy zrobiłem coś złego? – zapytał.

– Nie. To sytuacja była zła. Caleb, poprzedniego wieczoru oboje za dużo wypiliśmy. To wszystko. Poprzestańmy na tym.

– Ja nie byłem pijany.

– Ale ja tak.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Mam sobie pójść? – zapytał Caleb.

Nagle odniosła wrażenie, że serce by jej pękło, gdyby teraz zniknął gdzieś w mroku nocy. Podobnie pękłoby jej serce, gdyby w tej chwili przyznała się do jakichkolwiek uczuć. Już raz to zrobiła, wówczas, z Davidem: szczerze się przed nim otworzyła, poddała się fali miłości – i jeszcze nigdy w życiu nie doznała tak gorzkiego rozczarowania. Caleb był chyba nawet bardziej niebezpieczny niż David. Nie dlatego, że był gorszym człowiekiem – nie był zdolny do trwałego związku. Każda potencjalna partnerka mogła go jedynie zawieść, a Kate nie chciała więcej cierpieć. Nie w sytuacji, gdy mogła temu jakoś zapobiec.

– Koniecznie muszę coś zjeść – oznajmiła – od śniadania nie miałam nic w ustach. A skoro w swoim mieszkaniu nie możesz gotować, a nawet usiąść porządnie przy stole, możesz zjeść u mnie.



– Cóż, lepsze to niż zamawianie pizzy w pojedynkę – uznał Caleb nieco zrezygnowany. Wszedł do kuchni za Kate, która zaczęła myszkować po szafkach. Znana była z tego, że kiepsko gospodarowała zapasami, w końcu jednak znalazła paczkę spaghetti i puszkę pomidorów. Niezwłocznie nastawiła wodę.

– W porządku? – zapytała.

– Doskonale – odparł Caleb.

Jedli w niewielkiej jadalni obok kuchni. Kate postawiła na stole świecę i otworzyła butelkę czerwonego wina. Atmosfera się rozluźniła.

Wreszcie przed nią usiadł. Od lat był jej przyjacielem. Wszystko powróciło do normy. Zachowali się lekkomyślnie, ale teraz znów nawiązali dobrze im znane relacje.

Podczas posiłku Kate opowiedziała mu o ostatnich wydarzeniach. Słuchał uważnie i choć wyniki śledztwa wcale jej nie zadowalały, ucieszyła się, że znaleźli neutralny temat rozmowy.

– To wiele zmienia, prawda? – zapytał Caleb. – Domniemany sprawca sam został ofiarą. Zabity w ten sam sposób co jego rzekoma ofiara. Logan i Diane.

– Para, która znała się ledwie od jakichś sześciu tygodni, jeśli moje informacje są prawdziwe – wyjaśniła Kate. – Nie mogli mieć za sobą długiej i dramatycznej historii.

– Czyżby ją komuś odbił?

– Kto potem pstryknął palcami i najpierw ją, a potem jego dosłownie zaszlachtował? W życiu Diane nie było nikogo. Wszyscy to przyznają. Żyła samotnie i w odosobnieniu, pracując w hotelu Crown Spa. Pracy tej nie lubiła, ale wykonywała ją rzetelnie. Trudno sobie wyobrazić mniej spektakularne życie.

– Albo takie, w którym wszystko odbywa się w ukryciu. Nikt przecież nie wiedział, że w jej życiu pojawił się Logan Awbrey.

– Ukrywanie przez sześć tygodni, że ma kogoś, z kim od czasu do czasu się spotyka, to jedno. Ale fakt, że ginie, bo od kogoś odeszła, to już coś więcej. To poważniejsza sprawa. Czy można ją tak skutecznie ukrywać?

Caleb wzruszył ramionami.

– To możliwe, oczywiście, mimo wszystko. Ale trudno to sobie wyobrazić. Brała też udział w imprezach dla singli. Czy robiłaby to, gdyby rzeczywiście kogoś miała?

– Może kogoś miała, ale rozpaczliwie chciała się od niego uwolnić. On jednak tego nie akceptował.

– Musisz przeświecić życie Diane – stwierdził Caleb. – Gdzieś tam kryje się jakaś wskazówka. Musi się kryć.

– Albo życie Logana Awbreya – odparła Kate. – Człowieka, którego odciski palców znajdowały się na miejscu zbrodni na Alvinie Malorym. Mam wrażenie, że to Logan

jest tu postacią kluczową. A przynajmniej kimś, dzięki komu mogłabym zrobić krok naprzód.

– Zeznania tej Anny Carter niczego nie wnoszą?

– Niestety nie, bo ona ukrywa prawdę. Albo istotne jej fragmenty. Caleb, czuję, że coś jest nie tak. Ci dziwni znajomi, którzy nagle przestają się przyjaźnić, choć nikt nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Czemu Logan Awbrey wrócił do Scarborough? Dlaczego od razu nie nawiązał kontaktu z dwiema przyjaciółkami z młodości? Kręcił się obok tej agencji, poznał inną kobietę, wkrótce potem ona ginie, on także. Obie dziewczyny ukrywają coś ważnego... Jaki to wszystko ma z sobą związek?

– Istne kłębowisko – odparł Caleb. – Często tego doświadczałem. To uczucie, że stoisz przed nieprzeniknionym gąszczem.

– Tak, a jednak gdzieś pośrodku kryje się klarowna historia – zauważyła Kate. – Być może bardzo prosta historia. Pierwszy wątek... Gdyby wreszcie udało mi się go odkryć!

Uprzątnęli stół, każde zaparzyło sobie kolejne espresso i zaniósło je do salonu z choinką. Kate patrzyła przez gałązki drzewka, jakby w ogóle ich nie dostrzegała.

– Kto zaatakował i prawie zabił Alvina Malory’ego? I dlaczego? Jaką rolę odegrał w tym Logan Awbrey?

– Możliwe, że żadnej.

– Był tam. Bez wątpienia. Choć nikt z rodziny go nie zna.

– Rodzice go nie znają – odparł Caleb. – Alvin mógł go znać. Ale nie możemy go o to zapytać.

– Wszystko zostało prześwietlone. Wszystkie kontakty. Całe życie rodziny Malorych.

– Znasz te niekończące się listy nazwisk. Protokoły przesłuchań. Otoczenie rodziny zostało skrupulatnie sprawdzone, naprawdę dogłębnie. Rodzice ochoczo współpracowali. Wymienili każdą osobę, która przyszła im do głowy. Z życia zawodowego i prywatnego. Przesłuchaliśmy wszystkich. Szkołę Alvina wywróciliśmy niemal do góry nogami. Myślę, że nikogo nie pominęliśmy.

– Teraz, gdy wiemy o związku Anny Carter i Daliny Jennings z Loganem, musimy ponownie sprawdzić, czy znali Alvina ze szkoły.

– Nie mogli chodzić do tej samej klasy – oznajmił Caleb. – Są od niego o kilka lat starsi.

– Doszedłeś wtedy do wniosku, że to był czysty przypadek? – zapytała Kate.

Caleb przytaknął.

– Tak. Bo nie było innego wyjaśnienia. Alvin Malory stał się ofiarą mobbingu, ale nie był znienawidzony ani prześladowany w sposób, który by choć trochę przypominał ów ostateczny akt przemocy. Przez nadmierną otyłość ścierał na siebie drwiny

i pogardę. Niestety. Nie natrafiliśmy jednak na nikogo, kto pałałby do niego szczerą nienawiścią. Zdecydowana większość ludzi wokół niego darzyła go zupełną obojętnością. To samo w sobie jest straszne. Byli też tacy, którzy się z nim drażnili. Po prostu dlatego, że wszedł im w drogę. Ale nic ponadto.

– A potem ktoś się zjawia, włamuje się do jego domu albo dzwoni do drzwi i zostaje wpuszczony... I katuje niemal na śmierć otyłego chłopca, którego tam zastaje? Czy to logicznie?

– Nie – przyznał Caleb. – Ale nic bardziej logicznego nie udało nam się ustalić.

– Bardzo prosta historia. – Kate podjęła myśl, którą już wcześniej sformułowała. – Zapewne prosta, banalna historia. Nafaszerowana mnóstwem nieistotnego mętliku. Jak zawsze.

Wstała.

– Wydrukowałam listy z nazwiskami. Przyniosę je.

– Przecież są święta – powiedział Caleb, ale Kate już wyszła z pokoju. Gdy wróciła, miała z sobą gruby plik kartek.

– Nazwiska, adresy, numery telefonów osób, które w jakiś sposób były związane z rodziną Malorych.

– Tak. I wszyscy zostali przesłuchani. Kate, naprawdę przekopaliśmy się przez tę sprawę. Zaangażował się w to cały zespół. Ta historia leżała nam wszystkim na sercu. Harowaliśmy po godzinach. Chcieliśmy dorwać faceta, który to zrobił. Ale każda drobna wskazówka prowadziła w ślepy zaułek.

Kate spojrzała na listy.

– Już za pierwszym razem – wyznała – kiedy je przeglądałam, miałam wrażenie, że czegoś w nich brakuje. Po prostu nie mogę tego rozgryźć...

Caleb skinął głową.

– Tak. Mówiłaś to od początku. Ale niczego tu nie brakuje.

Kate sprawiała wrażenie, jakby w ogóle go nie słuchała. Nadal gapiła się na wydruki, jednakże wzrok skierowała ku wnętrzu. Caleb znał to jej spojrzenie, owo całkowite skupienie, odcięcie się od świata zewnętrznego, zanurzenie się w sobie i we własnej intuicji. Zdolności intuicyjne były jej największym atutem, jednak sposób ich odnalezienia, uchwycenia, wydobywania z podświadomości nie zawsze okazywał się łatwy. Kate często zdawała się bardziej od innych wyczerpana, Caleb myślał czasem, że ma to coś wspólnego z intensywnym życiem wewnętrznym, które musiała kontrolować i porządkować tak samo jak świat zewnętrzny. I wciąż na nowo podejmować próby podtrzymania z nim niełatwego kontaktu.

Uniosła wzrok, ponownie zauważyła jego obecność.

– Co powiedziałaś wcześniej? Że lepiej zjeść tu razem ze mną, niż zamówić pizzę tylko dla siebie?

– Tak – odparł Caleb, niezbyt zaskoczony. Znał nieprzeniknione tropy jej myśli, które ostatecznie zawsze okazywały się logicznym rozumowaniem.

– Otóż to – powiedziała Kate. – Tego mi właśnie brakowało. Wśród wszystkich kontaktów i spisów telefonów nie ma ani jednego dostawcy pizzy!

Caleb przytaknął.

– Ja też zwróciłem na to uwagę. Nietypowe w dzisiejszych czasach. Ale pani Malory wyjaśniła mi, że z tego typu potraw całkowicie zrezygnowali. Z powodu Alvina, żeby nie pogarszać sprawy. Pani Malory gotowała nader zdrowo, wyłącznie ze świeżych składników. Nawet jej mąż nie pozwoliłby na nic innego.

– Więc dlaczego Alvin nie schudł?

– Bo w drodze do szkoły albo na mieście wciąż zaopatrywał się w słodycze. Chował je w swoim pokoju, czasem pod materacem, czasem w szafie. Ojciec, mimo późniejszych wydarzeń, opowiadał o tym z wściekłością. Niekiedy pod nieobecność syna przeszukiwał jego pokój i je znajdował. Wyrzucał wszystko do kosza, lecz Alvin nie dawał rzecz jasna za wygraną. Chyba nie potrafił sobie z tym poradzić...

– Caleb... – wtrąciła Kate. – Alvin, kiedy nie był w szkole, zawsze zostawał w domu sam. Jego rodzice mieli aż nadto pracy w warsztacie. Obiad jadł w stołówce, pewnie niewiele, żeby go jeszcze bardziej nie wyśmiewano. W wakacje matka czasem mu coś gotowała, z pewnością coś dietetycznego. Kiedy pod okiem rodziców zdrowo się odżywiał, aż do wieczora miałby się zadowolić czekoladowymi batonikami i cukierkami? W życiu!

– Sprawdziliśmy billingi połączeń komórkowych całej rodziny. Także na telefon stacjonarny. Nic nie znaleźliśmy.

Kate podparła głowę dłońmi.

– Jestem pewna, że zamawiał pizzę. Burgery. Makaron. W dużych ilościach. Prawdopodobnie codziennie. Sto sześćdziesiąt osiem kilogramów nie bierze się z paru słodczy schowanych pod materacem.

– Nawet jeśli przyjmiemy takie założenie – odparł Caleb – dostawca, albo kilku dostawców, niekoniecznie musiał mieć coś wspólnego z atakiem na niego.

– Oczywiście, że nie. Byłby to jednak ślad, który do tej pory pozostaje niezbadany. Mógł to być regularny dostawca, o którym nikt nie wiedział. Ktoś, kogo Alvin widywał niemal codziennie, a przynajmniej kilka razy w tygodniu. Kto wiedział, że w domu chłopak zostawał przeważnie sam.

– Hm – mruknął Caleb.

– A gdyby miał drugi telefon komórkowy? – zapytała Kate.

– Alvin?

– Tak. Jakiś rodzaj prepaidu. Nikt by się nie dowiedział, co robi.

– Odkrylibyśmy to. Dom został wywrócony do góry nogami. Skoro Alvin nie mógł przewidzieć, że zapadnie w śpiączkę, z pewnością nie ukryłby go aż tak dobrze – o ile w ogóle go posiadał.

– On na pewno nie – zgodziła się Kate. – Ale może jego matka?

– Jego matka?

– Może była wtajemniczona. Ktoś musiał wyrzucać pudła i styropianowe pojemniki, i to poza teren domu i ogrodu. Alvin zapewne potrzebował też sporo pieniędzy na swoje w sumie dość kosztowne hobby. Znacznie więcej niż kieszonkowe ucznia z niezamożnej rodziny. Bez czyjejś pomocy to nie mogło się udać.

– Dlaczego matka miałaby przyczyniać się aktywnie do jego nieszczęścia?

– Bo nie było innego sposobu. Był uzależniony od jedzenia. Uzależniony. Może wręczanie mu pieniędzy nie było właściwe, ale pozostawienie go na pastwę losu mogło się okazać znacznie gorsze w skutkach. Matki dają swoim dzieciom pieniądze na twarde narkotyki albo alkohol, bo nie widzą innego rozwiązania.

– Ale dlaczego zataiła to przed policją? Przecież niczego bardziej nie pragnie, niż znalezienia winnego.

– Pewnie ukrywa to głównie przed mężem. On nigdy nie zostawiał na Alvinie suchej nitki, zawsze tylko zrzędził, krytykował, beształ. Pani Malory być może nie chciała, aby jej mąż znał całą prawdę o zaburzeniach Alvina. Że był chorobliwym obzarcuchem. Nie chce, by ojciec Alvina miał jeszcze gorszą opinię o swoim synu. Milczy na temat dostawcy i ukrywa telefon komórkowy.

– Niezupełnie nieprawdopodobna ta twoja teoria – musiał przyznać Caleb.

– Wmawia sobie, że prawdopodobieństwo znalezienia sprawcy jest niewielkie, i w związku z tym nie zataiła niczego, co byłoby naprawdę istotne. Jej zdaniem lepsze to niż ujawnienie tajemnicy Alvina człowiekowi, który przez całe życie prześladował go swoją pogardą i uszczypliwymi uwagami: jego ojcu.

– Słuszny wywód, Kate – odparł Caleb. – Przypuszczam, że jutro odwiedzisz panią Malory?

– Tak.

Odłożył filiżankę espresso na stolik i wstał.

– Wracam do domu. Dziękuję za posiłek, Kate. Dziękuję za wieczór.

Ona również podniosła się z miejsca i odprowadziła go do drzwi. Tam odwrócił się do niej.

– Nie byłaś przygodą na jedną noc, Kate. Nie dla mnie.

– Dobranoc, Caleb – odparła.

Patrzyła za nim, jak idzie przez ciemną, mglistą noc do swojego samochodu. Światła rozbłysły, gdy otworzył drzwi pilotem. Nagle zapragnęła, żeby znów się do niej odwrócił, on jednak nie spojrział ponownie w jej stronę.

Zamykając drzwi, uświadomiła sobie, że wciąż nie zadzwoniła do Burta Gilligana.

## 6

Późnym wieczorem Sam w końcu oddzwonił. Anna zostawiła w jego poczcie głosowej około ośmiu pilnych wiadomości. Mówił znużonym głosem.

– Co jest? Dzwoniłaś i dzwoniłaś.

Była tak zdenerwowana, że wybuchła płaczem.

– Gdzie się podziewałeś? Dlaczego nie odbierałeś telefonu?

– Byłem u ojca, Anno, wyłączyłem komórkę. Choć raz chciałem być niedostępny i przez kilka godzin skupić się wyłącznie na ojcu, który notabene jest w dość kiepskim stanie. Co się dzieje?

– Oni wiedzą, Sam. Policja. Że Logan nie żyje i że ukryliśmy zwłoki.

– Słucham?

Anna gwałtownie szlochała.

– Była u mnie Kate. Ta nowa z mojej grupy. Zajęła miejsce Diane. Ona jest policjantką, Sam. Nie wiedziałam o tym.

– Cholera – odparł Sam. – Wsadzili kreta czy co?

– Była u mnie w domu. Zobaczyła, że okno jest rozbite, a choinka leży za domem. I zapomniałam zamknąć drzwi wejściowe. Ona też to zauważyła.

– Czemu tak węszy?

– Bo jest z policji.

– Mimo wszystko... Dlaczego? No cóż, nieważne. I wszystko jej powiedziałaś? – Głos Sama zabrzmiał tak, jakby rozboliła go głowa, czego Anna nie mogła wziąć mu za złe.

– Niespodziewanie stanęła za mną. Gdy próbowałam przenieść zakrwawiony dywan do samochodu.

Usłyszała jego ciche westchnienie.

– Dlaczego nie zaczekałaś z tym do mojego powrotu?

– Bo się bałam. Nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo byliśmy lekkomyślni. Zostawiając w domu dywan, nasze zakrwawione ubrania... A do tego jeszcze otwarte drzwi. Każdy mógł wejść i je znaleźć.

– Okej. I co jej powiedziałaś?

– Wszystko. Jak to się odbyło.

– Mój Boże, Anno, no to mamy teraz poważne kłopoty – powiedział zszokowany Sam. – Popełniliśmy przestępstwo.

– Przykro mi, Sam. Naprawdę. Ale nie zrobiliśmy nic strasznego, prawda? To nie my zabiliśmy Logana. Po prostu źle zareagowaliśmy, kiedy go znaleźliśmy.

– I właśnie to wyda się policji bardzo dziwne. Skoro jesteśmy zupełnie niewinni, to dlaczego po prostu ich nie wezwaliśmy? Na litość boską, Anno, postawiłaś nas w fatalnym położeniu.

W jego głosie pobrzmiwała wściekłość. Był chyba zły głównie na siebie. Bo dał się namówić na tę szaloną akcję w środku mglistej nocy na wrzosowiskach – wbrew własnemu instynktowi, wiedzy, przeczuciu, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Czy możesz wrócić wcześniej? – zapytała piskliwym głosem.

Mogła dosłownie poczuć, jak niewielką miał ochotę, by ją ponownie zobaczyć. Było to dla niej zupełnie nowe doznanie. Dotąd to ona zawsze się wycofywała: upierała się przy oddzielnych mieszkaniach, szukała dystansu, mówiła o swobodzie i osobistej przestrzeni. Teraz, po raz pierwszy odkąd go poznała, coś się zmieniło. Nie był już tym Samem, który mimo wszystkich jej dziwactw i nerwic nie przestawał jej kochać, wciąż dając jej do zrozumienia, że chce spędzić z nią życie. Był poirytowany, rozdrażniony. I nie sprawiał wrażenia, jakby to był jedynie przelotny nastrój. Anna nie potrafiła powiedzieć, skąd wzięło się u niej to dziwne przeczucie. Posunęła się za daleko. Przekroczyła w tej historii pewną granicę.

Sam nie wydawał się w pełni przekonany, czy nadal chce tego związku. Poczucie wyobcowania pojawiło się w chwili, gdy w przedpokoju jej domu zobaczył ciało martwego Logana. Narastało w nim, gdy w lodowatym chłódzie i wśród najgłębszych ciemności musiał zejść w dół zbocza, by ukryć w zaroślach zwłoki. Ostatecznie się pogłębiło, gdy Anna wzbraniała się opowiedzieć mu swoją historię, wyznać mu w końcu całą prawdę. A teraz postąpiła o krok dalej i wtajemniczyła policję. Sprawa zaczęła przybierać coraz większe rozmiary, coraz trudniej będzie nią pokierować. Sam zapewne rozważał, czy nadal chce wiązać się z kimś, kto nie potrafi zapanować nad własnym życiem i bezlitośnie ciągnie na dno innych.

Płakała coraz gwałtowniej, gdyż tego nigdy by się nie spodziewała: że może go stracić.

– Cóż, dziś na pewno nie wrócę – oznajmił Sam. – Jestem potwornie zmęczony. Idę do hotelu i kładę się spać. – Ponownie westchnął głęboko i żarliwie. – Właściwie to chciałem wrócić dopiero w sobotę.

– Policja wie, że jesteś w Londynie i wrócisz jutro lub pojutrze. Chcą, żebyś się do nich zgłosił.

– Tak. Świetnie. Przynajmniej mam trochę czasu na przemyślenie tego, jak im wytłumaczę, dlaczego wdałem się w to czyste szaleństwo.

– Sam, tak mi przykro.

– Mnie także jest przykro – odparł Sam i się rozłączył.

Anna siedziała bez ruchu w salonie, zalewając się łzami. W końcu wstała z trudem, poczłapała do łazienki i spojrzała na kobietę patrzącą na nią z lustrzanego odbicia. Kobietę o zaczerwienionych, napuchniętych oczach, pogrążoną w najgłębszym kryzysie swojego życia.

Nazajutrz odbędą się dalsze przesłuchania. Ta mała, niepozorna Kate Linville była nieustępliwa, Anna zdążyła już to zrozumieć. Nie dała się łatwo spławić. Nie uwierzyła we wszystkie wymienione przez Annę powody, dla których ukryła zwłoki Logana, zamiast wezwać na miejsce policję. Wyczuwała, że kryje się za tym coś znacznie większego – i nie odpuści, póki się tego nie dowie. Zapewne będą jej towarzyszyć koledzy funkcjonariusze. Porządnie ją przemaglują...

Nie przetrwam tego. Nie przetrwam. Nie przetrwam.

Powie o rzeczach, o których w żadnym razie nie wolno jej mówić. Bo nerwy nie pozwolą jej przetrzymać nawet półgodzinnej rozmowy z policją.

Najlepiej, gdyby następnego ranka się tam nie pojawiła.

Ale dokąd miałyby się udać? Jej dom został poniekąd skonfiskowany przez policję. Co więcej, panujące tam zimno i pustka całkowicie by ją zdruzgotały. Dom nie był już dla niej schronieniem. Stał się przerażającym miejscem.

Gdyby tylko mogła pójść do Sama. Jedynej ostoji w jej życiu. Może nie zdołałby jej uratować, ale dałby jej poczucie, że nie jest zupełnie wydana na pastwę losu. Że istnieje ktoś, kto trwa przy niej i podtrzyma ją w chwili upadku.

Chciał wrócić w sobotę. Biorąc pod uwagę okoliczności, mógłby przyjechać już jutro, choć i tak byłoby za późno. Może jej nawet tu nie zastanie, gdyż będzie przesłuchiwana w komisariacie. Od wielu godzin. Dawno już złamana. Sam także zostanie tam wezwany. Więcej niż wątpliwe, czy będą mieć przedtem okazję do prywatnej rozmowy.

Musi pojechać do Londynu. Musi się z nim zobaczyć i porozmawiać.

Nie miała pojęcia, w którym hotelu się zatrzymał, podejrzewała, że nie ma większego sensu dzwonić do niego w tej sprawie. W tej chwili nie był zainteresowany spotkaniem.

Nie знаła nawet dokładnego adresu domu starców, w którym przebywał jego ojciec – Boże, jakże często ją prosił, by mu towarzyszyła. Pamiętała jednak, jak kiedyś wspomniał, że to samo centrum Londynu, niedaleko Shepherd's Bush Green. Czy to wystarczy? Ile domów starców i placówek opieki mieści się w tej okolicy?



To się okaże. Najważniejsze, by stąd zniknąć. Potrzebowała dystansu. Spokoju. Musiała pomyśleć. Nie mogła tu zostać, w mieszkaniu, w którym czuło się bolesną pustkę. Nie przeżyłaby nadchodzącej nocy. Wyjedzie do Londynu, a potem... zobaczymy.

Wewnętrzny głos podszeptował, że to nie jest dobry pomysł, a jej sytuacja się nie poprawi, jeśli jutro Kate Linville zjawi się u niej i nikogo nie zastanie. Mimo to włożyła płaszcz, wzięła torebkę, wybrała numer firmy taksówkarskiej i poprosiła o niezwłoczne przysłanie samochodu. Wyszła z mieszkania, zbiegła po schodach i znalazła się na spowitej mrokiem ulicy. Przez chwilę obawiała się, że może się natknąć na czatującego tam policjanta, ale ulica była pusta i cicha. Anna nikogo nie zauważyła. Dygotała z powodu zimna i wilgoci.

Co zrobiła ze swoim życiem? Jak mogło do tego dojść? Oto stała późnym wieczorem na ulicy, czekając na taksówkę, która miała ją zawieźć pod jej dom zabezpieczony przez policję, aby zabrała swój samochód, ponieważ chciała pojechać do Londynu i szukać pomocy u człowieka, który przez nią popadł w najgorsze w życiu tarapaty.

Znów miała ochotę się rozpłakać, z trudem przełknęła łzy. Czekala ją długa podróż, a w ciemnościach miała kłopoty ze wzrokiem. Nie powinna dłużej płakać, wystarczy.

Przyjechała taryfa. Kierowca, milczący Hindus, nie skomentował słowem jej zachcianki, by wieczorem drugiego dnia świąt zawieźć ją na zupełne pustkowiu. Była mu wdzięczna. Nie zdzierżyłaby gadatliwego kierowcy zasypującego ją bez końca pytaniami. Nie wiedziałyby, co odpowiedzieć.

Kazała mu się zatrzymać na poboczu szosy, zamiast podjechać pod sam dom, nie wiedziała bowiem, czy terenu nie odgrodzono przypadkiem policyjną taśmą, co zaskoczyłyby taksówkarza. Zapłaciwszy, ruszyła błotnistą ścieżką. Mnóstwo śladów opon... Policja najwyraźniej przyjechała tu po południu kilkoma radiowozami. Dom był miejscem zbrodni, zamordowano w nim Logana Awbrea. Myśl ta nadal brzmiała dziwnie, szalenie. Kto zabił Logana?

I dlaczego?

Zagmatwana zagadka.

Jej mroczny dom wyglądał odpychająco, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Samochód stał zaparkowany w miejscu, w którym go zostawiła. Kiedy po odjeździe taksówki ruszyła w kierunku drzwi wejściowych, uzmysłowiła sobie, że równie dobrze mógł zostać odholowany przez policję. A wtedy nie zdołałaby się stąd wydostać. Na zamkach drzwi widniały plomby. Podobnie jak na drzwiach do domu.

Wyjęła z torebki kluczyki do samochodu, zerwała plombę i otworzyła drzwi. Najprawdopodobniej popełniła kolejne przestępstwo.

Ale to nie miało już właściwie żadnego znaczenia.

Moja matka ciągle mówiła o operacji żołądka. Znienawidziłem ją za to. Chodziło o założenie opaski żołądkowej. Obejrzała w telewizji reportaż na ten temat i uznała, że to klucz do rozwiązania wszystkich moich problemów. W pewnym uproszczeniu polega to na umieszczeniu opaski wokół górnej części żołądka i poniekąd jej wyłączeniu, a wtedy pozostała jego część przyjmuje rzecz jasna znacznie mniej pokarmu. Bardzo szybko osiąga się uczucie sytości, a tym samym mniej się zjada – i chudnie. Tyle teoria. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, czy sprawdzi się w praktyce. Operacja wiązała się ze sporym ryzykiem, także w późniejszym życiu mogły się pojawić nieoczekiwane powikłania. To ogromna ingerencja w funkcjonowanie organizmu. Przestrzegali przed tym niektórzy lekarze. Inni natomiast widzieli w tym ratunek i przekonywali, że życie w skrajnej otyłości niesie z sobą dużo większe ryzyko.

Ojciec jak zwykle trzymał się z dala od tej dyskusji. Tylko raz przyznał, że nie rozumie, dlaczego nie mogę schudnąć samą siłą woli – czemu potrzebne są do tego jakieś szalone ingerencje w mój organizm. Tym samym po raz kolejny dał do zrozumienia, jak kiepskie ma o mnie zdanie.

Matka natomiast przez cały czas forsowała pomysł operacji. I właśnie dlatego jej nienawidziłem: choć wskazywała mi pewne rozwiązanie, to jednocześnie stawiała mnie w trudnym położeniu, bo ostatecznie musiałbym podjąć jakąś decyzję. Czy nie mogła mnie zaakceptować takim, jaki byłem? Jej szukanie rozwiązań było zarazem krytyką wobec mnie, w tym względzie wcale nie była lepsza od ojca. Tyle że ojciec mówił bez ogródek, ona zaś ukrywała się za troskliwością i dbałością o mnie. Na dobrą sprawę zachowanie ojca wzbudzało we mnie mniej wściekłości niż podłość matki.

Gdzie się podziała jej wyrozumiałość? W czym upatrywała powodów mojego łakomstwa? Zależało jej wyłącznie na zwalczaniu objawów. O mnie w ogóle nie myślała. Dlaczego wciąż szukałem zaspokojenia w jedzeniu?

W naszej łazience była szafka, w której matka trzymała leki. Aspirynę i tym podobne, ale także dużo mocniejsze środki – z okresów, kiedy któreś z nas poważnie chorowało. Ponieważ nigdy niczego nie wyrzucała, mieliśmy całkiem sporą kolekcję. Na początek wybrałem kilka ciekawych opakowań. Kortyzon, który mój ojciec musiał brać przez dłuższy czas z powodu bolesnego zapalenia błony maziowej stawów barkowych. Różne antybiotyki z czasów, gdy matka zmagала się z uporczywym zapaleniem oskrzeli. Ogromne kapsułki, o których nie miałem pojęcia, do czego służą i w czym mają pomóc. Aerosol na katar. Coś na zapalenie błony śluzowej żołądka. I tak dalej. To niesamowite, ile się łyka przez te wszystkie lata.

Na szczęście nikt nie zauważył, że brakuje niektórych lekarstw. W szafce panował za duży bałagan.

Zacząłem czerpać frajdę z potajemnego dodawania ich do potraw przyrządzanych przez matkę, kiedy tylko ojca nie było w domu i jedliśmy sami. Proszkowałem tabletki albo wysypywałem małe granulki z dużych kapsułek. Albo dodawałem nieco płynnego sprayu do nosa. Zwykle udawało mi się dosypać coś do jej talerza, bo w trakcie posiłku co chwila wstawiała i wychodziła do kuchni. Moja matka ochoczo przyjmowała w naszej rodzinie rolę wykorzystywanej ofiary. Biegała, zanosila, przynosiła, ocierała czoło... I raz po raz głęboko wzdychała.

Nikt nie potrafił tak teatralnie wzdychać jak moja matka.

Żeby jakoś sobie poradzić z moją złością, przy każdej okazji serwowałem jej niezły koktajl leków. Z dziką satysfakcją obserwowałem, jak niczego nie podejrzewając, pałaszuje jedzenie z talerza. Z początku nie wykazywała żadnej reakcji, ale potem zaczęła się skarżyć na ogólnie złe samopoczucie.

– Nie wiem, co się ze mną ostatnio dzieje. Cały czas czuję zawroty głowy i jakby mdłości.

– Powinnaś pójść do lekarza – powiedziałem ze współczuciem.

– Nie mam na to czasu – odparła zgodnie z oczekiwaniami.

– Nie wyglądasz dobrze – powiedziałem. Zgodnie z prawdą. Jej czoło pokrywała warstwa potu, choć było dość chłodno.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – mruknęła.

Któregoś dnia poszła wreszcie do lekarza, który jednak nic nie stwierdził. Dostała tabletki witaminowe i suplementy, ale niewiele to pomogło. Często skarżyła się na bóle brzucha. Przez kilka tygodni białka jej oczu miały dziwny żółtawy odcień. Pewnie szwankowała jej wątroba. Przy takim zatruciu...

Obserwowanie cierpienia matki rekompensowało mi trochę moje własne nieszczęście, nie zmieniło to jednak mojej sytuacji. Nadal mnie wykluczano, nadal mną pogardzano, a w najlepszym razie litowano się nade mną. Nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Byłem Tłusciochem. Ludzie albo mnie ignorowali, albo ze mnie szydzili – słowem lub spojrzeniem.

Nic innego dla mnie nie mieli.

A ja tęskniłem za Milą. Potraktowała mnie okropnie i podle, ale jakimś sposobem była częścią mojej codzienności. Oddawałem się marzeniom, w których wyobrażałem sobie naszą wspólną przyszłość, i nie przestawałem wierzyć, że pewnego dnia się ziszczą. Po prostu dlatego, że byliśmy sobie przeznaczeni – i Mila wreszcie to kiedyś zrozumie. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogłaby zniknąć. Dosłownie rozpułnąć się w powietrzu.

Pewnego dnia zagadnąłem nawet jej przyjaciółkę Sue, bo pomyślałem, że musi wiedzieć, dokąd Mila i jej matka się przeniosły.

– Tego nie wiem – odparła jednak Sue. Przez chwilę faktycznie wyglądała na nieco zawiedzioną, nabrałem więc pewności, że mówiła szczerze. Mila nic jej nie powiedziała. Aby nie ryzykować, poświęciła nawet tę przyjaźń. Prawie odebrało mi dech: aż tak bardzo chciała mi przeszkodzić w odnalezieniu jej tropu.

Przez kilka sekund poczułem się tak, jakbyśmy z Sue byli niemal współnikami. Oto dwoje ludzi porzuconych przez tę samą kobietę. To było piękne doznanie – wspólnota, żal, dwie osoby, którym w tym samym czasie przydarzyło się dokładnie to samo. Jednakże Sue ledwie pół minuty później zniweczyła to uczucie. Nie wyglądała już na sfrustrowaną, ale na wściekłą.

– To przez ciebie uciekła! – wykrzyknęła z odrazą. – Nie mogła tego dłużej znieść. Twojego prześladowania, twojej natarczywości. Bała się ciebie!

– Bała się? – zapytałem szczerze zdumiony. Dlaczego bała się mężczyzny, który ją kochał?

– Często mi mówiła, że ją przerażasz. Że jesteś pomyłony. Że masz jakieś zaburzenie. Przy tobie czuła się strasznie nieswojo. Pewnego razu powiedziała... – Sue się zawahała.

– Tak? – zapytałem, choć byłem tak zszokowany, że prawie nie mogłem oddychać. O czym, do licha, mówi Sue? To nonsens, absolutny nonsens. Pewnie była zazdrosna. Bo Milę ktoś kochał. Natomiast Sue, o ile wiedziałem, nikt się nie interesował.

– Kiedyś powiedziała, że stanie się coś złego – odparła Sue. – Że coś jej zrobisz. Masz taki dziwny wyraz twarzy, stwierdziła. Jak ktoś, kto robi złe rzeczy, gdy czuje się odrzucony.

– To nieprawda – szepnąłem. Chciałem mówić na głos, ale moje gardło zmieniło się w cichy, ochrypły organ. – Nigdy by tak nie powiedziała.

– Ależ tak – odparła chłodno Sue. – I wiesz co: miała rację. Rozumiem, dlaczego wyjechała, i uważam, że to najlepsze, co mogła zrobić. Schronić się w bezpiecznym miejscu.

– Przestań – jęknąłem.

Uśmiechnęła się. Z naszych kilku wspólnych sekund porozumienia nic nie zostało, zresztą pewnie tylko ja to poczułem.

– Jesteś gruby i nieatrakcyjny, Tłusciochu. To jakiś żart, że w ogóle uwierzyłeś, że taka dziewczyna jak Mila mogła być tobą zainteresowana. Ale wiesz co: to nie twój wygląd jest najgorszy. Gdybyś tylko miał fajny charakter i był naprawdę miłym facetem. Ale Mila ma całkowitą rację: z tobą coś jest nie tak. Masz nie po kolei

w głowie, dopóki żyjesz, kobiety będą cię omijać szerokim łukiem. Bo to widać. Można to ujrzeć w twoich oczach.

Byłem oszołomiony jej słowami. Jak ona śmie mówić do mnie w ten sposób? Jak śmie tak bezczelnie się do mnie zwracać? Głęboko w moich trzewiach pojawiło się mrowienie, palące uczucie, które zawsze wywoływało nienawiść, gniew, morderczą furię. Nie wiem, co by się stało, gdybyśmy z Sue byli sami. Ale byliśmy w szkole, w rogu jednego z długich korytarzy, otoczeni ludźmi. Niestety nie mogłem jej przyłożyć w tę jej głupią gębę. Niestety nie mogłem zrobić z nią wielu rzeczy, na które miałem ochotę.

– Jeszcze się spotkamy – powiedziałem tylko. – Nie myśl sobie, że zapomnę tę dzisiejszą scenę. Pożałujesz tego.

Wykrzywiła bezczelnie twarz, po czym odeszła, zadzierając wysoko głowę. Poniosłem kolejną porażkę i nadal nie wiedziałem, gdzie zniknęła Mila.

Wiedziała to madame du Lavandou, może jeszcze ten czy inny nauczyciel, ale żadne z nich nie zechce mi tego wyjawić. Na madame du Lavandou byłem tak samo zły jak na Sue. Ona również potraktowała mnie obcesowo. Nie zapomnę jej tego. Miałem nadzieję, że los podsunie mi okazję, by jej za to odpłacić.

Dużo czasu spędziłem w Internecie, przeczesując miasta i szkoły, próbując dotrzeć do list z nazwiskami i wydarzeniami, szukając Mili albo jej matki. Wiedziałem, że miała w Sheffield dziadka, więc skupiłem całą uwagę na tym regionie, Sheffield było jednak duże i otoczone niezliczonymi przedmieściami. A one mogły przebywać wszędzie, na terenie całego kraju. Mogły nawet opuścić Wielką Brytanię – myśl ta przyprawiała mnie o mdłości, które jednak w sobie tłumiliłem. Los nie mógł być dla mnie aż tak okrutny. Mimo to na dobre utknąłem w poszukiwaniach. Nie sposób się było niczego dowiedzieć z ewidencji ludności, nawet z książek telefonicznych. Mila i jej matka zastrzegły wszelkie informacje. Jaki podały powód? Że śledzi je niebezpieczny psychopata?

Wiedziałem, że potrzebuję spokoju, cierpliwości i wytrwałości – i że pewnego dnia zdołam wytropić Milę. Nikt nie może się wiecznie ukrywać, każdy zostawia ślady, zwłaszcza w dobie Internetu. Czas zaś mogłem sensownie wykorzystać: mogłem schudnąć.

Dziwnie to teraz brzmi, jakby owo pragnienie wezbrało we mnie dopiero w związku z Milą i moimi poszukiwaniami. To oczywiście nieprawda. Tęsknota za szczupłym, pięknym ciałem, za mobilnością, za wszelkimi tego konsekwencjami wypełniała moje życie już od dzieciństwa. Z żadnego powodu nie cierpiałem tak bardzo jak z powodu mojej otyłości. Torturowałem się dietami, odwiedzałem lekarzy, spędzałem wakacje w specjalistycznych klinikach zamiast, jak inni, na plaży i w wodzie. A jednak tym

razem było inaczej. Z trudem potrafię to opisać. Kiedy myślałem o poszukiwaniu Mili, o tym, że ją odnajdę i stanę szczupły naprzeciw niej, poczułem, jak nagle przepełnia mnie siła, której nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Zawsze gdy snułem nowe plany odchudzania, doznawałem zarazem zniechęcenia, stresu, smutku, miałem wrażenie, jakbym stanął przed jakąś niebotyczną górą, na którą nigdy nie zdołam wejść. W głębi duszy uświadamiałem sobie, że znów zawiodę i że równie dobrze mogę sobie darować wszelkie kolejne próby. Tym razem było inaczej. Rozpierała mnie determinacja. Siła. Moje wyobrażenie, że stanę przed Milą szczupłą i mocarną, a wtedy ona spojrzy na mnie oszołomiona, zdumiona i radosna, uwolniło we mnie pokłady energii, zdecydowania i pewności siebie.

Dokonam tego.

Ależ tak. Nie potrzebuję żadnej operacji, żadnej opaski żołądkowej, żadnej kliniki, żadnych psychologów. Wiedziałem o tym. Jeszcze nigdy nie czułem w sobie takiej pewności.

Odmienię swoje życie.

# Piątek, 27 grudnia

## 1

Kate wiedziała, że nie jest to właściwa pora na niespodziewaną wizytę, a jednak tego dnia czekało ją tyle zajęć, że nie mogła sobie pozwolić na zmarnowanie połowy przedpołudnia, nim przejdzie do najważniejszego zadania. Podejrzewała, że Louise Malory już wstała. Opieka nad synem z pewnością zmuszała ją każdego ranka do wczesnej pobudki.

W drodze przez miasto Kate wykonała dwa telefony. Zadzwoiła do Anny, by jej oznajmić, że zjawi się u niej o dziesiątej. Trafiła jednak na pocztę głosową i zostawiła tam wiadomość. Anna być może jeszcze spała. Wczorajszy dzień z pewnością był dla niej wyjątkowo męczący.

Potem wybrała numer Burta Gilligana. Obawiała się tej rozmowy. Nie dość, że zachowała się okropnie, to jeszcze o wiele za długo ją odwlekała. Pewnie od razu ciśnie słuchawką, a ona nie będzie mogła wziąć mu tego za złe.

Odebrał po drugim sygnale.

– Halo?

– Cześć. Tu Kate. Kate Linville.

Zapadła kilkusekundowa cisza.

– Dzień dobry – powiedział w końcu Burt. Zabrzmiało to bardzo powściągliwie.

Kate zrobiła głęboki wdech.

– Burt, bardzo mi przykro. Coś mi wypadło tamtego wieczoru, ale oczywiście powinnam była zadzwonić do Gianniego. Proszę mi wybaczyć.

– W porządku – odparł Burt. Sprawiał wrażenie urażonego.

– Zapomnieliśmy wymienić się numerami telefonów – wyjaśniła Kate. – Trochę trudno było zdobyć pański numer. Dlatego dzwonię dopiero teraz.

– W porządku – powtórzył Burt.

– Chciałabym to panu jakoś wynagrodzić – oznajmiła Kate. – Czy moglibyśmy się ponownie spotkać u Gianniego? Dziś wieczorem? I tym razem to ja zapraszam.

Zawahał się.

– Kate...

– Proszę. To dla mnie ważne.

– W porządku – odparł Burt. – Nowa próba. O ósmej?

– Zarezerwuję stolik. Bardzo się cieszę. Dziękuję, Burt. – Zakończyła rozmowę. Była niezwykle aktywna, jak na swoje standardy, zorganizowała randkę z mężczyzną. Aczkolwiek taką, która miała być zadośćuczynieniem. Nie spodziewała się, że wyniknie z tego coś więcej.

W domu Malorych paliło się światło, Kate odważyła się więc zadzwonić do drzwi. Louise otworzyła jej niemal natychmiast. Trzymała w ręku opakowanie leków i mimo wczesnej pory wyglądała na równie zmęczoną, jak inni ludzie po całym dniu pracy.

– O, sierżantko – powiedziała – jakieś nowiny?

– Pojawiła się ważna kwestia – wyjaśniła Kate. – Czy mogę wejść?

– Tak, proszę. – Louise zrobiła krok w tył, Kate weszła do środka. Podobnie jak podczas jej pierwszych odwiedzin wewnątrz unosiła się mdła woń – było duszno, zbyt ciepło, nie wietrzono pomieszczeń. Pachniało chorobą. Wilgocią. Kate domyśliła się, że w domu pewnie pojawiła się pleśń. Louise troszczyła się wyłącznie o syna, nawet gdyby dom zaczął gnić, pewnie by tego nie zauważyła.

Alvin leżał w swoim łóżku, w dokładnie takiej samej pozycji jak za pierwszym razem. Miał na sobie dres, tylko innego koloru. Jego wzrok był skierowany w pustkę. Jak zawsze od dziewięciu lat.

W kącie stała mała choinka z kolorowymi bombkami i światełkami. Louise podążyła za wzrokiem Kate.

– Nie wiem, czy ją widzi – przyznała. – Może wie, że są święta. Może cieszy go widok choinki.

– Z pewnością dobrze jest zapewnić mu żywe otoczenie – powiedziała łagodnie Kate – bo w rzeczywistości w jego umyśle może się dzieć o wiele więcej, niż ktokolwiek przypuszcza.

Louise z wdzięcznością skinęła głową.

– Może kawy? – zapytała.

– Bardzo chętnie.

Louise zniknęła w kuchni. Kate podeszła do łóżka Alvina. Spojrzała na młodego człowieka, którego życie zakończyło się w wieku szesnastu lat. Dziś miał dwadzieścia pięć i trwał w tym dziwnie nierealnym istnieniu zawieszony między życiem a śmiercią.

– Jak myślisz? – zapytała Kate. – Co się z tobą dzieje? Słyszysz nas? Jeśli tak, to wiedz, że szukam tego, który ci to zrobił. Znasz jego imię?

Nieruchomy wzrok i oddech. Nieruchomy wzrok i oddech.

– Logan Awbrey – powiedziała Kate.

Brak jakiegokolwiek reakcji.



Louise wróciła z filiżankami z kawą, obie kobiety zajęły miejsce na kanapie naprzeciw łóżka.

– Pani Malory, ponownie przemyślałam sprawę – odezwała się Kate – i jestem niemal pewna, że nie przekazała pani inspektorowi Hale’owi wszystkich danych kontaktowych swojej rodziny.

W oczach Louise pojawił się krótki błysk.

– Co ma pani na myśli? Oczywiście, że podaliśmy wszystkie dane. Nie było i nie ma dla mnie, a także dla mojego męża, nic ważniejszego niż to, aby złapano człowieka, który przysporzył naszemu synowi tyle cierpienia!

– Coś mnie zastanawia – odparła Kate. Spojrzała Louise prosto w oczy. – Na państwa listach nie ma ani jednej firmy dowożącej jedzenie. Pizzę, dania z makaronu, burgery. Potrawy indyjskie. Chińszczyznę. Bo ja wiem.

Od razu wiedziała, że trafiła w sedno. Louise skierowała wzrok na swoją filiżankę, a na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

– Firma dostawcza? – Zabrzmiało to tak, jakby ledwo zdawała sobie sprawę ze znaczenia tych słów.

– Dziwne, że pani rodzina nigdy nie korzystała z takiej usługi.

– Mąż tego nie chciał. Z powodu Alvina. To właśnie powiedziałam inspektorowi Hale’owi.

– Louise, pani syn ważył wtedy prawie sto siedemdziesiąt kilogramów. I to pomimo pani starań, by mu gotować rozsądnie i zdrowo. Musiał się czymś jeszcze objadać.

– Tak, gromadził słodycze. Kupował je w drodze do szkoły. Czekoladę, cukierki, żelki, i to w ogromnych ilościach. Chował te rzeczy pod materacem.

– To za mało – odparła Kate – by mieć tak dramatyczną nadwagę.

Louise spojrzała w bok.

Kate dotknęła jej ramienia.

– Louise, zakładam, że chce pani chronić swojego syna. Ale może się okazać, że tym samym chroni pani także sprawcę.

Louise nie patrzyła na nią.

– Mój mąż bardzo utrudniał mu życie. Nie mógł się o tym dowiedzieć. Wystarczyło, że wciąż znajdował te wszystkie słodycze. Był wtedy złośliwy, uszczypliwy, obraźliwy, cyniczny. Nie raz doprowadził Alvina do płaczu. Gdyby wiedział, co Alvin pokątnie zamawia... kompletnie by mu odbiło.

– Dawała pani Alwinowi pieniądze?

– Tak. Gotówkę. Pobierałam małe kwoty z naszego konta. Tak, by mąż tego nie zauważył. Poprosiłam naszego sąsiada, pana Fagana, który wszystko widział, żeby nic mu nie mówił.

– Zakładam, że pani syn miał drugi telefon komórkowy?

Louise przytaknęła.

– Pozbyła się go pani?

– Chciałam chronić Alvina. On oczywiście nie odczułby już ataków ze strony ojca. Ale ja... nie chciałam go wydać. Nie chciałam, żeby jego ojciec miał o nim jeszcze gorsze zdanie. Czy potrafi to pani zrozumieć?

– Tak – przyznała Kate. – Rozumiem to. Nie było to jednak rozsądne z pani strony.

W końcu Louise znów na nią spojrzała.

– Naprawdę uważa pani, że gdzieś tam jest jakiś ślad?

– Nie wiem. Ale nie wierzę, by pani syna zaatakowano zupełnie przypadkowo. Sądzę, że zrobił to ktoś, kto go znał. Kto orientował się w sytuacji waszej rodziny, wiedział na przykład, że Alvin w ciągu dnia zazwyczaj przebywa w domu sam. Że z trudem się porusza. Że raczej nie będzie się bronił, bo nie jest typem człowieka, który podejmuje walkę. Zwykły dostawca żywności z łatwością mógł zdobyć wszystkie te informacje.

– Ale dlaczego? – zapytała Louise. – Dlaczego ktoś taki miałby to robić?

– Louise, to, co zrobiono pani synowi, jest trudne do zrozumienia. Istnieją tylko dwie możliwości: albo Alvin ściągnął na siebie czyjś potworny gniew, albo ktoś po prostu szukał ofiary. A on wszedł mu w drogę.

Oczy Louise wypełniły się łzami. Schowała głowę w dłoniach i zaczęła cicho płakać.

– Mogę dostać ten telefon? – zapytała Kate.

Louise wstała i wyszła z pokoju. Minęło sporo czasu, zanim wróciła. Już nie płakała, ale jej twarz nadal była mokra od łez. Przyniosła z sobą komórkę i ładowarkę.

– Proszę. Bateria jest wyczerpana, ale można ją naładować. Numery są zapisane w pamięci. Firm, z których usług korzystał. Było ich pięć. Nie wiem, czy wszystkie nadal działają. To było dziewięć lat temu.

Kate wstała, wzięła telefon komórkowy i kabel.

– Dziękuję, Louise. Przyjrzę się temu. Ślad może też prowadzić donikąd, a wtedy nikt poza nami o niczym się nie dowie.

– Dziękuję – szepnęła Louise.

Kate zawahała się, po czym powiedziała ostrożnie:

– Louise, wspomniałam wcześniej, że Alvin mógł ściągnąć na siebie czyjś gniew z powodu czegoś, co zrobił. Jeśli dobrze zrozumiałam, w trakcie śledztwa Alvin zawsze był postrzegany jako ofiara – ofiara potwornej zbrodni, to oczywiste, ale także w całym swoim życiu. Ofiara kpin, wykluczenia, pogardliwych spojrzeń, złośliwych uwag, samotności. Właściwie ofiara na wszystkich poziomach życia. Nigdy nie brano pod uwagę, że może być również sprawcą.

– Sprawcą? – zapytała Louise, marszcząc czoło.

– Powodem mogła być równie dobrze jego rola jako ofiary. Ale czy można sobie wyobrazić, by zrobił komuś coś złego? Zdrada, donos, coś innego. Mógł zniweczyć czyjeś szanse w szkole albo jakiś związek, cokolwiek. By się bronić, by choć raz w życiu wziąć odwet. Mogło to komuś zrujnować obiecujące perspektywy, przekreślić życiowe plany. W wymiarze wykraczającym poza to, co Alvin chciał osiągnąć.

– Co ma pani na myśli? – szepnęła Louise. – Alvin jako sprawca? – Wyglądała na zupełnie oszołomioną.

– Mógł się bronić. I rzecz nabrała własnej dynamiki, siejąc większe spustoszenie, niż Alvin pierwotnie zamierzał.

Louise wyprostowała się jak struna. Zmartwienia minionych lat sprawiły, że była zazwyczaj przygarbiona. Przez krótką chwilę Kate mogła teraz dostrzec w niej coś z owej wysokiej, smukłej i atrakcyjnej kobiety, którą Louise niegdyś była.

– Nigdy w życiu – odpowiedziała. – Nigdy w życiu Alvin nie skrzywdził innego człowieka. To nie do pomyślenia. Alvin jest miłym, łagodnym chłopcem pełnym dobrych intencji. Choć wyrządzono mu tyle krzywd, nigdy nie powiedział o innych złego słowa. Nie mógłby skrzywdzić nawet muchy. Nie miał nienawistnych, mściwych myśli. To zupełnie do niego niepodobne. Nie, sierżantko Linville, jest pani w błędzie. Alvin jest ofiarą. Proszę wszystkiego nie przekreślać. On nie jest sprawcą.

Obie kobiety przez kilka chwil patrzyły na siebie w milczeniu.

– Muszę brać pod uwagę wszelkie ewentualności – odparła Kate.

Louise potrząsnęła głową.

– Ta ewentualność to strata czasu.

– Do widzenia – pożegnała się Kate. – Będę panią o wszystkim informować.

Louise odprowadziła ją do drzwi. Kate wyszła na dwór. Był chłodny, ponury i wilgotny dzień, ale w porównaniu z atmosferą panującą w salonie wydał się Kate cudowny. Świeży, rozległy i pełen możliwości. Louise prawdopodobnie nigdy nie spuszczała syna z oczu. Pewnie nawet nie wiedziała, co to spacer nad morzem, krople deszczu na skórze i powiew letniego wiatru we włosach. Niewiele się różniła od leżącego w śpiączce Alvina.

Kate wsiadła do samochodu i niezwłocznie podłączyła do ładowarki telefon komórkowy oddany jej przez Louise Malory. Już miała odjechać, gdy zabręczała jej własna komórka. Dzwoniła Pamela.

– Dziś rano przyszły wyniki autopsji – oznajmiła bez owijania w bawełnę, nawet się nie przywitawszy. Mówiła pospiesznie. – Po pierwsze: Sophia Lewis. Analiza DNA dała ostateczne potwierdzenie: kobieta znaleziona w Sleaford to Sophia Lewis.

Zginęła od dwóch strzałów, które uszkodziły jej serce i płuca. Musiała ponieść śmierć na miejscu.

– Niewielka to pociecha – uznała Kate. – Ale zawsze.

– Po drugie – ciągnęła Pamela – wyniki Logana Awbrey. Został ugodzony w górną część tułowia łącznie dwanaście razy. Dwa pchnięcia okazały się śmiertelne. Zadano je z dużą siłą. I co najważniejsze: tym samym narzędziem co w przypadku Diane Bristow.

– Bingo – powiedziała Kate. – Ten sam sprawca.

– Z dużym prawdopodobieństwem. Tak.

– W takim razie Logan Awbrey mógł powiedzieć Annie prawdę. Diane wciąż żyła, gdy wysiadł z samochodu.

– Niedługo po nim musiał pojawić się tam ktoś inny – stwierdziła Pamela. – Późnym wieczorem w tej opustoszałej okolicy. To brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Gdyby Awbrey sam nie stał się ofiarą, nigdy bym nie uwierzyła w taką wersję tej historii.

– Ktoś przypadkiem tamtędy przejeżdża. Widzi zaparkowany samochód. Zatrzymuje się, z początku być może zamierzając pomóc. I wtedy dochodzi do eskalacji.

– Dźga nożem kobietę siedzącą w samochodzie, a kilka dni później także jej chłopaka. Albo byłego chłopaka. Ten ktoś chyba nie znalazł się tam przez przypadek. Raczej znał Diane i Logana.

– Anna Carter znała ich oboje – przypomniała Kate. – A w młodości była szaleńczo zakochana w Loganie Awbreyu. Przyznała to podczas wczorajszego przesłuchania. Lecz Awbrey widział w niej tylko dobrą kumpelkę.

– Anna Carter zavraca i zabija Diane, bo – wbrew temu, co zeznała – wiedziała, że Logan Awbrey przebywa w okolicy i że Diane ma z nim romans – stwierdziła Pamela, ale w jej głosie wyraźnie pobrzmiwała nuta wątpliwości. – A potem zabija Logana, bo ten mimo wszystko nie chce się z nią związać. Dostyc to naciągane.

– Zwłaszcza jeśli chodzi o Logana Awbreya – odparła Kate. – Dwumetrowiec, a obok niego filigranowa Anna. Awbrey nie został zadźgany we śnie, tylko w przedpokoju, tuż za drzwiami. Przypuszczalnie stał wyprostowany i w pełni dysponował swoją niemałą siłą fizyczną. Czy Annie udałooby się zadać mu dwanaście brutalnych ran kłutych? Chyba w ogóle się nie bronił, ani na twarzy, ani na rękach Anny nie ma śladów walki.

– Trudno to sobie wyobrazić.

– Czy są jakieś informacje o czasie zgonu? – zapytała Kate.

– Poniedziałkowy wieczór. Między godziną siedemnastą a dwudziestą pierwszą.

- Anna była na zajęciach z gotowania. A potem u swojego chłopaka.
  - Zjawiła się na kursie już o siedemnastej?
  - Żeby się przygotować. Nie ma jednak świadków.
  - Co z jej chłopakiem, Samuelem Harrisem? – zapytała Pamela. – Bądź co bądź pomógł jej przewieźć ciało na wrzosowiska. Czy mógł jej też pomóc w dokonaniu zbrodni?
  - Dlaczego miałyby to robić?
  - Ponieważ Awbrey był jego rywalem.
  - A Diane? Poza tym dlaczego czekali ponad dwanaście godzin, zanim pozbyli się ciała? A może autopsja wskazuje na co innego?
  - Nie. Ciało na pewno nie leżało w zaroślach od poniedziałku.
  - Mordują człowieka, przez noc i prawie cały następny dzień zostawiają go w przedpokoju i dopiero wtedy go zabierają?
  - Byli w szoku. Nie planowali tego.
  - Mieli jednak nóż, którym wcześniej zamordowali Diane Bristow. Dwoje zuchwałych ludzi, których nagle dopada szok? Nie, co prawda wierzę, że Anna Carter ukrywa kluczowe informacje, sądzę jednak, że sekwencja zdarzeń tej historii jest zgodna z jej zeznaniem. Znalazła Logana Awbreya późnym przedpołudniem dwudziestego czwartego grudnia, a następnie zadzwoniła do swojego chłopaka. W tym względzie mówi prawdę.
  - Przesłuchiwała pani Annę Carter. Z pewnością ma pani rację. À propos, gdzie pani teraz jest? W drodze na spotkanie z Anną?
- Kate nie chciała w tym momencie wyjawiać nowych ustaleń dotyczących Alvina Malory’ego.
- Tak – odpowiedziała zatem. – Ale pewnie znowu zabiorę ją do komisariatu.
  - W porządku. Ufam w pani zdolności do prowadzenia skutecznych przesłuchań. Jadę teraz z ekipą kryminalistyczną do domu Patricii Walters. Musimy ustalić, czy doszło tam do włamania.
  - Powodzenia – powiedziała Kate. – Jej córka jest trudna w obejściu.
  - Jakoś to przeżyję – odparła Pamela, po czym się rozłączyła.

## 2

Nie wybiła jeszcze dziewiąta, gdy Kate zajechała przed mieszkanie Sama Harrisa, wysiadła z samochodu i zadzwoniła do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Spróbowała drugi raz i trzeci, bez skutku.

Wyglądało na to, że Anny Carter nie ma w domu.

Mogła wyjść wcześniej na zakupy albo na spacer nad morzem, ale Kate jakoś nie chciała w to uwierzyć. Dzień wcześniej Anna była tak roztrzęsiona, tak wzburzona i potwornie przybita, że trudno było sobie wyobrazić, by spacerowała po plaży albo robiła zakupy. Już prędzej zapomniałaby zupełnie o jedzeniu i piciu i skulona na kanapie poddawała się strapieniu.

Kate wyjęła komórkę, żeby jeszcze raz spróbować skontaktować się z Anną przez telefon, ale w tym samym momencie nadeszło połączenie. Na wyświetlaczu pojawiła się sierżant Helen Bennett.

– Sierżantko Bennett?

– Sierżantko Linville, dzwonił Samuel Harris. Wie, że Anna Carter zeznała, iż razem pozbyli się ciała Logana Awbreya. Obecnie nadal przebywa u ojca w Londynie, ale wróci jutro i się do nas zgłosi.

– Dobrze. Coś jeszcze?

Helen westchnęła.

– Dzwoniła też szefowa ekipy zabezpieczającej ślady w domu Anny Carter w Harwood Dale. Poinformowała, że samochód Anny zniknął.

– Co takiego?! – wykrzyknęła Kate.

– Tak. Jeszcze wczoraj tam stał, został oczywiście zabezpieczony, ale dziś rano zniknął.

– Zabezpieczony?

– Zaplombowano zamki. To stary model, nie ma zdalnego zamykania drzwi.

– Nie pomyśleli o blokadzie kół?

– Nie. Chyba nikt nie zakładał, że...

– Rozumiem. Dobrze. Dzięki za wiadomość. – Kate poczuła złość, ale bardziej na siebie niż na kogokolwiek innego. Powinna była nalegać na właściwe zabezpieczenie samochodu, przecież rozmawiała z Anną. Kobieta była w okropnym stanie, a do tego jej chłopak wyjechał. Kate powinna była przewidzieć, że może spróbować ucieczki. W żadnym razie nie należało zostawiać jej bez nadzoru. Ale co miałyby zrobić? Nie było wystarczających podstaw do jej tymczasowego zatrzymania. Co najwyżej zarzut zamordowania Logana Awbreya, który jednak wydał się Kate na tyle absurdalny, że nawet nie brała go pod uwagę.

– Niech to szlag! – powiedziała na głos, ale stała zupełnie sama na Victoria Road, więc nikt jej nie usłyszał. Ponownie wybrała numer komórki Anny, lecz znów włączyła się poczta głosowa. Anna zniknęła i nie chciała, by się z nią kontaktowano. Istniało duże prawdopodobieństwo, że spróbuje się spotkać ze swoim chłopakiem. Kate miała nadzieję, że Samuel Harris jest na tyle rozsądny, by przekonać Annę do powrotu.

Przecież sam się do nich zgłosił. Chyba zrozumiał, że musi się zmierzyć z zaistniałymi problemami.

Kate wsiadła do samochodu i ruszyła do komisariatu. Skontaktuje się z firmami dostawczymi zapisanymi w tajnej komórce Alvina...

W biurze niewiele się działo. Wielu funkcjonariuszy wykorzystało tydzień świąteczny na krótki urlop i wzięło w piątek wolne. Przy wejściu wciąż migotała choinka. Jak co roku Kate uznała, że wszystkie te dekoracje, choinki, oświetlenie już dzień po świętach wyglądały niedorzecznie i smutno.

Zajrzała na chwilę do gabinetu Pameli, ale i on był pusty. Szefowa zamierzała się udać do Eleonore Walters. Pewnie stamtąd od razu wyjedzie na weekend.

Kate podkreśliła ogrzewanie w swoim pokoju, z automatu w korytarzu przyniosła sobie kawę, po czym sprawdziła nazwy i numery telefonów firm dostawczych. Louise powiedziała, że Alvin korzystał w sumie z pięciu. Kate założyła, że skoro im płaciła, wiedziałyby, gdyby było ich więcej.

Okazało się, że dwie z owych firm już nie istnieją. Trzeba by dotrzeć do ówczesnych operatorów, ale to mogło być żmudne zadanie. Pozostałe trzy nadal prowadziły działalność. W jednej z nich, restauracji indyjskiej, Kate od czasu do czasu chętnie zamawiała posiłki.

Ponieważ kontakt z infolinią nie miał większego sensu, zwłaszcza o tej porze dnia, Kate zleciła Helen zdobycie nazwisk, adresów i numerów telefonów właścicieli. W jednym przypadku chodziło o sieć ogólnokrajową, co zajmie więcej czasu, niemniej w obu pozostałych Helen szybko ustaliła dane kontaktowe odpowiednich restauracji. Kate dodzwoniła się do dwóch mężczyzn, z których jeden zachowywał się tak, jakby wyrwano go z głębokiego snu.

– Mówi sierżant Kate Linville, policja North Yorkshire. Pilnie potrzebuję pewnych informacji.

Wzmianka o policji sprawiła, że obaj mężczyźni, z początku wyjątkowo mrukliwi i niechętni, stali się znacznie bardziej rozmowni.

– Chodzi o waszych kierowców – poinformowała Kate – którzy rozwozili zamówienia. W latach dwa tysiące dziewięć i dziesięć.

Słyszając to, obaj mężczyźni jęknęli z przerażenia.

– To było całe wieki temu! – wykrzyknął jeden, drugi zaś wprost oświadczył, że nie posiada żadnych dokumentów z tamtego okresu. – Bo ja wiem, kto wtedy dla mnie pracował?

– Jako przedsiębiorca ma pan obowiązek przechowywania odpowiedniej dokumentacji przez okres dziesięciu lat – wyjaśniła uprzejmie Kate. – Z pewnością pan o tym wie.

Obydwaj w końcu wyrazili gotowość sprawdzenia dokumentów. Słysząc było, że Kate właśnie zepsuła im dzień.

– Będę u państwa za dwie godziny – oznajmiła Kate. – By się wylegitymować i rzucić okiem na listę zatrudnionych pracowników. Czy mam przyjść do domu, czy do siedziby firmy?

Jeden chciał ją przyjąć w domu, drugi w swoim biurze. Kate miała nadzieję, że nie zatrudniają zbyt wielu pracowników nielegalnie. Wtedy miałyby marne szanse.

Helen zjawiała się z trzecim nazwiskiem i adresem. Jak na policyjną psycholog, była niezwykle biegła w rozwiązywaniu najrozmaitszych zadań, którymi ją obarczono z powodu ciągłych braków kadrowych. Pracowała szybko i sprawnie. Kate podziwiała ją przede wszystkim za opanowanie, z jakim zastępowała osoby na stanowiskach, do których miała zbyt wysokie kwalifikacje. Nieraz mogłaby się z tego powodu poskarżyć, ale nigdy tego nie robiła. Była świetnym graczem zespołowym i pracowała z wielkim oddaniem. Kate uważała, że Pamela, podobnie jak poprzedni szef, Robert Stewart, zbyt często uznawali to za rzecz nader oczywistą.

– Phil Sullivan. Jest odpowiedzialny za usługi dostawcze Biggestpizza w Scarborough oraz na obszarze aż do Whitby. Jego biuro na szczęście znajduje się tutaj, w Scarborough, w strefie dla pieszych.

Kate sięgnęła po kartkę z nazwiskiem i adresem.

– Ale czy zastanę go dzisiaj...?

Helen przytaknęła.

– Dzwoniłam. Jest w pracy.

– Helen, jest pani niezastąpiona – powiedziała Kate, wstając i biorąc torebkę. – Naprawdę. Bezcenna.

Helen się zarumieniła.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Robi pani znacznie więcej. Jadę teraz do pana Sullivana. Później sprawdzę obu pozostałych. Nie wiem, co zrobimy z tymi, którzy zakończyli już działalność. Mam nadzieję, że wcześniej znajdę to, czego szukam.

– A czego właściwie pani szuka? – zapytała Helen.

Kate wzruszyła ramionami.

– Nawet nie potrafię tego odpowiednio określić. Nazwiska. Nazwiska, które zaprowadzi mnie dalej.

Po drodze ponownie spróbowała skontaktować się telefonicznie z Anną Carter, ale znów zgłosiła się poczta głosowa. Kate miała wyłączoną identyfikację rozmówcy, więc Anna nie wiedziała, że wydzwaniania do niej policja. Ale pewnie się tego domyślała i dlatego w ogóle nie odbierała telefonu.



Wsiadła do samochodu i ledwie uruchomiła silnik, gdy zabręczała jej komórka. Przez chwilę miała nadzieję, że Anna Carter odzyskała rozsądek, ale to znowu dzwoniła Pamela.

– Jestem w domu zmarłej pani Walters – poinformowała. – Śledczy znaleźli rozbite okno w piwnicy. Prowadzi do schowka, do którego córka od chwili przyjazdu jeszcze nie zaglądała, więc go nie zauważyła. Oczywiście okno może być uszkodzone już od dłuższego czasu.

– Nie sądzę – odparła Kate. Zamyśliła się. – Jeśli ktoś włamał się do domu i spowodował śmierć starej pani Walters, okoliczność ta zdecydowanie odciąża Milę Henderson. Mieszkała w tym domu. Nie musiała wybijać okna, żeby dostać się do środka.

– To prawda – przyznała niechętnie Pamela. Odpowiadał jej obraz zbiegłej Mili zostawiającej za sobą krwawy ślad, ale rzeczywiście niektóre elementy układanki nadal do siebie nie pasowały. – W tym przypadku działaliśmy zbyt pochopnie – podjęła Pamela. – Ścisłej mówiąc, nie działaliśmy wcale. Przyjęliśmy bez zastrzeżeń przypuszczenia córki i w ogóle nie pomyślałyśmy o przestępstwie.

– To nie było takie oczywiste. Ale powinnyśmy być bardziej otwarte na inne możliwości – przyznała Kate. Eleonore Walters zgłosiła policji śmierć matki oraz zaniedbanie przez Milę obowiązków, zanim Pamela objęła swoje stanowisko. Kate dała się bezwolnie zwieść na manowce. Pamela zachowała się przyzwoicie, nie wspominając o tym ani słowem.

– Kryminaliści badają teraz cały dom – oznajmiła Pamela – ale mamy oczywiście do czynienia z zanieczyszczonym miejscem zbrodni. Mało prawdopodobne, by znaleźli coś wartościowego, lecz musimy próbować.

Kate westchnęła. Sprawa Patricii Walters nie mogła przedstawiać się gorzej.

– Wyjeżdżam na weekend – powiedziała Pamela. – Odtąd wszystkie wątki skupiają się w pani rękach, Kate. Prawdopodobnie nie będę dostępna. Da pani sobie radę?

– Tak.

– W porządku. Zatem do poniedziałku. – Pamela zakończyła w typowy dla siebie szorstki sposób, Kate zaś poczuła wdzięczność, że nie poruszyła tematu Anny Carter.

Mogłaby zapytać o wnioski z przesłuchania, a wtedy Kate musiałyby poinformować szefową, że Anna zniknęła. Bo Kate jej nie zatrzymała... Biorąc pod uwagę historię Mili, Pamela mogłaby dojść do wniosku, że Kate nie postępuje zbyt rozważnie.

Walnęła pięścią w kierownicę.

– Niech to szlag! – krzyknęła.

Nie była dość uważna. Przez ostatnie tygodnie więcej rozmyślała o tym, jak przetrwać święta, niż o swojej pracy. Niedobrze, wręcz fatalnie. W nadchodzącym

roku nie mogła sobie na to pozwolić. Mało prawdopodobne, by jej życie do tego czasu się zmieniło. Chociaż... pojawił się u niej Caleb. Urażony jej zniknięciem bez słowa. Podkreślił, że to nie jest znajomość na jedną noc...

Ona jednak to czuła. Po prostu wiedziała. Mógł sobie myśleć, co chciał, snuć dowolne plany – związać się z kimś jednak nie potrafił. To skaza na jego życiu, na jego charakterze. Pewnie wolałby, aby było inaczej, ale nie był do tego zdolny. Gdyby zostali parą, niezwłocznie stanęliby w obliczu monsturalnych problemów. On poczułby się osaczony, ona zaś nie mogłaby pozostać obojętna wobec jego pragnienia zachowania dystansu. Oboje w końcu popadliby w rozpacz.

Otrząsnęła się. Znowu rozmyślała o swoim życiu uczuciowym. W tej chwili było to absolutnie nie na miejscu.

Zaparkowała przy Nicholas Cliff i przeszła stamtąd do strefy dla pieszych. Niewiele się jeszcze działo, większość sklepów wciąż była zamknięta. Pogoda nie sprzyjała spacerom po mieście. Widać było tylko ludzi, którzy tego dnia musieli pracować i zmierzali do swoich biur. Kilka mew kłóciło się o wyrzucony przez kogoś kawałek chleba. Od strony morza dobiegał przez mgłę melancholijny dźwięk syreny frachtowca.

Biuro Phila Sullivana znajdowało się nad butikiem odzieżowym, którego okna zdobiły świąteczne dekoracje. Kate nacisnęła dzwonek pod wywieszką oznaczoną „P.S.”, natychmiast zabrzączał zamek w drzwiach. Kate weszła do wąskiego korytarza, z którego prowadziły strome schody.

– Proszę na górę! – zawołał jakiś głos. Kate weszła po schodach. Na piętrze czekał na nią mężczyzna około pięćdziesiątki, który wyciągnął do niej rękę, przedstawił się jako Phil Sullivan i zaprosił Kate do swojego gabinetu. Wszystko to jednocześnie. Emanował ogromną nerwowością. Typ pracoholika, który nie potrafi przystanąć choćby na chwilę.

– Sierżant Kate Linville – przedstawiła się i wyciągnęła legitymację.

Phil Sullivan tylko rzucił na nią okiem.

– Tak, koleżanka panią zapowiedziała. Chodzi o ludzi, którzy dostarczali zamówienia dla Biggestpizza. W dwa tysiące dziewiątym i dziesiątym. Prawda?

– Tak – potwierdziła Kate. Phil najwyraźniej nigdy nie marnował czasu. Zniknął za ekranem stojącego na biurku komputera i oznajmił: – Proszę usiąść. Już wyszukałem potrzebne informacje.

Kate usiadła w brązowym skórzanym fotelu. Pokój był duży, urządzone nader funkcjonalnie. Regały i szafki wzdłuż ścian. Biurko. Telewizor w rogu. Krzesło dla gości, pod oknem kolejne składane krzesło, na wypadek gdyby zjawilo się dwoje. Żadnych roślin, żadnych obrazów. Brak świątecznych dekoracji, co Kate uznała za

przyjemną odmianę. Rozwieszanie ich na ledwie parę dni w roku z pewnością wydałoby się Philowi Sullivanowi kompletną stratą czasu.

Z okna widać było dach sąsiedniego budynku. Kilka marznących mew stłoczyło się na kominie.

Drukarka pod biurkiem zaczęła wypluwać kartki.

– Wydrukuję dla pani listy z nazwiskami – oznajmił Sullivan. – Ale prawie żadna z tych osób już dla nas nie pracuje. Panuje spory ruch w zatrudnieniu.

– Czy coś panu mówi nazwisko Alvin Malory? – zapytała Kate.

Sullivan zmarszczył brwi.

– Nie. Czy dla nas pracował?

– Nie. Był klientem. To uczeń. Dziewięć lat temu został zaatakowany w domu rodzinnym, torturowano go z takim okrucieństwem, że od tej pory leży w śpiączce.

Sullivan skinął głową.

– Teraz pamiętam. Ta historia przez wiele tygodni była tematem rozmów w całym Scarborough. Gazety wciąż o tym pisały. Straszne to wszystko. A ofiara była naszym klientem?

– Kilku dostawców, ale także pańskim, owszem. Chłopak cierpiał na poważną otyłość, praktycznie codziennie coś zamawiał. Sprawdzamy osoby, które przywoziły mu do domu jedzenie.

– Po dziewięciu latach?

– Niestety, dopiero teraz pojawiły się ustalenia, które nas do tego zmusiły – odpowiedziała wymijająco Kate.

– Uważa pani, że sprawcą mógł być dostawca pizzy? – zapytał Sullivan. W jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie.

– Jeszcze nic nie uważamy, panie Sullivan. Badamy jedną z ewentualności.

Wręczył jej plik kartek.

– Proszę. Nasi ludzie z tamtego okresu. Nie wyobrażam sobie, żeby któryś z nich dopuścił się czegoś takiego.

– Wcale tak być nie musi – wyjaśniła Kate, wstała i wzięła z sobą wydruki. – Dziękuję za szybką i sprawną pomoc. Jeszcze jedno: jeśli zwrócimy uwagę na jakieś nazwisko, czy można będzie ustalić, czy ta osoba zaopatrywała Alvina Malory’ego i w jakich dniach?

Sullivan nie wydawał się tym zachwycony.

– Obawiałem się tego pytania... Tak, nadal byłoby to możliwe. Będzie to jednak bardzo żmudne i czasochłonne.

– Dziękuję, panie Sullivan. Mam nadzieję, że oszczędzę panu tego kłopotu. – Słowa te nie były do końca szczere. Kate rzecz jasna liczyła na to, że coś znajdzie. To zaś

nieuchronnie pociągnęłyby za sobą kolejne działania.

Sullivan odprowadził ją do drzwi, pożegnał się szybko i zestresowany, jak podejrzewała Kate, pospieszył z powrotem do swojego biurka. Ruszyła po schodach, a potem przez wciąż bardzo spokojny deptak wróciła do samochodu. Opadła na fotel i zagłębiła się w papierach. Zamiast w biurze równie dobrze mogła to zrobić tutaj.

Nazwisk było całe mnóstwo. Wiele z nich świadczyło o indyjskim lub pakistańskim pochodzeniu pracowników. Były też nazwiska o brzmieniu arabskim oraz takie, które mogły należeć do Chińczyków lub Japończyków. Praca dostawcy była klasycznym rozwiązaniem przejściowym dla nowo przybyłych, zanim się przeorientowali i znaleźli właściwą pracę. Oczywiście zdarzali się również rodowici Anglicy, choć byli raczej w mniejszości. Za każdym nazwiskiem widniał numer telefonu, a po nim data zatrudnienia. Przy większości podano też termin wygaśnięcia umowy o pracę w Biggestpizza. Szczególnie w przypadku angielskich nazwisk nierzadko przypadał on zaledwie po kilku tygodniach, często ludzie ci po jakimś czasie wracali na parę tygodni. Kate podejrzewała, że byli to uczniowie wyższych klas. Porównanie godzin ich pracy z terminami ferii szkolnych zapewne potwierdziłoby jej przypuszczenia. Uczniowie i studenci chcący zarobić trochę grosza.

Przeczesała tak długą listę nazwisk, Kate czuła się sfrustrowana, nie wiedziała bowiem, czy osoba, której szuka, w ogóle była zatrudniona w firmie dostawczej. Co więcej, na razie studiowała dokumentację tylko jednej z pięciu firm. Dwie z nich już nie istniały, więc prawdopodobnie nie da się odtworzyć wykazu nazwisk. I rzecz najważniejsza: nawet jeśli sprawca ukrywał się na jednej z list, które dostanie do rąk, jak miałyby go rozpoznać? Na ile prawdopodobne było to, że znała jego nazwisko?

– To błędzenie we mgle – powiedziała na głos w ciszy wypełniającej wnętrze samochodu. – Phil Sullivan określiłby to mianem czystej straty czasu, i obawiam się, że miałyby rację.

Przygnębiona, spojrzała na rząd zaparkowanych naprzeciwko samochodów. Była tak bardzo podekscytowana swoim pomysłem. Teraz jednak zdała sobie sprawę, jak mało prawdopodobne jest osiągnięcie w ten sposób przełomu.

Dobrze. To nic nie da. No dalej... Przejrzy te listy i każdą inną, którą otrzyma, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, przynajmniej będzie miała poczucie, że wyczerpała wszelkie możliwości.

Znów opuściła wzrok na wydruki. I nagle wstrzymała oddech.

– Nie wierzę!

Anna zastanawiała się, skąd pomysł, że pójdzie jej tak łatwo. Wystarczy, że pojedzie do Londynu i od razu odnajdzie dom opieki, choć nie znała jego nazwy. Wiedziała tylko, że znajduje się w Shepherd's Bush, w pobliżu Shepherd's Bush Green. Jak miałyby jej się to udać?

Była w drodze już ponad sześć godzin, podróż ze Scarborough do Londynu trwała dłużej niż zwykle, ponieważ ciemności oraz gęsta miejscami mgła zmuszały ją do bardzo ostrożnej i powolnej jazdy. Około piątej nad ranem dotarła na obrzeża Londynu, była u kresu sił. W niewielkim, wymarłym z pozoru miasteczku wjechała na duży pusty parking na terenie przemysłowym, zatrzymała się i skuliła na tylnej kanapie samochodu, żeby zdrzemnąć się godzinę lub dwie. Oczy piekły ją ze zmęczenia, była kompletnie wyczerpana. A do tego targana wewnętrznym niepokojem.

Udało jej się zasnąć na pół godziny, ale potem ziąb i niewygodna pozycja znów ją obudziły. Przez jakiś czas we wnętrzu auta utrzymywało się ciepło, ale wkrótce wkradł się tam chłód, zrobiło się wilgotno i nieprzyjemnie. Samochód był mały, tylna kanapa krótka. Anna musiała podkurczyć nogi, kolana sięgały jej niemal do twarzy. Gdy usiadła, wydała z siebie cichy jęk bólu: miała zdrętwiałe kończyny, bolała ją każda kość. O wypoczynku nie mogło być mowy. Czuła się gorzej niż przed drzemką.

Wokół wciąż panował mrok nocy, rozpraszany przez białawe światło kilku latarni. Na ekranie telefonu Anna zobaczyła, że jest kwadrans przed szóstą.

Wysiadła z samochodu, przykucnęła za jednym z budynków i wysiusiała się na wąskim trawniku. Rzadko kiedy czuła się taka samotna. Pokuśtykała z powrotem do auta, usiadła za kierownicą, odchyliła się do tyłu. Za oknem powoli świtało.

Co ona, na litość boską, tu robi?

Uciekała. Jak zawsze. Od lat. Wciąż uciekała, w nadziei, że w jakimś miejscu odnajdzie spokój myśli, uwolni się od obrazów i wspomnień. Miejsca takiego jednak nie znalazła. Nawet u Sama. Ofiarował jej ciepło i poczucie bezpieczeństwa, ale ona nie potrafiła tego przyjąć. Pozwalała, by jej towarzyszył, wspierał ją, pocieszał, łagodził jej nastroje, ale nigdy go do końca nie zaakceptowała. Nie mogła tego zrobić, gdyż to oznaczałoby zatrzymanie się w miejscu, a tego się właśnie obawiała.

A jeśli teraz zdołałaby odnaleźć Sama w domu starców, gdzie starał się opiekować ojcem – co by to dało? Nadwyrężyłaby tylko jego siły. Sama zaś nic by nie zyskała.

Ukryła twarz w dłoniach.

Nikt nie był w stanie jej pomóc. Ani terapeuci, ani lekarstwa. To wszystko przynosiło jedynie krótkotrwałe znieczulenie. Potem obrazy powracały, jaskrawe i ostre. I co osiągnęła, wciąż uciekając i próbując stłumić w sobie wspomnienia? Zniweczyła związek z człowiekiem, który ją kochał, prawdopodobnie na tyle

nieodwracalnie, że nie sposób go będzie ponownie ożywić. Pracowała dla Daliny, której w głębi serca nie potrafiła zdzierżyć. Nienawidziła też samej pracy. Mieszkała w starym, podniszczonym domu, który groził zawaleniem podczas najbliższej większej burzy. Ani przez chwilę nie czuła się tam jak u siebie.

Nie mogła dłużej uciekać.

Świetne spostrzeżenie, pomyślała, gdy właśnie się uciekło przed policyjnym śledztwem aż do Londynu i wpakowało w poważne tarapaty.

Zaczynała marznąć tak bardzo, że uruchomiła silnik i włączyła ogrzewanie na maksimum. Potem ruszyła w drogę, rozglądając się po mieście, której nazwy wciąż nie знаła, w poszukiwaniu jakiejś kawiarni. Znalazła czynnego o tej porze McDonalda, wysiadła i kupiła duży kubek czarnej kawy i czekoladowego muffina. Facet za ladą patrzył na nią podejrzliwie. Pewnie wyglądała jak upiór, włosy miała zmierzwione i nieuczesane, płaszcz wymięty, a oczy wciąż napuchnięte od łez. Wcale się tym nie przejęła. Niech sobie o niej myśli, co chce.

Akurat gdy wsiadła z powrotem do samochodu, zadzwonił jej telefon. Przez chwilę miała nadzieję, że to Sam, ale rozmówca ukrył swój numer. Pewnie to Kate Linville, kobieta z zajęć kulinarnych, która okazała się funkcjonariuszką policji. Anna się zawahała. Najwłaściwszą rzeczą byłoby odebrać i przyznać, że działając w afekcie, uciekła do Londynu. Ale zamierza wrócić i o wszystkim opowiedzieć.

Czy tego właśnie chciała?

Dzwonek telefonu umilkł.

Ulica powoli budziła się do życia. Kilka samochodów. Kilkoro pieszych. Niewiele się działo tuż po świętach, tuż przed sylwestrem. Tego dnia pracowali tylko nieliczni. Wydawało się, że wszystko przytłacza jakiś ołowiany ciężar, być może z winy kiepskiej aury. Jakby było wiadomo, że tego dnia wcale się nie wypogodzi. Może brało się to z nadmiaru świąt. Za dużo wolnego czasu, za dużo jedzenia, za dużo prezentów. Za dużo przestoju.

Zastanawiała się, czy będzie miała odwagę uczynić ów krok, o którym wiedziała, że jest jedynie słuszny.

## 4

Dalina wyglądała na opuchniętą i zaspaną, kiedy otworzyła drzwi niewielkiego szeregowca nad Zatoką Północną. Miała stamtąd równie piękny widok jak Caleb ze swojego nowego mieszkania, jednakże okolica była bardziej zadbane, a domy ładne i dobrze utrzymane. Od frontu małe urokliwe ogródki, w których latem kwitły róże.

Teraz hasały tam iluminowane renifery i mikołaje. Ale nie u Daliny. Jej ogród był pusty. Ani śladu świątecznego nastroju.

– Pani Jennings, dzień dobry – przywitała się Kate. Trzymała w dłoni legitymację. – Sierżant Kate Linville. Policja North Yorkshire.

Dalina najwyraźniej wciąż była pogrążona w półśnie, choć dochodziła dziesiąta. Popatrzyła na legitymację, potem na Kate. Powoli sobie uzmysłowiła, że zna kobietę stojącą przed nią na wyłożonej płytami ścieżce.

– Pani Linville? Nie jest pani...?

– Zapisalam się na styczniowe zajęcia kulinarne. I na początku tego tygodnia zastąpiłam w bieżącym kursie Diane Bristow.

Dalina próbowała się skupić.

– Tak, ale... Czy nie mówiła pani, że pracuje jako opiekunka geriatryczna?

– Owszem.

– Och, ale... – Oczy Daliny się zwęziły. Wyraźnie się rozbudziła. – Aha, rozumiem. Działa pani niejako pod przykrywką. Zakradła się pani do mojej firmy jako opiekunka, w rzeczywistości szpiegując jako policjantka. Czy to jest dozwolone?

– Kiedy zapisywałam się na styczniowy kurs, sprawa Diane Bristow jeszcze nie istniała – odparła Kate. – I oczywiście to wyłącznie moja sprawa, które fakty o sobie ujawniam, a które nie.

Zaraz potem poczuła irytację. Dlaczego usprawiedliwia się przed tą zaspaną swatką? Dalina niewątpliwie była osobą innego kalibru niż jej przyjaciółka Anna. Wojowniczą i agresywną.

– Czego pani chce? – zapytała chłodno Dalina, zaciskając wokół talii pasek szlafroka.

– Mogę wejść? Mam kilka pytań.

– Jakich pytań?

– W sprawie Alvina Malory’ego – wyjaśniła Kate, bacznie przyglądając się Dalinie. Wydawało jej się, że dostrzegła krótkie drgnienie powiek, ale poza tym kobieta panowała nad sobą. Być może nie miała nic do ukrycia.

– W porządku – odparła niechętnie Dalina. – Proszę wejść. Ale jest nieposprzątane.

– Nie przeszkadza mi to ani trochę – zapewniła Kate i weszła do środka.

Pani domu zaprowadziła ją do salonu. Tutaj także ani śladu świątecznych dekoracji, żadnej choinki czy świec, tylko puste butelki po winie na stole oraz kilka rozstawionych po całym pokoju kieliszków ze śladami szminki na brzegach. Pachniało zimnym dymem papierosowym i potem, zmieszany z zapachem ciężkich perfum.

– Och, miała pani gości – stwierdziła Kate.

– Nie – zaprzeczyła Dalina.

Samotne święta spędzone przed telewizorem, ze zdecydowanie zbyt dużą ilością alkoholu i papierosów.

Ta nieszczęsna samotność to nader powszechna choroba, pomyślała Kate.

– Proszę usiąść – zaproponowała Dalina.

Kate przysiadła na kanapie. Dalina rozmawiała na stojąco.

Policjantka wyciągnęła z kieszeni kartkę z wykazem zatrudnionych z Biggestpizza.

– Odkryłam pani nazwisko – oznajmiła. – W dwa tysiące dziewiątym i dziesiątym pracowała pani jako dostawca w firmie Biggestpizza.

Dalina wzruszyła ramionami.

– Tak. I?

– Miała pani wtedy osiemnaście, dziewiętnaście lat?

– Tak. W dwa tysiące dziesiątym skończyłam szkołę. Wcześniej pracowałam w Biggestpizza podczas wakacji. Czy to zabronione?

– Nie. Potem przestała pani pracować w Biggestpizza?

– Przeprowadziłam się do Manchesteru. Na studia.

– Jakże?

– Administracja biznesowa. Ale ich nie ukończyłam.

– Kiedy przerwała pani studia?

– W dwa tysiące dwunastym. Dostałam propozycję dołączenia do agencji matrymonialnej w Manchesterze. Jako współpracowniczka. Pracowałam tam przez dwa lata, po czym wróciłam do Scarborough i założyłam własny biznes. – Dalina obrzuciła policjantkę baczny spojrzeniem. – O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego wypytuje mnie pani o rzeczy, które miały miejsce całe wieki temu?

– Może i miały miejsce całe wieki temu, ale na niektórych ludziach te dawne wydarzenia odciskają się piętnem aż do dziś. Czy mówi coś pani nazwisko Alvin Malory?

Dalina była osobą niezwykle opanowaną, ale przez sekundę nie potrafiła utrzymać w ryzach swojej mimiki. Jej powieki ponownie drgnęły. Zacisnęła na chwilę usta. Potem znów spoglądała zupełnie beznamiętnie.

– Nie. A powinno?

– Według mojej listy regularnie dostarczała pani zamówienia Alwinowi Malory'emu, który miał wtedy piętnaście, potem szesnaście lat. Był stałym klientem Biggestpizza. – Mówiąc to, Kate postawiła wszystko na jedną kartę. Wiedziała wprawdzie, że Dalina pracowała dla tej pizzerii, niemniej z wykazu wcale nie wynikało, że obsługiwała Alvina. Zadzwoniła do Phila Sullivana i poprosiła go, by to sprawdził, a on obiecał, że się tym zajmie. Na razie Kate brakowało potwierdzenia tej informacji, ale była niemal pewna, że Dalina i Alvin się kontaktowali.



– Nie pamiętam każdego z moich ówczesnych klientów – stwierdziła Dalina. – Było ich naprawdę sporo. Dostarczaliśmy zamówienia także poza Scarborough. A działa się to dawno temu.

Kate uznała, że jej rozmówczyni wygląda na nieco zdenerwowaną.

– Mimo wszystko byłoby dziwne, gdyby nie pamiętała pani Alvina Malory’ego – odparła. – Jego nazwisko przez wiele miesięcy przewijało się we wszystkich doniesieniach prasowych. W całym kraju. To z jego powodu utworzono tu, w Scarborough, największy w historii specjalny zespół dochodzeniowy. W lipcu dwa tysiące dziesiątego chłopak został zaatakowany i ciężko pobity w domu swoich rodziców. Na koniec sprawcy włali mu do gardła środek do czyszczenia kanalizacji. To cud, że Alvin przeżył. Od tego czasu leży w śpiączce.

– Pamiętam – przyznała niechętnie Dalina. Dobrze wiedziała, że nie ma większego sensu twierdzić, że nigdy o tej historii nie słyszała. – Tak. To straszne.

– Pamięta pani tę sprawę? Czy także to, że dostarczała pani zamówienia Alwinowi Malory’emu?

– Tak, przypominam sobie. Od czasu do czasu przywoziłam mu jedzenie. Zamawiał duże ilości.

– Był bardzo otyły.

– Tak. Zgadza się. – Dalina, uznając, że Kate i tak dysponuje dowodami, zmieniła taktykę i stała się bardziej uprzejma. – Biedny chłopak. Zdarzało się, że zamawiał od razu dwa zestawy XXL. Myślałam, że to tylko pogarsza sprawę. Ale odradzanie ludziom zamawiania posiłków nie należało do moich zadań. Wręcz przeciwnie. Więc po prostu je dostarczałam.

– Oczywiście. – Kate raptownie zmieniła temat. – Zna pani niejakiego Logana Awbrey’a?

Wydawało się, że Dalina rozważa przez chwilę, ile Kate może wiedzieć i czy zaprzeczanie miałyby jakikolwiek sens, ale zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– Tak. Z dawnych czasów.

– Z czasów młodości?

– Tak.

– Czy chodziliście razem do szkoły?

Dalina potrząsnęła głową.

– Nie. Jest kilka lat starszy ode mnie. Poznałam go w jakimś nocnym klubie i od tej pory przykleił się do mnie. Niektórych mężczyzn nie sposób się pozbyć, gdy się trochę z nimi poflirtuje. Wie pani...

Kate tego nie wiedziała. Nigdy żaden mężczyzna się do niej nie przykleił, nie chadzała też do nocnych klubów ani nie flirtowała. To nie było w jej stylu.

– Ile miała pani lat, gdy go pani poznała?

Dalina się zawahała.

– Czternaście – odparła.

– W wieku czternastu lat chodziła już pani do nocnych klubów?

– Znałam bramkarza. Czasem przymykał oko.

– Rozumiem. Logan Awbrey i pani zostaliście przyjaciółmi?

– Był we mnie szaleńczo zakochany. Ja w nim już nie. Nie można tego nazwać przyjaźnią.

– Za pani pośrednictwem poznał pani przyjaciółkę Annę Carter. Anna określiła Logana i siebie mianem przyjaciół.

Dalina ponownie zmrużyła oczy. Przypominała przyczajone dzikie zwierzę. Kate domyśliła się, że ta kobieta może stać się niebezpieczna, jeśli człowiek za bardzo się do niej zbliży.

– Rozmawiała pani z Anną?

– Długo. Logan Awbrey, który był podejrzanym w sprawie Diane Bristow, schronił się u niej. Wiedziała pani o tym?

Dalina wyglądała na zaskoczoną.

– Nie! Anna ukryła go u siebie?

– Tak. Niestety, podczas jej nieobecności został w jej domu zamordowany.

– Co takiego? – Dalina sprawiała wrażenie osłupiałej, lecz Kate dobrze wiedziała, że to może być zwodnicze. Niektórzy ludzie są zdolnymi aktorami, zwłaszcza gdy chodzi o udawanie kompletnej niewiedzy. Dalina z pewnością potrafiła trzymać nerwy na wodzy i dysponowała dostateczną dozą samokontroli.

– Tak. Ktoś zabił Logana Awbreya w taki sam sposób, w jaki zamordował jego dziewczynę Diane. Wielokrotnie pchnięto go nożem. Tym samym narzędziem.

– O Boże! – zawołała Dalina. – Logan nie żyje?

– Tak. Od pewnego momentu wiedziała pani zapewne, że szukamy tego człowieka w sprawie morderstwa Diane Bristow, prawda? Jego zdjęcie opublikowano w prasie.

Dalina osunęła się na fotel.

– Wiedziałam. A przynajmniej tak podejrzewałam. Tak. A później pojawiło się jego nazwisko.

– Moja koleżanka, inspektor Graybourne, przesłuchiwała panią i prosiła o kontakt, jeśliby coś sobie pani przypomniała. Dlaczego nie zadzwoniła pani do nas, zorientowawszy się, że zna osobę, której szukamy?

Dalina uniosła bezradnie ramiona.

– Co by to dało? Nie widziałam go od wieków. Od lat nie mieliśmy z sobą kontaktu. Nie powiedziałabym nic, co pomogłoby policji.

– To był pani psi obowiązek. Co byśmy z tym zrobili, to już nasza sprawa. Pani koleżanka Anna też nic nam nie powiedziała. Wydaje mi się to bardzo dziwne.

– Anna, o ile wiem, również nie miała z nim kontaktu.

– Mimo wszystko. Uczestniczka jednego z kursów organizowanych przez pani agencję zostaje zamordowana. Zna pani tę kobietę. Anna Carter jest nawet prowadzącą, zna ją jeszcze lepiej. Opis poszukiwanego mężczyzny przypomina wam obu waszego dawnego przyjaciela z dzieciństwa Logana Awbrea. Wkrótce potem jest nawet poszukiwany z imienia i nazwiska. I żadna z was nie zdradza się ani słowem. Dlaczego, pani Jennings? Dlaczego obie uparcie milczałyście?

– Już mówiłam. Nie było nic do powiedzenia.

– Należało powiedzieć, że zna pani podejrzanego o morderstwo. I wie pani o nim różne rzeczy. Wszystko to mogło nam pomóc. To bardzo dziwne, pani Jennings, milczeć w takiej sprawie. Chyba że...

– Tak? – zapytała Dalina. Rozbudzona i czujna. Wyczekująca w napięciu. Kate znów pomyślała o przyczajonym drapieżnym kocie.

– Chyba że zataja się coś poważniejszego – dokończyła Kate.

– Co ma pani na myśli?

– Odciski palców Logana Awbrea znaleziono w domu Malorych. Po dokonaniu zbrodni. Nie dało się ich tylko zidentyfikować. Dopiero dzięki odciskom palców pozostawionym przez niego w samochodzie Diane Bristow, które później porównaliśmy również z odciskami z pokoju Awbrea w Scarborough, stało się jasne, do kogo należą. Ostateczne potwierdzenie przyniosła sekcja zwłok Logana Awbrea. Nie ulega najmniejszym wątpliwościom, że przebywał w domu Malorych.

– Tak, i co z tego? Co ja mam z tym wspólnego?

– Cała sprawa nie wydaje mi się zupełnie przypadkowa.

– Rozwożę pizzę i dostarczam ją także Alwinowi Malory'emu. Logan Awbrey, który nie był moim chłopakiem, a tylko dość irytującym wielbicielem, był kiedyś w jego domu. Nie rozumiem, czego pani ode mnie chce!

– Logan Awbrey nie pracował dla Biggestpizza. Ale być może dla innego dostawcy. Dowiem się tego, ale zaoszczędzi mi pani sporo czasu, jeśli mi powie, co wie. Czy to możliwe, że także Logan Awbrey dostarczał zamówienia rodzinie Malorych?

Dalina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnie mogło tak być. Ale z Loganem nigdy nie miałam aż tak wiele wspólnego. On mnie ubóstwiał i działał mi tym na nerwy. Nie spędziliśmy razem zbyt dużo czasu.

– Co czuł do Anny?

– Nie wiem.

– Byliście trójką przyjaciół, a pani nie ma o niczym pojęcia?

– Wcale nie byliśmy tak blisko. Nie wiem, kto pani naopowiadał o tej przyjaźni. Zналиśmy się, owszem. Ale nieczęsto przebywaliśmy razem.

– Nie utrzymywała pani bliższych kontaktów nawet z Anną?

– Nie. Ona nie jest moją bliską przyjaciółką.

– Ale dała jej pani pracę.

– Bo mam dobre serce. Siedziała i ryczała bez końca. Straciła pracę i przez trzy miesiące przebywała w klinice psychiatrycznej. I nie miała pojęcia, co z sobą począć. Powiedziałam więc: dobra, możesz u mnie pracować. Choć nie za bardzo się do tego nadaje – z tą swoją wieczną depresją i smutną miną, z którą się obnosi. Przynajmniej całkiem nieźle gotuje, a to przydatne na zajęciach kulinarnych, które cieszą się zresztą największą popularnością. I nie jest to wcale zasługą Anny. Gotowanie po prostu jest w modzie.

– Anna Carter przebywała w klinice psychiatrycznej? – zapytała Kate.

Dalina przytaknęła.

– Nawet dwukrotnie. Raz po śmierci rodziców. A później znowu, gdy miała problemy w pracy. Zatrudniła się w agencji nieruchomości, a to moim zdaniem jeszcze mniej odpowiednie dla niej zajęcie niż swatanie.

– Kiedy zmarli rodzice Anny?

– W trakcie jej studiów. Studiowała anglistykę i romanistykę. Nie wiem, co chciała potem robić. Jej rodzice wybrali się na wielką wycieczkę po USA. Parotygodniową. Jednym z punktów programu był przelot helikopterem nad Wielkim Kanionem. Helikopter się rozbił. Nikt nie przeżył.

– Szokujące.

– Tak. To zupełnie wytrąciło Annę z równowagi. Chyba na zawsze, od tamtej pory jest wrakiem człowieka. Przerwała studia, włóczyła się, okaleczała i takie tam... Koleżanki ze studiów w końcu namówiły ją na terapię, chyba naprawdę miała myśli samobójcze. W ten sposób trafiła do kliniki.

– Czy pozostawałyście wtedy w kontakcie?

– Nieregularnie. Jak już mówiłam, studiowałam w Manchesterze. Ona przebywała w Southampton. Ale po tej sprawie zadzwoniła do mnie. Stąd o wszystkim wiedziałam.

– A potem...?

– Nigdy nie wróciła na studia. Pracowała dorywczo. W końcu zatrudniła się w agencji nieruchomości w Norwich. Nie radziła sobie, nie wytrzymała presji. Wróciła więc do kliniki, tym razem z powodu wypalenia. Kiedy stamtąd wyszła, zjawiała się u mnie.

– Rozumiem. Kiedy i gdzie poznała swojego chłopaka? Samuela Harrisa?

Dalina wykrzywiła pogardliwie twarz.

– Najgorsze u Anny jest to jej wieczne biadolenie. I jej niewdzięczność. Sam jest przecież coachem. Zajmuje się doradztwem zawodowym. Poszła do niego, bo u mnie w pracy znowu poczuła się nieszczęśliwa. Znowu coś jej nie pasowało. Chciała uzyskać poradę, jakie ma jeszcze przed sobą możliwości. Ale najwyraźniej nic to nie pomogło. Wciąż u mnie pracuje. No cóż, znalazła za to atrakcyjnego faceta. Nie wiem, jak on z nią wytrzymuje, ale... to jego sprawa.

Kate zerknęła na trzymaną w rękę listę i nagle zmieniła temat.

– Niedługo po napadzie na Alvina Malory’ego przestała pani pracować dla Biggestpizza. Na dobre.

– Tak. Zaczęłam studiować w Manchesterze. Już mówiłam – odparła zniecierpliwiona Dalina.

– Zrezygnowała pani trzy dni po przestępstwie. Czyli dwudziestego dziewiątego lipca dwa tysiące dziesiątego. Uczelnie zazwyczaj zaczynają zajęcia na początku października.

– Mój Boże, nie znam wszystkich dat na pamięć. To się działo tak dawno temu!

– Mogłaby pani pracować jeszcze parę tygodni – odparła Kate.

– Może chciałam wyjechać. Chyba tak. To normalne po ukończeniu szkoły, prawda?

– Oczy Daliny załśniły gniewnie. – Co pani właściwie insynuuje? – zapytała.

– Jak dobrze znała pani Alvina Malory’ego?

– Jak kogoś, kogo się często zaopatruje. Nic bliższego. Po prostu go znałam.

– Czy była pani kiedyś w jego domu? Czy też zawsze zostawiała dostawy pod drzwiami?

Kate mogła wręcz dostrzec, jak w głowie Daliny kłębią się myśli. Widać było, że błyskawicznie rozważa, jakie znaczenie mają jej odpowiedzi i jakie mogą mieć konsekwencje.

– Kilka razy weszłam do domu – powiedziała w końcu.

– Dlaczego? To raczej nietypowe, prawda?

Dalina wzruszyła ramionami.

– Przez pewien czas wspomagał się chodzikiem. Miał problemy ze stawami. Wtedy zanosiał torby i pojemniki do kuchni. Nic więcej.

– Czy zdarzało się wam prowadzić prywatne rozmowy?

– Nigdy. Zawsze się spieszyłam.

– Chociaż Alvin Malory zamawiał zazwyczaj po południu. Późnym popołudniem, jak sądzę. Od której godziny Biggestpizza zaczyna realizować dostawy?

Dalina wyglądała na mocno poirytowaną.

– Od czwartej.

– I pewnie to była pora Alvina.

– Tak.

– A pani już się spieszyła? Czyżby kolejka zamówień była taka długa?

– Od szóstej zaczynał się prawdziwy młyn. Musiałam wracać. Poza tym z Alvinem nie było o czym gadać. Gruby, smutny chłopak. Było mi go żal, ale o czym, u licha, miałabym z nim rozmawiać?

– Wie pani, czy miał wrogów? Czy z kimś zadarł?

– Nie. Nie wiem i nic o nim nie wiedziałam.

Kate skinęła głową.

– Pani Jennings, czy mogłaby pani udać się ze mną do komisariatu? Potrzebujemy pani odcisków palców.

– Niby po co?

– Rutynowe działanie.

Dalina wyglądała tak, jakby rozważała kategoryczne odrzucenie tej prośby, ale chyba zdała sobie sprawę, że ma niewielkie szanse i że nie poprawi to jej sytuacji.

– Czy mogę się przynajmniej ubrać? – zapytała uszczypliwie. – Czy może chce mnie pani od razu wsadzić do celi w szlafroku?

– O żadnej celi nie ma mowy – odpowiedziała uprzejmie Kate. – I oczywiście powinna się pani ubrać.

Dalina wyszła z salonu, mrużąc coś pod nosem, Kate zrozumiała tylko słowa *państwo policyjne* oraz *samowola*. Rozejrzała się po ponurym pustym pokoju, ale nie zauważyła tam nic, co mogłoby jej pomóc. Wszystko wskazywało na to, że Dalina nadużywała alkoholu. Kobieta sukcesu, ale nieszczęśliwa, bo nie znalazła dla siebie upragnionego miejsca.

Ale czy miała coś wspólnego ze straszną zbrodnią, do której doszło dziewięć lat wcześniej?

To nie jest przypadek, pomyślała Kate. O żadnym przypadku nie może być mowy! Odciski Logana Awbreya w domu Alvina. Jego przyjaciółka, a przynajmniej kobieta, której pragnął, regularnie dostarcza tam jedzenie. Awbrey zostaje po latach zamordowany. To musi mieć jakiś związek!

A jednak nie mogła się opierać wyłącznie na przecuciach. Ostatecznie niemal wszystko mogło się okazać dziełem przypadku. Kate dobrze o tym wiedziała.

Ta Dalina to kobieta o silnych nerwach. Jeśli coś wie, wydobyć od niej jakichkolwiek informacji będzie trudne, wręcz niemożliwe. Zniesie godziny przesłuchań. Zupełnie inaczej niż Anna, która już po pięciu minutach była kłębkim nerwów. Anna była jak orzech, który można rozłupać.

Lecz Anna się ulotniła i na razie nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Powinam się była wcześniej dowiedzieć, że przebywała w psychiatryku, pomyślała Kate. Silna depresja i niestabilność emocjonalna. Nie należało ani na chwilę spuszczać jej z oczu.

Kroki na schodach. Dalina zajrzała do salonu. Uczesała włosy, ale nie zrobiła makijażu. Sweter, który miała na sobie, wyglądał na sfilcowany.

– Możemy już iść? Mam dziś jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– Oczywiście – odparła Kate. Wsunęła listę pracowników Sullivana z powrotem do kieszeni, sięgnęła po kluczyki. – Chodźmy.

## 5

Telefon komórkowy Pameli zadzwonił, gdy znajdowała się na wysokości Thornaby. Zostawiła za sobą wybrzeże i skręciła w głąb łądu. Właśnie zaczynał prószyć śnieg, chociaż płatki były dość wodniste i szybko topniały. Szosa ciągnęła się przed nią jak czarna, połyskująca wilgocią wstęga. Przez nisko zwieszony chmury nie przebijał się ani jeden promień słońca. Drzewa na horyzoncie przypominały ciemne sylwetki z wycinanki. Melancholijny dzień.

Pamela poczuła się spięta. Włączyła swoją ulubioną płytę i słuchała Lewisa Capaldi. *Grace*. Śpiewała do muzyki, zerkając od czasu do czasu w lusterko wsteczne, przyglądała się swojej twarzy, sprawdzając, czy widać po niej, że jak zawsze czuje nie tylko radość wyczekiwania, ale i niepokój.

– *I'm not ready to be just another of your mistakes* – śpiewała, gdy zabręczał jej telefon.

Zerknęła z ukosa, dzwonił inspektor Burden, kolega z policji South Yorkshire. Sprawa morderstwa Jamesa Hendersona.

Przez chwilę kusilo ją, żeby go zwyczajnie zignorować. Bądź co bądź miała wolny dzień. Ale potem górę wzięło jej poczucie obowiązku. Wyłączyła muzykę i odebrała.

– Inspektor Burden? Tu inspektor Graybourne.

– Tak, dzień dobry, inspektorko Graybourne, pomyślałem, że od razu do pani zadzwonię. – Burden najwyraźniej uznał ją za partnerkę w sprawie Hendersona. – Pytała pani wczoraj o Sue Haggan, szkolną przyjaciółkę Mili Henderson.

– Tak. Racja. Pomyślałam, że Mila Henderson może szukać u niej schronienia. Czy czegoś się pan o niej dowiedział?

– Tak. Było to nawet całkiem proste. Przez Facebooka. Jest mężatką, nazywa się teraz Sue Raymond i mieszka w Richmond. Mam nawet jej dokładny adres.

– Richmond? Będę przejeżdżać w pobliżu. Jestem akurat w drodze do Carlisle.

Jeśli Burden zastanawiał się, po co ktoś miałby o tej porze roku jechać do małej miejsciny blisko szkockiej granicy, to tego nie okazał.

– O, to świetnie. Czy miałaby pani czas wpaść tam na chwilę?

Pamela wjechała w zatokę parkingową i się zatrzymała.

Czy miała czas? Nie za bardzo. Z drugiej strony... może nie byłoby źle choć raz się spóźnić. To Leo zawsze się spóźniał, a ona godzinami siedziała w niewielkiej poczekalni hotelu, pijąc jedną kawę za drugą i zmagając się ze strachem, że w ostatniej chwili mógłby odwołać spotkanie. Już kiedyś tak się zdarzyło, a wtedy poczuła się, jakby umarła.

– Zanotuję adres – powiedziała do inspektora Burdena – a potem zobaczę, czy dam radę.

Burden podyktował adres, po czym życzył jej udanego weekendu i się pożegnał.

Tak, dobrze mu mówić, pomyślała Pamela, musiała jednak przyznać, że Mila Henderson to jej sprawa i że Burden okazał się jak dotąd nader pomocny.

Wstukała adres Sue Raymond do nawigacji. Wycieczka kosztowałaby ją sporo czasu. W Middleton, zamiast jechać ku Penninom Północnym, musiałaby skręcić na południe i tłuc się dobre czterdzieści minut do Richmond. Rozmowa z Sue zajmie raczej niewiele czasu. Drugie czterdzieści minut, zanim wróci na starą trasę.

Zatem co najmniej półtorej godziny.

Bywało, że na Leo czekała nawet cztery.

Gdyby jednak Mila Henderson rzeczywiście przebywała w domu dawnej szkolnej koleżanki, cała sprawa nie byłaby taka prosta. Musiałaby wezwać kolegów, Mila zostałaby aresztowana i przesłuchana...

– To idiotyczne! – powiedziała na głos.

Minęło trochę czasu, zanim dotarła do rozjazdu w Middleton i musiała się zdecydować. Niechętnie i ze złością skręciła w kierunku Richmond. Wzięła wolne, ale to ona była szefową i miała swoje ambicje... Pojedzie tam, z najlepszymi nadziejami. Zgodnie z regulaminem powinna jednak zgłosić to w komisariacie – nie wolno wyjeżdżać dokądkolwiek służbowo, w celu kontroli czy przesłuchania, bez poinformowania kolegów, gdzie się przebywa i o jakiej porze. To konieczne ze względów bezpieczeństwa. Mimo to Pamela dała za wygraną. Nie chciała nikomu tłumaczyć, dlaczego znalazła się akurat w tej okolicy, nie chciała znowu się meldować i zdawać relacji. Zamierzała tylko krótko porozmawiać z Sue Raymond. Zapewne nie dowie się niczego szczególnego, a potem jak najszybciej ruszy w dalszą drogę.

Dojechała do Richmond jakieś czterdzieści minut później, nawigacja poprowadziła ją przez miasto, aż dotarła do osiedla na obrzeżach, gdzie mieszkali Raymondowie.



Wszystkie domy i ogródki wyglądały właściwie identycznie. Typowe niewielkie domy dla młodych rodzin. W większości ogródków stały huśtawki i drabinki do wspinania. Latem na spokojnych ulicach z pewnością bawiły się hordy dzieci, mknąc na rowerach i malując na asfalcie grę w klasy. Ojcowie grillowali na tarasach, a mamy przygotowywały sałatki... Pamela musiała się uśmiechnąć, gdy przyłapała się na tych stereotypowych wyobrażeniach. Myśli te budziły w niej również tęsknotę. Osiedle, bawiące się dzieci, grillujący ojcowie, a ona w kuchni, dbająca o wszystkich – to już się w jej życiu nie wydarzy. Kiedy była młoda, odsuwała od siebie tę perspektywę. Nawet teraz nie była pewna, czy naprawdę tego pragnie. A mimo to czaił się w niej jakiś ból, jakiś smutek, którego nie dało się tak łatwo wymazać. Nie miała złego życia. Sporo osiągnęła w swoim zawodzie i wiedziała, że nadal będzie się wspinać po szczeblach kariery. Była z siebie dumna i czerpała z tego siłę oraz pewność siebie. A jednak w jej życiu... czegoś brakowało. Wszystko niby było w najlepszym porządku, ale czasem ów deficyt znacznie przewyższał to, co pozytywne.

Przestań o tym rozmyślać – nakazała sobie.

Dom Sue Raymond stał na końcu ślepej uliczki, przy placu do zawracania, a przez to w nieco większej odległości od pozostałych domów osiedla. W ogródku zobaczyła renifera ciągnącego sanie, ale oświetlenie nie było włączone. Wewnątrz domu także panował mrok, przynajmniej w pomieszczeniach od strony ulicy. Na podjeździe nie parkował żaden samochód, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło, gdyż stał tam również garaż, którego drzwi były zamknięte.

Pamela zostawiła samochód przy placu do zawracania i przeszła ścieżką do drzwi wejściowych. Zadzwoiła i czekała. Nikt nie otwierał.

Bo nikogo nie było w domu? Czy może dlatego, że przebywała tu Mila i udawano, że nikogo nie ma?

Pamela zadzwoniła po raz drugi i trzeci. Już miała się odwrócić i odejść, gdy usłyszała za drzwiami kroki. Drzwi się otworzyły.

W progu stała kobieta. Wpatrywała się w Pamelę. Była upiornie blada, miała zmierzwiłone włosy i zaczerwienione oczy.

– Tak? – zapytała cichym głosem.

– Pani Raymond? – zapytała Pamela, wyciągając legitymację. – Sierżant śledcza Graybourne z policji North Yorkshire.

– Tak?

– Czy pani Raymond?

– Tak.

– Zna pani Milę Henderson? Z czasów szkolnych?

– Tak – pisnęła Sue. Jak dotąd nic nie powiedziała poza tym jednym słowem.

– Pani Raymond, mam tylko jedno pytanie. Czy Mila Henderson ostatnio kontaktowała się z panią, a może nawet u pani była? Policja ma do niej kilka bardzo pilnych pytań.

Sue chciała coś powiedzieć, ale tylko zachrypiała i odchrząknęła.

– Nie. Nie, nie mam od niej żadnych wiadomości.

– I nie było jej tutaj?

– Nie. – Sue stała w drzwiach jak posąg. Chyba nie zamierzała zaprosić Pameli do środka. Właściwie wszystko też zostało wyjaśnione.

Właściwie.

Pamela miała dziwne przeczucie. Ta Sue wydawała się zupełnie roztrzęsiona, wyglądała na przemęczoną i zachowywała się jak zdalnie sterowany robot. Wciąż pocierała dłonie. Pamela dostrzegła wilgotną warstwę potu na jej bladym czole.

– Pani Raymond, czy wszystko w porządku?

– Tak – zapewniła Sue. – Tak. – Nie zabrzmiało to jednak, jakby mówiła prawdę.

– Wygląda pani na chorą. Na pewno nic pani nie dolega?

– Nie! – powiedziała Sue, rzucając jej błagalne spojrzenie.

– Czy pani mąż jest w domu?

– Nie. On... wyjechał z przyjaciółmi na weekend. Wróci w niedzielę.

– Jest pani zupełnie sama?

– Moja córka... – jęknęła Sue. – Moja córka jest tutaj. Ma sześć miesięcy.

Matka i małe dziecko. Kobieta była kłębkim nerwów, a w dodatku zupełnie u kresu sił.

– Wydaje się pani taka zmartwiona – powiedziała Pamela. – Chętnie wejść i napiję się z panią herbaty, a pani opowie mi trochę o Mili Henderson.

Byłaby to prawdziwa katastrofa dla jej harmonogramu, ale z tą kobietą coś jest nie w porządku.

– Nie! – odparła Sue. Prawie krzyknęła. – Moje dziecko... w końcu zasnęło. Kiedy się obudzi... Nie spała całą noc...

Może dlatego Sue była na skraju wyczerpania. Płaczące bezustannie dziecko, nieprzespane noce. Facet zostawił ją z tym problemem, a sam oddawał się przyjemnościom.

– Rozumiem – powiedziała uspokajająco Pamela. Wyciągnęła z kieszeni wizytówkę i podała ją Sue.

– Proszę zadzwonić do mnie, jeśli Mila Henderson skontaktuje się z panią. I pod żadnym pozorem proszę nie wpuszczać jej do domu. Proszę uważać i dać mi znać. W porządku?

– W porządku. – Sue odetchnęła i wzięła wizytówkę. Jej dłoń drżała.

– Do widzenia – pożegnała się Pamela.

Sue nie odpowiedziała, tylko zamknęła drzwi.

Pamela pokiwała głową, wróciła do samochodu i uruchomiła silnik. Wyjechała z ulicy i osiedla, wkrótce potem znalazła się z powrotem w centrum Richmond. Przed kawiarnią właśnie zwolniło się miejsce parkingowe, zatrzymała się więc, wysiadła, przyniosła sobie duże cappuccino i usadowiła się z nim w samochodzie. Obserwowała przemykających ludzi. Zajętych weekendowymi zakupami albo wymianą świątecznych prezentów. Znowu zaczął prószyć śnieg. Płatki były teraz grubsze. Tu, w mieście, nie pozostawał po nich ślad, ale pola i lasy do wieczora będą białe. Pomyślała o czekającym na nią hoteliku. Przytulnym pokoju. Kolacji przy świecach. A jednak raz za razem przesłaniał to wszystko widok Sue Raymond.

Niesamowicie blada. Zrozpaczona. Drżąca.

Czy tak wygląda zwyczajna młoda matka cierpiąca na brak snu?

Pamela pociągnęła spory łyk kawy, sparzyła sobie usta, zaklęła.

– Szlag! – Jej złość nie była spowodowana wyłącznie zbyt gorącą kawą, ale również sytuacją, w jakiej się znalazła. Od miesiący czekała na ten weekend. A teraz miała go sobie zepsuć, bo sprawa, nad którą właśnie pracowała, akurat w to piątkowe popołudnie pilnie ją zaabsorbowała. A może tylko to sobie wmawiała?

Myśl o Sue nie dawała jej spokoju. Kobieta była zupełnie nieobecna. Pamela nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że Sue emanowała strachem. Potwornym strachem. A do tego zachowywała się jak zdalnie sterowana.

Jak robot, pomyślała Pamela.

A jeśli Mila przebywała jednak w tym domu? Jeśli jej groziła? Jeśli wywierała na Sue presję?

Sue miała sześciomiesięczne dziecko. Wystarczyło, że Mila stanęła obok łóżeczka z bronią, być może nożem w ręku. Sue zrobiłaby wszystko, by pod żadnym pozorem nie wpuścić do domu niepożądanych gości, tylko szybko się ich pozbyć. I oczywiście twierdziłaby, że wszystko jest w najlepszym porządku. W rzeczywistości byłaby zdjeta paniką i zrozpaczona, a właśnie tak oceniła ją Pamela.

Jeśli Mila Henderson zamordowała Patricję Walters i Jamesa Hendersona, była osobą nader groźną, a wtedy Sue Raymond i jej dziecko znalazłyby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Pamela wiedziała, że jako policjantka nie może w tej sytuacji spokojnie wyjechać na weekend z ukochanym.

Dopiła kawę i wysłała na WhatsAppie wiadomość do Leo: *Mogę się trochę spóźnić... Tak bardzo się cieszę ze spotkania z Tobą. Pam.* Dodała serduszko. Następnie uruchomiła silnik i ruszyła.

Dziesięć minut później znów zaparkowała na zakręcie osiedlowej drogi i wysiadła. Zanim dotarła pod drzwi, jej włosy i płaszcz pokrył śnieg. Nacisnęła dzwonek. Nadal nikogo nie powiadomiła. Przy tej drugiej próbie nawet o tym nie pomyślała. Zdawała sobie sprawę, że nie tylko postępuje wbrew zasadom, ale także wikła się w nader niebezpieczną sytuację. Kiedy wciąż szukała w torebce telefonu, żeby zadzwonić do biura, drzwi się otworzyły. W progu stała Sue. Wyglądała na równie zdruzgotaną jak wcześniej.

– Inspektorko... – powiedziała chrapliwym głosem.

– Pani Raymond, tak, wróciłam – powiedziała Pamela i zrezygnowała z szukania komórki. Teraz musiała zdać się wyłącznie na siebie. – Pomyślałam, że zamienię z panią jeszcze kilka słów na temat Mili Henderson. Mogę wejść na chwilę?

Sue odsunęła się w bok.

– Tak. Proszę.

Pamela spodziewała się większego oporu. Zawahała się przez chwilę.

– Będę cicho, żeby nie obudzić dziecka.

– Dobrze – odparła Sue. Miała skostniałą twarz, a cerę woskową.

Pamela weszła do wąskiego przedpokoju. Zwróciła uwagę na nieprzyjemny zapach, którego nie potrafiła zidentyfikować. Zgniłe jedzenie? Mocz? Ekskrementy? Chyba to ostatnie. Dziecięce pieluszki, których przez długi czas nie wyrzucano?

Albo ta kobieta była na tyle przemęczona i przytłoczona, że jej dom powoli niszczał. Albo coś tu było nie tak.

– Proszę – powiedziała Sue. Jej głos brzmiał monotonicznie. – Tu jest salon.

Pamela zobaczyła choinkę, jasny kącik wypoczynkowy, dziecięce zabawki w rogu pokoju, ogromny telewizor, stół, na którym stał talerz ze świątecznymi ciasteczkami. Na jednym z okien delikatnie poruszała się karuzelka z figurkami aniołków i bombkami choinkowymi. Wszystko wyglądało na uporządkowane, zadbane, ślicznie urządzone. Nic nie świadczyło o tym, by życie Sue Raymond pod wpływem stresu wymykało się spod kontroli. Wystrój salonu zwyczajnie nie pasował do unoszącego się w domu zapachu.

Pamela weszła do środka. Odwróciła się do Sue i powiedziała:

– Wie pani, Milla Henderson jest...

Nie dokończyła. Kątem oka spostrzegła cień czający się przy ścianie za drzwiami, ale nie zdołała zareagować. Cios trafił ją w czoło, przeraźliwy ból przeszył jej głowę, pomknął w dół kręgosłupa i w ułamku sekundy pochłonął całe jej ciało.

Umieram. To koniec – pomyślała.

Potem zapadła ciemność, straciła przytomność.

Powoli dochodziła do siebie. Z początku w ogóle nie pamiętała, co się stało. Bolało ją całe ciało, każda kość i każdy mięsień, najbardziej jednak głowa. Jakby młot raz za razem uderzał w jej skronie, pulsujący, mocny, rytmiczny ból bezlitośnie przenikał co sekundę jej mózg w fali agonii. Było zimno i ciemno. Poczowała dziwną woń, nie tyle mdłą, ile nietypową, nie potrafiła jej rozpoznać.

Gdzie się znalazła?

I co się stało?

Coś mokrego i lepkiego zwilżyło jej twarz, Pamela chciała podnieść rękę i dotknąć policzków, nosa, ust, by zetrzeć to, co wydawało się tak nieprzyjemne, nie mogła jednak poruszyć ani dłonią, ani ramieniem. Powoli uświadomiła sobie, że jej ręce zostały związane za plecami. To przez ten tępy ból głowy myślała tak ospale. Jakby jej umysł tak bardzo był nim pochłonięty, że zwyczajnie nie mógł funkcjonować, a przynajmniej pracował bardzo ociężale.

Było potwornie zimno, a do tego leżała na czymś twardym.

Pamela mocno zamrugała oczami, które były chyba napuchnięte. Przez wąską szczelinę okienną, tuż pod sufitem, do wnętrza wpadała odrobina światła. Choć określenie „światło” było przesadą: to była jedynie drobna smuga rozproszonego zmierzchu. Widziała tylko niewyraźne kształty przedmiotów: sięgające aż do sufitu regały, na nich rozmaite rzeczy, których nie potrafiła rozpoznać. Sama chyba leżała na podłodze. Gładkie płytki, lodowate, bez żadnej izolacji przed zimowym chłodem. Nagle przypomniała sobie, że padał śnieg. Na zewnątrz było okropnie zimno. Teraz przebywała w nieogrzewanym pomieszczeniu.

– O Boże – mruknęła cicho. Usta miała wysuszone, jakby wypełnione watą albo trocinami.

Próbowała się wyprostować, milimetr po milimetrze, tak bardzo bolała ją głowa. Wszystko jej doskwierało, ale głowa najdotkliwiej. Pewnie doznała wstrząśnienia mózgu. Czyżby pękła jej czaszka? Nagle przypomniała sobie cień, cień za drzwiami... To była ostatnia rzecz, którą ujrzała. Potem zapadła ciemność.

Ale przedtem pojawił się ból... straszliwy ból... Zamknęła oczy, zobaczyła pręt uderzający w jej głowę. Z jakiegoś metalu... Ktoś przyczał się za drzwiami i żelaznym prętem uderzył ją w czoło.

Jej myśli nabrały tempa. Richmond, przebywała w Richmond. Odwiedziła tę kobietę... jak się nazywała? Sue. Sue Raymond. Kobieta z dzieckiem. Szkolna koleżanka Mili Henderson.

Kiedy w jej głowie zaświtało nazwisko Mili Henderson, nagle powróciły wszystkie pozostałe wspomnienia, zalały jej myśli, jakby w jednej chwili pękła tama, która je dotąd wstrzymywała. Wyjazd na długo wyczekiwany weekend. Leo. Telefon od inspektora Burdena. Jej gotowość, by nadłożyć drogi do Richmond i sprawdzić, czy Sue Raymond udzieliła schronienia Mili Henderson. Dziwne zachowanie Sue, emanujący z niej strach... Wróciła, by to ponownie sprawdzić. Weszła do domu. Za pierwszym razem Sue nie wpuściła jej do środka. Za drugim zrobiła to bez chwili wahania. Pułapka, to oczywiste. Mili przebywała w domu. Przejęła kontrolę. Kiedy Pamela zjawiała się ponownie, wiedziała już, że policjantka nie da za wygraną. Że jakimś sposobem się zorientowała i wezwie kolegów funkcjonariuszy.

Trzeba ją było unieszkodliwić.

A Sue współdziałała. Mimowolnie. Na poły oszalała ze strachu, z powodu dziecka. Była gotowa na wszystko, byleby tylko Mili zostawiła je w spokoju.

A ona, Pamela, złamała wszystkie zasady. Nikomu nie zdradziła swoich zamiarów. Jej najbliższa współpracownica, sierżant Linville, nie miała pojęcia, gdzie się podziewa. Podobnie jak pozostali pracownicy wydziału. Do poniedziałkowego poranka nikt nie zauważył jej zniknięcia.

O wszystkim wiedział jedynie inspektor Burden z policji South Yorkshire. Ale on nie pozostawał z innymi w kontakcie. Przez długi czas nie zauważył, że coś jest nie tak. Chyba że spróbuje się dowiedzieć, co przyniosła rozmowa z Sue. Możliwe jednak, że jeśli się do niego nie odezwie, uzna po prostu, że trop okazał się nieprzydatny.

W każdym razie zapewne nie skontaktuje się z nią wcześniej niż w poniedziałek. Jeśli w ogóle.

Leo. Leo oczywiście już dziś zauważył, że się nie pojawiła.

A potem? Nigdy w życiu nie zwróciłyby się do jej kolegów. Nie zwróciłyby się do nikogo, panicznie się bojąc, że ich związek może wyjść na jaw.

Co mógł sobie pomyśleć? W ostatniej wiadomości napisała mu, że trochę się spóźni. Dodała serduszko. Trudno byłoby mu uwierzyć, że po prostu zmieniła zdanie, że straciła zainteresowanie ich związkiem. A może jednak? Pod koniec listopada pokłócili się przez telefon. Wiedziała, że cały okres przedświąteczny oraz same święta będzie musiała spędzić sama, bez spotkania. Myśl ta doprowadziła ją w pewien deszczowy weekend do łez. To dlatego walczyła o wspólny weekend zaraz po świętach. Odbyli gwałtowną rozmowę, wyczuła, jak bardzo irytują go jej łzy. Najchętniej by się rozłączył, by uniknąć niezręcznej sytuacji. Nie zrobił tego wyłącznie przez grzeczność. Może teraz pomyślał, że było jej przykro. Z powodu samotności, ciągłego wyczekiwania. Posiadania partnera, a zarazem bycia singielką. Samotnych wieczorów,

niekończących się weekendów, a jednocześnie niemożności znalezienia kogoś, kto byłby gotów ofiarować jej więcej.

Czy mógł tak pomyśleć? Że się nie pojawiła, by bez słowa dać mu do zrozumienia, że to koniec? To nie w jej stylu. Nigdy nie wybierała łatwych, tchórzliwych rozwiązań. Miałyby dość odwagi, by stanąć z nim twarzą w twarz i pożegnać się w jednoznacznych słowach.

Pewnie jednak nie będzie o tym rozmyślał. Ostatecznie nawet go to ucieszy. Że to koniec. Że nie będzie już musiał zadręczać się wyrzutami sumienia wobec żony i że nie doświadczy już kłótni z kochanką. Będzie zadowolony, że ona to zakończyła. Bo sam nigdy nie zdecydowałby się na taki krok. Unikał sytuacji konfliktowych jak diabeł święconej wody.

W każdym razie na Leo też nie mogła liczyć, a to oznaczało, że znalazła się w nader krytycznym położeniu.

Wśród cichych jęków zdołała się tymczasem wyprostować w pozycji siedzącej. Jej wzrok coraz bardziej przyzwyczajał się do ciemności, choć czuła pulsujący ból. Zauważyła, że na półkach znajdowały się zapasy żywności. Opakowania płatków kukurydzianych, butelki soku pomarańczowego, słoiki z jedzeniem dla dzieci. Widocznie była to spiżarnia. Prawdopodobnie mieściła się w piwnicy ze świetlikiem.

Pamela zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spragniona, ale trudno byłoby jej sięgnąć i otworzyć butelkę soku pomarańczowego, mając ręce ciasno związane za plecami. Spróbuje to zrobić, zanim umrze z pragnienia, na razie jednak chciała oszczędzać siły. Absurdem byłoby zagłodzić się na śmierć i umrzeć z pragnienia w dobrze zaopatrzonej spiżarni. W tej chwili poważniejszym wrogiem wydało jej się zimno. Potwornie marzła. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby się ogrzać, za kocem, jakimiś poduszkami, ale nic nie znalazła. Zauważyła teraz, że zabrano jej zimowy płaszcz, który miała na sobie, gdy weszła do salonu. Była w džinsach i czarnym golfie z włosatej wełny, który jednak nie chronił przed tym okropnym ziąbem. Przynajmniej zostawiono jej buty.

Zastanawiała się, czy jest w domu sama. Mila nie mogła wiedzieć, że Pamela nikogo nie powiadomiła. Musiała spodziewać się przybycia kolejnych funkcjonariuszy. W końcu pewnie uciekła. Razem z Sue i dzieckiem? Samochodem Pameli?

Zauważyła swoją torebkę leżącą kilka kroków dalej, przez chwilę zakiełkowała w niej nadzieja, że nadal jest w niej telefon komórkowy. Potem jednak uznała, że Mila chyba nie byłaby aż tak głupia. Mimo to podczołgała się w jej stronę. Nie mogła używać rąk, ale brodą zdołała otworzyć zamykaną na magnes torebkę. Choć ledwie mogła dojrzeć jej zawartość, spostrzegła, że została bezwzględnie przeszukana. Zębami wyciągnęła rocznik podarowany jej przez Lavandou. Najwyraźniej Mila nie

była nim zainteresowana. Upuściła go obok siebie na podłogę. Potem się odwróciła, torebkę miała teraz za plecami. Skrępowanymi rękami sięgnęła do środka najgłębiej jak tylko się dało, obmacała poszczególne przedmioty. Portfel, paczka papierowych chusteczek, szklana fiolka z granulkami, które brała na przeziębienie. Jakies papiery, etui, w którym trzymała okulary do czytania, kilka luźnych monet. Tak jak podejrzewała: telefon komórkowy zniknął. Podobnie jak kluczyki do samochodu.

Chciała przetrzeć lepką twarz chusteczką, ale wiedziała, że jej się to nie uda, dopóki nie oswobodzi rąk. Domyśliła się, że to krew lepiła jej się do policzków, czoła, w kącikach oczu, na ustach. Z pewnością kiepsko wyglądała. Uderzenie w głowę musiało pozostawić po sobie poważną ranę. Przynajmniej miała wrażenie, że już nie krwawi.

– Okej – powiedziała na głos. Słyszac to, poczuła się lepiej. – Jak przedstawia się sytuacja?

Wcale nie przedstawiała się dobrze, choć nie była też zupełnie beznadziejna. Przypomniała sobie słowa Sue: w niedzielę wróci do domu jej mąż. Gdyby Mila razem z Sue i dzieckiem uciekły samochodem Pameli, przynajmniej nic złego by go nie spotkało. Przeczesałyby dom w poszukiwaniu żony i dziecka, a Pamela krzyczałaby możliwie jak najgłośniejsz. Uwolniłby ją z więzów, a ona mogłaby natychmiast wszczać pościg za uciekinierkami. Mila miałyby jednak znaczną przewagę: było piątkowe popołudnie. Do chwili powrotu męża Sue, prawdopodobnie w niedzielny wieczór, Mila miała czterdzieści osiem godzin na ucieczkę w dowolnym kierunku.

Mila wraz z zakładnikami mogła jednak nadal przebywać w domu. To byłaby znacznie gorsza opcja, bo w niedzielę mąż Sue również wpadłby w pułapkę i zostałby uwięziony. Wtedy sprawy przybrałyby naprawdę niebezpieczny obrót.

Pamela wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w odgłosy domu, który jak przypuszczała, wznosił się nad piwnicą. Możliwe też, że przebywała w pomieszczeniu na parterze obok kuchni. W każdym razie nie usłyszała żadnego dźwięku. Wokół panowała martwa cisza. Czyżby dziecko w ogóle nie płakało? Może w piwnicy nie było go slychać.

Przypomniała sobie obrzydliwy zapach w korytarzu, do tej pory nie znalazła dla niego wytłumaczenia. Natomiast tu, w spiżarni, czuło się wprawdzie stęchliznę, było jednak całkiem znośnie.

Pamela nie wiedziała, czym skrępowano jej ręce, miała nadzieję, że nie są to opaski zaciskowe do kabli. Wtedy nie zdołałaby się uwolnić. Jednak materiał wydawał się dosyć szorstki w dotyku, jak lina albo gruby sznur. Odczołgała się od bezużytecznej torebki i oparła plecami o drewniany słupek jednego z regałów. Uniosła nieznacznie ręce i zaczęła pocierać o drewno krępującą ją więzy. Może dopisze jej szczęście. Może



uda jej się oswobodzić choćby dłonie. To nie wybawiłoby jej jeszcze z opresji, ale mogłaby jeść i pić i nie byłaby zupełnie bezbronna, gdyby nagle pojawiła się przed nią Mila.

Wiedziała, że zachowała się jak cholerna żółtodzióbka, a nawet gorzej. Większość nowicjuszy skrupulatnie przestrzega wszelkich zasad, to raczej starsi idą czasem na skróty, bo przez lata nabywają doświadczeń, które nierzadko okazują się o wiele ważniejsze niż wiedza zaczerpnięta z książek.

Błędu, jakiego się dopuściła, nigdy jednak nie powinna była popełnić, niezależnie od tego, jaką rangę osiągnęła. Wiedziała, że Mila Henderson może przebywać w tym domu. Dlatego właśnie tu przyjechała. Wiedziała, że Mila jest podejrzana o zamordowanie z zimną krwią dwóch osób. Skłaniała się do tej wersji nawet bardziej niż sierżantka Linville, która nieustannie wysuwała kontrargumenty. Pamela nie przekonało nawet wybite okno w domu Patricii Walters. Fakt, Mila nie musiałaby się włamywać. Nie ustalono jednak, czy miała coś wspólnego z wybitą szybą. Przyczyną mogło być cokolwiek, test odwagi kilku durnych chłopców, piłka kopnięta w złym kierunku. Ale właśnie dlatego, że była tak głęboko przekonana o niebezpiecznym charakterze Mili Henderson, nigdy nie powinna była tu przyjeżdżać, nikogo uprzednio nie powiadomiwszy.

Nigdy.

Przerwała na chwilę próbę rozluźnienia więzów, usiłując znaleźć nieco wygodniejszą pozycję na twardej posadzce, co jednak okazało się daremne. Nie mogła też uniknąć zabójczego zimna. Dostanie przykrego zapalenia pęcherza, ale będzie to pewnie najmniejszy z jej problemów.

Wzdychając, uniosła nadgarstki i znów zaczęła pocierać sznurem o drewniany słupek. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Głośny, agonalny wrzask, podobny do tego, jaki wydaje ginące zwierzę. I wtedy ktoś krzyknął:

– Nie! Nie! Nie, proszę, nie! Nie rób tego! Proszę! Nie!

Pamela zamarła.

To krzyczała Sue. A więc Sue nadal przebywała w domu. Podobnie jak jej przeciwniczka. Sue była w poważnych tarapatach.

W piwnicy zaś siedziała niezdolna do interwencji policjantka.

Szarpnęła więzy. Niewiele brakowało, a też by wrzasnęła. Nic nie mogła zrobić. Nic, do cholery, nie mogła zrobić.

Sue znów wrzasnęła. To był chrypliwy, rozpaczliwy ryk.

Mila nie ucieknie z zakładnikami. Mila ich ukatrupi.

I najwyraźniej przystąpiła do działania.

Kiedy Anna dotarła do Scarborough, była szósta wieczorem, zapadła już ciemność. Spędziła kilka godzin na londyńskim przedmieściu, którego nazwy wciąż nie знаła, ale to nie miało żadnego znaczenia. Siedziała w samochodzie, dwukrotnie przyniosła sobie kawę, patrzyła przed siebie i nieustannie rozmyślała o swoim życiu, lecz rezultat jej rozważań zawsze okazywał się ponury, mroczny, druzgocący. Późnym przedpołudniem wreszcie wyruszyła z powrotem na północ, ale zrobiła sobie dwie długie przerwy na parkingach. Raz nawet udało jej się zdrzemnąć.

Gdy wyjeżdżała, właśnie zaczął padać deszcz. W połowie trasy deszcz przemienił się w śnieg. Mrok zapadł wcześniej. Anna jechała bardzo powoli. Widoczność była kiepska.

Jej telefon brzęczał raz za razem. Kilkakrotnie dzwoniło z ukrytego numeru. To bez wątpienia sierżantka Linville. Także Dalina próbowała się dodzwonić, wysłała też kilka wiadomości na WhatsAppie.

Tablicę miasta Scarborough Anna minęła w gęstej śnieżycy. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, dokąd ma jechać. Do Harwood Dale, jej odgradzonego policyjnym kordonem lodowatego domu?

Do mieszkania Sama? Możliwe, że już wrócił. Poirytowany i zestresowany.

Zjechała na pobocze i zatrzymała samochód. Gdy tylko wycieraczki przestały się poruszać, przednia szyba natychmiast pokryła się grubą warstwą śniegu. Wyciągnęła telefon, wyświetliła listę z danymi adresowymi swoich kursantów. Na zakończonych właśnie zajęciach nie znalazła Kate, gdyż dołączyła w ostatniej chwili; Anna zauważyła jej nazwisko wśród uczestników kursu, który miał się rozpocząć w styczniu. Kate Linville. Mieszkała w Scalby, na przedmieściach Scarborough. Anna spojrzała na zegarek. Tuż po szóstej, piątkowy wieczór. Kate z pewnością nie było już w komisariacie. I tak za żadne skarby by tam nie poszła. Ta groźna policyjna atmosfera... Odwiedzi Kate w domu. I o wszystkim jej opowie.

Już miała odłożyć komórkę na siedzenie pasażera, gdy nadeszła wiadomość na WhatsAppie. Od Daliny. Piąta albo szósta.

*Anno, do cholery, to poważna sprawa. Gdzie jesteś? Dlaczego się nie odzywasz? Koniecznie musimy porozmawiać. TO PILNE! Proszę, zadzwoń, albo jeszcze lepiej napisz mi, gdzie jesteś. Zaraz przyjadę. To ważne. Bardzo!!!*

Dalina mogła sprawdzić, czy Anna odczytała wiadomość, i pewnie się wścieknie, że nadal nie odpowiada. Nie wyobrażała sobie, by w tej sytuacji mogła pójść akurat do Daliny. Doskonale wiedziała, czego tamta od niej chce. I nie zamierzała się narażać.

Wpisała w Google adres Kate i włączyła nawigację. Słyszała, jak docierają kolejne wiadomości na WhatsAppie, jedna po drugiej. Nie sprawdzała ich, ale mogłaby się założyć, że pochodzą od Daliny, która pewnie zauważyła, że Anna odczytała ostatnią wiadomość, lecz najwyraźniej nie zamierzała odpowiedzieć. Niech się wścieka. Niech jej grozi, niech ją zwolni, niech zwyzywa – w ogóle się tym nie przejęła. Przestała płakać. I tak nie miała już w sobie łez. Ogarnął ją dziwny spokój, gdy jechała przez ciemne, zaśnieżone Scarborough. Świat tonął w białym puchu.

Anna nie miała już nic do stracenia.

Nigdy by nie przypuszczała, że świadomość ta wywoła w niej tak dobry nastrój.

Minęła mieszkanie Sama i spojrzała w okna na górze. Wszędzie panował mrok. Na ulicy nie parkował też jego samochód. Nie było go w domu. Albo zgodnie z planem został w Londynie do soboty, albo przebywał już w komisariacie. Co mogło oznaczać, że Kate nie ma w domu.

Zaraz to sprawdzi.

Gdy dotarła do domu Kate, ujrzała rozświetlone okna oraz zaśnieżony samochód na podjeździe. Zaparkowała tuż przy ogrodzeniu i wysiadła. Jej buty tonęły w śniegu. Spojrzała w górę, w hipnotyzujący wir miliardów płatków na tle ciemnego, wieczornego nieba.

Potem ściągnęła ramiona i ruszyła w stronę drzwi.

Kate stała w sypialni, zastanawiając się, co włożyć na randkę z Burtem. Problem w tym, że bardzo rzadko wychodziła na prywatne spotkania – prawie nigdy – i niemal zupełnie brakowało jej do tego stosownej garderoby. Właściwie miała jedynie niebieską sukienkę zakupioną w trakcie nieszczęsnego romansu z Davidem Chapmanem – mężczyzną, którego pokochała całym sercem, a który ją wykorzystał i oszukał. Nigdy więcej jej nie włożyła, ponieważ przywoływała zbyt bolesne wspomnienia. Teraz wyjęła ją z szafy.

Czemu nie?

Włożyła ją. Sukienka była bardzo krótka i obcisła, ale Kate bez wątpienia dobrze w niej wyglądała. Niezwyczajnie. Do tego czarne rajstopy oraz czarne buty – i gotowe.

Z narastającą desperacją grzebała w szufladzie w poszukiwaniu pary niepozaciąganych rajstop, gdy usłyszała dzwonek do drzwi.

Może to Burt? Może ze względu na aurę postanowił po nią przyjechać, bo nie chciał pozwolić, by jechała sama? Kate przewróciła nerwowo oczami. Nie nawykła do tego, by mężczyźni się nią opiekowali, wcale jej się to nie podobało. To niweczyło jej własne plany. Teraz na przykład nie była jeszcze ubrana.

Boso pobiegła do łazienki, której okno znajdowało się bezpośrednio nad drzwiami wejściowymi. Otworzyła je i się wychyliła. Od razu poczuła na twarzy grube płatki

śniegu.

– Jeszcze nie jestem gotowa! – zawołała.

Jakaś postać odsunęła się od drzwi, zrobiła krok w tył, wchodząc na wyłożoną płytami ścieżkę.

– Kate... sierzantko Linville? To ja!

Kate natychmiast rozpoznała głos.

– Anna?

– Tak.

– Chwileczkę. Zaraz zejść. – Zatrzasnęła okno i zbiegła po schodach boso, z gołymi nogami i w śmiesznie krótkiej sukience, która z każdym kolejnym krokiem przesuwiała się coraz wyżej. Nie pozwoli Annie czekać ani chwili dłużej. Nie wiadomo, jak szybko gotowa jest znów zmienić zdanie, a potem zniknąć.

Otworzyła drzwi. Przed nią stała Anna.

– Proszę wejść – powiedziała Kate – przez cały dzień wydzwaniałam do pani.

– Wiem – odparła Anna. Weszła do przedpokoju. Z jej włosów kapiała woda. Kate wzięła jej płaszcz i pchnęła ją do salonu, gdzie płonął elektryczny kominek, a na choince paliły się światełka.

– Proszę usiąść. Napije się pani herbaty?

– Tak, poproszę – odpowiedziała Anna. Wydawała się nader spokojna. Już nie tak nerwowa, płaczliwa, wystraszona, jaką zapamiętała ją Kate poprzedniego dnia. Jakby wycofana, a przez to łagodniejsza. Oderwana do świata i jego katastrof.

Anna usiadła na kanapie i pogłaskała Messy, która położyła się obok i natychmiast zaczęła wydawać głośne pomruki. Kate pobiegła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Przy drzwiach prowadzących na taras stały chodaki, które czasami nosiła latem do pracy w ogrodzie. Wślizgnęła się w nie, choć wyglądała w nich jeszcze bardziej komicznie. Nieważne. Teraz chodziło wyłącznie o Annę.

Wrzuciła dwie torebki herbaty do dwóch kubków, zalała je wodą, razem z mlekiem i cukrem umieściła wszystko na tacy i wróciła do salonu. Messy leżała już na kolanach Anny. Kotka emanowała zadowoleniem, ciepłem i błogim spokojem. Kate od dawna żywiła przekonanie, że do przesłuchań należy dopuścić zwierzęta. Wiele osób wyraźnie się rozluźniało w ich obecności. Zwierzęta potrafiły znosić wewnętrzne blokady, sprawiały, że pękały tamy. Jakby stało się bosymi stopami na ziemi albo przytulało do drzewa, albo czuło na twarzy dotyk płatków śniegu. A nawet znacznie lepiej. To była łączność ze źródłem. Z tym, co się liczyło.

– Anno, cieszę się, że trafiła pani do mnie – przyznała Kate. Wiedziała, że powinna pojechać z nią do biura, zamiast prowadzić tę rozmowę u siebie w salonie, obok choinki. Instynkt podpowiadał jej jednak, że nic porozumienia pęknie, jeśli się teraz

ubierze, zaciągnie Annę do samochodu i zawiezie ją do komisariatu. Umieści ją tam w bezosobowym, zimnym pomieszczeniu, które w ten piątkowy wieczór dopiero będzie się musiało nagrzać, by w odpowiednich warunkach można było przeprowadzić rozmowę.

Zostaną więc tutaj. Przy herbacie, ogniu w kominku, razem z kotem.

– Gdzie się pani dzisiaj podziewała? – zapytała rzeczowo.

– Byłam w Londynie. Przynajmniej w pobliżu.

– W pobliżu Londynu? Przypuszczam, że chciała się pani spotkać z panem Harrisem?

– Tak. Ale nie wiem, gdzie właściwie znajduje się dom, w którym przebywa jego ojciec. A poza tym...

– Tak?

– Nie potrafiłam. Muszę najpierw coś ustalić.

– Ze mną?

– Tak.

– W porządku.

Anna spojrzała na swoje dłonie zaciśnięte na kubku z herbatą.

– Czy Sam się odezwał?

– Tak. Ma przyjechać jutro.

– Rozumiem – odparła Anna. Sam nie był częścią tego świata, to oczywiste. Tylko z nią się nie skontaktował.

– Rozmawiałam dziś z Daliną Jennings – zmieniła temat Kate. – Wiem, że pracowała w pizzerii, która zaopatrywała Alvina Malory’ego. Chłopaka, który od dnia napadu leży w śpiączce.

Anna przytaknęła.

– Wiem.

– Nie zdążyliśmy jeszcze wszystkiego sprawdzić, a pani Jennings nie była skora do współpracy. Wie pani może, czy Logan Awbrey również pracował w pizzerii?

Anna potrząsnęła głową.

– Nie. Ja też nie. Tylko Dalina.

– Rozumiem. W takim razie to jeszcze dziwniejsze. W domu Malorych znaleziono odciski palców Logana Awbreya. Zaraz po zbrodni. Dopiero jednak po morderstwie Diane Bristow można je było dopasować. Anno, Logan musiał przebywać u Malorych. W ich domu.

– Tak – przyznała Anna. Jej prawa dłoń dotykała teraz Messy. Wydawało się, że dosłownie przywarła do kota. – Tak. Był w tym domu. Dalina też. I ja także.

Kate się nachyliła. Wstrzymała oddech.

- Kiedy?
- Dwudziestego szóstego lipca dwa tysiące dziesiątego.
- Tego dnia, kiedy...
- Tak.

– Anno, muszę ci przypomnieć, że masz prawo do adwokata. – Kate poczuła niemal złość, że musiała to powiedzieć. Od przyznania się do winy dzieliły ją sekundy. Jeśli Anna zażąda teraz adwokata, będzie po sprawie. W przypadku zbrodni przeciwko Alwinowi Malory’emu nie mieli żadnych dowodów, jedyną szansą było przyznanie się do winy, adwokat dość szybko zdałby sobie z tego sprawę. Zrobiliby wszystko, żeby jego klient nie zeznawał.

Anna potrząsnęła jednak głową.

– Nie chcę adwokata. Chcę pani opowiedzieć, co się stało.

– Dobrze – odparła Kate. Obawiała się wprawdzie, że formalności mogłyby zniweczyć gotowość Anny do rozmowy, mimo to wysłuchanie zeznań bez odpowiedniego przygotowania nie miałyby wiele sensu. Sprawa musiała znaleźć finał w sądzie. – Położę na stole mój smartfon, dobrze? – powiedziała łagodnym tonem. – Włączę dyktafon. Nagramy tę rozmowę. Zgoda?

– Tak.

Wydawało się, że Anna zgodzi się na wszystko, byleby tylko mogła wreszcie porozmawiać.

Kate położyła smartfon na stoliku przy sofie i włączyła dyktafon. Podała miejsce, datę i godzinę, a także swoje nazwisko i stopień oraz nazwisko Anny. Pouczyła Annę o jej prawach i ponownie zapytała o adwokata. Anna potwierdziła, że go nie chce.

– Pani Carter wyraźnie zrzeka się prawa do pomocy prawnej – powtórzyła Kate. Potem kontynuowała: – Pani Carter, powiedziała pani, że pani, pani Dalina Jennings oraz pan Logan Awbrey byliście w domu Malorych w Scarborough dwudziestego szóstego lipca dwa tysiące dziesiątego roku. Może mi pani powiedzieć, co tam robiliście? I co się tam wydarzyło?

– Tak – odparła Anna.

# Poniedziałek, 26 lipca 2010 roku

## 1

Było potwornie gorąco, ponad trzydzieści stopni w cieniu. Chociaż przebywaliśmy nad samym morzem, nie czuliśmy żadnego powiewu. Już raniem w telewizji śniadaniowej zapowiedziano, że bardzo ciepłe masy powietrza, które od kilku dni kształtowały pogodę na Wyspach Brytyjskich, dziś znów dadzą o sobie znać. Zalecano ludziom, by w miarę możliwości kryli się w cieniu, a jeśli już muszą wyjść na słońce, nałożyli dobry krem z wysokim filtrem. Większość Anglików ma jasną karnację i przez całe życie zadreca się pragnieniem, by mieć tak cudownie gładką, brązową cerę jak Francuzi z południa. Skłania ich to do zażywania radykalnych kąpiei słonecznych, gdy tylko brytyjskie lato osiąga śródziemnomorskie temperatury. Nigdy jednak nie nabierają brązowej opalenizny. A jedynie ognistoczerwoną. I zyskują jeszcze więcej piegów.

Kręciliśmy się po plaży nad Zatoką Południową, poniżej Scarborough Spa. Nastął odpływ, siedzieliśmy na niewielkich płaskich skałach, które z początku wilgotne i błyszczące, z czasem wysychały. Wokół nas resztki morskiej wody wsiąkały w małe piaszczyste zagłębienia. Pomiędzy nimi widniały wodorosty, muszle i maleńkie skorupiaki. Siedzieliśmy w ostrym słońcu, bo Dalina chciała się opalić, miała zresztą po temu odpowiednią cerę. Ja natomiast starałam się jak najlepiej chronić, włożyłam koszulkę z długim rękawem oraz słomkowy kapelusz i wciąż wklepywałam krem. Najchętniej skryłabym się w cieniu, ale skoro Dalina uznała, że pozostajemy w pełnym słońcu, wszelki opór był bezcelowy. Na plaży zebrało się mniej turystów niż zwykle. Większość szukała cienia albo kąpała się w oddali w morzu, które dawno się cofnęło.

– Boże, co za nuda – jęknęła Dalina. – Zastanawiam się, dlaczego nie mam rodziców z dużą kasą. Skoro skończyliśmy szkołę, czy nie powinniśmy gdzieś się wybrać? Saint-Tropez albo Monte Carlo. Oddałabym wszystko, żeby się tam znaleźć!

– Upał mamy taki sam – zauważył Logan. Siedział tuż obok Daliny i gapił się na nią jak urzeczony. Czułam z tego powodu żal, ale starałam się nie dać tego po sobie poznać. Wiedziałam, że on usilnie jej pragnie, a ona w ogóle o niego nie dba. Igrała z nim, a potem znów go odrzucała na wiele tygodni, zupełnie go ignorując. Wtedy przychodził do mnie. Słuchałam go godzinami i pocieszałam. Byłam ramieniem, na

którym mógł się wesprzeć. W sumie więcej czasu spędzał ze mną niż z Daliną, a to zawsze dodawało mi otuchy.

Był od nas starszy, szkołę skończył dawno temu i dorabiał dorywczą pracą. Choćby z tego powodu Dalina nigdy nie traktowała go poważnie. Dla niej mężczyzna musiał *coś sobą reprezentować*, a przede wszystkim dobrze zarabiać. Pod nieobecność Logana nazywała go *frajerem*.

Dalina i ja skończyłyśmy szkołę na początku lata. Ta gorąca pora roku spędzana w domu – jesienią czekały mnie studia – dla mnie miała w sobie mnóstwo uroku, Dalina jednak wciąż tylko biadoliła. Nic się tu nie dzieje – narzekała. Nieustannie przywoływała Saint-Tropez. Mówiła o plażach, barach, klubach, stojących tam na kotwicy statkach bogaczy. Wróciła do pracy w Biggestpizza, firmie rozwijającej pizzę. Za zarobione pieniądze zamierzała w następnym roku pojechać na południe Francji. Tego popołudnia miała wolne. A to jeszcze bardziej popsło jej humor.

Dla Daliny najgorsza była nuda. Już prędzej poradziłaby sobie z poważną chorobą albo wypadkiem – ale nie z faktem, że nic się nie dzieło. Zupełnie nie potrafiła zająć się sobą, odkryć w sobie coś, w czym by się spełniła. Ja natomiast mogłam całymi godzinami spacerować ścieżką po klifie, oddawać się marzeniom albo własnym myślom, czułam się szczęśliwa, chodząc boso wzdłuż brzegu morza. Mogłam czytać, rozmyślać albo zwyczajnie spoglądać na morze. W zasadzie nigdy nie czułam się znudzona. Nie czułam potrzeby ciągłej pogoni za towarzystwem ludzi, ustawicznego poszukiwania ich bliskości ani rozrywek w ich obecności. Wydaje mi się, że Dalina w ogóle nie ma życia wewnętrznego. Żyje wyłącznie chwilą. A jeśli nic się wokół nie dzieje, czuje się bezradna. Nie wie, co z sobą począć.

Rzecz w tym, że staje się wtedy agresywna. Z początku drażliwa i zniecierpliwiona, potem coraz bardziej skora do zaczepki. W takich chwilach Logan i ja zaczynaliśmy się jej bać. Logan dlatego, że był w niej zadurzony i cierpiał, gdy traktowała go jeszcze gorzej niż zwykle. Ja zaś, bo jestem taka wrażliwa. Dalina wiedziała, jak dotknąć człowieka do żywego. Znała moje słabe strony, mój brak pewności siebie i moje kompleksy. I to właśnie w nie uderzała, gdy nic innego nie przychodziło jej do głowy. A ja, niestety, brałam wszystko do siebie. Byłam tak niepewna własnych możliwości, że w głębi duszy zgadzałam się z każdym, kto tylko dotknął jednego z wielu moich czułych miejsc.

Logan miał torbę termoizolacyjną z piwem w środku. Wypił już dwie puszkę, co w tym upale było szaleństwem. Jego cera przybrała niezdrowy czerwony odcień i lśniła od potu. Miał nieco szkliste oczy.

– Masz ochotę na piwo, Dalina? – zapytał po raz enty. Dla Logana alkohol był niezawodnym lekarstwem na nudę.



Jak dotąd Dalina rozsądnie odmawiała, ale teraz głęboko westchnęła, poirytowana.

– Dobra. Dawaj. Bo inaczej tu umrę, tak jest ponuro!

Wkrótce oboje byli nieźle wstawieni, upał dodatkowo potęgował efekt. Logan, przykro mi to stwierdzić, coraz bardziej przypominał psa skamlącego przed suką, ledwo potrafił nad sobą zapanować. Dalinie natomiast poprawił się nieco nastrój, przynajmniej zaczęła się zastanawiać, co począć z dniem, zamiast wyłącznie marudzić.

– Spuśćmy komuś manto – zaproponowała, nie precyzując, co dokładnie miała na myśli.

– Lepiej zamoczmy nogi – odparłam, ale Dalina tylko roześmiała się głośno, a Logan ochoczo jej zawtórował.

– Możesz to zrobić. Pasuje do takiej cichej szarej myszki jak ty!

W ustach Daliny słowo *cicha* brzmiało jak wyzwisko, a ja jak zwykle natychmiast spuściłam głowę i poczułam się kimś gorszym.

– Mam wam pokazać najgrubszego gościa na świecie? – zapytała po chwili wyęžonego myślenia i po wypiciu połowy kolejnej puszki piwa.

– Najgrubszego gościa na świecie? – zapytał uniżenie Logan. Zawsze zachowywał się tak, jakby pomysły Daliny powalały go na kolana. Tak strasznie chciał się jej przypodobać. Dla mnie, obserwatorce, stało się jasne, że tylko ją tym zanudza – a to najgorsze, co można było zrobić.

Dalina podniosła się z miejsca. Zaskakująco pewnie trzymała się na nogach.

– Tak! Chodźcie ze mną. Nie uwierzycie!

Logan wstał. Dość mocno się zachwiał, ale w końcu odzyskał równowagę.

– Fajnie! Wchodzę w to!

Ja też wstałam. Tylko ja byłam trzeźwa. Propozycję Daliny uznałam za kompletny idiotyzm. Zobaczyć grubego człowieka? Jak on się wtedy poczuje? A przede wszystkim: jaką, na litość boską, frajdę można czerpać z tak głupiego zajęcia?

Dziś z całego serca żałuję, że w tym momencie się nie wycofałam. Że nie pozwoliłam im odejść i nie poszłam swoją drogą. Dlaczego podążyłam za nimi, choć nie przeczuwałam nic dobrego? Byłam zakochana w Loganie, to prawda, ale i tak nie miałam u niego żadnych szans. Mimo to chciałam przynależeć, być częścią małej grupy. Chciałam zostać.

A potem nastąpiła katastrofa.

Rodzina Malorych mieszkała nad Zatoką Północną, w pobliżu szpitala Cross Lane. Osiedle domów bliźniaczo do siebie podobnych. Wszystkie bardzo dobrze utrzymane. Ładne domy, urocze ogródki. Ogród należący do Malorych był nieco zapuszczony. Zbyt wysoka trawa, krzewy pleniące się we wszystkie strony. Przez ogrodzenie

przeciskały się na ulicę bujne kępki mniszka. Mimo to nie sprawiał wrażenia zaniedbanego. Ot, wyróżniał się jedynie spośród innych ogródków, których właściciele przycinali trawę wzdłuż kwiatowych rabat nożyczkami do paznokci.

Osiedle z powodu upału było ciche i senne. Nastąpiło wczesne popołudnie, było tak gorąco, że z trudem dało się oddychać.

– Nazywają się Malory? – zapytał Logan, gdy stanęliśmy przed domem. Nadal dźwigał torbę z piwem. Dalina właśnie zdradziła nam imię najgrubszego chłopca na świecie: Alvin Malory. – Chyba ich nie znam.

– Nie możesz znać wszystkich – odparła Dalina.

W autobusie opowiedziała nam, że regularnie dostarcza mu jedzenie. Zwykle zamawiał dwa zestawy XXL składające się z burgerów, frytek i ogromnych kubków z colą. Do tego ponadwymiarowa rodzinna pizza. – Pożera to wszystko sam. W jedno popołudnie.

– Szaleństwo! – przyznał Logan.

Dalina zachichotała.

– Zawsze czuje się zakłopotany. Potem udaje, że w domu są jego rodzice i że to zamówienie dla nich wszystkich. Ale ja wiem, że ich tam nie ma. Mają warsztat samochodowy obok marketu Lidla przy A64. Pracują tam przez cały dzień. Wiem o tym, bo – co zabawne – czasem im także dostarczam zamówienia. Przynajmniej zwyczajne porcje.

Gdy stanęliśmy przed niepozornym domem z zielonymi drzwiami, czułam, że to moja ostatnia szansa, żeby się wycofać. By wyjaśnić, że nie mam ochoty odwiedzać kogoś, kogo nawet nie znam, że jest za gorąco albo że obiecałam mamie pójść z nią na zakupy. Cokolwiek. Przeczynałam, że lepiej będzie stąd odejść. Może pozostała dwójka wcale by się tym nie przejęła. Logan tak czy inaczej nie widział świata poza Daliną. A Dalina emanowała agresją niby nieprzyjemnym zapachem. Agresją wywołaną znużeniem. Wystarczająco często padałam jej ofiarą. Tym razem jednak agresja nie była skierowana na mnie. Wzięła sobie na cel tego grubego chłopca. Pewnie mogłabym się ulotnić, nie wywołując szczególnego zainteresowania.

Ale nie miałam odwagi. Mój strach przed tym, że potem zostanę na zawsze wykluczona, okazał się zbyt wielki.

Dalina zadzwoniła do drzwi.

Minęło sporo czasu, już miałam nadzieję, że nikogo nie ma w domu, ale wtedy drzwi się otworzyły. Stojący przed nami chłopak rzeczywiście miał poważną nadwagę. Nabrzmiała twarz, ogromny brzuch opięty koszulką ze spranym, nieczytelnym już napisem. Jego nogi okrywała para fioletowych spodni dresowych, których syntetyczny

materiał sprawił, że na sam widok przeszedł mnie dreszcz. Jak wytrzymał w tym upale?

– Cześć, Alvin – powiedziała Dalina.

Wydawał się zaniepokojony.

– Nic nie zamawiałem. To znaczy, dziś zamówiłem gdzie indziej.

– Żaden problem – odparła Dalina. – Chciałam cię tylko odwiedzić. Ciągle przesiadujesz w domu, pomyślałam, że przyda ci się jakaś odmiana. – Uśmiechnęła się do niego. Wyglądała jak rekin okrążający swoją ofiarę.

Alvin wcale nie sprawiał wrażenia uradowanego, ale chyba uznał, że musi zachować się grzecznie. Najwyraźniej przeczuwał, że Dalina nie ma przyjaznych zamiarów.

Dalina energicznie odepchnęła go na bok i weszła do środka.

– Nic nam nie zaproponujesz? W taki upał? A przy okazji, to moi przyjaciele. Logan i Anna.

– Cześć – odezwał się Logan. Wyglądał okropnie. Upał i alkohol zrobiły swoje. Z jego osobistego uroku niewiele zostało.

– Cześć – odpowiedział Alvin. Widać było, że nie chciał nas wpuścić do domu, ale nie wiedział, jak miałyby nas powstrzymać.

– Moich rodziców nie ma – powiedział cicho.

Dalina się zaśmiała.

– Jesteś już dużym chłopcem, prawda? Chyba możesz zapraszać przyjaciół, gdy mamy i taty nie ma w domu.

Nie byliśmy oczywiście żadnymi przyjaciółmi. Dalina kilka razy dostarczyła mu jedzenie. A mnie ani Logana w ogóle nie znał.

Dalina zajrzała do kuchni. Na stole leżał jakiś karteluszek.

– O, twoje dzisiejsze zamówienie? Czyli już je odebrałeś. Spójrzmy... hm. Danie indyjskie. Całkiem tego sporo. Tylko dla ciebie?

Alvin nie odpowiedział. Do środka wszedł również Logan. Podążyłam za nim. Żadne z nas nie zostało zaproszone. Ale Dalina była przekonana, że ma wolną rękę. Rodzice Alvina przebywali w pracy, wiedziała też, że firma już dostarczyła zamówienie. Przez najbliższy czas Alvin będzie tylko z nami.

Dalina przez wąski korytarz przeszła do salonu. Alvin począpał za nią. Miał ten dziwny chód otyłych ludzi, których uda wyglądają na zwichnięte. Bo za bardzo się o siebie ocierają.

W salonie, w którym w wazonach stała uderzająca ilość pięknych bukietów, Dalina opadła na kanapę i rozejrzała się wokół.

– Ładnie tu. Trochę ciemno. I staromodnie, prawda? Rodziców nie stać na nowe meble?

– Nie mamy tyle pieniędzy – wymamrotał Alvin.

Logan także wtargnął do salonu.

– Kiepsko – powiedział, choć nie było wiadomo, co miał na myśli. Sam pewnie tego nie wiedział.

– Jest minibar! – krzyknęła Dalina.

Na wózku kredensowym stało kilka butelek. Dżin, porto, whisky, kilka gatunków owocowych brandy. Dokładnie to, czego ani Logan, ani Dalina nie powinni teraz tknąć.

– Nie wolelibyście wody? – zapytał Alvin. Spojrzał na mnie z niemą prośbą w oczach.

Stałam za jego plecami, wciąż w korytarzu. Chyba zauważył, że nie jestem pijana. Unikałam jego wzroku. Co miałabym zrobić?

Tak, oto pytanie, które zadaję sobie do dziś. Co miałabym zrobić? Co mogłam zrobić, gdy sytuacja zaczęła przybierać zły obrót? Uciec? Zadzwoić na policję? Powstrzymać Dalinę i Logana, którzy w pewnym momencie stracili nad sobą panowanie?

Czy posłuchaliby mnie?

Cóż mogę powiedzieć o tym, co się potem wydarzyło? Obrazy zostały na zawsze wypalone w mojej pamięci, a mimo to są jakby zamazane. Pewnie dlatego, że je wypieram, gdy tylko pojawiają się przed moimi oczami. Nie chcę ich więcej widzieć, nie chcę o nich pamiętać. A jednak stały się częścią mojego życia i wciąż się pojawiają, nocą we śnie, ale także w ciągu dnia, nagle, w chwilach, kiedy się ich nie spodziewam.

Dalina pije dżin i whisky z butelek jak wodę.

Logan ją naśladuje, choć jest już tak wstawiony, że aż się zatacza.

Dalina zapala papierosa i niedbale strzepuje popiół na podłogę.

Logan oczywiście także pali, a potem gasi papierosa na obiciu kanapy.

Pomiędzy nimi Alvin bezradnie protestuje.

– Nie możecie tego robić! Przestańcie, proszę!

Logan leży w fotelu, opiera buciory na drugim fotelu, przewraca na podłogę butelkę malinowej brandy, mówiąc:

– Co to, kurwa, za siwucha, zaraz się porzygam!

Logan wyciąga z lodówki w kuchni naręczę butelek z piwem, wypija je częściowo, resztę piwa rozlewa po pokoju i rozbija szybki butelek o blat stołu.

Dalina przeraźliwie się śmieje.

Alvin walczy ze łzami.

W pewnym momencie pyta:

– Proszę, czego chcecie?

Dalina od razu zaczyna monotonicznie go przedrzeźniać:

– Czego chcecie? Czego chcecie? Czego chcecie?

– Proszę – mówi Alvin – proszę, idźcie już sobie! – Stara się, by w jego głosie zabrzmiały stanowczość i determinacja. Oczywiście mu się to nie udaje. Przypomina zrozpaczone dziecko, błagające, by nikt go nie skrzywdził. Wygląda jak ofiara.

To tylko rozdrażnia tamtą dwójkę. Niemal namacalnie. Im usilniej Alvin prosi i błaga, im mocniej jego oczy rozplývają się we łzach, tym bardziej agresywni stają się jego przeciwnicy.

– Proszę, proszę – śpiewa Dalina – proszę, proszę, idźcie już sobie!

– Proszę, proszę – bełkocze Logan.

– Spraw, by znów powiedział *proszę!* – domaga się Dalina.

Logan podnosi się z fotela i staje na chwiejnych nogach. Ma zamglony wzrok. Wciąż jednak rozumie, co mówi do niego Dalina, i udaje mu się utrzymać pion. Staje przed Alvinem. Logan jest bardzo wysoki, ma prawie dwa metry wzrostu. Alvin jest znacznie niższy. Choć dużo grubszy.

– Powiedz *proszę, proszę* – mówi Logan. – No dalej, ty tłusta świni, gadaj!

Resztki godności każą Alwinowi nie spełnić tej prośby. Zacisnął wargi. Milczy. Ale nie potrafi powstrzymać płaczu.

– Masz powiedzieć *proszę, proszę* – powtarza Logan. – Nie rozumiałeś?

Alvin płacze. Nic nie mówi.

– Pozwolisz na to, Logan? – pyta Dalina. Ona także dużo wypła, ale nie widać tego po jej sposobie mówienia. W ogóle tego po niej nie widać. Wydaje się trzeźwa.

– Nie pozwolę na to – stwierdza Logan. Błyskawicznie zadaje Alwinowi kilka mocnych ciosów w brzuch. Chłopak się zgina i pada na kolana, ląduje na podłodze. Wymiotuje na dywan.

– Kurwa! – krzyczy Logan. – Ta tłusta świni rzyga!

Z wściekłością kopie go na oślep. Po brzuchu, plecach, żebrach, głowie. Alvin usiłuje zwinąć się w kłębek i jakoś ochronić swój tułów. Jest zbyt masywny, by mu się to udało. Tarza się w wymiocinach, atakowany przez dzikie, wściekłe kopnięcia przeciwnika, który chyba już nie wie, co robi. Gotów zabić, jeśli nikt go nie powstrzyma. Logan kopie jak opętany, z całą potworną siłą młodego dwumetrowca.

– Przestań! – krzyczę.

Nie znałam go od tej strony. Nigdy wcześniej nie widziałam, by Logan był agresywny. Cała jego osoba, jego charyzma temu przeczyły. To musiał być alkohol. W połączeniu z hormonami. W obecności Daliny zawsze był mocno podniecony. Zupełnie oszalał na jej punkcie. Zamordowałby, gdyby tego zażądała.

– Przestań, Logan – mówi w końcu Dalina. Brzmi to jak rozkaz, który ktoś wydaje swojemu psu. Siad! Do nogi!

Logan natychmiast zostawia w spokoju Alvina, który leży bez ruchu.

– Wszyscy musimy napić się wody – stwierdza Dalina.

W zasadzie ja nie chcę. Ale idę za nią i Loganem do kuchni, zupełnie oszołomiona. Zerkam przy tym za siebie do salonu. Wygląda okropnie. Wszędzie niedopałki papierosów i popiół. Czarne dziury w pokryciach sofy i foteli. Na podłodze leżą na pół opróżnione butelki, niektóre rozbite, ich zawartość powoli się z nich sączy. Szklana ramka zdjęcia na półce jest rozbita, odłamki rozrzucone na dywanie. Kwiaty na podłodze, przewrócone wazony. Porozrzucane poduszki. Jak długo tam szaleliśmy – pijąc, paląc, rzucając przedmiotami? Straciłam poczucie czasu. Później uznałam, że to musiało trwać około godziny. Jedna godzina w upalny dzień, gdy trójka młodych ludzi nie wie, co zrobić z wolnym czasem. O tak, byłam jedną z nich. Nawet jeśli tylko stałam z boku. To równie straszne.

Może nawet bardziej.

## 2

W kuchni Dalina piła wodę prosto z kranu i kazała Loganowi robić to samo. Oczywiście Logan wykonał jej polecenie. Zawsze, gdy zamierzał przestać, zmuszała go, by kontynuował. Przedtem w salonie piła, wrzeszczała, darła się i śpiewała, ale jak już wcześniej zauważyłam, mimo wszystko wydawała się zaskakująco trzeźwa. A teraz, po kilku łykach wody, tym bardziej. Doskonale wiedziała, że właśnie wpakowaliśmy się w poważne tarapaty.

Zauważyłam, że gorączkowo nad czymś rozmyśla.

Logan po wypiciu dobrego litra wody wyglądał nieco bardziej po ludzku. Jego twarz nadal była nienaturalnie zaczerwieniona, ale oczy wydawały się odrobinę bardziej przejrzyste.

– Boże, ale mi niedobrze – stwierdził. Nawet jego sposób mówienia się poprawił. Nie był już tak niewyraźny i ospały. Ale rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby poczuł mdłości.

– Uważaj – powiedziała ostro Dalina – żebyś nie zwymiotował. Nie powinniśmy zostawiać po sobie więcej DNA!

Logan nie zrozumiał.

– DNA?

– Piliśmy z butelek i dotykaliśmy co popadnie.

– Racja – przyznał Logan.

– Ale nikt z nas – stwierdziła Dalina – nie jest nigdzie zarejestrowany, prawda? Znaczą się, zarejestrowany na policji? Z odciskami palców i takie tam.

Oboje z Loganem potrząsnęliśmy głowami.

– To dobrze – uznała Dalina. – Nasze odciski palców są dla nich przydatne tylko wtedy, gdy mają nas w swojej bazie. A tu znajdą ich mnóstwo. Matka Alvina miała wczoraj urodziny, przyszło wielu gości. – Wskazała na liczne szklanki rozstawione w całej kuchni. Tace i talerze ze zgrabnie przykrytymi resztkami. Kosze ze sztuczkami. Rzeczywiście. Dotąd tego nie zauważyłam. Wyglądało to tak, jakby dzień wcześniej odbyło się wielkie przyjęcie. Teraz już wiedziałam, skąd się wzięły liczne bukiety w salonie.

– Skąd niby wiesz, że to były urodziny matki? – zapytał Logan.

– Alvin powiedział mi to w zeszłym tygodniu. Przy jednej z dostaw.

Spojrzała na Logana, jakby czekając, aż doszuka się jakiegoś błędu. Albo wynajdzie problem. On jednak gapił się na nią jak urzeczony, walcząc z mdłościami.

Domyśliłam się, gdzie tkwi haczyk.

– Alvin cię zna – powiedziałam. – I widział nasze twarze, a przynajmniej słyszał imiona.

– Jasna cholera – jęknął Logan.

– Tak, kiepsko – przyznała Dalina. Wiedziałam, że nie lubiła tracić w ten sposób kontroli. Miała skłonność do niebezpiecznych zachowań, ale zawsze starała się przewidzieć ewentualny bieg wydarzeń. Nawet jeśli uważano, że robiąc to, co sprawiało jej przyjemność, postępuje bezwzględnie, zawsze oceniała zagrożenia i ważyła, jak daleko może się posunąć. Tym razem straciła z oczu wszelkie ryzyko. Chciała się trochę zabawić kosztem otyłego Alvina, ale nie zakładała, że wszyscy możemy trafić do policyjnego komisariatu. Sytuacja się zaostrzyła. Być może wyszlibyśmy z tego obronną ręką, gdyby skończyło się jedynie na wypitym albo rozlanym alkoholu, rozbitych wazonach i poplamionych dywanach oraz dziurach po papierosach w obiciach sofy, chociaż obie mogłyśmy sobie wyobrazić miny naszych rodziców, gdyby zobaczyli roszczenia odszkodowawcze. Logan żył już wprawdzie na własny rachunek, ale cierpiąc na chroniczny brak pieniędzy, znalazłby się w niezłych tarapatkach, gdyby musiał zapłacić za wszystkie wyrządzone szkody. Kiedy jednak powalił Alvina na ziemię, a następnie zaczął go kopać bez opamiętania, sprawy nie można już było potraktować jako głupiego wybryku kilku pijanych młokosów. W grę wchodziło uszkodzenie ciała.

– Zobaczmy, co z Alvinem? – zapytał Logan. Na twarzy pobladł jak płótno.

– Tak, okej – zgodziła się Dalina.

Wróciliśmy do salonu. Alvin nie leżał już w tym miejscu, w którym go zostawiliśmy. Podczołgał się do szklanych drzwi prowadzących na taras. Najwyraźniej jednak opadł tam z siłą, bo leżał na dywanie bez ruchu, choć wciąż oddychał. Z trudem łapał powietrze.

W całym pomieszczeniu okropnie cuchnęło. Wymiocinami Alvina, alkoholem i papierosami.

– Żyje – stwierdził z ulgą Logan.

Dalina podeszła do Alvina z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Hej, Alvin – powiedziała wesoło. – No dalej, wstawaj. To tylko żart. Sorry. Poszło trochę za ostro. Wszystko z tobą w porządku?

Alvin z trudem podniósł głowę. Widać było, że wcale nie jest z nim dobrze. Musiał otrzymać kilka kopniaków w twarz, bo górna warga była rozcięta i krwawiła, prawe oko napuchło, a z prawego ucha płynęła strużka krwi. Jego gałki oczne nagle przekreśliły się do góry, ale po chwili wróciły do normalnej pozycji. Wydałam cichy odgłos przerażenia. Całkiem możliwe, że Alvin doznał poważnego urazu głowy.

Dalina też to zauważyła.

– W porządku? – zapytała ponownie.

Alvin dwukrotnie próbował coś powiedzieć. Za trzecim razem udało mu się wydusić z siebie kilka niewyraźnych słów.

– Powietrze. – Oraz: – Nie mogę oddychać...

– Ale przecież oddychasz – powiedziała zachęcająco Dalina. Na jej twarzy ujrzałam jednak przerażenie.

– Musimy wezwać karetkę – powiedziałam. Alvin bez wątplenia był ciężko ranny. Nie potrafiłam ocenić, do jakiego stopnia, ale nie wyglądało to dobrze.

– Zwariowałaś? – obruszyła się Dalina.

Głowa Alvina znów opadła na podłogę.

– Możemy trafić do więzienia – stwierdził Logan. Sprawiał wrażenie, jakby nagle zupełnie wytrzeźwiał.

Za ciężkie uszkodzenie ciała z pewnością trafimy za kratki. Przynajmniej Logan. Dlatego to on najbardziej się przeraził. Bił i kopał Alvina. Inicjatorką całego zajścia była jednak Dalina. Mogłaby zostać oskarżona o podżeganie. Ja tylko szłam za nimi i się przyglądałam. Co to oznaczało? Nieudzielenie pomocy?

Dalina i Logan długo po sobie spoglądali. Nie zwracali na mnie uwagi.

– Nie ma mowy, żebym wylądowała w więzieniu – zachnęła się Dalina.

– Ja też nie – zgodził się Logan.

Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej – krzyknęłam w duchu. Ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.



– Może go odwrócimy? – zapytał Logan.

– Dobrze – odparła Dalina.

Wspólnymi siłami przewrócili Alvina na plecy. Jęczał z bólu. Gdy leżał na wznak, widać było, że cały tułów ma umazany wymiocinami. Z ucha wciąż sączyła mu się krew. Zmagał się z oddechem.

– Prawdopodobnie ma kilka połamanych żeber – stwierdził Logan.

– Nie podoba mi się krew w uchu – powiedziała Dalina.

– Proszę – błagałam – musimy wezwać karetkę.

– Nie! – powiedziała ostrym tonem Dalina. – Wtedy wszyscy będziemy ugotowani.

Ty zresztą też. Stałaś z boku!

– Ale nie możemy pozwolić mu umrzeć – powiedziałam zdjęta paniką.

Dalina nie odezwała się słowem. Ale wiedziałam, co sobie pomyślała: to byłoby rozwiązanie wszystkich problemów.

– Znajdź coś! – powiedziała do Logana.

Logan nie zrozumiał.

– Co niby mam znaleźć?

– Co z ciebie za cholerny tępak! – prychnęła Dalina.

Logan w końcu się domyślił. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie.

– My... nie możemy tego zrobić.

– A co byś zaproponował? Więzienie?

Milczał.

– Nie mamy wyjścia – powiedziała Dalina.

Logan rozejrzał się po pokoju. Wykonał ruch głową w kierunku kominka.

– Zestaw kominkowy...

– Może być – odparła Dalina, ale wydawała się niezdecydowana. Myśl o pobiciu Alvina na śmierć żelaznym pogrzebaczem albo łopatką wyraźnie ją przerosła. Wcześniej oboje działali jak w amoku, zwłaszcza Logan. Gdyby Dalina go nie powstrzymała, pewnie skopałby Alvina na śmierć. Przypuszczam, że zaczęła żałować swojej interwencji. Bo teraz, trzeźwi i przytomni, zrozumieli, że znaleźli się w krytycznej sytuacji, z której było tylko jedno wyjście, przynajmniej z ich punktu widzenia, jeśli chcieli uniknąć przykrych konsekwencji.

– Chyba mam pomysł – powiedział Logan i wyszedł z pokoju.

Dalina i ja zostałyśmy z Alvinem, który leżał bez ruchu pod drzwiami tarasowymi jak wyrzucony na brzeg wieloryb.

– Proszę, Dalina – rzuciłam rozpaczliwie. – Nie pogarszaj sprawy. Proszę, pozwól mi wezwać karetkę!

– To zniszczy nam życie. Życie nas wszystkich.

– To, co zamierzacie zrobić, również je zniszczy – powiedziałam.

Potrząsnęła głową.

– Najważniejsze, żebyśmy nie trafili do więzienia. A pewnego dnia i tak o wszystkim zapomnimy.

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego to zrobiliście?

Wzruszyła ramionami.

– Ten dzień był cholernie nudny.

Gdy wciąż wpatrywałam się w nią oszołomiona, Logan wrócił do salonu. W rękę trzymał zieloną butelkę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to butelka piwa, a on z niezrozumiałych powodów chciał kontynuować libację. Ale wtedy zauważyłam czarną czaszkę oraz słowo *Danger!*

– Co to jest, na litość boską?

– Płyn do czyszczenia kanalizacji – wyjaśnił Logan.

– Dobrze – odpowiedziała Dalina.

Poczułam mdłości.

– Nie możecie tego zrobić!

– Będzie mniej krwawo niż przy użyciu łopaty – stwierdził Logan.

Oboje z Daliną przyklękli na podłodze obok Alvina, jak dobrze zgrany zespół skupiony na wyćwiczonej czynności.

– Przytrzymam mu usta – powiedziała Dalina. Wyglądała na potwornie zdeterminowaną. Wiedziała, że jedną nogą jest już za kratkami, a przecież obchodził ją los tylko jednej osoby na świecie – jej samej. Za nią poszłaby po trupach. Tym razem dosłownie.

Butelka miała zakrętkę zabezpieczającą przed dziećmi, Logan dość długo zmagał się z jej otwarciem. W końcu mu się udało. Dalina chwyciła wargi Alvina, rozchyliła je. Zerknęła zde gustowana, ale nie wahała się ani przez chwilę, by zrobić to, co jej zdaniem zrobić należało.

Logan wlał Alwinowi silnie toksyczną miksturę do gardła. Chłopak odruchowo się bronił. Odrzucił głowę w bok i zaczął gwałtownie kasłać, wierzgając rękami i nogami. Część płynu zalała dywan.

– Musisz go przytrzymać! – wrzasnął Logan.

– Postaram się – odpowiedziała Dalina. Spojrzała na mnie. – Anna, przytrzymaj go za nogi.

Natychmiast cofnęłam się o krok, śmiertelnie przerażona.

– Nie zrobię tego. Nie ma mowy!

Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem, ale najwyraźniej uznała, że wyklócanie się ze mną zajmie zbyt wiele czasu. Odwróciła się z powrotem do Alvina.

– Pospiesz się, Logan. Wlej całą butelkę. Szybko. Tam ktoś jest.

– Co takiego? – zapytał struchlały Logan.

– Jakiś staruszek. Pracuje w ogrodzie. Nie patrzy w tę stronę. Ale powinniśmy zniknąć, zanim nas zauważy.

Odwróciłam się, gdy Dalina ponownie odchyliła podbródek Alvina, a Logan, tym razem zdecydowanie, wlał zawartość butelki z trucizną do jego otwartych ust. Alvin wydawał bulgoczące dźwięki, prychał, kaszlał i znów zaczął się szamotać.

– Jest jeszcze całkiem żwawy – fuknął Logan.

Ostatnia scena, jaką zapamiętałam, to Logan przytrzymujący usta Alvina i jednocześnie przygniatający go własnym ciężarem. Alvin wydawał dźwięki, jakby się dusił. Nie mógł nie przełknąć – żrąca substancja poparzyła mu śluzówkę w jamie ustnej, przełyk, drogi oddechowe, żołądek. Umrze w potwornych męczarniach.

Ukryłam twarz w dłoniach. Poczułam się tak, jakbym trafiła w sam środek piekła.

– Już się nie rusza – stwierdził Logan.

– Nie żyje? – zapytała Dalina.

Upłynęła chwila, po której usłyszałam głos Logana:

– Wciąż oddycha. Słabo.

– Okej. Musimy się zmywać – zdecydowała Dalina. – Nie przeżyje tego. Pozbądźmy się trochę śladów.

Razem z Loganem oderwali kawałki kuchennych ręczników, zamoczyli je w wodzie i zaczęli wycierać wszystkie butelki, klamki, kuchenne blaty. Kran. Pustą butelkę po truciznie.

– Dobra, musi wystarczyć – powiedziała Dalina. Zerknęła przez drzwi do ogrodu. – Stary wciąż pracuje.

– Na pewno zostały tu jeszcze nasze ślady – niepokoił się Logan.

– Już ci to wyjaśniłam – odparowała zniecierpliwiona Dalina. – Nie da się ich zidentyfikować. Są tu ich setki.

Wszyscy umilkliśmy na chwilę. Nieśmiało musnęłam wzrokiem Alvina leżącego bez ruchu na podłodze. Przynajmniej nie wyglądało to na okropną walkę ze śmiercią. Był albo nieprzytomny, albo już nie żył.

Logan sięgnął po swoją torbę termoizolacyjną. Poza nią nic z sobą nie przynieśliśmy. Wyszliśmy z domu, po kolei. Ulica była pusta, tak samo jak w chwili naszego przybycia. Nigdy rzecz jasna nie wiadomo, kto spogląda zza zasłon. Pochylaliśmy nisko głowy, mając nadzieję, że nikt nas nie zauważy, jak wychodzimy z domu Malorych. I nikt nie zauważył, jak wchodziliśmy. Byliśmy teraz trójką młodych ludzi przechadzających się ulicą. Z pozoru rozluźnionych, powolnych, adekwatnie do upalnej aury tego dnia.

– Zachowujcie się najnormalniej w świecie – szepnęła Dalina. – Żadnego pośpiechu. Nic, co rzucałoby się w oczy.

Odwróciłam się jeden jedyny raz. Dom stał spokojnie, skąpany w promieniach słońca, od których błyszcząły okienne szyby. Nic nie wskazywało na potworności, jakich się tam dopuściliśmy.

Nic nie uprzedzi rodziców Alvina przed tym, co ich czeka po powrocie do domu.

Wiedziałam, że wbrew temu, co stwierdziła Dalina, żadne z nas nigdy tego dnia nie zapomni. Nawet ona.

Zdecyduje o całym naszym życiu. Nic już nie będzie normalne. Piękne. Ani spokojne.

Nic nas nie uwolni od tego, co zrobiliśmy.

# Sobota, 28 grudnia

## 1

Nie wybiła jeszcze siódma w sobotni poranek, gdy Kate w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy stanęła przed domem Daliny Jennings, czekając, aż otworzy jej drzwi. W domu panowała niezmacona cisza. Nigdzie nie paliło się światło, ale w tym dniu i o tej porze nie było w tym nic niezwykłego. Dziwne, że nie opuszczono żaluzji ani nie zamknięto okiennic. Nic nie wskazywało na to, by poprzedniego wieczoru mieszkańcy poszli spać i wciąż spokojnie drzemali w swoich łóżkach.

Kate próbowała zajrzeć przez okno salonu, które znajdowało się tuż obok drzwi wejściowych. W pomieszczeniu panował mrok, ale pobliska latarnia uliczna nieco rozświetlała wnętrze. Kate mogła rozpoznać kontury mebli, stół, fotele, sofę. Wiszący na ścianie obraz. Butelki wciąż stały tam, gdzie poprzedniego dnia podczas wizyty Kate. Podobnie szklanki i popielniczki. Nic się nie zmieniło.

– Sierżantko, co robimy? – zapytał jeden z funkcjonariuszy. Wyglądał na zmarzniętego i zmęczonego. Najwyraźniej nie był uszczęśliwiony, stojąc na mrozie i w ciemnościach przed milczącym domem.

Kate się zamyśliła. Nie miała nakazu, który trudno byłoby zdobyć w krótkim czasie między zeznaniem Anny z poprzedniego wieczoru a wczesnym porankiem. Chciała dokonać tymczasowego aresztowania, choć wiedziała, że istnieją poważne wątpliwości. Uzasadniałyby to groźbą ucieczki, ale w ciągu kilku najbliższych godzin koniecznie potrzebowała skorego do współpracy sędziego, który wydałby nakaz aresztowania. Dalina zażądałaby adwokata i wszystkiego się wyparła.

Kate była jednak głęboko przekonana, że Anna mówiła prawdę.

– Nie możemy wejść do domu – powiedział drugi funkcjonariusz. – Bez nakazu aresztowania i rewizji.

– Nie mamy nic – powiedział jego kolega i spojrzał z wyrzutem na Kate.

Kate ponownie zadzwoniła do drzwi.

Nic się nie poruszyło.

Otworzyły się za to drzwi sąsiedniego domu, w progu pojawiła się starsza pani w wyblakłym kwiecistym szlafroku.

– Chce pani rozmawiać z panią Jennings?

Kate wyciągnęła legitymację.

– Tak. Sierżant śledcza Linville, policja North Yorkshire. Wie pani może, czy pani Jennings jest w domu?

Starsza pani uniżenie spojrzała na legitymację.

– Och... policja... Nazywam się Mitchell.

– Dzień dobry, pani Mitchell. Przepraszam, że przeszkadzamy o tak wczesnej porze. Musimy pilnie porozmawiać z panią Jennings.

– Wyjechała wczoraj wczesnym popołudniem. I moim zdaniem nie wróciła. – Pani Mitchell wykrzywiła z dezaprobatą twarz. – Zawsze słyszę, kiedy jest w domu, wie pani. Jest dość hałaśliwa. Przez cały wieczór ma włączony telewizor na cały regulator, do tego gra muzyka. Do późnej nocy. Chyba że jest w tej swojej agencji. Wtedy mam trochę spokoju.

– A wczoraj wieczorem nic nie było słychać?

– Cicho jak makiem zasiał. Ale pewnie nie było jej w agencji, prawda? Na przełomie roku nic się nie dzieje.

– Hm. – Kate spojrzała w górę na fasadę domu Daliny. – Czy pani Jennings zwykle zamyka okiennice? Na noc?

– W zimie tak. Jest bardzo oszczędna. Zamknięte okiennice zdecydowanie obniżają koszty ogrzewania.

Dom wyglądał na opuszczony. Kate się domyśliła: Dalina Jennings właśnie salwowała się ucieczką. Dzień wcześniej złożyła odciski palców, a następnie policjant odwiózł ją do domu. Anna poinformowała, że wielokrotnie próbowała się z nią skontaktować przez telefon.

A teraz zniknęła.

– Dlaczego nie sprawdzi pani w garażu? – zapytała pani Mitchell. – Nigdy nie jest zamknięty.

Kate podniosła bramę i zajrzała do środka. Garaż był pusty.

– Wiedziałam, że jej nie ma – stwierdziła pani Mitchell.

Kate skinęła głową. Dalina zniknęła. A jednak poprzedniego dnia nie było sposobu, by ją zatrzymać.

– Co teraz? – zapytał jeden z funkcjonariuszy, chuchając na zmarznięte dłonie. Zapomniał rękawiczek.

– Jedziemy do siedziby Trouvemoi. Żeby niczego nie pominąć, choć jestem pewna, że jej tam nie ma. Jest na to zbyt mądra.

– Co się właściwie dzieje? – zapytała pani Mitchell. – Dlaczego jej szukacie?

– Rutynowa kontrola – odparła wymijająco Kate.

Więcej ta wścibska sąsiadka wiedzieć nie musi.

Zeznanie Anny to jedno. Pytanie, czy wystarczy do oskarżenia Daliny Jennings o podżeganie do ciężkiego uszkodzenia ciała Alvina Malory'ego.

Ale nie to kazało Kate zerwać się z łóżka o tak wczesnej porze. Sądziła, że wie, kto zamordował Diane Bristow i Logana Awbreyę.

I miała świadomość, że pozostałym grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli nie uda jej się odnaleźć Daliny.

Możliwie jak najszybciej.

## 2

Pamela nigdy by nie pomyślała, że to w ogóle możliwe, ale w pewnym momencie rzeczywiście zasnęła, kompletnie wyczerpana po wielogodzinnych próbach uwolnienia się z więzów. Siedziała w lodowatym chłodzie tego niewielkiego pomieszczenia, oparta o słupek regału, który boleśnie uciskał jej łopatki, i nigdy by nie uwierzyła, że w tej pozycji można zasnąć. Wkrótce zrobiło się całkiem mroczno, ponieważ przez wąskie okno nie wpadało już do wnętrza światło dnia. Wczesny zimowy zmierzch przemienił się w noc. A Pamela nadal zmagająca się z więzami.

Gdy się obudziła, znów zrobiło się jaśniej. Nastął nowy dzień, ale wciąż było potwornie zimno. Pamela ostrożnie poruszyła głowę. Wydała z siebie cichy jęk bólu: jej ramiona oraz kark zeszywniały na mrozie w tej niewygodnej pozycji. Czuła ból wszystkich mięśni. Musiała wstać i się rozruszać, nawet mimo wrażenia, że całkiem skostniała. Powoli się podniosła, nadal opierając się plecami o słupek regału. Rozległ się trzask, puściły więzy krępujące jej dłonie.

Pamela ostrożnie wyciągnęła ręce do przodu, czując kłujący ból w obu ramionach, ze zdziwieniem obejrzała swoje dłonie. Wokół nadgarstków wciąż widniały kawałki sznura, którym ją związano. Poprzedniego dnia musiała być o włos od jego przerwania. Chwilę przedtem zasnęła.

Szkoda. Tak czy inaczej, zdołała się oswobodzić.

Wstała, ignorując ból przeszywający jej ciało, i pokuśtykała do okna. Nie była na tyle wysoka, by przez nie wyjrzeć, ale zauważyła skrzynkę z ziemniakami. Przewróciła ją, wskoczyła na nią. Na dworze nie było jeszcze zbyt jasno, ale rozpoznała śnieg, drzewa, płot. Uświadomiła sobie dwie rzeczy: przebywała w czymś w rodzaju suterenu. A więc faktycznie w piwnicy, choć dom mógł być usytuowany na łagodnym wzniesieniu, tak że od tyłu piwnica znajdowała się niemal na poziomie gruntu. Bez wątplenia widziała bowiem ogród. Na jego krańcu chyba zaczynał się las, po prawej i lewej zapewne znajdowały się inne ogrody i domy. A więc i ludzie. Niestety, o tej

porze roku co najwyżej wychodzili na spacer, nie kosili trawników ani nie urządzali grilla na świeżym powietrzu.

Pamela próbowała otworzyć okno. Klamki chyba od lat nie używano, wyglądała na całkowicie zardzewiałą. Pamela zmagala się z nią, ale w końcu dała za wygraną. Na razie. Zdała sobie sprawę, że krew w jej rękach nadal słabo krąży po tak długim skrępowaniu, do tego wszystko ją bolało. Była głodna, wycieńczona i kompletnie przemarznięta. Postanowiła coś zjeść i wypić, wymasować dokładnie nadgarstki, a potem znów spróbować otworzyć okno.

Zauważyła obok drzwi włącznik światła, nacisnęła go. Żarówka zawieszona pod sufitem rozbłysła jaskrawym blaskiem. Oślepiąca nim Pamela zamknęła oczy. Potem szarpnęła za klamkę, ale drzwi były oczywiście zamknięte. Wsłuchiwała się w odgłosy domu. Nie słyszała żadnych dźwięków od chwili, gdy poprzedniego wieczoru rozległy się przeraźliwe okrzyki Sue. Brzmiały okropnie, ale równie raptownie umilkły. Od tej pory nic się nie poruszyło.

– Sue?! – zawołała Pamela. – Mila?!

Nikt rzecz jasna nie odpowiedział.

W pomieszczeniu było przynajmniej dość pożywienia. Pamela otworzyła butelkę z sokiem pomarańczowym i wypila prawie do dna. Znalazła paczkę krojonego chleba, otworzyła ją i pochłonęła kromkę. Od razu poczuła się lepiej. Pewnie zaraz będzie musiała skorzystać z toalety. Pod jedną z półek zauważyła wiadro. Wykorzysta je.

Przypomniała sobie obrzydliwy zapach unoszący się w domu. Czyżby Sue także musiała używać wiadra? Czy również ona była związana? To by wyjaśniało, dlaczego Pamela odniosła wrażenie, że czuje zapach ekskrementów.

Musiała się stąd wydostać. Koniecznie musiała coś zrobić. Jeśli Sue w ogóle jeszcze żyła, znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Kto wie, kogo jeszcze Mila wzięła na cel.

Nabrawszy sił, Pamela ponownie próbowała otworzyć okno. Dwa razy poddała się wyczerpana, ale potem podjęła trzecią próbę. W końcu, trzeszcząc i skrzypiąc, klamka drgnęła. Okno się otworzyło. Do środka od razu napłynęło zimne, wilgotne, śnieżne powietrze. Nie było mowy, żeby Pamela zdołała się wtedy wydostać, przez wąską szczelinę nie przecisnęłaby się nawet głowa. Krzyknęła jednak na całe gardło.

– Halo?! Czy ktoś mnie słyszy?! Czy ktoś mnie słyszy?! Potrzebuję pomocy! Pomóżcie mi!

Nasłuchiwała. Jakiś ptak wydał skrzekliwy dźwięk, poza tym panowała głucha cisza. Grobowa. Niemal nienaturalny spokój po obfitych opadach śniegu, kiedy jego warstwa przykrywa wszystko i wszystko tłumi. Do ucha Pameli nie docierał żaden dźwięk, a przecież miasto nie leżało zbyt daleko. Nie słyszała ani samochodów, ani kroków czy



ludzkich głosów. Znajdowała się w mieszkalnej dzielnicy, raczej na jej obrzeżach. Mimo wszystko mieszkali tu ludzie.

Ponownie krzyknęła. I znów.

Nic.

Żeby w pokoju nie zrobiło się jeszcze zimniej, zamknęła okno i zeskoczyła ze skrzynki. Marzyła tak bardzo, że chciało jej się wyć. Co kilka minut będzie otwierać okno i wołać o pomoc. Jeśliby Mila nadal przebywała w domu, oczywiście by ją usłyszała. Zorientowałyby się, że Pamela zdołała uwolnić się z więzów. Czy zesłaby do niej? To byłaby szansa. Ale pewnie nie podjęłaby takiego ryzyka. Wiedziała, że policjantka nie zdoła się stąd wydostać. Mogła sobie wrzeszczeć wniebogłosy.

Pamela podejrzewała jednak, że Mila raczej się ulotniła. Albo uciekła razem z Sue i dzieckiem, albo je zostawiła. Pamela nie chciała nawet myśleć, w jakim stanie jest Sue. Najwyraźniej nie pozwalał jej na wezwanie pomocy.

Jeszcze kilka razy próbowała zwrócić na siebie uwagę głośnym wołaniem, ale nie było żadnego odzewu. W końcu się poddała, pod naporem pęcherza skorzystała z wiadra, po czym przykryła je skrzynką z owocami. Miała dość pożywienia, najgorszy był ziąb.

Oraz niepewność.

W świetle lampy jeszcze raz dokładnie przeszukała swoją torebkę, ale nie natrafiła na nic, co mogłoby się okazać przydatne. Znalazła długopis i podjęła kilka prób otwarcia nim zamka w drzwiach, na próżno. Wszystko wskazywało na to, że będzie musiała poczekać na powrót męża Sue w niedzielny wieczór.

– Do kurwy nędzy! – wyrwało jej się.

Usiadła na podłodze, podciągnęła nogi, objęła je rękami. Z zimna szczękała zębami. Jak mogła być taka głupia, taka lekkomyślna.

A najgorsze, że sama jest sobie winna.

### 3

Caleb uporał się z kłopotliwym, zbyt dużym stołem jadalnym, przysuwając go jedną krawędzią całkiem do ściany. Po drugiej stronie zmieściły się trzy krzesła ustawione jedno obok drugiego. Nie można było co prawda usiąść naprzeciw siebie, brakowało też miejsca na fotel czy kanapę, dało się za to bez większych przeszkód przejść do kuchni. Choć w jednym jej kącie nadal piętrzyły się pudła, inne zostały już uprzątnięte, działała kuchenka, powstała też niewielka powierzchnia robocza, a na lodówce stał połyskujący chromem ekspres. Caleb mógł zaparzyć kawę i ugotować

posiłek. Kate uznała to za zadowalający krok naprzód, mimo że mieszkanie wciąż było wyjątkowo mało przytulne. Ogrzewanie bulgotało i syczało, ale dawało niewiele ciepła. Caleb nie bez powodu miał na sobie gruby wełniany sweter i szalik dwukrotnie owinięty wokół szyi. Wyglądał na przemarzniętego i przybitego, co Kate wcale nie dziwiło. Jediną ozdobę tego mieszkania stanowił balkon z murowaną balustradą pokrytą warstwą śniegu. Oraz widok na morze. Tego dnia mieniło się ono antracytem; ten sam kolor ciemnego ołowiu miało niebo, po którym mewy przemykały z piskiem pod nisko zwieszonymi obłokami. Ponury zimowy dzień miał swój urok, choć wcale nie rozweselał. Nie zdołał poprawić nastroju wyraźnie przygnębionemu Calebowi.

Była dziesiąta przed południem, gdy Kate zadzwoniła do drzwi. Caleb na szczęście był już na nogach. Zaprosił Kate do salonu, a potem poszedł do kuchni i wrócił z dwiema filiżankami espresso.

– Przynajmniej mogę dziś zaproponować coś innego niż whisky – powiedział, stawiając na stole filiżanki. – Usiądź. Jakieś nowiny?

Przytaknęła.

– Mimo wszystko przyda nam się chyba coś mocniejszego. Gotowy? Mam zeznanie w sprawie Alvina Malory’ego.

Caleb spojrzał na nią oszołomiony.

– Co takiego?

Skinęła głową i usiadła przy ogromnym stole. Jej palce zacisnęły się na małej filiżance espresso. Zawsze to jakieś źródło ciepła.

Następnie zrelacjonowała historię opowiedzianą jej wieczorem przez Annę.

– Szaleństwo – odparł Caleb, gdy skończyła. – To czyste szaleństwo. Rozwiązałaś sprawę. Niemal w mgnieniu oka. My połamaliśmy sobie na niej zęby.

Kate potrząsnęła głową.

– Nie rozwiązałabym jej bez tego zeznania. Nie dało się jej rozwiązać. Miałam szczęście, że Anna Carter nie wytrzymała nerwowo mojego przesłuchania. Z Daliną nic bym nie wskórała.

– Czy udało się zidentyfikować jej odciski palców?

– Tak. Zostały wówczas zabezpieczone na miejscu zbrodni. Ale skoro regularnie dostarczała tam zamówienia i – przynajmniej według jej własnych zapewnień – czasami wносиła je do domu, same odciski by nie wystarczyły do udowodnienia jej winy.

– Analiza tych dostaw była bardzo mądrym posunięciem – przyznał Caleb. – Zbyt łatwo dałem się wtedy zbyć. Kiedy matka Alvina powiedziała mi, że nigdy niczego nie zamawiali, po prostu przyjąłem to za pewnik. Ty natomiast wgrzyzałaś się w tę sprawę. I słusznie.

– Nic by mi to nie dało, gdyby na miejscu zbrodni nie znaleziono odcisków Logana Awbrey. I gdyby ta kwestia nie wypłynęła w trakcie śledztwa w sprawie śmierci Diane Bristow. Nazwisko Daliny na liście dostawców niczym by się nie wyróżniało spośród setki innych. Miałam do dyspozycji nowe tropy, których ty wtedy nie znałeś.

– Nie bądź taka skromna – powiedział Caleb. – Świetnie się spisałaś. Nieważne, jakie nowe tropy się pojawiły.

Uśmiechnęła się.

Popatrzył na nią. W jego spojrzeniu kryło się tak wiele niewypowiedzianego, że oboje wstrzymali na chwilę oddech.

Kate odchrząknęła.

– Jest pewien problem. Dalina Jennings zniknęła.

– Po zarejestrowaniu odcisków palców?

– Tak. Oczywiście pozwolono jej odejść. Po wczorajszym zeznaniu Anny Carter dziś rano pojechaliśmy do jej domu, aby ją tymczasowo aresztować. Nie otworzyła nam. Samochód zniknęła, sąsiadka widziała, jak wczoraj po południu odjeżdża. W siedzibie jej agencji też nikogo nie zastaliśmy.

– Mogła pojechać do kogoś w odwiedziny. Do rodziców, przyjaciół...

– Mówiłam jej, że musi pozostać do naszej dyspozycji, ale ona nie jest typem człowieka, który stosuje się do takich zaleceń. Poza tym telefon komórkowy Anny zarejestrował mnóstwo wiadomości od niej. Dalina wyraźnie się obawiała, że Anna może zeznawać, i koniecznie chciała się z nią spotkać.

– Myślisz, że uciekła?

Kate wzruszyła ramionami.

– Od wczorajszego wieczoru intensywnie rozmyślam o zabójstwie Logana Awbrey. Oczywiście byłby akt zemsty ze strony ofiary, lecz Alvin Malory od lat leży w śpiączce. Nie potrafi nawet sam się przewrócić, a co dopiero zabić dwie osoby. Jego matka? Oczywiście miałyby motyw, ale skąd znałyby sprawców? I po co miałyby zabijać zupełnie niezaangażowaną w to Diane? Podobnie ojciec. Poza tym... nie wyobrażam sobie, że któreś z nich potrafiłoby to zrobić.

– Ja też nie – przyznał Caleb. Wiedział, do czego zmierza. – Myślisz teraz...

– Teraz myślę, że motywem być może wcale nie jest zemsta.

– Tylko strach?

– Nadal nie wiemy, dlaczego Logan Awbrey nagle pojawił się w Scarborough. Być może gryzło go sumienie. Może miewał koszmary... Nie mam pojęcia. I wiesz co? Może całą tę historię opowiedział Diane Bristow.

– On by tego nie zrobił!

– Dlaczego nie? W chwili słabości. Alkohol, sentymentalny nastrój, sumienie, które od lat go zadręcza... Odbywa spowiedź. A to potwierdzałoby spostrzeżenia obserwatorów: że Diane, odkąd zaczęła się spotykać z Loganem, sprawiała wrażenie coraz bardziej przygnębionej. Nie promiennej, zakochanej kobiety, tylko wciąż zamyślanej introwertyczki. Dałoby się to wyjaśnić, gdyby przyjąć, że jej nowy chłopak opowiedział jej o tym, co się wówczas wydarzyło.

– Diane stała się tym samym ogromnym zagrożeniem dla Daliny. Ale skąd ona miałaby o tym wiedzieć?

Kate potrząsnęła głową.

– Tego nie wiem. Ale Diane była przecież klientką Trouvemoi. Może o czymś napomknęła.

– W obecności głównego sprawcy?

– A może Logan coś chlapnął? Mamy tylko zeznania Daliny, twierdzącej, że nie mieli z sobą żadnego kontaktu. Mogło to wyglądać zupełnie inaczej.

– A wtedy...

– ...Dalina widzi tylko jedno wyjście: musi najpierw wyeliminować Diane. Ponieważ wydaje się dość mocno zaburzona i trzeba się liczyć z tym, że w którymś momencie komuś się zwierzy.

– Śledzi ją tamtej nocy i widzi, jak Logan Awbrey wsiada do jej samochodu.

– Bo chciał, jak zeznała Anna, naprawić zerwany związek. Oczywiście Dalina się tego nie spodziewała, ale wykorzystała okazję.

– A wtedy prawdą byłoby to, o czym Logan święcie zapewniał Annę Carter: że Diane Bristow nadal żyła, kiedy zostawił ją w tej zatoce parkingowej i wrócił do swojego auta. Że napadnięto ją dopiero wtedy, gdy została sama. – Caleb przytaknął w zamyśleniu. – Wówczas zjawiała się Dalina – kontynuował – którą, to oczywiście, Diane w dobrej wierze wpuściła do swojego samochodu.

– Anna zeznała, że tamtej nocy, gdy mijała zatokę parkingową, zauważyła w oddali reflektory. To mogła być Dalina.

– Myślisz, że byłaby zdolna zrobić coś takiego?

Kate przytaknęła.

– Tak – przyznała.

– A potem Logan...

– On też stanowił oczywiście zagrożenie. Choćby dlatego, że był podejrzewany o zabójstwo Diane i wciąż uciekał. W końcu przyznałby się do wszystkiego, żeby wyplątać się z aktualnej sprawy. Nie mogła pozwolić mu żyć.

– Zamordowanie tak wysokiego i barczystego faceta za pomocą noża to nie lada wyczyn.

– Owszem. Ale on także niczego nie podejrzewał. W obu przypadkach Dalina miała przewagę, bo działała z zaskoczenia. Obie ofiary musiały być kompletnie oszołomione, gdy nagle ujrzały w jej dłoni nóż.

– Gdzie się podziewa Anna Carter? – zapytał z niepokojem Caleb.

Kate skinęła głową. Dręczyły ją podobne obawy.

– Dalina nie wie, że Anna złożyła już zeznania, zatem to Annie grozi największe niebezpieczeństwo. Dalina za wszelką cenę usiłowała się wczoraj z nią spotkać. Wyjazd do Londynu mógł uratować Annie życie. A teraz przebywa w tymczasowym areszcie. Nie jest to miłe miejsce, ale przynajmniej bezpieczne. A za Daliną wysłano list gończy.

– Dzięki Bogu – powiedział Caleb.

– Domu Malorych pilnuje funkcjonariusz. Prawdę mówiąc, Alvin od lat stanowi ogromne zagrożenie dla Daliny i pozostałych. Jeśli się wybudzi, już po nich. Jak dotąd Dalina miała widocznie nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, ale teraz może nie chce pozostawić niczego przypadkowi. Alvin potrzebuje ochrony policyjnej, dopóki jej nie złapiemy.

– Tak. Masz rację, ostrożności nigdy za wiele.

– Bardzo się cieszę, że sprawa Alvina Malory’ego została rozwikłana – wyznała Kate. – Że rodzice zaznają w końcu jakiejś formy spokoju. Po tylu latach. Chociaż to znowu ich dotknie. Ta... beztroska leżąca u podstaw tej zbrodni.

– Już to kiedyś mówiłem – odparł Caleb. – Że może chodzić o nader banalną historię. Nic skomplikowanego, nic zagmatwanego. Żadna tam zemsta czy odwet, nie zazdrość, nawet nie chciwość ani rabunek. Coś znacznie mniej spektakularnego. Troje młodych strasznie się nudzi. Pewnego upalnego dnia, latem, w Scarborough. Nie ma żadnego głębszego powodu. Wyłącznie nuda.

Spojrzeni po sobie, pomyśleli o Alvinie Malorym leżącym bez ruchu w swoim łóżku w salonie rodzinnego domu, niezdolnym do mówienia, poruszania się, porozumiewania. Być może był zdolny do myślenia, odczuwania, snucia marzeń, tego jednak nie wiedzieli. Pomyśleli o jego matce, tej nieszczęsnej kobiecie, której życie kręciło się wyłącznie wokół syna, która nie miała już – a może nawet nie chciała mieć – własnego życia. O niszczącym domu. O ojcu, który przeniósł się w inny zakątek kraju, bo nie mógł sobie poradzić z tym, co spotkało jego rodzinę.

Trzy osoby, których życie zostało zniszczone.

Bo trójce młodych ludzi się nudziło.

– Dobrze – odezwał się Caleb. – Co teraz? Pójdiesz ze mną na spacer po plaży? Co prawda w ten zimny i wilgotny dzień moglibyśmy robić coś znacznie przyjemniejszego, ale pewnie nie wypada mi o tym wspominać?

Przez chwilę Kate pomyślała, jak miło byłoby z lekkim sercem i swobodniejszym umysłem, bez uprzedzeń i rozważań o tym, co dalej, wskoczyć teraz z Calebem do łóżka, zatonać w jego objęciach, w ciepłe dwóch ciał, dwóch bijących dla siebie serc, w splocie rąk, nóg oraz dusz.

Paraliżował ją jednak... strach. Nie potrafiła się z niego otrząsnąć. Od lat marzyła o Calebie, choć on nie okazywał jej nic poza przyjaźnią. Dopiero kiedy oboje za dużo wypili, nagle zdesperowany dostrzegł w niej kobietę, a nie tylko utalentowaną policjantkę i dobrą koleżankę. Kate nie sądziła, że jego uczucie okaże się prawdziwe. Niczego przed nią nie udawał, była tego pewna, nie zdawał sobie jednak sprawy, że znalazł się w wyjątkowej sytuacji. Po odejściu z policji, po przeprowadzce do tego okropnego mieszkania. Sięgnął po Kate tak, jak w przeszłości sięgał po butelkę whisky – w owej chwili, o ile Kate mogła to właściwie ocenić, wydawało mu się, że ma wszystko pod kontrolą. Jednakże czas nie stanął w miejscu. Zdomowi się w swoim mieszkaniu, przywyknie do pracy w barze. I znowu zacznie zwracać uwagę na piękne młode kobiety z długimi blond włosami, które zawsze robiły na nim wrażenie. Nadal mógł mieć każdą, jeśli tylko chciał. Spojrzała na niego i zauważyła zrezygnowana, jak dobrze wygląda, nieogolony, z szalikiem zarzuconym wokół szyi, ze smutnym wyrazem oczu.

Był facetem, którego każda kobieta chciałaby uratować.

Wstała.

– Przepraszam. Nie mogę nawet wyjść na spacer. Muszę dotrzeć do sędziego. By zdobyć nakaz aresztowania Daliny. Oraz Anny. W przeciwnym razie nie będę mogła jej dłużej zatrzymać, a wiesz, że byłoby to dla niej nader niebezpieczne. Dziś jest sobota, a do tego zbliża się koniec roku, łatwo nie będzie.

Caleb także się podniósł.

– Kate...

– I musimy odnaleźć Dalinę Jennings. Jak najszybciej.

– Od kilku dni jesteś praktycznie bez przerwy na służbie. Nawet w święta. Daj nam godzinę. Albo dwie. – Sięgnął po jej dłoń, ale ją cofnęła.

– Caleb...

– Kate, dlaczego nie? Co masz przeciwko mnie?

– Nic.

– Ale...

– Muszę pracować. Po prostu nie mam czasu.

Uśmiechnął się gorzko.

– Bo inaczej pewnie byś została... – odparł.

Pamela nie dawała za wygraną, co dziesięć minut podchodziła do okna i wzywała pomocy. Ponieważ w domu panowała cisza, nikt też nie próbował jej przeszkodzić, założyła, że pozostawiono ją samej sobie.

Dochodziło już chyba południe. Śnieg przestał padać, ale chmury nadal wisiały nisko na niebie, z pewnością jeszcze posypie. Po raz kolejny otworzyła okno i nie zważając na chłód, zawołała w nadziei, że ktoś ją usłyszy:

– Jest tam ktoś? Halo? Czy ktoś mnie słyszy?

Już miała zrezygnować i się wycofać, gdy usłyszała chrzęst. Kroków? Zabrzmiało to tak, jakby ktoś brnął przez śnieg.

– Halo? – zawołała ponownie. – Jestem tutaj. Przy oknie w piwnicy!

Kroki zamarły, po czym znów dało się je słyszeć. Pamela spostrzegła parę małych zimowych butów oraz dzinsy. Ktoś się pochylił. Pojawiła się twarz. Dziewczynka. Mogła mieć około dziesięciu lat.

– Cześć – powiedziała dziewczynka.

Nadzieja, że Pamela w końcu zobaczy jakiegoś człowieka, była tak nikła, że przez chwilę gapiła się na dziecko jak oniemiała. W końcu zebrała się w sobie.

– Cześć. Skąd jesteś?

Dziewczynka wskazała za siebie.

– Mieszkam dwa domy dalej. Chciałam ulepić w ogrodzie bałwana, wtedy usłyszałam, że ktoś woła. Wspięłam się przez płot.

– Jesteś wspiana! – wyznała Pamela ze szczerego serca.

– Mam na imię Ivy – powiedziała dziewczynka.

– To bardzo ładne imię. Ja mam na imię Pamela.

– Nie możesz wyjść z piwnicy?

– Utknęłam tutaj. Ivy, czy twoi rodzice są w domu?

Ivy potrząsnęła głową.

– Pojechali do miasta na zakupy. I na obiad. Nie chciałam jechać z nimi. Uważam, że to nudne.

– Rozumiem. Ivy, czy masz może telefon komórkowy? – Pamela nie spodziewała się tego po dziesięcioletniej dziewczynce, ale ku jej zaskoczeniu Ivy przytaknęła.

– Dostałam na gwiazdkę.

– Ivy, koniecznie muszę zadzwonić. Myślisz, że mogłabyś przynieść mi swój telefon? To prawdziwy telefon, prawda? – upewniła się Pamela.

– Oczywiście – odpowiedziało dziecko. – Mam też WhatsAppa. Mogę wysyłać mojej koleżance wiadomości i zdjęcia.

– Okej. To wspaniale. Czy mogłabyś przynieść mi telefon?

– Pewnie – przytaknęła Ivy.

– Słuchaj, Ivy, trudno to teraz wyjaśnić, ale musisz uważać. Nie obchodź domu dookoła, dobrze? Wróć przez ogródki. Trzymaj się blisko domów, nie biegnij środkiem ogrodu. Myślisz, że dasz radę?

– Pewnie – powtórzyła Ivy. Odwróciła się i zniknęła.

Pamela uznała, że to straszne narażać dziecko na niebezpieczeństwo, ale nie miała wyboru. Najprawdopodobniej Mila już dawno uciekła, ale nie mogła mieć stuprocentowej pewności, stąd ostrożność była jak najbardziej wskazana.

Niecałe dziesięć minut później Ivy wróciła. Dyszała z wysiłku. Przyklęła przed oknem i podała Pameli różowy telefon.

– Masz. Już go odblokowałam.

– Ivy, jesteś naprawdę niesamowita. Słuchaj, muszę zadzwonić na policję. Chcę, żebyś wróciła do domu i tam została. Zgoda?

– Chciałam ulepić bałwana.

– Ulepisz. Ale później. Na razie musisz zostać w domu i zamknąć wszystkie drzwi.

– A co z moją komórką?

– Dostaniesz ją z powrotem. Bardzo szybko. Obiecuję.

Ivy przez chwilę wyglądała na zaniepokojoną, ale potem przytaknęła. Wstała i uciekła.

Pamela zrobiła głęboki wdech. Odczekała jeszcze chwilę. Cokolwiek teraz się stanie, Ivy musiała się znaleźć poza linią ognia.

Następnie wystukała numer komórki Kate. Na szczęście miała dobrą pamięć do liczb, zapamiętała numer.

*Proszę, odbierz* – pomyślała.

Niespełna czterdzieści minut później Pamela została uwolniona, a dom zabezpieczony. Pamela nie zadzwoniła na najbliższy posterunek policji, zorganizowanie wsparcia zleciła Kate, która wiedziała, o jaką sprawę chodzi.

– W domu może znajdować się porywaczka. Z dwojgiem zakładników. Młodą kobietą i sześciomiesięcznym dzieckiem.

Stało się jasne, że należy zachować szczególną ostrożność. Nie mogła pozwolić, by pojawił się pierwszy lepszy posterunkowy z Richmond. Potrzebowali grupy do zadań specjalnych.

– Martwa kobieta na górze – zameldował Pameli szef oddziału, gdy w towarzystwie funkcjonariusza wychodziła po schodach z piwnicy. – Ani śladu dziecka.

– Szlag! – zaklęła Pamela. Była tak przemarznięta, że czuła, jakby z każdym krokiem jej kości chrzęściły jak lód. W jednej ręce wciąż trzymała różowy telefon Ivy.



W drugiej swojej torebce. W korytarzu roiło się od policjantów. Nadal czuć było odór ludzkich ekskrementów.

– Gdzie jest ta martwa kobieta? – zapytała Pamela.

Funkcjonariusz zaprowadził ją do salonu. Przytulny, schludny salon Sue, z choinką, karuzelką, kartkami świątecznymi na gzymsie kominka oraz talerzem pełnym ciasteczek na stole. Na zawsze utracił swoją spokojną atmosferę, nieco duszny porządek, przytulność. Z powodu martwej kobiety opartej o stolik przy sofie. Sue. Ze skrępowanymi za plecami rękoma, przywiązana do jednej z nóg stołu. Górna część tułowia pochylona do przodu, głowa nisko zwieszona. Wszystko było poplamione krwią. Ciało kobiety, dywan, stół. Krew widniała nawet na ścianach. I na talerzu z ciastkami.

– Została... – zaczęła Pamela.

– ...zadźgana nożem – dokończył dowódca grupy. – Liczne rany klute na całym ciele. Na końcu poderżnięto jej gardło.

– Pozostałe rany nie były śmiertelne?

– To musi ustalić coroner.

Pomyślała o krzyku Sue, jej błaganiach.

– I nie ma śladu po dziecku?

– Nigdzie. Dom przeszukano do ostatniego zakamarka. Także garaż. W domu nie ma nikogo. Dziecka również.

Pamela zerknęła przez okno na ulicę, przy której stał zaparkowany jej samochód. Zniknął.

– Ucieka moim autem. I wygląda na to, że ma z sobą dziecko.

– Mila Henderson?

– Tak.

– Proszę mi podać numery rejestracyjne. Wyślę list gończy.

Pamela podyktowała dane.

– Ale bądźcie nad wyraz ostrożni. W samochodzie znajduje się sześciomiesięczna dziewczynka.

Ze względu na małość sprawa jeszcze bardziej się komplikowała. Stała się nader niebezpieczna.

– Przy okazji: sierżant Linville jest już w drodze – poinformował szef oddziału. – Lada chwila powinien się też zjawić zespół kryminalistyczny.

– W porządku. – Potwornie bolała ją głowa, musiała się napić gorącej herbaty, marzyła o kąpieli w pianie, czymkolwiek, co przegnałoby z jej kości siarczysty chłód, ale nie był to odpowiedni moment. Musiała zrobić dla zmarłej Sue wszystko, co było w jej mocy. Dla jej małej córeczki, która znalazła się w śmiertelnym

niebezpieczeństwie. Przez cały czas jakiś głos jej podszeptował: Schrzaniłaś to. Powinnaś była zabrać z sobą policjantów, gdy pojawiłaś się tu po raz drugi. Nie wpadłabyś w pułapkę jak jakiś najgorszy żółtodziób. Sue może by jeszcze żyła. Mila zostałaby aresztowana. A małe dziecko nie wpadłoby w ręce niebezpiecznej wariatki.

Cicho jęknęła.

– Inspektorko? – zapytał zaniepokojony szef oddziału.

– W porządku. – Wyprostowała się. Na samooskarżenia przyjdzie jeszcze czas. Musiała oddać telefon małej Ivy. Zadzwoić do Leo. Na dobre pogrzebać ten weekend. Spojrzała na martwą Sue. Widziała już tyle zamordowanych osób.

Tym razem omal się nie rozpłakała.

Czterdzieści minut później na miejscu zjawiała się Kate. Pamela jeszcze nigdy nie odczuła takiej ulgi na widok koleżanki. Była tak bardzo wyczerpana, iż miała wrażenie, że nie będzie w stanie sama poradzić sobie z sytuacją – nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. Te dwadzieścia cztery godziny spędzone w piwnicy doszczętnie ją pogruchotały i w jakiejś mierze zdemoralizowały. Ciepło i sen postawią ją na nogi, miała taką nadzieję.

Stała obok dowódcy oddziału, patrząc na miejsce, w którym najwyraźniej przetrzymywano Sue. Oprawczyni zadała jej śmierć w salonie, skrępowała ją prawdopodobnie w jadalni tuż obok kuchni. Sue nie była w stanie przesunąć ciężkiego dębowego stołu. Obok nóg stołu leżały kawałki sznura. Na dywanie widniały rozrzucone okruchy jedzenia. Skórki od chleba, jabłko, rozlana zupa. W dwóch kątach pokoju, w którym zaciągnięto grube kwieciste zasłony, dywan był przesiąknięty moczem i innymi odchodami.

– Widocznie poluzowano jej więzy, żeby mogła się załatwić – stwierdził funkcjonariusz – ale nie dano jej żadnego wiadra, nic. Zastanawiam się, jak długo ją tu więziono.

– Powiedziała, że jej mąż wyjechał na weekend do przyjaciół – odezwała się Pamela. – Podejrzewam, że w Boże Narodzenie był tu jeszcze razem z rodziną. Ten koszmar mógł się zacząć wczoraj. Najwyżej w drugi dzień świąt. Nie trwało to dłużej.

– Hm – mruknął szef zespołu.

Pamela spojrzała na niego pytająco.

– Tak?

– Brzmi to trochę makabrycznie, inspektorko, ale moim zdaniem całkiem sporo fekaliów jak na jeden lub dwa dni.

– Cóż... – zaczęła Pamela, ale wtedy za jej plecami rozległ się głos Kate.

– Inspektorko? W porządku?

Pamela odwróciła się i omal nie uściskała Kate.

– Nic mi nie jest, dziękuję. Cieszę się, że panią widzę. Znaleźliśmy się w naprawdę trudnym położeniu.

– Skąd pani się tu w ogóle wzięła? – zapytała Kate. – Nie zamierzała pani wyjechać na weekend?

– Owszem. I tak też bym wolała. – Pamela zrelacjonowała pokrótce rozmowę telefoniczną z inspektorem Burdenem i przyznała, że akurat była w pobliżu Richmond.

– Znalazłam zdjęcie Sue Raymond w roczniku klasowym Mili ze szkoły w Leeds. Chyba się przyjaźniły. Dlatego przyszło mi na myśl, że Mila może zatrzymać się u Sue. Burden ustalił adres. Pomyślałam, że szybko to sprawdzę.

– Rozumiem – odparła Kate. Pamela była jej szefową, nie powiedziała jej więc, co o tym wszystkim sądzi, choć Pamela i tak się domyśliła.

– Wiem. Powinna była kogoś powiadomić. To niewybaczalny błąd. Winię za to wyłącznie siebie.

– Jak udało się pani zdobyć rocznik Mili Henderson? – zapytała Kate.

– Tak, jeszcze tego nie wyjaśniłam. Wiele się wydarzyło przez ostatnie dni. – Pamela opowiedziała o zabójstwie francuskiej nauczycielki Isabelle du Lavandou i o odwiedzinach u jej męża.

– Zdziwiająco dużo martwych, zamordowanych osób wokół Mili Henderson, prawda? Nauczycielka francuskiego, Patricia Walters, James Henderson. A teraz Sue Raymond, jej dawna przyjaciółka.

– Brakuje tylko wspólnego motywu – stwierdziła Kate.

– Może jest po prostu chora. Nie ma żadnego motywu. Mieszka u ludzi, a po jakimś czasie ich zabija i rusza w dalszą drogę.

– Ale nie ma pani stuprocentowej pewności, że Mila tu przebywała, prawda?

Pamela wyglądała na rozdrażnioną.

– Czy pani w to wątpi? A ślady krwi, które zostawiła po sobie Mila?

– Mówię tylko, że nie mamy całkowitej pewności.

– A co się tu, pani zdaniem, wydarzyło?

Kate uniosła obie ręce w uspokajającym geście, gdyż Pamela zaczęła mówić tak głośno, że zerkali w ich stronę ludzie z ekipy kryminalistycznej.

– Bez wątpienia stało się tu coś strasznego. Można podejrzewać, że sprawcą jest Mila Henderson. Ale na razie nie wiemy tego na pewno. Nie możemy jeszcze tego stwierdzić.

– Mam absolutną pewność, że znajdziemy jej odciski palców – oznajmiła Pamela.

Na miejscu pracowała już ekipa kryminalistyczna. Przed domem mimo chłodu tłoczyli się sąsiedzi. Dwóch funkcjonariuszy trzymało ich na dystans. Nie minie wiele

czasu, a pojawi się prasa.

– Podniesie się larum, gdy się okaże, że porwano sześciomiesięczne dziecko – stwierdziła Pamela. – Podczas gdy funkcjonariuszka wydziału zabójstw siedziała bezradnie w piwnicy. – W jej słowach nie pobrzmiwała już ekscytacja, tylko zniechęcenie. Pewnie nie od razu, ale wkrótce ktoś z prasy ustali, że złamała przepisy i zachowała się lekkomyślnie. Jeśli dziecku stanie się krzywda, zostanie rozszarpana. Nie śmiała nawet myśleć o rozmowie z nadkomisarzem. Mało prawdopodobne, by zachowała stanowisko.

– Odnieśliśmy też sukces – oznajmiła Kate, doskonale wiedząc, co się kotłuje w głowie Pameli. – Zbrodnia na Alvinie Malorym została wyjaśniona.

– Co takiego?

Kate streściła pokrótce zeznania Anny Carter.

– Została tymczasowo aresztowana. Właśnie miałam się udać do sędziego. Zleciłam to sierżantce Helen Bennett.

– To jest coś! – przyznała Pamela. – Trio. Logan, Dalina i Anna. I to bez żadnego motywu.

– Nuda oraz sytuacja, która wymknęła się spod kontroli. Proste, a zarazem takie potworne – przyznała Kate.

– W tych okolicznościach zamordowanie Logana Awbrey'a nie byłoby już żadną zagadką – uznała Pamela. – Odwet. Gdyby ofiara nie leżała w śpiączce...

– Wydaliśmy nakaz aresztowania Daliny Jennings.

– Jennings?

– Podejrzewam, że to ona stoi za morderstwami Diane Bristow i Logana Awbrey'a. Sądzę, że Awbrey otworzył się przed Diane, a ona nie mogła sobie poradzić z wyrzutami sumienia. Dalina Jennings zaczęła się obawiać, że Diane zgłosi się na policję. Podobnie jak Logan Awbrey. Ani on, ani Anna nie byli aż tak pozbawieni skrupułów jak Dalina. Logan popełnił zbrodnię, Anna się temu przyglądała, ale to Dalina wszystkim kierowała. Sama chyba nie czuła z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Nie mogła mieć jednak pewności co do pozostałej dwójki – tym bardziej że nagle do grona wtajemniczonych dołączyła czwarta osoba, Diane Bristow. Dla Jennings sprawy przybrały cholernie groźny obrót.

– Na razie to tylko przypuszczenia – powiedziała Pamela.

– Wszystko do siebie pasuje – stwierdziła Kate. – Nawet to, że Dalina Jennings wczoraj przepadła bez śladu.

Pamela powoli skinęła głową.

– Tak. Pasuje. Jennings musiała jednak wiedzieć, że Diane albo Logan, albo oboje zgłoszą się na policję. Albo przynajmniej o tym, że Diane została wtajemniczona.

– Logan całymi dniami czatował przed agencją. Być może doszło do spotkania z Daliną. Oczywiście ona nigdy by się do tego nie przyznała. Ale dostrzegła zagrożenie. I zaczęła działać.

Pamela westchnęła.

– Biorąc pod uwagę, że mamy właśnie najspokojniejszą porę roku... – Wyglądała mizernie, była przemarznięta, z trudem trzymała się na nogach. Kate delikatnie dotknęła jej ramienia.

– Inspektorko, jeśli mogę... wygląda pani fatalnie. Nic dziwnego. Ma pani na czole zaschniętą krew, siedziała pani w tej piwnicy przez dwadzieścia cztery godziny. Powinna się pani wybrać do lekarza, a potem coś zjeść i się położyć.

– Ale...

– Zajmę się tym. Wszczęto poszukiwania pani samochodu, który prawdopodobnie umożliwił ucieczkę. Zaczekam tutaj na wyniki badań kryminalistycznych oraz autopsji i postaram się odnaleźć męża Sue Raymond. Funkcjonariusz odwiezie panią do domu, gdzie nabierze pani sił. W takim stanie nikomu pani nie pomoże.

Same te słowa sprawiły, że pod Pamelą ugięły się kolana. Tak bardzo pragnęła położyć się do łóżka. Potwornie bolała ją głowa. Jakby młot uderzał w jej skronie.

– Dziękuję, sierżantko. Za kilka godzin wrócę do formy. Mogę pożyczyć na chwilę pani telefon? Mojego jeszcze nie odnaleziono, pewnie zabrała go Mila Henderson. Muszę odwołać moje weekendowe spotkanie.

– Jasne! – Kate podała jej komórkę. Wtedy aż jęknęła. – O nie! – powiedziała. – Po raz kolejny!

– Co się stało? – zapytała Pamela, wpisując już numer Leo i odchodząc dyskretnie na kilka kroków. Zgłosiła się poczta głosowa. Pamela się rozłączyła. Leo nie lubił nagranych wiadomości.

– Nic takiego – odparła Kate. W obecnej sytuacji nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, ale właśnie uświadomiła sobie, że przez pojawienie się Anny i jej zeznanie poprzedniego wieczoru znowu zapomniała o Burcie Gilliganie.

Po raz kolejny na próżno czekał na nią u Gianniego.

Wieczorem w drodze powrotnej do Scarborough Kate próbowała porozmawiać z nim przez telefon, ale się rozłączył, gdy tylko wymieniła swoje imię. Nie mogła mieć mu za złe, że był wściekły.

Czuła śmiertelne zmęczenie, a mimo to w jej głowie kłębiło się od myśli. Pierwsza autopsja przeprowadzona jeszcze na miejscu zdarzenia wykazała, że Sue Raymond została raniona nożem, ale żaden z ciosów jej nie zabił. Torturowano ją, zadawano jej ból, by ją w końcu zamordować, podrzynając jej gardło. Kate nie mogła nie pomyśleć o Jamesie Hendersonie, którego raz za razem podtapiano. Napastnikowi nie chodziło

o szybkie uśmiercenie. Oba zdarzenia świadczyły o sadyzmie i przyjemności czerpanej z tortur. Tego elementu zabrakło jednak w przypadku Patricii Walters – o ile w ogóle została zamordowana. Nikt się na niej nie wyżywał.

Motyw, pomyślała Kate, gdzie, do cholery, kryje się wspólny motyw?

Jedyny zauważalny związek, na który Pamela nieustannie zwracała uwagę, łączył wszystkie ofiary z Milą Henderson. U Patricii Walters pracowała, James Henderson był jej dziadkiem, z Sue Raymond przyjaźniła się w czasach szkolnych. O ile w przypadku Walters i Hendersona było jasne, że Mila przebywała z nimi tuż przed ich śmiercią, o tyle w domu Raymondów nie znaleziono do tej pory żadnego dowodu jej obecności. Rozpytywano wśród sąsiadów, pokazywano zdjęcie Mili, ale nikt nie zauważył jej przyjazdu, podobnie jak nikt nie był świadom dramatu, jaki rozegrał się tuż obok.

Jeden z sąsiadów widział tylko, jak Wayne Raymond wyjeżdżał rankiem dwudziestego szóstego grudnia.

– Ciągłe gdzieś znika – relacjonował, krzywiąc się z dezaprobatą. – Ma bardzo dziwnych kolegów. Wydaje się, że woli ich towarzystwo od towarzystwa żony i małej córeczki. Sue bardzo z tego powodu cierpiała.

– Jakich kolegów? – zapytała Kate.

– Ach, sami synowie bogatych rodziców. Mają drogie samochody i mnóstwo szmalu, nie wiedzą, jak zabić wolny czas. Wayne nie bardzo mógł za nimi nadążyć, bo ma dużo mniej pieniędzy. Swój ogromny wóz kupił w całości na kredyt, żeby zanadto nie odstawać. To również przybiło Sue. W obecności ludzi zawsze zachowywała się tak, jakby stanowili idealną rodzinę, wszystko niby było wspaniałe i harmonijne, ale pewnego razu poczuła się na tyle kiepsko, że zwierzyła się mojej żonie. Płakała z powodu kłopotów finansowych, a także dlatego, że on zawsze wyjeżdżał bez niej.

Nieszczęśliwe małżeństwo. Jednak Wayne ani żaden z jego kolegów raczej nie miał nic wspólnego ze śmiercią Sue.

– Czy Sue kiedykolwiek wspomniała imię Mili? – zapytała Kate.

Sąsiad się zamyślił, ale potem potrząsnął głową.

– Nie. Nie wydaje mi się.

Kate dowiedziała się przynajmniej, że dziecko ma na imię Ruby, ustaliła też lokalizację domku myśliwskiego, w którym przypuszczalnie przebywali Wayne i jego koledzy. Wspomniał o tym drugiemu sąsiadowi. Ten od razu zaznaczył, że brakuje tam zasięgu telefonii komórkowej.

– Nie sposób się z nim skontaktować. Trzeba tam pojechać.

W drogę wyruszyli dwaj funkcjonariusze, w nadziei, że mimo obfitego śniegu i ciemności uda im się dotrzeć do chaty w głębi lasu, w której grupa mężczyzn urządziła trzydniową libację. Gdyby policjanci zastali tam Wayne'a Raymonda i jego

kumpli, można by ich ostatecznie skreślić z listy podejrzanych. W taką pogodę wyprawa tam i z powrotem byłaby praktycznie niewykonalna. Kate tak czy owak uznała ewentualny udział Wayne'a w zbrodni za mało prawdopodobny.

Po południu niespodziewanie odnaleziono samochód Pameli. Stał zaparkowany przy przecznicy dalej, w małej osiedlowej uliczce, nawet kluczyk wciąż tkwił w stacyjce. Mężczyzna, który zobaczył pojazd stojący tuż przed jego kuchennym oknem, słyszał o dramacie, jaki rozegrał się w pobliżu – historia rozeszła się po Richmond lotem błyskawicy – i niezwłocznie powiadomił policję. Samochód rzeczywiście należał do Pameli, niemniej po sprawcy lub sprawczyni i małej Ruby nie było śladu.

Sprytnie, pomyślała Kate. Sprawca parkuje w pobliżu i podsuwa nam na chwilę fałszywy trop. Wszyscy szukają samochodu Pameli, a on nie odgrywa tu żadnej roli. Uciekinier powiększa tylko swoją przewagę.

Oznacza to jednak, że sprawca posiada własny środek transportu.

Mila nie miała auta. Co nie znaczy, że nie mogła się tymczasem o jakieś wystarać.

Mały samochód Sue stał nietknięty w garażu. Wayne wyjechał swoim SUV-em. Nikt nie widział przed domem żadnego obcego pojazdu oprócz auta Pameli. Ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Sprawca mógł zaparkować w pobliżu, przy głównej drodze. Jego samochód nie zwróciłby tam nikzyjej uwagi.

Pojazd Pameli sprawdzono pod kątem pozostawionych śladów, podobnie zresztą jak cały dom Raymondów. Wyniki nie były jeszcze dostępne. Zwłoki Sue zostały przewiezione do ośrodka medycyny sądowej. W związku z tym Kate zakończyła tego dnia pracę i ruszyła w drogę powrotną do domu. Po południu musiała przekazać Helen wszystkie kwestie, którymi sama chciała się zająć: chodziło o rozmowę z sędzią oraz spotkanie z rodzicami Alvina. Jedna sprawa została rozwiązana, inna nabrała nieoczekiwanej dynamiki.

Kiedy zabrzączał jej telefon, aż drgnęła. Tego wieczoru pragnęła już tylko spokoju.

Dzwoniła Helen.

– Witam, sierżantko. Czy jest pani w drodze?

– Wracam do domu z Richmond. Warunki na drogach są wyjątkowo złe. Coś nowego w sprawie poszukiwań Daliny Jennings?

– Niestety nie. Jakby zapadła się pod ziemię. Alvina Malory'ego pilnujemy przez całą dobę. Sędzia wyznaczył nam termin na jutrzejsze popołudnie, mimo niedzieli, tak że zmieścimy się w czterdziestu ośmiu godzinach, przez które możemy przetrzymywać Annę Carter. Na razie jest więc bezpieczna. Poza tym nic nowego.

– Dziękuję, sierżantko. Zatem koniec na dziś. Ja także niedługo będę w domu.

– Dobranoc, sierżantko.

– Dobranoc. – Kate zakończyła rozmowę.

Wątpiła jednak, czy tak potworne zmęczenie pozwoli jej zasnąć tej nocy.



# Niedziela, 29 grudnia

## 1

Kiedy Pamela się obudziła, za oknem było już jasno. Tak jasno, jak bywa z końcem grudnia. Ujrzała gęste chmury oraz tańczące w powietrzu płatki śniegu. Znowu zaczęło prószyć. Natychmiast pomyślała o małej córeczce Sue. Gdzie teraz przebywa? W samochodzie? W jakiejś chacie? Piwnicy? Czy o nią dbano, czy ją karmiono? Czy było jej ciepło?

Z jękiem opadła głową na poduszkę. Wciąż odczuwała silny ból. Za czołem i na skroniach. Może cios nie spowodował jakichś poważniejszych uszkodzeń.

Przynajmniej się wyspała. Była tak potwornie zmęczona, że szybko poczłapała pod prysznic, a potem zatoczyła się do łóżka. Nie była nawet w stanie zaparzyć sobie herbaty. Zdołała tylko zatelefonować do Leo.

– Nie powinnaś dzwonić – syknął cicho. – Umówiliśmy się, że będziemy pisać wyłącznie SMS-y.

Ty tak postanowiłeś, pomyślała, podobnie jak ustaliłeś wszystkie pozostałe zasady gry. Musiałam pozostać twoim największym sekretem. A ja zawsze się kuliłam i byłam niewidzialna, milcząca.

– Nie mam swojej komórki. Dlatego nie mogę wysyłać SMS-ów.

– Dlaczego nie masz telefonu?

– To długa historia. Chciałam tylko przeprosić, że nie przyjechałam.

– Czekałem wiele godzin! – powiedział Leo. Wciąż szeptał. – Mogłaś mnie przynajmniej powiadomić. W końcu cholernie dużo ryzykuję.

Przez te wszystkie lata wciąż podkreślał, jak wiele dla niej, Pameli, ryzykuje. Teraz nagle poczuła się zbyt zmęczona, by tego słuchać.

– Nie dało się – odparła. Miała zamiar wyjaśnić mu, co się wydarzyło, ale była zbyt wyczerpana. A on był zbyt niecierpliwy i zestresowany.

– Cóż – powiedział. Wydawał się urażony.

– Kładę się spać. Miałam dwa okropne dni.

– Odezwij się, gdy odzyskasz komórkę – odpowiedział i się rozłączył.

Opadła na łóżko, czekając na smutek i ból, z powodu takiego lekceważenia i braku zainteresowania z jego strony. Ból się jednak nie pojawił, była po prostu nazbyt zmęczona. Zasypiając, pomyślała, że gdyby weekend przebiegł zgodnie z planem,

byłaby teraz śmiertelnie smutna. Leżałaby w swoim łóżku, z ciężkim sercem, ponieważ ich drugi wspólny dzień, sobota, nie byłby już taki miły. Poszliby na spacer, a Leo wciąż zerkałby ukradkiem na zegarek. Zatrzymaliby się gdzieś na lunch, ich rozmowa osunęłaby się w nużącą monosylabiczność. Pamela coraz bardziej by się męczyła, Leo zaś byłby coraz bardziej milczący, bo właściwie chciałby już wyjechać. W końcu zapłaciłby – on zawsze płacił za sobotni lunch, ona za piątkową kolację – wróciliby do hotelu i spakowali nieliczne rzeczy. On pospiesznie, gdyż chciał jechać do domu, ona powoli, bo do domu wracać nie chciała. Powiedziałyby, że się odezwie i że było miło. Potem wsiadłby do swojego auta i odjechał, i nawet jego samochód z każdym pokonanym metrem emanowałby ulgą. Ona zaś pewnie zrobiłaby kolejną rundkę, by nie wyjeżdżać w tak silnych emocjach, ale w końcu musiałaby wyruszyć w drogę. Z powrotem do swojego życia – bez niego.

W ten niedzielny poranek przynajmniej nie czuła się źle. Co prawda dokuczał jej silny ból głowy, dręczyły wyrzuty sumienia i bardzo się martwiła, ale tym razem nie chodziło o jej związek – jeśli można go było tak nazwać – ale o sprawę Mili Henderson, temat mimo wszystko dość neutralny.

Wstała, w łazience wzięła tabletkę od bólu głowy i połknęła ją, popijając odrobiną wody. Z mieszkania piętro niżej dobiegały dziecięce głosy. Dom był mało dźwiękoszczelny, ale Pamela to lubiła. Nie znosiła głuchej ciszy.

Gdy stała w kuchni, nasypując kawę do filtra, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko sierżantki Linville.

Pamela podniosła słuchawkę.

– Sierżantko?

– Dzień dobry, inspektorko. Mam nadzieję, że nie dzwonię za wcześnie?

Pamela spojrzała na zegarek. Było pół do dziesiątej. Na litość boską, jeszcze nigdy tak długo nie spała.

– Ależ skąd. Jakież nowiny?

– Kilka. Dostałam informację od kryminalistów. Miała pani rację: w domu Sue Raymond znaleziono odciski palców Mili Henderson – są to odciski, które zabezpieczyliśmy również w mieszkaniu Jamesa Hendersona i u Patricii Walters, a które przypisujemy Mili. Oficjalnie nie ma ich jeszcze w naszym systemie.

Nareszcie! Po schrzanieniu tylu spraw przynajmniej w tej kwestii miała rację! Pamela zaczerpnęła powietrza.

– Myślę, że możemy uznać Milę Henderson za sprawczynię – oznajmiła.

Kate westchnęła.

– A teraz coś niepokojącego – powiedziała. – Nóż, którym zamordowano Sue Raymond, to narzędzie zbrodni użyte w przypadku Diane Bristow i Logana Awbrey.

Pamela milczała przez sekundę.

– Że co proszę?

– Ja także jestem skołowana – wyznała Kate.

– Co Mila Henderson ma wspólnego z morderstwami Diane Bristow i Logana Awbreya?

– Co Dalina Jennings ma wspólnego z Sue Raymond i Milą Henderson? – odpowiedziała pytaniem Kate. – Inspektorko, jestem prawie pewna, że Dalina zamordowała Diane i Logana. Ma motyw i zniknęła bez śladu. Ale narzędzie zbrodni stanowi kompletną zagadkę.

– Dalina Jennings mogła też zniknąć z powodu tamtej zbrodni na Alvinie Malorym – oświadczyła Pamela. – Była pani u niej. Zadawała pani pytania. Wiemy, że regularnie dostarczała mu pizzę. Grunt zaczął jej się palić pod stopami.

– Znów zaczynamy od początku – powiedziała podenerwowana Kate. – Zamierzam ponownie porozmawiać z Anną Carter. Zapytam ją, czy coś jej mówi nazwiska Sue Raymond i Mili Henderson. Mila mogła być klientką Trouvemoi, jest singielką. Potrzebowałabym nakazu przeszukania siedziby agencji. Również konfiskaty komputera.

– To będzie trudne, sierżantko – oznajmiła Pamela. – Ale możemy spróbować.

– Nadal trwa obława na Milę Henderson i małą Ruby Raymond – relacjonowała Kate. – Oraz na Dalinę Jennings. Odnaleziono też męża Sue Raymond. Jest już w domu. Nie zna Mili, nigdy jej nie widział. Z pewnością nie było jej, gdy w czwartek wyruszał na długi weekend z kolegami. Nie pamięta też, by Sue kiedykolwiek wymieniła jej nazwisko. To nie jest przyjaźń ostatnich kilku lat.

– Jest w szoku, prawda? Może przypomni sobie coś jeszcze, gdy się nieco uspokoi?

– Jest w potwornym szoku – przyznała Kate. – Wyjeżdża na zakrapiany weekend, a tu zjawia się policja i informuje go, że jego żona została zamordowana, a sześciomiesięczna córka porwana. Przypuszczalnie przez kobietę, której nazwiska nigdy nie słyszał. Funkcjonariuszka, która zajmuje się nim na miejscu zdarzenia, mówi, że wygląda jak skamieniały. Zmrożony.

Obie umilkły przygnębione. Cierpienie bliskich ofiar zbrodni – nie sposób było do niego przywyknąć. Nie było jak się przed nim uchronić.

– Jest pani w biurze? – zapytała w końcu Pamela.

– Tak.

– Okej. Wypiję szybko kawę i przyjadę.

Nie zazna tej niedzieli spokoju. Nie czas po temu.

Zabrała kubek z kawą do salonu, usiadła przy stole, patrzyła na prószący za oknem śnieg. Co powodowało Milą Henderson? Zamordowała swoją pracodawczynię. Potem

Diane Bristow, pokojówkę w hotelu Crown Spa. Logana Awbrey, który dźwigał ciężar potwornej winy, o czym jednak ona nic właściwie nie wiedziała. Swojego dziadka Jamesa, starszego człowieka, który prowadził ciche i spokojne życie. Dawną szkolną przyjaciółkę Sue.

Byłą nauczycielkę Isabelle du Lavandou?

Kate miała słuszość, gdy wciąż pytała: gdzie kryje się motyw?

I znowu: co powodowało Daliną Jennings, jeśli to ona była sprawczynią? Miała motyw, jeśli chodzi o Diane Bristow i Logana Awbrey, przy założeniu, że Kate się nie myliła, uznając, że ta dwójka stała się dla niej groźna, bo nie chciała dłużej milczeć.

Ale dlaczego stara pani Walters? Dlaczego James Henderson? Dlaczego Sue Raymond?

To nie miało sensu.

A może jednak? Czy istniał związek, wyraźny, przekonujący związek, który jedynie pozostawał jak dotąd niewidoczny?

Pamela zignorowała ból głowy, choć mimo przyjętej tabletki zdawał się nasilać, i przyciągnęła torebkę, którą poprzedniego wieczoru niedbale rzuciła na fotel. Był w niej gruby czerwony rocznik szkolny, który dostała od pana du Lavandou. Wyjęła go i przekartkowała do strony z wpisem Mili. Spojrzała na okrągłą twarz o przyjaznych oczach i niewinnym uśmiechu. Spinki po prawej i lewej nad czołem utrzymywały w ładzie fryzurę z przedziałkiem.

Ta dziewczyna to seryjna morderczyni?

Pamela wiedziała jednak, jak mylące mogą być wygląd i aparycja. Widziała sadystycznych morderców o twarzach łagodnych jak u baranków.

Spojrzała na zdjęcie Sue. Trochę niedoświadczona, naiwna. Przyjazna. W chwili wykonania fotografii nie miała pojęcia, że w wieku ledwie trzydziestu lat umrze straszną, brutalną śmiercią.

– Dlaczego? – mruknęła Pamela. – Dlaczego?

Wiedziała jednak, że czasem nie istnieje żadne *dłaczego*. Bywają mordercy, którzy mordują dla samego aktu zabijania. Bez podtekstu seksualnego, bez motywu zemsty. Pozornie bez żadnego powodu. Zazwyczaj ma to ostatecznie coś wspólnego z władzą.

Przewróciła kolejną stronę. Wciąż ta sama klasa. Błądziła wzrokiem po zdjęciach i nagle zamarła. Zatrzymała się na fotografii chłopca. Niesamowicie grubego. Był ujęty tylko do połowy tułowia, ale i tak można się było domyślić ogromnej postury. Potężne barki i ramiona. Gruba, krótka szyja, która płynnie przechodziła w pyzată twarz. Chłopak się uśmiechał, ale uśmiechem nienaturalnym, wymuszonym. Jego oczy wyglądały na nieruchome. Puste.

Coś innego sprawiło jednak, że Pamela gapiała się na zdjęcie jak osłupiała: to widniejące pod spodem imię.

– To naprawdę dziwne – powiedziała.

## 2

Szef oddziału kryminalistycznego z pewnością inaczej wyobrażał sobie weekend. Kate mogła to wyczuć w jego głosie podczas rozmowy telefonicznej. Był zmęczony i nieco poirytowany.

– Jednoznacznie – powiedział. – Ekskrementy w jadalni pochodzą od dwóch różnych osób.

– To znaczy, że w pokoju przetrzymywano dwoje ludzi?

– Albo również sprawczyni wykorzystywała pomieszczenie jako toaletę, co jednak uznałbym za bardzo dziwne. Powiedziałbym raczej: było tam dwoje zakładników.

– Analiza DNA nie jest jeszcze gotowa?

– Niestety nie. To zajmie trochę czasu. Weekend nie ułatwia sprawy. A pojutrze mamy sylwestra.

– Dwoje zakładników... – mruknęła Kate. Zamyśliła się. Gdyby to Dalina dokonała napadu, wówczas więziłaby Milę i Sue – ustalenia kryminalistów okazałyby się prawdziwe: w jadalni przetrzymywano dwie osoby. Dalina zamordowała Sue, a teraz ucieka z Milą i dzieckiem.

Ale dlaczego?

– Dziękuję – powiedziała do funkcjonariusza. – Będzie mnie pan informował na bieżąco, dobrze? Sprawa ma bezwzględny priorytet. Stawką jest życie małego dziecka.

– Oczywiście.

Pożegnali się. Kate zaczęła gorączkowo rozmyślać.

Musiała sporządzić harmonogram wydarzeń, odtworzyć ich szczegółowy przebieg. Kiedy dokładnie Dalina opuściła komisariat po złożeniu odcisków palców? Kiedy Pamela zadzwoniła po raz pierwszy do drzwi domu w Richmond? Czy Dalina zdołałaby tymczasem dotrzeć ze Scarborough do Richmond i wziąć zakładników? Musiałyby działać w niewiarygodnym tempie.

– Czego tu nie dostrzegam? – mruknęła do siebie Kate.

W drzwiach pojawiła się Pamela ubrana w płaszcz i szal, wraz z nią do ciepłego pokoju wniknął zapach śniegu i powiew chłodu. Miała na czole plaster, a wokół niego sporego siniaka. Mimo nocnego odpoczynku wyglądała jeszcze mizerniej niż poprzedniego dnia. Chyba doskwierał jej ból, a jednocześnie sprawiała wrażenie

mocno spiętej. W ręku trzymała gruby czerwony tom. Położyła go na biurku przed Kate.

– Proszę spojrzeć!

Kate obejrzała czarno-białe zdjęcia bardzo młodych twarzy, które z początku nic jej nie mówiły.

– Co to jest?

– Rocznic szkolny. Tutaj – Pamela wskazała na jedno ze zdjęć – to Mila Henderson. W wieku czternastu lat.

– Rzeczywiście.

– A tutaj Sue Raymond. Wtedy jeszcze Sue Haggan.

Kate przeczytała tekst pod zdjęciem Mili:

– Najlepsza przyjaciółka: Sue Haggan. Rozumiem. W ten sposób ustaliła pani związek.

– A teraz – Pamela przewróciła stronę – proszę spojrzeć tutaj!

Kate ujrzała twarz otępego nastolatka.

– Czy to Alvin Malory? – zapytała zaskoczona. Alvin to kolega Mili z klasy? W Leeds?

– Proszę przeczytać! – poleciła Pamela.

Kate przeczytała opis pod zdjęciem, którego w pierwszej chwili nie zauważyła.

– Samuel Harris. – Spojrzała oszołomiona na swoją szefową. – Co takiego?

– Chłopak Anny Carter. Ja też nie mogłam w to uwierzyć. Niestety odkryłam to dopiero teraz. Szkoda, że wcześniej nie przekartkowałam albumu... Samuel Harris i Mila Henderson byli kolegami z klasy w Leeds. Zanim ona się wyprowadziła.

– Przypadek? – zapytała Kate.

Pamela wzruszyła ramionami.

Kate zaczęła się zastanawiać:

– Od czasu śmierci Patricii Walters w Internecie pojawiło się trochę wpisów na temat poszukiwań Mili Henderson. Wspomniano o tym również w niektórych gazetach. Czy Samuel Harris powinien był sobie o niej przypomnieć i się z nami skontaktować?

– Z początku mógł o tym nie wiedzieć. Dopiero od dnia morderstwa Jamesa Hendersona rozpoczęto poszukiwania na wielką skalę.

Kate gorączkowo rozmyślała.

– Samuel Harris chodził do tej samej klasy co kobieta poszukiwana w całym kraju. Wiąże się z kobietą, która dziewięć lat wcześniej brała udział w potwornej zbrodni. – Powtórzyła pytanie: – Przypadek?

– W tej chwili nic jeszcze z tego nie wynika – uznała Pamela.

Kate ponownie spojrzała na zdjęcie.

– Niewiarygodne. Widziałam jego zdjęcie w domu Anny. Jestem raczej pewna, że to był on. Bardzo przystojny, szczupły mężczyzna – tak też opisywali go inni. Co najmniej sto kilo lżejszy od chłopaka na zdjęciu.

– Naprawdę? Jest dziś szczupły? Cóż, kiedy ludzie zrzucają nadwagę, bardzo się zmieniają – stwierdziła Pamela. – Zmienia się cała fizjonomia, wszystko. Wyglądają zupełnie inaczej.

Kate przyglądała się zdjęciu.

– Boże drogi, jak ogromna siła woli dzieli tego chłopca i dzisiejszego mężczyznę!

Przeczytała opis pod zdjęciem.

– Najlepszy przyjaciel: brak. Ulubiony nauczyciel: brak. Ulubiony przedmiot: brak. Hobby: brak. – Uniosła wzrok. – Brzmi... chorobliwie.

– Brzmi dość smutno – odparła Pamela.

– Brzmi jak dzieciństwo i młodość, którą przeżył Alvin. Wykluczony. Wyśmiewany. – Potrząsnęła głową. – Ale nie dzisiaj. On naprawdę dobrze wygląda. Z pewnością łatwo nawiązuje kontakty z kobietami. Z ludźmi. – Wstała. – Gdzie on się podziewa? Miał się wczoraj do nas zgłosić. Po powrocie z Londynu.

– Sierżantka Bennett nic o tym nie wspominała?

– Nie. Ale zrobiłaby to, gdyby się pojawił. Pewnie nie przyszedł. – Kate potrząsnęła gniewnie głową. – Nie zwróciłam na to uwagi. Tak wiele się wczoraj wydarzyło.

– Musiałam przyjechać taksówką. Mój samochód nadal jest sprawdzany – oznajmiła Pamela. – Ale po drodze przejeżdżałam obok domu Harrisa. Zadzwoiłam do drzwi. Albo nie otwiera, albo go nie ma.

– Czy myśli pani, że nadal przebywa w Londynie?

– To oczywiście możliwe. Dziwne jednak, że nas nie powiadomił. W jego sytuacji. Powinien z nami współpracować.

– Jego ojciec... – powiedziała Kate. – Może jest w złym stanie. Harris nie mógł wyjechać i zapomniał do nas zadzwonić.

– To możliwe – odparła Pamela. Wyglądała coraz bardziej blado.

Kate przyjrzała jej się uważnie.

– Wszystko w porządku, inspektorko?

Pamela uśmiechnęła się nieco sztucznie.

– Dość silne bóle głowy. Wzięłam już dwie tabletki, ale nie bardzo działają.

– Czy w ogóle była pani u lekarza? Po tej historii?

– Nie. Nie miałam czasu. Byłam zbyt zmęczona.

Kate spojrzała w twarz swojej szefowej.

– Zabieram panią do szpitala na izbę przyjęć. Trzeba panią zbadać. Otrzymała pani silne uderzenie, to może być wstrząs mózgu. Należy to sprawdzić.

– Wszystko w porządku – mruknęła Pamela.

Kate знаła swoją szefową dopiero od niedawna, ale nie uważała jej za płacziwą marudę, która przesadnie dba o siebie. Fakt, że w ten niedzielny poranek zgodziła się bez słowa sprzeciwu pojechać na izbę przyjęć głównego szpitala w Scarborough, dowodził, że naprawdę była w kiepskim stanie.

Wyszukała w komputerze numer komórki Harrisa, po czym razem wyszły z biura.

– Czy to możliwe, że także Harrisowi grozi niebezpieczeństwo? – zapytała Pamela, gdy siedziały w samochodzie, jadąc przez prószący śnieg.

– Bo zna Milę Henderson z czasów szkolnych?

– Cóż, to właśnie stało się przekleństwem Sue Raymond.

– W każdym razie byłoby dobrze, gdybyśmy go znalazły – przyznała Kate. Zauważyła, że jej głos świadczy o wewnętrznym napięciu. – I fatalnie, gdyby zniknął...

Nagle zmieniła temat:

– Ekskrementy w jadalni w Richmond pochodzą od dwóch różnych osób. Poinformował mnie o tym szef ekipy kryminalistycznej.

Pamela spojrzała na nią z irytacją.

– Co to oznacza?

– Możliwe, że więziono dwie osoby. Siedziały przywiązane do stołu. Analiza fragmentów DNA pozostawionych na kawałkach pociętego sznura rozrzuconych w pokoju nie została jeszcze zakończona. Może kryć się tam niespodzianka.

– Dwoje zakładników? Sue... i Mila?

– To potwierdzałoby tezę, że Dalina jest sprawcą.

– Ale w chwili, gdy tam przyjechałam, na pewno przebywała jeszcze w Scarborough?

– Możliwe, że tymczasem pojechała do Richmond. Będziemy musiały odtworzyć dokładny przebieg wydarzeń. Ale dopiero po wizycie u lekarza.

Dotarły przed szpital. Kate się zatrzymała. Pamela wysiadła. Twarz miała zupełnie pozbawioną wyrazu. To nie był dobry znak, że akurat w tym momencie musiała zrezygnować z uczestnictwa w śledztwie. Zapewne poczuła się mizernie.

– Nie rozumiem – mruknęła – nawet kiedy siedziałam w tej piwnicy, nie czułam się tak źle.

– Adrenalina – odparła Kate. – Pani organizm był nią przepełniony. Dopiero gdy jej zabraknie, człowiek się załamuje.

Pamela uśmiechnęła się krzywo.



– Zadzwoń, gdy skończę. Proszę zachować ostrożność, Kate. Niech pani nie popełni jakiegoś głupiego błędu, jak ja.

– W porządku. – Kate patrzyła za nią, jak brnie przez śnieg w kierunku wejścia. Potem odjechała.

Zaparkowała przed domem, w którym mieszkał Samuel Harris. Tego ranka nawet na ruchliwej zazwyczaj Victoria Road niewiele się działo. Śnieg sypał zbyt mocno. Ludzie zostali w domach.

Kate dwukrotnie próbowała dodzwonić się do Sama Harrisa na komórkę, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Wsiadła, spojrzała na gładką fasadę niepozornego apartamentowca. Mieszkanie Harrisa znajdowało się na trzecim piętrze, o czym wiedziała od czasu wizyty u Anny. Za oknami panowały mrok i cisza.

Niedzielnny poranek, dochodzi jedenasta. Czyżby przebywał w domu i nadal spał?

Nacisnęła dzwonek obok wywieszki „Harris Coaching”, ale nikt nie odpowiedział. Domofon milczał.

Kate wybrała numer sierżantki Helen Bennett. Helen odebrała po trzecim sygnale, jej głos na szczęście nie brzmiał tak, jakby wyrwano ją z głębokiego snu.

– Sierżantko, przepraszam, ale potrzebuję pani pomocy. Tak, wiem, że jest niedziela.

– Nie ma problemu – zapewniła Helen.

– Czy można jakoś zlokalizować londyński dom opieki, w którym przebywa ojciec Samuela Harrisa? Jedyłą wskazówką jest to, że znajduje się w Shepherd’s Bush, w pobliżu Shepherd’s Bush Green. Niestety, to wszystko, co wiem.

– Okej. Co się stało?

– Harris mimo ustaleń nie pojawił się wczoraj. Muszę z nim pilnie porozmawiać. Myślę, że może...

Helen zrozumiała.

– Może zatrzymał się u ojca. W porządku. Odezwę się.

Zakończyły rozmowę.

Kate wróciła do samochodu. Zaczeka tu, póki nie zmarznie na kość. Może Harris wrócił wczoraj późnym wieczorem, a teraz je śniadanie albo brunch gdzieś na mieście. Albo wróci z Londynu w ciągu najbliższej godziny lub dwóch.

Coraz bardziej się oziębiało, Kate musiała co chwila uruchamiać wycieraczki, żeby zgarnąć śnieg z przedniej szyby. Co pewien czas włączała na kilka minut ogrzewanie, ale bała się o stan akumulatora. Awaria, i to w takim momencie, w tej sytuacji, w ten niedzielny poranek, byłaby prawdziwą katastrofą. Otuliła się mocniej płaszczem, chuchała w dłonie.

W chwili, gdy już miała zamiar odjechać, zamiast czekać bez celu i końca, na ulicy ktoś się wreszcie pojawił. Pierwsza osoba od ponad godziny. Mężczyzna. Przez kilka sekund Kate sądziła, że to Samuel, ale potem uświadomiła sobie, że mężczyzna jest za stary. Lekko utykał. Przystanął przed domem i zaczął szukać klucza w kieszeniach płaszcza.

Kate bez chwili wahania wysiadła z samochodu i podeszła do niego. Pokazała swoją legitymację.

– Sierżant śledcza Linville. Policja North Yorkshire. Muszę się zobaczyć z panem Samuelem Harrisem.

Staruszek podejrzliwie spojrzął na legitymację.

– Policja?

– Tak.

– Czy pana Harrisa nie ma w domu?

– W każdym razie nie otwiera. Ale to ważne. – Kate nie miała sposobu, by dostać się do środka. Gdyby mężczyzna nie chciał jej wpuścić, nic nie mogłaby na to poradzić. Na szczęście zdawał się o tym nie wiedzieć.

– No, skoro jest pani z policji... – W końcu znalazł klucz i otworzył drzwi. – W takim razie może pani wejść. Proszę bardzo. – Przytrzymał jej drzwi.

Kate podziękowała i weszła do środka. Staruszek zajął się starannym otrzepywaniem śniegu z butów, dzięki czemu mogła wejść po schodach bez konieczności udzielania dalszych informacji.

Znalazła się wewnątrz budynku. Ale jeszcze nie w mieszkaniu.

Na górze ponownie zadzwoniła do drzwi, lecz nikt jej nie otworzył. Nasłuchiwała przy drzwiach, ale nic nie usłyszała, żadnego dźwięku, żadnych cichych kroków, żadnych skrzypiących desek podłogowych.

Usiadła na schodach prowadzących na wyższe piętro. Była niedziela, niemożliwe więc, by Samuel poszedł na zakupy. Po najpotrzebniejsze rzeczy mógł pojechać na stację benzynową, ale to nie mogło trwać długo. Na zewnątrz nadal intensywnie prószył śnieg. Czy przy takiej aurze ktoś wybrałby się na spacer brzegiem morza? Nie sposób tego wykluczyć. Harris miał wiele do przemyślenia, w jego życiu niewątpliwie nastąpił poważny kryzys. Być może nie potrafił znieść panującej w mieszkaniu ciszy.

Przesiedziała pół godziny na mało przytulnej klatce schodowej i gdy po raz kolejny zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby odjechać, zabręczała jej komórka. Dzwoniła Helen.

– Sierżantko, obdzwoniłam wszystkie domy opieki w londyńskiej dzielnicy Shepherd's Bush. I znalazłam to, czego szukałam. Informacje dotyczące ojca Samuela Harrisa.

– Czy Harris u niego przebywa?

Helen westchnęła.

– Sprawy naprawdę się komplikują. Ojciec Samuela Harrisa, Patrick Harris, nie mieszka już w domu opieki. On nie żyje. Zmarł pięć lat temu.

### 3

Mgła powoli się przeredzała, w którymś momencie Mila poczuła wreszcie, że znów może jasno myśleć. To wina tego paskudnego napoju, który musiała wypić przed wyruszeniem w podróż. O mlecznym smaku. Z początku po prostu odmówiła:

– Nie chce mi się pić.

Podsunał jej brzeg kubka do ust z taką gwałtownością, że nie była w stanie stłumić jęku bólu.

– Pij! – rozkazał.

Był coraz bardziej nerwowy. Dobry to czy zły znak?

Wypiła. Słyszała krzyki Sue. Podejrzewała, do czego jest zdolny. Zawsze się tego domyślała.

Od wielu godzin nie słyszała żadnego głosu Sue. To nie był dobry znak.

Musiała opróżnić cały kubek obrzydliwej substancji, już po trzech łykach zrobiło jej się niedobrze. Mimo to musiała ją wypić.

Wkrótce potem wszystko przed jej oczami w dziwny sposób się rozmyło. Jakby cały świat utracił swoje kontury. Wszelkie krawędzie się rozpląwały, wszelkie dźwięki niknęły w oddali. Jej nogi stały się wiotkie i lekkie.

Co on tam, u diabła, rozpuścił? – zapytała samą siebie. Była to ostatnia na poły klarowna myśl, jaka zaświtała jej w głowie. Siedziała przywiązana do nogi stołu w jadalni i osunęłaby się na bok, gdyby nie trzymały jej sznury. Sue zabrał kilka godzin wcześniej. Krzyczała, walczyła o życie... Lecz nawet to ledwo zajmowało jej myśli. Wspomnienie wrzasków rozpląnęło się jak wszystko inne.

Przypomniała sobie, że będąc w swoistym transie, została wyprowadzona z domu i wsadzona do samochodu. Tam, na tylnej kanapie, natychmiast zasnęła. Pamiętała niejasno, że znów wyprowadzono ją z samochodu. Lodowaty ziąb. Śnieg. Tak, płatki śniegu kleiły jej się do twarzy. I coś jeszcze... coś jeszcze ją uderzyło. Co to było? Wysilała pamięć, ale cień wspomnienia wciąż jej się wymykał. Z jakiegoś powodu była przekonana, że zapamiętanie każdego szczegółu jest teraz nader istotne, choć nie wiedziała dlaczego. Chciało jej się wyć, bo nie mogła sobie tego przypomnieć.

Siłą woli powstrzymywała łzy. Płacz nic jej teraz nie da. A tylko jeszcze bardziej ją osłabi.

Nadal czuła mdłości, ale stopniowo powracały jej siły życiowe. Nie czuła głodu, choć od dawna nic nie jadła. Było to zapewne spowodowane obrzydliwym napojem, który musiała wypić. Zabił w niej na jakiś czas wszelki apetyt.

Ostrożnie poruszyła rękami, ramionami i nogami. Nie była skrępowana, to cud i zarazem ulga po wielu godzinach, które spędziła przywiązana do nogi stołu. Oznaczało to jednak, że prawdopodobnie znalazła się w pomieszczeniu, z którego nie sposób uciec.

Wokół niej panował zupełny mrok, nieprzenikniona ciemność, absolutnie niczego nie potrafiła dostrzec. Może jej wzrok z czasem do tego przywyknie. Wtedy mogłaby przynajmniej spróbować cokolwiek rozpoznać.

Wstała i zaczęła rozciągać swoje pokurczone członki. Bolały ją mięśnie. Potrząsnęła rękami i nogami. Musiała przywrócić prawidłowe krążenie krwi.

Zrobiła krok do przodu i boleśnie uderzyła biodrem o ostrą krawędź. Spiesznie obmacała dłońmi przedmiot zagradzający jej drogę. Pewnie stół.

Następnie uderzyła głową o coś zwisającego z sufitu, zapewne lampę. Wyglądało na to, że przebywała w jakimś przekętym miejscu. Mieszkanie? Szopa?

Gdzie się znalazła?

Bała się. Strach przebudził się na nowo wraz z coraz słabszym działaniem środka znieczulającego i powoli narastał. Mila próbowała stłumić go ze wszystkich sił. Strach był teraz równie pomocny jak łzy. Jej matka zawsze powtarzała: Nie bój się i nie płacz. To cię tylko osłabia.

Jednak w najśmielszych snach zapewne sobie nie wyobrażała, w jak potwornym położeniu znajdzie się kiedyś jej córka.

Gdziekolwiek jestem, pomyślała Mila, gdzieś muszą być drzwi. Jakoś się tu dostałam. Więc muszę się też stąd wydostać.

Nadal nie potrafiła niczego rozpoznać. Nie miała pojęcia, czy na zewnątrz panuje dzień, czy noc. Żadna noc nie była tak mroczna jak to pomieszczenie, co oznaczało, że albo nie posiadało okien, albo zostało hermetycznie zamknięte. Ostrożnie obmacała rękami otoczenie. Może znajdzie gdzieś świeczkę... zapalki... cokolwiek...

Zawadziła o coś, co się przewróciło i rozbiło. Na palcach poczuła wilgoć. Pech. Zostawił jej szklanę z wodą. Przewróciła ją.

Nagle jej strach się nasilił, stał się gwałtowny i obeszwałniający. Nie miała już wody. Co, jeśli on nie wróci? Albo dopiero za parę tygodni? Jeśli postanowił skazać ją na śmierć w męczarniach z głodu i pragnienia?

Przymusiła się do spokojnego oddechu. Do realizacji swojego planu potrzebował dwojga. On go uknuł. Ona zaś musiałaby mu się bezwolnie poddać. A tego nie zrobi. Wydostanie się stąd. Uda jej się, bo zawsze istnieje jakieś wyjście. Zawsze.

Zabrzmiało trochę jak sentencja z kalendarza, sama to zauważyła. Ale nic jej w tej chwili nie pozostało poza frazesami.

Posuwała się dalej, zawadzając o wszelkiego rodzaju przedmioty, których nie potrafiła zidentyfikować. Aż nagle usłyszała dźwięk: dziwne, ciche kwilenie. Nie dobiegało z zewnątrz.

Dobiegało z wnętrza. Z pomieszczenia, w którym przebywała. Z bardzo bliska.

Mila zamarła.

Ruszyła po omacku, potknęła się, wstała. Wiedziała już przynajmniej, że pomieszczenie, w którym przebywa, jest bardzo małe i zagracone przedmiotami. Oraz że nie jest tu sama.

Znowu rozległo się kwilenie.

Zapewne to wpływ wypitej uprzednio substancji, bo inaczej potrafiłaby sprawniej myśleć. Uświadomiła sobie bowiem, że przecież to Ruby. Dziecko Sue. Zabrał z sobą dziecko.

Nie zważając na nic, parła do przodu, przeciskając się przez zagradzające jej drogę przedmioty w kierunku, z którego dochodziło ciche kwilenie. Przeraziło ją to, że wydawało się takie słabe. Pierwszego dnia w obecności Sue dziecko się darło, głośno i mocno. Teraz jego głos brzmiał jakby bezsilnie. Kiedy ostatni raz zostało nakarmione?

Jej ręce natrafiły po omacku na coś, co w dotyku przypominało tekturę. Kartonowe pudełko? Brzeg kartonu?

Ostrożnie wysunęła ręce do przodu. Poczowała coś miękkiego. Wełna? Potem skórę. Ludzkie ciepło. Ciepło ciała. Kwiliło.

Dziecko.

Możliwie jak najostrożniej Mila wzięła zawiniątko na ręce. Ruby wydała z siebie słaby dźwięk.

Naprawdę zabrał z sobą to maleństwo. Zmasakrował jego matkę, a dziecko porwał. Co zamierzał zrobić z tą niewinną istotą?

Wykorzystać ją jako zakładnika? Jako żywą tarczę na wypadek, gdyby policja odnalazła kryjówkę?

Był psychopata. Wiedziała o tym od zawsze. W zasadzie od pierwszej chwili. Nie bez powodu namówiła matkę do przeprowadzki z Leeds. Do wyjazdu jak najdalej od niego. By zacząć od nowa. Znaleźć nową szkołę dla siebie, a dla matki nową pracę. Sporo zachodu z powodu otyłego chłopaka z jej klasy, który się w niej zakochał. Żeby

tylko zakochał: to była raczej obsesja, chorobliwa, całkowicie chybiona. Człowiek, który nie potrafił zaakceptować odmowy. Nie potrafił zrekompensować sobie odrzucenia, być może dlatego, że wciąż go to spotykało. Może jego cierpliwość została wyczerpana.

Nie powinna była uciekać do Sue. To przez nią tamta musiała umrzeć. Choć nie do końca rozumiała, czym właściwie zawiniła.

Ale być może zawinili wszyscy. Cała klasa. Nauczyciele. Środowisko. Wszyscy ludzie. Może zbyt często z niego szydzili, zbyt często się z niego wyśmiewali. Stroili sobie żarty, kpili za jego plecami. Nikt nie pozwolił mu się do siebie zbliżyć. Zawsze istniał ten bezlitosny mur. Tłuscioch. Z Tłusciochem nie zadawano się po szkole, nie paliło się z nim po kryjomu papierosów. Tłusciocha nie zapraszało się na urodziny, z Tłusciochem nie chodziło się na basen, nie przesiadywało przy ognisku, nie włączyło się po galeriach handlowych, nie dyskutowało o najnowszych džinsach i nie popijało kawy. Z Tłusciochem nikt nie zadawał się nawet z litości, bo się bał, że znajdzie się na marginesie społeczności.

Pytanie brzmi: czy Tłuscioch stał się psychopatą, ponieważ nieustannie go wykluczano?

Czy może owo wykluczenie wynikało z faktu, że był psychopatą?

Gdzie ta złowieszcza spirala miała swój początek?

Pogłaskała dziecko, które lekkie jak piórko – aż nazbyt lekkie – trzymała w ramionach. Czy jest tu gdzieś mleko? I jak miałyby je znaleźć?

Była tak pochłonięta własnymi myślami, że dobiegający z zewnątrz chrzęst kroków na śniegu usłyszała dopiero wtedy, gdy były już bardzo blisko. Wtem otworzyły się drzwi, oślepił ją blask światła, tak jasny, że Mila zamknęła oczy. Usłyszała, jak ktoś strzepuje śnieg z butów. Zamrugła powiekami. Ujrzała Tłusciocha.

W myślach nadal tak go nazywała, choć imię to zupełnie doń nie pasowało. Był szczupły. Nie był kimś pulchnym czy o pełnych kształtach, ale naprawdę szczupłym. Umieśniona, wysportowana sylwetka, nigdzie ani grama tłuszczu. Żadnego brzuszka. Szerokie bary, silne ramiona. Długie nogi. Idealne ciało.

Wszedł do środka, wpuszczając sporo zimnego powietrza oraz słabą woń sosnowych igieł. Nagle Mila przypomniała sobie, co poczuła, gdy wciąż na wpół oszołomiona została wyciągnięta z samochodu: zapach lasu. Tego wspomnienia szukała nieustannie w pamięci. Znajdowała się w lesie albo w jego pobliżu.

Świadomość ta niewiele jej jednak pomogła. A nawet wcale.

– Cześć, Mila – powiedział Tłuscioch. Trzymał w rękach zgrzewkę wody mineralnej.

Światło mocnej latarki nie było już skierowane prosto na nią, nareszcie mogła normalnie patrzeć. Szybko próbowała ustalić, gdzie przebywa. Maleńkie, zagracone

pomieszczenie. Aneks kuchenny. Stół z miejscem do siedzenia. Przegrodzona część, w której stało podwójne łóżko. Półki wzdłuż ścian pod sufitem.

Przyczepa kempingowa? Kamper? Chyba coś w tym stylu.

– Cześć – odpowiedziała chrapliwie.

W jej pamięci znów odżyły krzyki Sue.

Strach. Tak potwornie się bała.

Zamknął za sobą drzwi. Mila dopiero teraz zauważyła, jaki panował tu ziąb. I jak bardzo pachniało stęchlizną.

Latarka leżała teraz na półce. Została ściemniona, na suficie utworzyła okrągłą, jasną poświatę, resztę niewielkiego pomieszczenia zatopiła w rozproszonym świetle.

Odchrząknęła. Gdzieś przeczytała, że niedobrze, gdy psychopaci zauważą, że budzą strach. To ich rozpala, daje im satysfakcję, sprawia, że zachowują się bardziej sadystycznie. Obawiała się jednak, że jej strach można dosłownie wyczuć. Trudno jej go było ukryć.

– Dziecko – powiedziała – koniecznie potrzebuje czegoś do jedzenia.

Patrzył na Ruby z taką obojętnością, jakby to był pakunek, kamień albo jakiś inny nieożywiony przedmiot trzymany przez Milę w ramionach.

– Co takie dziecko jada? – zapytał.

– Mleko. Kaszkę. Potrawy dla dzieci. Można je kupić w słoikach.

– Dziś nic już nie kupię.

– Ono może umrzeć. Bardzo schudło i jest osłabione.

Wzruszył ramionami.

– Nic nie poradzę.

Mila rozejrzała się dokoła.

– Czy są tu jakieś zapasy?

– Nie. Jutro wybiorę się do supermarketu.

– Nie wiem, czy do jutra przeżyje.

– Wyszedłem specjalnie po wodę – oznajmił. – Na stację benzynową.

Mila spojrzała na butelki, które ustawił na kuchennym kredensie.

– Lepsze to niż nic. Najlepiej, gdybyśmy ją zagotowali.

– Bzdura. To butelki. Szczelnie zamknięte. Są w porządku. – Wyszarpnął ze zgrzewki jedną butelkę, odkręcił ją i podał Mili. Włożyła Ruby z powrotem do kartonu, skapnęła nieco wody na dłoń, zamoczyła palec i zwilżyła dziecku usta. Ruby nie zareagowała. Oczy miała zamknięte. Pod jej białą skórą widniały drobne niebieskie żyłki. Oddychała słabo.

– Chyba potrzebuje lekarza – powiedziała Mila.

– Nonsens. Jutro kupimy coś do jedzenia i będzie dobrze.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Mila.

Uśmiechnął się złośliwie.

– Tego nie musisz wiedzieć.

Zyskała tymczasem pewność, że znajdują się w przyczepie kempingowej. Okno miała hermetycznie zamknięte okiennicą. Była nieogrzewana i pozbawiona prądu. Prawdopodobnie stała w opustoszałej okolicy. Przebywała tu sam na sam z psychopatą oraz dzieckiem, które mogło umrzeć.

Walczyła ze łzami.

– Dlaczego Sue? – zapytała. – Dlaczego musiała umrzeć?

– Obraziła mnie – wyjaśnił obojętnym tonem. – Krótco po tym, jak wyjechałaś. Wtedy zdecydowałem, że umrze. Tak jak Lavandou, ta pizda! – Dosłownie wypłuł to słowo.

– Madame du Lavandou? Ze szkoły?

– Ona też mnie obrażała. Ale już nie żyje.

Był chory. Zupełnie oszalał.

– Nie możesz... nie możesz zabić wszystkich, których nie lubisz.

– A dlaczego nie?

Z jego punktu widzenia było to zasadne pytanie. Mógł – i tak też robił.

– To dziecko tutaj... Ruby... nic ci nie zrobiła.

– I co? Czy ją zabiłem?

– Ale nie możemy się nią tutaj odpowiednio zająć.

Obrzucił ją złowrogim spojrzeniem. Działała mu na nerwy, wyczuła to.

– Przestań ciągle zrzędzić – powiedział. – Takie małe dziecko jest silne. Zobaczysz. Zostanie z nami. Stworzymy prawdziwą rodzinę.

Słyszac słowo „rodzina”, w połączeniu z Tłusciochem i tą zimną, zagraconą, ciemną przyczepą kempingową, poczuła niemal mdłości, ale wmawiała sobie, że nie będzie w stanie więzić jej tu wiecznie. W końcu nadarzy się okazja do ucieczki. Pytanie tylko, czy dla Ruby nie będzie już za późno.

A może był na tyle chory, że zdoła tego dokonać? Trzymać ją pod kluczem do końca życia?

Oblała się potem mimo spowijającego ją zatęchłego chłodu.

– W ogóle nie wiem, która godzina – powiedziała. Kiedy otworzył drzwi, widziała za jego plecami światło dnia.

– Jest późny niedzielny poranek – odparł. – Jestem wykończony. Powinniśmy położyć się spać.

Spojrzała na niego przerażona.

Wskazał na łóżko.



– Mamy tu wszystko, czego nam trzeba.

Przełknęła. Czuła się tak, jakby w gardle uwięzła jej jakaś gorąca, twarda bryła.

– Nie mogę... – Przełknęła ponownie. – Nie będę spała z tobą w jednym łóżku, Tłu... – W porę urwała. Znów wyszczerzył zęby. Był to ten sam grymas, który dawniej czasem u niego widywała. Złośliwy.

– Tłusciochu – dokończył. – Tak, tym właśnie wciąż dla ciebie jestem, prawda? Nigdy więcej mnie tak nie nazwiesz, zrozumiano? Nigdy więcej!

Przytaknęła.

– I oczywiście – dodał – że będziesz spać ze mną w tym łóżku.

Uśmiechnął się. Łagodniej. Było to chyba jeszcze gorsze niż ten jego szorstki grymas.

– Na tę chwilę czekałem od wielu lat.

## 4

Kate milczała przez kilka sekund. Ojciec Samuela Harrisa zmarł pięć lat wcześniej.

– Co takiego? – zapytała w końcu.

– Tak. Jednoznaczne oświadczenie kierowniczkii domu opieki.

– Ale... – Kate aż podskoczyła. Starła się nie mówić zbyt głośno. Dom z pewnością był pełen ludzi. – Czy jest pani pewna, że chodzi o tego Harrisa? Nazwisko jest dość popularne, a...

– Jestem pewna. Znali też jego syna. Samuela Harrisa. Od czasu do czasu przyjeżdżał do ojca w odwiedziny.

– Nie do wiary. Dlaczego więc kłamie? Okłamuje swoją partnerkę, okłamuje policję. I to w chwili, gdy wpakował się w poważne tarapaty.

– Wersja łagodna: być może Sam Harris zwyczajnie nie jest wiernym partnerem, jakiego udaje przed Anną Carter. Może prowadzi podwójne życie. Może ma romans. A teraz usiłuje wszystko zatuszować.

– A wersja mniej łagodna...

– ...ukrywa coś poważniejszego – dokończyła Helen.

– Muszę wejść do jego mieszkania – oznajmiła Kate.

– Nie dostaniemy teraz nakazu – odparła Helen. – Nasze argumenty są na razie zbyt słabe.

– Wiem.

– Co o tym sądzi inspektor Graybourne?

– Zawiozłam ją do szpitala. Trzeba zbadać te jej bóle głowy. Od czasu napadu w Richmond nie była nawet u lekarza.

– Słusznie – przyznała Helen – ale...

– Teraz muszę decydować sama.

– Będziemy w kontakcie.

– Dziękuję, sierżantko. – Zakończyły rozmowę. Kate spojrzała na białe drzwi mieszkania. Koniecznie musiała dostać się do środka, ale legalnie nie było to możliwe. Anna z pewnością miała swój klucz, lecz przebywała w areszcie. Jej rzeczy zostały zarekwirowane. Kate nie mogła podać żadnego sensownego uzasadnienia, by wydano jej klucz, nadto zupełnie niepotrzebnie podniosłaby larum.

Bez wahania zadzwoniła do sąsiednich drzwi. Po dłuższej chwili otworzyła jej młoda kobieta. Wyglądała na zmęczoną i strapioną.

– Tak?

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam. Jestem klientką pana Harrisa z mieszkania obok. Na ostatniej sesji zostawiłam tam portfel. Muszę koniecznie dostać się do mieszkania.

– I jak niby mam pani pomóc? Czy nikogo tam nie ma?

– Nie. – Kate usiłowała uśmiechnąć się bezradnie i wzbudzić tym zaufanie. – Jakiś uprzejmy pan z tego domu wpuścił mnie do środka. Od wielu godzin czekam tu pod drzwiami. Miałam nadzieję, że pan Harris wyszedł tylko na spacer. Ale wciąż nie wraca.

Młoda kobieta się zawahała.

– I teraz pomyślałam, że może jako sąsiadka ma pani klucz – dodała spieszenie Kate.

– Żeby podlewać kwiaty albo...

– Sam nie ma żadnych kwiatów – odparła kobieta – ale czasem przynoszę pocztę. Także w razie wypadku... jeśliby się zatrzasnął...

A więc ma klucz.

– To naprawdę ważne – powiedziała Kate. – Mam tam pieniądze, karty płatnicze. Prawo jazdy. Wszystko.

Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie.

– Kiedy była pani u Sama? Od kilku dni nikt się tam nie pojawił.

– Pan Harris wrócił wczoraj z Londynu – oznajmiła Kate. Kobieta zaraz powie, że tego nie zauważyła. – Miałam z nim godzinne spotkanie. Wczoraj późnym popołudniem. To był nagły przypadek.

– Cóż, nic nie zauważyłam – odparła kobieta.

Kate aż zadrżała. Daj mi wreszcie ten klucz!

– No nie wiem, czy mogę panią tak po prostu wpuścić – powiedziała niezdecydowana sąsiadka. Z jej mieszkania dobiegł męski głos:

– Co się stało? Idziesz?

– Jemy właśnie śniadanie – wyjaśniła.

Tym lepiej, pomyślała Kate, nie masz czasu, żeby mnie pilnować.

– Muszę tylko poszukać portfela. Jeśli da mi pani klucz... zaraz go oddam.

Kobieta sięgnęła do miski stojącej na stoliku obok drzwi.

– No dobrze. Naprawdę zaraz go pani odda? Nie mogę iść z panią, bo mój przyjaciel...

Jej przyjaciel zareagował zniecierpliwieniem i rozdrażnieniem, to było słychać w jego głosie. Kate zrozumiała, że ma cholerne szczęście, ale też niewiele czasu. Wzięła klucz.

– Dziękuję. Będę się spieszyć.

– Proszę ponownie zadzwonić – powiedziała młoda kobieta i zamknęła drzwi.

Mam pięć minut, pomyślała Kate, nie więcej.

Weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Dzięki temu sąsiadka nie mogła jej nagle zaskoczyć. Powie, że drzwi same się zatrzasnęły.

W mieszkaniu było chłodno i nieszczególnie ładnie pachniało. Kate zauważyła, że na stole w kuchni leżą nieuprzątnięte resztki posiłku. Pewnie ostatnio jadła tu Anna przed wyjazdem do Londynu.

Rzut oka do salonu. Brak choinki – drzewko leżało za domem Anny w Harwood Dale. Na stole kilka wypalonych świec. Na dywanie widać było pyłki kurzu.

Musiała się dostać do gabinetu Samuela. Tam miała największą szansę na znalezienie jakichś informacji. Pognała na drugi koniec korytarza, przez otwarte drzwi zajrzała do sypialni z niezastanym łóżkiem. Następnie łazienka. Naprzeciwko było duże pomieszczenie z widokiem na zaśnieżone podwórko otoczone ceglany murem, za którym wznosił się kolejny budynek mieszkalny. W pokoju znajdowało się kilka foteli oraz stół, na ścianie wisiał duży obraz, na którym opalizowały różne odcienie błękitu. Widocznie to pokój konferencyjny. Tuż obok mieściło się biuro. Okno także wychodziło na podwórko. Pokój był niewielki i strasznie zagracony. Regały pełne segregatorów, książek i dokumentów. Małe biurko zawałone papierami i teczkami. Na podłodze leżały czasopisma. Nawet parapet był tak zastawiony, że pewnie nie dało się otworzyć okna.

Nie było komputera. Sam zapewne korzystał z laptopa, który teraz miał przy sobie.

Pięć minut. Jak w ciągu pięciu minut miałyby w tym chaosie znaleźć cokolwiek przydatnego? Zwłaszcza że nie wiedziała, czego właściwie szuka.

Podeszła do biurka, przejrzała piętrzące się tam papiery. Faktury, rachunki, pokwitowania, wyciągi bankowe. Wyglądało na to, że Samuel w okresie świątecznym zaczął przygotowywać doroczne rozliczenie. To normalne. Nic nadzwyczajnego.

Oprawione zdjęcie. Anna i przystojny mężczyzna obejmujący ją ramieniem. Ten sam mężczyzna co na zdjęciu w jej domu. Samuel Harris. On się uśmiechał. Ona wyglądała na zmartwioną.

Kate omiotła wzrokiem dokumenty na parapecie. Rachunki i wyciągi bankowe. Wzięła do ręki kilka kartek, by przyjrzeć się im bliżej. Rachunek za zakup ergonomicznego krzesła biurowego, za komplet nowych segregatorów, za terminarz na kolejny rok. Same przydatne w biurze rzeczy. Absolutnie nic nadzwyczajnego.

Dobra, dalej. Zostały jej może trzy minuty.

Odwróciła się w stronę regałów. Książki. Sporo na temat psychologii. Poradniki, w większości raczej popularnonaukowe, o ile Kate potrafiła je rozpoznać.

*Żyj marzeniami. Dziesięć sekretów silnych ludzi. Jak stać się potężniejszym, mądrzejszym, silniejszym.*

Książki z pewnością miały związek z jego profesją, mimo to Kate odniosła wrażenie, że Samuel Harris skupiał się również na samorozwoju. Przynajmniej na pierwszy rzut oka nie zauważyła żadnego poradnika dietetycznego. Temat ten został widocznie definitywnie zamknięty. Największy i najtrudniejszy krok w jego życiu. Utrata wagi, całkowita przemiana. Kiedy tego dokonał? Ile determinacji, ile bezwzględności wobec samego siebie kryło się w tym człowieku? Ile bezwzględności także wobec innych?

Fakt, że skłamał w sprawie śmierci swojego ojca, to mogła być pestka. Może rzeczywiście był zwykłym oszustem. Być może jednak kryło się w tym coś więcej. Tylko co?

Stanąła przed kolejnym regałem. Był wypełniony po brzegi różnokolorowymi segregatorami.

Aż drgnęła, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Głos kobiety z sąsiedniego mieszkania był przytłumiony.

– Halo? Jest tam pani?

– Chwileczkę! – krzyknęła Kate.

Pospiesznie przejrzała napisy na grzbietach segregatorów. Nazwiska.

Flynn, Myer, Goldsmith, Baldwin, Scott, Fletcher, Bristow, Burton, Cain...

Pukanie do drzwi stało się głośniejsze.

– Proszę natychmiast otworzyć!

Zamarła. Jej wzrok powędrował wstecz.

Bristow?

Wyciągnęła segregator, otworzyła go.

„Bristow, Diane” widniało na pierwszej stronie. Dalej data urodzenia, adres oraz numer telefonu.

Łapała powietrze. A więc znał Diane. Samuel Harris znał Diane Bristow, jedną z ofiar morderstwa.

Za drzwiami rozległ się teraz męski głos. Najwyraźniej sąsiadka wezwała na pomoc swojego chłopaka.

– Jeśli natychmiast nie otworzy pani drzwi, wezwiemy policję!

Wyrzebała swój portfel, po czym upchnęła segregator do torby. Trochę z niej wystawał. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Pośpiesznie podeszła do drzwi mieszkania, otworzyła je. Ujrzała strapioną kobietę oraz jej zdecydowanie nieprzyjemnie wyglądającego chłopaka.

Kate pomachała portfelem.

– Mam go!

– Dlaczego zamknęła pani drzwi? – zapytała kobieta.

– Musiały się zatrzaskać – odparła Kate.

– Czy to naprawdę pani portfel? – zapytał podejrzliwie mężczyzna.

– Oczywiście – odparła oburzona Kate. Oddała sąsiadce klucz. – Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

Przemknęła obok nich po schodach możliwie jak najszybciej, zanim któreś zdąży wpaść na pomysł, by przyjrzeć się bliżej zawartości jej torby. W samochodzie oparła się pokusie, by niezwłocznie zajrzeć do akt, ruszyła od razu i zatrzymała się dopiero kilka ulic dalej. Wyjęła z torby segregator i go otworzyła. Nie zawierał jednak żadnych dodatkowych informacji. Jedynie okładkę z imieniem i nazwiskiem, datą urodzenia, adresem i numerem telefonu. Nic więcej.

Kate się zamyśliła. Po chwili ponownie wybrała numer Helen.

– Helen, to znowu ja. Czy może się pani dowiedzieć, czy w mieszkaniu Diane Bristow były jakieś rachunki albo przelewy od albo dla Harris Coaching? Podejrzewam, że zostałyby nam przekazane, ale chciałam się upewnić.

– W porządku – odparła Helen.

Kate pozostała w samochodzie. Przednia szyba znów pokryła się warstwą śniegu. W głowie kotłowało jej się od myśli. Przypomniała sobie odpowiedź Anny, kiedy ją zapytała, jak poznała Sama. *Byłam niezadowolona z mojej pracy. Dlatego poszłam na spotkanie z coachem. Samem Harrisem.*

I przypomniała sobie zeznanie przyjaciółki Diane, Carmen. *Diane była bardzo niezadowolona ze swojej pracy w hotelu.*

Diane Bristow była klientką Sama Harrisa. Szukała porady, badała możliwości, jaką inną ścieżkę zawodową mogłaby obrać. Sam nikomu o tym nie wspomniał. Jako coach

nie należał do grona profesjonalistów, których obowiązywała tajemnica zawodowa – jak lekarze, pastorzy, psychologowie. Poruszał się jednak w pewnej szarej strefie, gdyż słuchał wypowiedzi swoich klientów, które nie były przeznaczone dla osób trzecich. Zapewne gwarantował dyskrecję. A jednak skoro nie był zobowiązany przez prawo do milczenia, w tej szczególnej sytuacji, gdy jego klientka stała się ofiarą brutalnego przestępstwa, powinien był wyjawić prawdę. Dla dobra śledztwa istniała możliwość zawieszenia obowiązku zachowania poufności.

Samuel Harris milczał jak grób. Wobec wszystkich. Kate podejrzewała, że nawet Anna niczego się nie dowiedziała.

Dlaczego?

Ponieważ była niemal pewna, że w aktach Diane Bristow nie znaleziono niczego, co świadczyłoby o jej kontaktach z Samuelem Harrisem, a także zważywszy na jej pustą teczkę personalną, Kate zaczęła podejrzewać, że Harris przyjmował ją nieoficjalnie. Być może postępował tak również z innymi klientami, tym razem jednak zwyczajnie miał pecha, że jedna z klientek padła ofiarą przestępstwa. Diane dostała rabat na szkolenie – niewiele zarabiała i żyła bardzo skromnie. Zapłaciła co najwyżej dwie trzecie normalnej ceny, w zamian zachowała to wyłącznie dla siebie. Harris mógł być notorycznym oszustem podatkowym, ale nikim więcej. Gdyby przyznał policji, że szkolił Diane, oszustwo wyszłoby na jaw.

Oszust podatkowy?

A do tego jeszcze ta historia z jego ojcem. Staruszkim, którego jakoby regularnie odwiedzał w Londynie. Choć ten w rzeczywistości zmarł wiele lat wcześniej. Biorąc pod uwagę przypadek Diane Bristow, w najlepszym razie Sam był człowiekiem uchylającym się od płacenia podatków. Zważywszy zaś na sprawę jego ojca, w najlepszym razie Sam miał sekretny romans z inną kobietą. Wówczas jednak nie byłby otwartym, sympatycznym, szczerym facetem, za jakiego uchodził.

Może jednak ukrywał coś gorszego. Coś znacznie gorszego.

Narzędzie zbrodni z Richmond, identyczne jak narzędzie zbrodni z Harwood Dale, połączyło sprawę Mili Henderson z przypadkami Diane Bristow i Logana Awbreya. Kate zdała sobie sprawę, że istnieje pewien wspólny element. Na razie nic jej to wprawdzie nie dało, ale przynajmniej pojawiło się coś, czego dotąd nie dostrzegą.

Owym wspólnym elementem był osoba Samuela Harrisa.

Znał wszystkie ofiary, bezpośrednio lub pośrednio, poprzez swoich znajomych.

Znał Diane Bristow, która była jego klientką.

Prawdopodobnie znał Logana Awbreya, ponieważ był on chłopakiem Diane.

Milę Henderson znał ze szkoły. Milla nie była jeszcze ofiarą, ale pracowała u Patricii Walters, pierwszej ofiary. Sam mógł poznać Patricię za pośrednictwem Mili.

Podobnie było z Jamesem Hendersonem, dziadkiem Mili. Sam mógł go poznać dzięki niej.

Znał Sue Raymond, z którą również chodził do jednej klasy.

Brakowało jeszcze dowodów na to, że Francuzka Isabelle du Lavandou była powiązana z pozostałymi morderstwami, niemniej Samuel Harris z pewnością znał także ją.

– To nie przypadek – powiedziała na głos Kate.

Problem w tym, że Harris zniknął. Kate była przekonana, że jego sąsiadka mówiła prawdę, twierdząc, że od kilku dni nie wracał do domu.

Gdzie się, do cholery, podziewał?

I gdzie są Milla oraz dziecko?

## 5

Wyprostowała się ostrożnie i spojrzała na śpiącego obok niej Sama. Oddychał głęboko i równomiernie, całkowicie zrelaksowany. We śnie wyglądał niegroźnie, zgoła niewinnie. To, co było w nim chore, czaiło się w jego oczach. Gdy miał je zamknięte, wyglądał jak normalny człowiek. Miał długie, jedwabiste rzęsy. Milla dziwiła się, że w ogóle to zauważyła.

Odsunęła koc na bok i wystawiła nogi poza krawędź łóżka. Natychmiast lodowaty ziąb przeniknął całe jej ciało i sprawił, że zaczęła dygotać. Znów poczuła zatechłe, nieświeże powietrze, które niemal przyprawiało ją o mdłości. Zasnęła i na chwilę uciekła od rzeczywistości, ale chłód oraz zgniły zapach sprawiły, że rzeczywistość tym gwałtowniej ją teraz osaczyła. Jakim cudem w ogóle udało jej się zasnąć? Po tym, jak próbował... Uczucie mdłości tylko się potęgowało, gdy pomyślała o jego uścisku i coraz gwałtowniejszych próbach odbycia intymnego stosunku, co na szczęście mu się nie udało. Mimo to drżała, nienawidziła jego zapachu, jego oddechu, jego ruchów. Oczywiście, że to go rozzłościło.

– To przez ciebie! – zarzucił jej. – Zwykle mogę. Zawsze!

W tym momencie dogłębnie go znienawidziła, ale bała się, że może stać się agresywny, więc usilnie starała się go uspokoić.

– Oczywiście. To przez ten stres. Masz tyle za sobą.

Zaatakowałeś rodzinę, zadźgałeś nożem kobietę. Powaliłeś policjantkę. Porwałeś mnie. I dziecko, które może umrzeć. Pytanie, czy stres to właściwe słowo!

Trochę się uspokoił.

– Tak, za dużo tego wszystkiego. Chociaż zazwyczaj nie mam z tym problemu.

– Wierzę ci.

– Powinniśmy się przespać. Mamy całe lata, dziesięciolecia, by do siebie przywyknąć.

Od dawna już spał, gdy ona wciąż leżała z szeroko otwartymi oczami. Lata i dziesięciolecia... Śnij dalej!

Znajdzie okazję do ucieczki. Nie był dobrym Panem Bogiem, nawet jeśli za takiego się uważał.

Teraz, kilka godzin po jego powrocie do przyczepy, czuła się jeszcze bardziej przygnębiona niż wcześniej. Przynajmniej mogła cokolwiek zobaczyć, bo latarka cały czas się paliła. Na suficie nadal widniał jasny stożek światła, a całe pomieszczenie wypełniała przymglona poświata.

Podniosła się najwolniej i najciszej, jak potrafiła. Łóżko lekko skrzypnęło. Wstrzymała oddech.

Nic. Sam się nie obudził. Nie poruszył się.

Mila poczłapała do pudła, w którym leżała Ruby. Przykryła ją własnym ubraniem, bo wewnątrz było potwornie zimno. Bojaźliwie sięgnęła pod wełnę i z ulgą stwierdziła, że jest pod nią w miarę ciepło. Ruby oddychała, ale wyglądała niemal przezroczyście i sprawiała wrażenie kruchej jak szkło. W ogóle nie krzyczała ani nie płakała, choć z pewnością była głodna. To zły znak.

Musiały się stąd wydostać.

Mila rozejrzała się dokoła. Wiedziała, że pojawiła się okazja. Drzwi były zamknięte, a klucz Sam schował pod poduszkę, więc go nie dostanie, ale dopóki spał, istniała sposobność, by go unieszkodliwić. Nie wiedziała tylko, czy ma w sobie dość odwagi i sił. Zbierała chrząszcze i dżdżownice, którym na ścieżkach i drogach groziło rozdeptanie, wynosiła z domu pająki, zanim zostały wciągnięte przez odkurzacz. Nie była pewna, czy zdoła zabić leżącego w łóżku mężczyznę.

Nie zauważyła też niczego, co by się do tego nadawało. Przyczepa była nader skromnie wyposażona. Stół, ława narożna, kredens z wysuwanymi półkami pod spodem. Szafki ścienne. Kuchenka. Lodówka, która jednak nie działała. Łóżko. Obok niego szafki ścienne na ubrania. Nie znalazła niczego, czym można by uderzyć człowieka w głowę.

Otworzyła drzwi lodówki i aż sapnęła, gdy uderzyła ją fala dobywającego się z wnętrza odoru. Ktokolwiek ostatnio jej używał, a następnie wyłączył, zapomniał wyjąć żywność, która wciąż znajdowała się w środku. Dostrzegła otwartą butelkę po mleku, z której wyrastała zielonkawa pleśń, oraz kilka otwartych pojemników z nieokreśloną zawartością w stanie rozkładu.



Zatrzasnęła drzwi. Oblała się potem. To było obrzydliwe. W takich warunkach nie sposób wytrzymać.

Nagle zdała sobie sprawę, że pilnie potrzebuje skorzystać z toalety. Nie piła od czasu opuszczenia Richmond i spożycia tego paskudnego napoju z rozpuszczonym środkiem odurzającym. A jednak nagle poczuła nieodpartą potrzebę. Jak właściwie zamierzał rozwiązać ten problem? W środku nie było toalety. Czy podstawi jej wiadro? Czy może wyprowadzi ją na śnieg?

Gdzie w ogóle przebywali?

Otworzyła jedną z szuflad obok lodówki. Leżały tam sztucce. Wzięła do ręki nóż. Czy zdoła nim zabić człowieka? Rękojeść była plastikowa, ostrze dość miękkie. Nie ma mowy.

Wysunęła następną szufladę. Mieściły się w niej większe i ostrzejsze noże do krojenia chleba i mięsa. Wyjęła jeden z nich.

– Nawet o tym nie myśl – usłyszała głos za plecami.

Odwróciła się. Sam podszedł do niej niezauważenie. Wyjął jej z ręki nóż.

– Nie jesteś do tego zdolna – powiedział łagodnie.

Zauważyła, że dygoce – z zimna i ze strachu.

– Ja... – odezwała się, po czym umilkła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wracaj do łóżka. Tam jest ciepło.

Nie poruszyła się.

– Muszę do toalety.

Spojrzał na nią skonsternowany, jakby powiedziała coś zupełnie nie na miejscu.

– Do toalety?

– Tak. I chce mi się pić. Potrzebuję czegoś do picia. A Ruby musi coś zjeść. Jest bardzo słaba.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że wciąż tylko stawiasz żądania? – zapytał poirytowany Sam.

Czy jedzenie, picie i sikanie to wyłącznie *żądania* – chciałaby wykrzyknąć, ale przełknęła tę ripostę.

– Tak naprawdę chciałem z Anną założyć rodzinę – powiedział niespodziewanie – ale ona była trudna. Bardzo trudna.

Mila nie wiedziała, kim jest Anna. Zapewne kobietą, która miała to szczęście, że nie była, tak jak ona, dręczona przez Sama.

– To nie to co z tobą – kontynuował. – Ot, konieczność. Męcząca, nieprzyjemna konieczność. Anna jest słaba. I nie potrafiła trzymać gęby na kłódkę. Wygadała się przed policją. Na temat Logana. Przez to napuściła na mnie gliny.

Mila nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała pojęcia, o kim ani o czym on mówi.

Uśmiechnął się. Niemal smutno.

– Zawsze jesteśmy ofiarami. W ostateczności. Ludzie tacy jak ja. Bo jesteśmy grubi.

– Nie jesteś już gruby – powiedziała Mila.

Jego uśmiech nieco się skrzywił. Wskazał na swoją głowę.

– Tu w środku – powiedział – tu w środku to wciąż ja. Tego się nie zmieni. Czekam na to od lat. Ale nadal jestem Tłusciochem. Nie pozbędę się go!

Odchrząknęła.

– Sam...

Czuła, jakby gardło całkiem jej wyschło.

– Muszę do toalety, Sam.

– Okej. – Chyba zdał sobie sprawę, że nie może bez końca unikać tej kwestii. – Wypuszczę cię na zewnątrz. Ale nie próbuj mnie oszukać, słyszysz? Potrafię być dość paskudny.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Przytaknęła.

Wrócił do łóżka, wyjął klucz spod poduszki. Zrezygnowana pomyślała, że ucieczka jest raczej wykluczona. Nie było szans, by zdołała potajemnie wyciągnąć w nocy klucz spod jego głowy.

Pchnął drzwi prowadzące na zewnątrz. Jasność. Lodowaty ziąb. Świeże powietrze. Mila odetchnęła pełną piersią.

– No dalej, pospiesz się.

Miała na sobie tylko majtki i koszulkę. Długimi spodniami oraz swetrem przykryła Ruby. Szybko wskoczyła w buty i płaszcz. Zimno boleśnie ją przeszyło, gdy wystawiła na zewnątrz głowę. Bijący od śniegu blask ją oślepił. Tak długo siedziała w ciemnościach rozjaśnionych jedynie słabą poświatą latarki.

– Ruszaj – powiedział zniecierpliwionym tonem.

Rozejrzała się dookoła.

Śnieg. Na niebie nisko zwieszane chmury zwiastowały kolejne opady. Jodły, bardzo gęste. Ich gałęzie pokrywał biały puch. Gęstwina krzewów i zarośli.

W jakiej to odludnej okolicy się znalazła?

Ostrożnie zeszła po stopniach prowadzących do przyczepy. Były to rozkładane stalowe schody, które, nieco zardzewiałe, wydawały się mało stabilne. Potem jej stopy zapadły się w wysokim, miękkim śniegu. Poczuła zadowolenie, że ma ocieplane buty.

Zauważyła, że w niewielkiej odległości, pomiędzy drzewami, stało kilka kolejnych przyczep kempingowych. Na pierwszy rzut oka dostrzegła trzy, ale pewnie było ich więcej. Jej serce przyspieszyło. Park przyczep? Inni ludzie? Poczłapała w kierunku gęstych, ciemnych zarośli, które oferowały nieco prywatności. Wiedziała, że Sam stoi w drzwiach i bacznie ją obserwuje.

Przykucnęła w śniegu za krzakami. Pospiesznie się przy tym rozglądała, starając się poznać jak najlepiej miejsce, w którym się znalazła. Las. Pozostałe przyczepy wyglądały na zamknięte i opuszczone, nadto dwie z nich były tak podniszczone, że trudno było sobie wyobrazić, by wciąż nadawały się do użytku. To mógł być opuszczony kemping, który już dawno zamknięto. Jej nadzieje się rozwiały. Kempingi były wszędzie, przez ostatnie dziesięciolecia wyrastały jak grzyby po deszczu. Wiele z nich znajdowało się nad morzem, miały dostęp do plaży, zjeżdżalni wodnych i licznych rozrywek. Powstawały także w głębi lądu, większość z nich była bardzo dobrze utrzymana i zadbana. Ten wyglądał na kompletnie podupadły. Miła domyśliła się, że od wybrzeża dzieliła go spora odległość. Nie czuła zapachu morza, który znała ze Scarborough, nie słyszała ustawicznych wrzasków mew. Pytanie, czy nadal przebywali w Yorkshire? W pobliżu Richmond? A może zupełnie gdzie indziej?

I czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

Gdy skończyła, podciągnęła majtki. Na samą myśl o tym, że będzie musiała wrócić do przyczepy, do porywacza szaleńca, zrobiło jej się niedobrze. Zamyśliła się na chwilę. Od przyczepy dzieliło ją dobre pięćdziesiąt kroków, gdyby rzuciła się do ucieczki, miałyby niewielką przewagę. Śnieg był dla niej przeszkodą, choć w równym stopniu dla Sama. A Sam był boso, tylko w bokserkach, nie miał na sobie nawet koszuli. Zyskałaby szansę. Oczywiście niewielką. Był od niej bardziej wysportowany, mogła to ocenić po jego sylwetce. Wyglądał, jakby regularnie ćwiczył na siłowni, czego Miła nie mogła o sobie powiedzieć. Nigdy nie przypuszczała, że dojdzie do podobnej sytuacji: będzie się obawiać, że nie dorówna Tłusćochowi pod względem szybkości i wytrzymałości. Tłusćochowi, który na chwiejnych nogach snuł się powoli ulicą. Który co chwila musiał przystawać dla nabrania tchu. Dla którego zajęcia sportowe były prawdziwą katastrofą, nawet dotarcie po schodach do klasy stanowiło nie lada wyzwanie. Pozostawało zagadką, jakim sposobem udało mu się przemienić w szczupłego, wysportowanego mężczyznę. Kryjąca się za tym siła woli u każdego wzbudziłaby podziw i szacunek. W przypadku Tłusćocha potęgowało to jedynie jej przerażenie. Ponieważ jego siła woli była napędzana przez obłąkanie, ponieważ tę niesamowitą siłę czerpał z obsesji, z jaką wybrał ją, Miłę, na kobietę swojego życia. Jego radykalna przemiana fizyczna nie świadczyła o ambicji ani samodyscyplinie, ale o stopniu jego szaleństwa.

Otrząsnęła się ze swoich myśli. Nie mogła tu siedzieć bez końca. Musiała powziąć decyzję.

– Skończyłaś? – rozległ się jego głos. Podejrzliwy. Dominujący.

– Tak, chwilka! – krzyknęła. Mimo że stała z gołymi nogami, w samych tylko butach, w śniegu, za krzakiem, gdzieś na odludziu, w potwornym zimnie, wciąż

odwlekała moment powrotu. Wszystko, wszystko było lepsze od tej okropnej, cuchnącej, mrocznej przyczepy z czającym się w środku szaleńcem.

Albo teraz pobiegnie, albo zawróci. Nie czas na zwłokę.

Biegnij, podszeptował jej wewnętrzny głos, to twoja szansa. Jest dzień. Następnym razem, gdy cię wypuści, pewnie będzie już ciemno. Biegnij!

– Masz tu natychmiast przyjść – nakazał. Jego głos ostro i wyraźnie przeciął zimową ciszę. – Wiem, co ci chodzi po głowie. Ale to byłoby głupie. Bardzo głupie. – Zrobił pauzę.

Wstrzymała oddech.

– Pomyśl o Ruby – kontynuował. Jego głos brzmiał całkiem obojętnie. Bez emocji. – Zapłaci za twoją ucieczkę. Nie wiem, czy naprawdę tego chcesz.

Szloch wypełnił jej gardło, rozpaczliwie go zdławiła. Miał ją w garści. Nie mogła ryzykować, bo narażała nie tylko własne życie, ale także życie sześciomiesięcznej dziewczynki. Ani przez chwilę nie wątpiła, że spełni swoją groźbę, gdyż była przekonana o jego absolutnej bezwzględności. Albo ją skrzywdzi, albo po prostu zostawi bez opieki. Dziecko umrze. Już teraz było w bardzo złym stanie. Bez Mili i jej troskliwości będzie zgubione.

Wyszła zza krzaka i poczłapała w stronę przyczepy. Stary, nędzny grat, równie brzydki z zewnątrz, jak i w środku.

A w drzwiach uśmiechnięty mężczyzna.

– Wiedziałem, że podejmiesz właściwą decyzję – oznajmił.

## 6

Kate wracała z Askham Grange, więzienia dla kobiet w pobliżu Yorku. Annę umieszczono tam tymczasowo. Po południu miała stanąć przed obliczem sędziego. Kate modliła się, aby nakazał zatrzymanie jej w areszcie. Więzienie wydawało się w tej chwili jedynym naprawdę bezpiecznym miejscem dla Anny.

Brnęła przez śnieg na parking, gdzie zostawiła swój samochód. Anna robiła wrażenie, jakby prawie nie spała, ale mimo to zdawała się spokojniejsza niż kiedykolwiek. Wyrzuciła z siebie wszystko. Przyznała się do strasznego czynu. Z serca spadł jej ogromny ciężar.

Kate skonfrontowała ją z faktem ucieczki Daliny oraz zniknięciem Samuela.

– Co to oznacza? – zapytała Anna.

Kate starannie dobierała słowa.

– Tego jeszcze do końca nie wiem. Przyznam szczerze, że podejrzewałam Dalinę Jennings, iż jest odpowiedzialna za zabójstwa Diane Bristow i Logana Awbreya. Nie mam jednak pewności, czy mogę ją wykluczyć z grona podejrzanych.

– Dalina?

– Miałaby motyw. Logan mógł opowiedzieć Diane o tamtym zdarzeniu, a Diane mogła pójść z tym na policję. Dalina musiała działać.

– To brzmi strasznie – przyznała Anna, ale nie wyglądała na kogoś, kto właśnie usłyszał nieprawdopodobne nowiny.

– Strasznie, ale nie nielogicznie. Okazało się jednak, że narzędzie zbrodni zostało użyte do innego morderstwa – którego do tej pory w ogóle nie łączyliśmy z zamordowaniem Awbreya i Bristow.

– Och...

Kate uważnie obserwowała Annę.

– Czy mówi coś pani nazwisko Mila Henderson?

– Mila Henderson?

– Czy mogła być klientką Trouvemoi?

Anna się zamyśliła.

– Nie. Na pewno nie uczęszczała na mój kurs. Mam dobrą pamięć do nazwisk, pamiętałabym. Ale były oczywiście inne zajęcia, które leżały całkowicie w gestii Daliny.

– Czy twój partner kiedykolwiek wymienił to nazwisko?

– Sam? Nie. Tak w ogóle, co z nim? Mówi pani, że zniknął?

– Miał się wczoraj do nas zgłosić. Nie pojawił się. A nasze poszukiwania wykazały...

– Urwała.

Oczy Anny się rozszerzyły.

– Tak?

– Pani Carter, ojciec Samuela Harrisa, Patrick Harris, według informacji uzyskanych z domu opieki, w którym ostatnio przebywał, zmarł pięć lat temu.

– Co takiego?

Kate aż ukłuło jej przerażenie.

– Tak. Obawiam się, że tej informacji nie sposób podważyć.

– Ale... Sam regularnie go odwiedzał!

Kate milczała.

– Och... – powiedziała powoli Anna. – Wierzy pani...

– Staram się w nic nie wierzyć, tylko być gotowa na każdą ewentualność.

– Miał romans? Przez cały czas?

– Czy coś na to wskazywało?

– Nie. – Zakłopotana i zszokowana Anna potrząsnęła głową. – Nie. Absolutnie. To znaczy... nalegał, żebym się do niego wprowadziła. W kółko to powtarzał. Mówił o małżeństwie. Dzieciach. To by mu znacznie utrudniło sprawę, prawda? Gdyby miał kogoś na boku...

– Prawdopodobnie.

– I wielokrotnie pytał mnie, czy nie chcę mu towarzyszyć i poznać jego ojca. A ja po prostu nie chciałam. W pewnym momencie przestał już pytać. Co by zrobił, gdybym się zgodziła?

– Pewnie wiedział, że tak się nie stanie – odparła Kate. – A gdyby nawet... coś by pewnie wypadło. Ojciec byłby zbyt chory, by przyjąć dwoje gości, cokolwiek.

Anna wciąż wydawała się oszołomiona.

– Ale... coś tu nie pasuje. Żeby przez cały ten czas miał romans? Nie pasuje to do jego zachowania wobec mnie.

Kate pochyliła się nieco do przodu.

– Wiemy, że Diane Bristow była jego klientką.

– Co takiego?

– Nie wiedziała pani o tym?

– Nie. Oczywiście, że nie. – Anna wyglądała na wstrząśniętą, chyba zastanawiała się, jakie jeszcze czekają ją rewelacje. – Co... co to wszystko oznacza?

– Albo bezpośrednio, albo pośrednio znał każdą ofiarę tych morderstw – powiedziała powoli Kate.

Dotarła do samochodu. Na pytanie o miejsce, w którym Sam mógłby się zaszyć, Anna raz za razem kręciła głową.

Domek myśliwski? Drugie mieszkanie? Garaż? Cokolwiek?

Nie. Nie. Nie.

Nic nie przychodziło jej na myśl. A przynajmniej nic, o czym Anna by wiedziała.

Kate wsiadła do samochodu. Ledwie ruszyła, zadzwoniła jej komórka. Zatrzymała się.

– Halo? Christy?

Christy McMarrow była jej dawną koleżanką ze Scotland Yardu. Często współpracowały, ale nigdy się nie zaprzyjaźniły. Różniły się jak dzień i noc, nie miały z sobą nic wspólnego poza tym, że obie żyły bez partnera, za to z kotem. Kate zadzwoniła do niej tego ranka, zanim wyruszyła do Yorku. Ponieważ była niedziela, Christy oczywiście jeszcze spała i nie była zachwycona, gdy Kate poprosiła ją o przysługę. Ale kiedy usłyszała, że zagrożone jest życie sześciomiesięcznej dziewczynki, wyskoczyła z łóżka, zapewniając:

– Dobrze. Zrobię to.

Teraz oddzwaniała. Jej głos brzmiał o wiele energiczniej niż dwie godziny wcześniej.

– Poszłam do domu opieki w Shepherd’s Bush. Udało mi się porozmawiać z kierowniczką i dwiema opiekunami.

– I co? Dowiedziałaś się czegoś, co może nam pomóc?

– No, nie wiem... Ale przynajmniej jest to jakaś wskazówka... Cóż, stary Patrick Harris, zanim popadł w kompletną demencję, opowiadał czasem o swojej łodzi.

– O łodzi?

– Tak, prawdopodobnie był właścicielem żaglówki, na której spędzał weekendy na kanale. Była więc na tyle duża, że można było w niej mieszkać. Stała zacumowana w porcie w Grimsby.

– Grimsby... To jakieś półtorej godziny jazdy stąd. Wiesz może, co się stało z żaglówką po jego śmierci?

– Niestety nie. Oni też tego nie wiedzieli. W każdym razie jedynym spadkobiercą był jego syn. Samuel. Nie potrafili mi jednak powiedzieć, czy zatrzymał łódź, czy od razu ją sprzedał.

– Hm. – Kate się zamyśliła. Drobna, słaba wskazówka, ale w zasadzie jedyna, jaką mieli. Gdyby Sam kiedykolwiek wspomniał Annie o żaglówce, zapewne pamiętałaby o tym. Najwyraźniej też nigdy z nim na niej nie była. Mimo to mógł ją zatrzymać – jako miejsce schronienia. Gdzieś przecież nocował, gdy – jak zapewniał Annę – odwiedzał ojca.

– Czy znasz nazwę tej żaglówki?

– Camelot.

– Camelot w Grimsby... Warto by spróbować.

– Facet, którego szukasz – odparła Christy – może już nie być właścicielem łodzi. Albo mógł ją przenieść do innego portu.

– Wiem. Zlecę również sprawdzenie zarejestrowanych właścicieli. Ale dziś jest niedziela, pojutrze sylwester... Nie wiem, czy tak szybko uda nam się cokolwiek ustalić.

– Rozumiem. Jedź więc do Grimsby. Kate... – Christy urwała.

– Tak?

– Ratuj tę małą dziewczynkę – dokończyła Christy, po czym odłożyła słuchawkę.

Kate przeciągnęła się i spojrzała w lusterko wsteczne. Ze względu na obfitość śniegu dzień wyglądał wyjątkowo bezbarwnie, światło było rozproszone i mdłe. Jej twarz sprawiała wrażenie bladej, zmęczonej. Wychudzonej.

Zamyśliła się. Właściwie powinna zameldować, że jedzie do Grimsby. Problem w tym, że to nieuchronnie zrodziłoby pytania, dlaczego żywi podejrzenia wobec

Samuela Harrisa. A swój koronny argument – jego znajomość z pierwszą ofiarą morderstwa, Diane Bristow – zdobyła w sposób niezgodny z przepisami: nie powinna była wchodzić do mieszkania Harrisa ani grzebać w jego papierach bez sądowego nakazu. Gdyby pracowała z Calebem, poinformowałaby go o tym, bo wiedziała, że on przymknąłby oko, jeśli złamanie regulaminu przyniosłoby ewentualne korzyści. Pamela jednak już przy pierwszej okazji przestrzegła Kate, że w najmniejszym stopniu nie będzie tolerować przekroczenia uprawnień. Dała jej w tej mierze wyraźne ostrzeżenie, Kate aż za dobrze to pamiętała. Jeśliby Harris ostatecznie okazał się względnie niewinny – ot, zwykły oszust podatkowy, a nie żaden morderca i porywacz – nie musiałyby wspominać przełożonym, że wtargnęła do jego mieszkania.

Co więcej, Pamela nadal się nie zgłosiła. Może zatrzymali ją w szpitalu. Bądź co bądź była w kiepskim stanie. A to mogłoby sprawić, że mniej sprzeciwiała się łamaniu zasad.

Myśl o Calebie podsunęła jej jednak pewien pomysł.

Wybrała numer jego komórki, mając nadzieję, że odbierze. Dawniej zawsze był dostępny, nawet po zawieszeniu, a następnie własnej rezygnacji. Odkąd jednak wprowadził się do nowego mieszkania, zdawał się tracić kontrolę nad swoim życiem.

Udało jej się nawiązać kontakt. Jego głos brzmiał chrapliwie.

– Tak?

– Caleb? Przepraszam. Czy ty jeszcze spałeś?

– Tak. Ale nie ma sprawy. Do północy miałem dyżur w pubie.

Przynajmniej wrócił do pracy. Kate przyjęła to z ulgą. Zachowywała się wobec niego niemal jak matka, która nieufnie pilnuje, by jej dziecko regularnie uczęszczało do szkoły.

– Caleb, muszę jechać do Grimsby. Pojawiły się nowe informacje. Udam się do tamtejszego portu i poszukam łodzi. Nazywa się Camelot. Właścicielem jest Samuel Harris.

Caleb był na tyle wtajemniczony w dochodzenie, że zdołał skojarzyć nazwisko.

– Harris? Czy to nie jest...

– Tak, partner Anny Carter.

– Czy ma on jakiś związek z ostatnimi wydarzeniami? Poza tym, że pomógł pozbyć się zwłok Logana Awbrey'a?

– Być może jest bardziej uwikłany, niż sądziliśmy. Będę musiała to sprawdzić. Ale może też okazać się zupełnie niewinny.

– Okej. A co z Daliną Jennings? Twoją główną podejrzaną?

Nie była to odpowiednia pora, by informować o nowych ustaleniach i zawiłościach śledztwa.



– Obława wciąż trwa. Sprawy przybrały jednak zły obrót. Później o wszystkim ci opowiem.

– W porządku.

– Caleb, nie zgłaszam oficjalnie swojej podróży do Grimsby. Informacje o Harrisie zdobyłam trochę samowolnie, i jeśli to wszystko okaże się bez znaczenia, chciałabym puścić tę sprawę w niepamięć.

Usłyszała jego delikatny śmiech.

– Jak zawsze. Nigdy zbytnio nie przejmowałaś się przepisami.

– Jestem przed Askham Grange w Yorku i zaraz ruszam w drogę. Dochodzi druga. Dojazd do Grimsby w taką pogodę zajmie mi pewnie półtorej godziny. Potem muszę się rozejrzeć w porcie... Jeśli nie odezwę się do szóstej wieczorem, powiadom, proszę, sierżantkę Helen Bennett. Powiedz jej, żeby wysłała kilku ludzi do portu.

– Okej. Nie podejmuj zbyt dużego ryzyka, Kate.

Krótko rozważała, czy nie poprosić go, by jej towarzyszył. Caleb nie był już jednak na służbie, jeszcze radykalniej niż dotąd złamałaby zasady. Poza tym może to on powinien zaproponować jej pomoc. Ale tego nie zrobił. Może dlatego, że dopiero się obudził i zapewne poczuł się przytłoczony wszystkim, co przed chwilą usłyszał.

– Muszę ruszać – powiedziała.

– Uważaj na siebie – odparł.

## 7

Pod nieobecność Sama Mila przez cały czas rozpaczliwie usiłowała znaleźć sposób, by razem z Ruby wydostać się z przyczepy. Próbowała wyłamać za pomocą noży zamek w drzwiach, kopała z całej siły w ścianę, wbijała paznokcie w zawiasy okiennic. I nic. Nic się nie poruszyło. A przecież widziała tę rudę z zewnątrz, wyglądała, jakby miała się lada chwila rozpaść. Jak to możliwe, że mimo to ani drgnęła?

Okiennice były zabezpieczone nowiutką kłódką, której rzecz jasna nie dało się zerwać, ale zawiasy po bokach musiały być wiekowe. Dlaczego nie puszczały?

– Niech to szlag! – krzyknęła w końcu zdenerwowana.

Ruby zaczęła cicho kwilić.

Mila odwróciła się do niej. Już wcześniej otuliła ją swoim płaszczem, bo sama włożyła z powrotem dzinsy i gruby sweter. Nie sposób było inaczej wytrzymać w tym zimnie. Chętnie włożyłaby płaszcz, ale Ruby nie mogła zmarznąć, a koc był zdecydowanie za duży, żeby można ją było weń zawinąć i zostawić w kartonie.

Sam wyszedł zdobyć coś do jedzenia, przede wszystkim dla dziecka, ale także dla siebie i Mili. Było to niełatwe zadanie w niedzielny wieczór, właściwie zamierzał to zrobić dopiero nazajutrz. Mila jednak nie odpuszczała, zwłaszcza jeśli chodziło o pokarm dla dziecka. Ruby koniecznie potrzebowała jedzenia, Mila miała nadzieję, że poszukiwania zajmą mu sporo czasu. W tej opustoszałej okolicy musiał pewnie przejechać szmat drogi, i to w nader trudnych warunkach.

Mila odsunęła rąbek płaszcza i spojrzała na drobną buzię Ruby. Nie była okrągła i różowa, ale zapadła, coraz mizerniejsza i bardziej szara. Wydawało się, że się starzeje w przyspieszonym tempie.

– Hej, Ruby! – Pogłaskała ją po policzkach. Długie rzęsy lekko zatrzepotały. – Trzymaj się. Wyciągnę nas stąd.

Znów zaczęła dłubać przy zamku w drzwiach. Nie było tu nowej kłódki, to był stary zamek. Dlaczego tak uparcie opierał się jej wysiłkom?

Uderzyła w drzwi płaską dłonią.

– Chyba zwariuję! – zawołała.

Usłyszała dochodzący z zewnątrz szelest. Brzmiał jak odgłos kroków na ubitym śniegu.

Czyżby Sam już wracał?

Cisnęła nóż z powrotem do szuflady. Nie chciała, żeby zobaczył, czym się zajmowała, bo w przeciwnym razie już nigdy nie zostawi jej samej, nie skrępowawszy jej rąk.

– Halo? – szepnął ktoś za drzwiami. To nie był głos Sama.

Mila ostrożnie zrobiła krok do przodu.

– Halo? – odpowiedziała pytaniem.

Cisza.

– Czy jest tam ktoś? – zapytała Mila.

– Kto tam? – zapytał ten drugi.

– Jesteśmy tu uwięzione. Czy może nas pan wypuścić? – zapytała Mila.

– Uwięzione?

– Tak. Dziecko i ja.

Cisza.

– Halo?

Cisza.

– Proszę, nie odchodź – powiedziała błagalnie Mila. – Nie mamy nic do jedzenia i jest bardzo zimno. Z dzieckiem jest bardzo źle, może umrzeć. Może nas pan stąd jakoś wyciągnąć?

Cisza.

Zastanawiała się, czy to jednak nie Sam stoi na zewnątrz i stroi sobie z niej żarty. Albo w złośliwy sposób wystawia ją na próbę. Ale to nie był jego głos. Czy potrafił aż tak dobrze udawać?

– Halo? – spróbowała ponownie. – Naprawdę potrzebujemy pomocy. Musimy się stąd wydostać. Zostałyśmy uwięzione w środku.

– Uwięzione?

To samo pytanie zadał już wcześniej. Czy facet tak wolno myślał, był pijakiem czy może imbecylem?

– Tak. Uwięzione. Jestem tu razem z dzieckiem. Musimy się stąd wydostać, bo inaczej umrze z głodu.

Cisza. Po chwili dało się słyszeć odgłos oddalających się kroków. Mila rozpaczliwie waliła pięściami w drzwi.

– Nie odchódź! Proszę! Pomóż nam. Zabierz nas stąd albo zadzwoń na policję!

Kroki ucichły. Mila wybuchła płaczem. Znajdowały się na przeklętym pustkowiu, to cud, że w ogóle ktoś tędy przechodził. Ale widocznie miał nie po kolei w głowie i okazał się bezużyteczny. Wkrótce wróci Sam, taka okazja szybko się nie powtórzy. Na myśl o nadchodzącej nocy, którą będzie musiała spędzić z nim w tej cuchnącej, wilgotnej pościeli, wydana na pastwę jego zalotów i wściekłości, omal nie oszalała z rozpaczy. Musiała się stąd wydostać.

Odwróciła się i ponownie spróbowała otworzyć okiennice, ale poza wbiciem sobie drzazgi pod paznokieć nic nie wskórała. Zawyla z bólu. To bez sensu. Na własną rękę nie zdoła stąd wyjść.

Gdy rozglądała się za kawałkiem materiału albo papieru, którym mogłaby owinąć krwawiący palec, znów usłyszała kroki. Zamarła. To pewnie Sam.

Ktoś jednak zaczął majstrować przy drzwiach jakimś większym przedmiotem. Na pewno nie brzmiało to tak, jakby otwierał zamek kluczem. Sam tak przecież by zrobił. To był raczej łom albo żelazna dźwignia.

Mila zastygła w bezruchu. Ktokolwiek to był, nie chciała mu przeszkadzać, speszyc go, wystraszyć.

Proszę, modliła się bezgłośnie, proszę, otwórz te drzwi!

Odgłosy stawały się coraz głośniejsze, bardziej energiczne i groźne. Z odległości kilometrów słyszeć było, że ktoś próbuje się włamać. Wali łomem w przyczepę kempingową. Miała żarliwą nadzieję, że Sam wciąż przebywa wystarczająco daleko. Gdyby wrócił zbyt wcześnie, wszystko byłoby stracone. Po tym, co z nim przeżyła, Mila ani przez sekundę nie wątpiła, że zabije nieznanego, a ciało zagrzebie gdzieś w śniegu. Mężczyzna nie miał pojęcia o grożącym mu niebezpieczeństwie, gdyby go jednak ostrzegła, mógłby uciec.

– Pospiesz się – mruknęła cicho – no dalej.

Drzwi zatrzęsły się w zawiasach, drewno pękło, całe skrzydło, rozłupane na dwie części, z hukiem wpadło do wnętrza. Mila odskoczyła w bok. Uderzył w nią świeży, lodowaty powiew. Dostrzegła ostatni blask dnia, śnieg, niebo, drzewa. Oraz twarz.

Uśmiechał się do niej jakiś mężczyzna.

Czerwona, pokryta bliznami cera. Nabrzmiały nos zdradzał pijaka. Potargane, brudne ubranie opatulało go od stóp do głów.

W jego uśmiechu kryło się coś nieprzyjemnego.

Mila nie miała pewności, czy właśnie nie wpadła z deszczu pod rynnę.

I była zdana tylko na siebie.

## 8

Było już prawie pół do piątej, gdy Kate dotarła do Grimsby. Zajął jej to znacznie więcej czasu, niż się spodziewała. Na drogach panowały okropne warunki. Co prawda przestało prószyć, jednak służby nie nadążały z odśnieżaniem, nadto ziąb znów przybrał na sile i pokrywał wszystko warstwą lodu. Po drogach poruszało się niewiele samochodów, za to wyjątkowo powoli. Całkiem rozsądnie. Gdyby Kate była sama na drodze, i tak nie mogłaby jechać szybciej.

Stała się nerwowa i niespokojna, mając świadomość, że poszukiwania małej Ruby Raymond to prawdziwy wyścig z czasem. Nie wiedziała, czy sama podąża właściwym tropem – prawdopodobieństwo, że tak jest w istocie, oceniała nader nisko – a mimo to czuła, że każda kolejna minuta spędzona w drodze będzie coraz bardziej niebezpieczna. Jakby – choć nie znalazła na to żadnego uzasadnienia – była już blisko celu, a zarazem wciąż zbyt daleko, by pozwolić sobie na jakiegokolwiek zawahanie. Z drugiej strony na śliskiej nawierzchni niebezpieczne manewry wyprzedzania nie miały większego sensu. Jeśli dojdzie teraz do wypadku, tym bardziej nie zdąży na czas.

Mimo wewnętrznego napięcia Kate dostrzegła piękny widok w oddali, gdy tuż przed Grimsby przekraczała estuarium Humber. Ujście do morza robiło piorunujące wrażenie, a szary kolor wody wyjątkowo współgrał z szarością nieba oraz zalegającym wzdłuż brzegów śniegiem. Krajobraz wyglądał na bezkresny i w swojej melancholii dramatycznie piękny. Zapadał już zmierzch, pochłaniając sylwetki domów i drzew, sprawiał wrażenie, jakby spowijał wszystko w kompletnej ciszy. Kate najchętniej by się zatrzymała i zrobiła zdjęcie. Ale to nie był odpowiedni moment.

Ściemniało się, gdy dotarła w okolice portu. Przygnębiona uświadomiła sobie, jak duży jest to teren – i jak bardzo opustoszały w to niedzielne popołudnie. W dni powszednie oraz latem z pewnością panował tu ożywiony ruch, ale dzisiaj nie było żywego ducha. Zaparkowała obok jakiegoś magazynu i wysiadła. Długie ulice, wzdłuż których stały magazyny, szopy, kontenery. Opuszczone żurawie. Zaparkowane ciężarówki. Czarne lampy łukowe, które właśnie zaczynały świecić jasnym światłem. Śnieg lśnił w ich poświacie. Bez jego blasku byłby to obraz niepojętego smutku i zagubienia. Pachniało olejem silnikowym i wodorostami. Słychać było wrzaski mew. Ich odgłosy wydawały się jedynym dowodem życia na tym kompletnym pustkowiu. Nad wszystkim górowała wysoka, smukła Dock Tower, symbol portu.

Kate ruszyła w stronę morza. Chłód smagał jej policzki. Zastanawiała się, czy przy takiej pogodzie ktokolwiek może mieszkać na łodzi.

Dotarła do mola. Ciągnęły się tu niekończące się rzędy pomostów, nie wszystkie miejsca były co prawda zajęte, mimo to ujrzała sporo łodzi, motorówek, niewielkich barek. Poczowała się oszołomiona. Jakby szukała igły w stogu siana.

Zaczęła sprawdzać łodzie. Na niektórych nazwy były łatwe do odczytania, w przypadku innych musiała podejść bliżej i nieco wysilić wzrok, żeby cokolwiek dojrzeć. Na szczęście i tu świeciły jasne lampy, dopiero na końcu pomostów robiło się ciemno i dlatego musiała użyć latarki.

– Camelot – mruknęła – Camelot, gdzie jesteś?

Nie znalazła łodzi o tej nazwie. To była żaglówka, więc na szczęście mogła pominąć motorówki, niemniej łodzie były zacumowane chaotycznie, musiała więc przejść wszystkie rzędy. Świeciła latarką i odczytywała napisy, świeciła i czytała... Żadnego cholernego Camelota.

Już prawie nie czuła palców u rąk i nóg. Zapomniała włożyć rękawiczki. Odmarzał jej nos. Było ciemno. Panował potworny ziąb. Bardziej niż kiedykolwiek zatęskniła za swoim ciepłym pokojem.

Następna łódź. Drewniana. Żaglówka. Pomalowana na niebiesko, o ile mogła to stwierdzić w słabym oświetleniu. Mila – napisano zamaszystymi czerwonymi literami.

Przystanąła.

Mila?

To nie musiało jeszcze nic znaczyć. Łódź mogła nie mieć żadnego związku ani z Samuelem Harrisem, ani z Milą Henderson. A jednak... był to pierwszy drobny sygnał tego wieczoru. Żaglówka o nazwie „Mila”, zacumowana w porcie, w którym ojciec Sama Harrisa trzymał swoją łódź.

Próbowała poświecić do wnętrza kabiny, lecz była szczelnie zabezpieczona deskami. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek przebywał na tej niewielkiej łódce, ale skoro

już tu dotarła, nie zamierzała zawrócić. Wystarczył jeden śmiały skok. Musiała tylko uważać, żeby się nie poślizgnąć, bo inaczej wyląduje w lodowatej, mrocznej wodzie portowego akwenu. Latarkę wetknęła do kieszeni płaszcza, torebkę odłożyła na molo – i tak nikt tędy nie przechodził – i odważyła się przeskoczyć nad przepaścią. Znalazła się na dziobie, ale poślizgnęła się na oblodzonym pokładzie i uderzyła o drewniane deski. Ostry ból przeszył jej prawą nogę. Ostrożnie usiadła, poruszyła palcami rąk, potem nóg. Prawdopodobnie obija sobie kolano, na szczęście jednak nic nie złamała.

Ostrożnie przeczołgała się w stronę kabiny. Spodziewała się, że będzie zamknięta, ale łatwo dało się otworzyć drzwi. Zerknęła w kompletną ciemność.

Wyciągnęła latarkę i poświeciła nią w głąb pomieszczenia. Niewielka przestrzeń umeblowana dwiema obitymi tkaniną ławami po prawej i lewej stronie, drewnianymi szafkami ściennymi, otwartymi bocznymi schowkami wypełnionymi wszelkiego rodzaju przedmiotami. Jedno stało się jasne: nikogo tu nie było. Nie wyglądało też na to, by ktoś tu ostatnio mieszkał.

Musiała jednak spróbować się dowiedzieć, kto był właścicielem łodzi. Przecisnęła się przez otwór, po czym zeskoczyła w dół. Łódź się zakołysała. Usłyszała plusk fal rozbijających się cicho o burty.

Jeden po drugim oświetlała poszczególne schowki. Przechowywano tu głównie akcesoria żeglarskie, odkręcone wiosła, plandeki, nadmuchiwane koło ratunkowe. Kamizelki ratunkowe. Rękawice podobne do tych używanych do prac w ogrodzie.

Żadnej jednak wskazówki, do kogo to wszystko należało.

Uniosła siedzisko wyściełanej ławki i znalazła w środku ubrania, dwie butelki olejku do opalania, parę gogli do nurkowania, płetwy. Kąpielówki należące bezsprzecznie do mężczyzny.

Następnie przyszła kolej na szafki ścienne. Plastikowe przybory kempingowe. Kilka paczek makaronu, kilka puszek z jedzeniem.

– Czy nie ma tu czegoś z jakimś cholernym nazwiskiem? – zapytała na głos.

Jej wzrok padł na karton stojący na podłodze w głębi pomieszczenia. Przypominał pudełko po butach. Uniosła wieko.

Papiery.

Wzięła do ręki pierwszą kartkę. Faktura za prace konserwacyjne na łodzi, wystawiona w kwietniu dwa tysiące drugiego roku. Dla Patricka Harrisa. Nazwa łodzi brzmiała „Camelot”.

– Mam cię! – powiedziała.

To była jego łódź. Łódź Patricka Harrisa. Od śmierci staruszka należała do jego syna, który nadał jej nową nazwę.

*Mila.*

W głowie Kate pewien pomysł zaczął nabierać kształtu, pomysł na opowieść, ciąg zdarzeń, wciąż mglisty i niedokończony, niemniej stanowiący niejasne wytłumaczenie tego, o co w tym wszystkim chodziło. Gdyby jej przewidywania okazały się słuszne, wówczas Mila Henderson nie była sprawczynią. Była ofiarą. I to od dłuższego czasu.

Jedno nie ulegało wątpliwości: nie było jej tutaj, podobnie jak Harrisa.

Wyszła z kabiny i zamknęła za sobą włącz. Na samą myśl o ponownym skoku na pomost oblała się potem. Ból kolana wystarczająco mocno jej doskwierał, nie mogła sobie pozwolić na kolejną kontuzję. Uklękła przy relingu i za linę cumowniczą przyciągnęła łódź bliżej pomostu. Skok, który teraz musiała wykonać, był znacznie krótszy. Na szczęście nie upadła. Zrobiła głęboki wdech.

Wracaj do samochodu. A potem zastanowisz się, co dalej.

Ignorując ból w nodze, przeszła przez ogromny teren portowy z powrotem do miejsca, w którym zaparkowała auto.

Mijając biuro portowego kapitanatu, zauważyła w oknie blask światła. Albo biuro jest zawsze obsadzone, albo miała zwyczajnie szczęście. Przystanąła i energicznie zapukała do drzwi. Dopiero za trzecim razem usłyszała odgłos kroków, drzwi się otwarły. Stał przed nią starszy mężczyzna o zmierzwionych włosach.

– Tak? – zapytał ponuro.

Kate wyciągnęła legitymację.

– Sierżant śledcza Linville. Policja North Yorkshire. Potrzebuję kilku informacji.

– Teraz?

– Tak. Mogę wejść?

Choć niechętnie, pozwolił jej wejść do środka.

– Normalnie już by mnie tu nie było – oznajmił. – Papierkowa robota na koniec roku po prostu mnie dobija. Dlatego siedzę tutaj, zamiast spędzać niedzielę z żoną. Właśnie miałem zamiar wyjść.

– Nie zatrzymam pana długo – zapewniła Kate. – Mam tylko kilka krótkich pytań.

– Mam nadzieję. – Nie zadał sobie trudu, by ukryć irytację z powodu jej obecności.

W niewielkim, przegrzanym biurze, w którym biurko było zawałone papierami i otwartymi segregatorami, zaproponował jej miejsce na kempingowym krzeselku, a sam usiadł na małym taborecie. Kate wyczuła zapach kawy, on jednak chyba nawet nie pomyślał o tym, by ją poczęstować. Przynajmniej jej dłonie i stopy znów zaczęły mrowić pod wpływem ciepła. Już samo to ją uszczęśliwiło.

– Pan jest kapitanem portu?

– Tak.

– Pan...?

– Hibbert. Peter Hibbert.

– Chodzi o łódź, panie Hibbert – powiedziała. – I jej właściciela. O Samuela Harrisa. I Milę.

Przytaknął.

– Tak. I?

– Zna pan tu każdą łódź? I każdego właściciela?

– To moja praca.

– Samuel Harris odziedziczył łódź po ojcu, czy to prawda?

– Tak. Po Patricku. Miły facet. Często siedzieliśmy razem w pubie przy porcie i rozprawialiśmy o sprawach zawodowych. Zawsze miło się z nim rozmawiało.

– Ale z synem już nie?

Zawahał się.

– Z nim tak naprawdę nigdy nie nawiązałem bliższej znajomości – odparł. – On także tego nie chciał. Regularnie uiszcza opłaty za cumowanie, nigdy nie ma z nim kłopotów, ale...

– Tak?

– Nie za bardzo go lubię.

– Dlaczego?

– Nie potrafię tego uzasadnić. Nigdy nie dopuścił się żadnego wykroczenia. Jest uprzejmy. Nie zostawia po sobie bałaganu – z innymi mam dużo więcej problemów. Ale jakoś...

Kate czekała. Peter Hibbert wzruszył ramionami.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Jest coś w jego spojrzeniu.

– W jego spojrzeniu?

– To takie dziwne. Wie pani, jest w nim jakiś chłód. Nawet wtedy, gdy się do pani uśmiecha. Kiedy wita się uprzejmie. Kiedy pomaga zwinąć linę. Zawsze ma się wrażenie, że to fasada. Że za nią kryje się ktoś zupełnie inny.

– Ktoś inny?

– Ktoś, kto nienawidzi całego świata – powiedział Peter Hibbert. – Nienawidzi w ów zimny sposób.

Kate popatrzyła na niego zamyślona. Hibbert nie wydawał się kimś, kto lubi dramatyzować. Był raczej lakonicznym, małomównym facetem. Jego opinia miała swoją wagę.

– Łódź nazywała się kiedyś inaczej – zmieniła temat.

Hibbert przytaknął.

– Camelot. Ale zaraz po śmierci Patricka Sam zmienił nazwę. Na „Mila”.

– Czy podał jakieś wyjaśnienie?

– Pewnie, że go o to zapytałem. Powiedział, że Mila to imię kobiety jego serca.



– Kobiety jego serca? Tak to ujął?

– Tak. Dokładnie tak.

– Czy mówił o niej coś więcej? A może kiedyś ją pan poznał?

– Nie. Nigdy więcej o niej nie wspomniał. I nigdy jej tu nie przyprowadził. Pomyślałem, że może ona wcale nie istnieje. Albo jest po prostu nieosiągalna. Aktorka czy ktoś taki.

– Czy w ogóle przyprowadzał jakieś kobiety?

– Nigdy. Zawsze przychodził sam. I to bardzo rzadko.

Kate się zamyśliła. Być może Sam zjawiał się tutaj, kiedy rzekomo, jak wmawiał Annie, odwiedzał swojego ojca. Czy był jedynie człowiekiem szukającym dla siebie przestrzeni? Dystansu od trudnej partnerki, silnie straumatyzowanej kobiety stale zmagającej się z depresją? Którą trzeba było umieć znosić, choć może nie zawsze się to udawało?

Ale była też łódź ochrzczona imieniem „Mila”. Miłość jego życia. Dawna koleżanka z klasy. Kate pomyślała o fotografii nieśmiałej, ładnej dziewczyny ze spinkami we włosach. I zdjęciu chłopca z nadwagą.

Przypomniała sobie słowa matki Alvina, kiedy mówiła o swoim synu. Zawsze marginalizowany. Zawsze na uboczu. Często wyśmiewany. Obiekt złośliwych szyderstw. Bez przyjaciół. Bez dziewczyny.

Podobnie musiało być w przypadku Sama Harrisa. Co napisał pod swoim zdjęciem w roczniku? Brak przyjaciół. Brak ulubionego nauczyciela. Żadnych zainteresowań.

Ktoś, kto nienawidzi całego świata, jak przed chwilą stwierdził Peter Hibbert.

Nienawiść zmieniła go w atrakcyjnego faceta. Szczupłego, wysportowanego, zahartowanego. Zrzucił ponad sto kilogramów.

Jeśli to nienawiść była jego siłą napędową, musiała być przeogromna.

– Panie Hibbert, muszę pilnie odnaleźć Samuela Harrisa – oznajmiła. – Miałam nadzieję, że przebywa na łodzi, ale go tam nie ma, łódź wydaje się niezamieszkała. Czy ma pan jakieś podejrzenia, gdzie może przebywać?

– Co zrobił? – zapytał Peter Hibbert.

– Możliwe, że zupełnie nic. Musimy tylko coś sprawdzić.

Hibbert się zamyślił.

– Prawie go nie znam...

– Ale znał pan jego ojca. Czy istniało jakieś miejsce, w którym chętnie bywał? Albo o nim opowiadał? W przeszłości? Gdzie rodzina spędzała wakacje? Domek letniskowy? Chata? Cokolwiek?

Hibbert wyraźnie łamał sobie głowę.

– Tak wiele opowiadał. Gdzie jeździli na wakacje? Często przebywał z żoną na łodzi. Ale przedwcześnie zmarła.

– Na co?

– To było dość zagadkowe. Miała objawy zatrucia. Katastrofalny stan wątroby i nerek. Była u wszystkich lekarzy, lecz żaden nie zdołał ustalić przyczyny. W końcu zmarła wskutek ostrej niewydolności nerek.

– A skąd Patrick miał tę łódź? Kupił ją?

– Nie. Odziedziczył po matce.

– Czy coś jeszcze po niej odziedziczył? Dom?

– Tak. Jej dom. Ale został sprzedany. Teraz jednak – jego twarz się rozjaśniła – przypominam sobie coś jeszcze. Coś, o czym niegdyś wspomniał. Czasem zabierał rodzinę na kemping. Tak, zgadza się. Tak powiedział.

Kate nachyliła się, tłumiąc okrzyk bólu. Nagle poczuła się zaintrygowana.

– Kemping? Czy miał może przyczepę?

## 9

Brnęła przez śnieg w ślad za swoim wybawicielem, mocno tuląc do siebie małą Ruby. Włożyła płaszcz, a dziecko zawinęła najlepiej jak potrafiła w jedną z leżących na łóżku poduszek. Przeczynała, że lepiej salwować się ucieczką, ale robiło się już ciemno, a do tego, o ile mogła to stwierdzić, znajdowali się na kompletnym pustkowiu. Temperatura musiała spaść poniżej zera. Gdyby uciekła, a nie napotkała nikogo ani nie znalazła schronienia, nie przeżyłyby z Ruby nocy.

Facet cuchnął alkoholem i potem, nadto wydawał się nieprzewidywalny, ale przynajmniej uwolnił je z przyczepy i uchronił przed spędzeniem nocy z Samem. Z ochotą by go za to uściskała. Gdyby tylko nie był taki obrzydliwy.

Przystanął nagle i odwrócił się do niej.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Mila. A ty?

– Jestem Olm.

– Olm?

– Czy to twoje dziecko?

– Nie. Jej matka została zamordowana. Przez człowieka, który nas tu zamknął. Jest bardzo niebezpieczny. Musimy się stąd wydostać. Możliwie jak najszybciej.

Mila zauważyła, że głos jej drży. Sama długo już nie było, pewnie lada chwila wróci. Ponieważ nie miała pojęcia, w którą stronę zacierają, nie wiedziała, czy usłyszą jego

samochód i zobaczą światło reflektorów. Z pewnością zauważy ślady w śniegu odchodzące od przyczepy, wystarczy, że nimi podąży.

– On jest naprawdę niebezpieczny – powtórzyła. – Oszalał. Zabija ludzi bez żadnych skrępowań.

Wątpliwe, czy Olm rozumiał wagę jej słów.

– Dalej! – nakazał surowym tonem.

Zawahała się.

– Jeśli gdzieś tu jest parking albo wyjazd na szosę, musimy uważać. Możemy się natknąć na Sama.

– Sama?

– Człowieka, który mnie uwięził. I zabił matkę Ruby. Nożem.

Olm wyszczerzył zęby.

– Niech się tylko zjawi!

Mila wątpiła, czy Olm sobie z nim poradzi. Pijak w starciu z wysportowanym, umięśnionym Samem, który posiadał jeszcze nóż.

Szli dalej. Od czasu do czasu musieli pokonywać zasy pomiędzy drzewami, w których Mila zapadała się po kolana. Mimo chłodu cała była zlnana potem, czuła, że jest u kresu sił. Ale musiała iść dalej, musiała wytrwać.

Co jakiś czas widziała stojące w pobliżu przyczepy, większość w stanie powolnego rozpadu. Wyglądało na to, że istotnie był to kemping – opuszczony dawno temu. Prawdopodobnie nie figurował w żadnym katalogu. Ale czy ktoś w ogóle jej szukał?

Wiedziała, że jakaś policjantka zadzwoniła do drzwi domu Sue, że Sam powalił ją na ziemię i uwięził. Czy ją znaleziono? Czy jej koledzy wiedzieli, gdzie się znajduje?

A mąż Sue? On także w końcu wróci. Mila nie chciała nawet myśleć o tym, jak straszny czeka go widok. Ale czy ktokolwiek prawidłowo połączy fakty? Zniknęło dziecko. Nikt jednak nie wiedział o jej, Mili, obecności w domu, choć to z jej powodu pojawiła się policjantka. Sue jej to wyszeptowała.

Istniała nadzieja, że ktoś właściwie ułoży te puzzle. Ale co potem?

Kto będzie w stanie odnaleźć to przekłete miejsce, o którym sama Mila nie miała pojęcia, gdzie się znajduje?

Z półmroku wyłonił się zarys budynku. Serce Mili zadrżało. Czyżby ludzie?

Gdy podeszli bliżej, zorientowała się, że budynek jest na wpół zrujnowany i wcale nie wygląda na zamieszkały. Nigdzie nie paliło się światło, nie było komina, z którego unosiłby się dym, obiecując ciepło i przytulne schronienie.

Olm znów się odwrócił.

– Mój dom!

Jeśli Sam podąży ich śladem, miejsce to okaże się pułapką, Mila czuła jednak, że potrzebuje chwili wytchnienia. By odzyskać siły i się zastanowić. Weszła więc za Olmem przez krzywo wiszące w zawiasach drzwi do wnętrza wychłodzonego budynku. Wyglądał na dawne pomieszczenie z kempingowymi prysznicami i toaletą. Ściany były wyłożone płytkami, choć niektóre z nich odpadły. Zajrzała do wnętrza pełnego zmurszałych kabin prysznicowych. Z większości przegród pozostały tylko fragmenty. Zardzewiałe krany, popękane, ślepe lustra, umywalki z grubym wapiennym nalotem. O stanie toalet Mila wolała nie myśleć. Ani o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli. Na zewnątrz właśnie zapadał zmrok. Wątpiła jednak, by utrudniło to Samowi pościg.

Weszli do pomieszczenia na tyłach, gdzie Olm rozbił swój obóz. Mila ledwo zdołała rozpoznać minimalistyczne wyposażenie. Kilka koców, śpiwór, na ścianie plakat z naderwanymi rogami przedstawiający zachód słońca nad morzem. Wzdłuż ścian puste butelki po alkoholu. W kącie mała kuchenka spirytusowa, a na niej brudny garnek do gotowania. Dziwne resztki jedzenia przykleiły się do stojącego obok talerza. Choć widok ten był odpychający, Mila poczuła nagle głód. Ważniejsze stało się jednak nakarmienie Ruby. Dziecko leżało w jej ramionach zupełnie zwiotczone, słabo oddychało.

Olm włączył latarkę. Mila odważyła się nieśmiało spojrzeć w stronę niewielkiego okna: czy Sam zauważy blask światła? W ciemnościach jednak nie sposób się było zająć Ruby.

Odwróciła się do Olma.

– Dziecko koniecznie potrzebuje jedzenia. W przeciwnym razie umrze. Masz coś, czym możemy je nakarmić?

Z początku wydawał się zupełnie bezradny, ale potem zniknął w sąsiednim pomieszczeniu i wrócił z otwartą puszką. Według etykiety były to klopsiki w sosie pomidorowym.

– Masz może nienapoczętą? – zapytała, ale Olm wcisnął jej puszkę do ręki.

– Bierz!

Nie było to odpowiednie jedzenie dla niemowląt, ale lepsze to niż nic.

– Możemy to podgrzać?

Przytaknął, wlał zawartość puszek do garnka, do którego brzegów kleiły się resztki niezliczonych posiłków, po czym włączył kuchenkę. Następnie usiadł na śpiworze i pociągnął spory łyk z butelki.

Mila wymieszała jedzenie palcem. Gdy było ciepłe, zwilżyła usta Ruby odrobiną sosu pomidorowego. Mała nie zareagowała. Była przezroczysta.

– No dalej – szepnęła Mila. – Proszę, zjedz coś.

W końcu Ruby zamrugła powiekami. Nie otworzyła co prawda oczu, ale poruszyła ustami. Połknęła nieco sosu. Mila omal nie krzyknęła z radości. Podsunęła jej kolejną opuszkę palca. Ruby ochoczo ją oblizała.

Olm obserwował je coraz bardziej zamglonym wzrokiem. Pił wódkę jak wodę, co mogłoby niepokoić, lecz wyraz jego twarzy świadczył o tym, że alkohol ewidentnie go usypia. Nie stanie się agresywny, ale na pewno nie będzie pomocny. Mila musiała coś wymyślić. Nie miała pojęcia, jak stąd uciec.

Ruby zjadła w sumie dwie czubate łyżki pokarmu i zasnęła wyczerpana.

– Mam nadzieję, że uda mi się ciebie uratować – mruknęła Mila.

Pytanie, co powinna uczynić. W normalnych okolicznościach najlepiej byłoby spędzić noc w tym na poły bezpiecznym schronieniu. Było potwornie zimno, ale miała ciepłe ubranie i mogła się odrobinę ogrzać przy palniku. Nazajutrz z samego rana, gdy tylko się rozjaśni, spróbuje dotrzeć do najbliższej szosy, w nadziei, że będzie tamtędy przejeżdżał jakiś samochód.

W normalnych okolicznościach...

Pomijając fakt, że nie była to zwyczajna sytuacja, wewnętrzny głos coraz natarczywiej jej podszeptował, że nie może tu siedzieć z założonymi rękami przez dwanaście czy czternaście godzin. Że właściwie nie ma chwili do stracenia. Jej puls przyspieszył, a serce biło jak oszalałe. Instynkt nakazywał jak najszybciej uciekać. Jeśli to był tylko instynkt. To mógł być też jej własny strach.

– Olm – szepnęła. – Olm!

Odstawił butelkę.

– Tak?

– Olm, nie jesteśmy tu bezpieczni. Facet, który mnie ściga... jest naprawdę groźny. On oszalał.

Olm wykonał zamaszty ruch ręką, wskazując na pomieszczenie i budynek.

– To jest mój dom!

– Tak, ale on może się tu dostać. Pewnie już wrócił i zauważył, że uciekliśmy. Wystarczy, że pójdzie po naszych śladach i tu dotrze.

Zamiast odpowiedzieć, Olm tylko wyszczerzył zęby.

Mila nie była pewna, jak go ocenić. Czasami wydawało jej się, że dokładnie rozumie jej słowa, to znów odnosiła wrażenie, że nic do niego nie dociera. Z pewnością jego mózg był po części zdegenerowany przez alkohol. Co więcej, prawdopodobnie od lat żył na tym kompletnym pustkowiu, zupełnie odizolowany od świata, nie mając nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Mila była pewna, że będąc na jego miejscu, najpóźniej po roku sama by zwariowała.

A jednak...

– Skąd masz jedzenie? – zapytała. – I butelki? Nic tu w pobliżu nie ma.

Znów się uśmiechnął, w jakiś sposób dumny z tego, że panuje nad swoim życiem.

– Ze wsi. Ludzie dają mi pieniądze. I człowiek ze sklepu także. Rzeczy, których nie sprzedaje.

– Rozumiem.

Olm zebrał w najbliższej wiosce i pewnie był tam znaną postacią, wspieraną przez kilka przychylnych mu osób.

– Jak daleko jest do wsi? – zapytała.

Zamyślił się.

– Dwie godziny. Idę tam dwie godziny. I dwie z powrotem.

Czas z pewnością tylko oszacował, gdyż nie posiadał zegarka.

– A więc to dość daleko?

Na jego chorobliwej twarzy pojawił się przebłysk jasności.

– To za daleko – odparł stanowczo. – Za daleko na dzisiejszy wieczór. Jest za zimno. Nie damy rady.

– A jutro?

– Jutro pójdziemy.

To za późno, podszeptował jej wewnętrzny głos, o wiele za późno. Jesteście w niebezpieczeństwie. Musicie uciekać, dobrze o tym wiesz.

– Olm, czy jest jakiś inny sposób, by się ukryć? Z dala od tego kempingu?

Potrząsnął głową.

– Nie. Jest tylko las. Zamarzniemy na śmierć.

– Znajdzie nas tutaj, siedzimy tu jak w pułapce.

– Zaopiekuję się tobą i dzieckiem – oświadczył Olm.

Nie zdawał sobie sprawy, jak niebezpieczny jest Sam. Jak bardzo zdeterminowany i bezwzględny.

– Olm, proszę, nie zdołasz nas ochronić. On jest uzbrojony. Ma nóż. Poderznął kobiecie gardło. Jest obłąkany.

– Jestem silny – powiedział Olm.

– On jest niebezpieczny – zapewniała Mila, czuła jednak, że Olm się wyłączył. Był u siebie w domu. Myślał, że nic mu nie grozi.

Nasłuchiwała. Żadnych odgłosów. Martwa cisza kładła się nocą za oknem, za tą rudera, w której się schronili. Czy usłyszy, kiedy nadejdzie Sam? Kroki Olma w śniegu przed przyczepą chrzęściły. Ale tam była bliżej wejścia. Teraz siedziała na tyłach budynku, oddzielona od drzwi kilkoma pomieszczeniami i korytarzami. Prawdopodobnie zauważy Sama dopiero wtedy, gdy stanie przed nią.

Podniosła się zaniepokojona. Olm natychmiast się obudził.

– Siadaj! – nakazał ostrym tonem.

– Olm, my...

– Siadaj! – powtórzył.

Znów przykucnęła na podłodze. Jej serce waliło jak oszalałe. Była jak zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo.

– On tam jest – szepnęła. – Czuję to.

– Nie ma tu nikogo – powiedział Olm.

– On tam jest. Przed domem.

Olm schylił głowę, nasłuchując.

– Nic nie słyszę.

– Czuję go. Uwierz mi. Musimy uciekać. – Spojrzała w górę na wąskie okno. – Musimy natychmiast uciekać.

– Pójdę sprawdzić – powiedział Olm i wstał.

– Uważaj. Nie idź. On ma nóż.

Ale Olm był już za drzwiami. Jego ciężkie kroki wybrzmiały na kafelkach.

Mila wstała, ściskając Ruby, cała zaczęła dygotać. Nie sądziła, że jej serce może bić jeszcze szybciej. Pot znów ją oblał, jak wcześniej, gdy brnęła przez śnieg. Miała wrażenie, że wszyscy słyszą bicie jej serca. Jakby dudniło w ciszy.

Cisza.

Wokół zapadła cisza. Nie było słychać odgłosu kroków Olma. Nic nie było słychać. Tylko szaleńcze bicie jej serca.

Dlaczego Olm nie wraca? Ile czasu minęło?

Odważyła się zrobić kilka ostrożnych kroków w kierunku drzwi.

Nasłuchiwała. Nic.

Słyszała tylko szum własnej krwi w uszach.

Nie miała odwagi zawołać Olma. Coraz mocniej wyczuwała zagrożenie. Dziwne, że tak długo nie wraca, prawda? Co robi, czyżby okrążał cały budynek?

Wstrzymała oddech. Gdyby tylko mogła cokolwiek dosłyszeć.

Kroki. Nie była pewna. Odgłosy kroków przy wejściu?

Podeszła jeszcze bliżej drzwi. Miała przed sobą ziejący mrok, blask świecącej w pomieszczeniu latarki nie docierał do korytarza. Z drugiej strony każdy, kto wszedł do budynku, z łatwością mógł określić miejsce, w którym przebywała. Zawróciła i zgasła latarkę.

Wszędzie panowała nieprzenikniona ciemność. Za oknem wyróżniał się prostokąt w kolorze antracytu, nieznacznie jaśniejszy od panującego wewnątrz budynku mroku. Drzewa były zbyt gęste, niebo zachmurzone. Nie było widać ani księżyca, ani gwiazd.

Mimo to Mila dobrze wiedziała, że nawet mrok w żaden sposób jej nie uchroni. Sam będzie chodził od jednego pomieszczenia do drugiego. Zapewne miał z sobą latarkę. To oczywiste, że zdoła ją wytropić.

Ale czy rzeczywiście znajdował się w pobliżu? A może instynkt pod wpływem paniki płatał jej figle?

– Olm – szepnęła. Nie mógł jej usłyszeć, ale nie miała odwagi zawołać głośniej.

Ponownie odniosła wrażenie, że słyszy kroki. Wstrzymała oddech, przeklinając swoje łomocące serce i huk dudniący jej w uszach.

Tak. To kroki. Przy wejściu. Ktoś się poruszał, zatrzymywał, ruszał dalej, przystawał.

Kroki Olma brzmiały inaczej. Były głośniejsze. Bardziej ociężałe. Taki niezdarą i pijak jak Olm nie potrafił poruszać się tak ostrożnie, z takim opanowaniem.

Tylko jeden człowiek mógł się zbliżyć. Kwestia kilku minut, nim znajdzie ją w tym pomieszczeniu.

Nie było czasu na przemyślenia, nie było czasu na zawahanie.

Otworzyła okno, spieszenie, ale najciszej, jak potrafiła. Przez sekundę nie poruszyło się, z przerażeniem pomyślała, że może jest zamknięte albo zupełnie zardzewiało. Potem jednak puściło, i to w niemal cudowny sposób bezgłośnie.

Wspięła się na parapet, ściskając mocno Ruby, ucieszyła się nawet, że dziecko jest zbyt osłabione, by krzyczeć. Wysokość nie była groźna. Mila skoczyła, lądując miękko w śniegu. Natychmiast zaczęła się gorączkowo rozglądać: a jeśli myliła się co do kroków? Jeśli on czekał tu na nią?

Nic jednak się nie poruszyło. Nie pojawił się żaden cień. Nie rozległ się żaden głos. Nikt nie złapał Mili za ramię.

Nie było tu nikogo.

Co się stało z Olmem?

Nie czas, by się nad tym zastanawiać.

Mila i Ruby ukryły się między drzewami.

## 10

Peter Hibbert powiedział, że przejazd z Grimsby do Wragby zajmuje około trzech kwadransów, ale wraz z zapadającym zmrokiem oblodzone drogi stały się jeszcze bardziej śliskie. Kate musiała jechać na tyle wolno, że minęła ponad godzina, zanim dotarła do niewielkiego miasteczka położonego wśród pól i lasów Lincolnshire. Przed wyjazdem bezskutecznie próbowała skontaktować się z Calebem, by go poinformować



o przebiegu wydarzeń. Gdyby się nie odezwała, według jej wytycznych miał o szóstej wysłać do portu Grimsby posiłki. Mogła mu jedynie zostawić wiadomość w poczcie głosowej.

– Cześć, Caleb, to ja. Zgodnie z obietnicą donoszę, że u mnie nadal wszystko w porządku. Proszę więc nie wysyłać jeszcze żadnego wsparcia. Znalazłam łódź Harrisa w Grimsby, ale go tam nie ma. Teraz jestem w drodze do Chambers Farm Wood, to duży, gęsto zalesiony rezerwat przyrody w Lincolnshire. Najbliższa większa miejscowość to Wragby. W lesie musi się znajdować nieczynny kemping, gdzie Harrisowie trzymali kiedyś przyczepę. Chcę ją obejrzeć. Odezwę się.

Informacje uzyskała od Petera Hibberta, którego olśniło w chwili, gdy zapytała o kemping.

– Zgadza się! Patrick mi o tym opowiadał. Czasami urządzali wakacje w przyczepie.

– Czy ta przyczepa również została własnością Sama Harrisa?

– Tego nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Wie pan, gdzie stała ta przyczepa?

Hibbert wysilił swój umysł.

– Chyba wspominał o tutejszej okolicy – powiedział w końcu. – Lincolnshire. Wychował się w Grimsby. Był przywiązany do tego terenu.

Lincolnshire było duże i pełne kempingów. Kate już porzuciła nadzieję na szybkie jej odnalezienie, gdy Hibbert nagle dodał ożywiony:

– To było w Chambers Farm Wood. Tak, jestem pewien. Tak właśnie mówił. Tam stała przyczepa. – Pokiwał głową. – Pamiętam, powiedziałem sobie wtedy, że różne bywają gusta. W życiu nie spędziłbym urlopu w tych mrocznych lasach. Interesowały go jednak tamtejsze flora i fauna. Chambers słynie z rzadkich okazów roślin i zwierząt.

– Czy ten kemping nadal istnieje?

Peter Hibbert wyszukał w komputerze Chambers Farm Wood, a następnie wygoogłował miejscowe kempingi, niczego jednak nie znalazł.

– Nie ma go w wykazie. Więc pewnie już nie działa. Cały ten teren jest obecnie dużym rezerwatem przyrody. Chyba nie wolno już tam biwakować. Kiedy Harrisowie jeździli tam na wakacje... to musiało być ze dwadzieścia lat temu!

– Ale przyczepa nadal może tam stać.

– Jeśli nie zniknęła... Powiedziałbym, że szanse są raczej niewielkie.

Jadąc przez mrok, Kate pomyślała, że szanse są po prostu znikome, ale w tej chwili nie miała innego punktu zaczepienia. Rozum podpowiadał jej, by obniżyła swoje oczekiwania, ale coś ją elektryzowało, jakieś przeczucie, intuicja. Odnalazła łódź.

Dowiedziała się o istnieniu przyczepy. Czuła, że podąża tropem Harrisa, ale nikomu by tego nie wyjawiała. Poza Calebem. On od początku poważnie traktował jej intuicję.

Prócz Kate prawie nikt tego wieczoru nie podróżował, kto tylko mógł, został w domu, by uniknąć wypadku albo złamania na śliskich drogach. Również w Wragby przywitały ją puste, ciche ulice. Na rynku stała wielka choinka ozdobiona setkami elektrycznych lampek. Światła paliły się również w oknach wszystkich okolicznych domów.

Kate zatrzymała się i wysiadła. Obok choinki zauważyła tablicę, na której zaznaczono szlaki pieszych wędrówek po okolicy. Szybko znalazła Chambers Farm Wood, zachwalany jako istny raj dla wędrowców. Kempingu nie oznaczono. Przy wejściu do lasu znajdowało się jednak skupisko budynków oraz prowadzony przez ludzi park motyli. Może tam zapyta o usytuowanie kempingu.

Wsiadła do samochodu i ruszyła dalej. W normalnych warunkach zajęłoby jej to pewnie piętnaście minut, teraz jechała ponad pół godziny. Droga prowadziła między rozległymi ogołoconymi polami, po których hulał mroźny wiatr. Jezdnia była całkowicie obludzona. Nieraz Kate o mały włos nie wylądowała w rowie. Modliła się, by nie doszło do wypadku i by ryzyko tej podróży się opłaciło.

Rzeczywiście, u wrót sporego obszaru leśnego natknęła się na skupisko domów. Tylko jeden z nich był rozświetlony, stanowił jedyny jasny punkt pośród ciemności. Dokoła ciągnęły się pokryte śniegiem, na pozór bezkresne pola. A za nimi zaśnieżony, mroczny las. Kate nie była pewna, czy nazwałaby okolicę sielską. Może latem. Może w innej sytuacji.

Zatrzymała się i zadzwoniła do drzwi oświetlonego domu. Otworzyła jej jakaś kobieta.

– Tak? – zapytała.

Kate pokazała jej legitymację.

– Sierżant śledcza Linville. Policja North Yorkshire. Mam tylko krótkie pytanie.

– Ma pani szczęście, że jestem tu dzisiaj. Zimą jest tu pusto. Co się stało?

– Szukam kempingu. Może jest już nieczynny. Ma się znajdować gdzieś w Chambers Farm Wood.

– Tak, na drugim krańcu. Stary kemping. Od dawna nie jest używany. Ale nadal stoi tam kilka przyczep, całkiem zmurszałych. Ciągle czekam, aż coś się wydarzy. Że ktoś uprzętnie ten złom. Ale chyba nikt nie poczuwa się do odpowiedzialności. – Zmierzyła Kate wzrokiem. – A może właśnie pani przyszła w tej sprawie?

A jakże, w niedzielny wieczór, przy największej od lat gołoledzi, pomyślała Kate, na głos powiedziała jednak:

– Nie bezpośrednio, ale przekażę komu trzeba. Może mi pani powiedzieć, jak się tam dostać?

– Cały czas wzdłuż tej drogi. Innej zresztą nie ma. Prowadzi w głąb lasu. Po jakimś czasie zakręca ostro na wschód. I w pewnym momencie się kończy. Daleko przed kempingiem. Potem są już tylko drogi gruntowe. Kiedyś łatwo je było pokonać samochodem, ale obecnie dość mocno zarosły. A teraz jeszcze zasypał je śnieg.

– Dobrze. Dziękuję. – Kate odwróciła się, by odejść. Do szczęścia brakowało jej tylko zaśnieżonych polnych dróg, ale dotarła już tak daleko, że nie chciała dać za wygraną. Opuszczony kemping, zniszczone przyczepy. Zaśnieżony teren leśny. Trudno o lepszą kryjówkę.

W samochodzie sprawdziła swoją komórkę. Nie mogła stwierdzić, czy Caleb odsłuchiwał pocztę głosową, w każdym razie nie odpisał. Stłumiła uczucie niepokoju: na Calebie zawsze można było polegać.

Droga biegła dokładnie tak, jak opisała ją kobieta: długi prosty odcinek, potem ostry zakręt w lewo i znów na wprost. Po prawej i lewej rosły wysokie drzewa, pokryte grubą warstwą śniegu. Droga nie była odśnieżona, ale widniały na niej ślady kół, z których Kate mogła skorzystać. Jej serce przyspieszyło. Kto tędy przejeżdżał? Jako że do południa prószył jeszcze śnieg, musiał jechać całkiem niedawno. Być może to leśnik dokarmiający zwierzyńce. Albo sprawdzający powalone pod ciężarem śniegu drzewa. Czy leśnicy pracowali w niedzielę? Tego nie wiedziała. Oczywiście mógł to być również jakiś wycieczkowicz. W każdym razie pozostawione przezeń koleiny ułatwiały Kate jazdę. Jakby ślizgała się w jakimś tunelu... coraz głębiej i głębiej. Coraz dalej od ludzi.

W końcu utwardzona szosa się skończyła i zamieniła w wąską polną drogę. Warunki się nie zmieniły, niemniej drzewa rosły tu tak blisko siebie, że od tego miejsca prowadziły wyłącznie ścieżki – nic więcej.

Kate się zatrzymała. Jak dotąd opony mimo pokrywy śnieżnej miały solidną przyczepność. Teraz brakowało utwardzonej nawierzchni. Do tej pory miała sporo szczęścia, teraz jednak istniało poważne ryzyko, że ugrzęźnie. Widziała, że ów drugi kierowca najwyraźniej nie miał z tym problemów, gdyż jego ślady ciągnęły się wzdłuż wąskiej ścieżki i niknęły w ciemności. Pewnie jechał terenówką. Może nie miał powodów do obaw. Z pewnością lepiej znał okolicę.

Zerknęła na ekran telefonu i spostrzegła, że na wyświetlaczu widnieje ostatni nikły pasek, co oznaczało, że traciła zasięg. Ponownie zadzwoniła do Caleba, znów zgłosiła się poczta głosowa.

– Witaj, Caleb. Mam nadzieję, że regularnie odsłuchujesz wiadomości. Jestem teraz w samym środku lasu. – Opisała drogę, która doprowadziła ją do tego miejsca. – Dalej

pójdę pieszo. Przy takiej masie śniegu mój samochód nie poradzi sobie na tej drodze. Ktoś tędy jednak przejeżdżał, jest gdzieś przede mną. Może być nieszkodliwy, ale wcale nie musi. Dochodzi pół do ósmej. O pół do dziewiątej wyślij, proszę, wsparcie, albo niech zrobi to Helen. Jeśli nie odezwę się do pół do dziewiątej, będę potrzebować pomocy.

Oznaczało to jednak, że za godzinę musi wrócić do samochodu, zakładała bowiem, że po kilku krokach w głąb lasu całkiem straci i tak słaby już zasięg.

Na nieszczęście nie miała rękawiczek, ale nic nie mogła na to poradzić. Schowała telefon do kieszeni płaszcza, prawą dłońią sięgnęła po latarkę. Mogła przekładać ją z ręki do ręki i jedną z nich stale trzymać w ciepłej kieszeni. Naciągnęła na głowę kaptur płaszcza, szalik owinęła wysoko pod brodą. Prawa nogawka spodni kleiła jej się do kolana. Dokuczała jej rana. Na szczęście Kate miała na nogach ocieplane, nieprzemakalne buty.

Ruszyła przed siebie. W mrok nocy.

Raz czy dwa dotarła do rozwidlenia drogi, za każdym razem wybierając kierunek wyznaczony przez ślady opon. Mogła się mylić, ale musiałyby decydować, rzucając monetą, co z pewnością wzbudziłoby jeszcze większe wątpliwości. Przez większość czasu snop światła latarki kierowała na ziemię, czasem tylko omiatając nim okolicę. Nie wolno jej było zdradzać swojej obecności. Jeśli to Sam Harris był człowiekiem w samochodzie, gdyby więził tu Milę Henderson i małą Ruby, pewnie nie zawahałby się zaatakować ewentualnych intruzów. Widziała, co zrobił Sue Raymond i Jamesowi Hendersonowi. Widziała zwłoki Diane i słyszała, jak został okaleczony Logan Awbrey. Jeśli to Harris jest mordercą, jest okrutny i pozbawiony wszelkich skrupułów. Gotów zabić nawet policjantkę, i to bez mrugnięcia powieką.

Pomyślała, że będzie tak brnąć i brnąć, że te lasy nigdy się nie skończą, a ona nigdy nie dotrze do opuszczonego kempingu, gdy nagle w blasku latarki, którą akurat ponownie skierowała przed siebie, dostrzegła przyczepę. Była mocno przechylona w jedną stronę, jakby brakowało jednej pary kół. Podchodząc bliżej, Kate zauważyła, że w oknach brakuje szyb. Tak naprawdę była to kompletna rudera: pusta, zdezelowana, nieużywana od wieków.

Czyżby przyczepa Harrisa? Takich porzuconych przyczep było tu z pewnością wiele, mało prawdopodobne, by od razu natknęła się na tę właściwą. Wydawało się jednak, że dotarła do kempingu, a przynajmniej na jego obrzeża. Należało teraz zachować szczególną ostrożność.

Sprawdziła komórkę, ale tak jak się tego spodziewała, brakowało zasięgu. Nie miała żadnych szans na szybkie wezwanie pomocy. Była zdana wyłącznie na siebie. I całą nadzieję musiała pokładać w Calebie.

Kate podkradła się bliżej przyczepy. Wyłączyła latarkę. Bijący od śniegu blask sprawił, że noc nie była kompletnie czarna, i to mimo wysokich, gęsto rosnących drzew. Kate usiłowała odzyskać orientację. Dotarła do przyczepy, zerknęła przez pustą ramę okienną. Nie spodziewała się zastać w środku kogokolwiek, bo przy tej temperaturze nie sposób byłoby tu przetrwać. Rzeczywiście, wewnątrz wydawało się puste. Rozpoznała niewyraźne kontury rozpadających się mebli oraz nieokreślone odpadki zalegające na podłodze.

Nie było tu nikogo.

Właśnie się odwracała, gdy usłyszała szelest. Tak cichy, iż pomyślała, że jej się zdawało. Brzmiał jak miauczenie kota.

Zamarła i zaczęła nasłuchiwać.

Usłyszała go ponownie.

Kot? Tutaj?

Dźwięk nie dochodził z samej przyczepy, ale z jej pobliża. Kate chciała włączyć latarkę, ale było to zbyt ryzykowne. Ostrożnie zrobiła kilka kroków w kierunku, z którego dobiegły ciche dźwięki. Rozległ się jedynie krótki krzyk puszczyka. Potem znów zapadła grobowa cisza.

Parła dalej przed siebie, stwierdziła, że śnieg zdecydowanie zbyt głośno chrzęści pod jej stopami. Wcześniej tego nie zauważyła, ale szła wtedy ścieżką i po śladach opon samochodowych. Teraz brnęła przez gąszcz, śnieg był twardy, chrzęścił przy każdym kroku. Ktokolwiek tam się czał, człowiek czy zwierzę, musiał usłyszeć, że ktoś się zbliża. Mogła mieć tylko nadzieję, że to nie Sam Harris czyha na nią w środku nocy.

Nagle coś wyłoniło się przed nią z ciemności, coś dużego i bezkształtnego. Kolejna przyczepa? Obiekt wydawał się jednak zbyt mały. Podchodząc bliżej, rozpoznała paśnik dla leśnych zwierząt, zadaszony żłób wypełniony sianem.

Czyżby jednak podążała za leśniczym?

Obok paśnika, częściowo pod nim, coś się poruszyło. Zwierzę? Uciekłoby na jej widok.

Gdyby to był Harris, już by ją zaatakował.

– Kto tam? – szepnęła.

Znowu jakiś ruch. I wtedy podniosła się kucająca tam postać.

– Halo? – powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Kate wciąż opierała się pokusie, by włączyć latarkę.

– Policja – powiedziała. – Sierżant śledcza Linville. Policja North Yorkshire.

Po jej słowach dał się słyszeć krótki szloch.

– Dzięki Bogu. Dzięki Bogu! – To był z pewnością głos kobiety.

– Mila Henderson? – zapytała Kate.

– Tak. To ja. O Boże, jak dobrze... Mam Ruby. Dziecko.

Kate rozpoznała bezkształtne zawiniątko, które Mila trzymała na rękach.

– Czy ona żyje?

– Ledwo. Ale przed chwilą cicho płakała.

To dźwięk, który usłyszała Kate. Gdyby nie on, poszłaby dalej.

– Gdzie pozostali? – zapytała Mila, zerkając obok Kate, jakby spodziewała się ujrzeć policyjne radiowozy, funkcjonariuszy i psy.

– Jestem sama – szepnęła Kate – ale nie martw się. Wyciągnę nas stąd.

– Sama? – zapytała nerwowo Mila. – Nie ma nikogo oprócz pani?

– Moi koledzy wiedzą, gdzie jestem – uspokajała Kate, choć nie było to prawdą. Wszystko zależało od Caleba, w razie gdyby im się nie udało. – Czy Samuel Harris tu panią zaciągnął?

– Tak. Zabił Sue, moją przyjaciółkę. Kompletnie zwariował. Jest niebezpieczny.

Widocznie nie wiedziała jeszcze o śmierci swojego dziadka Jamesa. Ani o innych.

– Myślę, że zabił Patricię – szepnęła Mila – kobietę, dla której pracowałam. Czytałam, że ona nie żyje. Chciał mnie dorwać. To dlatego przyszedł do jej domu. Pewnie go zaskoczyła.

– Zna go pani ze szkoły?

– Tak. Miał na moim punkcie obsesję. Nie chciał zostawić mnie w spokoju. Dlatego wyprowadziłyśmy się z matką. – Przełknęła. Kate dostrzegła w ciemności jej ogromne i rozgorączkowane oczy. – Był zupełnie obłąkany. Już wtedy.

– Okej. Mila, wynosimy się stąd. Czy domyśla się pani, gdzie jest teraz Sam?

– Nie wiem. Ostatnio był przy zrujnowanym budynku, w którym są toalety i prysznice. Zabrał nas tam jakiś włóczęga. Uwolnił nas z przyczepy.

– Włóczęga mieszkający w tej okolicy?

– Tak.

– Gdzie on teraz jest? – Kate wiedziała, że czas nagli, ale musiała spróbować zorientować się w sytuacji. Najwyraźniej w pobliżu przebywało obecnie dwóch mężczyzn. Jeden z nich był niebezpieczny. Drugi mógł stać się groźny, gdyby spotkały go w nieodpowiednim momencie.

– Myślę, że nie żyje – szepnęła Mila.

– Ale nie ma pani pewności?

– Byliśmy w tym budynku z prysznicami. Poszedł sprawdzić, czy Sam idzie za nami. Nie wrócił. Zamiast tego usłyszałam kroki. Nie były to kroki włóczęgi. Wtedy wyskoczyłam z Ruby przez okno na tyłach.

To rzeczywiście nie wyglądało dobrze. Kate się zamyśliła. Jeśli Mila miała słuszość, Harris deptał jej po piętach, ale najwyraźniej zgubił trop. W przeciwnym razie już dawno by zaatakował. Pytanie, co teraz planuje. Krótco rozważała, czy nie powinna odnaleźć jego samochodu, który musiał gdzieś tu zaparkować, i spróbować nim uciec, ale pomysł ten niósł z sobą zbyt duże ryzyko. Po pierwsze, auto prawdopodobnie było zamknięte. A po drugie, zapewne zagrzebałyby się w głębokim śniegu. Przy wtórce ryku silnika. Utknęłyby w miejscu, a on dokładnie by wiedział, gdzie się znajdują.

Nie pozostało im nic innego, jak tylko wrócić do samochodu Kate.

Zadrzała na myśl, jak daleka czeka je droga. I ile Harris będzie miał okazji, żeby je wytropić. Nie mogły zboczyć za daleko ze ścieżki, niebezpieczeństwo pobłądzenia wśród drzew w tę mroźną noc było zbyt duże.

– Nie może pani zadzwonić po pomoc? – zapytała Mila. Szczękała lekko zębami. Od jakiegoś już czasu czatowała za paśnikiem. Zaczynała wykazywać oznaki hipotermii.

– Nie mam tu zasięgu. Dopiero kiedy wrócimy do mojego samochodu. Musimy tam dotrzeć. To kawałek drogi. Da pani radę?

Pytanie było retoryczne. Jakby Mila miała jakiś wybór.

– On tam będzie – jęknęła cicho – będzie tam na nas czekał.

– Nie ma pojęcia, że tu jestem. Pewnie przeszukuje przyczepy. Proszę się nie martwić.

– Jest przebiegły. I bezwzględny. No i ma nóż.

– Damy radę. – Kate zerknęła na świecąca tarczę zegarka. – W drodze są już inni funkcjonariusze. Więc bez obaw, zanim dotrzemy do samochodu, wsparcie pewnie już tam będzie.

Mila bezwzględnie musiała zachować zimną krew. Kate wbrew pozorom wcale nie była pewna siebie. Dochodził kwadrans po ósmej, za piętnaście minut Caleb podniesie alarm. Miał dość dokładne informacje o miejscu jej pobytu. Kate czuła się jednak coraz bardziej niepewnie. Zostawiła mu dwie wiadomości głosowe, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Żadnego potwierdzenia ani przez telefon, ani SMS-em. Caleb prawdopodobnie stał w pubie za barem i nie słyszał swojej komórki.

Rozmawiała z nim jednak w porze lunchu. Wiedział, że wybiera się do Grimsby. Nawet ją upominał, by zachowała ostrożność. Nie odłożyłby gdzieś telefonu i nie przestał się nim przejmować. To do niego niepodobne.

Mila wydawała się nieco spokojniejsza. Oddychała bardziej równomiernie.

– A więc – szepnęła Kate – spróbujemy teraz dotrzeć do mojego samochodu. Stoi na końcu utwardzonej drogi, stamtąd uciekniemy bez problemu, mimo śniegu.

To również była uspokajająca przesada. Przy takich opadach nic nie będzie łatwe. Zwłaszcza manewr zawracania na wąskiej drodze.

– Dotarłam tu leśną ścieżką, ale powinnyśmy jej unikać. Musimy tylko trzymać się blisko niej, żeby się nie zgubić. Proszę iść tuż za mną, dobrze? Czy poniesie pani dziecko? Będę miała obie ręce wolne, żeby odchyłać gałęzie i konary.

– Tak, dam radę. – Mila wyglądała na wycieńczoną, ale zdeterminowaną. – Czy ma pani broń?

– Nie.

Mila nie odpowiedziała, tylko mocno zacisnęła wargi.

Droga powrotna okazała się jeszcze trudniejsza, niż Kate się obawiała. Udało jej się co prawda utrzymać kierunek, ale walka z poszyciem i zaroślami oraz brodzenie po kolana w śniegu były wyczerpujące i czasochłonne. A do tego zdecydowanie zbyt głośne. Trzaskały gałęzie, szeleściły krzaki. W leśnej głuszy wywoływało to hałas, który w uszach Kate grzmiał niczym grom. Sam Harris musiał je usłyszeć, ale być może nie zdoła ich tak łatwo zlokalizować. Wszystko zależało od tego, czy dotrą do samochodu, zanim on je doścignie.

Marsz trwał dwa razy dłużej, niż Kate zakładała, przynajmniej tak jej się wydawało. Przez cały czas powstrzymywała się od włączenia latarki, na szczęście jej wzrok zdążył już przywyknąć do ciemności, którą słabo rozświetlała biel śniegu. Znalazła ścieżkę. Biegła równoległe do drogi gruntowej. Odginała gałęzie, konary, krzewy, aby Mila mogła przejść bez przeszkód z dzieckiem na rękach. Ruby była spokojna. Obie kobiety wiedziały jednak, że to bardzo zły znak.

Po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, Kate zobaczyła w oddali swój samochód. Przystanęła.

– Widzę moje auto – szepnęła, odwracając się do Mili.

Ta natychmiast rozejrzała się gorączkowo.

– Gdzie są pozostali policjanci?

Kate też chciałaby to wiedzieć. Do tego czasu z Wragby powinno już wyruszyć co najmniej kilku funkcjonariuszy – jeśli Caleb otrzymał wszystkie informacje. Ale jak okiem sięgnąć nikogo nie było widać.

– Może mam już zasięg – powiedziała Kate. – Mogłabym zadzwonić.

Jej telefon wciąż jednak pozostawał głuchy.

– Zasięg powinien się pojawić lada chwila. Wcześniej łapałam go przy aucie.

– Chciałabym wsiąść już do samochodu i wreszcie odjechać – mruknęła Mila. Ruby zwiśla jej z ramion jak wiotka szmaciana lalka. Kate miała nadzieję, że wciąż żyje.

– Musimy zachować ostrożność – szepnęła. – On może gdzieś tu się czaić.

Mila spojrzała na nią przerażona.



– Tutaj?

W rzeczywistości nic na to nie wskazywało, ale Kate miała złe przeczucia – a w trakcie swojej wieloletniej służby nauczyła się, że przeczuciom zdecydowanie powinna ufać. Jak dotąd szło im zbyt gładko. Chociaż nie poruszały się bezgłośnie, wręcz przeciwnie. Sam był jak drapieżnik, który uznał, że zdołał już osaczyć swoją ofiarę i za nic w świecie nie pozwoliłby jej sobie odebrać. Również jemu przyszło zapewne na myśl, że Mila mogłaby jakimś sposobem dotrzeć do drogi i znaleźć tym samym wyjście z lasu. I musiał słyszeć odgłosy. Trudno sobie wyobrazić, żeby było inaczej. Przedzierały się przez leśne poszycie i narobiły hałasu. A jednak nic nie świadczyło o tym, że za nimi podąża. Mało prawdopodobne, by nie zdołał ich doścignąć. Były we dwie, torowały sobie drogę przez gąszcz, a do tego Mila, wyczerpana, niosła jeszcze dziecko.

Powinien być szybszy. Miał po swojej stronie wszystkie atuty.

Gdzie on jest?

– Podejmiemy do samochodu, zataczając łuk – szepnęła do Mili. – Jeśli gdzieś tu się czai, powinien nas zauważyć jak najpóźniej. Musimy błyskawicznie wsiąść i zablokować drzwi.

– Myśli pani, że on tu jest? – zapytała nerwowo Mila.

– Nie sądzę – odpowiedziała Kate. Mila nie mogła teraz stracić nad sobą panowania. – Ale musimy być ostrożne.

Zamiast wyjść na drogę, trzymały się gęstwiny i powoli parły do przodu. Kate poruszała się jeszcze ostrożniej niż dotąd, by nie narobić hałasu.

Może niepotrzebnie wariuję, pomyślała, może szuka nas na drugim krańcu lasu.

Zrównały się już niemal z samochodem. Stał do nich bokiem. Nic się wokół nich nie poruszyło. A jednak włosy na karku Kate stanęły dęba. Samochód...

– Czy nie możemy szybko wsiąść do środka? – szepnęła Mila.

Maska. Trudno było to ocenić w ciemności, ale pod maską widniała bardzo wąska szczelina.

Kate nie przypominała sobie, żeby ją otwierała. Można to było zrobić tylko z wnętrza pojazdu. Ktoś dostał się do środka i otworzył maskę. Ktoś majstrował przy silniku. Prawdopodobnie zadbał o to, by samochód nie zapalił.

Ktoś pewnie nadal jest w aucie.

Ktoś czeka, aż wsiądą.

Niech to szlag, pomyślała.

Odwróciła się do Mili.

– On tam jest – mruknęła, niemal bezgłośnie poruszając ustami. – Siedzi w samochodzie.

Mila zamarła. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

– Jeszcze nas nie zauważył. Musimy wejść w głąb lasu.

– Nie dam już rady.

– Ależ tak. Da pani radę. – Kate spojrzała na nią natarczywie. – Wyciągnę nas stąd.

Obiecuję.

Mila zaczęła dygotać.

– Nie mogę. Nie mogę.

– Może pani. Musimy się stąd wydostać. Proszę, Mila. Niech się pani nie poddaje.

Mila drżała coraz mocniej.

Boże drogi, nie pozwól jej się teraz załamać, pomyślała Kate.

W tym momencie zadzwonił jej telefon. Rozdarł nocną ciszę. Ponownie znalazły się w strefie zasięgu. Kate wyszarpnęła aparat z kieszeni, ujrzała na wyświetlaczu nazwisko „Burt Gilligan” – nazwisko mężczyzny, który z wściekłości nie chciał z nią rozmawiać, ale najwyraźniej zmienił zdanie. W najgorszym możliwym momencie. Przerwała połączenie, wyłączyła komórkę, ale było już za późno.

Samuel Harris wysiadł z samochodu i ruszył w ich stronę.

## 11

Wieczorem Pamela postanowiła opuścić szpital. Przyjęto ją na obserwację, ponieważ stwierdzono u niej poważny wstrząs mózgu i w najbliższy poniedziałek zamierzano poddać ją dalszym badaniom, aby wykluczyć ewentualne powikłania. Pamela uznała to za zbyteczne. Trwały gorączkowe poszukiwania porwanego dziecka, którego matka została zadźgana nożem we własnym salonie, a ona leżała w łóżku, czekając na badania, które ostatecznie nic nie wykażą. Mieli do czynienia z obłąkanym mordercą. Pamela nadal uważała, że jest nim Mila Henderson, ale właśnie to należało wyjaśnić, a przede wszystkim odnaleźć małą Ruby Raymond. W ciągu ostatniej godziny kilkakrotnie próbowała z leżącego obok szpitalnego łóżka telefonu dodzwonić się do Kate, ale za każdym razem zgłaszała się poczta głosowa. Co tam się działo? Kate zamierzała odwiedzić Samuela Harrisa. Mało prawdopodobne, by potem wyjechała na weekend i wyłączyła komórkę.

Zadzwoniła do Helen Bennett, która przekazała jej przynajmniej jedną nową informację.

– Ustaliliśmy, że ojciec Samuela Harrisa zmarł pięć lat temu – relacjonowała. – A zatem nie były prawdą twierdzenia Harrisa, jakoby go odwiedzał. Także tym razem.

Nikt nie wie, gdzie się podziewa.

– Czy sierżantka Linville zastała go w mieszkaniu?

– Nie wiem – odpowiedziała z wahaniem Helen. – Kiedy zadzwoniła po raz ostatni, czekała przed jego domem. Najwyraźniej go nie zastała. Czy później się pojawił? Nie mam pojęcia. Kate więcej nie dzwoniła.

– Hm. – Zdaniem Pameli nie wyglądało to dobrze. Harris był dawnym kolegą klasowym Mili Henderson. Skłamał, twierdząc, że jego ojciec przebywa w domu opieki w Londynie. Kate Linville pojechała do niego i od kilku godzin się nie odzywała. Pamela zastanawiała się, czy może jest równie bezmyślna jak ona: czyżby narażała się na niebezpieczeństwo, nikogo o tym nie powiadomiwszy? Po tym wszystkim, co się wydarzyło, trudno było to sobie wyobrazić.

W tych okolicznościach nie mogła tu dłużej zostać.

Wstała i się ubrała. Nadal bolała ją głowa, ale już nie tak nieznośnie jak dotąd. Podano jej skuteczne środki przeciwbólowe. Miała nadzieję, że przez jakiś czas utrzymają swoje działanie.

Pielęgniarka, którą spotkała na korytarzu, zaprotestowała, ale Pamela rozviała jej obawy.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Już prawie w ogóle nie odczuwam bólu.

– Jutro koniecznie musi pani zrobić tomografię komputerową. Z głową nie ma żartów. Naprawdę nie mogę pozwolić pani wyjść.

Pamela ruszyła przed siebie, nie przejmując się tym, że pielęgniarka gniewnie za nią krzyczała.

Zamówiła taksówkę i kazała się zawieźć do komisariatu. Posterunkowy pełniący służbę przy wejściu aż się wzdrygnął, gdy weszła, głośno otrzepując buty.

– Pani inspektor...?

– Mam problem. Potrzebuję telefonu komórkowego i samochodu. Mogę od pana pożyczyć?

Mężczyzna nie wyglądał na zachwyconego.

– Cóż, ja...

– Zwrócę możliwie jak najszybciej. Nie interesuje mnie zawartość pana telefonu, muszę tylko po drodze zadzwonić.

Posterunkowy westchnął. Był bardzo młody, właśnie rozpoczął pracę w Scarborough, a Pamela była w randze, o której na razie mógł tylko pomarzyć. W zasadzie nie miał wyboru.

Podał jej kluczyki.

– Mini stoi na tyłach podwórka. A oto mój smartfon. Kod blokady to moja data urodzenia.

– Kiedy ma pan urodziny?

Wydawał się zrezygnowany.

– Dwudziestego piątego października dziewięćdziesiąt pięć.

– Zapamiętam. Dziękuję. Jestem panu winna przysługę! – Wybiegła na parking i od razu zauważyła rovera mini. Prowadzenie samochodu ze wstrząśnieniem mózgu i niewyjaśnionymi ewentualnymi dalszymi uszkodzeniami chyba nie było dobrym pomysłem, ale w ogóle na to nie zważała.

Musiała porozmawiać z Kate.

Pojechała do jej domu, lecz panowały tam cisza i mrok. Pamela kilkakrotnie dzwoniła do drzwi, ale nikt nie otworzył. Na podjeździe nie było też samochodu.

Gdzie ona się, do cholery, podziewa? W obecnej napiętej sytuacji raczej nie wykorzystałaby niedzieli, by pojechać w odwiedziny do krewnych albo na wycieczkę.

W końcu wsiadła z powrotem do auta i ruszyła do Sama Harrisa. Zadzwoiła do drzwi. Na próżno.

– Czy nikt nie siedzi już w domu?! – krzyknęła ze złością.

Zadzwoiła do drzwi sąsiadów, w końcu dopisało jej szczęście. Przez domofon rozległ się kobiecy głos.

– Tak? – Nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie.

– Inspektor śledcza Graybourne. Policja North Yorkshire. Muszę z panią porozmawiać.

Zamek zabrzączał, Pamela weszła do środka. Na górze przywitała ją młoda kobieta o ponurym spojrzeniu.

– Co jest? Właśnie oglądamy film.

Pamela wyciągnęła legitymację.

– Chodzi o jednego z mieszkańców tego domu. Samuela Harrisa.

– Czy pani także zostawiła u niego portfel? – zapytała kobieta z szyderstwem w głosie.

– Portfel? – zdziwiła się zdezorientowana Pamela.

– Dzisiaj była tu już taka jedna. U Sama. Powiedziała, że jest jego pacjentką. Zostawiła u niego portfel. A wczoraj nawet go tu nie było. Nie widziałam go od kilku dni.

– Ta kobieta... nie była przypadkiem z policji?

– Nie. Ale szczerze mówiąc, myśleliśmy, żeby zadzwonić na policję. To było trochę dziwne. Wpuściłam ją do mieszkania, bo mam klucz... A potem drzwi się za nią zamknęły i długo nie wychodziła. Mój przyjaciel krzyknął, że wezwiemy gliny, jeśli zaraz nie wyjdzie. I wtedy się pojawiła. Z portfelem. I czym prędzej czmychnęła. Mój przyjaciel uznał, że coś jest nie tak.

– Na to wygląda – przyznała Pamela. Mogłaby iść o zakład, że zapominalską pacjentką była Kate, która w ten sposób dostała się do mieszkania. Bez pozwolenia grzebała w rzeczach Harrisa. I natrafiła na coś, co teraz sprawdzała. Nie zgłosiła tego nikomu, bo złamała wszelkie zasady. Jeśliby trop okazał się nieistotny, mogła ten fakt przemilczeć.

– Do mieszkania pewnie mnie pani nie wpuści? – zapytała Pamela.

Młoda kobieta energicznie potrząsnęła głową.

– Tylko z nakazem przeszukania. Drugi raz taka głupia nie będę.

Uzyskanie nakazu przeszukania mieszkania Harrisa, i to szybko, dziś wieczorem, było praktycznie niemożliwe. Pamela zaklęła w duchu, wróciła na dół i wsiadła do samochodu. Numer sierżant Bennett był zapisany w aparacie młodego posterunkowego. Zadzwoiła do niej.

– Sierżantko, Kate Linville dostała się do mieszkania Harrisa. W niekonwencjonalny sposób... Dlatego nikt z nas o tym nie wiedział. Ale zakładam, że coś jednak znalazła, i dlatego od wielu godzin nie ma z nią kontaktu. Na pewno nic pani nie wie?

– Absolutnie. – Helen wydawała się przygnębiona. – Martwię się o nią.

– Ja też. Poszukiwania Mili Henderson i Ruby Raymond nic nie dały?

– Nic. Zniknęły bez śladu.

– Proszę ustalić numery rejestracyjne samochodu Harrisa. Wystawimy list gończy. Możliwe, że tkwi w tym głębiej, niż się nam wydaje.

– W porządku. Co robimy w sprawie sierżantki Linville?

Pamela się zamyśliła.

– Nie wyobrażam sobie, by bez żadnego zabezpieczenia podjęła jakąś ryzykowną akcję. Po tym wszystkim, co mi się właśnie przytrafiło. Musiała gdzieś zostawić jakąś wiadomość.

– Na pewno nie u żadnego z kolegów – odparła Helen. – Jeśli... postąpiła nie do końca właściwie.

– „Nie do końca właściwie” to delikatne sformułowanie – stwierdziła Pamela. – Jej postępowanie może skończyć się ostrzeżeniem.

– Jediną osobą, którą potrafię sobie jeszcze wyobrazić... – powiedziała ostrożnie Helen.

– Tak?

– Jest Caleb Hale. Są bliskimi przyjaciółmi. To kolega po fachu.

– Hale? Od pół roku nie pełni służby. Nie powinna mu nic mówić!

– To tylko sugestia – odparła nieśmiało Helen.

Pamela zastanawiała się przez chwilę.

– Ma pani jego adres?

– Niedawno się przeprowadził. Ale proszę poczekać. Gdzieś go mam.

Pamela usłyszała szelest przewracanych kartek.

– Queen’s Parade. To przy Zatoce Północnej – powiedziała po chwili Helen.

– Wiem, gdzie to jest. Ma pani numer?

Helen podyktowała numer domu. Pamela uruchomiła silnik i odjechała.

Budynek wydawał się opustoszały. Światło paliło się w mieszkaniach na parterze oraz na drugim piętrze, poza tym wszędzie panował mrok. Nie był to jednak mrok, który zapada, kiedy nikogo nie ma albo ludzie śpią – był to mrok niezamieszkania. W blasku ulicznych latarni Pamela dostrzegła w oknach pustkę. Żadnych mebli, żadnych zasłon. Odklejająca się tapeta. Nie mieszkał tu nikt, kogo stać było na lepsze lokum.

Drzwi wejściowe z łatwością dało się otworzyć. Pamela weszła na wielkopańską niegdyś klatkę schodową.

Najpierw spróbowała zadzwonić do mieszkania na parterze. Drzwi otworzyła starsza kobieta, która nawet za trzecim razem nie zrozumiała pospiesznie wymamrotanych przeprosin i wciąż wołała za nią *Ze co proszę?*, kiedy Pamela była już na kolejnym półpiętrze.

Miejmy nadzieję, że Hale jest w następnym mieszkaniu, pomyślała Pamela, i że coś wie.

Kiedy zadzwoniła do drzwi, przez dłuższą chwilę nic się nie poruszyło. To musiało być mieszkanie z rozświetlonymi oknami, gdyż Pamela dostrzegła poświatę w szparze pod drzwiami. Zadzwoniła po raz drugi, trzeci, czwarty. Zapukała.

Zaczęła walić pięścią.

No otwórz wreszcie, pomyślała zrozpaczona. Tu chodzi o Kate.

W końcu usłyszała szuranie kroków.

To nie może być Hale, pomyślała, tylko staruszek tak człapie.

Poznała go przed laty na tygodniowym szkoleniu w Brighton. Wiedziała, że jest zdolnym policjantem, ale nawet uczestnicy seminarium, którzy zjechali się ze wszystkich zakątków Wielkiej Brytanii, znali jego problemy z alkoholem.

– Mógłby być geniuszem – powiedział nadinspektor z Edynburga – ale pewnego dnia potknie się o własne uzależnienie. I o te swoje miłostki. O ten cały dziwny styl życia. Jego żona już od niego odeszła.

Oczywiście w grę wchodziła również zazdrość. Właśnie dlatego, że Caleb Hale faktycznie był dobrym śledczym. Bo był taki przystojny. Bo kobiety tak do niego lgnęły. Mężczyźni nie lubili Caleba Hale’a. Z uporem przypominali o jego alkoholizmie. Pamela wiedziała, że był wśród nich człowiek, który ostatecznie doprowadził do jego zawodowego upadku, jego najbliższy współpracownik sierżant Robert Stewart. Zginął latem, zastrzelony przez psychopatę. Wcześniej postarał się

o zawieszenie Hale'a w obowiązkach. Pamela nie miała wątpliwości, że w przeciwnym razie Hale nie подаłby się do dymisji i nie porzuciłby na dobre swojej profesji. Zdrada sierżanta Stewarta stała się dlań początkiem końca.

Drzwi się otworzyły. Stał przed nią Hale.

Prawie go nie poznała. Wyglądał fatalnie.

Miał na sobie bokserki i T-shirt, które wyglądały na poplamione i brudne. Jego włosy były zmierzwione i sterczały we wszystkie strony. Najwyraźniej dopiero co wygramolił się z łóżka. Tak silnie cuchnął alkoholem, że Pamela mimowolnie się wzdrygnęła. Spojrzał na nią przymglonym wzrokiem.

– Tak? – wymamrotał niewyraźnie.

Pamela założyła, że nie pamięta jej z tamtego seminarium, przynajmniej nie w obecnym stanie. Wyciągnęła legitymację.

– Inspektor Pamela Graybourne. Wydział śledczy w Scarborough.

Był pijany, ale przytomny.

– Wiem.

– Mogę wejść?

– Proszę. Dopiero niedawno się tu wprowadziłem. Panuje tu... totalny chaos...

Pamela przecisnęła się przez zastawiony pudłami przedpokój i znalazła się w salonie, którego całą przestrzeń wypełniał stół jadalny. Na blacie leżały książki, segregatory, papiery, ale także naczynia kuchenne, ręczniki kąpielowe, strój do biegania, albumy ze zdjęciami oraz skrzynka z narzędziami. Pomiedzy nimi stały butelki i szklanki. Pamela nie miała złudzeń co do ich pierwotnej zawartości. Woń wypełniała całe mieszkanie.

Caleb wszedł za nią i oparł się o drzwi. Pamela domyśliła się, że potrzebuje jakiejś podpory, by utrzymać równowagę.

– Dopiero niedawno...

– Tak, już pan mówił. – Pamela zastanawiała się, gdzie właściwie zamierza umieścić wszystkie te rzeczy. Nie było tam nic oprócz ogromnego stołu. Zajrzała do kuchni. Kilka szafek ściennych. Pewnie już wypełnionych po brzegi. – Taka przeprowadzka potrafi dać się we znaki.

Stopniowo przytomniał.

– Przepraszam. Nie pomyślałem... nie sądziłem... nie wiedziałem... że będę miał gości. – Jak na stopień zamroczenia alkoholowego, artykułował nie najgorzej.

Lata treningu, pomyślała Pamela. Wiedziała, jak dobrze pracował na służbie – mimo okoliczności.

– Panie Hale, szukam sierżantki Linville. To bardzo ważne.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Tu jej nie ma.  
– Wiem. Mogła popaść w tarapaty, może jej grozić niebezpieczeństwo. Ma to związek ze sprawą, nad którą pracujemy.  
– Niebezpieczeństwo?  
– Prawdopodobnie podąża tropem pewnego mężczyzny... Niestety, nie znam szczegółów. Jeszcze godzinę temu byłam w szpitalu. Wstrząs mózgu.  
– Przykro mi to słyszeć.  
– W każdym razie wiem, że Linville była w jego mieszkaniu. Bez pozwolenia. Zakradła się do środka.

– Cała Kate.  
– Być może natrafiła na coś, co ją skłoniło do odszukania go na własną rękę. Nikomu o tym nie powiedziała, zapewne ze względu na sposób, w jaki zdobyła te informacje. A teraz nie mamy z nią kontaktu.

Spojrzenie Caleba nagle się rozjaśniło. Był przerażony.

– Niech to szlag! O kurwa! Ja...  
– Skontaktowała się z panem?  
– Tak. Z... gdzie to, kurwa, było? Nieważne. Powinienem był wysłać funkcjonariuszy do... Miałem ich gdzieś wysłać... – Widać było, jak rozpaczliwie usiłuje skupić uwagę. Zebrać strzępy informacji, które wirowały w jego zamglonym umyśle. – Boże. Dzwoniła. Tak.

– Kiedy to było?  
– Nie wiem. Byłem zaspany... – Nawet nie próbował tłumaczyć, że pewnie nie spał o zwykłej porze, w nocy, ale w samym środku dnia. I że nie miał pojęcia, która godzina.

– Pańska komórka... – powiedziała Pamela. – Gdzie jest pańska komórka?  
– Nie wiem... Bo co?  
– Bo tymczasem mogła ponownie zadzwonić. Hale, do cholery, to naprawdę ważne!  
– Wiem. Wiem o tym. Wstałem. Trochę... wypłem.  
– Gdzie ma pan komórkę? – Wyciągnęła z kieszeni pożyczony telefon. – Czy jest pan w stanie podać mi swój numer? Zadzwonię do pana!

Podyktował numer. Telefon zabrzączał w łazience. Pamela znalazła go na sedesie. Podsunęła go Calebowi pod nos.

– Proszę odsłuchać pocztę głosową!  
Caleb połączył się przy drugiej próbie.

W pokoju rozbrzmiał głos Kate. Informowała, że jest w Grimsby i znalazła łódź. Nie było tam jednak nikogo. Dowiedziała się za to o nieczynnym kempingu w lasach



Chambers Farm Wood. Wragby. Lincolnshire. Tam właśnie zmierza pojechać. Odezwie się.

Caleb jęknął.

Druga wiadomość.

– Witaj, Caleb, mam nadzieję, że regularnie odsłuchujesz wiadomości.

Była w lesie... Szła dalej piechotą... W pobliżu ktoś się czał... gdzieś przed nią... Dochodziło pół do ósmej...

– O pół do dziewiątej wyślij, proszę, wsparcie. – W głosie Kate pobrzmiwało napięcie. – Jeśli nie odezwę się do pół do dziewiątej, będę potrzebować pomocy.

Pamela spojrzała na zegarek. Było krótko po dziewiątej.

– O Boże – powiedział Caleb. – O Boże. – Odwrócił się nagle i pobiegł do łazienki. Pamela usłyszała odgłosy torsji.

Niezwłocznie zaczęła wydawać polecenia do słuchawki telefonu posterunkowego.

– Tak. Chambers Farm Wood. Nie wiem... Gdzieś w Lincolnshire. Najbliższa miejscowość nazywa się Wragby. Ostrożnie, mogą być zakładnicy. Wśród nich sześciomiesięczne dziecko... Tak. Zaraz ruszam.

Przemknęła zygakiem pomiędzy pudłami ku drzwiom. Caleb wyszedł chwiejnym krokiem z łazienki. Wyglądał jak upiór. Pamela mu współczuła, ale... jak Kate, do diabła, mogła uczynić osobą kontaktową uzależnionego od alkoholu byłego śledczego?

– Niech pan nie wariuje, Caleb – powiedziała. – Cała ta sprawa... Kate dobrze tego nie przemyślała.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale na powrót je zamknął bez słowa. Wydawało się, że jest w szoku.

– Drobną radą, Caleb – odezwała się Pamela. – Proszę sobie kupić mniejszy stół. Inaczej nigdy się pan nie upora z tym mieszkaniem!

Właściwie to zamierzała mu powiedzieć: Niech pan zamknie dotychczasowy rozdział życia. W przeciwnym razie nie uda się rozpocząć nowego.

Ale to nie był dobry moment na zgłębianie tego problemu.

Pamela zbiegła po schodach i wyszła w mrok nocy.

## 12

Gdy Sam zdecydowanym krokiem ruszył w ich stronę, Mila krzyknęła.

– Nie! Nie! Nie!

– Niech pani biegnie – syknęła do niej Kate – ale trzyma się pobocza, bo inaczej się zgubi. Proszę mocno ścisnąć Ruby i uciekać!

– Nie. Nie. – Mimo potwornego strachu przed Samem Mila równie mocno bała się rozdzielenia z Kate i ponownej samotnej wędrówki przez ciemny las. Stała jak sparaliżowana, powtarzając w kółko: – Nie. Nie. Nie.

Kate dała jej kuksańca.

– Dalej. Niech pani biegnie. Dotrze pani do zabudowań. W jednym z domów ktoś dziś jest. Proszę stamtąd zadzwonić na policję.

– Ja...

– To nasza jedyna szansa. Niech pani rusza!

W którymś momencie Mila zrozumiała, że nie ma wyboru. Pobiegnęła.

Sam zauważył ruch, zamarł na chwilę, po czym włączył latarkę. Snop światła był potężny, las natychmiast pojaśniał. Musiał zauważyć, że Mila oddała się z Ruby, ale widział też Kate i usłyszał dzwonek komórki. Ponieważ Mila nie miała telefonu, mógł to być wyłącznie aparat Kate. Uzmysłowił sobie, że odzyskała tu zasięg i że niezwłocznie powiadomi policję, jeśli on ruszy w ślad za Milą.

Wydawało się, że postanowił najpierw zająć się Kate.

Podszedł bliżej. W blasku latarki zobaczył trzymaną przez Kate legitymację.

– Sierżant śledcza Kate Linville, policja North Yorkshire. Samuelu Harris, jest pan aresztowany.

Uśmiechnął się.

– Łał...

– Poddaj się, Harris. Ma pan wystarczająco dużo na sumieniu. Moi ludzie o wszystkim wiedzą. I pana dopadną. Zabicie policjantki nie poprawi pańskiej sytuacji.

Ponownie się uśmiechnął.

– Gdyby pani ludzie cokolwiek wiedzieli, sierżantko Linville – jej stopień wymówił z szyderstwem w głosie – już by tu byli. Nie włączyłaby się pani zupełnie sama po lesie z Milą i dzieckiem. Nikt o niczym nie wie, sierżantko. Nikt. Bardziej powinna się pani martwić o siebie niż o mnie.

– Wiemy, że zabił pan Diane Bristow i Logana Awbreyę, panie Harris. I Jamesa Hendersona. Oraz Sue Raymond. Prawdopodobnie także Patricję Walters.

– Zapomina pani o Isabelle du Lavandou – stwierdził z rozbawieniem. – Wie pani, jak długo umierała? Prawie dwa dni. Błagała mnie, żebym to zakończył. Zimna jak lód, ale bólu nie potrafiła dłużej znieść. No cóż. Nie musiała mnie traktować jak jakiegoś śmiecia.

Z uśmiechem na twarzy przyznał się do kolejnego morderstwa. Kate zrozumiała, że nie miał zamiaru puścić jej żywej.

Dlaczego pomoc nie nadchodziła? Co z Calebem? Co poszło nie tak? Zawsze mogła na nim polegać.

Sam spojrział w kierunku, w którym zniknęła Mila. Choć nie było już jej widać, słysząc było trzask gałęzi i krzaków.

– Z łatwością ją dogonię – powiedział spokojnie. – A jeśli nie... i tak ją znajdę. Gdziekolwiek na świecie. Znajdę ją wszędzie.

– Skończysz w więzieniu.

– Na pewno nie.

– Panie Harris, proszę się poddać. I zostawić Milę w spokoju. Zrobił pan już tak wiele. Widziałam pańskie zdjęcie z dawnych lat. Jest pan dziś zupełnie innym człowiekiem, atrakcyjnym mężczyzną, który nie ma problemu ze znalezieniem kobiety. Potrafię sobie wyobrazić, że pańska młodość...

– Nie potrafi pani – przerwał jej szorstko. – Moja młodość to była katastrofa i nic pani o tym nie wie, choć nie wygląda mi pani na najpopularniejszą dziewczynę w szkole. Była pani kopciuszką, prawda? Zupełnie niepozornym.

Nie odpowiedziała. Jak wielu psychopatów, pozbawionych co prawda empatycznych uczuć dla bliźnich, za to wyposażonych w tym bardziej przenikliwy osąd, Sam miał oczywiście rację. Kate, szara myszka. Zawsze nią była i zawsze nią pozostanie.

– Problem w tym – powiedział Sam – że wcale nie byłem niepozorny. Wręcz przeciwnie. Czy wie pani, ile ważyłem, gdy miałem szesnaście lat? – Nie czekał na jej odpowiedź. – Sto osiemdziesiąt dwa kilogramy. Potrafi pani to sobie wyobrazić?

– Pewnie – odparła Kate.

– Spojrzenia innych. Szyderstwa. Szepty. Nieważne, dokąd się poszło. W szkole. W sklepie. Na ulicy. Wszędzie. I dlatego pani młodość nie była nawet w połowie tak straszna jak moja. Ludzie nie wyśmiewali się z pani za plecami. Po prostu pani nie zauważali.

Kate niekoniecznie nazwałaby to szczęśliwszą opcją, ale nie warto było teraz wdawać się z Samem Harrisem w spór o to, które z nich miało trudniejszą młodość. Dobrze jednak, że mówił. To dawało Mili czas na dotarcie do domów stojących przy wejściu do lasu. Kate nie miała wielkich nadziei: na piechotę to długa droga. Mila była wyczerpana. A do tego mogła zabłądzić.

Gdzie wsparcie Caleba?

– Cały czas było mi zimno – wyznał Sam. – Przez całe moje dzieciństwo i młodość. Dziwne, prawda? Nikt tak nie uważa. Przecież grubasy zawsze się pocą. Przy każdym

ruchu, bo muszą dźwigać tyle tłuszczu. Ja też bardzo się pociłem. Przez większość czasu. Miałem zaczerwienioną twarz, po której strużkami spływał pot.

Wpatrywał się w Kate. Ze spokojem wytrzymała jego spojrzenie.

– Ale w środku... – rzekł – w środku marzłem. Marzłem z powodu chłodu i pogardy ojca. Bezduszości babki. Dystansu kolegów z klasy. Odrzucenia przez wszystkich. Oraz z powodu Mili. Przede wszystkim marzłem z powodu Mili. Jej niezdolności do pokochania mnie. Byłem samotny. Przez cały czas. Ogarniał mnie mrok. Cały czas.

– Rozumiem to – odpowiedziała Kate. Niepostrzeżenie manipulowała przy smartfonie. Gdyby udało jej się wywołać numer alarmowy... On jednak wyczuł ledwo zauważalne ruchy.

– Rzuć to. W śnieg. Do moich stóp!

Zrobiła to, co kazał. Zrozumiała, że nie może go ani przez chwilę zlekceważyć.

Opuścił nieco latarkę. Dostrzegła, że w drugiej ręce trzyma nóż.

To prawdopodobnie narzędzie zbrodni ze spraw Bristow, Awbrea i Raymond, pomyślała Kate.

– Panie Harris – poprosiła – porozmawiajmy. Proszę mi powiedzieć, co pana do tego skłoniło. Może uda mi się uzyskać dla pana w sądzie okoliczności łagodzące. – Natychmiast zdała sobie sprawę, w jak niewielkim stopniu mogła go przekonać taka uwaga. Nie było żadnych okoliczności łagodzących, nawet w przypadku otyłych nastolatków, którzy przez cały czas wewnętrznie marzli. To nie usprawiedliwiało żadnego morderstwa. A już na pewno nie sześciu.

Sam był zbyt bystry, by tego nie wiedzieć.

– Nie pleć bzdur – odparł. – Co za cholerne brednie. Chciałaby mnie pani widzieć za kratkami. Do końca życia.

Milczała. Zaprzeczanie temu nie miałoby sensu.

– Przywiążę cię do drzewa – oznajmił Sam – a potem czeka cię kilka dość nieprzyjemnych spotkań z moim nożem. Niestety, nie mogę poświęcić ci tyle czasu co Lavandou. Muszę jeszcze sprowadzić Milę. W końcu poderżnę ci gardło. Obawiam się, że jeśli ktoś cię kiedyś tu znajdzie, nie będzie to ładny widok. Do tego czasu niektóre zwierzęta z lasu zaspokoją swój głód.

Zwilżyła językiem suche wargi. Nie chciała okazywać strachu. Ale, do cholery, była potwornie przerażona. Często rozmyślała o swojej profesji, że pewnego dnia znajdzie się w beznadziejnej i niebezpiecznej sytuacji. Odkąd latem tuż obok niej zastrzelono jej ówczesnego przełożonego, inspektora Stewarta, myślała o tym jeszcze częściej. Nie zawsze dotyczyło to wyłącznie innych, ją także mogło to w każdej chwili spotkać.

Czyżby nadszedł ten moment?

– Zdejmij płaszcz – rozkazał Harris.

– W tym zimnie? Zamarznę na śmierć. – Naiwna uwaga. Chodziło jednak o to, by zyskać na czasie. Nieważne, w jaki sposób.

Ponownie się uśmiechnął. Ten nieprzyjemny, nienawistny grymas. Chorobliwy grymas człowieka, który czuje się niesprawiedliwie potraktowany przez życie. I obwinia o to wszystkich, absolutnie wszystkich, prócz siebie.

– Skończę z tobą, zanim zamarzniesz na śmierć – powiedział. – Obiecuję.

Zawahała się. Prawdopodobnie miał w kieszeni sznur. Jeszcze kilka minut i przywiąże ją do jednego z drzew. Wtedy będzie po wszystkim. Będzie zupełnie bezbronna. Pomoc zaś nie nadchodziła. A jeśli nawet nadejdzie, będzie już za późno.

– Zdejmuj płaszcz – powtórzył ostrym tonem. – A potem to, co masz jeszcze na sobie. Chcę cię zobaczyć w majtkach, sierżantko!

Na pewno nie rozbierze się przed nim dobrowolnie i nie pozwoli mu się związać. Błyskawicznie rozważyła wszystkie opcje. Miałyby niewielką szansę dotrzeć do samochodu, ale jeśli przy nim majstrował, o czym świadczyła lekko uchylona maska, wówczas nie tylko nie zdołałaby go uruchomić – być może w ogóle nic w nim nie działało, nawet centralny zamek. A wtedy znalazłaby się w pułapce. Poza tym musiałyby mieć sporo szczęścia, żeby go wyminąć. Nie miała wątpliwości, że był wysportowany i szybki.

– Nie będę dłużej czekał – oznajmił.

Zrobiła gwałtowny ruch w bok i rzuciła się do ucieczki. Wypadła z zarośli i ruszyła drogą. Gąszcz, gałęzie, leśne poszycie zbytnio ją spowalniały. Biegła tak, jakby ścigał ją sam diabeł.

Bo ścigał ją sam diabeł.

Zyskała pewną przewagę, gdyż zaskoczyła Sama, a także dlatego, że potrzebował chwili na zastanowienie, który z trzymanyh w rękach przedmiotów, nóż czy latarkę, powinien zostawić. Najwyraźniej zdecydował, że latarkę, bo nagle zrobiło się ciemno. Tego należało się spodziewać. Nadal potrzebował noża.

Usłyszała za plecami jego kroki i dyszący oddech. Dawał z siebie wszystko. Czuła i słyszała, że jest coraz bliżej. Że za szybko się do niej zbliża. Jej przewaga malała.

Bolało ją stłuczone kolano. Czuła klucie w boku. Od dawna nie uprawiała joggingu, to za dużo pracy, to znów brzydka pogoda. I to się teraz mściło. Kondycję miała kiepską.

Odwrotnie niż Sam Harris. Biegał jak maszyna. Napędzany nienawiścią. Tymczasem Kate przeszywał strach. Być może jego nienawiść była większa. Nienawiść grubego, marznącego, odrzuconego chłopca.

Poczuła przy uchu jego gorący oddech, zaraz potem powalił ją na ziemię. Mogła usłyszeć jego dyszący głos.

– Co ty sobie myślałaś? Że mi uciekniesz? Serio?

Nie odpowiedziała. Twarz miała zanurzoną w śniegu. Walczyła o oddech. W każdej chwili spodziewała się, że szarpnie ją za głowę i przyłoży zimne ostrze do gardła. Była zupełnie bezbronna. Przygniatał ją swoim ciężarem, dociskał jej ciało do ziemi. Zaczęła się więc. Wątpliwe, czy Sam w ogóle to wyczuł.

– Dlaczego musiałaś się wtrącić? – wysyczał. – Dlaczego?

Bo to moja praca – mogłaby odpowiedzieć, ale wtedy jej usta wypełniłyby się śniegiem. Wciąż ledwo mogła oddychać. Przy każdej próbie złapania powietrza śnieg wdierał jej się do nosa. Wydała z siebie odgłos, jakby się dławiła.

Poczuła, że Sam szarpie za jej szalik. Miał z tym kłopot, ponieważ jego końce przygniotła swoim ciałem. Ale potem zdała sobie sprawę, że on wcale nie próbuje zdjąć szalika z jej szyi. Coraz mocniej go zaciskał. Coraz ciaśniej i ciaśniej. Zmienił swój plan. Nie zabije jej nożem. On ją udusi.

Na próżno próbowała oswobodzić ramiona, by włożyć dłoń między szalik a szyję. Ręce przygniotła własnym tułowiem, były jak zacementowane pod ciężarem dwóch ciał, jej i Sama. Szalik coraz bardziej zaciskał się na jej szyi. Z coraz większym trudem łapała powietrze. Walczyła o oddech, w końcu otworzyła usta, do których natychmiast wtargnął śnieg, sprawiając, że bezradnie się dławiła.

Tak musi to wyglądać, gdy człowieka zasypie lawina. Tak właśnie musi wyglądać umieranie.

Właśnie tak wygląda śmierć.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami, a śnieg, którego chłód wnikał przez ubranie, nagle przestał być zimny. W uszach zaczęło jej szumieć, ciepło oblało całe jej ciało. Nareszcie ciepło. Nadeszła wiosna. Mrok przed oczami się rozpułynał, zalało ją światło. Światło i ciepło.

Jak długo przebywała w tym świetle i ciepłe?

Całą wieczność? Czy tylko sekundy? Nie wiedziała i nigdy się nie dowie.

Potem wszystko powróciło: mrok i chłód. Śnieg wypełniający jej usta. Ból szyi. Sapanie leżącego na niej mężczyzny. Szum w uszach, który nagle zaczął ustępować.

Podniosła głowę. Wypluła śnieg, głośno łapała powietrze, usłyszała przeraźliwy świst dobywający się z jej gardła.

Powietrze. Piła powietrze jak spragniony człowiek pije wodę ze źródła na pustyni.

Udało jej się przewrócić na bok. Oswobodzić ręce. Harris wciąż na niej leżał. Z uniesionym torsem. Zastygły w jakimś absurdalnym ruchu. Próbowała go z siebie rzucić, ale był zbyt ciężki, a ona sama nazbyt osłabiona. Wciąż brakowało jej tchu.

Potem nagle opuścił głowę, a z jego ust trysnął strumień krwi. Zalała twarz Kate, choć przytomnie odwróciła ją w bok. Potem zwałił się na nią.

Kate resztkami sił zdołała spod niego wypełznąć. Leżał na brzuchu, z twarzą zanurzoną w śniegu. Pomiędzy jego łopatkami tkwiła rękojeść noża.

Za nim stała Mila. Cała się trzęsała.

– Mila – odezwała się chrapliwym głosem Kate. Potwornie bolało ją gardło. – Mój Boże, Mila...

Mila trzykrotnie chciała coś powiedzieć. Udało jej się dopiero za czwartym razem.

– Zgubił nóż. Kiedy rzucił się na panią.

To dlatego próbował udusić ją szalikiem.

– A pani tu była?

– Kawalek za panią. Oboje przebiegliście obok mnie. Zatrzymałam się. Musiałam sprawdzić, czy Ruby jeszcze oddycha.

– I?

– Bardzo słabo. Jest u kresu sił.

Kate próbowała wstać. Nogi miała jak z waty. Widziała przerażone spojrzenie Mili, przetarła twarz dłonią. Wszędzie krew. Krew Harrisa.

– Mila... uratowała mi pani życie – wydusiła z siebie z trudem. Nigdy by się tego nie spodziewała po tej drobnej, delikatnej, nieśmiałej kobiecie. Że z dzieckiem na ręku chwyci nóż i zatopi go możliwie jak najgłębiej w plecy mężczyzny.

Mila wyglądała tak, jakby zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, co zrobiła, dygotała coraz gwałtowniej. Była wyraźnie zszokowana. Zrobiła to, pchana śmiertelnym strachem oraz wściekłością. Wobec człowieka, który zrujnował lata jej życia, który wygnał ją z miasta, którego zawsze się bała.

– Czy on nie żyje? – zapytała. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć.

Kate pochyliła się nad Harrisem i sprawdziła jego tętno.

– Nie. – Wyprostowała się. – Proszę tu zostać. Wracam do samochodu. Gdzieś tam jest moja komórka. Zadzwońię do kolegów. I zobaczą, czy uda mi się uruchomić silnik. Dobrze?

Mila skinęła nieznacznie głową. Poprawiła ułożenie dziecka na ramionach.

– Tak. – I nagle zawołała. – Sierżantko! Kate! Niech pani patrzy! Niech pani patrzy! Światła. Samochody. Nadjeżdżały drogą. Z niebieskawą poświatą.

Kate dotknęła ramienia Mili. Nie wiedziała, czy wspiera drugą kobietę, czy sama się jej trzyma.

– Nareszcie – szepnęła. – Policja. Nareszcie.

Myślałem, że jestem martwy, a jednak żyję. Leżę na plecach w szpitalnym łóżku. Moje ręce, nogi, głowa są podłączone do aparatury. Nie było mnie dość długo, ale w końcu wynurzyłem się z głębin nieświadomości. Albo byłem nieprzytomny, albo poddali mnie narkozie.

Urządzenia obok mnie brzęczą. Dokładnie wszystko monitorują: ciśnienie krwi, tętno, fale mózgowo, oddech.

Oddech przede wszystkim.

Zaczynam coraz klarowniej myśleć. Czuję ból w gardle i z trudem mogę przełykać, chyba byłem zaintubowany. Najwyraźniej usunęli już rurkę. O ile mogę stwierdzić, oddycham samodzielnie. To już przynajmniej coś.

Nie mogę się jednak poruszać. Chciałbym poruszyć palcami u nóg albo zacisnąć pięść, ale nie potrafię. Mam nadzieję, że to nic jeszcze nie znaczy. Bądź co bądź pomiędzy łopatkami miałem wbity nóż. Czy to mogło spowodować uszkodzenie kręgu? Doznałem perforacji tkanki płucnej, tak oświadczył lekarz. Nie wiedział jednak, czy go rozumiem. Nic też nie odpowiedziałem. Jakoś nie mogłem.

W każdym razie jedno płuco miałem przedziurawione, dlatego plułem krwią, mnóstwo krwi wniknęło też do jamy opłucnej, a potem samo płuco się zapadło. Prawie umarłem. Gdyby karetka nie przyjechała tak szybko, razem z policją...

– Miał pan wielkie szczęście, panie Harris – powiedział lekarz.

Serio? No, nie wiem.

Leżę tu i czekam, aż wyzdrowieję, aż będę mógł się znowu poruszać, przełykać, aż zostanie usunięta cała ta aparatura. A potem?

Trafie za kratki. Nie mam co do tego złudzeń. Mają mnie. Nie wywinę się z tej sprawy z policjantką. Ani ze sprawy z Milą. W przyczepie. Jest jeszcze ten włóczęga. Leży przed budynkiem z prysznicami. Martwy. Wszedł stamtąd i rozejrzał się chełpliwie, wystarczyło tylko dźgnąć go nożem w szyję. Przeklinam jednak swoją głupotę. Przecież przyczepa była moim schronieniem, razem z łodzią. Wiedziałem, że na opuszczonym kempingu kręci się bezdomny. Nigdy mi nie przeszkadzał. Powinienem był wiedzieć, że on i Mila mogą mi wejść w paradę. Tamtego dnia, w niedzielę, jeździłem bez końca, próbując znaleźć to cholerne jedzenie dla dziecka, żeby Mila wreszcie przestała marudzić... Za długo mnie nie było. Mogła krzyczeć wniebogłosy. A facet ją wypuścił. Ależ ze mnie kretyn. Powinienem był wyeliminować go wcześniej.

Muszę się zastanowić, co będą mi w stanie udowodnić. Najgorsze, że mają nóż. Broń użytą w niemal każdym przypadku. A do zabicia Lavandou nawet się przyznałem.



Wiedziałem, że pewnego dnia odnajdę Milę. Wiedziałem, bo jesteśmy sobie przeznaczeni. Któregoś dnia szedłem deptakiem w Scarborough, a ona wyłoniła się z naprzeciwnika. Niosąc kilka toreb z zakupami. Tak po prostu. W biały dzień. Piętnaście lat starsza niż podczas naszego ostatniego spotkania. Ale niewątpliwie to była ona. Słodka, ładna, nieśmiała twarz. Miękkie, gładkie włosy. Wielkie oczy. To była ona, zbliżała się do mnie, a ja zrozumiałem, że Bóg istnieje.

Myślałem, że mnie nie pozna, bo przeobraziłem się w szczupłego, wyrzeźbionego Adonisa, lata świetlne od tego tłuściocha, którego znała, którym gardziła i którego traktowała z nieznośnym chłodem. Rzeczywiście, z początku wydawała się całkiem nieświadoma. Ale kiedy mnie mijala, odwróciła głowę i nagle zobaczyłem w jej oczach raptowne przerażenie. Zdumienie. Strach.

Nic jednak nie powiedziała. Szła dalej. Przyspieszyła kroku. Gnała coraz szybciej i szybciej. Miałem wrażenie, że z trudem się powstrzymuje, by nie rzucić się do ucieczki.

Poszedłem za nią. Zachowując odpowiednią odległość. Wkrótce już wiedziałem, gdzie mieszka.

Jeszcze dwa razy widziałem, jak wychodzi z domu i wraca z zakupami. Wciąż uważnie oglądała się za siebie. Była roztrzęsiona. A potem nagle zniknęła. W ogóle jej nie widywałem, choć wciąż czatowałem w pobliżu dużego domu. Po dwóch nocach nie wytrzymałem. Wszedłem przez piwnicę. Niestety obudziło to staruszkę, która najwyraźniej również tam mieszkała. Zbeształa mnie i zagroziła, że wezwie policję. Mocne pchnięcie ze schodów położyło kres awanturze. Nikt nie zdoła mi tego udowodnić. Brak narzędzia zbrodni.

Jednak w całym domu po Mili nie było śladu. Nie zostawiła po sobie nawet szczoteczki do zębów. Bielizny. Gumki do włosów. Czegokolwiek. Uciekła.

Czy można sobie wyobrazić moją rozpacz? Po tych wszystkich latach znalazła się tak blisko mnie. W zasięgu ręki. Postanowiłem nie czekać dłużej. Rozpocząłem aktywne poszukiwania. Pogoń.

O co zapyta policja? Albo prokurator? Powiedzą, że przecież miałem partnerkę. Annę. Więc skąd to polowanie na Milę?

To oczywiście, nie zrozumie tego jedynie ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o prawdziwej namiętności i miłości. Anna trochę przypomina Milę. Właściwie to nawet bardzo. Jest po prostu podobnym typem kobiety. Jej urok, nieśmiałość, uprzejmy, miękki głos, zawsze nieco skryte spojrzenie. Kiedy ją poznałem – zarezerwowała u mnie sesję coachingową – pomyślałem, że może stać się rozwiązaniem zastępczym. Substytutem.

Nie mogła, to jasne jak słońce. Nie ma substytutu dla prawdziwej miłości. Nie kochałem Anny ani przez sekundę. Po prostu istniała, a ja miałem kogoś u swego boku, nic ponadto. Jest nieźle zakręcona, to depresyjna, neurotyczna natura. Nigdy nie potrafiłem jej znieść przez dłuższy czas. Ona mnie zresztą też, na szczęście. Myślę, że kładła to na karb swojej choroby, depresji. Przecież z tego powodu dwukrotnie trafiła do szpitala. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby to była jej wina. Tolerowała moją bliskość tylko w ograniczonym zakresie, bo w głębi serca czuła, że jej nie kocham. Czuła mój absolutny chłód w stosunku do niej. Osobę jej pokroju łatwo było przekonać, że ma to związek z jej zaburzeniami. Mogłem spokojnie wciąż ją prosić, by ze mną zamieszkała. By za mnie wyszła. Poznała mojego ojca w Londynie. Nie było ryzyka, że się zgodzi. Wynajdywała tysiące wymówek. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Nikt nie jest tak podatny na manipulacje jak kobieta z poczuciem winy.

Rzekome wyjazdy do zmarłego ojca pozwalały mi odetchnąć. I szukać Mili.

Gdzie się podziewałem? Co mogę mi udowodnić?

Policjantka mówiła coś o Diane Bristow i Loganie Awbreyu. Głupio, że znów pojawiło się narzędzie zbrodni. Bristow również zgłosiła się na sesję. Nie znosiła swojej pracy w Crown Spa, więc szukała u mnie porady. Nie miała pieniędzy. Zaproponowałem jej więc dobrą cenę w zamian za nieujęcie jej w ewidencji. Robię tak czasem z pacjentami, których nie stać na doradztwo. Oczywiście to nie powinno wyjść na jaw. W przypadku Bristow okazało się jednak szczęśliwym trafem.

Pewnego dnia pojawiła się tak roztrzęsiona, że zapytałem ją, co się dzieje. Powiedziała, że chodzi o jej nowego chłopaka. Nie wiedziałem, że ma chłopaka, ale tak, owszem, od niedawna. To miłe – przyznałem, a wtedy ona wybuchła płaczem. Szlochała bez końca. Jestem tylko coachem i specjalizuję się w doradztwie zawodowym, niemniej coach ma też coś z terapeuty. W każdym razie opowiedziała mi, co wyznał jej nowy chłopak, Logan Awbrey. Ta niewiarygodna zbrodnia popełniona dziewięć lat wcześniej. Przez trójkę młodych ludzi. Logana Awbrey'a i dwie kobiety, których tożsamości nie ujawnił. W pewien upalny letni dzień. Z nudów.

Znałem tę sprawę. Pisały o niej gazety w całym kraju.

– Co mam teraz zrobić? – zapytała mnie ze łzami w oczach. – Trzeba to zgłosić policji. Rodzice muszą wiedzieć, co się wydarzyło. Ten młody człowiek wciąż leży w śpiączce!

– Na razie proszę nic nie robić – poradziłem. – Proszę pozwolić mi pomyśleć.

Rozmyślałem o tym i z każdą sekundą narastała we mnie złość. Jak już wspomniałem, czytałem o tej sprawie, teraz zaś ponownie ją wygooglowałem. Ofiara, Alvin Malory, był takim samym człowiekiem jak ja. Sto sześćdziesiąt osiem

kilogramów wagi. Niewysportowany. Nieatrakcyjny. Outsider. Bez przyjaciół. Oczywiście bez dziewczyny. W szkole wyśmiewany. Zawsze na uboczu. Wiedziałem, jak cierpieć. I wiedziałem, że właśnie to skłoniło Logana Awbreyę i jego koleżanki do wybrania go na ofiarę. Był uosobieniem ofiary. Torturowanie go sprawiało frajdę.

Zawsze sprawia frajdę torturowanie bezbronnych. Odmieńców.

To mogłem być ja. To samo mogli zrobić ze mną. Nie chodziło o nasze imiona, osobowości, charaktery. Chodziło o grubasa.

O Tłusciocha.

Podczas następnego spotkania zapytałem Diane, gdzie mieszka jej chłopak, i kazałem jej pokazać jego zdjęcie.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, to kiedyś z nim porozmawiam – zaproponowałem. – Chciałbym wyrobić sobie o nim własne zdanie. Potem zobaczymy. Czy to by pani pomogło?

Przytaknęła z wdzięcznością. Była całkowicie przytłoczona tą sytuacją. Cieszyła się, że jestem po jej stronie.

Niestety, przypieczętowała tym własny wyrok śmierci. Miałem bowiem zamiar ukarać Awbreyę. Zabić go. Dzięki Diane Bristow szybko dotarliby do mnie. Trzeba ją było uciszyć.

Najpierw więc pozbyłem się Diane Bristow. Podążyłem w ślad za nią, gdy wracała do domu z tego idiotycznego kursu gotowania, który prowadziła Anna. Zamierzałem złapać ją przy drzwiach wejściowych. Zobaczyłem ją jednak w zatoce parkingowej. Byłem zaskoczony, ale pomyślałem, że to nawet lepiej. Wystraszyła się, gdy pojawiłem się nagle przy samochodzie od strony pasażera i wsiadłem do środka. Potem znów się rozluźniła, przecież mnie znała. Harris, ten sympatyczny coach, niespodziewanie stał późno w nocy w ciemności na skraju pastwiska dla owiec. Wydawała się nieco poirytowana. Wtedy zobaczyła nóż. Kompletnie bezsensownie uruchomiła samochód i odjechała. Zdjęta paniką, ruszyła w złym kierunku. Po minucie utknęła na dobre w błocie. Płakała.

Poradziłem sobie z nią bez problemu. Musiałem tylko pozbyć się jej telefonu. Przez ostrożność.

Z Loganem Awbreyem było trudniej. Zaczął uciekać. Nie przede mną, ale przed policją. Dopiero później dowiedziałem się od Anny, że tamtego wieczoru był w samochodzie Diane. Wszędzie aż się roiło od jego odcisków palców. Dla policji stał się głównym podejrzanym.

Zastałem go u Anny. Podrzuciłem ją do domu i odjechałem, ale zawróciłem. Czasami tak robiłem. By się upewnić, że w jej życiu nie ma innego faceta. Nie żeby wiele dla mnie znaczyła. Ale nie zamierzałem dać z siebie zrobić głupca.

Zobaczyłem ją w salonie z Loganem. Byli w dość zażyłych stosunkach. Nie w sensie miłosnym. Raczej jako starzy przyjaciele. Znali się od dawna. A ona nie powiedziała mi o tym ani słowa. Mimo że nazwisko Logana widniało we wszystkich gazetach. Ani słowem się nie zdradziła.

No cóż, w poniedziałek, kiedy znowu prowadziła zajęcia z gotowania, załatwiłem Awbreyę. Był olbrzymem, o głowę wyższym ode mnie, ale byłem na to przygotowany. Miałem nóż. On nie miał nic.

Pewnie by mi nie otworzył, ukrywał się przecież przed policją, ale zawołałem przez drzwi, że przychodzę od Anny, że jestem jej przyjacielem, że może mi zaufać. W końcu uchylił drzwi. Dostałem się do środka, zanim zdążył mrugnąć powieką. Dźgnąłem go nożem w brzuch, z jękiem padł na kolana. Myślę, że był zbyt zszokowany, by się bronić. Poza tym od kilku dni uciekał, wyglądał jak upiór, miał zszargane nerwy. Chyba zawsze był mięczakiem. Potrafię takich rozpoznać. Oni zawsze podnoszą rękę tylko na słabszych. Nigdy na równych sobie.

Powiedziałem mu, dlaczego zamierzam go zabić, a on spojrzał na mnie z przerażeniem. Pewnie sądził, że nikt nie zna historii Malory'ego. Idiota, przecież sam opowiedział ją Diane. Pomyślałem, że jest nie tylko mięczakiem. Ale też głupcem. Kiedy popełniasz takie przestępstwo i masz szczęście, że uchodzi ci to na sucho, przez całe życie trzymasz głowę na kłódkę. Nie zwierzasz się nikomu, absolutnie nikomu. Nigdy. Ale to, rzecz jasna, wymaga pewnej wewnętrznej siły. On nie miał jej nawet krztyny.

Musiałem zdążyć przed powrotem Anny z zajęć kulinarnych, dlatego zostawiłem Logana i zabrałem tylko jego komórkę. Gdyby, o dziwo, ktoś go znalazł, jego znajomość z Anną nie powinna wyjść na jaw – założyłem, że jej numer był zapisany w jego telefonie, ewentualnie także ich czat na WhatsAppie. Wyrzuciłem aparat do morza i pojechałem do domu. Anna chciała zostać u mnie przez święta, a ja postanowiłem, że tymczasem pojedę do jej domu i pozbędę się leżącego w przedpokoju trupa.

Stało się jednak inaczej, ponieważ to ona go znalazła. I oczywiście straciła głowę. Myślę, że całkiem dobrze odegrałem swoją rolę. Udawałem konsternację i natychmiast chciałem iść na policję. Słyszając to, zaczęła jeszcze bardziej wariować. Ogarnęło mnie przecucie... Zwłaszcza gdy mi powiedziała, jak długo przyjaźniła się z Loganem. Kiedy ze łzami w oczach obiecała, że wyjawi mi wszystko, w tym także powód, dla którego pod żadnym pozorem nie wolno nam pójść na policję, odgadłem prawdę. Te dwie kobiety, które wraz z Loganem Awbreyem napadły na Alvina Malory'ego... mogłem iść o zakład, że jedną z nich była Anna. Stąd ten jej strach. Obawiała się, że Logan zginął z powodu tamtej zbrodni, i gdyby policja zaczęła drążyć, ujawniono by

mnóstwo kwestii, które w żadnym razie nie mogły wyjść na światło dzienne. Trudno mi było sobie wyobrazić współudział Anny w napadzie, niemniej z jej słów dało się wyczuć, że była niegdyś strasznie zakochana w Loganie. Pewnie tam za nim polazła, rycząc i zgrzytając zębami, była jednak zbyt tchórzliwa i zależna, by mu się postawić.

Swoją drogą, wciąż się zastanawiam, kim była ta druga kobieta. Obstawiam Dalinę. To przyjaciółka Anny, choć łączy je raczej relacja pan i władca kontra niewolnik. Dalina to nieczuła egocentryczka. Wcale bym się nie dziwił, gdyby to ona za tym wszystkim stała. Logan pewnie jadł jej z ręki. Ona jest typem kobiety, która potrafi nakłonić mężczyzn do takich rzeczy. On zaś typem faceta, który na to pozwala.

Gdybym tylko mógł, pewnie pokazałbym także Annie i Dalinie, że z grubasami nie postępuje się tak, jak one postąpiły z Alvinem Malorym.

Chyba jednak nie będę miał już po temu okazji.

Pozbyliśmy się zatem Logana. Przez cały czas nadal próbowałem odnaleźć Milę. Wpadłem na pomysł, żeby spróbować u jej dziadka, starego Jamesa Hendersona w Sheffield. Czasem mi o nim opowiadała. Zadzwoiłem tam z nadzieją, że może odbierze Mila. Ale zastałem tylko jego. Złożyłem mu więc wizytę. Przyznał, że go odwiedziła. Powiedział, że nie ma pojęcia, dokąd się udała. Próbowałem go zmusić do mówienia... Chyba naprawdę nie wiedział.

W końcu padł martwy.

Brak narzędzia zbrodni. Nie mogą mi niczego udowodnić. Nieważne.

Ale wtedy wpadłem na genialny pomysł. Sue Haggan. Szkolna koleżanka. Ta, która potraktowała mnie tak obrzydliwie. Nietrudno było się dowiedzieć, jak się obecnie nazywa i gdzie mieszka. Po raz kolejny rzekomo wyruszyłem w odwiedziny do ojca. Zamiast tego pojechałem do Richmond.

Bingo. Udało mi się dotrzymać obietnicy danej Sue, że się jeszcze spotkamy. Narzędzie zbrodni. Będą mogli przypisać mi śmierć Sue.

Zamknięcie w piwnicy policjantki, która nagle pojawiła się w drzwiach, zamiast jej niezwłoczne wyeliminowanie, okazało się błędem. Nie wiem dokładnie, co się stało. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie mogła już mówić.

Nie wiem, jak ta druga nagle znalazła się w Chambers Farm Wood. Skąd wiedziała o naszej starej przyczepie? O opuszczonym kempingu? Nigdy nie mówiłem o tym Annie, od niej nie mogła się tego dowiedzieć. To dla mnie zagadka. Może dowiem się tego podczas procesu. Policjantka będzie wtedy zeznawać. Jak się nazywała? Linville. Sierżantka Linville. Osoba zupełnie niepozorna. Jakim sposobem takie zero mogło wszystko popsuć?

Ilość zgonami mogą mnie obciążyć? Przeanalizowałem wszystko, ale moje myśli znów się rozmywiają. Nie jestem w formie. Pewnie pompują we mnie środki

przeciwbólowe. No tak. Jest ich sporo. Dużo martwych ludzi.

Ale o babci się nie dowiedzą. Ani o mamie.

Ile dostanę za morderstwo? A za wielokrotne morderstwo? Na sto procent dożywocie. Ale w dzisiejszych czasach dożywocie nie trwa dożywotnio. Najpóźniej po dwudziestu pięciu latach wychodzi się na wolność. Przy dobrym sprawowaniu, dobrych rokowaniach. Dam radę. Dobrze wyglądam, potrafię się zachować. Jestem grzeczny i uprzejmy. Wszędzie robię dobre wrażenie. Wiem też, co należy mówić psychologom, żeby uznali, że jesteś w porządku. Jestem coachem, brałem udział w seminariach, szkoleniach. Coacha od terapeuty dzieli niewiele, już o tym wspominałem. Terapeutę potrafię owinąć sobie wokół palca. A jeszcze łatwiej, rzecz jasna, terapeutkę.

Najpierw jednak muszę się stąd wydostać. Pozbyć się tej maszyny. Potem będę potrzebował prawnika. Następnie odbędzie się proces sądowy. Wszystko po kolei.

Aż któregoś dnia znów wyjdę na wolność.

I wtedy poszukam Mili.

## Wtorek, 31 grudnia

Kate odebrała Pamelę ze szpitala i odwiozła ją do domu. Wypożyczonym samochodem, ponieważ jej auto wciąż stało w warsztacie. Tym razem Pamela została wypisana zgodnie z procedurami. Po przeprowadzeniu wielu szczegółowych badań. Podtrzymano pierwszą diagnozę: wstrząśnienie mózgu. Lekarze chcieli ją jeszcze zatrzymać, ale ulegli jej żądaniom. Zaopatrzona w środki przeciwbólowe udała się do swojego mieszkania.

Zapadał już zmrok. Miasto tonęło w śniegu. Jak na zbliżający się przełom roku, było zaskakująco spokojnie.

– Dziękuję, Kate – odezwała się Pamela. – To naprawdę miło, że pani po mnie przyjechała.

– Żaden problem, inspektorko. Jestem pani dłużniczką. Namierzyła mnie pani w Chambers Farm Wood. Nie mogę uwierzyć, że to się udało.

– A ja nie mogę uwierzyć, że znalazła pani Harrisa. I ten kemping. – Pamela się uśmiechnęła. – Wiem o pani samowolnym wejściu do jego mieszkania. To było...

– ...wbrew wszelkim przepisom. Wiem.

– Nie powinnam tego mówić jako pani przełożona – odparła Pamela – i zawsze będę zaprzeczać, że to powiedziałam. Ale wie pani co? Ostatecznie udało się uratować życie sześciomiesięcznej dziewczynce. Wykonała pani świetną robotę, Kate. Dlatego: do diabła z przepisami!

Spojrzały po sobie. Coś się między nimi zmieniło. Dowiodły przed sobą swoich umiejętności, kompetencji, determinacji. I tak już pozostanie.

– Myślę, że możemy stworzyć zgrany zespół – powiedziała Pamela.

– Myślę, że już tworzymy – odparła Kate.

Pamela odchrząknęła.

– Tak czy owak, Harris trafił do aresztu. Rozmawiałam dziś przez telefon z leczącym go w Hull lekarzem. Wyjdzie z tego. Stanie więc przed sądem. Będzie musiał odpowiedzieć za swoje czyny. Pójdzie do więzienia.

– Ruby także wyzdrowieje?

– Było z nią bardzo kiepsko, ale da radę. Jest z nią ojciec.

– Anna Carter musi odpowiedzieć za napaść na Alvina Malory'ego. Najbardziej niewinna z całej grupy. Ale tam była. Stała z boku i milczała. Prawdopodobnie zostanie oskarżona o współudział.

– A Dalina Jennings? Zniknęła?

Kate przytaknęła.

– Tak. Ale bynajmniej nie bez śladu. Wypłaciła pieniądze z bankomatu w Swansea. Walijscy koledzy deptają jej po piętach. Złapiemy ją, jestem tego pewna.

– Też tak uważam – przytaknęła Pamela. – A Mila Henderson? Gdzie się podziewa? Co porabia?

– Już wczoraj wyleciała do Stanów. W odwiedziny do matki. To matka zapłaciła za jej bilet. Mila zaczyna od zera. Z czystym kontem. Jej ostatni żyjący w Anglii krewny, dziadek James, nie żyje. Podobnie jak jej pracodawczyni. Nic jej tu już nie trzyma. Koniecznie chciała być z matką, mimo że nie przepada za jej nowym facetem. Potrzebuje miejsca, gdzie będzie mogła odpocząć i wylizać się z ran. Harris dał jej popalić.

– Ale wróci? Jest ważnym świadkiem.

– Najpóźniej za cztery tygodnie – uspokajała Kate. – Obiecała mi.

Przez chwilę jechały w milczeniu. W domach paliły się światełka. Święta co prawda już minęły, ale miasto nadal wyglądało jak ze świątecznej bajki.

– Czy ma pani jakieś plany na dziś? – zapytała Pamela.

Kate wzruszyła ramionami.

– Nie. Pewnie pójdę spać. Prawdopodobnie.

Pamela przytaknęła.

– Ja też. Z moją głową nie ma mowy o hucznych imprezach. Ale i tak na żadną się nie wybierałam. – Nie spojrzała na Kate. – Jestem w związku od ponad czterech lat. On jest nadinspektorem w policji w Kumbrii. Prawdziwą szycią. Spotkaliśmy się przy rozpracowywaniu sprawy, która dotyczyła podległego mu rewiru. Od tego czasu... no cóż.

– Rozumiem – powiedziała Kate. Uznała to za trochę krępujące. Czy chciała wiedzieć takie rzeczy o własnej szefowej?

– Jest żonaty – ciągnęła Pamela. – Ma troje dzieci. Rozwód nie wchodzi w grę. Myślę, że kocha swoją rodzinę. Czasem tylko po prostu nie radzi sobie z problemami nastolatków. A także ze zrzędzeniem żony, od której wszystko zależy. To właśnie gna go do mnie. Sporadycznie. Bardzo sporadycznie.

Kate się zatrzymała. Dotarły przed dom szefowej. Pamela spojrzała na nią.

– Byłam w drodze na spotkanie z nim. W Carlisle. Weekend we dwoje. To dlatego znalazłam się w pobliżu Richmond, kiedy Burden z policji South Yorkshire zadzwonił do mnie i podyktował mi adres Sue Raymond. Pomyślałam, że tam wpadnę. Rzucę tylko okiem. Sprawdzę, czy jest tam Mila Henderson. Tak to się potoczyło.

– Rozumiem – odparła Kate.



– Ale siedząc w tej cholernej piwnicy – przyznała Pamela – postanowiłam zakończyć sprawy z Kumbrią. Wie pani, w takich związkach pozostaje tylko jedno: czekanie. Nadzieja. Cierpienie. I prawie zawsze człowiek jest sam.

– To dobra decyzja – przyznała Kate. – Chodzi mi o to... zakończenie.

Nigdy by nie uwierzyła, że ta dumna, pewna siebie, silna Pamela całymi latami wiodła marny żywot sekretnej kochanki żonatego mężczyzny. Być może jednak nie miało to wiele wspólnego z ową dumą, pewnością siebie, z tymi wszystkimi kwestiami. A tylko i wyłącznie ze skalą samotności. Tęsknoty. I oczywiście miłości.

Człowiek nie zawsze zakochuje się w kimś, kto jest tego wart. Któż wie to lepiej niż Kate.

Pamela uchyliła drzwi samochodu. Usłyszały pierwsze fajerwerki wystrzelone w niebo.

– Dobranoc, Kate. Udanego nowego roku. Wykonała pani świetną robotę. Może być pani z siebie dumna!

– Dziękuję. Pani też, inspektorko.

Pamela jeszcze raz jej pomachała, po czym zniknęła na ogrodowej ścieżce.

Kate ruszyła do domu.

Skryła się w nim niby pod miękkim, ciepłym kocem. Poszukiwania były tak wyczerpujące, tak szargające nerwy, a śmierć tak bliska, że nawet nie pomyślała o tym, czy w cichego jak zwykle sylwestra poczuje się nieszczęśliwa. Właściwie nie czuła się samotna. Jedynie wyczerpana. Spokojna. Śmiertelnie znużona. Brakowało jej sił, by poczuć się samotnie.

Kolano miała opatrzone, ale gardło nadal potwornie ją bolało. Na szyi wyraźnie było widać czerwone ślady duszenia, powoli przechodzące w purpurę. Sam Harris niemal zadusił ją na śmierć. Przypomniała sobie ciepło, które odczuła, światło, które ujrzała.

Niewiele brakowało.

Włączyła elektryczny kominek w salonie oraz światełka na choince. Podsunęła Messy pod nos prawdziwą świąteczną ucztę i pogłaskała kotkę, która mrucząc, zajadała swój posiłek. Odkorkowała butelkę wina i zastanawiała się, co mogłaby sobie ugotować. By słyszeć głosy, włączyła telewizor. Zobaczyła ludzi ubranych na biało, zamaskowanych jak kosmici, ciągnących przez ciemne, upiornie wyglądające miasto. Prezenter donosił o pojawieniu się wysoce zakaźnej choroby płuc w Chinach, w Wuhanie, stolicy prowincji Hubei. Miasto zostało odgrodzone, nikogo nie wpuszczano ani nie wypuszczano. Ludzie tam umierali. Nie mogli oddychać.

Kate patrzyła na zdjęcia pustym wzrokiem, było tego zbyt wiele. Gdy zamierzała odpocząć w ten ostatni wieczór starego roku, opuściła ją wszelka energia, która

pozwałała jej przetrwać od późnego niedzielnego wieczoru aż do dzisiaj. Tak naprawdę niczego nie przyjmowała do wiadomości. Wuhan było daleko. Na drugim krańcu świata.

Zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczyła, że to Burt Gilligan. Kusiło ją, by go zignorować. W końcu jednak odebrała.

– Halo?

W jego głosie jak zwykle pobrzmiwała nuta urazy, choć Kate pomyślała, że to niekoniecznie coś niezwykłego.

– To ja, Burt. Przedwczoraj bezskutecznie próbowałem panią złapać. A pani nie oddzwoniła.

Telefon w głębi lasu. Dzwonek, który nasłał na nią Harrisa. Kate uznała jednak za zbyt męczące relacjonowanie tamtych wydarzeń. Powiedziała więc tylko:

– Chwila była absolutnie niestosowna.

– Mimo to powinno się...

– Poza tym zwyczajnie się pan rozłączył. Dzień wcześniej. Kiedy chciałam pana przeprosić. – Kate poczuła się trochę głupio. Jak w podstawówce. Ty to zacząłeś! Nie, to ty! Nie, ty!

– Byłem wściekły – przyznał Burt. – I urażony. Po raz drugi jak idiota czekałem u Gianniego.

– Wiem. Naprawdę mi przykro.

– No cóż. Zapomnijmy o tym. Chciałem zapytać, czy ma pani jakieś plany na dzisiejszy wieczór? Wiem, to trochę późno, ale przedwczoraj nie zdołałem się do pani dodzwonić...

Z całą pewnością nie miał o niej teraz najlepszego zdania – o ile w ogóle kiedykolwiek je miał – ale najwyraźniej nie znalazł na ten cholerny wieczór innego towarzystwa. Wieczór, w którym samotność jeszcze mocniej niż w święta odbierało się w kategoriach osobistej porażki.

*Czy nie masz żadnych przyjaciół?*

Zdała sobie sprawę, że tak naprawdę go nie lubi, poza tym była kompletnie wyczerpana. Pomyślała nagle, że czasem lepiej znosić swój smutek w samotności, niż udawać, że jest się parą.

– Szczerze mówiąc, jestem bardzo zmęczona – odpowiedziała. – Położę się spać.

– W sylwestra?

– Dlaczego nie? To tylko zwyczajna zmiana daty. Co w tym wyjątkowego?

Dał się słyszeć nieco pogardliwie brzmiący śmiech.

– No cóż, Kate, naprawdę... nic mnie już nie zaskoczy. To znaczy, nikogo pani nie znajdzie. Do innych trzeba wyjść. Znaleźć się wśród ludzi. A nie tylko przez cały czas

zamykać za sobą wszystkie drzwi. – Jego głos wypełniła troska. – To się pani nie przysłuży, Kate. Nawet te zagrywki, kiedy umawia się pani na spotkanie, a potem się nie pojawia. Uważam, że potrzebuje pani pomocy.

Idiota, pomyślała Kate. Jakież to typowe: uznać drugą osobę za trudny przypadek i w efekcie samemu poczuć się lepiej.

Nie zareagowała na jego słowa. Żadnej dyskusji o jej problemach.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Burt – powiedziała.

Burt się roześmiał. Zabrzmiało to sztucznie.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Kate – odparł. I zakończył rozmowę.

Kate odstawiła butelkę z winem do lodówki i zrezygnowała z posiłku. Była zbyt zmęczona.

Żeby coś ugotować, żeby się napić.

Położy się teraz do łóżka i prześpi, a jutro zobaczy, co dalej.

Niby co zobaczy? Co dalej? Z nadchodzącym rokiem? Z jej życiem?

Nie teraz, powiedziała sobie, nie rozmyślaj.

Kiedy w końcu położyła się do łóżka, z Messy u boku, nagle się rozbudziła. Serce mocno jej biło, nie mogła się uspokoić, pociła się. Usiadła.

Jak można być tak zmęczonym i jednocześnie rozbudzonym?

Zerknęła na stojący obok łóżka zegar. Prawie pół do dziesiątej. Dwie i pół godziny do nadejścia nowego roku.

Wstała i ponownie się ubrała. Dżinsy, sweter. Zrezygnowała z rozczesania włosów czy choćby najmniejszej próby upiększenia swojej bladej, zmęczonej twarzy. Pogłaskała Messy, która spojrzała na nią zmieszana.

– Przepraszam. Muszę wyjść na chwilę. Niedługo wrócę.

W samochodzie przyszła jej do głowy myśl, że to, co robi, może wydawać się szaleństwem, a jednak poczuła pewność, że postępuje słusznie. Słusznie akurat w tej chwili, i to ze względu na *samą siebie*.

Kiedy dotarła na Queen's Parade, kolorowe fajerwerki właśnie rozświetlały nocne niebo nad Scarborough. Wybuchały tysiącem gwiazd i sypały deszczem nad domami. Ktoś odpalał petardy na plaży. Ich światło na krótko rozjaśniało taflę wody.

W mieszkaniu Caleba paliło się światło. Westchnęła z ulgą. Obawiała się, że może przebywa w barze, że ma w sylwestra dyżur. Może się z kimś zamienił. Może nie czuł się dobrze po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Wbiegła po schodach i zapukała do drzwi. Z początku nie usłyszała żadnego dźwięku i pomyślała, że Caleba jednak nie ma w domu, że po prostu przez nieuwagę zostawił zapalone światło. W końcu dobiegł ją odgłos ciężkich kroków, drzwi się otworzyły. Staął przed nią Caleb.

Był szary na twarzy i miał zaczerwienione oczy, wyglądał tak, jakby nie spał przez dwie ostatnie noce. Albo całymi godzinami płakał. Prawdopodobnie jedno i drugie.

– Kate! – powiedział.

– Mogę wejść?

– Oczywiście. – Zrobił krok do tyłu. Przedpokój wciąż zagracały liczne pudła z przewodzątki, z sufitu zwisała jaskrawa żarówka. W mieszkaniu panował ziąb. Kate, dygocąc, skuliła ramiona.

Caleb to zauważył.

– Ogrzewanie w ogóle przestało działać. Mam nadzieję, że jutro zajmie się tym jakieś pogotowie.

Weszła za nim do salonu. Na stole piętrzyło się kilka pudeł, za to pewnie w łazience można się było swobodniej poruszać. Skorzystać z prysznic. Na jednym z pudeł stał mały telewizor. Dźwięk był wyciszony. Kate ponownie zobaczyła postacie w kombinezonach poruszające się po wymarłym z pozoru mieście. Chiny. Wuhan. Ognisko dziwnej, nowej choroby płuc.

Przed telewizorem stała butelka whisky.

Kate aż się wzdrygnęła. Caleb podążył za jej wzrokiem.

Spojrzeli po sobie. Caleb zauważył ślady duszenia na jej szyi. Przekonała się o tym, ponieważ jego twarz jeszcze bardziej poszarzała, jeszcze bardziej się zapadła.

W końcu opuścił wzrok.

– Tak mi przykro, Kate – powiedział cicho. – Tak strasznie mi przykro.

– Ale znowu dobrze sobie radzisz, jak widzę – powiedziała surowo.

– Kate...

Uznała, że jest wredna. Agresywna. Tak kiepsko wyglądał. Bardzo tego żałował. Wiedział, jak niewiele dzieliło Kate od tragedii i jaką rolę sam w tym odegrał. Miała świadomość, że niczego nie pragnął bardziej niż tego, by móc to wszystko cofnąć. Nie potrzebował nikogo, kto by mu przypominał o jego niepowodzeniu. Sam był swoim własnym najostrzejszym oskarżycielem.

Nagle powróciły do niej szok, trauma, groza wydarzeń z zaśnieżonego, ciemnego lasu.

– Prawie umarłam, Caleb. Prawie zginęłam. Ten facet omal mnie nie zabił.

Ledwo zauważyła, że po jej policzkach zaczęły spływać łzy. Znowu poczuła się pośrodku tamtych wydarzeń, zobaczyła, jak leży w śniegu z twarzą przyciśniętą do ziemi, z wodą wypełniającą nos, usta i uszy, poczuła na sobie przytłaczający ciężar Samuela Harrisa, jego dyszący oddech, siłę, z jaką chwycił za jej szalik, ciągnął za niego, aż nie mogła złapać oddechu, rozpaczliwie kopiąc i się szamocząc, i czując, że nie ma żadnych szans w walce z tym nienawistnym szaleńcem.

– Myślałam, że umrę. W pewnym momencie zobaczyłam światło. Jasne. Poczułam ciepło. Właściwie już mnie tu nie było. To znaczy, na tym świecie.

Zrobił krok w jej stronę.

– Gdybym tylko...

Cofnęła się, uderzając biodrem o krawędź stołu.

– Liczyłam na ciebie, Caleb.

– Wiem. – Jego głos brzmiał bezdźwięcznie. W oczach kryła się rozpacz.

Wiedziała, że on nie zdoła niczego wyjaśnić. Nie potrafił powiedzieć nic, co mogłoby wszystko naprawić. Rozumiała, że nawet tego nie spróbuje. Zastanawiała się, czyby jej to nie rozzłościło, gdyby podał jakieś wyjaśnienie, powołując się na swój nałóg, chorobę. Ale to jego śmiertelnie smutne spojrzenie, milczenie, a przede wszystkim ta cholerna butelka whisky wywołały w niej falę gniewu.

Zanim zdążyła się opanować, gwałtownym ruchem ręki zrzuciła butelkę ze stołu. Rozbiła ją o ścianę. Odłamki rozsypały się po całym pokoju, padły na stół, a whisky zostawiła na ścianie złote smugi. Pokój tak mocno cuchnął alkoholem, iż można było pomyśleć, że człowiek się upije samą jego wonią.

– Dlaczego, Caleb? Dlaczego? Dlaczego nie możesz po prostu z tym skończyć?

Wzdrygnął się. Nie odpowiedział.

Kate wiedziała, jak idiotyczne było jej pytanie. Gdyby alkoholicy mogli zwyczajnie zerwać z nałogiem, nie stanowiłby prawdziwego problemu. Caleb już przed wielu laty przebywał w klinice odwykowej. Nie zdołał wytrwać. Był z tego powodu bardziej zdesperowany niż ktokolwiek z jego otoczenia.

Próbowała się uspokoić.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi.

Za oknem wybuchały fajerwerki, kolorowe gwiazdy rozświetliły ciemny nieboskłon.

– Zostaniesz? – zapytał cicho Caleb. – Mam na myśli... do północy?

Potrząsnęła głową.

– Nie chcę zostawiać Messy samej. Boi się fajerwerków. Przyszłam tylko... – Nie dokończyła.

Spojrzał na nią pytająco.

– Tak?

– Sama nie wiem. Chciałam cię jeszcze zobaczyć. W starym roku.

– Wypowiedzieć mi przyjaźń? Zrozumiałbym.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Mimo całej swojej złości, która wypływała głównie z rozczarowania, pomyślała nagle: nie, nigdy. Nigdy w życiu. Nigdy w życiu nie porzuci przyjaźni Caleba.

Nieważne, jak jest. Nieważne, co się stanie.

Jej twarz wciąż była mokra od łez, gdy powtórzyła:

– Oczywiście, że nie.

– Spróbuję – oznajmił Caleb.

– Co?

– Pójdę ponownie na odwyk. Obiecuję ci. To będzie pierwsza rzecz, którą zrobię w nowym roku.

– Nie z mojego powodu – powiedziała Kate. – Obiecuj mi. Zrób to dla siebie. Dla swojej przyszłości.

– Po prostu to zrobię – zapewnił Caleb. Dla obojga stało się jasne: po raz kolejny Caleb miał przed sobą trudną walkę, być może trudniejszą niż za pierwszym razem. Teraz bowiem, gdy przeżył swoją porażkę, tym bardziej był przerażony i przygnębiony.

Stali niezdecydowani naprzeciw siebie. W końcu odezwała się Kate:

– Pójdę już. Muszę się przespać. Muszę jakoś znowu odnaleźć samą siebie. Dobrego nowego roku, Caleb.

– Wzajemnie.

Odprowadził ją do drzwi. Gdy stanęli w jaskrawym świetle żarówki, zrobił głęboki wdech. Kate widziała, jak zbiera się w sobie.

– A... jutro? Czy chciałabyś pójść ze mną na spacer? Po plaży?

– Chętnie.

– Dobrze. – Uśmiechnął się. Po raz pierwszy tego wieczoru. Był to napięty, wymuszony, znużony, ale jednak... uśmiech. – A zatem do jutra, Kate.

Odwzajemniła jego uśmiech.

– Do zobaczenia w nowym roku, Caleb.